

John Hart



OSTATNIE DZIECKO

Przecież dziecko nie może tak zwyczajnie
zapaść się pod ziemię...

KRYMENAI



John Hart

OSTATNIE DZIECKO

Z języka angielskiego przełożył
Radosław Madejski



Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

Podziękowania

Prolog

Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział

6

Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10 Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13 Rozdział 14 Rozdział 15 Rozdział 16 Rozdział 17

Rozdział 18 Rozdział 19 Rozdział 20 Rozdział 21 Rozdział 22

Rozdział 23 Rozdział 24 Rozdział 25 Rozdział 26 Rozdział 27

Rozdział 28 Rozdział 29 Rozdział 30 Rozdział 31 Rozdział 32

Rozdział 33 Rozdział 34 Rozdział 35 Rozdział 36 Rozdział 37

Rozdział 38 Rozdział 39 Rozdział 40 Rozdział 41 Rozdział 42

Rozdział 43 Rozdział 44 Rozdział 45 Rozdział 46 Rozdział 47

Rozdział 48 Rozdział 49 Rozdział 50 Rozdział 51 Rozdział 52

Rozdział 53 Rozdział 54 Rozdział 55 Rozdział 56 Rozdział 57

Rozdział 58 Rozdział 59 Rozdział 60 Rozdział 61 Rozdział 62

Epilog

*Książkę tę dedykuję Nancy i Billowi Stanbackom,
Annie i Johnowi Hartom, Kayowi i Norde Wilsonom.
Rodzicom, przyjaciołom, zaufanym doradcom.*

Podziękowania

Książka ta odniosła sukces dzięki ofiarności wielu osób. Chciałbym podziękować Sally Richardson, Matthew Shearowi, Andrew Martinowi i Thomasowi Dunne'owi za wszystko, czego dokonali – za stworzenie właściwej atmosfery, za organizowanie pomocy i za bezgraniczne zaangażowanie. Za genialną kampanię marketingową dziękuję Mattowi Baldacciemu oraz wszystkim jego wspaniałym współpracownikom – Tarze Cibelli, Kim Ludlam i Nancy Trypuc. Jestem wdzięczny Davidowi Rotsteinowi i Erwinowi Serronie za przepiękną okładkę, która świetnie oddaje ducha tej książki. Dziękuję też Kennethowi J. Silverowi, Cathy Turiano, Ninie Frieman i Jonathanowi Bennettowi, dzięki którym moje dzieło zostało wydane. Jak zwykle chylę czoła przed specami z działu sprzedaży St. Martin's Press – jesteście najlepsi. Niewiele książek jest w stanie zaistnieć na rynku bez dobrej reklamy, winien więc jestem podziękowania ludziom, którzy wypromowali moją książkę – Hectorowi DeJeanowi i Tammy Richards-LeSure. Miałem szczęście współpracować z najlepszymi redaktorami w branży – Pete'em Wolvertonem i Katie Gilligan. Choć wiedzą oni, jak bardzo doceniam ich pracowitość, powiem to jeszcze raz: „Dziękuję wam obojgu. Jesteście cudowni”. Jak zawsze wdzięczny jestem mojemu agentowi Mickeyowi Choate'owi. Dziękuję również Clintowi Robinsowi, Markowi Witte'owi, Jamesowi Randolphowi i Debbie Bernhardt, którzy jako pierwsi przeczytali książkę i odegrali istotną rolę w procesie jej powstawania. Specjalne podziękowania kieruję pod adresem Clyde'a Hunta i Johna Yoakuma, którzy użyczyli swoich personaliów, mając pełną świadomość, że mógłbym się dopuścić jakiegoś nadużycia. Dziękuję Markowi Stanbackowi i Billowi Stanbackowi za cenne informacje na temat orłów. A na koniec to, co najważniejsze: dziękuję mojej żonie Katie, która jest dla mnie najbliższym przyjacielem i miłością mojego życia, oraz córkom, Saylor i Sophie, za ich radosną ciekawość świata i niewinny entuzjizm.

Prolog

Wstęga asfaltu wrzynała się w krajobraz niczym długa czarna blizna. Powietrze jeszcze nie zaczęło drgać od gorąca, ale kierowca wiedział, że nadchodzi upał – w oddali, gdzie błękit stykał się z horyzontem, już migotał rozjarzony blask. Poprawił okulary przeciwsłoneczne i zerknął w duże lustro nad przednią szybą. Widział w nim odbicie całego wnętrza autobusu i wszystkich pasażerów. Przez trzydzieści lat oglądał w tym lustrze różnych ludzi, piękne dziewczyny i załamanych facetów, pijaków, pomyleńców i kobiety o ciężkich piersiach z czerwonymi pomarszczonymi niemowlętami. Wyczuwał problemy na kilometr i potrafił odróżnić, kto jest w porządku, a kto ucieka.

Kierowca przyjrzał się chłopcu. Ten wyglądał na uciekiniera. Na nosie łuszczyła mu się skóra, a pod opalenizną miał tę ziemistą bladość, która bierze się z niewyspania albo z niezdrowego odżywiania, albo z jednego i drugiego. Jego kości policzkowe odznaczały się ostro pod napiętą skórą. Był młody i drobny, wyglądał na dziesięć lat. Zmierzwione czarne włosy sterczały tak nierówno, jakby sam je sobie przycinał. Z kołnierzyka jego koszuli zwisały nitki, tak samo jak z rozdarcia na kolanie jeansów. Buty miał mocno znoszone. Na kolanach trzymał niebieski plecak i cokolwiek mieściło się w środku, nie było tego wiele.

Był ładnym dzieciakiem, ale kierowcę najbardziej zaintrygowały jego oczy. Duże i ciemne poruszały się nieustannie, jak gdyby chłopiec zwracał przesadną uwagę na otaczających go ludzi. Dookoła niego tłoczyła się rozgrzana żywa masa, która zwykle podróżowała zdezelowanym autobusem w takie upalne poranki przez piaszczyste wzgórza Karoliny Północnej – z pół tuzina najemnych robotników, grupka sponiewieranych zawadiaków, którzy wyglądali na byłych żołnierzy, jedna albo dwie rodziny, kilkoro staruszków i para wytatuowanych punków tuląca się na tylnym siedzeniu.

Oczy dzieciaka najczęściej zatrzymywały się na mężczyźnie po drugiej

stronie przejścia, typie sprzedawcy o przylizanych włosach w wymiętym garniturze i wydeptanych mokasynach. Obok siedział czarnoskóry facet z podniszczoną Biblią w rękach i butelką wody sodowej wciśniętą między uda, który również zdawał się podchwytywać spojrzenie chłopca. Siedzenie za plecami chłopaka zajmowała podstarzała dama w cienkiej bladożółtej sukience. Kiedy pochyliła się do przodu, by o coś zapytać, chłopak lekko pokręcił głową.

– Nie, proszę pani – odpowiedział uprzejmie.

Jego słowa uniosły się jak dym, a kobieta opadła z powrotem na oparcie, trzymając w poznaczonych błękitnymi żyłami palcach łańcuszek, który zwieszał się z jej okularów. Spojrzała przez okno i w jej szklach zamigotało słońce, by po chwili zgasnąć, gdy droga wpadła w sosnowy zagajnik i wszystko pograżyło się w zielonkawym cieniu. Taka sama zieleń zalała wnętrze autobusu. Tymczasem kierowca przyglądał się bacznie mężczyźnie w wymiętym garniturze. Jego bladą skórę pokrywały kropelki potu, jakby cierpiał z powodu kaca. Miał nienaturalnie małe oczy i był w nim jakiś niepokój, który działał kierowcy na nerwy. Co minutę albo dwie zmieniał pozycję. Zakładał nogę na nogę, a po chwili ją prostował, nachylał się do przodu, a potem znów się rozpierał na siedzeniu. Bębnił palcami po kolanie, podczas gdy jego spojrzenie omiatało chłopca i umykało gdzieś w dal, wracało do niego i odpływało nieśpiesznie.

Kierowca był człowiekiem steranym życiem, ale dbał o porządek w autobusie. Nie tolerował pijaństwa, rozwiązłości i głośnych rozmów. Jego mama tak go wychowała przed pięćdziesięciu laty i nie widział powodu, aby się zmieniać. Miał więc na oku chłopca i tego wynędzniałego faceta o pożądlwym spojrzeniu. Patrzył, jak tamten zerka na dzieciaka, jak wierci się na zatłuszczonym siedzeniu. Wtem zauważył nóż.

Chłopiec zrobił to całkiem od niechcienia. Wyjął z kieszeni składany nóż i otworzył go jednorącz, popychając ostrze kciukiem. Trzymał go tak przez moment, nie próbując przed nikim ukrywać, a potem drugą ręką wyciągnął z plecaka jabłko i przekroił je sprawnym gładkim ruchem. Zapach owocu uniósł się nad brudnymi siedzeniami i powalaną podłogą. Do kierowcy dotarł jego ostry słodkawy posmak, przebijając się nawet przez smród dieslowskich wyziewów. Chłopiec spojrzał przelotnie na

szeroko otwarte oczy i pobladłą twarz mężczyzny, po czym złożył nóż i wsunął z powrotem do kieszeni.

Kierowca rozluźnił się i przez kilka długich minut niewzruszenie obserwował drogę. Pomyślał, że chłopiec wydaje mu się znajomy, ale wrażenie to minęło po chwili. Trzydzieści lat. Rozsiadł się wygodnie, a jego ociężałe ciało zapadło się jeszcze głębiej w fotelu.

Widział wielu takich chłopców. Tak wielu uciekinierów.

Chłopiec wyczuwał każde spojrzenie kierowcy. Miał taką zdolność, taki dar. Wiedział to nawet pomimo ciemnych okularów na twarzy kierowcy i zniekształconego obrazu w lusterku. To była jego trzecia podróż autobusem na przestrzeni trzech tygodni. Za każdym razem siadał na innym miejscu i był inaczej ubrany, ale zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później ktoś go spyta, co robi na międzystanowej trasie o siódmej rano w dzień powszedni, kiedy powinien być w szkole. Spodziewał się, że takie pytanie może paść ze strony kierowcy.

Na razie jednak nic takiego się nie zdarzyło. Obrócił się do okna i ukrył głowę w ramionach, aby nikt nie próbował go zagadać. Obserwował ruchy i twarze odbijające się w szybie. Myślał o drzewach sięgających do samych chmur i brązowych piórach przyprószonych śniegiem.

Czuł ucisk noża w kieszeni.

Czterdzieści minut później autobus zatrzymał się na przystanku przy stacji benzynowej zagubionej pośród wielkich połaci gorącej piaszczystej ziemi, którą porastały sosny i karłowate krzewy. Chłopiec ruszył do przodu wąskim przejściem i zeskoczył z ostatniego stopnia na ziemię, nim kierowca zdążył zauważyć, że na parkingu stoi tylko półciężarówka pomocy drogowej i nie ma nikogo dorosłego, kto mógłby odebrać dzieciaka, tego trzynastolatka, który wyglądał zaledwie na dziesięć lat. Odwrócił głowę, aby promienie słońca padały mu na kark, i zarzucił plecak na ramię, tymczasem autobus szarpnęła, wyrzucając kłęby spalin, i potoczył się na południe.

Na stacji znajdowały się dwa dystrybutory z paliwem i długa ławka. Stary chudy mężczyzna w poplamionym smarami kombinezonie skinął chłopcu głową zza brudnej szyby, ale nie wyszedł na zewnątrz. Ukryty

w cieniu budynku automat z napojami był tak stary, że żądał tylko pięćdziesięciu centów. Chłopiec zanurzył dłoń w kieszeni, wyłuskał z niej pięć cieniutkich dziesięciocentówek i wybrał napój winogronowy. Zimna szklana butelka zjechała po pochylni. Sięgnął po nią, odkręcił kapsel i ruszył w kierunku, z którego przyjechał autobus.

Po niespełna pięciu kilometrach i dwóch zakrętach droga zaczęła robić się coraz podlejsza, skończył się asfalt, a pokrywającego nawierzchnię żwiru było coraz mniej. Tablica nie zmieniła się od czasu, gdy widział ją po raz ostatni. Była stara i sfatygowana, a spod odchodzącej płatami farby wyzierało gołe drewno. „RZEKA ALIGATORÓW REZERWAT DRAPIEŻNIKÓW” – głosił napis. Nad literami unosiła się stylizowana sylwetka orła o rozpostartych skrzydłach, na których luszczyla się farba.

Chłopiec wypluł na rękę gumę do zucia i zamaszystym ruchem przykleił ją do tablicy, gdy obok niej przechodził.

Znalezienie gniazda zajęło mu dwie godziny, w ciągu których ociekając potem, przedzierał się między kolczastymi krzewami, a na jego skórze wykwitwały jaskrawoczerwone cętki od ukąszeń komarów. Wypatrzył zwartą płataninę gałęzi wysoko wśród konarów strzelistej sosny długoigielnej, która wyrastała z podmokłej gleby na brzegu rzeki. Dwa razy okrążył jej pień, ale nie znalazł na ziemi żadnych piór. Promienie słońca przebijały się przez korony drzew, a niebo było tak jasne i błękitne, że oczy bolały od patrzenia. Na jego tle gniazdo wyglądało jak mały punkcik.

Zrzucił plecak i zaczął się wspinać. Szorstka kora haratała jego poparzoną od słońca skórę. Czujny i wystraszony rozglądał się za orłem. Widział raz wypchany okaz w muzeum w Raleigh i zapamiętał tę okrutną dzikość w jego oczach. Ten orzeł miał szklane oczy, skrzydła rozpościerające się na półtora metra i szpony wielkie jak palce u jego dłoni. Samym tylko dziobem mógłby urwać ucho dorosłemu człowiekowi.

Potrzebował jedynie pióra. Pragnął zdobyć czyste białe pióro z ogona albo jedną z tych potężnych brązowych lotek ze skrzydła, ale równie dobrze mogłoby to być jakiegokolwiek małe piórko, nawet puch porastający ten miękki obszar pod skrzydłem.

Tak naprawdę nie miało to znaczenia. Magia była magią.

Im wyżej się wspinał, tym bardziej uginały się konary. Podmuchy wiatru poruszały drzewem, które chwiało się wraz z chłopcem. Kiedy wiało, przyciskał twarz do kory i wpijał zbieleńcał palce w pień, a serce łomotało mu w piersi. Sosna, królowa drzew, była tak wysoka, że nawet rzeka skurczyła się, gdy patrzył na nią z góry.

Dotarł już prawie na szczyt. Z tak bliska gniazdo było szerokie jak stół w jadalni, musiało ważyć chyba ze sto kilo. Liczyło dziesiątki lat i cuchnęło zgnilizną, nawozem i szczątkami królików. Chłopiec otworzył się na tę woń, na jej moc. Przełożył rękę i oparł stopę na odartej z kory poszarzałej gałęzi. Pod nim sosnowy las ciągnął się aż do majaczących w oddali wzgórz. Rzeka wiła się, a jej ciemna powierzchnia połyskiwała niczym węgiel. Podciągnął się wyżej i w zagłębieniu gniazda zobaczył dwójkę piskląt pokrytych bladym nakrapianym puchem. Rozdziawiały haczykowane dziobki, prosząc o jedzenie. Chłopiec usłyszał odgłos, który przypominał łopotanie prześcieradeł rozwieszonych na sznurze, gdy zerwie się wiatr. Ostrożnie uniósł wzrok i zobaczył orła nurkującego na tle idealnego błękitu. Przez moment widział tylko pióra w uderzających skrzydłach, potem wyrosły przed nim szpony.

Ptak wrzasnął przeraźliwie. Chłopiec wyrzucił ramiona w górę i zaczął spadać, a ptak – o połyskujących na żółto oczach i ze szponami zakleszczonymi w jego ciele i koszuli – runął na dół wraz z nim.

O trzeciej czterdzieści siedem autobus wtoczył się na parking przy tej samej stacji benzynowej. Tym razem kierował się na północ. Był to inny autobus, prowadzony przez innego kierowcę. Drzwi otworzyły się z łoskotem i z wnętrza wytoczyła się garstka ociężałych ludzi. Kierowca był szczupłym dwudziestopięcioletnim Latynosem i wyglądał na zmęczonego. Prawie nie zwrócił uwagi na kościstego chłopca, który podniósł się z ławki i pokuśtykał w stronę drzwi autobusu. Nie zauważył podartego ubrania ani rozpaczy malującej się na jego twarzy. I jeśli nawet ta plama na ręce, która podawała bilet, była z krwi, wydawało się oczywiste, że kierowcy nic do tego.

Dzieciak wdrapał się po schodkach, przytrzymując strzępy podartej koszuli. Plecak, który niósł, był ciężki i wypchany tak mocno, że nieomal pękał w szwach, a jego dno znaczyły czerwone plamy. Od chłopaka czuć

było rzeczonym szlamem i czymś dzikim, ale kierowca uznał, że to też nie jego interes. Chłopiec ruszył w głąb autobusu, zanurzając się w półmroku. Raz zatoczył się na oparcie jednego z foteli, aż w końcu dotarł na sam tył, gdzie skulił się w kącie. Przycisnął plecak do piersi i podciągnął nogi na siedzenie. Na jego ciele widniały głębokie rany i miał rozharatany kark, ale nikt na niego nie patrzył, nikt się nie zatroszczył. Jeszcze mocniej ścisnął plecak i poczuł resztki ciepła w pogruchotanym ciele, które było jak worek chrustu. Wyobraził sobie małe puszyste pisklęta, które zostały same w gnieździe. Same i przymierające głodem.

Chłopiec zakołysał się w ciemności i przełknął gorącą, gorzką łzę.

Rozdział 1

Johnny zdążył już się przekonać. Gdyby ktoś go zapytał, czemu jest taki dziwny, czemu zachowuje się tak spokojnie i czemu jego oczy zdają się pochłaniać światło, właśnie to by mu odpowiedział. Zdążył już się przekonać, że nie ma dla niego bezpiecznego miejsca, ani na podwórku, ani na boisku, ani na ganku przed domem, ani na tej cichej ulicy, która biegnie obrzeżami miasta. Nie ma żadnego bezpiecznego miejsca ani nikogo, kto wziąłby go w obronę.

Dzieciństwo było iluzją.

Od godziny był na nogach i czekał, aż przycichną odgłosy nocy, a słońce wzniesie się na tyle wysoko, by można to było nazwać porankiem. Był poniedziałek, wciąż panował mrok, ale Johnny niewiele spał. Obudził się, by trwać na posterunku w ciemnych oknach. Dwa razy w ciągu nocy sprawdzał zamki i obserwował pustą drogę oraz ziemny podjazd przed domem, który w poświacie księżyca wyglądał jak wysypany kredą. Zaglądał też do mamy, o ile Kena nie było w domu. Ken łatwo wpadał w złość i nosił duży złoty sygnet, który zostawiał idealnie owalne sińce.

To była kolejna lekcja życia.

Johnny włożył podkoszulek i wytarte jeansy, po czym zbliżył się do drzwi sypialni i uchylił je ostrożnie. Światło zalało wąski korytarz, na którym panował zaduch. Poczul dym papierosowy i opary alkoholu, prawdopodobnie bourbona. Johnny natychmiast przypomniał sobie, jak kiedyś pachniały poranki, gdy w powietrzu unosił się zapach jajek i kawy i ostra woń wody po goleniu, której używał ojciec. To było dobre wspomnienie, więc stłamsił je, unicestwił. Takie rzeczy tylko pogarszały sprawę.

Idąc korytarzem, czuł pod bosymi stopami szorstki gruby dywan. Drzwi do pokoju matki wisiały luźno we framudze. Było to zwyczajne pilśniowe skrzydło, niepomalowane i źle spasowane. Potrzaskane szczątki poprzednich drzwi leżały na podwórku, wyrwane kopniakiem z zawiasów

przed miesiącem, kiedy Ken i matka Johnny'ego wdali się w awanturę. Matka nie powiedziała, o co poszło, ale Johnny domyślał się, że miało to coś wspólnego z nim. Przed rokiem Ken nigdy nie zbliżyłby się do takiej kobiety jak ona, a Johnny nigdy nie pozwalał mu o tym zapomnieć, ale to było przed rokiem. Wieki całe.

Znali Kena od lat, a przynajmniej tak im się wydawało. Ojciec Johnny'ego był przedsiębiorcą budowlanym, a Ken stawiał całe osiedla. Współpraca szła im nieźle, ponieważ ojciec był energiczny i znał się na rzeczy, a Ken był na tyle przebiegły, aby go szanować. Z tego względu zawsze zachowywał się miło i uprzejmie, nawet po porwaniu, dopóki ojciec Johnny'ego nie uznał, że rozpacz i poczucie winy są ponad jego siły. Ale gdy ojciec odszedł, Ken zaczął przychodzić coraz częściej, a jego szacunek znikł. Teraz on wszystkim kierował. Dbał o to, aby matka Johnny'ego była od niego zależna i osamotniona, otumaniona lekami albo pijana. Mówił jej, co ma robić, a ona to robiła. Usmaż stek. Idź do sypialni. Zamknij drzwi.

Johnny obserwował to wszystko swymi czarnymi oczami, a potem często przychodził w nocy do kuchni i gładził palcami wielki nóż tkwiący w drewnianym bloku. Wyobrażał sobie wtedy ten miękki punkt u szczytu klatki piersiowej Kena i myślał o tym.

Ten człowiek był zwykłym drapieżnikiem w najczystszej postaci, a matka Johnny'ego zmarniała do cna. Ważyła mniej niż pięćdziesiąt kilo i tak wychudła, jakby była obłożnie chora, ale Johnny widział, jak patrzyli na nią mężczyźni, w taki sam sposób jak Ken, gdy wychodziła z domu. Jej skóra, choć blada, zachowała gładkość, a z głębokiego spojrzenia jej wielkich oczu wyzierało cierpienie. Miała trzydzieści trzy lata i gdyby istniały anioły, wyglądałyby właśnie jak ona, ciemnowłosa, delikatna i nieziemska. Mężczyźni odrywali się od swoich zajęć na jej widok. Wpatrywali się w nią, jakby jej skóra pałała jakimś blaskiem, jakby lada chwila miała oderwać się od ziemi.

Nie miało to dla niej najmniejszego znaczenia. Nawet zanim przepadła jej córka, nie przywiązywała szczególnej wagi do wyglądu. Nosiła jeansy i podkoszulki, włosy spinała w koński ogon i tylko czasami robiła makijaż. Jej świat był małym idealnym miejscem, w którym kochała swojego męża i dzieci, pielęgnowała ogródek, udzielała się w kościele i śpiewała sobie

w deszczowe dni, ale nic poza tym. Teraz, kiedy nastały milczenie, pustka i ból, pozostał tylko cień tej osoby, jaką była dawniej, ale jej piękno wciąż trwało. Johnny dostrzegał je codziennie i codziennie przeklinał tę doskonałość, którą została obdarzona. Gdyby była brzydka, Ken nie zwróciłby na nią uwagi. Gdyby miała brzydkie dzieci, jego siostra spałaby teraz w swoim pokoju. Ale ona była jak lalka albo jakaś nie do końca realna istota, którą należałoby wsadzić do gablotki i zamknąć na klucz. Była najpiękniejszą osobą, jaką Johnny kiedykolwiek znał. I tego właśnie w niej nienawidził.

Oto jak bardzo zmieniło się jego życie.

Johnny wpatrywał się w drzwi pokoju matki. Ken był w środku albo go tam nie było. Przycisnął ucho do płyty i wstrzymał oddech. Normalnie od razu by się zorientował, lecz od wielu dni omijał go sen i gdy w końcu go dopadał, wystarczyła chwila. Pogrążył się głęboko w cichym mroku. Przebudzenie było gwałtowne, jakby usłyszał brzęk tłuczonego szkła. Była trzecia w nocy.

Niepewnym krokiem odszedł od drzwi i ruszył korytarzem. Jarzeniówka w łazience zamruczała cicho, kiedy nacisnął przełącznik światła. Apteczka była otwarta, zobaczył w niej leki – xanax, prozac, jakieś niebieskie tabletki, jakieś żółte. Wziął fiolkę i przeczytał nazwę na etykietce. Vicodin. Coś nowego. Buteleczka xanaxu była otwarta, a jej zawartość leżała rozsypana na blacie i Johnny poczuł, że ogarnia go gniew. Xanax pomagał Kenowi dojść do siebie po nocy na mocnym haju. To było jego określenie. Na mocnym haju.

Johnny zamknął buteleczkę i wyszedł z łazienki.

W domu panował bałagan i chłopiec przypomniał sobie, że tak naprawdę nie jest to ich dom. Ich prawdziwy dom był czysty i dobrze utrzymany. Miał nowy dach, który on sam pomagał montować. W czasie przerwy wiosennej codziennie wspinał się na drabinę i podawał ojcu dachówki. Nosił też gwoździe w pasie na narzędzia, na którym widniało wydrapane jego imię. To był solidny dom o murowanych ścianach i podwórzu, na którym znajdowało się coś więcej niż goła ziemia i kępki chwastów. Oddalony był zaledwie o kilka kilometrów, ale wydawał się bardziej odległy, stojąc na osiedlu zadbanych domów z dużymi zielonymi trawnikami. Miejsce to zapadło mu głęboko w pamięć, ale teraz należało

do banku. Urzędnicy dali jego matce jakieś papiery i umieścili tabliczkę na podjeździe.

Teraz mieszkali w jednym z czynszowych domów Kena. Wynajmował takich koło setki i Johnny uważał, że ten jest chyba najgorszą i najbardziej gównianą rudera na obrzeżach miasta. W ciasnej kuchni goła żarówka oświetlała zaśniedziały zlew i wytarte linoleum, które w kątach podwijało się do góry. Johnny powoli obrócił się dookoła. Całe wnętrze było odrażające, na spodeczku piętrzyły się pety, a wokół wałały się puste butelki i brudne szklanki. Na kuchennym stole leżało lustro i Johnny zauważył na nim resztki białego proszku. Na ten widok poczuł, jak chłód rozlewa mu się w piersi. Na podłodze poniewierał się zwinięty banknot studolarowy. Chłopiec podniósł go i rozprostował. Od tygodnia nie zjadł godziwego posiłku, a Ken wciągał kokę przez zrolowaną stowę.

Wziął lustro ze stołu, przetarł je mokrą ścierką i zawiesił z powrotem na ścianie. Kiedyś przeglądał się w nim jego ojciec, i Johnny wciąż go widział, jak w niedzielny poranek zawiązuje oporny krawat wielkimi i niezgrabnymi palcami. Garnitur wkładał tylko do kościoła, i ogarnęło go zakłopotanie, gdy się zorientował, że syn go obserwuje. Johnny widział, jak momentalnie oblewa się rumieńcem, a potem jego twarz rozjaśnia beztroski uśmiech.

– Dzięki Bogu jest twoja matka – powiedział, a ona zawiązała krawat za niego.

Johnny widział, jak dłonie ojca spoczywają na jej plecach, widział pocałunek, a zaraz potem figlarne mrugnięcie.

Wytarł lustro jeszcze raz i poprawił je na ścianie, kręcił nim, dopóki nie zawisło prosto.

Drzwi na frontowy ganek otworzyły się ciężko i chłopiec wyszedł prosto w wilgotny i mroczny poranek. Pięćdziesiąt metrów dalej migotała uliczna latarnia, a ze wzgórza w oddali błyskały światła jakiegoś pojazdu.

Samochodu Kena nie było i Johnny poczuł zawstydzającą błogą ulgę. Ken mieszkał po drugiej stronie miasta w dużym, idealnie wykończonym domu z wielkimi oknami i garażem na cztery auta. Johnny westchnął głęboko, zastanawiając się, czy to aby nie jego matka pochylała się nad tym lustrem, ale wyjaśnił sobie, że tak daleko by się nie posunęła. To był interes Kena, nie jej. Zmusił się, by rozkurczyć pięści. Powietrze było

rześkie i na nim się skoncentrował. Mówił sobie, że nadchodzi nowy dzień i może się wydarzyć coś dobrego, ale wiedział, że poranki nie są dobre dla jego matki. Był to moment, kiedy otwierała oczy i docierało do niej, że nie zdołała odnaleźć swej jedynej córki.

Siostry Johnny'ego. Jego bliźniaczki.

Alyssa urodziła się trzy minuty po nim i byli do siebie na tyle podobni, na ile mogą być bliźnięta dwujajowe. Mieli takie same włosy i twarze, śmiali się tak samo. Już z odległości kilku metrów trudno było ich odróżnić. Mieli taką samą postawę, chodzili tak samo. W większość poranków budzili się o tej samej porze, nawet gdy spali w osobnych pokojach. Matka Johnny'ego mówiła, że gdy byli mali, mieli swój własny język, ale Johnny tego nie pamiętał. Pamiętał za to, że przez większość swego życia nigdy nie był sam, że doświadczał tego szczególnego poczucia przynależności, które tylko oni dwoje potrafili pojąć.

Lecz Alyssa znikła bez śladu, a wraz z nią wszystko przepadło. Taka była bezlitosna prawda, która wypaliła wewnątrz jego matki. Johnny robił więc, co było w jego mocy. Sprawdzał w nocy zamki i doprowadzał dom do porządku. Tego dnia zajęło mu to dwadzieścia minut, a potem nastawił kawę i zaczął rozmyślać o zwiniętym banknocie.

Sto dolarów. Jedzenie i ubranie.

Ostatni raz obrzucił wzrokiem wewnątrz domu. Butelki uprzętnął, tak samo jak ślady narkotyków. Otworzył okno, by wpuścić do środka trochę świeżego powietrza, i sprawdził zawartość lodówki. W tekturowej wytłoczce leżało jedno jajko, a resztką mleka zachlupotała na dnie kartonu, kiedy nim potrząsnął. Zajrzał do torebki matki. Znalazł tam dziewięć dolarów i trochę drobnych. Zostawił pieniądze w środku i zamknął torebkę. Napełnił szklanę wodą i z fiolki wytrzepał na dłoń dwie tabletki aspiryny, po czym przemierzył korytarz i otworzył drzwi do pokoju matki.

Przez szyby wdzierały się do środka pierwsze promienie świtu, pomarańczowy blask słońca, które pęczniało za czarnymi konarami drzew. Matka leżała na boku, a włosy zakrywały jej twarz. Stolik przy łóżku był zarzucony czasopismami i książkami. Chłopiec zrobił miejsce na szklanę i położył aspirynę na spękanej blasce. Przez sekundę nasłuchiwał jej oddechu, potem jego wzrok spoczął na pliku banknotów,

które Ken zostawił obok łóżka. Było tam kilka dwudziestek, zobaczył też pięćdziesiątkę. W sumie może kilkaset dolarów, zmiętych i poplamionych.

Wyłuskanych z grubego zwitka i ciśniętych od niechcenia.

Stojący na podjeździe samochód z nadwoziem typu kombi był stary. Ojciec Johnny'ego kupił go wiele lat temu. Johnny mył go, woskował i co tydzień sprawdzał ciśnienie w oponach, ale to było wszystko, co potrafił zrobić. Z rury wydechowej buchały kłęby sinego dymu, kiedy przekręcał kluczyk, a szyba po stronie pasażera nie podnosiła się do końca. Czekał, aż spaliny zrobią się białe, po czym wrzucał bieg i staczał się w dół podjazdu. Nie miał prawa jazdy. Rozglądał się uważnie, zanim skręcił na jezdnię. Utrzymywał niską prędkość i jeździł tylko bocznymi drogami. Od najbliższego sklepu dzieliły go tylko trzy kilometry, ale był to wielki sklep przy głównej drodze i Johnny zdawał sobie sprawę, że ktoś może go tam rozpoznać. Jechał więc pięć kilometrów dalej do małego spożywczaka, który nie należał do najlepszych. Paliwo sporo kosztowało i jedzenie było tam droższe, ale tak naprawdę nie miał innego wyjścia. Opieka społeczna przychodziła już do nich dwa razy.

Zaparkował samochód między innymi pojazdami stojącymi przed sklepem. Większość z nich też była stara i wyprodukowana w Ameryce. Za nim wtoczył się na parking ciemny sedan i przystanął nieopodal wjazdu. Światło słońca odbijało się w przedniej szybie i nie było widać twarzy mężczyzny, który siedział za kierownicą i nie ruszał się z miejsca. Johnny przyglądał mu się, idąc w stronę sklepu.

Czuł ogromny lęk przed samotnymi mężczyznami w stojących samochodach.

Wózek chybotął się, kiedy chłopiec pchał go alejką między rzędami półek. Postanowił, że wybierze tylko podstawowe produkty – mleko, sok, bekon, jajka, chleb, owoce. Wziął jeszcze dodatkową aspirynę dla matki. Pomyślał, że sok pomidorowy też dobrze by jej zrobił.

Gliniarz zatrzymał go na końcu ósmej alejki. Był wysoki i barczysty, a jego brązowe oczy wydawały się zbyt łagodne na twarzy o ostrych rysach i kanciastej szczęce. Nie miał wózka i trzymał ręce w kieszeniach, a Johnny na pierwszy rzut oka zorientował się, że wszedł tu za nim. Widział to w jego spojrzeniu pełnym zrezygnowanej cierpliwości. Miał

ochotę rzucić się do ucieczki.

– Cześć, Johnny – zagadnął policjant. – Jak się miewasz?

Jego włosy były nieco dłuższe niż wtedy, gdy Johnny widział go ostatnio, tak samo brązowe jak oczy i poskręcane bezładnie nad kołnierzem, z nowymi pasmami siwizny na skroniach. Twarz mu wychudła i coś podpowiadało Johnny'emu, że ostatni rok dla niego również nie był łatwy. Postawny gliniarz sprawiał wrażenie przybitego i znękanego, ale większość świata właśnie tak jawiła się chłopcu, więc nie był tego do końca pewien. W jego głębokim głosie dało się wyczuć zainteresowanie. Przywołał tyle złych wspomnień, że Johnny momentalnie znieruchomiał i nie był w stanie wykrztusić ani słowa. Gliniarz podszedł bliżej. Miał tę samą skupioną minę, którą Johnny widywał tak często, tę samą łagodną troskę w oczach. Johnny chciałby polubić tego człowieka, zaufać mu, ale z drugiej strony był on przecież tym, który dopuścił, aby Alyssa rozplynęła się w nicości. Był tym, który ją stracił.

– W porządku – odparł Johnny. – No wie pan, jakoś się trzymam.

Policjant spojrział na zegarek, potem na brudne ubranie Johnny'ego i jego zwichrzone czarne włosy. Było za dwadzieścia siódma, powszedni dzień, rok szkolny.

– Jakież wieści od twojego ojca? – zapytał.

– Nie. – Johnny starał się ukryć nagłe zawstydzenie. – Żadnych.

– Przykro mi.

Chwila milczenia ciągnęła się w nieskończoność, a gliniarz nadal stał w miejscu. Jego brązowe oczy pozostały niewzruszone. Z bliska wydawał się tak potężny i spokojny jak za pierwszym razem, gdy przyszedł do domu Johnny'ego. Ale to było inne wspomnienie, więc chłopiec wlepił wzrok w jego gruby nadgarstek i czyste, zaokrąglone paznokcie.

– Mama raz dostała list – przemówił łamiącym się głosem. – Pisał, że jest w Chicago i może pojedzie do Kalifornii. – Zawiesił głos i przeniósł spojrzenie z ręki policjanta na podłogę. – On wróci.

Johnny powiedział to z przekonaniem. Policjant kiwnął głową i odwrócił twarz w inną stronę. Spencer Merrimon wyjechał dwa tygodnie po tym, jak jego córka została porwana. Zbyt wiele bólu. Zbyt wiele wyrzutów sumienia. Jego żona nie pozwoliła mu zapomnieć, że miał

wtedy odebrać córkę, nie pozwoliła mu zapomnieć, że dziewczynka nie musiałaby iść po zmroku wzdłuż drogi, gdyby tylko on zrobił to, co miał zrobić.

– To nie była jego wina – oznajmił Johnny.

– Nigdy tak nie twierdziłem.

– Pracował wtedy. Zagapił się. To nie jego wina.

– Wszyscy popełniamy błędy, synu. Każdy z nas. A twój ojciec jest dobrym człowiekiem. Nie możesz w to wątpić.

– Nie wątpię. – W głosie Johnny’ego nagle rozbrzmiał żal.

– To dobrze.

– Nawet by mi to przez myśl nie przeszło.

Johnny poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio rozmawiał tak długo z dorosłym, ale ten gliniarz miał coś w sobie. Był stary jak cholera, mógł mieć koło czterdziestki, ale nigdy nie działał pochopnie i było coś ciepłego w jego obliczu, życzliwość, która wydawała się szczerą i nie wyglądała na sztuczkę obliczoną na wzbudzenie zaufania. Jego oczy zawsze emanowały spokojem i jakaś część Johnny’ego wciąż miała nadzieję, że jest to na tyle dobry policjant, aby rozwiązać tę sprawę. Minął jednak rok, a po jego siostrze nie było śladu. Johnny musiał martwić się tym, co jest teraz, a teraz ten gliniarz nie należał do jego przyjaciół.

Ludzie z opieki społecznej tylko czekali na pretekst, a Johnny robił różne rzeczy, odwiedzał różne miejsca, kiedy urywał się ze szkoły, i narażał się na różne niebezpieczeństwa, kiedy czmychał z domu po północy. Gdyby tylko ten policjant wiedział, co chłopiec robi, byłby zmuszony podjąć działanie. A potem sądy, domy dziecka.

Powstrzymałby Johnny’ego, gdyby mógł.

– A jak twoja mama? – zapytał. Patrzył uważnie, a jego ręka wciąż opierała się na wózku.

– Jest zmęczona – odparł chłopiec. – Ma tocznia, wie pan. Łatwo się męczy.

Gliniarz po raz pierwszy zmarszczył brwi.

– Kiedy ostatni raz cię tu widziałem, powiedziałaś, że choruje na boreliozę.

Miał rację.

– Nie, mówiłem, że to toceń – skłamał Johnny.

Twarz policjanta złagodniała.

– Są ludzie, którzy chcą wam pomóc. – Zabrał rękę z wózka. – Ludzie, którzy rozumieją.

Nagle Johnny'ego ogarnął gniew. Nikt ich nie rozumiał i nikt nie zaoferował pomocy. Ani razu.

– Ona po prostu źle się czuje. Jest bardzo wyczerpana.

Policjant przymknął oko na to kłamstwo, ale wciąż miał smutną minę. Johnny widział, jak omiata wzrokiem fiolkę z aspiryną i sok pomidorowy. Sposób, w jaki patrzył, nie pozostawiał złudzeń, że wie dużo więcej niż niejeden o nadużywaniu alkoholu i narkotyków.

– Nie tylko ty cierpisz, Johnny. Nie jesteś w tym samotny.

– Dostatecznie samotny.

Policjant westchnął ciężko. Wyjął wizytówkę z kieszeni koszuli i zapisał numer na jej odwrocie, po czym wręczył ją chłopcu.

– Gdybyś potrzebował kiedyś czegokolwiek – oświadczył z determinacją. – Bez względu na porę. Mówię poważnie.

Johnny zerknął na wizytówkę i wsunął ją do kieszeni jeansów.

– Dajemy radę – powiedział Johnny i pchnął wózek, okrążając gliniarza.

Mężczyzna położył dłoń na jego ramieniu.

– Gdyby jeszcze raz cię uderzył...

Chłopiec zmartwiał.

– Albo twoją matkę...

– Dajemy radę – powtórzył Johnny, uwalniając się od jego ręki. – Już mówiłem.

Obszedł policjanta dookoła wystraszony, że ten może go zatrzymać, zadać kolejne pytania albo wezwać jedną z tych kobiet z opieki społecznej o zaciętym wyrazie twarzy.

Wózek otarł się o ladę przy kasie i postawna kobieta siedząca na sfatygowanym taborecie obróciła twarz w jego stronę. Była nowa w tym sklepie i Johnny zauważył jej zaintrygowaną minę. Miał trzynaście lat, ale wyglądał na znacznie młodszego. Wyciągnął studolarowy banknot z kieszeni i położył go na ruchomej taśmie do wykładania zakupów.

– Czy mogłaby pani się pospieszyć?

Kobieta wydmuchała balon z gumy do żucia i spojrzała z ukosa.

– Wyluzuj, skarbie. Już się robi.

Gliniarz stał trzy metry za nim i Johnny czuł jego obecność, czuł jego spojrzenie na swoich plecach, kiedy gruba kasjerka wstukiwała ceny. Chłopiec zmuszał się, aby oddychać. Po minucie policjant przeszedł obok niego.

– Zatrzymaj tę wizytówkę – powiedział.

– Dobra. – Johnny nie mógł się zdobyć, aby spojrzeć mu w oczy.

Mężczyzna odwrócił się, a uśmiech na jego twarzy nie należał do beztrudnych.

– Zawsze miło cię widzieć, Johnny.

Wyszedł ze sklepu i ruszył przez parking, widoczny przez wielkie okno wystawowe. Minał samochód, którym przyjechał chłopiec, ale nagle przystanął i zawrócił. Zajrzał do środka przez okno, potem okrążył wóz, żeby zerknąć na tablicę rejestracyjną, i najwyraźniej usatysfakcjonowany oddalił się w kierunku swojego sedana. Otworzył drzwi i wśliznął się do mrocznego wnętrza.

Siedział za kierownicą i czekał.

Johnny próbował uspokoić kołatanie serca, potem sięgnął po drobne, które kasjerka wyciągnęła w jego stronę na wilgotnej mięsistej dłoni.

Policjant nazywał się Clyde Lafayette Hunt. Detektyw. Tak było napisane na jego wizytówce. Johnny miał ich całą kolekcję, którą chował w górnej szufladzie komody, pod skarpetkami i zdjęciem ojca. Czasem zastanawiał się nad tym telefonem z wizytówki, ale potem przychodziły mu do głowy myśli o sierocińcach i domach opieki. Rozmyślał o zaginionej siostrze i o ołowianej rurce, którą trzymał między swoim łóżkiem a nieszczelną, przepuszczającą chłodne podmuchy ścianą. Myślał o tym, że gliniarz chyba mówił serio, że chyba był dobrym człowiekiem, ale patrząc na niego, Johnny nie mógł się powstrzymać od wspomnienia Alyssy. A takie myślenie wymagało koncentracji. Musiał ją sobie wyobrazić żywą i uśmiechniętą, a nie leżącą na brudnej podłodze jakiejś piwnicy albo na tylnym siedzeniu jakiegoś samochodu. Gdy widział ją ostatni raz, miała dwanaście lat. Dwunastolatka o czarnych włosach obciętych jak u chłopca. Facet, który widział całe zajście, powiedział, że podeszła blisko do samochodu i że była uśmiechnięta, nawet kiedy

otworzyły się drzwi.

Uśmiechała się aż do momentu, gdy ktoś ją porwał.

Johnny cały czas słyszał to słowo. *Uśmiechnięta*. Jakby uwięzło w jego głowie, wciąż odbijając się echem, i nie mógł się od niego wyzwolić. Ale kiedy spał, widział jej twarz. Widział, jak patrzy na oddalające się domy, jak niepokój wzbiera w jej oczach. Widział jej krzyk.

Johnny zdał sobie sprawę, że kasjerka gapi się na niego, trzymając resztę na wyciągniętej dłoni, a jego zakupy są już spakowane. Uniosła jedną brew, a jej szczeka wciąż poruszała się miarowo, żując gumę.

– Potrzebujesz czegoś jeszcze, skarbie?

Johnny zawstydział się. Zabrał pieniądze i wcisnął je do kieszeni.

– Nie – odpowiedział. – Już niczego.

Spojrzała ponad jego głową na kierownika sklepu, który stał za niskim szklanym przepierzeniem. Chłopiec podążył wzrokiem w tym samym kierunku, po czym chwycił torby z zakupami i wyszedł. Kiedy był w sklepie, niebo zdążyło nasycić się błękitem. Szedł z oczyma utkwionymi w samochód matki, starając się nie zwracać uwagi na detektywa Hunta. Torby, ocierając się o siebie, zaszurały chrapliwie, mleko zachlupotało w kartonie. Johnny położył je na tylnym siedzeniu i zawahał się. Gliniarz obserwował go z samochodu. Zatoczył łuk i był teraz nie dalej jak sześć metrów od niego. Kiwnął ręką, gdy Johnny się wyprostował.

– Umiem prowadzić – odezwał się chłopiec.

– Nie wątpię. – Odpowiedź zaskoczyła Johnny'ego. Policjant uśmiechnął się. – Wiem, że jesteś dzielny – dodał, a jego uśmiech znikł. – Wiem, że potrafisz sobie poradzić z większością rzeczy, ale prawo jest prawem. Nie mogę ci pozwolić, żebyś prowadził.

– A ja nie mogę tu zostawić samochodu – odparł Johnny. – Nie mamy innego.

– Odwiozę cię nim do domu.

Johnny nic nie powiedział. Zastanawiał się tylko, czy w domu czuć jeszcze bourbonem i czy schował wszystkie buteleczki po lekarstwach.

– Próbuję ci pomóc, Johnny – rzekł policjant i zawiesił na chwilę głos. – Wiesz, że ludzie tak robią.

– Jacy ludzie? – Chłopiec nie krył rozgoryczenia.

– Już dobrze – uspokoił go detektyw Hunt. – Podaj mi tylko swój adres.

– Przecież pan wie, gdzie mieszkam. Czasem przejeżdża pan tamtędy i widzę wtedy, jak pan zwalnia. Proszę więc nie udawać, że pan nie wie.

Hunt usłyszał nieufność w jego głosie.

– Nie podpuszczam cię, synu. Potrzebny mi dokładny adres, żeby przysłali tam po mnie radiowóz. Będę musiał jakoś tu wrócić po mój samochód.

Johnny patrzył na gliniarza badawczym wzrokiem.

– A czemu pan jeździ tam tak często?

– Tak jak mówiłem, Johnny. Są ludzie, którzy chcą pomóc.

Chłopiec nie był pewien, czy mu uwierzył, ale wyrecytował swój adres i przyglądał się, jak policjant rozmawia przez radio, kierując tam jeden z wozów patrolowych.

– No to w drogę.

Hunt wysiadł ze swojego nieoznakowanego radiowozu i ruszył w stronę samochodu Johnny'ego. Chłopiec usiadł na fotelu pasażera i zapiął pas. Gliniarz zajął miejsce za kierownicą i przez długą chwilę obydwaj trwali w bezruchu.

– Przykro mi z powodu twojej siostry – odezwał się w końcu Hunt. – Przykro mi, że nie byłem w stanie jej odnaleźć. Wiesz to, prawda?

Johnny wpatrywał się prosto przed siebie, a spoczywające na udach dłonie zacisnął tak mocno, że aż palce pobielaly. Słońce prześwitywało między drzewami, a padające na szybę promienie nagrzewały wnętrze samochodu.

– Nic nie powiesz? – zapytał Hunt.

Johnny obrócił twarz ku niemu, a jego głos był bezbarwny.

– Wczoraj minął dokładnie rok. – Chłopiec zdawał sobie sprawę, że mówi obojętnym tonem. – Pamiętał pan?

Hunt sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– Tak – odpowiedział. – Pamiętałem.

– Może pan już jechać? – Johnny odwrócił wzrok. – Proszę.

Silnik zawarczał i błękitna chmura spalin przesunęła się za oknem po stronie pasażera.

– W porządku – powiedział policjant, wrzucając bieg. – W porządku, Johnny.

Do granic miasta dojechali w milczeniu. Żaden z nich nie odezwał się

ani słowem, ale Johnny łowił zapachy. Hunt pachniał mydłem i smarem do konserwacji broni, a jego ubranie było lekko przesiąknięte dymem papierosowym. Prowadził podobnie jak ojciec Johnny'ego, szybko i pewnie, spoglądając to na drogę, to w lusterko wsteczne. Zacisnął wargi, gdy znaleźli się w pobliżu domu i Johnny po raz ostatni pomyślał o tym, jak przed rokiem Hunt powiedział, że przyprowadzi Alysę z powrotem. Obiecał im to.

Gdy dotarli na miejsce, na podjeździe czekał już oznakowany radiowóz. Johnny wysiadł i otworzył tylne drzwi, żeby zabrać torby z zakupami.

– Mogę ci pomóc – odezwał się gliniarz.

Chłopiec podniósł na niego wzrok. Czego ten facet chce? Przecież ją stracił.

– Daję radę – odpowiedział Johnny.

Detektyw Hunt patrzył w oczy chłopcu, dopóki nie stało się jasne, że nie ma już nic do powiedzenia.

– Trzymaj się – rzucił w końcu.

Johnny odprowadził go wzrokiem i patrzył, jak wsiada do radiowozu. Trzymał torby z zakupami i nie ruszał się z miejsca, dopóki samochód nie wyjechał na drogę. Nie odpowiedział na gest Hunta, który pomachał mu dłonią na pożegnanie. Stał na ziemnym podjeździe i obserwował samochód, który wspiał się na odległe wzgórze, a potem znikł z pola widzenia. Odczekał, aż tętno wróci do normy, i wszedł do domu.

Zakupy wyglądały skromnie, gdy je rozłożył na blacie, ale ich widok napawał go poczuciem triumfu. Johnny odsunął je na bok i nastawił kawę, a potem wbił na patelnię jedno jajko. Wokół żelaznego krążka palnika buchnęły bladoniebieskie płomienie i chłopiec patrzył, jak brzegi jajka ścinają się na białą. Ostrożnie zsunął je na kartonowy talerz. Kiedy sięgał po serwetkę, zadzwonił telefon. Rozpoznał numer, który pojawił się na wyświetlaczu, i odebrał połączenie, zanim rozległ się drugi dzwonek. Dzieciak po drugiej stronie miał chrapliwy głos. Też miał trzynaście lat, ale pił i palił jak dorośli.

– Zrywasz się dzisiaj? Wyskoczmy gdzieś.

Johnny zerknął w stronę korytarza i ściszył głos.

– Cześć, Jack.

– Widziałem parę domów po zachodniej stronie. To nieprzyjemna okolica. Naprawdę nieprzyjemna. Pełno tam byłych skazańców. Ma to sens, jeżeli się zastanowisz.

To była stara śpiewka. Jack wiedział, co robił Johnny, kiedy uciekał ze szkoły i kiedy wymykał się z domu po zmroku. Chciał mu pomóc, po części dlatego, że dobry był z niego dzieciak, a po części dlatego, że był zły.

– To nie jest jakaś zabawa – odparł Johnny.

– Wiesz, jak to jest z darowanym koniem. Człowieku, to jest bezinteresowna pomoc. Powinieneś to docenić.

– Wybacz, Jack. – Johnny westchnął ciężko. – Dzisiaj jest jeden z tych poranków.

– Twoja mama?

Johnny poczuł ucisk w gardle, więc tylko pokiwał głową. Jack był jego ostatnim przyjacielem, jedynym, który nie traktował go, jakby był jakimś dziwolągiem albo wzbudzającym litość nieszczęśnikiem. Mieli też wiele wspólnego. Jack też był drobny, jak Johnny, i miał własny bagaż problemów.

– Prawdopodobnie dzisiaj pójde.

– Mieliśmy zadany referat z historii – wspomniał Jack. – Napisałeś?

– Oddałem w zeszłym tygodniu.

– Kurde. Naprawdę? Ja mojego nawet jeszcze nie zacząłem.

Jack zawsze się spóźniał, a nauczyciele zawsze pozwalali, aby uszło mu to na sucho. Matka Johnny'ego nazwała kiedyś Jacka hultajem, i to określenie do niego pasowało. Wykradał papierosy z pokoju nauczycielskiego, a w piątki przylizywał sobie włosy. Wypijał więcej mocnych trunków niż którykolwiek z jego rówieśników i kłamał jak stary wyga, ale potrafił dochować tajemnicy, kiedy dał słowo, i osłaniać innych, jeżeli było to konieczne. Był miły i serdeczny, jeżeli się postarał, i przez sekundę Johnny czuł się podniesiony na duchu, ale wkrótce znów przytłoczyła go rzeczywistość.

Detektyw Hunt. Kupka lepkich od brudu banknotów koło łóżka matki.

– Muszę iść – oznajmił Johnny.

– To zrywamy się ze szkoły?

– Muszę iść. – Johnny przerwał połączenie.

Uraził tym swego przyjaciela, ale nic nie mógł na to poradzić. Wziął

talerz, usiadł na ganku i zjadł jajko, zagryzając trzema kromkami chleba i popijając szklanką mleka. Kiedy skończył, wciąż był głodny, ale do lunchu zostało tylko cztery i pół godziny.

Tyle mógł poczekać.

Dolał mleka do kawy i mrocznym korytarzem przeszedł do pokoju matki. Wody w szklance już nie było, tak samo aspiryny. Włosy nie zasłaniały już twarzy matki, a smuga światła słonecznego kładła się na jej zamkniętych powiekach. Johnny postawił kubek na stoliku i otworzył okno. Do środka wdarło się chłodne powietrze od zacienionej strony domu. Chłopiec badawczo przyjrzał się matce. Miała pobladłą cerę i była wyczerpana, sprawiała wrażenie młodszej i wyglądała na przegraną. Nie obudziłaby się na zapach kawy, ale Johnny chciał, żeby miała ją pod ręką, tak na wszelki wypadek. Ot tak, żeby wiedziała. Zaczął odwracać się do wyjścia, kiedy matka jęknęła przez sen i rzuciła się gwałtownie. Wymamrotała coś, dwa razy wierzgnęła nogami i usiadła wyprostowana na łóżku, szeroko otwierając oczy, w których malowało się przerażenie.

– Jezu Chryste! – krzyknęła. – Jezu Chryste!

Johnny stał na wprost niej, ale ona go nie widziała. Cokolwiek ją wystraszyło, wciąż jeszcze miało nad nią władzę. Chłopiec pochylił się nad nią i powiedział, że to tylko sen, i przez tę chwilę jej oczy zdawały się go poznawać. Podniosła rękę do jego twarzy.

– Alyssa. – W jej głosie zabrzmiało pytanie.

Johnny poczuł, że nadciąga burza.

– To ja, Johnny – zwrócił się do niej.

– Johnny? – Matka zamrugnęła oczami, a potem przygniotła ją rzeczywistość.

Jej rozpaczliwe spojrzenie zgasło, cofnęła rękę i opadła bezwładnie na poduszkę. Chłopiec odczekał kilka sekund, ale matka nie otwierała oczu.

– Dobrze się czujesz? – zapytał w końcu.

– Miałam zły sen.

– Przyniosłem kawę. Zjesz coś na śniadanie?

– Cholera.

Matka gwałtownie zrzuciła z siebie kołdrę, wstała i wyszła z pokoju, nie oglądając się za siebie. W głębi domu trzasnęły drzwi łazienki.

Johnny wyszedł na zewnątrz i usiadł na ganku. Pięć minut później na

poboczu zatrzymał się szkolny autobus. Chłopiec nie podniósł się z ławki, nawet nie drgnął. W końcu autobus potoczył się dalej.

Minęła prawie godzina, zanim matka ubrała się i wyszła do niego na ganek. Usiadła obok, oplatając kolana chudymi ramionami. Wymuszony uśmiech nie udał się jej ani trochę i Johnny przypomniał sobie, jak kiedyś rozświetlał wszystko dookoła.

– Przepraszam cię – odezwała się, trącając go ramieniem. Johnny nie odrywał wzroku od drogi, więc trąciła go jeszcze raz. – Przepraszam... nie gniewaj się.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie potrafił nazwać tego uczucia, którego doświadczał, mając świadomość, że ona cierpi, patrząc na niego. Czuł, że matka szuka właściwych słów. To też jej się nie udało.

– Uciekł ci autobus – powiedziała w końcu.

– To nie ma znaczenia.

– Nie pojechałeś do szkoły.

– Mam świetne oceny. Nikogo nie obchodzi, czy tam jestem czy nie.

– Wciąż chodzisz do psychologa szkolnego?

Johnny zmierzył ją zaciętym spojrzeniem.

– Pół roku temu przestałem.

Z powrotem skierował wzrok na drogę i czuł, że matka go obserwuje. Kiedyś wszystko wiedziała. Kiedyś ze sobą rozmawiali. Gdy znów się odezwała, w jej głosie rozbrzmiewał ostry ton.

– On nie wraca.

Johnny spojrzał na matkę.

– Co?

– Nie odrywasz oczu od tej drogi. Wciąż patrzysz, jakbyś czekał, że pojawi się na horyzoncie. – Johnny otworzył usta, ale matka go uprzedziła. – Nie doczekasz się.

– Tego nie wiesz.

– Ja tylko próbuję...

– Nie możesz tego wiedzieć!

Johnny był już na nogach i nawet nie pamiętał, jak wstał. Jego dłonie zacisnęły się po raz drugi tego dnia, a w piersi wzbierało coś gorącego. Matka odchyliła się do tyłu, ręce miała wciąż splecione na kolanach.

Blask w jej oczach osłabł i Johnny już wiedział, co zaraz nastąpi. Matka wyciągnęła rękę w jego stronę, ale stał za daleko, by mogła go dotknąć.

– On nas opuścił, Johnny. To nie twoja wina.

Zaczęła podnosić się z miejsca. Jej zaciśnięte usta złagodniały, a na twarzy odmalował się wyraz bolesnego zrozumienia, jedna z tych min, jakimi dorośli obdarzają dzieci, które nie do końca pojmują, jakimi prawami rządzi się świat. Ale Johnny to pojmował. Znał tę minę i nie cierpiał jej.

– Nie powinnaś była nigdy mówić tych rzeczy, które powiedziałaś.

– Johnny...

– To nie jego wina, że została porwana. Nie powinnaś była nigdy mu tego mówić. – Matka zrobiła krok w jego stronę, ale chłopiec zignorował ten gest. – On odszedł przez ciebie.

Kobieta zatrzymała się w pół kroku. Grymas wyrażający współczucie znikł z jej ust.

– To była jego wina. – Jej słowa przypominały odgłos kruszonego lodu.

– To on zawinił i nikt inny. Teraz ona przepadła, a mnie nie zostało nic.

Johnny poczuł, że zaczynają drzeć mu łydki. Po kilku sekundach cały dygotał. To była stara kłótnia, która oddalała ich od siebie.

– Zawsze bierzesz jego stronę – rzuciła matka, odwracając się w stronę domu.

Weszła do środka, jakby chciała uciec przed światem, byle dalej od miejsca, jakie zajmowało w tym świecie jej ostatnie dziecko.

Johnny spojrzał na wyblakłe drzwi, a potem na własne dłonie. Patrzył, jak się trzęsą, i starał się stłumić emocje. Znowu usiadł i przyglądał się, jak wiatr niesie tumany kurzu na poboczu drogi. Rozmyślając o słowach matki, uniósł wzrok w stronę wzgórza. Nie wyglądało ładnie. Postrzępioną linię lasu znaczyły małe domki, gruntowe trakty i druty telefoniczne, które zwisały luźno między słupami, odcinając się wyraźnie na tle porannego nieba. Nie było w tym wzgórzu nic wyjątkowego, ale Johnny obserwował je przez długi czas. Dopiero kiedy zaczął boleć go kark, wrócił do domu, żeby zobaczyć, co robi matka.

Rozdział 2

Drzwi do pokoju matki były zamknięte, a na blacie w łazience stała otwarta buteleczka vicodinu. Johnny nacisnął klamkę i zajrzał do mrocznego wnętrza, by zobaczyć, że matka leży nieruchomo w pościeli. Słyszał jej chrapliwy oddech, który był jedynym dźwiękiem rozpraszającym głęboką i absolutną ciszę. Zamknął drzwi i udał się do swojego pokoju.

Skórzana walizka leżąca pod łóżkiem miała spękaną powierzchnię, a jej okucia pokryły się czarnym nalotem. Jeden ze skórzanych pasków był oderwany, ale Johnny go nie wyrzucił, ponieważ walizka należała kiedyś do jego prapradziadka. Duża i płaska, miała wyblakły monogram, który dało się zobaczyć, jedynie patrząc pod odpowiednim kątem. Składał się on z liter JPM, inicjałów Johna Pendletona Merrimona, imiennika chłopca.

Johnny wyciągnął walizkę, położył ją na łóżku i odpiął jedyny pasek. Podniósł wieko – odskoczyło niezgrabnie i oparło się o ścianę. Na jego wewnętrznej stronie było przyklejonych kilkanaście fotografii, które tworzyły spójną kompozycję. Większość z nich przedstawiała jego siostrę, ale na dwóch byli obydwój i wyglądali jak bliźniaki, uśmiechając się identycznie. Przelotnie musnął palcami jedno ze zdjęć i przeniósł wzrok na inne, na których widniał jego ojciec. Spencer Merrimon był postawnym mężczyzną o równych zębach, które szczyrzył w beztroskim uśmiechu. Miał szorstkie dłonie budowlańca i tę spokojną pewność siebie, dzięki której Johnny czuł się szczęśliwy, że jest jego synem. Ojciec nauczył go tylu rzeczy – jak prowadzić samochód, jak trzymać głowę wysoko i jak podejmować słuszne decyzje. Wyjaśnił mu zasady kierujące światem i powiedział, w czym należy pokładać wiarę – w rodzinie, w Bogu, w społeczeństwie. To od ojca Johnny dowiadywał się, co to znaczy być mężczyzną.

I tak aż do samego końca, kiedy jego ojciec odszedł.

Teraz musiał wszystko to podważyć, wszystko to, co chłonał z takim

przekonaniem. Bóg nie przejmował się ludźmi pogrążonymi w cierpieniu. Nie tymi maluczkimi. Nie istniało coś takiego, jak sprawiedliwość, zasłużona kara czy wspólnota. Bliźni nie pomagali sobie nawzajem, a cisi nie mieli wcale posiadać ziemi. Wszystko to była bujda. Kościół, policja, jego matka – nikt z nich nie potrafił tego zmienić, nikt nie miał takiej mocy. W ciągu ostatniego roku Johnny doświadczył nowej brutalnej prawdy, że jest zdany wyłącznie na siebie.

Nie miał jednak innego wyjścia. To, co do niedawna było granitem, następnego dnia obróciło się w piach, siła okazała się iluzją, wiara była gównem warta. Cóż zatem? Jego niegdyś promienny świat spowiła zimna i wilgotna mgła. Takie było życie, taki był jego nowy porządek. Johnny mógł ufać tylko sobie, i właśnie tak postępował – podążał własną drogą, podejmował własne decyzje i nie oglądał się wstecz.

Wpatrywał się uważnie w zdjęcia ojca. Na jednym siedział za kierownicą półciężarówki w okularach przeciwsłonecznych i uśmiechał się, na drugim stał na szczycie dachu, a pas z narzędziami zwisał przekrzywiony na jego biodrach. Jego masywna szczeka, szerokie ramiona i gęste bokobrody emanowały siłą. Johnny szukał jakiegoś podobieństwa w swoim własnym wyglądzie, ale był zbyt delikatny, miał zbyt gładką skórę. Johnny nie wyglądał na silnego, ale tylko na pozór.

Był silny. Powtarzał sobie: „Będę silny”.

Cała reszta była trudniejsza do przyjęcia, więc tego nie robił. Ignorował cichy głos dobiegający z głębi jego umysłu, głos dziecka. Zacisnął zęby i po raz ostatni dotknął zdjęć, potem zamknął oczy, a gdy je otworzył, opuściło go to uczucie. Już nie był samotny.

Wewnątrz walizki znajdowały się wszystkie te rzeczy, za którymi Alyssa mogłaby najbardziej tęsknić, których mogłaby potrzebować, kiedy wróci do domu. Chłopiec zaczął je wyciągać. Jej pamiętnik, do którego nie zaglądał, dwie pluszowe maskotki, które miała od zawsze, trzy albumy ze zdjęciami, pamiątkowe roczniki szkolne, płyty z ulubioną muzyką i małą szkatułkę z liścikami, które puszczała w obieg na lekcjach i przechowywała jak skarby.

Niejedną raz matka pytała go, co trzyma w tej walizce, ale wiedział, że nie powinien jej mówić. Gdyby zmieszała nieodpowiednie tabletki, wszystko mogłoby się zdarzyć. Mogłaby wszystko wyrzucić albo spalić,

stać jak zombie albo krzyczeć, jak bardzo bolą wspomnienia. To właśnie się stało z innymi zdjęciami ojca i z najświętszymi drobiazgami, które kiedyś wypełniały pokój jego siostry. Rozpłynęły się w mroku nocy albo pochłonęły je burze, które miały jego matką.

Na dnie walizki leżał zielony skoroszyt. Wewnątrz znajdował się cienki plik map i duża fotografia Alyssy. Johnny odsunął ją na bok i rozłożył mapy. Jedna z nich była w dużej skali i obejmowała obszar hrabstwa, który wrzynał się we wschodnią część Karoliny Północnej. Miejsce to oddalone o godzinę jazdy od Raleigh i może godzinę od wybrzeża pokrywały po części piaszczyste wzgórza, po części wyżyny i tereny zalewowe. Północ hrabstwa zajmowały dzikie lasy i bagna, a wśród nich ciągnęło się długie na pięćdziesiąt kilometrów pasmo granitowych skał, gdzie poszukiwano kiedyś złota. Płynąca od północy rzeka przecinała hrabstwo, omijając miasto w odległości kilku kilometrów. Ziemie po zachodniej stronie były ciemne, idealne pod winnice i pola uprawne, z kolei piaszczyste wzgórza na wschodnim brzegu szczyły się ekskluzywnymi polami golfowymi, ale za nimi rozciągała się długa linia małych ubogich miasteczek, które z trudem egzystowały. Johnny przejeżdżał przez niektóre z nich i zapamiętał kępy zielska rosnące w rynsztokach, zamknięte na głucho fabryki i sklepy monopolowe otoczone przez mężczyzn, którzy siedzieli w cieniu i popijali z butelek schowanych w brązowych papierowych torbach. Osiemdziesiąt kilometrów za ostatnim z tych podupadłych miast leżało Wilmington i Ocean Atlantycki. Karolina Południowa była obcym i nieznanym krajem poza krawędzią mapy.

Johnny złożył dużą mapę i schował ją z powrotem do teczki. Pozostałe mapy przedstawiały ulice miasta. Kilka z nich było zamalowanych na czerwono, a przy poszczególnych adresach widniały małe krzyżyki. Marginesy pokrywały odręczne notatki. Niektóre dzielnice pozostawały jeszcze nietknięte, inne były całkowicie wykreślone. Johnny spojrzał na plan zachodniej strony miasta, zastanawiając się, o którym jej rejonie mówił Jack. Postanowił go o to zapytać. Później.

Studiował plan jeszcze przez kilka sekund, a następnie poskładał go i odłożył na bok. Rzeczy Alyssy wylądowały z powrotem w walizce, a walizka wróciła pod łóżko. Johnny wziął duże zdjęcie siostry, a do tylnej

kieszzeni spodni schował czerwony długopis.

Wyszedł już na ganek i zamierzał przekręcić klucz w zamku frontowych drzwi, gdy na podjazd wtoczył się van. Na jego masce lakier łuszczył się i odchodził nierównymi płatami, a prawy przedni błotnik był wgięty i przeżarty rdzą. Samochód zatrząsał się cały, wchodząc w ostry zakręt i Johnny'ego ogarnęło coś w rodzaju osłupienia. Odwrócił się, zrolował plan i wsunął go do tej samej kieszeni, w której miał długopis. Zdjęcie trzymał ostrożnie w ręku, aby go nie pogiąć. Kiedy van się zatrzymał, Johnny zauważył, że w środku zamigotało coś niebieskiego. Po chwili szyba w drzwiach zjechała w dół. Twarz we wnętrzu była nienaturalnie blada i nalana.

– Wsiadaj – odezwał się kierowca.

Johnny zszedł z ganku i przeciął niewielki skrawek ziemi porośnięty trawą i zielskiem. Zanim dotarł na skraj podjazdu, zatrzymał się.

– Co ty tu robisz, Steve?

– Wujku Steve.

– Nie jesteś moim wujkiem.

Drzwi samochodu otworzyły się ze skrzypieniem i wysiadł z niego mężczyzna w niebieskim uniformie ze złotą naszywką na prawym ramieniu. Nosił czarny ciężki pas.

– Jestem kuzynem twojego ojca, a to wystarczy. Zresztą zawsze nazywałeś mnie wujkiem.

– Wujek to rodzina, a to oznacza, że powinniśmy sobie nawzajem pomagać. Nie widzieliśmy cię od sześciu tygodni, a wcześniej nie pokazywałeś się przez miesiąc. Gdzie byłeś przez ten czas?

Steve zatknął kciuki za pas, aż zatrzeszczała naprężona skóra.

– Twoja mama zadaje się teraz z bogatymi facetami, Johnny. Nieźle się ustawiła. – Steve machnął ręką. – Chata za darmo. Nie trzeba pracować. Cholera, synu, cokolwiek bym dla niej zrobił, jej chłopaka stać na tysiąc razy więcej. Jest właścicielem galerii handlowej i paru kin. Na miłość boską, on trzyma w garści pół tego miasta. Tacy jak ja nie powinni wchodzić mu w drogę.

– Wchodzić mu w drogę? – W głosie Johnny'ego zabrzmiała nuta niedowierzania.

– To nie tak, że...

– Boisz się go – stwierdził Johnny z niesmakiem.

– On podpisuje moje czeki. Moje i czterystu innych ludzi. I jeżeli krzywdzi twoją mamę albo coś w tym rodzaju, to jedno. Ale jej pomaga, prawda? Nie ma więc potrzeby, żebym się wtrącał. Twój ojciec by to zrozumiał.

Johnny odwrócił wzrok.

– Nie spóźnisz się do tej swojej pracy w galerii?

– Już jestem spóźniony. Wsiadaj.

Johnny ani drgnął.

– Po co tu przyjechałeś, wujku Steve?

– Dzwoniła do mnie twoja mama i zapytała, czy mógłbym cię podrzucić do szkoły. Powiedziała, że uciekł ci autobus.

– Nie wybieram się do szkoły.

– Owszem, wybierasz się.

– Nie.

– Jezu, Johnny. Dlaczego musisz wszystko tak cholernie utrudniać? Wsiadaj do auta.

– Czemu po prostu jej nie powiesz, że pojechałem z tobą?

– Obiecałem, że cię zawiozę do szkoły, więc to zrobię. Nie ruszę się stąd, dopóki nie wsiądziesz, i zabiorę cię siłą, jeżeli będę musiał.

– Nie jesteś gliną, Steve. – Johnny cedził słowa. – Jesteś zwykłym ochroniarzem. Nie możesz mnie do niczego zmusić.

– Pieprzyć to – warknął Steve. – Czekaj tutaj.

Odepchnął chłopca na bok i ruszył w stronę domu. Gdy szedł, podzwaniały małe metalowe sprzączki przy jego pasie, a nogawki sztywnego uniformu wydawały szeleszczący odgłos, ocierając się o siebie.

– Co robisz?

– Porozmawiam z twoją matką.

– Ona śpi – oznajmił Johnny.

– To ją obudzę. A ty nigdzie się stąd nie ruszaj. Nie żartuję.

Po chwili Steve znikł we wnętrzu małego domu, które pachniało rozlanym alkoholem i tanim środkiem do czyszczenia. Kiedy drzwi się za nim zatrzasnęły, Johnny spojrzał na swój rower. Mógłby na niego wsiąść i odjechać, zanim wuj Steve zdążyłby wrócić, ale pomyślał, że człowiek silny tak nie postępuje. Wyciągnął więc plan z kieszeni i rozprostował go,

przyciskając do piersi. Głęboko odetchnął i wszedł do domu, aby stawić czoła problemowi. Drzwi do pokoju matki były szeroko otwarte, a Steve stał nieruchomo w progu. Johnny przyglądał mu się przez moment, lecz Steve ani się nie poruszał, ani nic nie mówił. Chłopiec podszedł bliżej i z tego miejsca był w stanie dojrzeć mały skrawek pokoju matki, która wciąż spała rozciągnięta na wznak i zakrywała oczy ręką. Pościel zsunęła się, odsłaniając ją od pasa w górę i wtedy Johnny spostrzegł, że jest naga. Tymczasem Steve stał na wprost niej i gapił się. Wtedy Johnny wszystko zrozumiał.

– Co jest, do cholery, Steve?

Wuj Steve wzdrygnął się jak ktoś przyłapany na gorącym uczynku. Uniósł dłonie z szeroko rozłożonymi palcami.

– To nie tak, jak myślisz.

Ale Johnny go nie słuchał. Szybko podszedł do drzwi i zatrzaskał je. Matka ani drgnęła. Zasłonił sobą wejście do pokoju i czuł, że jego oczy miotają płomienie.

– Jesteś nienormalny, Steve. To moja matka. – Potoczył wzrokiem dookoła, jakby rozglądał się za jakimś kijem, ale w pobliżu nie było niczego takiego. – Co ci odwaliło?

Wuj Steve patrzył na niego z wyrazem niebywalej desperacji w oczach.

– Ja tylko otworzyłem drzwi. Nie zrobiłem tego specjalnie. Klnę się na Boga, Johnny, ja nie jestem taki.

Jego twarz zalśniła od tłustego potu. Był tak przerażony, że aż budził litość. Johnny miał ochotę kopnąć go w krocze, przewrócić na ziemię, a potem przynieść rurkę z za łóżka i stłuc mu jaja na miazgę. Pomyślał jednak o zdjęciu Alyssy i o rzeczach, które miał jeszcze do zrobienia. I o tym, czego nauczył się w ciągu ostatniego roku. A nauczył się panować nad emocjami. Jego głos był chłodny i opanowany. Miał zadanie do wykonania, a Steve mógł mu w tym pomóc. Pokiwał głową i postąpił krok do przodu.

– Powiesz jej, że odwiozłeś mnie do szkoły – oświadczył. – Jeśli będzie cię pytać, właśnie to jej powiesz.

– A ty się nie wygadasz?

– Nie, jeżeli zrobisz to, co ci każe.

– Obiecujesz?

– Idź już, wujku Steve. Idź do pracy.

Steve prześliznął się do wyjścia, wciąż trzymając dłonie w górze.

– Naprawdę nie zrobiłem tego specjalnie.

Johnny nie miał jednak nic więcej do dodania. Zamknął za nim drzwi i rozłożył plan na kuchennym blacie. Trzymając czerwony długopis między palcami, wygładził dłonią pomarszczony papier i zatrzymał ją na dzielnicy, w której działał przez ostatnie trzy tygodnie.

Na chybił trafił wybrał ulicę.

Rozdział 3

Detektyw Hunt siedział w swoim ciasnym biurze przy zagraconym stole. Stały na nim brudne kubki po kawie, walały się notatki, których nigdy nie czytał. Na regałach i nieużywanych krzesłach piętrzyły się sterty akt. Było za kwadrans dziesiąta. Wokół panował bałagan, ale jemu brakowało energii, aby się z nim uporać. Potarł dłońmi twarz, uciskając mocno oczy, aż pod powiekami zamigotały mu białe iskry i promienie. Czuł pod palcami szorstką, nieogoloną twarz i zdawał sobie sprawę, że wygląda dokładnie na swoje czterdzieści jeden lat. Tak bardzo stracił na wadze, że wszystkie marynarki zwisały luźno z jego ramion. Siłowni ani strzelnicy nie odwiedzał od sześciu miesięcy. Rzadko zdarzało mu się zjeść coś więcej niż jeden posiłek dziennie.

Przed sobą rozłożył skoroszyt z aktami Alyssy Merrimon. Ich wielokrotnie przeglądane kopie trzymał pod kluczem w szufladzie swego domowego biurka. Metodycznie przerzucał kartki, czytając każde słowo – raporty, przesłuchania, notatki. Alyssa spoglądała na niego z powiększonej odbitki szkolnej fotografii. Miała czarne włosy, jak jej brat, taką samą budowę ciała i ciemne oczy. Była w niej lekkość, którą odziedziczyła po matce, i coś niezwykłego, co Hunt wiele razy bezskutecznie próbował nazwać. Może chodziło o kształt jej oczu? Może o przylegające do czaszki uszy i porcelanową cerę? Niewinność? Do tego zdjęcia Hunt powracał najczęściej. Dziewczynka wyglądała na nim, jak gdyby w jej głowie nigdy nie zagościła nieczysta myśl, jakby nie zrobiła niczego złego w całym swoim życiu.

Jej matka i brat do pewnego stopnia sprawiali podobne wrażenie, ale żadne z nich nie miało w sobie tego co ona.

Hunt jeszcze raz potarł twarz.

Za bardzo się angażował, wiedział o tym, ale ta sprawa wciągnęła go tak mocno. Wystarczył rzut oka na biuro, by zobaczyć, jak głęboko dał się jej pochłonać. Były inne sprawy, którymi powinien się zająć. Inni ludzie.

Prawdziwi ludzie, którzy cierpieli tak samo jak Merrimonowie, ale ta sprawa przyćmiewała wszystkie inne i nie wiedział, czemu tak się działo. Ta dziewczynka zdołała nawet przedostać się do jego snów. Miała na sobie to samo ubranie co w dniu zaginięcia – jasnożółte szorty i biały podkoszulek. W tym śnie miała bladą cerę, krótkie włosy i na oko ważyła koło trzydziestu pięciu kilo. Wszystko rozgrywało się w gorący wiosenny dzień, bez żadnego wstępu. Sen zaczynał się nagle, jak wystrzał z armaty, i rozkwitał pełnią dźwięków i barw. Coś wciągało ją w mrok roztaczający się pod drzewami i wlokło po nagrzanym przegniłym liściach. Wyciągała ku niemu rękę, a w jej otwartych ustach widniały oślepiająco białe zęby. Rzucił się, aby pochwycić jej dłoń, ale nie zdążył i słyszał tylko jej krzyk, gdy jakieś długie macki porywały ją w głąb nieprzeniknionej czerni.

Potem budził się zły z potem i z wyciągniętymi rękami, jakby rozgarniał nimi zwały liści. Sen nawiedzał go dwa albo trzy razy w tygodniu i zawsze miał taką samą treść. Kiedyś zwał się z łóżka przed trzecią, rozdygotany i całkiem już wybudzony. Spryskał twarz zimną wodą i długo patrzył w lustro na odbicie przekrwionych oczu, zanim zszedł na dół, by znów przewertować akta i tak doczekać do rana, gdy obudzi się jego syn, a dzień pokryje swoimi mackami jego skórę.

Ten sen stał się jego osobistym piekłem, a przeglądanie akt nabożnym rytuałem, i wszystko to pożerało go żywcem.

– Dzień dobry.

Hunt wzdrygnął się i podniósł wzrok. W drzwiach stał John Yoakum, jego partner i przyjaciel.

– Dzień dobry, John.

Sześćdziesięcioletni Yoakum miał przerzedzone brązowe włosy i hiszpańską bródkę, w której połyskiwały nitki siwizny. Był chudy, ale bardzo wysportowany, niebezpiecznie inteligentny i cyniczny do bólu. Przez cztery lata rozpracowali wspólnie dwanaście poważnych spraw i Hunt polubił tego faceta. Był to człowiek zamknięty w sobie i przemądrzały, ale jak mało kto znał się na robocie, która do łatwych nie należała. Pracował całymimi godzinami, jeżeli zachodziła taka konieczność, troszczył się o swojego partnera, i chociaż był trochę skryty i ponury, Huntowi to nie przeszkadzało.

– Chciałbym przeżyć taką noc, po której człowiek wygląda tak jak ty. –

Yoakum pokręcił głową.

– Nie. Nie chciałbyś.

Uśmiech znikł z twarzy Yoakuma, kiedy zaczął mówić.

– Wiem, Clyde. Tylko żartowałem. – Uniósł rękę, wskazując za siebie. – Mam tu zgłoszenie, które może cię zainteresować.

– A to czemu?

– Bo dotyczy Johnny’ego Merrimona.

– Poważnie?

– Jakaś kobieta chciała rozmawiać z policjantem. Powiedziałem jej, że jestem tu dziś jedynym prawdziwym gliną. Emocjonalne wraki, mówię, owszem, dysponujemy jednym takim. Obsesyjny maniak, który z wyglądu przypomina gliniarza. Powiedziała, że taki też może być. W zasadzie potrzebuje obydwu. Równocześnie.

– Na której linii, mądralo?

Yoakum odsłonił w uśmiechu piękne porcelanowe zęby.

– Na trzeciej – powiedział i oddalił się dumnym krokiem.

Hunt podniósł słuchawkę i nacisnął migający guzik linii trzeciej.

– Detektyw Hunt z tej strony.

Z początku w słuchawce panowała cisza, potem rozległ się kobiecy głos. Należał do starszej osoby.

– Detektyw? Nie wiedziałam, że potrzebuję aż detektywa. To nic poważnego, naprawdę. Po prostu pomyślałam, że ktoś powinien o tym wiedzieć.

– Nic nie szkodzi. Czy mogę poznać pani nazwisko?

– Louisa Sparrow.

– W czym problem, pani Sparrow?

– Chodzi o tego nieszczęsnego chłopca. Wie pan, tego, co stracił siostrę.

– Johnny’ego Merrimona.

– Właśnie tego. Biedaczek... – Zamilkła na moment, potem jej głos przybrał na sile. – Był właśnie w moim domu... Przed momentem.

– Ze zdjęciem swojej siostry – przerwał jej Hunt.

– Skąd pan wie?

Hunt zignorował jej pytanie.

– Czy mogę prosić o pani adres?

– Ale on niczego nie przeszkrobał, prawda? Wiem, że swoje przeszedł.

Chodziło mi tylko o to, że powinien być teraz w szkole i że to wszystko jest takie przykre, patrzeć na jej zdjęcie, kiedy on jest do niej taki podobny, jakby nie podrósł ani trochę, i te pytania, które mi zadawał, jakbym miała z tym coś wspólnego.

Detektyw Hunt pomyślał o tym drobnym chłopcu, na którego natknął się w sklepie spożywczym.

– Pani Sparrow...

– Tak?

– Naprawdę potrzebny mi pani adres.

Hunt znalazł Johnny'ego Merrimona jedną przecznicę od domu Louise Sparrow. Chłopiec siedział na krawężniku, opierając skrzyżowane nogi na wlocie kanału ściekowego. Na jego podkoszulku widniały plamy potu, a do czoła kleiły mu się kosmyki wilgotnych włosów. Zdezelowany rower leżał tam, gdzie go porzucił, w połowie na czyimś trawniku. Obgryzając końcówkę długopisu, Johnny pochylał się nad planem, który okrywał jego nogi niczym koc. Z głębokiego skupienia wyrwało go dopiero trzaśnięcie drzwi samochodu. Chłopiec momentalnie wzdrygnął się jak spłoszone zwierzę, ale potem znieruchomiał. Hunt zobaczył w jego wzroku wyraz zaskoczenia, determinację i jeszcze coś w głębi. Akceptację. A potem jakiś chytry przebłysk.

Jego oczy oceniały dystans, jakby zamierzał wskoczyć na rower i próbować uciec. Zaryzykował spojrzenie w stronę pobliskiego lasu, ale Hunt zdążył już podejść całkiem blisko.

– Witam, detektywie – mruknął z rezygnacją i zgarbił się.

Hunt zdjął okulary przeciwsłoneczne. Jego cień padł na stopy siedzącego.

– Cześć, Johnny.

Chłopiec zaczął zwijać plan.

– Wiem, co pan powie, więc nie musi pan już tego mówić.

– Mogę zobaczyć ten plan? – Hunt wyciągnął rękę w jego stronę.

Johnny znieruchomiał, a na jego oblicze powrócił wyraz zaszczutego zwierzęcia. Spojrzał w dół długiej ulicy, a potem na plan.

– Widzisz, słyszałem wiele o tym planie, choć z początku nie chciało mi się wierzyć – kontynuował Hunt, nie odrywając wzroku od chłopca. – Ile

to już razy, Johnny? Ile razy ci o tym mówiłem? Cztery? Pięć?

– Siedem. – Chłopiec ledwie mógł wydobyć z siebie głos. Zaciśnięte na planie palce pobielały z wysiłku.

– Oddam ci go.

Johnny podniósł wzrok. Jego czarne oczy połyskiwały i nie było w nich już tej chytryści. Był dzieckiem. Wystraszonym dzieckiem. Wyglądał tak krucho.

– Słowo?

– Słowo, Johnny.

Chłopiec wyciągnął rękę i palce Hunta zacisnęły się na planie. Papier był miękki od częstego używania i poprzecierany na zgięciach. Hunt usiadł na krawężniku obok chłopca i rozpostarł plan w rękach. Na białej powierzchni sporych rozmiarów płachty widniały znaki naniesione czerwonym tuszem. Był to plan katastralny z wykazem nazwisk i odpowiadającymi im adresami. Obejmował tylko część miasta, może około tysiąca posesji. Mniej więcej połowa z nich była przekreślona na czerwono.

– Skąd to wzięłeś?

– Z ewidencji gruntów. Nie są drogie.

– Masz je wszystkie? Z całego hrabstwa? – zapytał Hunt, a chłopiec pokiwał głową. – A te czerwone krzyżyki?

– To domy, w których byłem. Ludzie, z którymi rozmawiałem.

Hunt oniemiał z wrażenia. Nie potrafił sobie wyobrazić przeznaczonych na to godzin, drogi przejechanej na tym rozklekotanym rowerze.

– A te gwiazdki?

– Tam mieszkają samotni mężczyźni. Ci, którzy wydali mi się podejrzani.

Hunt złożył plan i wręczył go z powrotem Johnny'emu.

– Na innych planach też masz takie znaki?

– Na niektórych.

– Musisz z tym skończyć.

– Ale...

– Nie, Johnny, musisz z tym skończyć. Ci ludzie to osoby prywatne. Otrzymujemy skargi.

Johnny wstał z krawężnika.

– Wagarujesz, synu. Powinieneś być teraz w szkole. A poza tym to niebezpieczne. Nigdy nie wiesz, kto mieszka w tych domach. – Hunt pstryknął palcem w plan i chłopiec przyciągnął go do siebie. – Nie mogę dopuścić, aby zaginęło kolejne dziecko.

– Potrafię zadbać o siebie.

– Taaa, już mi to mówiłeś dziś rano.

Johnny odwrócił wzrok, a Hunt obserwował linię jego delikatnej szczęki i mięśnie, które przeżyły się pod napiętą skórą. Zauważył niewielkie piórko przyczepione do rzemyka, który otaczał szyję chłopca. Wskazał na nie palcem.

– Co to takiego? – zagadnął, próbując poprawić nastrój.

Dłoń chłopca powędrowała w stronę szyi. Szybkim ruchem wsunął pióro z powrotem za podkoszulek.

– To na szczęście.

Hunt dostrzegł, że palce Johnny'ego zbieleły. Zwrócił uwagę, że do roweru przymocowane jest inne pióro, większe i prawie całe w brązowym kolorze.

– A tamto? – Znow wyciągnął palec. – To pióro jastrzębia? Czy sowy?

Chłopiec milczał, a jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

– To też na szczęście?

– Nie – odparł Johnny, a jego spojrzenie powędrowało gdzieś w dal. – To co innego.

– Johnny...

– Oglądał pan wiadomości w zeszłym tygodniu? Kiedy znaleźli tę dziewczynkę, która została uprowadzona w Kolorado? Zna pan ten przypadek?

– Znam ten przypadek.

– Przepadła rok temu i znaleźli ją trzy przecznice od jej własnego domu. Cały czas była nie dalej jak półtora kilometra stamtąd. Półtora kilometra od swojej rodziny, uwięziona w jakiejś piwnicy z wiadrem i materacem.

– Johnny...

– Pokazywali zdjęcia w wiadomościach. Wiadro, świeczka, brudny materac w jamie wysokiej na metr dwadzieścia. Ale ją znaleźli.

– To zupełnie inna sprawa.

– Zawsze jest tak samo. – Johnny odwrócił się w stronę Hunta. Jego

oczy jeszcze bardziej pociemniały. – To sąsiad albo przyjaciel, ktoś, kogo dziecko zna i codziennie przechodziło obok jego domu. I kiedy je znajdują, zawsze jest blisko. Nawet jeżeli nie żyje, jest blisko.

– To nie reguła.

– Ale czasem tak jest.

Hunt również się podniósł.

– Czasem. – Jego głos zabrzmiał łagodniej.

– To, że pan odpuścił, wcale nie oznacza, że ja też muszę.

Patrząc na chłopca i jego rozpaczliwą determinację, Hunt poczuł wielki smutek. Był najlepszy w wydziale kryminalnym i dlatego powierzono mu prowadzenie sprawy zaginięcia Alyssy. Pracował ciężiej niż inni gliniarze, aby to nieszczęsne dziecko mogło wrócić do domu. Mijały miesiące, a on tracił kontakt ze swoją rodziną, aż w końcu jego żona odeszła od niego przepełniona rozpaczą i bezsilną wściekłością. I co zyskał? Alyssa przepadła bez śladu i musiałyby im dopisać szczęście, aby odnaleźli przynajmniej jej szczątki. To, co wydarzyło się w Kolorado, nie miało żadnego znaczenia. Hunt znał statystyki. Większość uprowadzonych nie żyła już pod koniec pierwszego dnia. Niczego to jednak nie ułatwiało. Tak czy inaczej chciał ją odnaleźć.

– Ta sprawa wciąż jest otwarta, Johnny. Nikt nie odpuścił.

Chłopiec podniósł rower z ziemi, po czym złożył plan i wsunął go do tylnej kieszeni spodni.

– Czas już na mnie.

Dłoń detektywa Hunta spoczęła na kierownicy roweru. Na rozgrzanym od słońca metalu poczuł chropowate drobinki rdzy.

– Dałem ci już dużo luzu. Nie mogę więcej. To musi się skończyć.

Johnny pociągnął rower, ale nie był w stanie go wyrwać.

– Umiem o siebie zadbać.

Hunt nigdy dotąd nie słyszał, by chłopiec mówił tak głośno.

– I właśnie w tym cała rzecz, Johnny. To nie twoje zadanie, byś o siebie dbał. To obowiązek twojej matki, a szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy ona potrafi zatroszczyć się o siebie, a co dopiero o trzynastoletniego chłopca.

– Może panu się wydawać, że tak jest, ale o niczym nie ma pan pojęcia.

Przez długą chwilę detektyw patrzył mu w oczy i widział w nich, jak

zaciekłość zamienia się w przerażenie. Uświadomił sobie, jak bardzo ten dzieciak potrzebuje nadziei. Jednak świat nie obchodził się łagodnie z takimi dziećmi, a Hunt nie mógł już nic więcej dać Johnny'emu Merrimonowi.

– Gdybyś teraz podniósł koszulkę, ile siniaków bym naliczył?

– Umiem o sobie zadbać.

Johnny wypowiedział te słowa beznamiętnym i słabym głosem, więc Hunt również obniżył ton.

– Nie będę w stanie nic zrobić, jeżeli ze mną nie porozmawiasz.

Chłopak wyprostował się i puścił rower.

– Pójdę na piechotę – oświadczył i obrócił się na pięcie.

– Johnny.

Chłopiec nadal szedł.

– Johnny!

Gdy przystanął, Hunt podszedł do niego, prowadząc rower. W obracających się kołach klekotały szprychy. Johnny chwycił za kierownicę, gdy policjant stanął obok niego.

– Masz jeszcze moją wizytówkę?

Chłopiec przytaknął skinieniem głowy i Hunt wydał z siebie przeciągłe westchnienie. Nie potrafił do końca pojąć więzi, która łączyła go z tym chłopcem, nawet samemu sobie nie potrafił tego wytłumaczyć. Może dostrzegął coś w tym dzieciaku, może przeżywał jego cierpienie bardziej, niż powinien.

– Miej ją przy sobie, dobrze? I dzwoń do mnie czasem.

Johnny nic nie odpowiedział.

– Pojedziesz teraz do szkoły? – zapytał Hunt, ale odpowiedziało mu milczenie.

Spojrzał na przejrzyste błękitne niebo, a potem na chłopca, jego czarne wilgotne włosy i zaciśniętą szczękę.

– Uważaj na siebie, Johnny.

Rozdział 4

Ludzie nie byli w porządku. Pod tym względem gliniarz miał rację. Johnny nie liczył już nawet, nad iloma płotami i w ile okien zaglądał. Pukał do drzwi o różnych porach i widział rzeczy, które nie były normalne. Rzeczy, które ludzie robili, myśląc, że są sami i nikt ich nie obserwuje. Widział, jak dzieciaki wciągają prochy i jak starsi ludzie wkładają do ust jedzenie, które spadło na podłogę. Widział raz pastora, jak ubrany w samą bieliznę i z wypiekami na twarzy krzyczał na swoją żonę, która płakała. To było obrzydliwe. Ale Johnny nie był idiotą. Wiedział, że szaleniec może wyglądać jak każdy inny. Dlatego nie pakował się w tarapaty. Był zawsze czujny i nosił nóż w kieszeni.

Był ostrożny. I przebiegły.

Obejrzał się za siebie, dopiero kiedy minął drugą przecznicę. Zobaczył wtedy detektywa Hunta, który nadal stał przy drodze i z takiej odległości wyglądał jak kolorowa plamka na tle ciemnego samochodu i zielonej trawy. Nie ruszał się, ale po chwili uniósł jedną rękę i pomachał do niego. Johnny przyspieszył i patrzył już tylko przed siebie.

Ten gliniarz wzbudzał w nim strach. Chłopiec zastanawiał się, skąd on wie wszystkie te rzeczy.

Pięć. Ta liczba tłukła się w jego głowie. Pięć siniaków.

Nacisnął mocniej pedały i przebierał nogami, aż mokry od potu podkoszulek przylgnął do jego pleców niczym druga skóra. Kierował się w stronę północnej granicy miasta, gdzie rzeka przeciskała się pod mostem i rozlewała tak szerokim korytem, że jej prąd słabł. Zjechał ze skarpy nad sam brzeg i rzucił rower na ziemię. Krew huczała mu w uszach, a na języku czuł słony smak. Pot szczypał go w oczy, więc otarł je brudnym rękawem. Kiedyś przychodził tu z ojcem na ryby. Wiedział, gdzie można złowić okonie i potężne sumy, które zagrzebywały się w mule na półtora metra, ale teraz nie miało to znaczenia. Potem nigdy już nie łowił ryb, ale nadal tu przychodził.

Nadal było to jego miejsce.

Usiadł na ziemi i rozwiązał sznurowadła. Drżały mu palce, ale wiedział, dlaczego tak się dzieje. Zsunął buty i dotknął piórką policzka, po czym schował je z powrotem za podkoszulek. Słońce wściekle przypiekało jego skórę, kiedy przyglądał się swoim siniakom, z których największy miał rozmiar i kształt kolana rosłego mężczyzny. Rozlewał się na jego żebrach po lewej stronie tułowia i chłopiec przypomniał sobie, jak Ken przyciskał go kolaniem do ziemi, napierając całym swoim ciałem, ilekroć próbował się wyrwać.

Johnny skulił ramiona i próbował zapomnieć o kolanie na swej piersi, o palcach na twarzy.

Będziesz, kurwa, robił to, co ci, kurwa, każe...

Otwarta dłoń uderza w policzek, najpierw z jednej, potem z drugiej strony. Matka leży nieprzytomna w swoim pokoju.

Ty mały gnojku...

Kolejne uderzenie, tym razem mocniejsze.

I gdzie jest teraz twój tatuś?

Siniak zrobił się żółty na brzegach i pozieleniał w środku. Bolało, kiedy uciskał palcem w tym miejscu. Przez sekundę na skórze bielił się idealny owal, lecz potem znów zalewały go kolory. Johnny jeszcze raz otarł pot z oczu i potknął się, idąc w stronę rzeki. Wszedł do wody, a muliste dno precyzyjnie się między palcami jego stóp. Kiedy zanurkował, zamknęła się nad nim ciepła toń, otuliła go, ukryła przed całym światem i bez trudu poniosła w dół rzeki.

Johnny spędził nad rzeką dwie godziny. Za bardzo przejął się rozmową z detektywem Huntem, by ryzykować dalsze poszukiwania. Co do szkoły, to miał zbyt sprzeczne uczucia, by uznać, że warto poświęcać na nią czas. Pływał tam i z powrotem w poprzek rzeki i nurkował, skacząc z płaskich, rozpalonych od słońca kamieni. Wiatr muskał powierzchnię wody, a na brzegach srebrzyły się gałęzie, które przypląły z prądem. Przed południem ogarnęło go zmęczenie i wyciągnął się na skale oddalonej kilkanaście metrów od mostu, zasłonięty przez wierzbę, której długie gałęzie zwieszały się nad ciemnym lustrem wody. Od mostu dobiegały pomruki przejeżdżających samochodów. Wtem mały kamyk zagrzecotał

o skałę tuż za jego głową. Johnny usiadł, a wtedy następny kamyczek uderzył go w ramię. Rozejrzał się dookoła, ale nikogo nie zauważył. Trzeci kamyk trafił go w nogę. Był na tyle duży, że chłopiec poczuł ból.

– Rzuć jeszcze raz, a zabiję.

Odpowiedziała mu cisza.

– Wiem, że to ty, Jack.

Rozległ się śmiech i Jack wyłonił się spomiędzy drzew. Był ubrany w jeansy z obciętymi nogawkami i brudne tenisówki. Na jego żółto-białej koszulce widniała czarna sylwetka Elvisa. Niósł przerzucony przez ramię plecak, a w garści trzymał kilka kamyków. Włosy miał gładko zaczesane do tyłu, jedną stronę jego ust wykrzywiał uśmiech. Johnny zapomniał, że jest piątek.

– Masz za to, że urwałeś się beze mnie. – Jack podszedł do kolegi.

Był drobnym jasnowłosym chłopcem z brązowymi oczami i widoczną ułomnością. Jego prawa ręka wyglądała normalnie, ale trudno było nie zauważyć lewej. Mała i skurczona wyglądała tak, jakby ktoś przyczepił ramię sześciolatka do ciała dwukrotnie starszego chłopca.

– Gniewasz się? – spytał Johnny.

– Tak.

– Możesz mi raz przywalić i będziemy kwita.

Jack wciąż się uśmiechał.

– Trzy razy – powiedział.

– Trzy, ale tą dziecienną rączką.

– Dwa razy z młota. – Jack uniósł prawą pięść i mocniej zacisnął uśmiechnięte usta. – Bez uników.

Podszedł bliżej, a Johnny naprężył rękę i przycisnął ją mocno do tułowia.

– Będzie bolało. – Jack stanął w rozkroku i zamierzył się.

– No to dawaj, cipencjo.

Jack dwa razy grzmotnął Johnny'ego w ramię. Uderzył mocno i kiedy zrobił krok do tyłu, wyglądał na usatysfakcjonowanego.

– No to masz.

Johnny zakołysał obolałą ręką i rzucił w Jacka kamykiem, ale ten się uchylił.

– Skąd wiedziałeś, że tu będę?

– To żadna filozofia.

– To co ci zajęło tyle czasu?

Jack usiadł na skale obok Johnny'ego. Zrzucił plecak i ściągnął koszulkę. Jego spieczona na czerwono skóra łuszczyła się na ramionach. Na szyi nosił srebrny krzyżyk, który zakołysał się na cienkim łańcuszku, połyskując w słońcu, kiedy chłopiec pochylił się nad otwartym plecakiem.

– Musiałem wstąpić do domu po prowiant. Ojciec jeszcze tam był.

– Nie zauważył cię, prawda?

Ojciec Jacka był śmiertelnie poważnym i nieustępliwym gliniarzem, którego Johnny wystrzegał się jak ognia.

– Czy ja wyglądam na idiotę? – Zdrowa ręka Jacka zanurkowała w plecaku. – Jeszcze zimne – rzekł, wyciągając puszkę piwa. Wręczył ją Johnny'emu i sięgnął po następną.

– Kradzione piwo. – Johnny pokręcił głową. – Będziesz smażył się w piekle.

Na twarzy Jacka znów pojawił się ten sam krzywy uśmiech.

– Bóg odpuszcza drobne przewinienia.

– Twoja mama jest innego zdania.

Jack zarechotał.

– Człowieku, moja mama jest o krok od obmywania nóg i chwytania węży. Zresztą wiesz. Modli się za mnie, jakbym miał lada moment stanąć w płomieniach. Robi to w domu i robi to publicznie.

– Coś podobnego!

– Wtedy, jak przyłapano mnie na oszustwie, pamiętasz?

To było przed trzema miesiącami. Johnny pamiętał.

– Taaa... Na lekcji historii.

– Mieliliśmy potem spotkanie z dyrektorem szkoły. Zanim się zaczęło, kazała mu klęknąć na oba kolana i modlić się do Boga, aby wskazał mi właściwą drogę.

– Pieprzysz.

– Mówię serio. Ale się jej wystraszył. Musiałbyś zobaczyć jego minę. Zgięty w pół zerkał tylko jednym okiem w jej stronę, czy na niego patrzy. – Jack otworzył puszkę i wrzucił ramionami. – Zresztą trudno mu się dziwić. Jej odbiło i stara się ze wszystkich sił, żeby pociągnąć mnie za sobą. Za jej namową pastor modlił się przez cały zeszły tydzień w mojej

intencji.

– Po co?

– Na wypadek gdybym się dotykał.

– Nie do wiary.

– Życie to komedia – stwierdził Jack, ale na jego twarzy nie było już śladu uśmiechu.

Matka Jacka była przeraźliwie religijna i bezwzględna w swym duchowym odrodzeniu. Bez ustanku nękała Jacka groźbami ognia piekielnego i wiekuistego potępienia. Chłopak stawiał opór, ale zaczęły się pojawiać pierwsze pęknięcia.

Johnny otworzył piwo.

– Czy ona wie, że twój ojciec nadal pije?

– Mówi, że Bóg tego nie pochwała, więc ojciec zainstalował chłodzarkę z piwem w garażu i cały barek też tam przeniósł. Wygląda, że na tym stało. – Jack westchnął ciężko.

Johnny pociągnął łyk z puszki.

– Jakies gówniane to piwo.

– Smakosz się znalazł. Nie zmuszaj mnie, żebym znowu ci przywalił. – Jack opróżnił swoją puszkę do końca, schował ją do plecaka i wyciągnął kolejną.

– Napisałeś to zadanie z historii?

– A co ja mówiłem o drobnych przewinieniach?

Johnny omiótł wzrokiem okolicę za plecami kolegi.

– Gdzie jest twój rower? – spytał.

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz?

– Nie miałem ochoty na nim jechać.

– Przecież to trek za sześć stów.

– Wolałbym tamten stary. – Jack spojrział w dal i wzruszył ramionami.

– I tyle.

– Wciąż ani śladu, co?

– Myślę, że ktoś go ukradł. Przepadł na dobre.

Johnny pomyślał, że to siła sentymentu. Stary rower Jacka był żółty, miał tylko trzy przerzutki i wąskie siodełko. Musiał mieć już z piętnaście lat, kiedy jego ojciec kupił go z drugiej ręki. Rower przepadł dawno temu.

– Skakałeś kiedyś w biegu do pociągu?

Wzrok Johnny'ego ześliznął się na karłowate ramię kolegi. Jack spadł z półciężarówki, kiedy miał cztery lata, i połamał sobie rękę. Okazało się wówczas, że pogruchotana kość jest pusta w środku. Przeszedł operację, podczas której próbowano wszczepić mu szpik krowy, ale chirurg źle się spisał, ponieważ kończyła od tamtej pory przestała rosnąć. Palce nie odzyskały dawnej sprawności i ręka była słaba. Johnny miał to gdzieś, dla nich obu nie miało to znaczenia. Ale tylko na pozór. Jack był przeczulony na tym punkcie. Właśnie zauważył spojrzenie kolegi.

– Myślisz, że nie dałbym rady wskoczyć? – zapytał z gniewem w głosie.

– Myślałem tylko o tamtym chłopaku. No wiesz...

Obaj znali historię pewnego czternastolatka z jednej ze szkół w hrabstwie, który próbował wskoczyć do jadącego pociągu i omsknęła mu się ręka. Dostał się pod koła, które obcięły mu obie nogi, jedną w udzie, drugą poniżej kolana. Opowiadano o tym ku przestrodze takim dzieciakom jak Jack.

– To łajza. – Jack zanurzył dłoń w jednej z zewnętrznych kieszeni plecaka i wyciągnął paczkę mentolowych papierosów. Wyłuskał jednego i przytrzymując go dziecinnymi palcami lewej ręki, przytknął do niego płomień zapalniczki. Zaciągnął się i próbował zrobić kółko, wydychając dym.

– Twój stary kupuje też gówniane fajki.

Jack spojrzał w idealny błękit nieba i zaciągnął się ponownie. Papieros wydawał się nienaturalnie duży w jego drobnej dłoni.

– Chcesz jednego? – zapytał.

– Czemu nie?

Jack poczęstował kolegę i podstawił mu rozżarzoną końcówkę papierosa, by tamten odpalił swojego. Johnny wciągnął dym i zakasłał.

– Marny z ciebie palacz. – Zaśmiał się Jack.

Johnny pstryknął palcami, wyrzucając niedopałek do rzeki, i splunął na ziemię.

– Gówniane te fajki – powtórzył.

Gdy podniósł wzrok, zauważył, że Jack przygląda się siniakom na jego piersi i żebrach.

– Te są nowe.

– Nie takie nowe – odparł Johnny, patrząc na kłodę drewna, która przepływała obok nich niesiona prądem. – Opowiedz mi jeszcze raz.

– O czym mam ci opowiedzieć?

– O tym vanie.

– Niech cię szlag, Johnny. Ty wiesz, jak spać taki miły dzień. Ile razy mamy przez to przechodzić? Nic się nie zmieniło od ostatniego razu. Ani od poprzedniego.

– Po prostu mi opowiedz.

Jack zaciągnął się dymem i odwrócił wzrok od przyjaciela.

– To był zwykły van – oznajmił.

– Jakiego koloru?

– Przecież wiesz.

– Jakiego koloru?

– Białego – westchnął Jack.

– Jakieś wgniecenia? Zadrapania? Czy coś jeszcze zapamiętałeś?

– To było rok temu.

– Czy coś jeszcze?

– Ja pierdolę, człowieku. To był zwyczajny van. Biały. Tak jak ci mówiłem. Tobie i glinom.

Johnny czekał cierpliwie, aż jego kolega się uspokoi.

– To był najzwyklejszy van, cały biały – powtórzył Jack. – Mógłby takim jeździć malarz.

– Tego nigdy wcześniej nie mówiłeś.

– Mówiłem.

– Nie. Opisałeś go: biały i bez okien z tyłu. Nigdy nie powiedziałeś, że wyglądał jak samochód malarza. Dlaczego mówisz o tym dopiero teraz? Czy był ochlapany farbą?

– Nie.

– Miał drabinę na dachu? Albo uchwyty na drabinę?

Jack dokończył papierosa i wyrzucił niedopałek do rzeki.

– To był normalny van, Johnny. Ona była dwieście metrów dalej, kiedy to się stało. Nie miałem nawet pewności, że to ona, dopóki nie odkryłem, że zniknęła. Wracalem do domu z biblioteki, tak samo jak ona. Tego dnia było nas tam kilkoro. Zobaczyłem vana, który wyjechał z za wzgórza i się zatrzymał. Z okna wyłoniła się ręka, a ona podeszła do samochodu. Nie

wyglądała na wystraszoną ani nic z tych rzeczy. Po prostu do niego podeszła. – Jack na moment zawiesił głos. – Potem otworzyły się drzwi i ktoś wciągnął ją do środka. Biały mężczyzna w czarnej koszuli. Tak, jak opowiadałem setki razy. Drzwi zatrzasnęły się i odjechali. Wszystko trwało może dziesięć sekund. Nic więcej nie zapamiętałem.

Johnny spoglądał w dół i kopał kamień.

– Przykro mi, stary – dodał Jack. – Żałuję, że nic wtedy nie zrobiłem, ale nic nie dało się zrobić. Miałem nawet wrażenie, że to nie dzieje się naprawdę.

Johnny wstał i zaczął gapić się na rzekę. Po minucie kiwnął głową.

– Daj mi jeszcze piwa.

Chłopcy wypili po piwie i poszli się wykapać. Potem Jack wypalił kolejnego papierosa. Minęła godzina.

– Chcesz sprawdzić jakieś domy? – zapytał Jack.

Johnny puścił kaczkę po powierzchni wody i pokręcił przecząco głową. Dla Jacka była to niezła rozrywka, lubił to ryzyko, kiedy zakradali się i oglądali rzeczy, których dzieci nie powinny widzieć. Zapewniało mu to przypływ adrenaliny.

– Nie dzisiaj – odparł Johnny.

Jack podszedł do roweru przyjaciela i sięgnął po plan, który tkwił wetknięty między szprychy przedniego koła. Wyciągnął go i uniósł w rękę.

– A co z tym?

Johnny spojrzał na niego i opowiedział mu o swojej przeprawie z detektywem Huntem.

– On się do mnie przyczepił – skwitował.

Jack uznał, że to bzdura.

– To tylko glina – stwierdził.

– Twój stary jest gliną.

– Taaa, a ja mu wykradam piwo z lodówki. Czy to o czymś nie świadczy? – Jack splunął na ziemię, co wśród chłopców stanowiło uniwersalny wyraz obrzydzenia. – No chodź, zrobmy coś. To ci poprawi nastrój. Obaj to wiemy. Nie będę tu siedział cały dzień.

– Nie.

– Jak chcesz – odparł Jack i wsunął z powrotem mapę między szprychy.

Zauważył pióro przyczepione do roweru. Zwisało na sznurku okręconym wokół podstawy siodełka. Wziął je do ręki.

– Hej, co to jest?

Johnny odwrócił wzrok w stronę kolegi.

– Nic takiego – odparł.

Jack przesunął palcami po piórze, którego brzegi połyskiwały w promieniach słońca. Spojrzał na nie pod światło.

– Fajne.

– Zostaw.

Jack zauważył, że przyjaciel spina ramiona, i wypuścił pióro, a ono zadyndało na sznurku.

– Jeeezu, chciałem tylko zapytać.

Johnny rozluźnił zaciśnięte pięści. Jack taki już był. Nie miał złych intencji.

– Słyszałem, że twój brat przeszedł do Clemson – zagadnął.

– Skąd wiesz?

– Trąbią o tym w wiadomościach.

Jack podniósł kamyk zdrową ręką i przerzucił go do karłowatej lewej dłoni.

– Zawodowcy już się o niego zabijają. W zeszłym tygodniu pobił rekord.

– Jaki rekord?

– W wybiciu na bazę.

– Rekord szkoły?

– Nie. – Jack pokręcił głową. – Stanu.

– To chyba twój stary jest dumny.

– Jego syn będzie sławny. – Uśmiech Jacka wyglądał na szczery, ale Johnny zauważył, że przyjaciel mocniej przyciska karłowatą rękę do tułowia. – Jasne, że jest dumny.

Znów pociągnęli po łyku piwa. Słońce wspinało się coraz wyżej, ale jego blask zdawał się słabnąć. Powietrze stało się rześkie, jakby wypełnił je chłód ciągnący od rzeki. Johnny dopił trzecie piwo do połowy i odstawił puszkę. Jack był już podchmielony.

Nie rozmawiali już więcej o jego bracie.

Było południe, gdy dobiegł ich od strony drogi odgłos zwalniającego samochodu. Wóz zatrzymał się na moście, a potem skręcił w starą

przecinkę prowadzącą na szczyt wysokiej skarpy, która górowała nad brzegiem rzeki.

– O kurwa.

Jack schował puszki po piwie, a Johnny naciągnął podkoszulek, aby ukryć siniaki, choć jego przyjaciel uważał, że niepotrzebnie to robi. Od dawna kłócili się o to, czy pokazywać je, czy nie.

Wysoka maska samochodu przedzierała się przez chwasty, które rosły między koleinami, i po chwili Johnny dostrzegł nawoskowaną karoserię pick-upa. Promienie słońca odbijały się od przedniej szyby, zamieniając ją w lustrzaną tafłę, i migotały w wypolerowanych chromach. Samochód stanął, a silnik zawył głośniej i zgasł. Otworzyły się troje z czworga drzwi. Jack wyprostował się.

Oczom Johnny'ego ukazały się niebieskie jeansy, wysokie buty i grube ramiona chłopaków, którzy obeszlą samochód i stanęli przed maską. Widywali ich czasami. Chodzili do szkoły średniej i mieli po siedemnaście, osiemnaście lat. Dorośli mężczyźni, albo prawie dorośli. Jeden z nich trzymał w ręku półlitrową butelkę bourbona, wszyscy trzej palili papierosy. Stali na skraju skarpy, która dalej opadała ku wodzie. Spoglądali w dół na Johnny'ego i jeden z nich, wysoki blondyn z purpurowym znamieniem na szyi, trącił łokciem kierowcę.

– Popatrz tam – odezwał się. – Dwie młode cioty.

Twarz kierowcy nie zdradzała żadnych emocji, tymczasem ten z bourbonem pociągnął łyk z butelki.

– Odpierdol się, Wayne – odpowiedział Jack.

Purpurowa Plama przestał się śmiać.

– Właśnie tak – dodał Jack. – Wiem, kim jesteś.

Kierowca klepnął Wayne'a w pierś grzbietem dłoni. Wysoki i dobrze zbudowany, był typem przystojniaka o urodzie modela. Omiótł kolegę chłodnym spojrzeniem i wskazał palcem na Jacka.

– To jest brat Geralda Crossa, więc okaż mu trochę szacunku.

Wayne wykrzywił twarz.

– Ten mały gnojek? Nie wierzę. – Zrobił krok do przodu i nachylił się nad skarpy. – Twój brat powinien grać w Carolinie – oznajmił podniesionym tonem. – Powiedz mu, że Clemson jest dla cipek.

– To właśnie tam się zapisałeś? – spytał Johnny.

Kierowca parsknął śmiechem, tak samo jak chłopak z butelką. Wayne poczerwieniał na twarzy, ale jego przystojny kolega podszedł bliżej, by zastąpić mu drogę.

– Ciebie też znam – zwrócił się do Johnny’ego, po czym zamilkł na chwilę i zaciągnął się papierosem. – Przykro mi z powodu twojej siostry.

– Zaraz, zaraz – wtrącił Wayne. – To jest ten koleś.

– Właśnie ten.

W ich słowach nie było emocji. Johnny poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

– Ale ja cię nie znam – odpowiedział.

Jack położył rękę na jego ramieniu.

– To syn Hunta, tego gliniarza. Ma na imię Allen. W tym roku kończy szkołę.

Johnny podniósł wzrok i dostrzegł podobieństwo. Chłopak miał inne włosy niż ojciec, ale taką samą sylwetkę, te same łagodne oczy.

– To nasze miejsce – oświadczył Johnny. – Byliśmy tu pierwsi.

Syn Hunta pochylił się nad skarpą, ale zaczepny ton Johnny’ego najwyraźniej nie wytrącił go z równowagi.

– Nie widziałem cię już od jakiegoś czasu – zwrócił się do Jacka.

– Bo i po co? – odparł Jack. – Nie mam ci nic do powiedzenia. Swoją drogą, Gerald też nie.

Johnny spojrzał na przyjaciela.

– On zna twojego brata?

– Znał swego czasu.

– Swego czasu – powtórzył Allen i wyprostował się. Jego głos brzmiał beznamiętnie. – Znajdziemy sobie inne miejsce. Powiedz bratu, że go pozdrawiam – dodał, odchodząc.

– Sam mu powiedz.

Allen zatrzymał się na moment i posłał mu w odpowiedzi bezbarwny uśmiech. Skinął na swych towarzyszy, a gdy wszyscy znaleźli się w samochodzie, uruchomił silnik. Odjechali na wstecznym biegu gruntowym traktem i po chwili nie było po nich ani śladu. Zostały tylko rzeka i wiatr.

– To syn Hunta? – upewnił się Johnny.

– Tak. – Jack splunął na ziemię.

– A co zaszło między nim a twoim bratem?

– Dziewczyna – wyjaśnił Jack i skierował wzrok ku rzece. – Było, minęło.

Dobry nastrój gdzieś znikł. Złapali węża, by go po chwili wypuścić, skrobali nożami kawałki drewna naniesione przez wodę, ale nic ich nie bawiło. Johnny nie miał już ochoty nic mówić i Jack to wyczuwał, więc kiedy odległy gwizd zapowiedział jadący na południe pociąg towarowy, włożył buty i podniósł plecak.

– Będę się zbierał – oznajmił.

– Jesteś pewien?

– Chyba że chcesz mnie odwieźć do miasta na ramie.

Johnny odprowadził przyjaciela w górę skarpy.

– Chcesz później zajrzeć? – spytał Jack. – Obejrzeć jakiś film albo zagrać na konsoli?

Znów rozległ się gwizd, tym razem bliżej.

– Lepiej już biegnij – odparł Johnny.

– Zadzwoń do mnie później.

Johnny odczekał, aż przyjaciel zniknie mu z oczu, po czym wyjął pióro spod koszulki i ściągnął rzemyk przez głowę. Zanurzył dłonie w rzece i ochlapał sobie twarz, a potem wygładził wiszące u roweru pióro. Nabrało połysku, gdy przesuwając wilgotnymi palcami po jego gładkiej, kruchej i doskonałej powierzchni.

Johnny puścił kilka kaczek i wrócił na skałę, aby się położyć. Słońce przygrzewało, powietrze otulało go chłodnymi podmuchami i w pewnym momencie zapadł w drzemkę. Kiedy się obudził, było już późne popołudnie, piąta, może wpół do szóstej. Na horyzoncie piętrzyły się ciemne chmury, a wiatr niósł woń odległego deszczu.

Johnny zeskoczył ze skały i poszedł szukać swoich butów. Trzymał je w ręku, gdy do jego uszu dobiegło zawodzenie małego silnika, które szybko zbliżało się od północy. Jękliwy odgłos pędzącego motocykla przechodził w ryk. Był już prawie na moście, kiedy Johnny usłyszał drugi silnik. Maszyna była duża i pracowała na wysokich obrotach. Johnny wyciągnął szyję i zobaczył betonowy gzyms biegnący wzdłuż mostu, a nad nim pasmo zielonych liści i niebo, które przybrało teraz kolor popiołu.

Most zaczął drgać i Johnny zdał sobie sprawę, że nigdy nie słyszał, aby cokolwiek wjeżdżało na niego z taką prędkością.

Oba pojazdy były w połowie mostu, gdy rozległo się uderzenie metalu o metal. Johnny zobaczył snop iskier, dach samochodu i koziółkujący motocykl, po czym nad balustradą przeleciał człowiek. Wywijał w powietrzu rękami, a jedną nogę miał wykręconą pod nienaturalnym kątem i Johnny'emu wydawało się, choć był pewien, że wzrok go myli, iż to oderwane skrzydła wiatraka, które krzyczą ludzkim głosem. Ciało upadło u stóp Johnny'ego z głuchym plaśnięciem i trzaskiem łamanych kości. Był to mężczyzna w ciemnej koszulce i brązowych spodniach. Jedną rękę miał podwiniętą pod plecy, wszystkie stawy powykręcane, klatka piersiowa wyglądała na zmiażdżoną. Jego otwarte oczy były niesamowicie błękitne.

Na drodze zapiszczały hamulce. Johnny podszedł bliżej do leżącego i zobaczył, że z jednej strony twarzy ma zdartą skórę, a jego prawe oko zaczyna podbiegać krwią. Drugie spoglądało na chłopca, jakby w niemym błaganiu o pomoc.

Z góry, od strony drogi, dobiegł gruby warkot silnika. Pisnęły opony zawracającego samochodu i po chwili Johnny poczuł wibracje, gdy pojazd znów wtoczył się na most.

Szczeka rannego poruszyła się.

– On tu wraca.

– Już dobrze. Pomożemy ci – powiedział Johnny, klękając na ziemi, i chwycił mężczyznę za rękę. – Wszystko będzie dobrze.

Ranny zignorował jednak jego słowa. Z zadziwiającą siłą przyciągnął chłopca do siebie.

– Znalazłem ją.

– Kogo? – zapytał Johnny, skupiając wzrok na wargach mężczyzny.

– Dziewczynkę, która została porwana.

Johnny poczuł, jak przenika go lodowaty dreszcz. Ciało mężczyzny wyprężył skurcz i krew bryznęła z jego ust prosto na podkoszulek Johnny'ego, ale on nie zwrócił na to uwagi.

– Kogo? – powtórzył, coraz bardziej podnosząc głos. – Kogo?

– Znalazłem ją...

Nad nimi duży silnik pracował na wolnych obrotach. Ranny obrócił ku

górze oczy, w których widać było strach. Przyciągnął Johnny'ego tak blisko, że chłopiec czuł zapach krwi. W kącikach oczu mężczyzny pojawiły się zmarszczki i Johnny usłyszał jedno słowo. Szept.

– Uciekaj...

– Co?

Palce rannego zacisnęły się mocniej na jego dłoni. Chłopiec słyszał dudnienie silnika, a potem rozległ się odgłos, jakby metal tarł o beton. Mężczyzna ścisnął go tak mocno, że wbijał paznokcie w jego skórę.

– Na litość boską...

Ranny znów zadygotał, wyprężył plecy i wygiął połamaną rękę.

– Uciekaj...

Johnny spojrzał w dół i zobaczył, jak obcas wysokiego buta ryje ziemię. Coś zaskoczyło mu w głowie.

To nie był wypadek.

Podniósł wzrok w stronę mostu i dostrzegł jakiś ruch, głowę i ramię mężczyzny, który okrążał maskę samochodu. Widział tylko jego ciemną sylwetkę. Poczuł na swoich rękach lepka i wilgotną krew, która zaczynała stygnąć.

To nie wypadek.

Ciałem leżącego wstrząsały konwulsje, głowa i nogi uderzały o ziemię. Johnny próbował uwolnić rękę z jego uścisku i musiał szarpać ze wszystkich sił. Na moście znów rozległ się jakiś hałas. Poruszenie. Strach niczym ostrze wbijał się w niego, dotykając ukrytego głęboko czułego punktu. Johnny jeszcze nigdy w swoim życiu tak bardzo się nie bał. Ani w dniu, kiedy się obudził i odkrył, że ojciec odszedł, ani wtedy, gdy matce urywał się film, a w oczach Kena pojawiał się ten złowieszczy błysk.

Był śmiertelnie przerażony. Skamieniały ze strachu.

Potem zerwał się do biegu i uciekał ścieżką wzdłuż rzeki. Biegł, aż zaczęło brakować mu tchu, a serce chciało wyskoczyć mu z piersi. Pędził gnany strachem, dopóki z cienia nie wyłonił się potężny czarny potwór, który go pochwycił. Wtedy Johnny wrzasnął.

Rozdział 5

Levi Freemantle niósł na ramieniu bezcenny skarb. Było to ciężkie pudło owinięte dwiema warstwami czarnej folii i oklejone srebrną taśmą. Niewielu ludzi byłoby w stanie zanieść je tak daleko jak Levi, ale on nie był taki jak inni ludzie. Nie zwracał uwagi na ból, niczego nie czuł. Stawiał stopy na ścieżce i poruszał ustami, kiedy słowa wzbierały w jego myślach. Słuchał głosu Boga, który rozlegał się w jego głowie, i podążał wzdłuż rzeki, jak uczyła go matka, kiedy jeszcze był chłopcem. Rzeka była po prostu rzeką, nigdy się nie zmieniała, a Levi przemierzył tę drogę może już ze sto razy. Nie żeby liczył tak dokładnie, ale sto to było dużo. A on często tamtędy chodził.

Najpierw zobaczył tego białego chłopca, a dopiero potem go usłyszał. Biegł wprost na niego, pędził tak, jakby ścigał go sam diabeł, który pożera białych chłopców. Pochyloną nisko głowę krył w chudych ramionach, na jego policzkach czerwieniły się wypieki, stopy przeskakiwały nad dziurami i kamieniami. Gałęzie smagały go po twarzy. Chłopiec ani razu nie obejrzał się za siebie. Jego widok przywodził na myśl ucieczkę ściganego zwierzęcia.

Levi chciał przepuścić chłopca, ale nie miał gdzie się ukryć. Owszem, z jednej strony płynęła rzeka, z drugiej rosły drzewa, ale Levi miał prawie dwa metry wzrostu i ważył ponad sto trzydzieści kilo. Szukali go uzbrojeni ludzie. Policjanci z pasami obwieszonymi połyskującym metalem. Złowrogo uśmiechnięci strażnicy z pałkami. Dlatego Levi zapytał Boga, co robić, a Bóg doradził mu, aby złapał chłopca. Nie żeby zrobił mu krzywdę, tylko go schwytał.

– Naprawdę? – wyszeptał Levi, ale Bóg nie odpowiadał.

Levi wzruszył ramionami, po czym wyszedł zza drzewa i ujął chłopca swoją potężną ręką. Chłopiec wrzasnął, ale Levi go trzymał, tak delikatnie, jak tylko potrafił. Był zaskoczony, kiedy Bóg oznajmił mu, co ma powiedzieć chłopcu.

– Bóg rozkazał... – zaczął.

Nie mówił jednak dostatecznie szybko. Chłopiec dosięgnął ustami jednego z palców Lewiego i zacisnął szczęki tak mocno, że skóra pękła niczym dojrzały owoc pod jego zębami, które wgryzły się aż do kości. Trysnęła krew i Levi poczuł ból, straszliwy ból. Cisnął chłopcem o ziemię. Nie czuł się dobrze, kiedy to robił, bo wyglądało to tak, jakby sprawił Bogu zawód. Ale go zabolalo.

Chłopiec zerwał się na równe nogi i odskoczył niczym królik, ale Levi ani myślał go gonić. Nie był w stanie biec z ciężkim pudłem, które dźwigał na ramieniu, a nie mógł go odłożyć nawet na chwilę. Trzymał się za krwawiący palec i pragnął tylko, aby przestało go tak strasznie boleć. Pod wpływem bólu zaczął myśleć o swojej żonie, a to było jeszcze gorsze cierpienie, ucisnął więc obolały palec i nasłuchiwał głosu Boga. Gdy Bóg przemówił w końcu do Lewiego, powiedział mu, że warto byłoby się dowiedzieć, przed czym chłopiec uciekał.

Levi wzruszył potężnymi ramionami.

– Bóg rozkazuje, Levi maszeruje – powiedział, i wydało mu się to zabawne.

Minęło dwadzieścia minut, zanim dotarł do mostu. Krew na kamieniach czerniła się złowieszczo, więc Levi długo wyteżał słuch, nim złożył pakunek na ziemi i wyszedł z ukrycia pod gałęziami wierzby. Chciał, aby ktoś mu powiedział, co ma robić, ale Bóg zamilkł. Gorące podmuchy niczym palce gładziły go po policzku, a niebo na zachodzie rozdarła błyskawica. Naładowane elektrycznością powietrze było ciężkie od suchej pylistej woni, która ciągnęła od ziemi pod mostem.

Leviemu wydało się, że słyszy głos dobiegający od rzeki. Przechylił głowę i nasłuchiwał przez minutę, zanim uznał, że to tylko woda. Albo wąż w trawie. Albo karp w szuwarach przy brzegu. Ale nie Bóg.

Kiedy Bóg przemawiał, Levi czuł, jak wznosi się nad nim słup chłodnego powietrza, czuł się spokojny, nawet kiedy przypominał sobie, co złego uczynił.

Zatem to nie był Bóg.

Levi stał nad ciałem i jego umysł nie funkcjonował właściwie. Nie chodziło o to, że był wystraszony, chociaż czuł na karku drobne ostre ukłucia. Po prostu było mu żal tego powykręcanego człowieka.

Pogruchotany i zakrwawiony, z otwartymi nieruchomymi oczami o pustym spojrzeniu nie wyglądał dobrze.

Levi kołysał się, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę. Pocierał blizny po prawej stronie twarzy, gdzie skóra wyglądała jak roztopiona. Nie wiedział, co robić, więc usiadł, aby poczekać, aż przemówi do niego Bóg.

Bóg będzie wiedział.

Bóg był niezawodny.

Rozdział 6

Johnny dotarł na swoją ulicę, kiedy słońce już zachodziło i gasnące światło nabierało purpurowego odcienia. W lesie narastały odgłosy nocy. Utykał, był obolały, ale wypełniała go nadzieja. Cały od niej płonął.

Znalazłem ją.

Kogo?

Dziewczynkę, która została porwana.

Johnny w kółko powtarzał te słowa i szukał jakiegoś powodu, aby zwątpić w emocje, które pozwalały mu przezwyciężyć ból promieniujący od stóp. Prawie trzynaście kilometrów, z czego większość przebiegł, pokonał bez butów. Obie stopy miał całe w ranach, ale prawa była w gorszym stanie, gdyż poharatał ją na rozbitej butelce trzy kilometry od miejsca, w którym złapał go ten olbrzym z czarnym pudłem. Johnny wciąż jeszcze czuł w ustach smak krwi i brud z jego skóry. Starał się nie myśleć o tym zbyt wiele. Zamiast tego rozmyślał o swojej siostrze i o matce.

Wspiął się na wierzchołek przedostatniego wzgórza, jakie miał do pokonania, gdy uderzył go podmuch wilgotnego wiatru. Zobaczył rząd latarni ciągnących się wzdłuż drogi. Światła w oknach. Domy. Były takie małe w oddali pod purpurowym niebem, stłoczone w miejscu, gdzie mroczny las przyciskał je do cienkiej linii drogi. Jeszcze półtora kilometra, powtarzał sobie. Jeszcze jedno wzgórze.

Jego matka musiała dowiedzieć się o tym, co usłyszał.

Schodząc w dół, nie usłyszał samochodu, który pojawił się na szczycie za jego plecami. Wyobrażał sobie, ile ta wiadomość będzie znaczyć dla jego matki. Dzięki niej wyjdzie z łóżka. Dzięki niej odstawi tabletki. Mogliby wszystko zacząć od nowa, oni dwoje, a potem Alyssa.

Wróciłby jego ojciec.

Kiedy dosięgły go światła samochodu, zeskoczył z drogi. Jego cień czmychnął w lewo, a potem skurczył się, gdy samochód zwolnił i przystanął. Johnny poczuł ukłucie lęku, zaraz potem rozpoznał

samochód Kena. Był to wielki biały cadillac o ostrych kantach, ze złotymi literami na tylnej klapie, które układały się w napis Escalade. Ken opuścił szybę. Opalenizna na jego skórze była tak mocna, że prawie maskowała worki pod oczami.

– Gdzie ty się, do cholery, podziewasz? – krzyknął. Johnny kręcił głową, nie mogąc złapać tchu. – Wsiadaj do auta, Johnny. Natychmiast.

Chłopiec zgiął się wpół, przyciskając sobie pięść do boku.

– Ja nie...

Ken przestawił drążek biegów na luz i gwałtownie otworzył drzwi.

– Nie pyskuj mi, smarkaczu, tylko wsiadaj do auta. Twoja matka przez to wszystko odchodzi od zmysłów. W całym mieście wrze.

Ken wygramolił się z samochodu. Był wysoki i ocieźały, o bezkształtnej sylwetce, zdaniem Johnny'ego typowej wyłącznie dla mężczyzn w średnim wieku. Nosił złoty zegarek, miał przerzedzone włosy i zmarszczki od śmiechu, co Johnny uważał za niedorzeczne.

– Przez co odchodzi od zmysłów? – chłopiec wykrztusił z trudem.

Ken rozkazująco kiwnął grubą ręką.

– Wsiadaj. Już.

Johnny wsiadł do samochodu i przesunął się po gładkim skórzanym fotelu. Ken wrzucił bieg, a chłopiec rozmyślał o zabitym mężczyźnie.

Znalazłem ją.

Dom był rozświetlony jak na Gwiazdkę, paliły się lampy wewnątrz i na zewnątrz, a policyjne radiowozy, które stały na podjeździe, wypełniały podwórze niebieskimi refleksami. Obok nich kręcili się umundurowani gliniarze. Johnny zauważył broń przy ich pasach, krótkofalówki i długie czarne pałki, które wisiały w metalowych pierścieniach.

– Co się dzieje?

Ken otworzył drzwi, a jego dłoń opadła na kark Johnny'ego. Palce wbiły się w cienkie włókna mięśni i chłopiec skulił ramiona.

– To boli.

– Nie tak bardzo, jak powinno.

Ken szarpnął nim w poprzek siedzenia i wywłókł z samochodu. Potem zabrał rękę i odwrócił się do policjantów z szerokim uśmiechem.

– Znalazłem go – oznajmił.

Gdy zajeżdżali przed dom, na ganek wyszła matka Johnny'ego. Była ubrana w niebieskie jeansy i brązowy podkoszulek wyblakły tak bardzo, że miał barwę mleka czekoladowego. Za nią w drzwiach pojawił się wuj Steve. Johnny zrobił krok w jej stronę, a matka zbiegła po schodach z rozwichrzonymi włosami i obłędem w załzawionych oczach.

– O mój Boże – powiedziała bełkotliwie, biorąc go w ramiona. – Gdzie ty byłeś?

Johnny nie potrafił tego pojąć. Wiele razy wracał do domu po zmroku. Przeważnie matka nie miała nawet pojęcia, czy położył się już spać, czy jeszcze go nie ma. Ponad jej ramieniem chłopiec zauważył, że jeden z policjantów podnosi do ust krótkofalówkę.

– Zgłasza się dwadzieścia siedem. Poinformujcie detektywa Hunta, że namierzyliśmy Johnny'ego Merrimona. Jest w domu.

W odpowiedzi metaliczny głos potwierdził przyjęcie meldunku. Kilka sekund później radio znowu zatrzeszczało.

– Uwaga, dwadzieścia siedem, detektyw Hunt już do was jedzie.

– Przyjąłem.

Johnny poczuł, jak uścisk ramienia matki słabnie. Odepchnęła go od siebie i zaczęła nim gwałtownie potrząsać.

– Nigdy więcej tak nie rób! Nigdy więcej! – krzyczała. – Słyszysz mnie? Słyszysz? Powiedz, że mnie słyszysz! No, powiedz! – Potem znów wzięła go w objęcia. – Boże, Johnny, tak bardzo się martwiłam.

Od potrząsania i uścisków chłopiec był tak zszokowany, że ledwie mógł wydusić z siebie słowo. Po schodach przeszli policjanci i Johnny zauważył wuja Steve'a, który patrzył na niego błagalnie. Wtedy zrozumiał.

– Dzwonili ze szkoły?

Przytaknęła, kiwając głową przytuloną do jego szyi.

– Ogłosili alarm tuż po lunchu. Nie mogli cię znaleźć, więc zadzwonili tutaj, a ja zadzwoniłam do wuja Steve'a, ale on zaklinał się, że podrzucił cię do szkoły. A potem długo nie wracałeś i pomyślałam...

Johnny wyswobodził się z objęć matki.

– Z jakiego powodu ten alarm?

Matka głaskała go po twarzy. Czuł na policzku drzenie jej ciepłych palców.

– Och, Johnny. To się powtórzyło.

– Co takiego?

Matka była zdruzgotana.

– Porwano kolejną dziewczynkę. Mówią, że doszło do tego na terenie szkoły. Tiffany Shore. Z siódmej klasy.

Johnny zamrugał powiekami.

– Znam Tiffany – oświadczył machinalnie.

– Ja też.

Matka zamilkła, ale chłopiec domyślał się, co jej chodzi po głowie. Tiffany chodziła do siódmej klasy, tak samo jak Alyssa, kiedy została uprowadzona. Johnny potrząsnął głową. Pomyślał o słowach umierającego mężczyzny. Kiedy powiedział „Znalazłem ją”, miał na myśli Alysę, jego siostrę. Nie Tiffany, nie jakąś inną dziewczynkę.

– To nie może być prawda – wyszeptał, ale jego matka z płaczem potakiwała głową, i Johnny poczuł, jak jego nadzieja stygnie, jak obraca się w proch. – To nie może być prawda – powtórzył.

Matka wyprostowała się i próbowała znaleźć odpowiednie słowa, ale zanim zdążyła się odezwać, przed Johnnym stanął jeden z gliniarzy.

– Synu – zwrócił się do niego, a chłopiec uniósł głowę. – Czy ty masz krew na koszulce?

Rozdział 7

Levi czekał przy martwym ciele, tymczasem słońce zaszło. Dokuczały mu muchy, a palec bolał tak dotkliwie, że zaczął się zastanawiać, czy Bóg nie wystawia go na próbę. Chodził do kościoła i wiedział, że Bóg robi takie rzeczy. Levi nie był jednak nikim wyjątkowym. Zamiatął podłogi, żeby zarobić trochę pieniędzy. Świat wprawiał go w zakłopotanie. Głos Boga towarzyszył mu jednak od siedmiu dni. Wypowiadane szeptem słowa przynosiły otuchę, kiedy świat wydawał mu się mroczny i wypaczony. W jego umyśle pojawiła się ogromna wyrwa, gdy ustały szepty, których słuchał od tygodnia, zastanawiał się więc, czemu Bóg nagle zamilkł. Był zbiegłym skazańcem i siedział teraz na ziemi trzy metry od martwego człowieka. Błąkał się na wolności od siedmiu dni.

Stworzyłem ten świat w siedem dni.

Głos zalał Leviego niczym fala przyływu, ale tym razem brzmiał inaczej. Był rozedrgany, przytłumiony, a myśl wydawała się niedokończona. Levi wstrzymał oddech, obrócił głowę, ale głos już się nie odezwał. Zdawał sobie sprawę, że nie jest bystry, żona zawsze mu to powtarzała, ale wiedział też, że nie jest głupcem. Skazańcy nie wypadali korzystnie w komplecie ze zwłokami. Tuż nad jego głową przebiegała droga i Levi postanowił, że Bóg będzie musiał zaczekać.

Tylko tym razem.

Ukląkł przy leżącym człowieku i przeszukał jego kieszenie. Znalazł portfel i zabrał pieniądze, ponieważ był głodny. Poprosił Boga o wybaczenie, potem rzucił portfel na ziemię i ułożył równo ciało. Wyciągnął połamane ramię spod pleców mężczyzny i skrzyżował jego ręce na piersi. Zanurzył palec w lepkiej krwi i namalował nią krzyż na gładkim bladym czole trupa, następnie zamknął mu oczy. Pomodlił się do Boga, aby przyjął do siebie duszę umarłego i zaopiekował się nią.

Kiedy wstał, zauważył coś białego w dłoni martwego człowieka. Był to skrawek tkaniny, który tkwił między jego palcami. Levi wyciągnął go bez

trudu. Wyblakły i postrzępiony wyglądał na kawałek koszuli, który został odcięty lub oderwany. Miał wielkość niemowlęcego bucika, a na jego zabrudzonej powierzchni widniał wyhaftowany monogram. Levi nie potrafił czytać, więc litery nic mu nie mówiły, ale strzępek materiału mógł uchodzić za biały i miał odpowiednią długość, toteż owinał go wokół zranionego palca i zawiązał mocno, pomagając sobie zębami.

Wrócił pod wierzbę, przystanął obok ciężkiego pakunku owiniętego folią i pogładził go wielką dłonią, a potem zarzucił sobie na ramię. Dla każdego innego mężczyzny byłby to wielki ciężar, przytłaczający już na samą myśl, że trzeba go nieść. Ale nie dla Leviego. On był silny, on miał cel i kiedy plastikowa folia zaszeleściła mu koło ucha, znów usłyszał głos. Bóg powiedział mu, że dobrze postąpił, i kazał iść dalej.

Pięćdziesiąt minut później zjawiała się w tym miejscu policja.

Samochód detektywa Hunta zwolnił i zatrzymał się na moście. W miejscu tak oddalonym od miasta nie było już latarni ulicznych ani zabudowań. Niebo spowijała czerń i tylko na zachodzie wrzynąła się w nie głęboka purpurowa bruzda biegnąca wzdłuż horyzontu. Burzowe chmury wisiały nisko i ciemność rozdarły dwie błyskawice, zanim rozległ się grzmot. Za samochodem Hunta zatrzymała się kawalkada radiowozów, które rozsiewały wokół niebieskie migotanie. Po chwili rozbłysły szperacze i oświetliły cały most. Hunt odwrócił się do Johnny'ego, który siedział na tylnej kanapie wraz z matką. Ich twarze tonęły w mroku; w świetle stojącego za nimi samochodu wyraźnie się odznaczały sterczące kosmyki włosów chłopca.

– Dobrze się czujesz? – zapytał detektyw, ale odpowiedź nie nadeszła.

Matka przyciągnęła chłopca do siebie.

– Czy to jest to miejsce?

Johnny przełknął ślinę.

– To tutaj – wskazał palcem. – Z tej strony mostu, na dole.

– Powtórz mi jeszcze raz, co powiedział. Słowo w słowo.

– Znalazłem ją – odparł Johnny grobowym tonem. – Dziewczynkę, która została porwana.

– Nic poza tym?

– Kazał mi uciekać. Mówił o człowieku w samochodzie.

Hunt pokiwał głową. Przechodzili przez to sześć lub siedem razy. Wszystko, co się wydarzyło.

– I nic więcej, co pozwoliłoby ci myśleć, że mówi o twojej siostrze? Nie wymienił jej imienia, nie opisał wyglądu albo coś w tym rodzaju?

– On mówił o Alyssie.

– Johnny...

– Mówił o niej!

Głowa Johnny'ego opadła smętnie na tle oślepiającego blasku reflektorów i Hunt miał ochotę położyć mu dłoń na ramieniu i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, ale nie było to odpowiednie miejsce na naprawianie wszystkich szkód, choćby tego bardzo pragnął. Spojrzał na drobną sylwetkę Katherine Merrimon, która siedziała nieruchomo. Jej też chciał dotknąć, ale czuł, że to nie jest takie proste. Była piękną kobietą, delikatną i zranioną, ale jednocześnie poszkodowaną, a jego obowiązywały pewne zasady. Hunt skupił się więc na sprawie i gdy przemówił, jego głos brzmiał twardo.

– Szanse są nikłe, Johnny. Powinieneś być na to przygotowany. Minął już rok. Ten człowiek prawdopodobnie mówił o Tiffany Shore.

Johnny pokręcił głową, ale nie powiedział ani słowa. Odezwała się za to jego matka, a jej głos brzmiał tak, jakby sama była dzieckiem.

– Znam Tiffany.

Wspomniała o tym już dwa razy, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi. Johnny zamrugał i przed oczami stanął mu obraz porwanej dziewczynki. Tiffany była drobna, miała jasne włosy, zielone oczy i bliznę na lewej ręce. Każdemu, kto chciał słuchać, opowiadała głupi dowcip, coś o trzech małpach, słoniu i korku. Była sympatyczną dziewczynką. Zawsze taka była.

– A ten człowiek na moście? – zaczął Hunt. – Zapamiętałeś coś jeszcze? Potrafiłbyś go rozpoznać?

– To była tylko sylwetka, ruchomy zarys. Nie widziałem jego twarzy.

– A co z samochodem?

– Nic. Już powiedziałem.

Hunt patrzył przez okno na policjantów, którzy zaczęli wysiadać z radiowozów i rzucali cienie na murek z surowego betonu biegnący wzdłuż krawędzi mostu. Poczuł, jak ogarnia go niezadowolenie.

– Zaczekajcie tu – powiedział. – Nie ruszajcie się z samochodu.

Wysiadł, trzasnął drzwiami i ogarnął wzrokiem miejsce zdarzenia. W ciężkim wilgotnym powietrzu unosił się zapach rzeki. Pod mostem ziała ciemna otchłań. Hunt spojrzął na północ, jakby widział tam bezkres dzikich ostępów, które pokrywały tereny hrabstwa Raven, zalesione skaliste wzgórza i ciągnące się u ich podnóży przeszło trzydziestokilometrowe pasmo bagien. Poczuł na policzku chłodną kroplę deszczu i skinął na stojącego najbliżej funkcjonariusza.

– Poświeć na dół – rozkazał. – Z tej strony.

Podszedł do murku. Przyniesiony z radiowozu reflektor wystrzelił w mrok snopem światła. Jasna plama przesuwiała się chybotliwie wraz z krokami policjanta, który szedł wzdłuż mostu, i dotarłszy na brzeg, wykroiła z mroku spoczywające na ziemi ciało. Parę metrów dalej leżał rower Johnny'ego Merrimona.

Jezu. Dzieciak mówił prawdę.

Hunt czuł, że jego ludzie przechodzą w mroku obok niego. Miał ze sobą czterech mundurowych, a ekipa techników czekała w stanie gotowości. Usłyszał deszczowe staccato na szybie samochodu i kilka kropel rozprysło się na jego głowie. Zbliżał się deszcz, i to w szybkim tempie.

– Rozepnijcie plandekę nad ciałem – zakomenderował. – Pospieszcie się. Trzeba też przykryć balustradę, w tym miejscu.

Chodziło mu o odpryski farby i odłamki szkła, które połyskiwały na asfalcie.

– Gdzieś tu w pobliżu powinien być motocykl. Znajdźcie go. I niech ktoś przekaże, żeby przywieźli namiot. – Rozległ się grzmot i Hunt spojrzął w niebo. – Zaraz tu się zrobi paskudnie.

Siedząc w samochodzie, Johnny poczuł, że jego matka zaczyna drżeć. Najpierw dreszcze wstrząsały jej rękami, potem objęły także ramiona.

– Mamo?

Nie zwróciła na niego uwagi zajęta przekopywaniem torebki. W dolnej części samochodu było ciemno, uniosła ją więc wyżej, do światła, które padało z reflektorów stojącego z tyłu radiowozu. Johnny zobaczył, jak zagląda do środka, przechylając głowę, a potem dał się słyszeć grzechot tabletek w plastikowej fiolce i odgłos zdejmowanej nakrętki. Matka

wytrząsnęła kilka pigułek na otwartą dłoń i odchylając głowę do tyłu, połknęła je na sucho. Jej torebka zsunęła się z powrotem w mrok, a głowa opadła na zagłówek z takim impetem, że aż się od niego odbiła. Kiedy się odezwała, jej głos był pozbawiony emocji.

– Nigdy więcej tego nie rób – powiedziała.

– Nie zrywać się ze szkoły? – spytał chłopiec.

– Nie.

Nastąpiła chwila kłopotliwego wyczekiwania. Johnny poczuł, jak chłód rozlewa się w jego piersi.

– Nie budź we mnie nadziei – dodała matka i odwróciła głowę. – Nigdy więcej mi tego nie rób.

Zdążyli ustawić namiot, zanim rozpętała się ulewa. Naprężona płachta trzepotała smagana strumieniami deszczu, kiedy Hunt przykucnął obok ciała. Hałas był tak wielki, że musiał krzyczeć, aby go usłyszano. Dwaj funkcjonariusze trzymali latarki, a technik z ekipy dochodzeniowej i medyk sądowy klęczeli po drugiej stronie zwłok.

– Zaraz zacznie nas podmywać – odezwał się jeden z mundurowych.

Hunt przyznał mu rację. Późną wiosną burze uderzały z wielką siłą i szybko przechodziły, ale przynosiły mnóstwo wody. To było fatalne oberwanie chmury.

Hunt przyglądał się badawczo obryzganej krwią twarzy, potem przeniósł wzrok na odłamek kości, który wystawał ze zgiętego pod kątem prostym łokcia. Ubranie trupa było pokryte czarnymi, miejscami przechodzącymi w zieleń plamami brudu, które wgryzły się w tkaninę oraz oblepiały podeszwy butów. Nad ciałem unosiła się woń śmierci zmieszana z organicznym zapachem znad rzeki.

– Czy coś już wiadomo? – Hunt zwrócił się do medyka.

– Był wysportowany, dobrze umięśniony. Po trzydziestce, jak przypuszczam. Jego portfel ma jeden z twoich ludzi.

Hunt spojrzał na detektywa Crossa, który trzymał portfel w przezroczywej foliowej torebce na dowody rzeczowe. Cross był potężnie zbudowanym mężczyzną, a jaskrawe światło latarek wydobywało głębokie bruzdy pokrywające jego twarz o grubych rysach. Miał trzydzieści osiem lat i od ponad dziesięciu był gliniarzem. Zasłynął jako bezkompromisowy

sierżant służby patrolowej, wykazując się niezwykłą odwagą pod ostrzałem. Jako detektyw pracował od niespełna pół roku.

– Prawo jazdy na nazwisko David Wilson. Dawca organów, nie nosił szkielek korekcyjnych – mówił Cross, przekazując portfel Huntowi. – Mieszkał w drogiej dzielnicy, nosił przy sobie kartę biblioteczną i plik rachunków z restauracji, kilka z Raleigh, kilka z Wilmington. Żadnych śladów obrączki. Gotówki brak, dwie karty kredytowe, są w portfelu.

Hunt spojrzał na portfel.

– Dotykałeś go?

– Tak.

– To ja prowadzę tę sprawę, Cross. – W głosie Hunta słychać było napięcie, nad którym z trudem panował. – Rozumiesz?

– Tak jest, szefie. – Cross skulił ramiona.

– Rozumiem, że jesteś tu nowy. Ale kierowanie tą sprawą oznacza, że za nią odpowiadam. Za to, czy złapiemy zabójcę, czy nie. Czy znajdziemy tę dziewczynkę, czy nie. – Jego oczy wciąż płonęły, kiedy unosił wyprostowany palec. – Jakkolwiek się to skończy, będę musiał z tym żyć. Noc za nocą będzie to do mnie wracać. Rozumiesz?

– Tak jest, szefie.

– Nigdy więcej nie dotykaj bez pozwolenia dowodów na miejscu zbrodni. Zrobisz to jeszcze raz, a cię wypierdolę.

– Chciałem tylko pomóc.

– Wypad z mojego namiotu. – Hunt gniewnie potrząsnął głową.

Cross odszedł jak niepyszny, a Hunt z powrotem skupił uwagę na denacie. Miał on na sobie szary podkoszulek przesiąknięty potem, krwią i zielonkawoczną mazią. Jego grube bawełniane spodnie były znoszone, a mosiężna klamra zwyczajnego brązowego paska nosiła ślady licznych zadrapań. Spod niedomkniętej powieki wyzierało zmętniałe martwe oko.

– Gorąco w tym namiocie jak cholera – odezwał się patolog Trenton Moore.

Drobny i wątłej budowy, miał przerzedzone włosy i dziobate policzki, a jego seplenienie stawało się tym wyraźniejsze, im głośniej musiał mówić. Był młody i błyskotliwy, a zabierając głos w sądzie jako biegły, robił piorunujące wrażenie, w czym nie przeszkadzała mu nawet wada wymowy.

– Myślę, że uprawiał wspinaczkę skałkową.

– Co proszę?

Doktor Moore kiwnął głową, wskazując podbródkiem na ciało.

– Zobacz jego ręce.

Hunt zaczął dokładnie oglądać dłonie Davida Wilsona. Widniały na nich odciski, zadrapania i otarcia. Paznokcie były równo obcięte, ale brudne. Mogłyby należeć do robotnika budowlanego.

– Co z nimi?

Medyk sądowy chwycił jeden z palców trupa.

– Widzisz to zgrubienie?

Hunt przyjrzał się opuszcze pokrytej grubą warstwą zrogowaciałego naskórka. Doktor Moore rozprostował pozostałe palce – każdy był zakończony podobnym odciskiem.

– Na studiach mieszkałem z jednym kolegą, który się wspinał – wyjaśnił Moore. – Podciągał się, trzymając opuszkami palców za framugę drzwi. Mógł tak zwisać i rozmawiać. Istne szaleństwo. Pomacaj w tym miejscu.

Patolog podsunął Huntowi dłoń ofiary i detektyw dotknął palcem zgrubienia na opuszcze. Było twarde jak podeszwa buta.

– Mój współlokator miał takie same – dodał Moore. – Potwierdzałyby to muskulatura górnej części ciała, nadmiernie rozwinięte przedramiona i skaleczenia na rękach. Teraz oczywiście strzelam w ciemno. Nie powiem nic wiążącego, dopóki nie będę go miał na stole.

Hunt zwrócił uwagę na ułożenie rąk – spoczywały skrzyżowane na piersi mężczyzny. Jego nogi były wyprostowane i leżały równo jedna obok drugiej.

– Ktoś go ruszał – stwierdził.

– Być może. Niczego nie będziemy pewni przed sekcją.

Hunt zmarszczył czoło.

– Chyba nie myślisz, że wylądował w takiej pozycji? – Wskazał na ciało.

Patolog wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Tylko żartowałem, detektywie. Próbuje podchodzić do tego na luzie.

– Nie próbuj. – Hunt wskazał na połamaną rękę i wykrzywioną nogę ofiary. – Myślisz, że do tych złamań doszło, gdy uderzył go samochód czy kiedy upadł z mostu?

– Jesteś pewien, że został potrącony na moście?

– Na jego motocyklu są wyraźne ślady zderzenia. Sprawca zepchnął go ze skarpy, odłamał z drzewa kilka gałęzi i przykrył nimi. Prędzej czy później ktoś i tak by się na niego natknął. Na moście znaleźliśmy ślady lakieru w takim samym kolorze jak ten na baku. Przypuszczam, że laboratorium to potwierdzi. No i mamy jeszcze dzieciaka, który to widział.

– Jest tutaj? – spytał Moore.

Hunt pokręcił głową.

– Odesłałem go do domu radiowozem. Razem z jego matką. Nie był tu potrzebny.

– Ile ma lat?

– Trzyznaście.

– Można mu wierzyć?

Hunt zastanowił się nad pytaniem.

– Nie wiem. Myślę, że chyba tak. To bystry chłopak, trochę pokręcony, ale niegłupi.

– Jaką podaje godzinę zdarzenia?

– Mówi, że ciało przeleciało nad balustradą dwie, może dwie i pół godziny temu.

Doktor Moore wzruszył ramionami.

– To by się zgadzało. Zsinienie jeszcze nie nastąpiło. – Znów skierował uwagę na denata, pochylając się nisko nad jego twarzą. Wskazał palcem krwawy krzyż na jego czole. – Nieczęsto widuje się takie rzeczy.

– Co o tym sądzisz?

– Ja badam ciała, nie motywy. Ma też krew na powiekach. Możecie zdjąć odciski.

– Skąd wiesz, że to ślad palca?

– Tylko tak przypuszczam. Kształt i rozmiar by się zgadzał. – Patolog po raz ostatni wzruszył ramionami. – Ktokolwiek zabił tego faceta, według mnie nie grzeszył inteligencją.

Kiedy Hunt wyszedł spod namiotu, deszcz od razu przemoczył jego włosy i ubranie. Patrząc na most, próbował sobie wyobrazić chrzęst metalu i ciało zataczające łuk w powietrzu. Zastanawiał się, co musiał czuć chłopiec, który zrzędzeniem losu stał się świadkiem tego zdarzenia.

Podszedł do roweru Johnny'ego przesuniętego na bok podczas rozstawiania namiotu. Rozległo się mlaśnięcie, gdy wyciągał go z błota. Brązowa woda ściekała po nakrapianym plamkami rdzy metalu. Hunt odprowadził rower w osłonięte od deszczu miejsce pod mostem. Schroniła się tam garstka gliniarzy, kilku paliło papierosy i tylko jeden z nich wyglądał na bardzo zajętego. Był to Cross. Stał na uboczu z latarką w jednej ręce i planem Johnny'ego Merrimona w drugiej.

Hunt podszedł do niego, wciąż zły o portfel. Cross odezwał się pierwszy.

– Przepraszam – powiedział i wskazał wzrokiem trzymany w ręku plan.

Hunt pomyślał o koszmarach i bezsilności, które wypełniały ostatni rok. To nie było uczciwe, obarczać tym Crossa. Był nowicjuszem i miał jeszcze czas na własne rozterki i nieprzespane noce. Hunt przywołał na twarz wymuszony uśmiech. Nie było to wiele, ale tylko tyle zdołał z siebie wydusić.

– Gdzie to znalazłeś?

Cross wskazał latarką w dół rzeki.

– Leżał przy rowerze tego dzieciaka – powiedział i wzdrygnął się. – Ale to nie dowód, prawda?

To był dowód, ale Hunt powiedział sobie, że musi wyluzować.

– Będzie mi potrzebny.

– Nie ma sprawy.

Hunt odwrócił się, aby odejść, ale Cross go zatrzymał.

– Detektywie...

Hunt spojrzał na potężną sylwetkę kolegi mającą w mroku, który nadawał jego skórze oliwkowozielony odcień, i zobaczył determinację w jego oczach.

– Posłuchaj – zaczął Cross. – Może to nie ma z niczym związku, ale myślę, że powinieneś wiedzieć. Znasz mojego syna?

– Geralda? Tego, co gra w piłkę? Owszem, znam.

Kąćki ust Crossa wykrzywiły się w dół.

– Nie, nie Geralda. Tego młodszego, Jacka.

– Nie, nie znam Jacka.

– No cóż, on tu dzisiaj był z małym Merrimonem. Też się urwał ze szkoły. Ale widzisz, dawno się stąd zmył, zanim cokolwiek zaczęło się dziać. Zadzwonili do mnie ze szkoły, kiedy ogłoszono alarm. Zostałem go

w domu, oglądał kreskówki.

Hunt zamyślił się.

– Powinienem z nim porozmawiać?

– On nie ma o niczym pojęcia, ale porozmawiaj.

– Nie wydaje mi się, aby to miało jakiś związek z tą sprawą – odparł Hunt.

– No dobra. Powiedział mi jeszcze, że twój syn też tu był.

Hunt pokręcił głową.

– Nie sądzę.

– W porze lunchu albo jakoś tak. Razem z dwójką kolegów. – Twarz Crossa była niewzruszona. – Pomyślałem tylko, że powinieneś wiedzieć.

– A Jack jest tego pewien?

– Mój syn jest leniwy, ale nie głupi.

– W porządku, Cross. Dzięki.

Hunt zbierał się już do odejścia, gdy Cross ponownie go zatrzymał.

– A skoro mowa o powiązaniach ze sprawą. Ten facet, który zaatakował małego Merrimona, ten z bliznami na twarzy.

– Co z nim?

– Przyjmujesz, że on nie ma nic wspólnego z tym, co się tu wydarzyło? Ani z ofiarą? Tak uważasz?

– Z morderstwem?

– Właśnie.

– Nie – odparł Hunt. – Nie wyobrażam sobie, jak miałby to zrobić, skoro był półtorej mili dalej, kiedy doszło do kraksy.

– Jesteś pewien?

– A jak ty to widzisz?

– Zakładamy, że w kontakt z Johnnym Merrimonem weszły trzy osoby. Ofiara, czyli Wilson, kierowca, który potrącił go na moście, i ten duży czarny facet z bliznami na twarzy. Zgadza się?

– Taka jest nasza robocza teoria.

– Ale dzieciak widział tylko sylwetkę kierowcy i w zasadzie nie potrafiłby go rozpoznać. Nie jest w stanie nam powiedzieć, czy był on czarny, czy nie. – Cross uniósł mapę. – A to jest plan katastralny tej części miasta. Zobacz w prawym górnym rogu. Tu jest rzeka, a w tym miejscu jesteśmy. – Pokazał palcem. – Widzisz most?

– Widzę.

– Teraz przypatrz się rzece.

Hunt zauważył to od razu. Na południe od mostu rzeka zataczała ciasną pętlę wokół wąskiego cypla, długiego na ponad półtora kilometra, ale wszerz mającego nie więcej jak czterysta metrów. Hunt poczuł nagły przypływ gniewu, tym razem nie na Crossa, ale na samego siebie.

– Ścieżka biegnie wzdłuż rzeki – powiedział.

– Jeżeli Merrimon trzymał się ścieżki, musiał przemierzyć spory kawałek, zanim dotarł do miejsca, w którym został napadnięty. Powiedzmy, dziesięć do piętnastu minut szybkim biegiem. – Cross dotknął palcem mapy. – Gdybym zboczył ze ścieżki i poszedł tędy, znalazłbym się w tym samym miejscu za pięć minut.

– Na przełaj przez las jest bliżej.

– Naprawdę blisko.

Hunt spojrzał w stronę namiotu, który majaczył w strugach deszczu.

– Jeżeli David Wilson został zabity, bo czegoś się dowiedział...

– Czegoś o zaginionej dziewczynce...

– To człowiek, który go zabił, chciał również zabić Johnny'ego – dokończył Hunt.

– A jeżeli wiedział, że rzeka w tym miejscu zakręca...

– To mógł przejść tędy i zacząć się na chłopaka. Johnny biegnie dwanaście do piętnastu minut, zabójca idzie pięć i już czeka, kiedy dzieciak okrąży cypel.

– Cholera. – Hunt wyprężył się. – Przekaż przez radio do wszystkich jednostek, że szukamy potężnie zbudowanego czarnego mężczyzny, wiek od czterdziestu do sześćdziesięciu lat, z dużymi bliznami po prawej stronie twarzy. Jego samochód nosi widoczne ślady stłuczki, najprawdopodobniej na przednim lewym błotniku. Podaj komunikat, że jest on poszukiwany w związku z zabójstwem Davida Wilsona, ale może być również zamieszany w zaginięcie Tiffany Shore. Niech zachowają ostrożność przy zatrzymaniu. Musimy go przesłuchać. Zgłoś to natychmiast.

Cross wyciągnął krótkofalówkę i zaczął mówić. Hunt stał obok i czuł, jak ogarnia go kolejna fala gniewu. Zgnuśniał przez ostatni rok, stracił czujność. Sam powinien był się przyjrzeć, którądy przepływa rzeka, a nie

dowiadawać się tego od jakiegoś początkującego detektywa. Ale najważniejsze, że na to wpadli. Teraz liczyła się dziewczynka, więc musieli na to wpaść. Mniejsza o niego, powinien wgryźć się w tę sprawę. Tiffany zaginęła całkiem niedawno, przed ośmioma godzinami, prawie dziewięcioma. Tym razem musi odnaleźć to dziecko. Zacisnął pięści i przysiągł to sobie.

Tym razem będzie inaczej.

Spojrzał na rower Johnny'ego i w jego głowie rozległ się głos chłopca.

Słowo?

Sięgnął po duże brązowe pióro, które zwisało pod siodełkiem roweru. Było brudne i sponiewierane, a kiedy je gładził, czuł pod palcami ziarnka piachu.

Słowo.

– Zrobione – oznajmił Cross, opuszczając radio. Hunt pokiwał głową. – Co tam masz?

Hunt wypuścił z palców pióro – zakołysało się na sznurku i przyłgnęło do wilgotnej metalowej ramy.

– Nic takiego – odparł. – Pióro.

Cross podszedł bliżej.

– To pióro orła.

– Skąd wiesz?

Cross wzruszył ramionami. Wyglądał na zakłopotanego.

– Urodziłem się w górach. Moja babka jest półkrwi Irokezką. Znała się na tych wszystkich totemach.

– Totemach?

– No wiesz, obrzędy i święte rośliny. – Cross uniósł rękę w stronę rzeki.

– Rzeka to czystość, węże to mądrość, te sprawy. Ja zawsze uważałem to za bzdury.

– Totemy? – powtórzył Hunt.

– Taaa. – Cross wziął pióro do ręki. – To ma właściwości magiczne.

– Jakiego rodzaju?

– Daje siłę. Moc. – Rozległ się grzmot i Cross wypuścił pióro z palców. – Tylko wodzowie noszą orle pióra.

Rozdział 8

Podczas jazdy na tylnej kanapie policyjnego radiowozu matka Johnny'ego osunęła się na ramię syna. Jej głowa przetaczała się, kiedy samochód wchodził szybko w zakręty, i podskakiwała, gdy opony toczyły się po wyboistym bruku. W tyle za nimi została rzeka, ciało martwego mężczyzny, a także to, co pozostało z wiary Johnny'ego w mądrość gliniarzy. Hunt nie chciał brać pod uwagę, że ta sprawa może mieć jakiś związek z Alyssą, i to drażniło chłopca.

Może.

Powiedział to głośno, a potem powtórzył, kiedy oczy Hunta złagodniały.

Może tak jest.

Ale Hunt był zajęty i miał swoje własne koncepcje. Stawał się coraz bardziej zniecierpliwiony uporczywymi naleganiami chłopca, w końcu uciał dyskusję i kazał ich odwieźć do domu.

– Daj sobie z tym spokój – powiedział. – To nie twój problem.

Ale nie miał racji. Johnny przeżywał to całym swoim sercem. To był jego problem.

Radiowóz zatrzymał się na podjeździe. Deszcz bębnił po metalowym dachu, a Johnny patrzył na dom i sączące się z niego migotliwe światło, które padało na małe błotniste podwórko. W środku poruszały się cienie. Na podjeździe stał cadillac Kena, obok samochód wuja Steve'a. Tabletki rozłożyły matkę na dobre. Miała zamknięte oczy, a z jej ust wydobywało się ciche posapywanie. Za pleksiglasową osłoną pokrytą odciskami dłoni i zaschniętymi plwocinami pojawiła się zamazana twarz policjanta.

– W porządku z nią? – zapytał.

Johnny pokiwał głową.

– Jesteśmy na miejscu, chłopcze. – Gliniarz zawahał się, wciąż patrząc na jego matkę. – Trzeba jej pomóc?

Włączył się mechanizm obronny Johnny'ego.

– Nic jej nie jest.

– No to chodźmy.

Chłopiec potrząsnął matkę za ramię. Jej głowa opadła bezwładnie, więc potrząsnął mocniej. Kiedy otworzyła oczy, ścisnął jej rękę.

– Musimy iść – powiedział. – Jesteśmy w domu.

– W domu – powtórzyła.

– Tak, w domu.

Johnny otworzył drzwi i odgłos deszczu przeszedł z metalicznego bębnienia w stłumiony ryk. Strugi wody lały się na mokrą ziemię i obwisłe liście. Do wnętrza samochodu wdarło się ciepłe powietrze.

– Nie zapomnij o torebce – powiedział.

Ruszył w stronę domu, tymczasem radiowóz wycofał w błocie; jego opony zapiszczały, łapiąc przyczepność na śliskim asfalcie. Kiedy Johnny znalazł się na ganku, zdał sobie sprawę, że matki przy nim nie ma. Stała w deszczu z twarzą uniesioną ku niebu i dłońmi zwróconymi grzbietami w dół. Obok w błocie leżała jej torebka. Rozchlapując kałuże, Johnny przypadł do jej boku. Czuł kłujące uderzenia rozpędzonych kropeł.

– Chodź. – Ponownie chwycił ją za rękę. – Chodźmy do środka.

Matka miała zamknięte oczy i coś mówiła, ale jej głos był zbyt cichy, aby chłopiec mógł cokolwiek usłyszeć.

– Co? – spytał.

– Chcę stąd odejść.

– Mamo...

– Chcę wsiąknąć w ziemię i zniknąć z tego miejsca.

Johnny podniósł z ziemi torebkę matki i mocno ścisnął jej rękę.

– Do środka. Już – rozkazał ostro.

Uświadomił sobie, że mówi jak Ken, ale matka poszła za nim.

Wnętrze domu wypełniało jasnożółte światło. Przy kuchennym stole siedział wuj Steve, a przed nim stał rząd puszek po piwie. Ken przechadzał się nerwowo tam i z powrotem, trzymając w grubych palcach szklankę z bourbonem. Obaj skierowali wzrok w stronę drzwi, gdy Johnny wprowadzał matkę do środka.

– W samą porę – odezwał się Ken. – Ten arogancki gliniarz miał czelność mi powiedzieć, że nie mogę z wami jechać. Że mam wracać do domu albo czekać tu z nim. – Wskazał na wuja Steve'a, a w jego głosie wyraźnie było słyhać pogardę. Steve wtulił głowę w ramiona. – Muszę

z kimś o tym porozmawiać. On powinien się dowiedzieć, kim jestem.

– On wie, kim jesteś. Po prostu go to nie rusza. – Słowa wyrwały się z ust Johnny’ego, zanim zdążył je przemyśleć.

Ken zatrzymał się, wlepiając w niego wzrok, i chłopiec wiedział, że teraz sytuacja może rozwinąć się w dwóch kierunkach. Wtedy jednak stanęła za nim matka. Miała błędny wzrok, ociekała wodą, a mokre ubranie lepiło się do jej ciała. Johnny chwycił ją za rękę.

– Chodź – powiedział do niej. – Zaprowadzę cię do pokoju.

– Ja ją zaprowadzę. – Ken ruszył w ich stronę i Johnny poczuł, że coś w nim pękło.

– Nie – powiedział. – Odejdź, Ken. Ona cię teraz nie potrzebuje. Powinna się położyć do łóżka i spokojnie wyspać. Nikt nie powinien jej zaczepiać.

– Zaczepiać... – Twarz Kena poczerwieniała.

Johnny pomyślał przelotnie o składanym nożu, który nosił w kieszeni. Stał pomiędzy Kenem a matką. Pełna napięcia chwila ciągnęła się w nieskończoność, aż wreszcie Ken odsonił w szerokim uśmiechu swe równe i lśniące zęby.

– Katherine. – Spojrzał na matkę Johnny’ego. – Powiedz swojemu synowi, że wszystko jest w porządku.

– Wszystko w porządku, Johnny. – Jej słowa zdawały się dobiegać z bardzo daleka. Zakołysała się lekko, po czym dodała: – Nic mi nie jest.

Odwróciła się od chłopca i powłócząc nogami, weszła do krótkiego i nieoświetlonego korytarza.

– Chodźmy spać. – Oparła się ręką o ścianę i znieruchomiła na trzy długie sekundy. Johnny widział, jak woda spływa po jej twarzy. Gdy się ponownie odezwała, jej słowa nie pozostawiały wątpliwości. – Wracaj do domu, Steve.

Ken odprowadził ją do końca korytarza, obejrzał się i zatrzasnął drzwi do pokoju. Johnny nie słyszał odgłosu zamka, ale wiedział, że klucz został przekręcony. Miał ochotę uderzyć pięścią w ścianę, ale zamiast tego spojrzał na wuja Steve’a, który w milczeniu zbierał puszki ze stołu. Wyrzucił je do kosza na śmieci i sięgnął po ogromny pęk kluczy, za pomocą których można było otworzyć wszystkie drzwi w centrum handlowym. Dla każdego dziecka był to skarb, ale dla Johnny’ego tylko

kupa żelastwa. Steve przystanął w drzwiach. W jego oczach malowało się zakłopotanie i patrzył na Johnny'ego inaczej niż zwykle. Oparł łokieć o futrynę.

– Właśnie tak to wygląda? – spytał, wykonując otwartą dłonią gest, który obejmował chłopca, krótki korytarz i zamknięte drzwi na jego końcu.

– Przeważnie.

– Niech to szlag. – Steve pokiwał głową i Johnny pomyślał, że to wszystko, na co go stać. – A co do dzisiejszego poranka...

– To co? – spytał chłopiec.

– Ona jest po prostu naprawdę piękna – powiedział Steve. Johnny odwrócił się. – Dziękuję, że mnie nie wysypałeś.

Johnny'emu nic już nie pozostało do powiedzenia. Wszedł do swojego pokoju i usiadł na skraju łóżka. Patrzył na zegar stojący na biurku i śledził wzrokiem cienką wskazówkę sekundnika, która przeskakiwała z jednej białej kreski na następną. Odliczał sekundy, dopóki z przeciwległego końca korytarza nie zaczęło dobiegać głucho dudnienie, które wydawało wezglowie łóżka uderzające o ścianę. Wtedy udał się na poszukiwanie kluczy matki.

Dziewięćdziesiąt cztery – myślał, zamykając za sobą frontowe drzwi.

Dziewięćdziesiąt cztery sekundy.

Człapiąc po błocie, dotarł do samochodu matki i uruchomił silnik. Na końcu podjazdu otworzył drzwi, wychylił się i podniósł z ziemi kamień wielkości piłeczki tenisowej.

Dom został w tyle. Johnny prowadził ostrożnie. Przednia szyba była zaparowana i działał tylko jeden reflektor. W jego świetle widział mokry asfalt i zarys pobocza. Przetarł szybę dłonią i rozglądał się za skretem, który prowadził do bogatej dzielnicy miasta.

Zwolnił, wjeżdżając w ulicę, przy której mieszkał Ken. W oddali zamajaczył jego dom, oddzielony od drogi potężnym trawnikiem. Aksamitną murawę przecinały długie ścieżki, a wjazdu na posesję strzegła żelazna brama, której czarny kolor przyprawiał o chłód. Johnny wyłączył światła, gdy opony otarły się o krawężnik, ale nie zgasił silnika. To miało mu zająć tylko chwilę.

Kamień leżał idealnie w jego dłoni.

Rozdział 9

Detektyw Hunt pędził wąską drogą o mokrej nawierzchni. Miejsce zabójstwa znajdowało się trzy kilometry za nim, medyk sądowy pakował ciało do furgonu, a jego ludzie wciąż badali okolicę. Wszystko się zmieniło od momentu, w którym Cross pokazał mu mapę. Elementy układanki w głowie Hunta zaczęły się przesuwać. Uważał, że David Wilson został zabity, ponieważ natrafił na ślad Tiffany Shore.

Znalazłem ją – powiedział chłopcu, i teraz był martwy.

Ale gdzie ją znalazł? W jaki sposób? W jakich okolicznościach? I co najważniejsze, kto go zabił? Hunt był przekonany, że to kierowca samochodu, który zepchnął go z drogi. To miało sens, lecz zakole rzeki podważyło tę logikę. Hunt zakładał, że w chwili zabójstwa na moście i w jego okolicy było trzech ludzi. Wilson, który stał się ofiarą, kierowca samochodu, który go zabił, i przypadkowy czarny mężczyzna, na którego Johnny natknął się po przebiegnięciu trzech kilometrów w dół rzeki. Teraz Hunt musiał zweryfikować tę hipotezę. Być może ten wielkolud nie był kimś, kto znalazł się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie. Być może to właśnie on siedział za kierownicą samochodu, który potracił Davida Wilsona. A może nie.

Dwóch mężczyzn czy trzech?

Cholera!

Hunt musiał porozmawiać z Johnnym, nie później, lecz teraz, w tej chwili. Miał nowe pytania. Połączył się przez radio z dyspozytorem i poprosił o kontakt z załogą radiowozu, którym odesłał Johnny'ego i Katherine do domu. Czekając na połączenie, spojrzął na zegarek i zaklął. Prawie dziesięć godzin. Tyle upłynęło od zaginięcia Tiffany, a statystyki były bezwzględne, tak jak tylko liczby potrafią. Niewielu porwanym udawało się przeżyć pierwszy dzień, właśnie to wynikało ze statystyk.

Czas. Wszystko sprowadzało się do czasu.

Znalazłem ją.

Hunt chciał spytać Johnny'ego o mężczyznę z bliznami na twarzy i o postać, którą widział na moście. Hunt musiał wiedzieć, czy byli to dwaj różni ludzie, czy ten sam człowiek. Żadnych teorii czy spekulacji. Fakty.

– Łączę – odezwał się dyspozytor.

Radio zatrzeszczało i rozległ się inny głos. Hunt podał swój numer identyfikacyjny i zapytał funkcjonariusza o Johnny'ego.

– Właśnie odstawiłem go do domu. Ostatni raz widziałem go, jak stał na podjeździe.

– Jak dawno to było?

– Dwadzieścia minut temu – odparł policjant po chwili zastanowienia.

– Dwadzieścia minut, zrozumiałem. – Hunt rozłączył się.

Po kolejnych pięciu będzie na miejscu. *Szybciej, szybciej.* Naciskał gaz, aż poczuł, że samochód jakby staje się lżejszy, pędząc z niebezpieczną prędkością po śliskiej drodze.

Od wypadku na moście minęły ponad trzy godziny. Ten, kto zabił Davida Wilsona, mógł do tej pory dotrzeć gdziekolwiek, poza granice hrabstwa albo stanu. Hunt nie był jednak co do tego przekonany. Tak długa podróż z porwanym dzieckiem wiązała się z dużym ryzykiem. Gdy ogłoszono alarm i w eter poszedł ogólnokrajowy komunikat, ludzie stali się bardzo czujni. Większości tych zboczeńców zależało na tym, aby porwać ofiarę i od razu zaszyć się w swojej norze. Tutaj Johnny Merrimon miał rację. I o ile niektóre z uprowadzeń były starannie przygotowane, zazwyczaj dochodziło do nich, gdy nadarzyła się okazja. Dziecko pozostawione w samochodzie albo pętające się bez opieki w zatłoczonym sklepie. Dziecko idące samotnie.

Jak Alyssa Merrimon.

Alyssa wracała do domu o zmroku i znalazła się sama na pustym odcinku drogi. Nikt nie mógł wiedzieć, że tam będzie, nikt nie mógł tego zaplanować. Tak samo było z Tiffany Shore, która kręciła się w pobliżu szkolnego parkingu po dzwonku na lekcje. Nadarząca się sposobność. I pożądanie.

Hunt przyhamował, widząc czerwone światło przed skrzyżowaniem, a potem nie zatrzymując się, skręcił w lewo i poczuł, jak tylne koła tracą przyczepność. Odbił kierownicą i wyszedł z poślizgu. Jego myśli krążyły wokół zła. Myślał też o ciężkiej twardej bryle, którą nosił w kaburze pod

ramieniem.

Kiedy rozeszła się wieść o zaginięciu Tiffany, Hunt zarządził szeroko zakrojoną akcję. Rozesłał patrole, by ustaliły miejsce pobytu wszystkich podejrzanych, którzy byli karani za przestępstwa na tle seksualnym. Z większością z nich – podglądaczami i ekshibicjonistami – nie wiązał wielkich nadziei, ale była też spora grupa skazanych za gwałty, molestowanie dzieci i podobne odrażające czyny. Sporządził krótką listę tych najgroźniejszych, obłąkanych sadystycznych osobników, którzy byli zdolni praktycznie do wszystkiego. Ci ludzie nie potrafili zapanować nad złem, które nimi kierowało. Nie istniało dla nich żadne lekarstwo, żadne rozwiązanie. Prędzej czy później Hunt ich przyskrzyni, pozostawało to tylko kwestią czasu. Wiedział, gdzie mieszkają i czym jeżdżą, znał ich zwyczaje i upodobania. Widział zdjęcia i rozmawiał z ofiarami, z pierwszej ręki poznał krzywdy, jakie wyrządzili. Żaden z tych skurwieli nie powinien przebywać na wolności.

Nie w tej chwili. Ani kiedykolwiek.

Większość z nich musiał wykluczyć. Zostali zlokalizowani i przesłuchani. Prawie wszyscy wyrazili zgodę na przeszukanie swoich domów, a każda z tych rewizji przyniosła negatywny wynik. Ci, którzy odmówili, znaleźli się pod stałą obserwacją, a Hunt otrzymywał regularne raporty na ich temat. Wiedział, co i kiedy jedli, czy byli sami, czy nie, a jeżeli nie, to w którym towarzystwie. Znał miejsce ich pobytu, ich zajęcia. Wiedział, kiedy śpią i kiedy wstają. Czy siedzą w domu, czy gdzieś podróżują. Hunt odbierał meldunki i ponaglał swoich ludzi, którzy kontynuowali sprawdzanie listy.

Przebiegł w pamięci nazwiska podejrzanych. Żaden z nich nie mierzył prawie dwóch metrów wzrostu, żaden nie miał na twarzy blizn, jakie opisał mały Merrimon. Jeżeli Cross miał rację, oznaczało to, że mieli do czynienia z nowym graczem, kimś spoza listy. A jeżeli Cross się mylił...

Możliwości było całe mnóstwo.

Hunt wyjął z kieszeni marynarki zdjęcie Tiffany Shore i spojrzał na nie. Dostał je od zrozpaczonej matki zaledwie przed kilkanaście godzinami. Była to szkolna fotografia, na której dziewczynka uśmiechała się z pewną siebie miną. Hunt szukał w jej wyglądzie jakichś cech łączących ją z Alyssą, lecz nie znalazł ich wiele. Alyssa z czarnymi włosami

i delikatnymi rysami twarzy wyglądała młodo, krucho i niewinnie. Jej ciemne oczy były takie same jak oczy Johnny'ego. Tiffany miała pełne usta, idealnie wyrzeźbiony nos, a jej włosy przypominały złocisty jedwab. Na zdjęciu dawała się zauważyć zgrabna szyja, załązki piersi i rozumny uśmiech przywodzący na myśl kobietę, którą kiedyś miała się stać. Dziewczynki wyglądały tak, jak gdyby nic ich nie łączyło, ale tylko pozornie.

Obydwie były niewinne i za obydwie Hunt czuł się odpowiedzialny. Właśnie on. Nikt inny.

Ta myśl wciąż tłukła mu się po głowie, kiedy zadzwonił telefon. Zerknął na wyświetlacz. Naczelnik. Jego przełożony. Odczekał cztery dzwonki i wbrew temu, co podpowiadał mu rozsądek, odebrał połączenie.

– Gdzie jesteś?

Naczelnik nie tracił czasu. Minęło zaledwie dwanaście miesięcy od zniknięcia Alyssy, a teraz szukali kolejnej porwanej dziewczynki. On też był pod presją, i Hunt to wiedział – naciski ze strony rodziny Tiffany, władz miasta, mediów.

– Jestem w drodze do domu Katherine Merrimon. Dotrę tam za kilka minut.

– Jesteś moim głównym śledczym. Powinieneś teraz być w domu Davida Wilsona albo na miejscu zbrodni. Czy ja naprawdę muszę ci mówić takie rzeczy?

– Nie.

Ale szef i tak to robił.

– Skoro przyjmujemy, że Wilson znalazł Tiffany Shore, powinieneś w tej chwili odtwarzać krok po kroku wszystkie jego działania. Dokąd poszedł, z kim rozmawiał. Każda decyzja, jaką podjął tego dnia, każde posunięcie, jakie mogło mieć związek z Tiffany Shore...

– Wiem to wszystko – przerwał ostro Hunt. – Posłałem Yoakuma do jego domu i wkrótce do niego dołączę, ale najpierw muszę zająć się tym.

– Czy ja chcę wiedzieć, po co jedziesz do domu Katherine Merrimon? – W głosie naczelnika wyraźnie pobrzmiwały powątpiewanie i nieufność.

– Jej syn może mieć dla nas informacje.

Hunt wyobraził sobie swojego szefa, lizusów w jego gabinecie, plamy potu na koszuli opinającej jego otyłą sylwetkę. Kiedy się odzywał, mówił

tonem polityka.

– Chcę słyszeć, że jesteś na tropie, Hunt. Jesteś na tropie?

– Co za idiotyczne pytanie.

Hunt znał przyczynę nieufności naczelnika, ale nie potrafił ukryć irytacji, która go ogarnęła. Poświęcił mnóstwo czasu na sprawę Alyssy. I co z tego? Może przeżywał to mocniej niż większość gliniarzy. To było ważne śledztwo, ale nie w takim sensie, jak postrzegał je szef. Dochodziły go słuchy, że Hunt budzi się co noc o trzeciej, że pojawia się w pracy w niedzielę o świcie, by ślęczeć nad dowodami, które widział już setki razy, że zadręcza sędziów prośbami o wystawianie nakazów, które nie przyniosły żadnych rezultatów, że pracuje po godzinach, że angażuje innych gliniarzy i środki, które powinny zostać przeznaczone na inne śledztwa. Patrzył, jak ta sprawa wyniszcza Hunta. Widział jego bladą skórę i wychudłą sylwetkę, przekrwione z niewyspania oczy i sterty akt zalegające na podłodze w jego biurze.

Pojawiły się też inne problemy. Plotki.

– To nie jest pytanie, Hunt. To jest żądanie, rozkaz.

Hunt zacisnął zęby. Z powodu emocji, które tłumił, ledwie był w stanie wykrztusić choćby słowo. Prowadził śledztwa w sprawie poważnych przestępstw. Był najlepszym detektywem w wydziale. To była jego praca, jego życie.

– Powiedziałem, że jestem na tropie.

Hunt usłyszał oddech na linii, a potem stłumiony głos w tle. Gdy odezwał się naczelnik, jego słowa zabrzmiały wyraźnie.

– Nie ma tu miejsca na osobiste zaangażowanie, Hunt. Nie w tej sprawie.

Hunt skierował wzrok prosto przed siebie.

– Zrozumiałem.

– Tu chodzi o Tiffany Shore. O jej rodzinę. Nie o Alyssę Merrimon. Nie o jej brata ani matkę. Czy się rozumiemy?

– Doskonale.

W słuchawce nastąpiła długa pauza, a kiedy szef znowu przemówił, w jego głosie pobrzmiwało ubolewanie.

– Osobiste zaangażowanie źle się dla ciebie skończy, Clyde. Wylecisz na zbity łeb z mojego wydziału. Nie zmuszaj mnie do tego.

– Nie praw mi morałów – odparł Hunt, ale resztę przemilczał. *Nie zamierzam słuchać kazań jakiegoś grubego gliniarza z politycznymi aspiracjami.*

– Straciłeś już żonę. Zachowaj chociaż pracę.

Hunt spojrział w lusterko wsteczne i zobaczył błysk furii w swoich oczach. Wciągnął głęboki haust powietrza.

– Po prostu nie wchodź mi w drogę – odpowiedział tonem, jakiego mógłby użyć rozsądny człowiek. – Okaż odrobinę wiary.

– Przez rok podsycasz tę wiarę, ale tliła się mizernie. Kiedy jutro w nocy będą oddawać gazety do druku, chcę widzieć zdjęcie Tiffany Shore siedzącej na kolanach matki. Na pierwszej stronie. W ten sposób obaj ocalimy swoje kariery. – Szef zrobił pauzę. Hunt również milczał, gdyż obawiał się, że nie zapanuje nad tonem swego głosu. – Daj mi szczęśliwe zakończenie, Clyde. Daj mi je, a będę udawał, że jesteś takim samym gliniarzem jak rok temu.

Po tych słowach naczelnik zakończył połączenie.

Hunt uderzył pięścią w dach radiowozu, a chwilę potem skręcił na podjazd przed domem Johnny'ego. Od razu zauważył, że samochód jego matki zniknął. Kiedy zapukał do frontowych drzwi, wewnątrz domu rozległ się głuchy pogłos. Hunt zajrzał przez małe okienko i zobaczył Kena Hollowaya wyłaniającego się z mrocznego korytarza. Miał na sobie wypolerowane na połysk buty i lekko pomięte spodnie, w które upychał koszulę. Zapiął klamrę pasa ze skóry aligatora i zatrzymał się przed lustrem, aby przygładzić włosy i skontrolować czystość zębów. W prawej ręce trzymał rewolwer.

– Policja, panie Holloway. Proszę odłożyć broń i otworzyć drzwi.

Holloway wzdrygnął się, uświadomiwszy sobie nagle, że jest widoczny przez okienko w drzwiach. Na jego twarzy pojawił się lekceważący uśmiech.

– Kto z policji?

– Detektyw Clyde Hunt. Muszę porozmawiać z Johnnym.

Holloway przestał się uśmiechać.

– Mogę zobaczyć pańską odznakę?

Hunt przyłożył blachę do szyby i odsunął się od drzwi, kładąc dłoń na rękojeści służbowej broni. Holloway ofiarował pieniądze na szczytne cele.

Zasiadał w różnych komisjach i grywał w golfa z wpływowymi ludźmi, ale Hunt już go przejrzał.

Przez rok obserwował Katherine i Johnny'ego. To były przypadkowe spotkania, jak to w sklepie spożywczym, wypowiedziane i przemilczane słowa, sińce i obolałe ruchy, bezradność w oczach chłopca, któremu wydawało się, że jest silny. Hunt naciskał, ale Katherine zazwyczaj była nieobecna, a Johnny się bał. Nie miał nic pewnego, ale wiedział.

Hunt zrobił jeszcze jeden krok w tył i stał teraz metr od drzwi. Za szybą majaczyła ciemna bryła sylwetki Hollowaya, nad wydatnym brzuchem wznosiła się szeroka i muskularna klatka piersiowa. W okienku pojawiła się jego twarz.

– Przychodzi pan w środku nocy, detektywie.

– Jest dopiero dwudziesta pierwsza, panie Holloway. Zostało porwane dziecko. Proszę otworzyć drzwi.

Zachrobotął zamek i drzwi uchyliły się na szerokość stopy. Twarz Hollowaya żłobiły zmarszczki. Hunt zauważył ślady wilgoci na jego włosach, które próbował sobie ułożyć. Jego ręce były puste.

– Co Johnny ma wspólnego z zaginięciem Tiffany Shore?

– Czy może pan odsunąć się od drzwi? – Hunt starał się nadać swojemu głosowi oficjalny ton, choć przychodziło mu to z trudem. Byłby zdolny zastrzelić Kena Hollowaya bez mrugnięcia okiem.

– Oczywiście. – Holloway otworzył drzwi na oścież i stanął z boku, opuszczając dłonie wzdłuż ciała.

Hunt wszedł do środka, a jego oczy bacznie lustrowały wnętrze, dopóki nie natrafiły na broń. Rewolwer kaliber 38 leżał na telewizorze skierowany lufą w stronę ściany.

– Jest zarejestrowany – powiedział Holloway.

– Nie wątpię – odparł Hunt. – Muszę porozmawiać z Johnnym.

– Chodzi o to, co się dzisiaj stało?

Hunt poczuł zapach alkoholu.

– Naprawdę to pana obchodzi?

Holloway uśmiechnął się ponuro.

– Chwileczkę – powiedział, po czym odwrócił się w stronę wnętrza domu i krzyknął: – Johnny!

Odpowiedziała mu cisza. Zawołał jeszcze raz i zaklął pod nosem.

Zniknął w głębi mrocznego korytarza i Hunt usłyszał odgłos otwieranych drzwi, a potem ich trzask. Holloway wrócił bez chłopca.

– Nie ma go.

– To gdzie jest?

– Nie mam pojęcia.

– On ma trzynaście lat. Jest po zmroku i pada deszcz. – W głosie Hunta narastał gniew. – Samochód znikł, a pan nie ma pojęcia, gdzie jest chłopak. O ile mi wiadomo, to świadczy o zaniedbaniu.

– A na ile ja znam prawo, detektywie, to problem jego matki. Ja w tym domu jestem gościem.

Ich spojrzenia spotkały się i Hunt postąpił krok bliżej. Holloway był dwulicowym manipulatorem, układnym i miłym w obejściu, jeżeli tylko służyło to jego celom. Jego imieniem nazywano budynki na terenie college'u. Hunt nie potrafił powstrzymać odrazy.

– Niech pan ze mną nie zadziera.

– Czy to groźba?

Hunt nic nie odpowiedział.

– Nie ma pan pojęcia, kim jestem – dodał Holloway.

– Jeżeli chłopcu stanie się krzywda...

– Mogę jeszcze raz usłyszeć pańskie nazwisko? – przerwał mu Holloway z chłodnym uśmiechem. – Mam jutro spotkanie z burmistrzem i przewodniczącym rady miasta. Chciałbym zrobić z tym porządek.

Hunt przedstawił się ponownie, po czym dodał:

– Porozmawiajmy o chłopcu.

– To mały chuligan. Co pańskim zdaniem powinienem z tym zrobić? Nie jest ani moim synem, ani za niego nie odpowiadam. Chce pan porozmawiać z jego matką? Być może uda mi się ją obudzić. Nie będzie wiedziała, gdzie jest jej syn, ale przyprowadzę ją tu, jeżeli pan chce.

Hunt podziwiał matkę Johnny'ego, odkąd pierwszy raz ją zobaczył. Drobna i pełna życia, przejawiała odwagę i wiarę w obliczu sytuacji, która była nie do zniesienia. Trzymała się dzielnie, dopóki nie zabrakło jej sił, a wtedy doszło do kompletnego załamania. Może to za sprawą żalu, może poczucia winy, poddała się tragicznemu zagubieniu, miotana straszliwymi przeżyciami, które niewielu rodziców potrafi sobie wyobrazić. Już na samą myśl o tym, że jest zdana na takiego pasożyta jak

Ken Holloway, Hunt źle się czuł. Gdyby teraz Holloway wywlókł ją z łóżka, byłoby jeszcze gorzej.

– Sam go znajdę. – Hunt ruszył w stronę wyjścia.

– Jeszcze z panem nie skończyłem, detektywie.

– Ja z panem też nie – odparł Hunt.

Był już przy drzwiach, gdy odezwał się dzwonek komórki Hollowaya. Oparł dłoń na klamce i czekał.

– Tak? – Holloway odebrał połączenie, stojąc plecami do gościa. – Jesteście pewni? Świetnie. Wzywajcie policję. Będę tam za dziesięć minut. – Zatrząsnął klapkę aparatu i odwrócił się do policjanta. – To z agencji ochrony. Jeżeli wciąż szuka pan Johnny'ego, proszę zacząć do mojego domu.

– Czemu?

– Bo ten mały gnój właśnie wybił mi okno kamieniem.

– Na jakiej podstawie podejrzewa pan, że to Johnny?

Holloway sięgnął po klucze.

– Bo to zawsze był on.

– Zawsze?

– To już piąty raz.

Deszcz zostawiał srebrzyste smugi na przedniej szybie, kiedy Johnny jechał powoli ciemnymi ulicami. Rodzice Tiffany Shore byli zamożni i mieszkali zaledwie trzy przecznice od Kena Hollowaya. Kiedyś Johnny poszedł tam na przyjęcie. Zwolnił, przejeżdżając obok domu Tiffany, potem zatrzymał się kawałek dalej. Widział policyjne samochody i cienie, które poruszały się w zasłoniętych oknach. Obserwował dom przez dłuższy czas, a następnie przeniósł wzrok na sąsiednie posesje. Okna tamtych domów jarzyły się ciepłym światłem i Johnny poczuł się bardzo osamotniony na tej ciemnej ulicy. Nikt nie wiedział, co dzieje się za ścianami domu Tiffany, nikt nie był w stanie pojąć tego strachu i gniewu, tego powolnego konania nadziei, za którą nie ma już nic. Nikt tak jak Johnny nie zdawał sobie z tego sprawy. Poza jej rodzicami.

Hunt siedział w radiowozie i patrzył, jak Holloway wychodzi z domu i posyła mu lodowate spojrzenie – z przyjemnością je odwzajemnił. Po

chwili rozległ się warkot wielkiego silnika i cadillac wytoczył się na drogę. Hunt wsłuchiwał się w odgłos deszczu, który bębnił w dach jego samochodu, i patrzył na dom Johnny'ego, z którego sączyło się światło. Gdzieś w środku spała Katherine i wyobrażał ją sobie, jak leży zagrzebana w pościeli, odwrócona plecami do nocnego mroku.

Włączył laptop i wprowadził personalia Johnny'ego Merrimona. Ken składał na niego skargi, ale nie było żadnych wzmianek o zatrzymaniach ani nakazach sądowych. Jakiegokolwiek Holloway żywił podejrzenia co do udziału Johnny'ego w dewastacji jego domu, nie miał na to żadnych dowodów.

Hunt zastanawiał się, po co chłopiec miałby wybijać okno w jego domu. Tylko jedno wyjaśnienie miało sens. Chciał, aby ten człowiek opuścił jego dom, aby zostawił w spokoju jego matkę, i odkrył sposób, który sprawdzał się za każdym razem. Taki człowiek jak Holloway nie opuściłby swojego domu bez włączenia alarmu. Nie na noc.

Pięć takich przypadków i ani razu nie został przyłapany. Hunt pokręcił głową i starał się powstrzymać uśmiech. Naprawdę polubił tego dzieciaka.

Przez kolejne dwie minuty Hunt siedział w radiowozie i przeglądał akta Tiffany Shore. Jej teczka była cienka. Wiedział, w co była ubrana, kiedy widziano ją po raz ostatni. Posiadał wykaz jej znaków szczególnych. Na prawym obojczyku widniało znamię wielkości drobnej monety, a na lewej łydce miała bliznę o haczykowatym kształcie, wciąż jeszcze zabarwioną na różowo. Była dwunastoletnią dziewczynką o jasnych włosach i zdrowych zębach, bez śladów operacji chirurgicznych. Hunt znał jej wzrost, wagę, datę urodzenia. Uzyskał dostęp do numeru jej telefonu komórkowego, ale od poprzedniego dnia w rejestrze nie było żadnych połączeń wychodzących. Jedyne, co mieli, to zeznania dwójki dzieciaków, które słyszały krzyk dziewczynki, ale nie były zgodne co do koloru samochodu, do którego została wciągnięta. Hunt przesłuchał również jej najbliższe przyjaciółki. Na ile było im wiadomo, Tiffany nie miała żadnego sekretnego wielbiciela ani problemów w domu. Dostawała dobre oceny, lubiła konie i może raz całowała jakiegoś chłopaka. Zwyczajna dziewczynka.

Hunt zapisał w aktach pytanie: „Czy Tiffany przyjaźniła się z Alyssą?”. Być może obydwie znały nieodpowiedniego człowieka.

Pomyślał o rzeczach, których mu brakowało. Nie miał rysopisu sprawcy, żadnych zgłoszeń dotyczących podejrzanych zachowań ani numeru rejestracyjnego samochodu. W zasadzie nie miał nic. Mógł jedynie liczyć na Johnny’ego Merrimona i na to, co powiedział mu David Wilson, zanim umarł. Człowiek ten twierdził, że odnalazł dziewczynkę, która została porwana. Gdzie ją odnalazł? W jaki sposób? Żywą czy martwą? Ktokolwiek potrafił Davida Wilsona na drodze, zrobił to celowo. Ale czy był to wielkolud, który napadł Johnny’ego, jak podejrzewał Cross? Czy też ktoś inny?

Zadzwoił na posterunek i poprosił do telefonu jednego ze swoich detektywów.

- Mówi Hunt. Co ustaliliście?
- Nic nowego. Myers i Holiday wciąż są u rodziców Tiffany.
- Jak oni się trzymają? – zapytał Hunt.
- Jest z nimi ich lekarz. Jej matka, no wiesz, starają się ją uspokoić.
- A co z komórką Tiffany?
- Żadnej aktywności. Nie udało nam się też jej namierzyć.
- Czy Yoakum wciąż węszy wokół Davida Wilsona?
- Jest teraz u niego w domu.
- Mamy coś jeszcze na jego temat?
- Tylko tyle, że był profesorem w college’u. Biologii czy czegoś takiego.
- A co z odciskami palców? – dopytywał Hunt.
- Mamy odcisk kciuka zdjęty z powieki ofiary. Sprawdzamy go teraz w bazie. Niedługo będzie coś wiadomo.
- Zgłosili się jacyś ochotnicy?
- Jak dotąd ponad stu. Staramy się ich wszystkich zorganizować, żeby zacząć jak najwcześniej. Od szóstej powinni już przeczesywać teren.

Na linii zapadła cisza, a obydwaj mężczyźni myśleli o tym samym – że to cholernie rozległy teren.

– Potrzeba nam więcej ludzi – stwierdził Hunt. – Wciągnij w to kościoły i kluby obywatelskie. Kiedy zaginęła Alyssa Merrimon, pomagało nam koło setki dzieciaków z college’u. Zadzwoń do dziekana. – Hunt wyrecytował z pamięci numer telefonu. – To życzliwy człowiek. Sprawdź,

co może dla nas działać. I chcę jeszcze raz zasięgnąć języka w szkole Tiffany. Poślij tam jutro najłagodniej wyglądających funkcjonariuszy, jakich zdołasz znaleźć. Najlepiej młode kobiety. Znasz tę zasadę. Nie chcę, żeby nam cokolwiek umknęło tylko dlatego, że jakiś dzieciak będzie się bał z nami rozmawiać.

– Zrozumiałem. Co jeszcze mogę zrobić?

– Nie rozłączaj się. – Hunt otworzył na swoim laptopie wyciąg z ewidencji pojazdów. – Zapisz to i przekaz wszystkim patrolom. – Podał markę, model i numer rejestracyjny. – Ten dzieciak jeździ samochodem matki. To rzech. Nie powinno być trudno go namierzyć. Najpierw zobaczcie na Tate Street, w okolicy domu Kena Hollowaya. Wątpię, aby tam był, ale warto sprawdzić. Jeżeli ktoś zobaczy ten samochód, chcę o tym natychmiast wiedzieć. Zatrzymać i na dołek. Dajcie mi znać, jak już będziecie go mieli.

– Robi się.

– Dobra. Podaj mi adres Davida Wilsona. – Hunt sięgnął po długopis i wtedy zauważył, że coś się rusza na ganku domu Johnny'ego. W mroku zamajaczyła wyciągnięta blada ręka.

Co jest, do cholery?

Usłyszał krzyk stłumiony przez szum deszczu. W ciemności wymacał włącznik reflektorów. Dwa oślepiające snopy światła przebiły się przez deszcz.

– O cholera.

– Detektywie...

Hunt przycisnął telefon do ucha.

– Muszę iść – rzucił pośpiesznie.

– Ale...

Hunt się rozłączył i sięgnął do klamki. Jeszcze raz zaklął, kiedy krople deszczu zaczęły siec go po twarzy, ale kolejny krzyk zagłuszył jego słowa.

Rozdział 10

Trzymając się bocznych ulic, Johnny przejechał na drugą stronę miasta. Jack mieszkał w dzielnicy małych domków i schludnych podwórek, w której roiło się od gliniarzy, sklepikarzy i dostawców. Na trawnikach stały huśtawki i pełno było rozrzuconych zabawek, a w słoneczne dni dzieci bawiły się w berka na ulicach. Dla mieszkańców było to przyjazne miejsce, lecz osobliwe samochody rzucały się w oczy, więc Johnny zaparkował dwie przecznice dalej i ruszył na piechotę w deszczu. W oknie Jacka paliło się światło. Johnny wystawił głowę nad parapet i zobaczył w środku swego przyjaciela, który leżał na łóżku obłożony komiksami. Czytał jeden z nich i drapał się.

Johnny już miał zastukać w szybę, gdy drzwi pokoju Jacka otworzyły się i do środka wszedł Gerald. Wysoki i muskularny, miał na sobie jeansy, był bez koszulki, a na głowie nosił czapkę z godłem drużyny Clemson obróconą daszkiem do tyłu. Powiedział coś, co wkurzyło Jacka, bo rzucił jednym z komiksów, po czym wypchnął brata z pokoju i zamknął drzwi.

Johnny zapukał w szybę i patrzył, jak jego przyjaciel podnosi wzrok. Zapukał jeszcze raz i Jack przeszedł w poprzek pokoju. Okno uchyliło się na kilka centymetrów.

– Jezu, Johnny, nic ci nie jest? – zapytał Jack przez szczelinę. – Słyszałem o tym, co się stało. Nie mogę uwierzyć, że mnie to ominęło. Najprawdziwszy trup.

Johnny zerknął nad ramieniem przyjaciela na drzwi jego pokoju.

– Możesz wyjść na zewnątrz?

– Nie bardzo. – Jack wyglądał na zawstydzonego. – Słyszałeś o alarmie, prawda? O Tiffany Shore?

– Słyszałem.

– Zadzwonili ze szkoły do mojego starego, kiedy nie mogli mnie znaleźć.

– Do mojej mamy też.

– No cóż, przyłapał mnie ze swoim piwem, a jeszcze miałem trochę

w czubie. Teraz jestem umoczony. Matka jest w kościele i modli się o ocalenie Tiffany i za moją duszę. – Chłopiec przewrócił oczami i wskazał kciukiem na drzwi. – Ten kutas mnie pilnuje. Kazali mu mieć na mnie oko. – Jack przysunął się bliżej do szczeliny. – Ale ten trup. To musiało być niesamowite. Co się teraz dzieje? Podśledzałem co nieco z tego, co mówił mój ojciec. Czy on faktycznie miał coś wspólnego z Tiffany?

– Albo z moją siostrą.

– Wątpię.

– Mogło chodzić o nią.

– Minał już rok, Johnny. Bądź realistą. Mało prawdopodobne, żeby...

– Nie mów mi, co jest prawdopodobne.

Jack zawahał się.

– Idziesz dzisiaj, prawda?

– Muszę.

Twarz Jacka spoważniała.

– Nie rób tego. To nie jest dobra pora, żeby się tak kręcić. Wszyscy gliniarze w mieście są teraz postawieni w stan gotowości. Ktokolwiek to zrobił, zaczęli go szukać. Będzie czujny.

Johnny pokręcił głową.

– Tiffany została porwana dzisiaj. Właśnie na początku ludzie popełniają błędy.

– Dokąd się wybierasz?

– Wiesz dokąd.

– Człowieku, nie rób tego. Mówię poważnie. Mam złe przeczucia.

Johnny nie dawał za wygraną.

– Chcę, żebyś poszedł ze mną.

Jack obejrzał się przez ramię. Drzwi nadal były zamknięte.

– Potrzebuję pomocy – powiedział Johnny, opierając palce na parapecie.

– Nigdy się nie zgadzałem, aby iść do tamtych domów. To jest dla mnie granica nie do przejścia, i wiesz o tym.

– Ale to co innego.

– Zabiją cię. Jakiś świrus cię dorwie i ukatrupi. – Na twarz Jacka wystąpiły rumieńce. Wydawało się, że całe jego ciało błaga Johnny'ego. – Nie rób tego.

Johnny odwrócił wzrok w stronę pogrążonych w ciemności domów.

– Dałem ciała, Jack.

– O czym mówisz?

– Ten facet wylądował tuż u moich stóp. Słyszałem, jak pękają jego kości. Wszędzie było pełno krwi. Jedno oko omal nie wypadło mu z czaszki.

– No nie mów. Naprawdę?

– Wiedział, gdzie ona jest. Pojmujesz? Ktokolwiek go potrafił, zrobił to celowo, żeby go uciszyć. – Johnny podniósł zaciśniętą pięść. – A ja tam byłem.

– I co?

– I stchórzyłem. Uciekłem.

– No to uciekłeś. I co z tego? Ja bym już teraz dobiegał do Wirginii.

Johnny nie słyszał słów przyjaciela. Mówił tak, jakby wciąż miał przed oczami tamtą scenę.

– Facet na moście chodził dookoła samochodu. – Chłopiec kręcił głową. – Słyszałem zgrzyt metalu, jakby włókł rurę po ulicy. Słyszałem warkot wielkiego silnika. A tamten na dole robił w portki ze strachu. Kazał mi uciekać.

– No i sam widzisz. Poważna sprawa.

– Czy ty tego nie pojmujesz? Facet wiedział, gdzie ona jest, a ja uciekłem. Ona jest moją siostrą. Bliźniaczką.

– Daj spokój, Johnny.

– Muszę to naprawić. – Twarz Johnny'ego wypełniła całą szerokość szczeliny u dołu okna. – I muszę to zrobić dzisiejszej nocy. To moja szansa, Jack. Mogę to naprawić, ale nie wiem, czy dam radę w pojedynkę. Chcę, żebyś poszedł tam ze mną.

Jack wiercił się niespokojnie. Rzucił rozpaczliwe spojrzenie w stronę zamkniętych drzwi.

– Nie prosź mnie o to. Nie mogę tego zrobić. Nie dzisiaj.

Johnny odsunął się od okna, zły i rozczarowany.

– Co z tobą, Jack? Jeszcze parę godzin temu tak bardzo chciałeś tam iść i szukać. Nie mogłeś się doczekać zabawy w podchody.

– Ale to nie zabawa, prawda? – tłumaczył się Jack. – To się naprawdę stało. Dopiero co. Powiedzmy, że znajdziesz tego faceta... I już po tobie.

– Właśnie nadszedł ten moment. Teraz. W tej sekundzie.

– Johnny...

– Wóz albo przewóz, Jack.

– Ale stary... – Jack zawiesił głos, ale odpowiedź była wypisana na jego twarzy.

Johnny widział to aż nadto wyraźnie.

– Nie ma sprawy – powiedział i po chwili znikł w mroku.

Katherine Merrimon, potykając się, zeszła z ostatniego stopnia prosto pod strugi deszczu. Zgięta w pasie zatoczyła się w kierunku podwórza.

– Johnny! – krzyknęła pobladłymi ustami.

Była bosa, a w jej rozszerzonych źrenicach błyskało szaleństwo. Potknęła się znowu i upadła w błoto. Miała na sobie zbyt duży podkoszulek, który zwisał jej do kolan i po kilku sekundach przemókł całkowicie. Jej gołe nogi połyskiwały umazane błotem.

Była przerażona i prawdopodobnie pod wpływem leków, więc Hunt podszedł do niej ostrożnie. Był już kiedyś świadkiem załamania nerwowego, i właśnie tak to wyglądało, jakby coś w niej pękło.

– Pani Merrimon – odezwał się, wyciągając przed siebie ręce z szeroko otwartymi dłońmi.

– Johnny! – Kobieta uniosła twarz, na której rozpryskiwały się krople deszczu.

Hunt domyślał się, że porwanie Tiffany Shore rozdrapało jej ledwie zabliźnione rany i zaczęła na nowo przeżywać los swojej córki. Obudziła się w pustym domu, odkryła kolejne puste łóżko.

– Pani Merrimon – odezwał się łagodnie Hunt.

Podniosła ku niemu wzrok. Nawet w mocnym świetle reflektorów, które padało na jej twarz, miała wciąż szeroko otwarte oczy.

– Gdzie jest mój syn?

Hunt przyklęknął i położył ręce na jej ramionach.

– W porządku – powiedział. – Wszystko będzie dobrze.

Na sekundę uspokoiła się, a potem jej twarz wykrzywił grymas i przemówiła tak cicho, że ledwie ją słyszał.

– Gdzie jest Alyssa? – zapytała.

Hunt nie potrafił udzielić odpowiedzi. Patrzył, jak przytłacza ją żal. Zgięła się wpół i wbiła rozczapierzone palce w rozmiękłą ziemię.

– Niech pan to powstrzyma – wyszeptała.

Hunt wiedział, co do niego należy. Ta kobieta potrzebowała pomocy. Johnny powinien zostać od niej zabrany i umieszczony w jakimś stabilnym środowisku. Hunt powinien zadzwonić do opieki społecznej, doskonale zdawał sobie z tego sprawę, ale był też świadomy czegoś jeszcze. Jeżeli zabiorą jej syna, zdruzgoce ją to doszczętnie, a do tego nie mógł doprowadzić.

– Błagam, powstrzymaj to. – Kobieta kołysała się, klęcząc w błocie.

– Katherine...

– Moje dzieci...

Hunt przysiadł na piętach i oparł dłoń na jej ramieniu.

– Zaufaj mi – powiedział.

Kiedy spojrzała na niego umęczonymi i zagubionymi oczami, podał jej rękę i pomógł wstać.

Dwadzieścia minut później deszcz ustał. Na podjazd wtoczył się oznakowany radiowóz i kiedy otworzyły się jego drzwi, blask lampki pod sufitem oświetlił na moment jasne włosy. Po chwili na ganek weszła funkcjonariuszka Laura Taylor. Zbliżała się do trzydziestki i miała barczystą sylwetkę, z którą kontrastowała pociągła twarz. Swego czasu durzyła się w Huncie, ale to była zamierzchła historia. Teraz była zakochana w kierowcy rajdowym z Charlotte. Facet nie miał pojęcia, kim ona jest, ale jej to nie przeszkadzało. Stałość liczyła się dla niej najbardziej.

– Nieźle wyglądasz – stwierdziła, marszcząc brwi.

– Co masz na myśli?

Gestem dłoni wskazała na jego ubranie.

– Cały mokry. Zabłocony garnitur. – Uniosła rękę w kierunku jego głowy. – Co to, uprawiasz teraz surfing?

– Surfing? – Hunt dotknął swoich włosów, które ociekając wodą, sięgały mu aż za kołnierz.

– Mogę ci je przyciąć.

– Tak jest dobrze.

– Jak wolisz. – Taylor precyzyjnie się obok niego, aby zajrzeć do wnętrza domu przez otwarte drzwi. – Dosyć niejasno opisywałeś to przez

telefon.

Taylor skrupulatnie trzymała się zasad, ale Hunt nieprzypadkowo wybrał właśnie ją. Pod całą tą gliniarską otoczką, przepisami i surową postawą wobec mężczyzn potrafiła być delikatna. Hunt wiedział, że zachowa się, jak należy.

– Chciałem tylko, żebyś miała na nią oko – wyjaśnił. – Dopilnuj, żeby nie zrobiła żadnego głupstwa.

– Bardzo źle z nią?

– Leży teraz w łóżku, na razie jest spokojna, ale coś zażyła, prawdopodobnie jakieś leki. Raz już pękła, i to się może powtórzyć. To dobra kobieta, a jutro będzie nowy dzień. Myślę, że zasługuje, aby dać jej szansę.

Taylor wyglądała na niewzruszoną.

– W mieście krążą plotki, że jest zdrowo szurnięta.

– W jakim sensie szurnięta?

– Nie spinaj się tak.

– Nie spinam się.

Oczy Taylor zamigotały, a jej twarz rozjaśnił uśmiech.

– Bzdura. Popatrz na siebie. Poblądłe usta i te żyły na szyi. Wyglądasz, jakbym mówiła o twojej matce. Albo o żonie.

Hunt zmusił się, aby przybrać cichy i rozluźniony ton.

– W jakim sensie szurnięta? – powtórzył.

Taylor obojętnie wzruszyła ramionami i przechyliła głowę w stronę domu.

– Kiedyś pojawiła się w szkole, żeby odebrać córkę. Cztery miesiące po tym, jak mała została porwana. Kiedy jej powiedziano, że Alyssy nie ma, nie chciała się stamtąd ruszyć. Zażądała, aby ją przyprowadzono, i zaczęła krzyczeć, kiedy próbowali jej coś tłumaczyć. Nie dało się tego opanować i policjant musiał ją wyprowadzić z terenu szkoły. Potem siedziała jeszcze przez trzy godziny w samochodzie i płakała. A znasz Daniela?

– Tego nowego?

– Jakies sześć tygodni temu dostał zgłoszenie o włamaniu i zastał ją śpiącą w jej starym domu. Po prostu leżała na sofie, w pozycji embrionalnej, jak mówił. – Taylor omiotła wzrokiem podniszczony dom. –

Szurnięta.

Hunt ważył swoje słowa przez długie sekundy, a kiedy przemówił, bardzo się starał coś jej uświadomić.

– Masz dzieci, Lauro?

– Wiesz, że nie. – Odsłoniła w uśmiechu drobne zęby. – Dzieci przeszkadzają w pracy.

– Więc po prostu mi zaufaj. Ona zasługuje, aby dać jej szansę.

Spojrzał jej w oczy, wiedział, że zastanawia się nad sytuacją. Była policjantką, a nie niańką, a jego polecenie nie miało nic wspólnego z drogą służbową czy procedurami.

– Ktoś powinien tu być, na wypadek gdyby wrócił jej syn – dodał. – To uzasadnienie.

– A co poza tym?

– Pilnuj tylko, żeby nigdzie nie wychodziła ani nie zażyła więcej tabletek.

– Nadstawiasz dupę, Hunt, i żądasz ode mnie, żebym też wypięła swój piękny i zgrabny tyłeczek.

– Wiem o tym.

– Skoro jest z nią tak źle, alkohol, leki czy cokolwiek, to dzieciakiem powinien zająć się kurator. Jeżeli coś mu się stanie, dlatego że ty nie podjąłeś stosownych kroków...

– To już moje ryzyko.

Taylor spojrzała na mroczne podwórze, a na jej twarzy pojawiła się troska.

– Ludzie gadają. O niej i o tobie.

– To bezpodstawne.

– Czyżby?

– Ona jest poszkodowaną – rzekł Hunt chłodnym tonem. – I ma męża. Interesuje mnie tylko pod względem zawodowym.

– Myślę, że kłamiesz – odparła Taylor.

– Być może. Ale ciebie nie okłamuję.

Taylor zabębniła palcami po szerokim pasie, przy którym nosiła broń, kajdanki i gaz łzawiący.

– To nie jest błaha sprawa – stwierdziła, a szorstki ton jej głosu gdzieś znikł. – Ma głęboką, kobiecą naturę.

- Pomożesz mi?
 - Jesteś moim przyjacielem. Tylko nie wpakuj mnie w jakiś syf.
 - To dobra kobieta, a ja nie zdołałem uratować jej dziecka. To wszystko.
 - Hunt na długą chwilę zawiesił głos. – Znasz jej syna albo widziałas go kiedyś?
 - Zakładam, że skoro się tu pojawi, to będzie on.
- Hunt pokiwał głową.
- Jestem twoim dłużnikiem.
- Obrócił się w stronę schodów, ale Taylor zatrzymała go jeszcze.
- Ona musi być wyjątkowa.
- Hunt zawahał się, ale nie miał powodu, aby kłamać.
- Obydwoje są – odparł. – Ona i jej syn.
 - Nie chcę im niczego ujmować, ale dlaczego?
- Hunt pomyślał o chłopcu, o tym, jak postrzegał bezbronność swojej matki i robił, co w jego mocy, by ją chronić, gdy wszyscy inni zawiedli. Widział go na zakupach o szóstej rano, widział, jak rzuca kamieniem w okno Kena Hollowaya, nie raz, a pięć razy, byle tylko odciągnąć go od swojej matki.
- Widywałem ich czasem, zanim to wszystko się stało. Zawsze razem, cała czwórka. W kościele, w parku, na koncertach. Byli piękną rodziną. – Hunt wzruszył ramionami i obydwójce milcząco przyznali, że są rzeczy, których nie da się wyrazić. – Nie lubię tragedii.
- Taylor zaśmiała się ponuro.
- Co? – spytał Hunt.
 - Jesteś gliną – powiedziała. – Tu wszystko jest tragedią.
 - Być może.
 - Taaa, racja. – W jej głosie zabrzmiało powątpiewanie. – Być może.

Sto metrów dalej, ukryty w mroku, Johnny patrzył, jak Hunt odjeżdża sprzed jego domu. Oddalił się szybko, ale za to w miejscu, gdzie zwykle parkowała matka, stał inny samochód. Chłopiec w samą porę zauważył sedana, którym jeździł Hunt, i oznakowany radiowóz z wygaszonym kogutem na dachu. Przygryzł paznokiec i poczuł w ustach smak ziemi. Chciał tylko zajrzeć do matki, tylko raz. Ale gliny...

W domu, przed którym zatrzymał się Johnny, mieszkało stare

małżeństwo. W ciepłe dni mężczyzna zasiadał na ganku, palił skręcane papierosy i patrzył, jak jego żona pracuje w ogrodzie. Kobieta nosiła wypłowiałą podomkę, która rozchylała się z przodu, odsłaniając więcej białej skóry i błękitnych żył, niż w mniemaniu Johnny'ego mogło posiadać ludzkie ciało. Zawsze machali do niego i uśmiechali się, kiedy przejeżdżał nieopodal na rowerze. Ona miała czarne od ziemi dłonie, a on zęby żółte od tytoniu.

Johnny wysiadł z samochodu i zamknął drzwi. Do jego uszu dobiegał jakiś szelest i odgłos kapiącej wody, kumkanie żab na drzewach i odległy szum opon samochodu, który skręcał do jednego z domów u stóp wzgórza, oblewając go światłem reflektorów. Pochylony przemknął wzdłuż ściany i zaczął skradać się przez podwórza, które dzieliły go od domu. Okrążył wiatę roztaczającą zapach skoszonej trawy i zgnilizny, minął niebezpiecznie przekrzywioną trampolinę o zardzewiałych sprężynach, przeszedł pod sznurami do suszenia prania, przeskoczył ogrodzenie i zdążył jeszcze w przelocie zauważyć sąsiadów, których prawie nie znał.

Zwolnił, zbliżając się do okna pokoju matki. W środku paliło się żółte światło, a kiedy uniósł głowę, zobaczył ją siedzącą na brzegu łóżka. Zapłakana i upačkana błotem garbiła się apatycznie, jak gdyby pękło w niej coś, co utrzymywało ją w pionie. W ręku miała oprawioną w ramkę fotografię, a jej usta poruszały się, kiedy wodziła palcem po szkle, uginając plecy pod niewidocznym ciężarem. Ale Johnny nie żywił dla niej współczucia. W jego piersi wezbrał nagły gniew. Matka zachowywała się tak, jakby Alyssa przepadła na dobre, jakby nie było już żadnej nadziei.

Była taka słaba.

Ale kiedy fotografia przechyliła się w jej dłoniach, Johnny zobaczył, że to nie widok Alyssy tak zdruzgotał matkę. To było zdjęcie ojca.

Spaliła je. Johnny pamiętał ten dzień, jasne popołudnie, kiedy na podwórku płonęło wielkie ognisko i unosił się gryzący zapach palonych zdjęć, które obracały się w nicość. Pamiętał, jakby to było wczoraj, jak wyrwał jej z ręki trzy fotografie i uciekał, zataczając szaleńcze kręgi, kiedy ona potykała się i krzyczała za nim przez łąki, aby je oddał. Ukrył je potem, jedno w szufladzie ze skarpetkami, a dwa w walizce, którą trzymał dla Alyssy.

To, które miała matka, było inne. Ojciec był na nim młody, miał

rozchylone usta i błyszczące oczy. W garniturze i krawacie wyglądał jak gwiazdor filmowy.

Nagle obraz przed oczami Johnny'ego spowiła mgła. Chłopiec otarł wierzchem dłoni łzę i ruszył przez zarośnięte chwastami podwórze w stronę linii drzew. Zagłębił się w mroku, próbując wyrzucić z pamięci widok matki trzymającej zdjęcie. Sprawiał, że robiło mu się smutno, a smutek odbierał mu siłę.

Johnny splunął na ziemię. Tej nocy nie było miejsca na słabości.

Wąska ścieżka prowadziła go między drzewami, których gęste korony przysłaniały nocne niebo tak szczelnym sklepieniem, że ciemność nabierała zupełnie nowego wyrazu. Za lasem znajdowała się dawna plantacja tytoniu zarośnięta karłowatymi krzewami. Wysokie drzewa ustępowały miejsca pędom trującego bluszczu, które pełzały po gołej ziemi, i wybijałym trojeściom. Sto metrów dalej chłopiec przeskoczył koryto strumienia wypełnione wezbraną brunatną wodą. Kiedy dotarł do starej szopy, przystanął i zaczął nasłuchiwać. Kiedyś zastał w środku dwóch starszych chłopców, którzy palili trawkę. Było to wiele miesięcy temu, ale Johnny wciąż pamiętał, jak rzucili się za nim w pościg. Oparł dłoń o ścianę szopy. Drewniane bale o kwadratowym przekroju były nadgryzione zębem czasu, uszczelnienia wykruszyły się ze starości, ale budynek wyglądał dość solidnie. Johnny przytknął oko do szczeliny i zajrzał do środka. Ciemność. Cisza. Podszedł do drzwi.

Znalazłszy się w środku, stanął na starym wiadrze i sięgnął za nadproże. Musiał mocno wyciągać rękę, aż poczuł pod palcami znajomy przedmiot, dokładnie tam, gdzie go zostawił. Plecak zsunął się z chrobotem i na jego głowę posypał się grad mysich odchodów. Niebieską tkaninę pokrywała pleśń, a wzdłuż szwów na dnie ciągnęły się rdzawe plamy. Johnny poczuł bijący od niego smród ziemi, ptasiego ciała i rozkładających się roślin. Zeskoczył na ziemię przed szopą i poczuł, jak coś ściska go w gardle. Spojrzał w stronę karłowatych krzewów i nasłuchiwał uważnie.

Potem wyciągnął z szopy suche drewno i zbudował ognisko. Wielkie ognisko.

Rozdział 11

Hunt zatrzymał się na podjeździe przed domem Davida Wilsona, gdy porywisty wiatr rozprawiał się z resztkami burzowych chmur. Kałuże na jezdni i krople deszczu na masce samochodu załśniły w srebrzystobiałej poświacie księżyca. Ulica kończyła się na tyłach jakiegoś anonimowego budynku, który stał na obrzeżach kampusu. W dobrze utrzymanych domach mieszkali profesorowie z rodzinami i nieliczni studenci, których rodzice byli na tyle zamożni, aby opłacić czynsz. Nad wąskimi parcelami wznosiły się wysokie drzewa o rozłożystych koronach. Wąskie paski mchu i zielska wyrastały ze spoin między płytami chodnikowymi. W powietrzu unosił się zapach roślinności.

Deszcz, który zatrzymał okolicznych mieszkańców w domach, sprawił również, że obecność policjantów nie wywołała sensacji, jednak Hunt wiedział, że wkrótce się to zmieni. Cztery posesje dalej stał przy krawężniku jakiś mężczyzna z plastikową torbą w ręku i gapił się w jego stronę. Po przeciwnej stronie ulicy żarzył się w mroku ognik papierosa. Hunt zaklął pod nosem i odwrócił się w stronę wejścia. Ceglane ściany niewielkiego domu w stylu Tudorów zdobiły pociemniałe ze starości belki. Od sąsiada oddzielał go wąski trawnik, a w głębi działki stał garaż na dwa samochody. W odsłoniętym oknie Hunt zauważył Yoakuma i ruszył do drzwi.

Wewnątrz drewnianą podłogę znaczyły liczne rysy powstałe na skutek wieloletniego użytkowania i braku dbałości. Po prawej stronie wznosiły się schody z ciemną i wyslizganą poręczą. Z tyłu domu mieściła się kuchnia, gdzie w ostrym świetle lśniły wykończenia w chromowanej stali i białe linoleum. Umundurowany policjant stojący w salonie pozdrowił Hunta skinieniem głowy. Po chwili detektyw natknął się jeszcze na dwóch mundurowych. Żaden z nich nie patrzył mu w oczy, ale on to rozumiał.

Wszystko to wydawało się takie znajome.

David Wilson był profesorem i licowało z tym wewnątrz jego domu – ciemne boazerie, ściany z nieotynkowanej cegły i świeży zapach tytoniu albo zwietrzała woń trawki. Yoakum wyszedł z jadalni i powitał kolegę uśmiechem, który był powierzchowny i pozbawiony wyrazu.

– Nie mam dla ciebie radosnych wiadomości – odezwał się.

Hunt obserwował uważnie wystrój pomieszczeń.

– Zaczynaj od początku.

– Dom należy do uczelni. Przyznano go Wilsonowi jako dodatkowe świadczenie. Mieszkał tutaj od trzech lat.

– Niezła premia – skomentował Hunt.

Zauważył, że inni policjanci obrzucają go ukradkowymi spojrzeniami. Nie uszło to również uwadze Yoakuma.

– Oni się o ciebie martwią – oznajmił ściszym tonem.

– Martwią się?

– Wczoraj minął rok od zniknięcia Alyssy. Wszyscy pamiętają.

Hunt rozejrzał się wokół, mrużąc oczy i zaciskając usta. Yoakum wzruszył ramionami. W jego spojrzeniu też była troska i zakłopotanie.

– Opowiedz mi o Davidzie Wilsonie – powiedział Hunt.

– Był kierownikiem wydziału biologii. Powszechnie szanowanym, na ile zdążyłem się dowiedzieć. Wiele publikował. Młodzież go uwielbiała, władze uczelni też.

– Czy dałeś im jasno do zrozumienia, że Wilson nie jest podejrzanym? Nie chcę bez powodu zrujnować reputacji poczciwego człowieka.

– Powiedziałem, że był kluczowym świadkiem. Że widział coś, co doprowadziło do jego morderstwa.

– Dobrze. Co jeszcze o nim wiesz?

– Możesz zacząć od tego.

Yoakum przeszedł po orientalnym dywanie, prawdopodobnie starszym od samego domu, i wskazał Huntowi ścianę, na której wisiało kilka oprawionych w ramki fotografii. Wszystkie przedstawiały w zasadzie to samo – Davida Wilsona w towarzystwie różnych atrakcyjnych kobiet. Na każdym zdjęciu z inną.

– Kawaler? – spytał Hunt.

– Też pytanie. Części silnika na stole w jadalni. W lodówce stek, piwo i niewiele oprócz tego. Siedemnaście kondomów w szufladzie nocnego

stolika.

– Policzyłeś?

– To moja ulubiona marka. – Yoakum wzruszył ramionami.

– Masz poczucie humoru.

– Kto tu żartuje?

– Jakies dowody mówiące o tym, gdzie i w jakich okolicznościach mógł mieć styczność z Tiffany Shore?

– Jeżeli gdzieś w tym domu kryje się jakaś wielka wskazówka, to jeszcze jej nie odkryłem. Podejrzewam, że o ile faktycznie znalazł tę dziewczynkę, stało się to przez przypadek.

– W porządku – rzekł Hunt. – Przeanalizujmy to. Wiemy, że mieszkał tutaj od trzech lat. Był wysportowany, inteligentny i dobrze zarabiał.

– Wysportowany?

– Patolog twierdzi, że mógł uprawiać wspinaczkę.

– Bystrzak z tego Trentona Moore’a.

– Tak?

– Chodź ze mną – powiedział Yoakum i przeszedł przez kuchnię do wąskich drzwi na tyłach domu. Otworzył je i do środka wdarła się fala ciepłego powietrza. – Garaż jest na końcu podwórza.

Wyszli na wilgotną trawę. Podwórze otaczał parkan z desek, a w rogu stała prosta i niewyszukana bryła garażu. Był zbudowany z tej samej cegły co dom i na tyle szeroki, by pomieścić co najmniej dwa samochody. Yoakum wszedł pierwszy do środka i zapalił światło.

– Zobacz to.

Nad nimi rozciągały się krokwie spadzistego dachu. Na betonowej podłodze czerniły się plamy oleju. Dwie ze ścian były pokryte płytami perforowanymi, a na jednej z nich, na powtykanych w otwory zaczepach wisiało wszelkiego rodzaju wyposażenie wspinaczkowe – zwoje lin, karabińczyki, haki, latarki czołowe i kaski.

– Mówiłem, że się wspinał.

– W trochę dziwnych butach – dodał Yoakum, a Hunt odwrócił się do niego.

Na haczykach wisiały trzy pary skórzanych, sięgających pod kostkę butów. Miały gładką podeszwę z czarnej gumy, która z przodu i po bokach podwijała się ku górze. Hunt wziął jedną z nich.

– Buty wspinaczkowe – wyjaśnił. – Są dobre na skały.
– Wody facet też się nie bał. – Yoakum podniósł wzrok do góry.
– Kajaki. – Hunt wskazał spoczywający na krokwiach długi kadłub. – Tym się pływa po morzu. A tym krótszym po rzekach.

– Na jego nazwisko nie jest zarejestrowany żaden samochód – stwierdził Yoakum.

– Ale na podłodze są plamy oleju. – Hunt zdjął z gwoździa wbitego w futrynę komplet kluczy w grubych osłonach z czarnego plastiku. – Przypuszczam, że to zapasowe. Do toyoty. – Przyjrzał się śladom opon na betonie. – Szeroki rozstaw osi. Może to półciągarówka albo land cruiser. Sprawdź na uczelni. Może jest zarejestrowana na wydział biologii.

– Znaleźliśmy przyczepę zarejestrowaną na Davida Wilsona.

– Przypuszczalnie do motocykla terenowego. Ten, na którym jechał, gdy został zabity, nie był dopuszczony do ruchu ulicznego, więc prawdopodobnie przewoził go na tej przyczepie. Pozostaje pytanie, co robił w tym najbardziej odstręczającym zakątku hrabstwa. Co robił i gdzie to robił.

Wyszli z garażu, zamknęli za sobą drzwi i ruszyli z powrotem w poprzek podwórza.

– Tam są dzikie tereny. Gęste lasy, gruntowe drogi.

– W sam raz do jazdy na takim motorze – dodał Hunt.

– Myślisz, że jego samochód wciąż gdzieś tam jest? – zapytał Yoakum.

Wspięli się na schody prowadzące do wejścia na tyłach domu i przeszli przez kuchnię.

– Musi być.

Hunt przywołał w myślach widok tamtych okolic. Były oddalone o sto sześćdziesiąt kilometrów od stolicy stanu i sto od wybrzeża. Miasto miało pieniądze, które przynosiły mu przemysł, turystyka i golf, ale na północy znajdowała się dzicz porośnięta gęstymi lasami, poprzetykana bagnami, ciasnymi wąwozami i grzbietami granitowych skał. Jeżeli David Wilson wybrał się tam, by pojeździć na motocyklu, jego samochód mógł być wszędzie – przy jakiejś bocznej drodze, nieoznaczonym na mapie szlaku lub w szczerym polu. Gdziekolwiek.

– Musimy przydzielić kilka jednostek na tamten teren. – Hunt dokonał w myślach szybkiej kalkulacji. – Wyślij tam zaraz cztery radiowozy.

– Jest ciemno.

– Teraz – odparł Hunt. – I przekaz drogówce numer rejestracyjny przyczepy.

Yoakum pstryknął palcami i jak spod ziemi pojawił się obok niego umundurowany funkcjonariusz.

– Przekaz policji stanowej numer przyczepy Wilsona. Powiedz im, że ma to związek ze sprawą Shore. Oni już ogłosili alarm.

Policjant odszedł, aby wykonać polecenie, a Yoakum odwrócił się z powrotem do Hunta.

– Co teraz?

Hunt krążył wolno po pokoju, przyglądając się kolekcji zdjęć Wilsona w towarzystwie pięknych kobiet.

– Sypialnia. Piwnica. Strych. Pokaż mi wszystko.

Rozdział 12

Levi ostrożnie stąpał po błocie i śliskich kamieniach. Na rzece widział refleksy światła, które budziły w nim skojarzenia z okresem dzieciństwa. Był w nich jakiś rytm, jakiś porządek, jak w kalejdoskopie, który ojciec podarował mu na rok przed tym, jak zabrał go rak. Droga zaczęła się piąć po wzniesieniu i Levi musiał wolną ręką przytrzymywać się korzeni i młodych drzewek, aby nie zjechać w dół po śliskiej glinie. Krawędziami butów wbijał się w podłoże, aby zapewnić sobie oparcie. Gdy dotarł w końcu na płaski teren, który rozpościerał się przed nim szeroko, przystanął, aby złapać oddech. Po chwili znów ruszył, a rzeka wciąż migotała spod gałęzi wierzb i koron jesionów, spod ambrowców i sosen o długich igłach. Zrobiło się naprawdę ciemno, a właśnie w takich chwilach widział twarze. Widział swoją żonę, która śmiała się z niego, a potem nagle jej twarz czerwieniała i przechodziła w wilgotną czerń. Widział też towarzyszącego jej mężczyznę i jego twarz, która wykrzywiała się, zalewając czerwienią, i robiła się płaska z jednej strony.

Słyszał też dźwięki.

Levi próbował powstrzymać te myśli, pragnął zmyć te obrazy ze swej pamięci, wpompować wodę do jednego ucha, aby wylała się drugim, wypłukując wszystkie brudy. Chciał stać się pusty, zrobić w sobie miejsce na to, co mówił do niego Bóg. Czuł się wtedy szczęśliwy, nawet jeżeli było to tylko jedno słowo powtarzane raz za razem. Nawet jeżeli było to tylko imię, którego dźwięk rozbrzmiewał w jego głowie niczym dzwon kościelny.

Sofia. Levi snów je słyszał. Jej imię.

Kroczył przed siebie i czuł, że po twarzy spływa mu ciepła woda. Dopiero półtora kilometra dalej zdał sobie sprawę, że płacze. Nie zważał na to. Nikt nie mógł go tutaj zobaczyć, ani żona, ani sąsiedzi, ani żaden z tych, którzy stroili sobie z niego żarty, kiedy nie rozumiał, co mówią ludzie; którzy się śmiali, gdy robił się smutny na widok martwych zwierząt na poboczu drogi. Zatem nie powstrzymywał łez. Wsłuchiwał się

w głos Boga i pozwalał, aby łzy spływały po jego okaleczonej twarzy.

Próbował sobie przypomnieć ostatnią noc, którą przespał, ale nie potrafił. Miniony tydzień był kolorowym pasmem rozmazanych obrazów. Kopanie w ziemi. Marsz. I ta rzecz, którą zrobił...

Był tak zmęczony, że zamknął oczy i gdy jedna z jego stóp nie znalazła oparcia, przewrócił się na śliską glinę. Upadł na plecy i zaczął zjeżdżać w dół skarpy po kamieniach, które kaleczyły jego ciało. Uderzył głową w coś twardego i zobaczył oślepiający blask, a potem ból eksplodował w jego boku. Przeszył go na wskroś, straszliwy i dziki. Czuł, że coś pęka, potem szarpnęło nim gwałtownie i zdał sobie sprawę, że zgubił pakunek. Wymachując dokoła rękami, raz dotknął plastikowej folii i poczuł, jak wyslizguje mu się spod palców.

Pudło znalazło się w wodzie.

Boże wszechmogący.

Nie widział go w ciemności. Wlepił wzrok w powierzchnię czarnej wody, na której migotały świetliste punkciki, i zacisnął potężne dłonie.

Nie umiał pływać.

Przejmował się tym zaledwie przez sekundę, a potem wylądował w rzece, nie czekając nawet, aż Bóg każe mu skoczyć. Rzucił się z wyciągniętymi przed siebie rękami i poczuł, jak brudna woda zalewa mu usta. Wynurzył się, spluwając, ale zaraz znów się zapadł pod powierzchnię, a między palcami czuł chłodny wartki prąd. Miotał się i krztusił zdjęty strachem, że umrze, lecz po chwili odkrył, że może stanąć w wodzie, która sięga mu do piersi. Wyprostował się więc i ruszył w dół rzeki, brodząc wśród migocących na powierzchni punkcików, aż znalazł swój pakunek, który uwiązał między konarami zwałonego drzewa.

Przedarł się do brzegu i wypełził na ląd, nie zważając na ból, który paraliżował jego ruchy. Znów pomyślał o swojej żonie.

Nie powinna była robić tego, co zrobiła.

Zwinął się w kłębek, osłaniając sobą pudło. Ból przenikał go na wskroś. Z jego ciałem było coś nie w porządku.

Nie powinna była tego robić.

W końcu Levi zasnął, leżąc zwinięty wokół pakunku, i pojękiwał przez sen, gdy jego potężnymi kończynami wstrząsały dreszcze.

Rozdział 13

– Nic.

Hunt rozglądał się po nisko sklepionej piwnicy pod domem Davida Wilsona. Zgarbiony Yoakum stał za jego plecami. Dwie gołe żarówki tkwiły w pokrytych plamami rdzy obsadkach wkręconych w nieosłonięte legary, w kącie stał wygasły czarny piec centralnego ogrzewania. Hunt zaszurał nogą po podłodze, wzniesając obłoczek kurzu i pleśni, który szybko opadł. W powietrzu unosiła się woń ziemi i wilgotnego betonu.

– Na co liczyłeś? – zwrócił się do niego Yoakum.

Hunt zajrzał do usytuowanej pod salonem i tylną częścią domu części piwnicy, której strop był tak niski, że dorosły człowiek nie mógł stanąć prosto.

– Na szczęśliwy traf. Chociaż raz.

– Nie ma czegoś takiego jak traf, szczęśliwy czy nie.

– Powiedz to Tiffany.

Minęło już piętnaście godzin, odkąd nieznany osobnik wciągnął dziewczynkę do samochodu, a oni nie posunęli się ani o krok w poszukiwaniach. Przetrzęsnęli każdy zakamarek w domu i na terenie posesji, ale nie natrafili na żaden ślad. Hunt uderzył otwartą dłonią w stopień wykonanych z surowego drewna piwnicznych schodów. Posypał się z nich kurz.

– Muszę zajrzeć do syna – powiedział. – Zapomniałem mu powiedzieć, że wrócę późno.

– Po prostu zadzwoń.

– Nie odbierze. – Hunt pokręcił głową.

– Aż tak źle?

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Co mam teraz robić? – zapytał Yoakum.

Hunt wskazał dłonią w górę schodów.

– Zróbcie tu porządek i pozamykaj wszystko. Spotkamy się na

posterunku za pół godziny.

– A co potem?

– Analizujemy wszystkie ewentualności. Modlimy się, aby dopisało nam szczęście. – Hunt przystawił palec do twarzy kolegi. – I nie powtarzaj tego.

– Czego? – Yoakum uniósł rękę.

– Ani jednego cholernego słowa.

Na zewnątrz Hunt natrafił na zbiegowisko sąsiadów, którzy tłoczyli się przy chodniku. Dwaj mundurowi nie pozwalali im podejść bliżej, ale i tak musiał przeciskać się przez tłum, żeby dojść do samochodu. Był już blisko, gdy zaczepił go chudy mężczyzna o gniewnym wyglądzie.

– Czy tu chodzi o Tiffany Shore? – zapytał podniesionym tonem. – Nikt nam niczego nie mówi.

Hunt przeszedł obok niego, a wtedy mężczyzna wskazał ręką na dom Wilsona i odezwał się jeszcze głośniejsze.

– Czy ten człowiek jest w to zamieszany?

Hunt omal się nie zatrzymał, ale poszedł dalej. Nie miał do powiedzenia niczego, co polepszyłoby sytuację.

Siedząc w samochodzie, włączył klimatyzację. Oddalił się od tłumem. Musiał zajrzeć do domu, sprawdzić, co u syna, i chociaż opłukać twarz wodą. Okrążył jednak miasto i skręcił w zjazd, który prowadził prosto do domu Katherine Merrimon. Taylor otworzyła mu drzwi, zanim zdążył zapukać. Na jej twarzy malowało się napięcie, miała zaciśnięte usta i Hunt zauważył, że opiera dłoń na rękojeści służbowego pistoletu. Rozluźniła się na jego widok i wyszła na ganek, zamykając za sobą drzwi.

– Pojawił się? – Hunt pytająco kiwnął głową.

– Dzieciak niestety nie. Ten dupek, Ken Holloway, niestety tak.

– Jakiś problem?

– Wstąpił tu, szukając Johnny'ego. Był taki wściekły, że cały się czerwienił i w kółko nawijał o zniszczonym fortepianie. Jakimś Steinmanem, Steinbecku.

– Steinwayu.

– Tak, no właśnie. Kamień, który wpadł przez okno, uszkodził również fortepian. – Taylor uśmiechnęła się. – Musiał być drogi.

Hunt poczuł, jak podnoszą mu się kąciki ust.

– Możliwe. Sprawił ci jakiś kłopot?

– A jakże. Zaczął się wydzierać na matkę chłopaka, kiedy nie pozwoliłam mu wejść do środka. Gdy kazałam mu się uspokoić, powiedział mi, że mogę przez niego wylecieć z pracy. – W jej głosie słyhać było gniew. – Myślę, że gdyby ten dzieciak tu był, mogłoby mu się coś stać.

– Dawno to było? – Hunt zerknął w kierunku ulicy.

– Może godzinę temu. Zapowiedział, że wróci tu z prawnikiem.

– Poważnie?

Taylor wzruszyła ramionami.

– Chciał się dostać do domu, i to bardzo.

– Jeżeli tu wróci i da ci jakikolwiek pretekst, skuj go – rozkazał Hunt.

– Tak?

– Nie zamierzam pozwolić, aby zrobił krzywdę mojemu świadkowi albo mieszał mi w śledztwie.

– I to jest jedyny powód?

Hunt przygryzł wargę i popatrzył na stojący za nim dom. Czuł zapach zgnilizny wydobywający się spod drewnianego poszycia, widział podarte moskitiery i popękane szyby w oknach. Przypomnił sobie dom, w którym mieszkała Katherine, kiedy zaginęła Alyssa, widział jej ciemne oczy pełne przejmującej wiary, że Bóg zwróci jej dziecko. Często modliła się przy oknie wychodzącym na południe i na jej nieskazitelną skórę padało tak czyste światło, że wyglądała jak anioł. A Ken Holloway kręcił się wokół niej cały czas z uśmiechem na twarzy, oferując pieniądze i wsparcie. Trwało to miesiąc, a kiedy tylko zabrakło jej sił, rzucił się na nią niczym sęp. Teraz była uzależniona od leków, a Hunt nie miał żadnych wątpliwości, kto za tym stał.

– Nienawidzę tego faceta – powiedział Hunt, a jego spojrzenie powędrowało gdzieś w dal. – Tak bardzo, że mógłbym go zabić.

– Ja tego nie słyszałam. – Taylor odwróciła wzrok.

Hunt zauważył, że lekko podniosła ramiona, i poczuł, jak krew napływa mu do twarzy.

– Nie ma o czym mówić.

– Serio? – Taylor przyglądała mu się uważnie.

– Tak.

– Jesteś pewien?

– Tak. Jestem.

– To dobrze – pokiwała głową.

Hunt spojrział w stronę drogi.

– Chyba sobie żartujesz.

Jadący ulicą biały cadillac Hollowaya zwolnił, a kiedy skręcał na podjazd, jedno z jego kół utknęło w rynsztoku. Samochód zatrzymał się na sekundę, silnik zawył głośniejsze i opona wyszarpnęła się z uwięzi. Na krawędzi pobocza czerniała się świeżo rozorana bruzda, a prawa strona podwozia była oblepiona grudami błota i kępkami trawy. Za szybą Hunt zobaczył twarz Hollowaya, jego zaciśniętą szczękę i zaczerwienione policzki. Obok niego siedział mężczyzna z miną wyrażającą rezygnację. Hunt rozpoznał prawnika, którego raz czy dwa widział w sądzie. Jego blada twarz lśniła od wilgoci. Uchylił drzwi i spojrział z niesmakiem dookoła, na dom, błotniste podwórze i policjantów. Gdy wysiadał z samochodu, Hunt pomyślał, że nigdy nie widział tak eleganckich ruchów.

Detektyw zszedł z ganku, a Taylor ruszyła w ślad za nim. Holloway miał na sobie różową koszulę wpuszczoną w nowe jeansy, a jego buty musiały kosztować więcej niż służbowa broń Hunta. Był potężnie zbudowany, ważył ponad dziewięćdziesiąt kilo i wyglądał groźnie, gdy ogarnięty gniewem ciągnął swego adwokata przez błotniste podwórze.

– Powiedz im. – Wyciągnął rękę, wskazując na gliniarzy, a na jego rękę błysnęła miedziana bransoletka. – Powiedz im, jak sprawy się mają.

Prawnik poprawił marynarkę. Miał gładką skórę, idealnie zadbane paznokcie, a jego głos pasował do całości.

– Nie jestem do końca pewien, co ja tu robię – oznajmił. – Tłumaczyłem ci już...

– Jesteś moim adwokatem – przerwał mu Holloway. – Płacę ci za to. A teraz im powiedz.

Prawnik przeniósł wzrok ze swego klienta na policjantów. Poprawił mankiety koszuli, jakby przemawiał w sądzie.

– Pan Holloway jest właścicielem tej posesji i chciałby uzyskać dostęp do swojej własności.

– Ja żądam dostępu – wtrącił się Holloway. – To jest mój dom.

Hunt starał się zachować spokojny ton głosu.

– Kiedy byłem tu poprzednio, powiedział mi pan, że jest tylko gościem w tym domu.

– Tylko tak się wyraziłem. To moja własność.

– Ale Katherine Merrimon jest prawnym najemcą tego domu.

– Pan Holloway pobiera od niej dolara za miesiąc – odezwał się adwokat. – To nie czyni jej najemcą.

– Czyszczenie jest czynszem – odparł Hunt i zmierzył go wzrokiem. – I pan o tym wie.

– Niemniej właściciel ma prawo dokonać przeglądu swej posesji.

– O rozsądnej porze i po uprzednim zawiadomieniu – dodała Taylor. – Nie w środku nocy. Jeżeli życzy sobie zadzwonić do pani Merrimon, nic nie stoi na przeszkodzie.

– Ona nie odbiera telefonu – odpowiedział prawnik.

Holloway postąpił krok do przodu.

– Chcę zobaczyć się z tym chłopcem. On zniszczył wartościowy przedmiot będący moją prywatną własnością i powinien zostać pociągnięty za to do odpowiedzialności. Chcę tylko z nim porozmawiać.

– Czyżby? – Hunt nie potrafił ukryć odrazy i niesmaku.

– Oczywiście. A cóż jeszcze?

– A gdybym panu powiedział, że go tu nie ma? – odparł Hunt, przesuając się do przodu.

Odległość między dwoma mężczyznami zmniejszyła się do kilkunastu centymetrów. Hunt wiedział, że Holloway jest wściekły. Wiedział. Teraz tylko czekał, aż wściekłość weźmie górę. Modlił się o to.

Oczy Hollowaya zwęziły się i Hunt zauważył, że na fasadzie pojawiają się pierwsze rysy. Ten człowiek nie lubił czuć się osaczony, nie znosił sprzeciwu, więc Hunt przysunął się jeszcze bliżej. W spojrzeniu Hunta pojawiła się pogarda, a Holloway połknął przynętę. W ostatniej chwili prawnik również zdał sobie sprawę, co zaraz się stanie.

– Panie Holloway... – Zdażył tylko krzyknąć.

– Czy masz pan pojęcie, kim jestem?

Holloway uniósł dłoń z wyprostowanym palcem i dźgnął nim Hunta w pierś. Nic więcej nie było trzeba. Gładkim i oszczędnym ruchem Hunt

złapał Hollowaya za nadgarstek, okręcił go w miejscu i wygiął jego rękę aż pod łopatki. Holloway zrobił krok naprzód, aby zmniejszyć ucisk, ale Hunt szedł tuż za nim. Doprowadził go do cadillaca i pchnął twarzą na maskę.

– Właśnie dopuścił się pan napaści na funkcjonariusza policji, panie Holloway. W obecności świadków.

– To nie była napaść.

– Proszę spytać swojego adwokata.

Holloway oparł wolną rękę na błotniku i próbował się odepchnąć. Hunt naparł na niego swoim ciężarem.

– A to jest stawianie czynnego oporu – dodał i w jego dłoni błysnęły kajdanki.

Zatrząsnął stalową obręcz na grubym nadgarstku, ściskając ją z całych sił, aż zaskoczył ostatni ząbek. Holloway wrzasnął, a Hunt jednym szarpnięciem wykręcił mu drugą rękę na plecy i przygniatając go do samochodu, założył drugą obręcz kajdanek.

– To są poważne zarzuty, panie Holloway. Pański adwokat później to panu wyjaśni.

Szarpnął zatrzymanego, prostując go. Po arogancji nie zostało ani śladu, lecz gniew wciąż malował się na twarzy Hollowaya.

– Nie masz pan prawa mnie dotykać – warknął.

Hunt chwycił za łańcuszek kajdanek i zaprowadził go do radiowozu, którym przyjechała Taylor, po czym otworzył drzwi i położył dłoń na głowie Hollowaya.

– Nic osobistego – powiedział i wepchnął go na tylne siedzenie. Kiedy zwrócił się do Taylor, w jego głosie nie było śladu ironii ani zadowolenia. – Funkcjonariuszko Taylor, proszę dostarczyć pana Hollowaya na posterunek i zakończyć procedurę.

– Tak jest. – Policjantka miała kamienną twarz, ale aż kipiała z emocji.

Hunt obserwował, jak odjeżdżają; radiowóz z zaczerwienioną twarzą Hollowaya przyciśniętą do szyby i biały escalade ze zniewieściałym adwokatem za obciążoną skórą kierownicą. Oba samochody wspięły się na szczyt wzgórza i znikły z pola widzenia. Ten problem można było odłożyć na jutro. Odpłynął z niego gniew i pozostało tylko gorące mrowienie satysfakcji. Przez chwilę stał samotnie na podwórku i myślał

o Katherine, potem odwrócił się i wszedł do domu. Przycisnął ucho do drzwi jej pokoju. Przyłożył palce do oszlifowanej płyty i przez sekundę wyobrażał sobie, że wchodzi do środka. Widział ją, drobną i bladą, jak nieruchoma siedzi na łóżku, ale uśmiecha się i wyciąga ku niemu rękę.

Hunt czuł, jak ta chwila rozciąga się niczym bezkresna połać rozgrzanego piachu, ale stanowiła tylko przelotną iluzję. Był policjantem, któremu nie udało się odnaleźć jej córki. Ani on nie mógł tego zmienić, ani ona zapomnieć. Byłoby nieuczciwe nawet o to prosić.

Opuścił rękę i skierował kroki do pokoju Johnny'ego. Drzwi były otwarte, a niewielka lampa rzucała krąg żółtego światła na starannie zaścienione łóżko. Pokój ten tak bardzo różnił się od pokoi innych chłopców. Był taki pusty. Hunt nie zauważył w nim żadnych zabawek ani gier, żadnych plakatów na ścianach. Na łóżku leżała grzbietem do góry otwarta książka. Kilka innych stało na kredensie, wciśniętych między dwie cegły. Była tam też fotografia jego matki i trzy zdjęcia Alyssy. Hunt sięgnął po najbliższe z nich. Dziewczynka uśmiechała się na nim oszczędnie, jakby ukradkiem. Fala czarnych włosów zasłaniała jej lewe oko, ale prawe lśniło takim światłem, jakby wiedziała coś szczególnego i jakby z niecierpliwością czekała, że ktoś ją o to zapyta. W porównaniu z tryskającą energią siostrą Johnny wydawał się szary i przygaszony. Hunt zaczął się zastanawiać, czy chłopiec zawsze taki był. Czy po prostu się zmienił.

Hunt pokręcił głową nad absurdalnością świata. Zmiana, jaka zaszła w tym chłopcu, nie była nieznaczną. Świadczyło o tym wszystko, jego zachowanie i nastawienie, gołe ściany pokoju, a nawet jego książki. Nie były to książki, jakie czytują zwyczajni chłopcy. Dotyczyły historii i starożytnych religii, rytuałów wizyjnych i obrzędów myśliwskich Indian prerii. Jedna z nich, poświęcona wiedzy druidów, ważyła prawie półtora kilograma. Dwie inne traktowały o wierzeniach Irokezów. Pochodziły z biblioteki i z tyłu każdej z nich widniała biała kwadratowa naklejka. Hunt sięgnął po tę, która leżała na łóżku, i zobaczył, że Johnny prolongował termin jej zwrotu czternaście razy pod rząd. Ani razu nie przetrzymał. Hunt wyobraził go sobie, jak pedałuje na rowerze dwanaście kilometrów w każdą stronę, żeby pokazać swoją kartę i złożyć podpis we wskazanym miejscu.

Przeczytał tytuł – *Ilustrowana historia hrabstwa Raven* – a potem przyjrzał się stronom, na których książka była otwarta. Po prawej stronie widniała czarno-biała litografia przedstawiająca starszego mężczyznę w idealnie skrojonym garniturze. Siwiejąca broda zakrywała przód kołnierzyka, a oczy połyskiwały niczym kawałki krzemienia. Podpis pod ryciną głosił: „John Pendleton Merrimon, lekarz i abolicjonista. 1858”. Hunt zdał sobie sprawę, że to przodek chłopca. Wyglądał trochę jak jego ojciec, ale w niczym nie przypominał Johnny’ego.

Przerzucił kilka stron i odłożył ją z powrotem na łóżko. Nie wiedział, że matka Johnny’ego stoi w korytarzu, dopóki nie odwrócił się w tamtą stronę. Miała na sobie koszulę, która ledwie okrywała jej ciało, z trudem trzymała się na nogach i opierała dłoń na ścianie, a jej ramiona drżały. Jej oczy wypełniał ból, ale głos brzmiał zadziwiająco spokojnie.

– Johnny, bądź tak miły i powiedz Alyssie, że muszę z nią porozmawiać, kiedy wróci.

– Katherine... – Hunt znieruchomiał z bezradną miną.

– Nie kłóć się ze mną, Johnny. O tej porze powinna być już w domu.

Obróciła się, po czym sunąc dłonią po ścianie, wróciła do swojego pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Zaskrzypiały sprężyny łóżka i nastała cisza.

Wychodząc, Hunt zapalił światło i zamknął drzwi na klucz. Przystanął na podwórzu i próbował się skupić. Powrócił myślami do Tiffany Shore i jej zdruzgotanych rodziców, olbrzymia z bliznami na twarzy, który być może zdążył już uciec, i do Kena Hollowaya. Pomyślał o własnym synu, do którego powinien zajrzeć, i o Johnnym, który nie wiadomo gdzie się podziewał i sam jeden Bóg wie, co robił. Hunt czuł, jak wszystko to kłębi się i przygniata go potężnym ciężarem, ale odepchnął go na bok i wykradł dla siebie jeszcze jedną chwilę. Było to wszystko, na co mógł liczyć, dlatego zagarnął ją tak samolubnie. Stał pod osłoną atramentowego nieba i myślał o Katherine Merrimon, o jej podkrążonych oczach i pustce, która ją ogarnęła.

Wówczas nie liczyło się dla niego nic więcej.

Rozdział 14

Niespełna półtora kilometra dalej rozpalone przez Johnny'ego ognisko buchało w nocnym powietrzu, strzelając w niebo snopami iskier i wywijając pomarańczowymi jęzorami. Chłopiec kucał obok, bosy i bez koszulki. Smugi żółtego światła pełzały po jego spoconej piersi i umazanej sadzą twarzy, na której wzdłuż policzków ciągnęły się ślady brudnych palców. Cień, który rzucał na ścianę szopy stojącej za jego plecami, przypominał sylwetkę zgarbionego olbrzyma. Sięgnął po niebieski plecak, który roztaczał woń ptasiej krwi, pleśni i zasuszonych roślin. Zardzewiałe sprzączki opierały się pod jego palcami, a jeden z pasków zaczął gnić. Chłopiec sięgnął do środka i wyciągnął plik zmiętych kartek. Były zapisane z obu stron, ale on nie patrzył na rzędy liter. Miały przydać się później, więc położył je na ziemi i przycisnął kamieniem wielkości przepiórczego jaja.

Potem w jego rękach pojawił się ciemny skórzany rzemień, do którego przytwierdzone były grzechotki grzechotników i czaszka miedzianki. Grzechotki kupił od jednego dzieciaka w szkole, a miedziankę sam upolował. Szukał jej, chodząc przez cztery dni po lesie, a potem natknął się na nią trzydzieści metrów od domu, gdzie wygrzewała się w słońcu, leżąc na arkuszu starej blachy. Uznał, że tak miało być. Wąż chciał zostać zauważony. Zabił go kawałkiem gałęzi i odciął jego głowę nożem, który dostał od ojca na dziesiąte urodziny.

Drugi rzemień zdobiło pięć orlich piór. Były dwa razy większe od tego, które przypiął do roweru. Trzy lotki miały złocistobrazowy kolor, a dwa były idealnie białe, o twardych szpiczastych końcówkach grubości jego palca. Wciąż rozchodził się od nich zapach ptaka. Na trzech z nich widniały ślady zaschniętej krwi. Krwi orła i jego własnej.

Zamknął oczy i przełożył rzemień przez głowę. Pióra zaszeleściły, a grzechotki zachrobotowały, ocierając się o jego skórę.

Potem wyjął Biblię. Była mocno sfatygowana, z wytłoczonym

pozlaczanymi literami jego imieniem na czarnej okładce. Kiedy był mały, dostał ją zapakowaną w satynowe pudełko od pastora, który powiedział mu, że zawarte w środku słowa są darem od Boga.

Są darem, młody człowieku. Powtórz to razem ze mną.

Ten sam pastor przyszedł do nich, kiedy zaginęła Alyssa. Głos nawet mu nie zadrżał, kiedy zapewniał, że Bóg kocha swoje dzieci i Johnny powinien się modlić. Jeżeli będziesz się modlił dostatecznie żarliwie, mówił, Bóg sprawi, że twoja siostra wróci do domu. Zatem Johnny modlił się, z całej mocy i całym sercem. Przysiągł poświęcić Bogu swoje życie, jeżeli tylko odda mu Alyssę.

Przysiągł mu wszystko.

Johnny pamiętał długie noce spędzone na modlitwach i palce matki wpijające się w jego ramię. Pamiętał jej głos, w którym po raz ostatni słyszał resztki jej sił. Rozpaczliwą, wygłodniałą wiarę.

Pomódl się ze mną, Johnny. Pomódl się za swoją siostrę.

Gdy pastor zjawił się następnym razem, połyskując wypolerowanymi paznokciami i spoconą tłustą twarzą, oświadczył Johnny'emu, że nie modlił się dostatecznie mocno. Postaraj się bardziej, mówił, wyteż swoją wiarę.

Johnny przesunął stopami po wilgotnej ziemi i przybliżył się do ogniska. Oderwał okładkę Biblii, a złote litery z jego imienia zamigotały w blasku płomieni. Poczul przypływ zabobonnego lęku, lecz po chwili włożył okładkę do ognia i patrzył, jak zaczyna się palić. Obserwował ją, dopóki nie zamieniła się w popiół, a potem jedną ręką podniósł plecak i wyrzucił jego zawartość na ziemię. Posypały się z niego zeschnięte liście, kawałki gałęzi i szczapki powiązane w pęczki.

Sylwetka dziecka wycięta z kory brzoźowej.

Czerwona wstążka, która należała do Alyssy.

Johnny owinął sobie wstążkę wokół nadgarstka i przeniósł wzrok z wysuszonego zielska na Biblię, którą wciąż trzymał. Zważył ją w dłoni i odłożył na ziemię, a jej stronicy uniosły się poruszone falą gorącego powietrza, jakby wiedziały, że też skończą w płomieniach.

Widok ten dał chłopcu ponurą satysfakcję. Jemu byli potrzebni starsi bogowie.

Potrzeba ta narodziła się wiele miesięcy temu, a zaczęło się od modlitwy. Zimą zepsuł się piec, w domu nie działało ogrzewanie i kiedy modlił się o powrót siostry, mróz zamieniał jego słowa w parę. Obudził się o czwartej, czując na nagich plecach podmuchy zimnego powietrza, i zaczął modlić się o matkę. Modlił się, aby odstawiła leki i aby wrócił do niej ojciec. Modlił się, aby Ken Holloway długo konał w męczarniach. Te myśli o wybawieniu i gorące prośby o zemstę podtrzymywały go na duchu.

Godzinę później, kiedy słońce pokazało się nad dalekim horyzontem, Ken pobił do krwi matkę Johnny'ego z powodu, którego chłopiec nie był w stanie pojąć. Próbował go powstrzymać, więc i jemu się dostało. I tak się to zaczęło, od bezradności i bólu, od wznoszonych na próżno modłów i książki ze złoconymi literami na okładce, która mówiła o łagodności i uległości.

Żadna z tych rzeczy nie pomogła Johnny'emu. Żadna nie dała mu siły.

Cisnął w płomienie gałązkę cedru, potem sosny, świerka i drzewa laurowego. Stał obok ogniska i pozwalał, aby opływały go kłęby dymu. Łzawiły mu oczy i paliło go w płucach, ale wdychał dym, a następnie wydmuchiwał, najpierw ku niebu i w ziemię, potem na cztery strony świata, w kierunku niewidocznego horyzontu. Zamknął dym w dłoniach i rozprowadzał go sobie po twarzy, wypowiadając przy tym słowa, które wyczytał z książki. Potem rozgniół w palcach owoce jałowca i rozsmarował sobie ich sok na piersi. Powtykał do kieszeni węzowe ziele, podniósł z ziemi wyciętą z kory sylwetkę i też włożył ją do ognia. Wytrysnął z niej snop iskier i popłynął biały dym, a chłopiec nie odrywał od niego wzroku, dopóki ostatnia smużka nie uleciała ku niebu. Wtedy cisnął w ogień swoją Biblię z dzieciństwa.

Zauważył, jak mija ten ułamek sekundy, w którym mógł wszystko odwrócić, wyrwać książkę z żarłocznych płomieni i wrócić do domu, aby pozostać dzieckiem swojej matki, nadal bezbronnym dzieckiem. Pozwolił jednak, aby ta chwila minęła. Kartki skurczyły się trawione ogniem na kształt pąka czarnej róży, i dokonało się.

Był gotów.

Samochód wciąż stał na nieoświetlonym podjeździe należącym do

starszego małżeństwa, które mieszkało przy tej samej ulicy. Johnny widział go, skradając się przez podwórze sąsiada. Jego przesiąknięta wonią dymu wilgotna skóra była ciemna od soku jałowca i popiołu. Przeskoczył ogrodzenie i znalazł się obok przekopanej grządki, z której wyrastały młode, delikatne pędy. Ruszył w stronę samochodu, ale zamarł w bezruchu, gdy w oknie z tyłu domu zabłysło światło. Ujrzał w nim starą kobietę, która opierała pokryte żyłami dłonie na żółtej obudowie umywalki. Zwiesiła głowę, a po jej twarzy pociekł strumień łez, najpierw jeden, a zaraz po nim drugi. Zjawił się mąż, dotknął jej szyi i powiedział jej coś na ucho. Twarz kobiety od razu się rozjaśniła, jakby zagościł na niej uśmiech. Przycisnęła plecy do jego wątlej piersi i zastygli tak, pełni spokoju.

Johnny dotknął swej spoconej i umazanej popiołem piersi i wyczuł pod palcami dobywające się z głębi uderzenia serca. Przez chwilę zastanawiał się, czemu płakała ta staruszka i co takiego powiedział jej mąż, że zdołał wywołać ten przebłysk uśmiechu. Pomyślał o swoim ojcu, który zawsze wiedział, jak postąpić i co powiedzieć. Widok tych dwojga sprawił, że gorzka gruda wezbrała w gardle chłopca, ale zmiażdżył ją siłą woli. Na krótką sekundę jego zęby błysnęły bielą, potem schylił się, przemknął obok okna i znikł.

Nie zauważyli go. Rzadko ktoś go dostrzegał.

W samochodzie czuć było starością i stęchlizną. Wciskając się w sztywny skórzany fotel, Johnny wygiął plecy i wsunął dłoń do kieszeni. Kartki były wygniecione, a ich zapach przywodził na myśl sosnową żywicę i ogień. Wygładził je, przyciskając do uda, i włączył latarkę. Nazwiska były zapisane jego ręką, tak samo jak adresy, a na marginesach widniały daty i uwagi.

Sześciu mężczyzn. Sześć adresów. Notowani za przestępstwa na tle seksualnym. Źli ludzie. Przerazali go, ale nie tak bardzo jak dzień, który upłynął od porwania Tiffany Shore. Johnny doszedł do wniosku, że zrobił to ten sam człowiek, który porwał Alysę. Ci byli najgorsi spośród tych, których Johnny zdołał znaleźć, a szukał wytrwale. Znał ich zwyczaje i zajęcia, wiedział, jakie programy oglądają i o której kładą się spać. Gdyby któryś zaczął zachowywać się inaczej, nie uszłoby to jego uwadze.

Otrząsnął się z lęku i ujął kluczyk w palce. W lusterku wstecznym odbijały się jego okolone czerwonymi liniami oczy z poczernionymi powiekami. Jestem nietykalny, powtarzał sobie, jestem wojownikiem.

Silnik zawarczał i chłopiec wrzucił bieg.

Był teraz wodzem indiańskim.

Rozdział 15

Hunt zadzwonił z samochodu do Yoakuma. Był środek nocy, a na splekanych deszczem drogach panowała pustka.

W słuchawce rozbrzmiewał już trzeci długi sygnał oczekiwania.

Po krótkiej chwili słabości Hunt wyparł myśli o Katherine Merrimon. Trwało to niespełna minutę, gdy stał zadumany przed jej domem, lecz i tak gnębiło go poczucie winy. Wciąż nie natrafił na ślad Tiffany, więc skupił swoją energię na śledztwie, na postawionych pytaniach i podjętych działaniach. Czego im brakowało? Co jeszcze można było zrobić?

Kolejny długi sygnał.

No co jest, Yoakum?

Yoakum w końcu odebrał i przeprosił go.

– Tu jest istne szaleństwo – wyjaśnił, mając na myśli posterunek policji.

– Co się dzieje?

– Robimy to, co nam kazałeś.

– Streść mi to w paru słowach.

– Odcisk palca zdjęty z powieki Wilsona jest przetwarzany przez system. Na razie żadnych trafień, jeszcze to potrwa. Cztery radiowozy przeczesują teren w poszukiwaniu land cruisera, który, jak zgadłeś, jest zarejestrowany na uczelnię. Sporządzamy listę przyjaciół i krewnych Wilsona, kogokolwiek, kto byłby w stanie nam powiedzieć, gdzie był w tym dniu i co robił. Rozpytaliśmy już wśród jego kolegów z pracy, ale żadnego z nich pożytku. Jest garstka notowanych, których nie udało się nam namierzyć, ale pracuje nad tym parę zespołów. Dwóch spośród tych, których szukamy, najprawdopodobniej przebywa poza miastem. Domy pozamykane, w środku ciemno, na wycieraczkach gazety. Dowiedziałem się, że trafił do paki w Wilmington i wkrótce powinienem dostać potwierdzenie. Dwóch dodatkowych funkcjonariuszy opracowuje plan poszukiwań na rano.

– Opowiedz mi o tym planie.

– Jest tak, jak mówiłeś. Zastosujemy ten sam schemat co w przypadku Alyssy Merrimon. Był logiczny wtedy, jest i teraz. Potrzeba nam tylko ludzi. – Yoakum zrobił pauzę. – Posłuchaj, Clyde. Jesteś zorientowany w tym, co się dzieje. Wydałeś rozkazy. Może pojechałbyś do domu, żeby trochę się przespać? Która jest? Koło drugiej? Zajrzałeś już do swojego dzieciaka?

Odpowiedziało mu milczenie.

– Na Boga, Hunt. Czy ty w ogóle do niego zadzwoniłeś?

– Jadę właśnie do ciebie – odparł Hunt.

– Mówię ci to jako przyjaciel, jasne? Powinieneś pojechać do domu. Przespać się parę godzin.

– Żartujesz sobie?

– Nie, absolutnie nie. Już rano byłeś w kiepskim stanie i wątpię, abyś teraz był w lepszym. Damy sobie radę bez ciebie, więc się prześpij. Rano będę cię potrzebował przytomnego. A tym bardziej Tiffany.

Hunt wsłuchał się w szum opon na mokrym asfalcie. Na granicy światła reflektorów migały czarne sylwetki drzew.

– Może przez godzinę – zgodził się Hunt.

– A może dwie – odpowiedział Yoakum. – Cholera, zaszalej i pozwól sobie na trzy. Zadzwonię do ciebie, jeżeli cokolwiek się stanie.

– Dobra. Umowa stoi. – Hunt już miał się rozłączyć, gdy usłyszał głos Yoakuma.

– Widzisz, Clyde. Jesteś w tym dobry. Chodzi mi o pracę. Ale powinieneś ogarnąć pewne rzeczy.

– O czym ty mówisz?

Westchnienie Yoakuma zabrzmiało bardzo wymownie.

– Po prostu weź się w garść, stary.

Yoakum rozłączył się, a Hunt skręcił w stronę domu. Wiedział, że nie zmruży oka, ale zdawał sobie też sprawę, że przyjaciel ma rację. Powinien spróbować. A jego syn...

Cholera. To był zupełnie inny problem.

Zaparkował na podjeździe i wyłączył silnik. W okolicy panowała cisza, więc usłyszał muzykę, zanim jeszcze otworzył drzwi domu. Stłumione dudnienie i zawrodoenie elektrycznych gitar. Przekroczył próg i wszedł po

schodach na piętro. Zapukał do drzwi pokoju syna, chociaż wiedział, że muzyka wszystko zagłusza. W końcu nacisnął klamkę.

Jego wzrok od razu przyciągnęła blada skóra, niemal białe blond włosy i oczy, które tak bardzo przypominały jego własne. Chłopak za dwa tygodnie skończy osiemnaście lat. Miał postawną, wysportowaną sylwetkę. Przez większość swego życia był dobrym uczniem. Porządnym dzieckiem. Zmieniło się to jednak na przestrzeni ostatniego roku. Stał się nonszalancki i nietolerancyjny. Siedział na brzegu łóżka, w sportowych skarpetkach, żółtych szortach i podkoszulku, na którym widniał napis „Cukierek jest słodki, ale seks nie niszczy zębów”. Trzymał w ręku magazyn motoryzacyjny i przytupywał nogą w takt hałaśliwej muzyki.

Hunt przeszedł przez pokój i wyłączył odtwarzacz stereo. Jego syn podniósł głowę i detektyw na moment ujrzał w jego oczach coś, co z łatwością mogło przerodzić się w nienawiść.

– Nie umiesz pukać?

– Pukałem.

Chłopiec z powrotem wlepił wzrok w magazyn i przewrócił stronę.

– Czego chcesz?

– Wiesz, co się dzisiaj stało?

– Tak, słyszałem. Ale nie od ciebie, dzięki. Dowiedziałem się jak wszyscy inni.

Hunt zrobił krok na środek pokoju.

– Byłeś tam? Nad rzeką? – zapytał, ale chłopiec milczał. Przerzucił kolejną stronę. – Znowu urwałeś się ze szkoły? Rozmawialiśmy na ten temat.

– Zostaw mnie w spokoju.

Hunt patrzył na chłopca i odnosił wrażenie, że ma przed sobą obcego człowieka.

– Powiedziałem, zostaw mnie w spokoju.

Hunt zawahał się, tymczasem jego syn wstał. Mięśnie pod jego skórą zadrgały i naprężyły się. Postawa chłopca wyrażała takie otwarte wyzwanie, że przez moment Hunt poczuł, że cały się spina. Trwało to jednak zaledwie kilka sekund. Detektyw zamrugał i zobaczył swojego syna takim, jaki był jeszcze nie tak dawno temu, niesfornym dzieciakiem, ciekawskim i pełnym niewinnego entuzjazmu. Dzieciakiem, który

wstawał o szóstej, żeby zrobić sobie śniadanie, który budował latawce z balsy i papieru pakunkowego. Hunt rozluźnił się.

– Będę na dole. Musimy porozmawiać, więc zastanów się przez kilka minut nad tym, co chcesz mi powiedzieć.

Chłopiec zignorował go. Przeszedł przez pokój i z powrotem włączył odtwarzacz. Muzyka odprowadziła Hunta do drzwi i towarzyszyła mu przez całą drogę do kuchni.

Hunt zasiadł przy kuchennym stole i wybrał numer Yoakuma.

– Coś się zmieniło?

– Nie rozmawialiśmy przed chwilą?

– Owszem. I chcę się dowiedzieć, czy coś się zmieniło od tamtej pory.

– Nic. A jak młody?

Hunt sięgnął po butelkę szkockiej.

– Myślę, że chce mnie zabić.

– Będzie potrzebował alibi? Powiedz mu, żeby zadzwonił do mnie.

Hunt napełnił sobie szklanekę na wysokość dwóch palców i rozsiadł się z powrotem na krześle.

– On potrzebuje matki. Nie potrafię już do niego dotrzeć. – Pociągnął łyk. – Powinien był zamieszkać razem z nią.

– Chłopak nie miał wyboru, Clyde. To ona odeszła i o ile sobie przypominam, nie proponowała mu, aby się do niej przyłączył.

– Mogłem ją do tego zmusić – stwierdził Hunt.

– On z tego wyrośnie.

– Słucha grunge'a i jest gotów postawić się własnemu ojcu.

– Grunge'a. Super! To ci dopiero sensacja.

– Ha, ha, ha – odpowiedział Hunt beznamiętnym tonem.

– Zostań w domu – doradził Yoakum. – Zajmij się dzieciakiem.

– Czas płynie, John. Będę na dziesiątą.

– Nie powtórz tego.

– Czego? – spytał Hunt i usłyszał w swoim głosie ton gniewu.

Yoakum również to zauważył.

– Nie dość już straciłeś, Clyde? Szczerze.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Na litość boską, człowieku. Przede wszystkim zrób porządek ze swoim dzieckiem.

Hunt chciał coś na to odpowiedzieć, coś ciętego i zgryźliwego, ale Yoakum trzasnął słuchawką. Hunt odłożył telefon, pociągnął kolejny łyk szkockiej, po czym wylał resztę do zlewu. Wiedział, że jego przyjaciel ma szczere chęci, zaczął więc zastanawiać się nad istotą problemu. Był uzależniony od swojej pracy, ale to nie było wszystko. W ciszy i mroku pustej kuchni Hunt przyznał się choć raz przed samym sobą, że nie lubi swojego syna. Oczywiście kochał go, ale nie podobały mu się jego zachowania, przekonania i decyzje. Jego syn się zmienił.

Hunt opłukał szklanekę, a gdy się odwrócił, zobaczył Allena stojącego w drzwiach. Ich spojrzenia spotkały się i chłopak pierwszy odwrócił wzrok.

– Tak, urwałem się. No i co z tego?

– Zaczniemy od tego, że złamałeś prawo.

– Czy nie możesz chociaż raz sobie tego odpuścić? – Chłopiec przesunął dłonią po oparciu krzesła. – Dlaczego cały czas musisz być gliną? Nie potrafisz być normalnym ojcem?

– Normalni ojcowie nie przejmują się, kiedy ich dzieci wagarują?

Allen odwrócił głowę.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Na tamtym moście został zabity człowiek. Słyszałeś o tym. Zginął właśnie w tym miejscu, gdzie byłeś.

– Kilka godzin później.

– A gdyby coś ci się stało? Jak miałbym to powiedzieć twojej matce, gdyby przytrafiło ci się coś złego?

– Ale nic mi nie jest, więc masz to z głowy.

– Spotkałeś tam Johnny'ego Merrimona? I Jacka Crossa?

– Wiesz, że tak, w przeciwnym razie byś nie pytał. Właśnie tak robią gliniarze, prawda? W ten sposób przesłuchuje się podejrzanych.

– Czy poza dzisiejszym dniem kiedykolwiek widywałeś Johnny'ego Merrimona?

– Chodzimy do tej samej szkoły, tylko on do niższej klasy.

– Wiem – odparł Hunt. – Ale czy kiedykolwiek miałeś z nim styczność? Rozmawiałeś z nim kiedyś?

– Nikt z nim nie rozmawia. To dziwak.

Hunt wyprostował się, czując, jak wzbiera w nim irytacja.

– W jakim sensie dziwak?

– Nigdy się nie odzywa, no i wiesz, ma takie puste spojrzenie. – Alan wzruszył ramionami. – Jest otępiały, znaczy, tak to bywa z bliźniakami, no wiesz. Trudno coś takiego przeboleć.

– A Tiffany Shore? – zapytał Hunt. – Znasz ją?

Chłopiec pokręcił głową i spojrzał na ojca zaciętym wzrokiem.

– To cię nigdy nie opuści, prawda?

– Co takiego?

– Ta przeklęta praca. – Jego głos stał się piskliwy. – Ta przeklęta, pieprzona praca!

– Synu...

– Robi mi się niedobrze, kiedy słyszę o Alyssie i Johnnym i o tym, jaka to straszna tragedia. Niedobrze mi, kiedy cię widzę z tą teczką, kiedy każdej nocy patrzysz na jej zdjęcie i przeglądasz to wszystko. – Wskazał palcem w kierunku gabinetu Hunta, gdzie kopia akt sprawy Alyssy Merrimon miała swoje stałe miejsce w szufladzie biurka. – Niedobrze mi się robi, kiedy patrzysz jak przez mgłę i nie słyszysz, co do ciebie mówię. Niedobrze mi się robi, kiedy słyszę, jak wracasz o trzeciej w nocy, jak chodzisz i mamroczesz. Rzygam twoim poczuciem winy, jedzeniem na wynos i praniem własnych skarpetek. Mama odeszła z powodu tej twojej obsesji.

– Zaraz, chwileczkę.

– To odpowiednie słowo, prawda?

– Twoja matka zdawała sobie sprawę z charakteru mojej pracy.

– Nie mówię o twojej pracy. Mówię o tym, co przynosiłeś do domu co noc. O twojej obsesji na punkcie matki Johnny’ego.

Hunt poczuł, jak jego serce zaczyna szybciej bić.

– To dlatego odeszła.

– Mylisz się – odparł Hunt.

– Odeszła dlatego, że tobie odbiło na punkcie matki tego dzieciaka!

Hunt zrobił krok naprzód i uświadomił sobie, że jego prawa dłoń jest zwinięta w pięść. Jego syn też to zauważył i uniósł obie ręce. Napiał ramiona i Hunt uzmysłowił sobie, że chłopak jest na tyle rośły, by dać mu radę.

– Uderzysz mnie? – Allen otarł usta wierzchem zaciśniętej dłoni. – No

już, zrób to. Nie boję się ciebie.

Hunt cofnął się i rozprostował palce.

– Nikt nie będzie nikogo bił.

– Tylko tamta rodzina się dla ciebie liczy. Alyssa i Johnny. I tamta kobieta. A teraz jest Tiffany Shore i wszystko zacznie się od nowa.

– Te dzieci...

– Wiem o nich wszystko! O niczym innym od ciebie nie słyszę! To nigdy się nie skończy.

– To moja praca.

– A ja jestem twoim synem. – Głos chłopca był opanowany, ale w jego słowach dało się wyczuć burzę emocji.

Mierzyli się nawzajem wzrokiem, gdy wtem ciszę przerwało wibrowanie komórki. Hunt spojrział na wyświetlacz i zobaczył, że dzwoni Yoakum.

– Muszę odebrać – powiedział, unosząc palec, i otworzył klapkę aparatu. – Lepiej, żeby to była dobra wiadomość.

– Zidentyfikowaliśmy ten odcisk palca.

– Wiecie, do kogo należy?

– Tak, i posuwamy się do przodu.

– Jak daleko do przodu?

– Że nawet nie uwierzysz.

Hunt spojrział na zegarek i obrócił się z powrotem do syna. Patrzył mu w oczy i nienawidził własnych słów, kiedy je wypowiadał.

– Będę tam za dziesięć minut. – Zatrzasnął klapkę telefonu i uniósł rękę. – Allen...

Ale chłopiec już odwrócił się do niego plecami. Tupiąc, wbiegł na górę po schodach i zatrzasnął za sobą drzwi. Hunt spojrział w sufit, zmełł w ustach przekleństwo i wyszedł z domu, gdy na piętrze znów ryknęły głośniki i rozbrzmiała ta sama niewydarzona piosenka.

Rozdział 16

Posterunek policji mieścił się w funkcjonalnym dwukondygnacyjnym budynku z czerwonej cegły na obrzeżach centrum miasta. Hunt przemknął jak burza na pierwsze piętro i zastał tam Yoakuma pochylonego nad mapą.

– Opowiadaj.

– Odcisk jest pewny. To Levi Freemantle, wiek czterdzieści trzy lata, mężczyzna, czarny. Sto dziewięćdziesiąt sześć centymetrów wzrostu, sto trzydzieści pięć kilo wagi.

– Cholera, a myślałem, że dzieciak przesadza.

– Nie, to kawał chłopca.

– Czemu to nazwisko wydaje mi się znajome?

– Freemantle? – Yoakum rozparł się w fotelu. – Tej nocy jeszcze go nie słyszałem.

– Mamy jego zdjęcie?

– W wydziale komunikacji nie figuruje. Nie ma prawa jazdy. Ani karty kredytowej, ani konta bankowego. W każdym razie nic takiego nie znalazłem.

– David Wilson został potrącony przez samochód.

– Może posługuje się prawem jazdy z innego stanu. A może po prostu ma to w dupie.

– Co jeszcze o nim wiemy? – dopytywał się Hunt.

Yoakum przerzucił parę kartek.

– Pojawił się w rejestrze kilka lat temu. Wcześniej żadnych śladów. Nie był notowany. Brak wyciągów bankowych, nie zawierał umów najmu, nie zarejestrował telefonu. Facet był jak duch. Prawdopodobnie wcześniej podlegał innej jurysdykcji. Od tamtej pory mamy kilka zatrzymań, postawiono mu zarzuty. Odsiedział swoje, ale to nic poważnego. Miesiąc tu, dwa miesiące tam. Ale zobacz to. Tydzień temu oddalił się podczas robót w terenie.

– Jest zbiegłym więźniem? Czemu nic o tym nie słyszałem?

– Pisali o tym w gazecie w zeszłym tygodniu, ale dopiero na dziewiątej stronie. To mało ważna sprawa, nie został uznany za groźnego przestępcę. Zresztą to problem hrabstwa.

– Jak uciekł?

– Więźniowie pracowali przy dwupasmówce gdzieś za miastem. Zbieranie śmieci, koszenie trawy. Środki bezpieczeństwa były minimalne. Po prostu sobie poszedł i przepadł w lesie.

– Nie do wiary.

Yoakum uśmiechnął się, odsłaniając białe i gładkie zęby, które wyglądały jak polakierowane.

– Jesteś gotów na gwóźdź programu?

– Co takiego?

– Spędził trochę czasu za kratkami. Zamykali go, wychodził. Ale spójrz na to. Skończył kolejną odsiadkę akurat na trzy dni przed tym, jak została porwana Alyssa Merrimon.

Hunt poczuł ukłucie podniecenia.

– Nie żartuj, Yoakum.

– Mamy jego adres. Jest tutejszy.

– Co z nakazem?

– Wysłałem Crossa, żeby wyciągnął sędziego z łóżka.

– Sędzia jeszcze go nie podpisał?

– Zrobi to.

– Jesteś pewien?

– Dziewczynka jest biała, a jej rodzice bogaci. – Yoakum wzruszył ramionami. – To tylko kwestia czasu.

Hunt rozejrzał się po pokoju, omiatając wzrokiem twarze obecnych.

– Daj spokój, Yoakum. Nie możesz mówić takich rzeczy. Rozmawialiśmy o tym.

Yoakum wyprostował się, a jego głos zabrzmiał niespodziewanie twardo.

– Świat właśnie taki jest, niesprawiedliwy i tragiczny, wołający o pomstę do nieba. Nie możesz mieć do mnie o to żalu.

– Pewnego dnia napytasz sobie biedy takim gadaniem. Więc lepiej trzymaj gębę na kłódkę.

Yoakum wydmuchał balon z gumy do zucia i odwrócił wzrok. Hunt zaczął przeglądać informacje, jakie uzyskali. Levi Freemantle mieszkał przy Huron Street z Rondą Jeffries, białą kobietą, lat trzydzieści dwa. Hunt wprowadził jej nazwisko do komputera. Dwukrotnie zatrzymana za nagabywanie mężczyzn. Nie postawiono jej zarzutów. Raz została aresztowana za posiadanie miękkich narkotyków i skazana. Odsiedziała siedem miesięcy z osiemnastu, zwolniona za dobre sprawowanie. Raz oskarżona o zakłócanie porządku publicznego. Zwykła napaść.

– Ronda Jeffries – mruknął Hunt. – Co ją łączy z Freemantle’em?

– Jedyne, o czym wiemy, to wspólny adres. Mieszkają razem, a może coś więcej.

Hunt dokładnie przeglądał wykaz zatrzymań Freemantle’a. Wydawało mu się, że czegoś w nim brakuje.

– To są duperele wykroczenia. Wtargnięcie na teren prywatny. Włóczęgostwo. Drobne kradzieże w sklepach, na litość boską. Żadnej przemocy, nic na tle seksualnym.

– Tylko tyle mamy.

Dossier wyglądało jak setki innych i było tak nijakie, że Huntowi wydawało się, że zna tego faceta tak samo jak tysiące jemu podobnych, jednak prawie dwa metry wzrostu zdecydowanie go wyróżniały. Dwa razy sprawdził dane i potwierdził informację, że Levi Freemantle został zwolniony z więzienia na trzy dni przed porwaniem Alyssy Merrimon. Tydzień przed zniknięciem Tiffany odłączył się od grupy osadzonych, którzy sprzątali drogę. Jeżeli był to zbieg okoliczności, to zakrawał na cud. Prócz tego zamordowany został David Wilson, który twierdził, że znalazł porwaną dziewczynkę. Freemantle zostawił odcisk palca na jego ciele. Opis Johnny’ego pasował. Wszystko zgrywało się w czasie. I to zakole rzeki.

– Zadzwoń do Crossa – zakomenderował Hunt, odkładając papiery. – Dowiedz się, na czym stoimy.

– On wie, co robić.

– Zadzwoń do niego, John.

Yoakum wybrał numer komórki Crossa i zapytał go, kiedy wróci z nakazem. Gdy się rozłączył, jego głos brzmiał bezbarwnie.

– Mówi, że nie wie. Sędzia nie zamierza się pospieszyć.

– Cholera. – Hunt podniósł się z krzesła. – Wybierzmy się na przejazdzkę.

Yoakum złapał kurtkę i narzucił ją, wybiegając za Huntem.

– Ale nie wejdziemy tam bez nakazu, prawda? – zapytał.

– Byłoby to niemądre.

– To nie jest odpowiedź.

Hunt zignorował go, zbiegając z głośnym tupotem po schodach.

– Do jasnej cholery, Clyde – Yoakum podniósł głos. – To nie jest odpowiedź.

Huron Street odbijała ostrym łukiem w lewo od jednej z głównych miejskich arterii i nikła po drugiej stronie torów kolejowych, przeszło sześć kilometrów od centrum. Ta część miasta leżała na skraju pasma piaszczystych wzgórz, o czym przypominały panujące tam temperatury i roślinność. Nagrzany piasek długo trzymał ciepło, więc powietrze było gorące, ale drzewa nie rozrastały się bujnie na tak marnej glebie. Na podwórzach domów stojących przy wąskiej i niezbyt długiej ulicy rosły chwasty i miotały się psy na łańcuchach. Hunt znał tę okolicę na tyle dobrze, by niczego nie lekceważyć. Przed dwoma laty prowadził tu śledztwo w sprawie morderstwa, do którego doszło dwie przecznice od głównej drogi. Kobieta została zadźgana we własnej wannie i okazało się, że zrobił to jej syn, któremu nie chciała pożyczyć pieniędzy. Zginęła z powodu pięćdziesięciu dolarów.

Bezwzględni ludzie. Parszywa okolica.

Hunt skręcił w lewo i zwolnił, minawszy dwie posesje. Ominął roztrzaskaną butelkę, zgasił światła i zatrzymał samochód. Ulica rozciągała się przed nim niczym rzeka ciemności i nędzy, niknąc za srebrnymi torami, które prowadziły do lepszego świata. Słabe niebieskie światło sączyło się przez zasłony w domu po lewej. W zaroślach grały świerszcze.

– To zły pomysł – oświadczył Yoakum.

Hunt zacisnął szczęki.

– Mieszka w ostatnim kwartale, po prawej.

Yoakum odwrócił głowę. Jego wargi zacisnęły się w wąską kreskę, kiedy usiłował przeniknąć wzrokiem ciemność. Hunt również bacznie

obserwował ulicę. Widział posępne podwórza z wyjeżdżonymi koleinami, które biegły od drzwi do drogi, porzucony przy krawężniku stary materac, sofy stojące na gankach, samochody bez kół oparte na ceglach. Nawet niebo wydawało się w tym miejscu bardziej mroczne.

Dwa domy dalej uwiązany na łańcuchu pitbul przechadzał się nerwowo tam i z powrotem, nie spuszczając ich z oczu.

– Nienawidzę tego syfu – odezwał się Yoakum.

– Podjedźmy kawałek dalej.

– Po co?

– Chcę zobaczyć, czy pod jego domem stoi samochód. I czy świeci się w oknach – oznajmił Hunt, wrzucając bieg.

Samochód ze zgaszonymi światłami przetoczył się sześć metrów dalej, a pitbul znieruchomiał.

– To był zły pomysł. – Yoakum wyprężył się, przyciskając plecy do fotela.

Pies rozciągnął łańcuch na całą długość i zaczął ujadać z taką zaciekłością, że wydawało się, jakby był w środku samochodu. Wkrótce przyłączyły się do niego inne psy. W oknach dwóch domów zabłysło światło.

– Zły pomysł – zgodził się Hunt.

Wrzucił wsteczny, wycofał samochód i zaparkował za rogiem. Obaj policjanci nie odzywali się przez minutę.

– To może być problem. – Yoakum przerwał milczenie.

– Te psy?

– Zorientuje się, że jedziemy, nim zdążymy się stąd ruszyć.

– A może nie. – Hunt spojrzał na zegarek.

– Niby jak?

– Zaufaj mi.

Wyciągnął komórkę i zadzwonił do Crossa, a ten odebrał po pierwszym sygnale.

– Potrzebny mi ten nakaz – powiedział. – Muszę go mieć za dwadzieścia minut.

– To przez tego sędziego. – W głosie Crossa słychać było frustrację. – Po raz trzeci analizuje oświadczenie.

– Co? Ten dokument jest czysty jak łąza. Popełnienie czynu bardzo

prawdopodobne. Wpłyn jakoś na niego.

– Już próbowałem.

– Który to sędzia? – zapytał Hunt, a Cross podał mu nazwisko. – Poproś go do telefonu.

– Nie będzie chciał z tobą rozmawiać.

– Po prostu daj mu telefon.

Hunt czekał, a Yoakum rozglądał się na boki.

– Będziesz wywierał na niego presję?

– Zamierzam mu zagrozić.

W słuchawce rozległ się głos sędziego.

– To jest wysoce niestosowne, detektywie.

– Czy jest jakiś problem z wystawieniem nakazu? – zapytał Hunt.

– Mam pańskie oświadczenie i wydam decyzję, kiedy okoliczności...

Hunt wszedł mu w słowo.

– Dwunastoletnie dziecko umiera, podczas gdy sędzia ociąga się z wydaniem nakazu. Takie będą nagłówki, jeżeli się spóźnimy. Znam w prasie ludzi, którzy są mi coś winni. Osobiście o to zadbam.

– Nie ośmieli się pan.

– Żeby się pan, kurwa, nie zdziwił.

Trzydzieści minut później policjanci zebrali się w komplecie na opustoszałym placu na tyłach jednego z miejscowych banków. Cross przywiózł nakaz. Było dziesięć po trzeciej, wszystko spowijał mrok i panowała cisza. Latarnia uliczna nad ich głowami zaskwierczała i przepaliła się z głośnym trzaskiem. Pięciu gliniarzy, a wliczając Hunta – sześciu. Hunt nałożył przez głowę kamizelkę kuloodporną, zapiął taśmy Velcro i po raz drugi sprawdził broń. Yoakum znalazł go za granatową furgonetką z niewielką złotą tarczą na tylnych drzwiach.

– Jesteś gotowy?

– Powinniśmy poczekać – powiedział Yoakum z troską w głosie.

– Nie.

– Idąc tam po ciemku, niepotrzebnie ryzykujemy. Obcy dom, nieprzyjazna okolica. Usłyszy szczekanie psów, kiedy będziemy trzy przecznice od niego.

– Wyruszamy w tej chwili.

Yoakum pokręcił głową.

– Przez ciebie stanie się komuś krzywda.

– Każdy tutaj wie, na co się pisze. To nie drużyna skautów.

– Teraz to nie żaden zblazowany sędzia, który działa ci na nerwy. To jest ulica. A ty narażasz dobrych gliniarzy, chociaż tych parę godzin całkowicie zmieniliby sytuację. Naczelnik tylko szuka wymówki, żeby dobrać ci się do dupy, a jeżeli ktoś zostanie ranny, będzie to najlepszy prezent, jaki możesz mu sprawić. Bądź mądry, Clyde. Chociaż raz. Spójrz na to z innej perspektywy.

Hunt chwycił przyjaciela za ramię i ścisnął mocno, aż poczuł pod palcami twardą kość.

– A gdyby tu chodziło o twoją córkę? O twoją siostrę? To jest nasza perspektywa. Od tej strony powinieneś na to patrzeć. – Hunt puścił ramię Yoakuma i odwrócił się, by odejść, tamten jednak nie dawał za wygraną.

– Ponoszą cię emocje – powiedział.

Błada i ściągnięta twarz Hunta jaśniała w mroku, a jego ciemne oczy mierzyły przyjaciela uważnym spojrzeniem.

– Nie stawaj mi okoniem, John. Znajdę to dziecko i znajdę je żywe.

– I jeżeli komuś coś się stanie, odpowiesz za to.

– A ty odpowiesz, jeśli ona umrze, kiedy my będziemy opieprzać się na tym parkingu. Czy teraz cię przekonałem?

Na twarzy Yoakuma pojawił się wyraz determinacji. Zacisnął pięści, aż chrupnęły knykcie, i pokiwał głową.

– I tak zmęczyłem się już tym gadaniem.

Hunt pstryknął palcami i pozostali gliniarze ustawili się przy nich w kręgu. Prócz Yoakuma i Crossa miał do dyspozycji trzech mundurowych w ciężkich kamizelkach i hełmach.

– Oto kogo szukamy. – Podniósł kiepskiej jakości zdjęcie wyciągnięte z więziennych akt. – Ma dużą bliznę po prawej stronie twarzy. Dzieciak, który go widział, mówi, że wygląda jak stopiony wosk. Ma prawie dwa metry wzrostu i waży ponad sto trzydzieści kilo. Nie sądzę, abyśmy spotkali wielu facetów o takim wyglądzie, więc nie powinno być trudno.

Rozległo się kilka nerwowych chichotów. Hunt odczekał chwilę.

– Mieszka w ostatnim kwartale przed torami, ostatni dom po prawej. Stoi kawałek od drogi, z tyłu ma puste podwórze, po jednej stronie biega

tory, a po drugiej jest zamieszкана posesja. Musimy obstawić te trzy strony, zanim wejdziemy do środka. Latarnie uliczne w większości nie działają, więc będzie ciemno. Podwórko powinno być płaskie, sucha trawa i ziemia, ale uważajcie na korzenie i śmieci. Kiedy auto się zatrzyma, Yoakum wysiada pierwszy. Wy dwaj idziecie z nim. – Hunt wskazał na dwóch umundurowanych funkcjonariuszy. – Ubezpieczacie tyły i boki na wypadek, gdyby się wymknął. Ja i pozostali idziemy od frontu. Cross wyłamuje drzwi młotem, ale ja wchodzę pierwszy. Facet jest duży, więc się nie cackamy. Na glebę z nim, i to szybko. Gdzieś tam może ukrywać się dziewczyna, więc nie strzelać gdzie popadnie. Musimy go mieć żywego i musimy go przesłuchać.

– A co z psami? – wtrącił Yoakum.

Hunt spojrział na zegarek.

– Pierdolić psy.

Otworzył tylne drzwi furgonetki, a jeden z mundurowych usiadł za kierownicą. Wewnątrz unosiła się woń smaru do broni i potu. Mężczyźni usiedli ramię przy ramieniu.

– Nienawidzę tego syfu – stwierdził Yoakum, co dwaj mundurowi skwitowali uśmiechem.

Yoakum zawsze tak mówił.

Silnik zawarczał i furgonetka wykonała ciasny skręt, by wytoczyć się na opustoszałą ulicę. Czarny asfalt widoczny przez okienko w tylnych drzwiach lśnił niczym szkliwo wulkaniczne.

– Zatrzymaj się jedną przecznicę przed skrętem – zwrócił się Hunt do kierowcy. – Jest tam mały sklepik.

Dziewięćdziesiąt sekund później furgonetka wjechała na pusty parking i zahamowała gwałtownie trzy metry od zardzewiałego kontenera na śmieci. Hunt spojrział na zegarek.

– Trzy minuty – powiedział.

– Na co czekamy? – zdziwił się Yoakum.

Hunt zignorował jego pytanie.

– Trzy minuty.

Policjanci wpatrywali się w czubki swoich butów, zaciskając i rozluźniając dłonie. Cross gładził palcami ciężki młot.

– Wal prosto w zamek – odezwał się do niego Hunt. – A potem usuń mi

się z drogi.

Cross pokiwał głową.

Dwie minuty później Yoakum trącił przyjaciela łokciem.

– Grunge’a słucha, tak?

– Nie teraz, Yoakum.

Minęła kolejna minuta. Pierwsza zapowiedź nadjeżdżającego pociągu była jak lekki powiew, tak słaba, że prawie niezauważalna.

– Czujecie to? – spytał Yoakum.

Hunt omiół wzrokiem pograżoną w ciemności okolicę.

– No i proszę – odezwał się i poklepał kierowcę po ramieniu. – Kiedy powiem.

Funkcjonariusz siedzący za kierownicą skinął głową. Nocne powietrze zaczęło drgać. Od południa zbliżało się dudnienie, narastało i coraz bardziej przybierało na sile. Głucha wibracja przerodziła się w huk, a kiedy rozległ się świst sygnału, jeden z gliniarzy wzdrygnął się.

– Jesteś pieprzonym geniuszem – krzyknął Yoakum.

– Teraz. – Ręka Hunta wylądowała na ramieniu kierowcy.

Furgonetka wyjechała z parkingu, skręciła w lewo, a potem jeszcze raz w lewo i pognęła środkiem Huron Street, podczas gdy psy szarpały się gwałtownie i ujadły, dusząc się w obrozach. Gdy dotarli na miejsce, Hunt zauważył samochód na podjeździe i światło w jednym z okien. Furgonetka zahamowała, jej drzwi otworzyły się gwałtownie i ze środka wypadli policjanci. Yoakum i jego ludzie pobiegli w kierunku domu z bronią gotową do strzału. Ich czarne buty zlewały się z ciemnym tłem ziemi i wydawało się, że płyną w powietrzu.

Dziesięć metrów dalej pociąg przedzierał się przez noc, wstrząsając ziemię niczym grzmot. Hunt zaczekał sekundę, aż dołączy do niego kierowca, i ruszył pędem, czując, jak powietrze wdziera mu się do gardła. Po jego drugiej stronie biegł Cross. Długimi susami pokonali skrawek ziemi porośniętej zeschniętą trawą i wpadli na drewniany ganek, który ugiął się pod ich ciężarem. Hunt wskazał palcem miejsce pomiędzy klamką a framugą i odsunął się na bok, trzymając w jednej ręce latarkę, a w drugiej służbową broń. Skinął głową. Nie usłyszał nawet huku uderzenia. Roztrzaskane młotem drzwi odskoczyły, a wokół posypały się kawałki wysuszonego drewna, odsłaniając połyskujący metal

zmalretowanego zamka. Obok przetoczył się wagon służbowy pociągu towarowego, a gdy jego łośkot zaczął się oddalać, Hunt był już w środku.

Wewnątrz, nad fotelem o podartej tapicerce, paliła się lampa, a w głębi korytarza sączyło się skądś białe światło. Hunt spojrział na prawo od drzwi i skierował lufę pistoletu w lewo. Za wnękami w ścianie znajdowały się ciemne pomieszczenia, w których majaczyły kontury mebli. Po lewej stronie coś syczało. Z głośnika gramofonu wydobywały się suche elektryczne trzaski igły przeskakującej w ostatnim rowku winylowej płyty. Hunt usunął się na bok, a do domu wśliznął się Cross, a za nim policjant, który prowadził furgonetkę. Wnętrze było duszne i gorące. Na brązowych ścianach tańczyły cienie, ale poza tym nic się nie poruszało.

Hunt pierwszy poczuł ciężki oleisty fetor, który wypełnił mu nozdrza. Cross pochwycił jego spojrzenie, gdy kierowca skręcił się wstrząsany konwulsjami i ukrył nos w przegubie łokcia.

– Spokojnie – szepnął Hunt i gestem dłoni nakazał towarzyszącym mu policjantom, aby sprawdzili ciemne pomieszczenie po lewej.

Sam skierował światło swojej latarki w głąb wąskiego korytarza, przystanął w drzwiach, a potem zagłębił się w cuchnącym mroku. Korytarz był ciasny i wydawał się dłuższy niż w rzeczywistości. Przed nim ostry klin białego światła wykrawał trójkątny kształt na dywanie.

– Policja – krzyknął Hunt. – Mamy nakaz.

Poszedł dalej korytarzem i dotarł do kuchni znajdującej się po prawej stronie. Długa świetlówka migotała nad zlewem wypełnionym brudnymi naczyniami. Okno z podartą moskitierą było otwarte, a na blacie stała pusta butelka po alkoholu. Obrócił się i zrobił kilka kroków w stronę ciemności. Zauważył krew rozmazaną na ścianie. Zatrzymał się przy otwartych drzwiach i gdy skierował do wnętrza snop światła latarki, z ciał zerwały się roje much.

Biała kobieta mogła mieć trzydzieści kilka lat i prawdopodobnie była Rondą Jeffries. Trudno było to stwierdzić, ponieważ brakowało jej większej części twarzy. Jej cienka, prawie przezroczysta bielizna nasiąkła zakrzepłą krwią. Jedna z piersi zwisała uwolniona ze stanika. Jej skóra była bardziej szara niż blada. Miała zmiażdżoną twarz, pękniętą w co najmniej dwóch miejscach szczękę, a nabrzmiąle lewe oko wylewało się

z roztrzaskanego oczodołu. Tułów był zwrócony w kierunku korytarza, a nogi spoczywały obok łóżka. Jedna ręka leżała wygięta nad głową i dało się zauważyć, że dwa palce wyciągniętej dłoni są złamane.

Ciało czarnego mężczyzny nie było tak strasznie zmasakrowane. Za życia musiał być postawny, ale teraz sprawiał wrażenie, jakby się skurczył. Gazy rozděły jego brzuch, przez co kończyny wydawały się nienaturalnie małe. Prawą stronę czaszki miał wgniecioną, co nadawało jego twarzy zwiotczały wygląd. Był nagi i spoczywał rozparty w głębokim fotelu, jak gdyby po prostu wybrał sobie taką pozycję.

Hunt sięgnął do przełącznika na ścianie i zapalił lampę pod sufitem. W pełnym świetle wszystko wyglądało jeszcze gorzej, zabójstwo wydawało się jeszcze bardziej wyraziste. Za jego plecami zgromadzili się inni policjanci.

– Nie wchodzić – rozkazał Hunt.

Stawiając ostrożnie stopy, ukląkł obok kobiety i obejrzał uważnie jej ciało. Paznokcie jej stóp były powleczone jaskrawoczerwonym lakierem i ozdobione akryłowymi paciorkami. Zauważył odciski na podszewkach. Nogi miała ogolone do kolan. Długie na ponad dwa centymetry sztuczne paznokcie upodabniały palce jej dłoni do szponów. Żadnych widocznych blizn ani tatuażu. Wiek kobiety ocenił na mniej więcej trzydzieści dwa lata.

Przykucnął obok fotela i tak samo obejrzał zwłoki mężczyzny. Rasa czarna. Ponad czterdzieści lat. Silny. Wzrost około metra osiemdziesiąt pięć. Na obydwu kolanach stare blizny po operacjach. Żadnej biżuterii. W zębach złote plomby. Na twarzy kilkudniowy zarost.

Hunt wstał i omiół pokój wzrokiem. Przy drzwiach garderoby stały ciężkie robocze buty, a obok leżały jeansy i satynowe slipy w pąsowym kolorze. Pod łóżkiem Hunt zauważył pustak żuźlowy pokryty z jednej strony plamami zakrzepłej krwi.

– Yoakum – zawołał, a gdy jego przyjaciel wszedł do pokoju, wskazał palcem leżący na podłodze przedmiot. – Myślę, że to jest narzędzie zbrodni.

– Na to wygląda.

Hunt wyprostował się.

– Zaczekaj.

Przekroczył stopy martwego mężczyzny i ominął wyciągnięte ramię leżącej ofiary. Pozostali gliniarze tłoczyli się w progu, ale nie zwracał na nich uwagi. Przykłęknął obok drzwi i przejechał palcami po wykładzinie, gdzie widniały równoległe wgniecenia odpowiadające szerokości pustaka. Hunt wstał i podszedł do stojącego w korytarzu Crossa.

– Co mam robić? – zapytał Cross.

– Odgródź taśmą posesję od podwórka i od ulicy. Wezwij techników i patologa. I zdobądź mi gdzieś dietetyczną colę – dodał na koniec, pocierając twarz, i złapał za rękaw Crossa, który zbierał się do odejścia. – Ale nie z lodówki w tym domu. I nie róbcie tłoku w korytarzu.

Patrząc za odchodzącymi policjantami, Hunt poczuł, że Yoakum stoi za jego plecami. Odwrócił się i zobaczył swego przyjaciela z rumianą twarzą, obramowanego framugą drzwi, na tle śmierci i przemocy.

– Wiem, że jest na to za wcześnie, ale nie sądzę, aby to było zabójstwo z premedytacją – oznajmił Hunt ściszym głosem, spoglądając ponad jego ramieniem do wnętrza.

– Dlaczego?

– Te wgniecenia. – Hunt wskazał palcem podłogę. – Wygląda na to, że używali tego pustaka jako podpórki. Jeżeli ktoś planuje zabójstwo, zwykle przynosi ze sobą jakąś broń.

– Możliwe. A może morderca wiedział, że ten pustak tu jest?

– Masz rację – zgodził się Hunt. – Jeszcze za wcześnie na wyciąganie wniosków.

– To jaki mamy plan?

Hunt wyciągnął otwartą dłoń w kierunku pokoju.

– Zapieczętuujemy to do przybycia techników. Popytamy sąsiadów. Sprowadzimy psa tropiącego, tak na wszelki wypadek. – Hunt zamilkł nagle i obrócił się w stronę korytarza. – Cholera!

Krzyk wyrwał się z jego piersi jak eksplozja. Uderzył pięścią w ścianę i stąpając ciężko, wyszedł do salonu. Kiedy Yoakum dotarł tam za nim, Hunt stał z rękoma opartymi o framugę drzwi wejściowych, a jego czoło wydawało głuchy dudniący odgłos, uderzając o drewno.

– Niech to jasny szlag trafi!

– Jeżeli chcesz się wykrwawić, są lepsze sposoby – odezwał się Yoakum. Hunt odwrócił się i oparł plecami o potrząskane drzwi. Zdawał sobie

sprawę, że jego twarz wyraża wszystko.

– To nie jest w porządku.

– Morderstwo nigdy nie jest w porządku.

– Ona miała tu być, John. – Hunt poczuł nagłą potrzebę zaczerpnięcia świeżego powietrza. Gwałtownym ruchem otworzył drzwi i mówił dalej, rzucając słowa przez ramię. – To miało dzisiaj się skończyć.

– Tiffany?

– To wszystko.

Yoakum nie pojął od razu, o co chodzi, ale potem zrozumiał.

Piekło, w którym Hunt egzystował. Yoakum dobrze je znał.

Rozdział 17

Stary samochód kombi stał na pochyłości wąskiej drogi. Samotna wstęga asfaltu z lasem po obu stronach, biegnąca za obrzeżami miasta, była pusta i skąpana w mroku. Johnny wypatrzył dom, w którym z jednego z okien sączyło się mizerne światło. Minęły dwa tygodnie od czasu, gdy był tu po raz ostatni, ale nic się nie zmieniło. Te same pojazdy rdzewiały pod tymi samymi drzewami, a na skrzynce na listy stała ta sama puszka po piwie.

Dom niewyraźnie majaczył w mroku. Widać było tylko żółtawą poświatę i zatarte kontury, które zdawały się nie pasować do siebie. Od oddalonego o półtora kilometra wysypiska śmieci niosły się słodkawe wyziewy zgnilizny. W ciągu dnia krążyły nad tamtą okolicą stada wron i co jakiś czas rozlegał się daleki huk, kiedy stróż strzelał do szczurów albo do puszek. W nocy słychać było nawoływanie świerszczy, ale czasami wszystkie milkły bez powodu, jak gdyby świat nagle zamykał usta. Johnny zawsze zastygał w bezruchu, kiedy zapadała taka cisza, i ogarniało go wrażenie, że powietrze dookoła robi się martwe i zimne. Odczucie to nawiedzało go w snach częściej, niż miałby ochotę przyznać, a mimo to przychodził.

O północy. O świcie. Sześć razy. Tuzin.

Burton Jarvis znalazł się na liście, ponieważ był recydywistą. Było to najmocniejsze słowo, jakie Johnny znał, i oznaczało chorego sukinsyna, który jest gotów znów popełnić ten sam czyn. Był notowany za przestępstwa na tle seksualnym i zarabiał na życie wypychaniem postrzelonych w trzewia jeleni oraz wywożeniem odpadków na przyczepie. Mówili do niego Jar. „Zobacz, jaki wyrośnięty ten pieprzony koziół, Jar. Myślisz, że dasz radę wypchać takiego dużego?”

Jar nie spotykał się z ludźmi, którzy w mniemaniu Johnny'ego mogli być jego przyjaciółmi, ale nieraz odwiedzali go różni mężczyźni. Podawali sobie dyski komputerowe lepкими od brudu rękami i ucinali krótkie

pogawędki o tym, że Tajlandia wciąż jest najlepszym miejscem do ruchania. Johnny odnalazł również tych mężczyzn. Dowiedział się, gdzie mieszkają i gdzie pracują.

Wciągnął ich na swoją listę.

Jeden z nich przychodził częściej niż pozostali. Czasem miał ze sobą broń, a czasem nie. Stary, wysoki i żylasty, miał rozpalone przenikliwe spojrzenie i długie palce. Pili z Jarem alkohol z tej samej butelki i rozmawiali o rzeczach, które robili w jakiejś wiosce w Wietnamie. Ich oczy zasnuwały się mgłą, gdy wspominali dziewczynę, którą nazywali Żółtą Kruszyńką. Spędzili z nią trzy dni w ostrzeliwanej chacie, gdzie leżały również zwłoki całej jej rodziny. *Żółta Kruszyńka*, mówili pociągając z butelki, *żał dupę ściska*. Potem rozlegał się ich śmiech, który ani trochę nie był przyjemny.

Już po drugiej wyprawie Johnny nabrał podejrzeń co do szopy, która stała za domem Jara. Znajdowała się na końcu wąskiej ścieżki prowadzącej między drzewami, które rosły na tyle gęsto, że zasłaniały ją od strony drogi i domu. Ściany miała z pustaków, a zabite gwoździemi okna były uszczelnione różową watą izolacyjną i zasłonięte czarną folią. Nigdy nie wydobywało się stamtąd światło.

To właśnie tam Johnny najpierw skierował kroki.

Rozdział 18

O szóstej nad ranem zabrano ciała. Kiedy nosze z brzękiem uderzyły o drzwi, stojący na ganku Hunt odwrócił się i popatrzył na czarne plastikowe worki, których lśniąca i gładka powierzchnia wzbudzała niepokój. Spojrzał w kierunku ulicy i podwórza, całkowicie bezbarwnych pod posępnym mrocznym niebem. Słońce jeszcze się nie pokazało, ale czuł, że już wschodzi. Szare światło rozjaśniało wierzchołki drzew rosnących za torami, a niebo na wschodzie zaczynało się lekko przecierać. Wszędzie pełno było samochodów policyjnych. Kilka z nich blokowało ulicę, stojąc prostopadle do krawężnika. Na skraju podwórza parkował van medyka sądowego z szeroko otwartymi tylnymi drzwiami. Za żółtą taśmą zgromadziła się grupka reporterów, ale Hunt najpilniej przyglądał się sąsiadom. Ulica stanowiła zamknięty obszar o ciasnej zabudowie. Niewielka powierzchnia działek sprawiała, że domy stały blisko siebie. W takiej okolicy zawsze ktoś o czymś wiedział. Wodząc oczami tam i z powrotem, przyglądał się starszemu białemu mężczyźnie w żółtawej koszuli, potem czarnoskóremu młodzieńcowi o rozbieganych oczach i skórze pokrytej tatuażami domowej roboty, którego kolorystyka stroju zdradzała, że należy do jednego z ulicznych gangów. Obserwował uważnie kobietę o szerokiej twarzy i obwisłych piersiach, która trzymała dwójkę dzieci, po jednym na każdej ręce. Mieszkała w sąsiednim domu, ale twierdziła, że o niczym nie ma pojęcia. Niczego nie słyszała i niczego nie widziała. Spoglądała wzrokiem pełnym nienawiści.

Zza rogu budynku wyłonił się przewodnik psa tropiącego. Miał zabrudzone ubranie i ponurą minę. Pies, czarny mieszaniec, szedł z wywieszonym jęzorem przy jego nodze i wpatrywał się w worki ze zwłokami.

– Nie ma niczego pod podłogą ani na terenie działki – oznajmił przewodnik psa, kręcąc głową. – Jeżeli jest jeszcze jedno ciało, musi być gdzie indziej.

– Jesteś pewien? – zapytał Hunt.

– Absolutnie. – Mężczyzna poklepał psa po głowie otwartą dłonią.

Hunt poczuł coś w rodzaju ulgi, ale nie chciał pokładać zbytnej wiary w tym uczuciu. Sam fakt, że Tiffany Shore nie było w tym domu, nie oznaczał, że dziewczynka wciąż żyje. Pamiętał o ciałach, które leżały za jego plecami.

– Czy jest prawdopodobne, że ich zapach zmylił psa? – zapytał, wskazując na worki.

– Nie ma takiej możliwości.

Hunt pokiwał głową.

– W porządku, Mike. Dzięki za sprawdzenie.

Przewodnik odwrócił się, cmoknął cicho i odszedł wraz z psem.

Nic. Nie mieli nic. Hunt myślał o tym, co Johnny Merrimon opowiadał o dziewczynce, którą znaleziono w Kolorado, uwięzionej w jamie wykopanej w ścianie piwnicy, gdzie spędziła rok, mając tylko materac, wiadro i świecę. Wstręt był niczym organ w jego trzewiach, który tym mocniej się gotował, im więcej on o tym rozmyślał. Próbował wyobrazić sobie siebie na miejscu gliniarza, który znalazł tę dziewczynkę. Co zrobiliby najpierw, czy wyciągnąłby ją z cuchnącej jamy, czy wpakował sześć kul w twarz tego skurwiela? Zastanawiał się, czy zdobyłby się na to, czy zapomnieliby o siedemnastu latach służby w policji i po prostu pociągnął za spust.

Możliwe. Nawet bardziej niż możliwe.

Przyglądał się, jak Trenton Moore zabezpiecza ciała ułożone z tyłu vana. Wygląd patologa przypominał samopoczucie Hunta – był zmęczony, poszarzały i wymizerowany jak nikły blask poranka. Kiedy wszedł z powrotem na ganek, Hunt poczuł od niego zapach kostnicy, mieszaninę kawy i formaldehydu.

– Wybacz, że tak szybko posyłam ci dwoje następnych – zagadnął go Hunt.

Moore machnął ręką.

– I tak miałem do ciebie dzwonić – odpowiedział. – Mam wstępne wyniki sekcji Davida Wilsona.

– Szybko działasz.

– Cóż mogę powiedzieć? Kocham tę robotę.

Hunt odszedł na skraj ganku, z dala od drzwi, którymi ciągle ktoś wchodził i wychodził, a Moore podążył za nim.

– Opowiadaj.

– Był żywy, kiedy przeleciał nad balustradą mostu. Tak zeznał chłopak, a moje badania to potwierdzają. Większość obrażeń widziałeś. Złamana noga i ręka, tak naprawdę wielokrotne złamania. Szczegóły dostaniesz w raporcie końcowym. Rozległe otarcia na skutek kontaktu z betonem i ziemią. Pęknięty lewy oczodół. Miał siedem złamanych żeber, również po lewej stronie, poważnie uszkodzone narządy, krwotok wewnętrzny i przebite płuco, ale żadna z tych rzeczy nie była przyczyną śmierci.

– Jak to?

– Znalazłem ślad dużego urazu gardła. – Moore przyłożył palce do własnej szyi, tuż nad kością obojczykową. – Krtań i przełyk zostały zmiażdżone. Użyto ogromnej masy, aż górne drogi oddechowe uległy uszkodzeniu do tego stopnia, że całkowicie straciły drożność. On został uduszony, detektywie.

– Ale żył, kiedy Johnny go zostawił. Oddychał i był w stanie mówić.

– Na jego szyi w miejscu urazu jest odcisnięty wzór. Bardzo niewyraźny, widoczny tylko w dużym powiększeniu. Nie da się pobrać odcisku, aby z czymkolwiek go porównać, ale na pewno tam jest.

– Co to za wzór?

Moore zrobił zasmuconą minę.

– To bieżnik buta.

Hunt poczuł, jak po karku spływają mu chłodne krople potu.

– Ktoś nadepnął mu na szyję, detektywie. I stał na niej, dopóki Wilson nie umarł.

Sprawozdanie Moore'a zmieniło poranny nastrój Hunta. Wzbudziło w nim zawziętość, która wydawała się nieco chłodniejsza, bardziej okrutna i osobista.

Targany gniewem i niepokojem wszedł do wnętrza domu. Ciało już nie było, ale wszystko wydawało się jeszcze ciemniejsze w ten pochmurny ranek. Dwadzieścia pięć po szóstej zadzwoniła jego komórka. Hunt spojrzął na wyświetlacz i rozpoznał numer syna. W tym wszystkim, co się działo, nie pomyślał o nim ani razu.

– Cześć, Allen.

– Nie wróciłeś do domu.

Wyszedł z powrotem na ganek i spojrzał w szare płaskie niebo, wyobrażając sobie twarz chłopca.

– Wiem – odpowiedział. – Przepraszam.

– Przyjedziesz na śniadanie?

W Huncie narastało poczucie winy. Widział, jak dzieciak się stara, aby coś naprawić między nimi.

– Nie mogę.

– Oczywiście – skwitował chłopiec po długiej chwili milczenia.

Hunt zacisnął palce na telefonie. Czuł, że obaj oddalają się od siebie, i nie miał pojęcia, jak temu zaradzić.

– Synu. Co do ostatniej nocy...

– Tak?

– Nie uderzyłbym cię.

Hunt słyszał oddech na linii, potem połączenie zostało przerwane. Klnąc pod nosem, schował telefon do kieszeni i znów zaczął przyglądać się gapiom, którzy z jakąś mroczną fascynacją obserwowali furgonetkę patologa. Wszyscy prócz jednego. Stary mężczyzna w zaplamionej koszuli stał na torach i jedną ręką podtrzymywał w pasie podarte spodnie. Miał tak zapadnięte oczy, że widać było zaczerwienione brzegi dolnych powiek. Jego dłonią wstrząsały paralityczne drgawki, kiedy zaciągał się wilgotnym papierosem. Zmierzył Hunta wzrokiem, a potem przywołał go, kiwając wykrzywionymi palcami.

– Yoakum – zawołał Hunt, i w drzwiach pojawiła się głowa jego przyjaciela. – Zaraz wracam.

Hunt wskazał człowieka stojącego na torach i Yoakum zaczął badawczo się przyglądać zniedołężniałemu starcowi.

– Potrzebujesz wsparcia?

– Pierdol się, Yoakum.

Żwir zachrząścił pod butami Hunta, kiedy wspinał się na nasyp. Wokół ciemnoczerwonej nasady nosa starego człowieka kłębił się ulatujący w górę dym. Z bliska Hunt zauważył, że reumatyzm zaatakował znaczną część jego ciała. Mierzył metr siedemdziesiąt wzrostu, miał przygarbione ramiona i cały pochylał się w prawo, jakby noga po tamtej stronie była

krótsza. Jego białe włosy unosiły się poruszane wiatrem. Wyciągnął rękę i przemówił chrapliwym szeptem, który Huntowi kojarzył się z odgłosem rozgryzanych sucharów.

– Dasz pan dolara?

Hunt przyjrzał się jego dłoni z wyblakłym tatuażem.

– A może być pięć?

Starzec śledził wzrokiem wyciągany z portfela banknot, po czym wziął go i wsunął do jednej ze swych kieszeni. Obliznął blade jak kreda usta i skierował wzrok w dół nasypu po przeciwległej stronie torów. Podążając za jego spojrzeniem, Hunt dostrzegł wystrzępioną zieloną płachtę rozpiętą między niewysokimi drzewami, wśród których wiły się dzikie pnącza. Zlewała się z tłem zarośli i była prawie niewidoczna. Obok zauważył stertę pustych puszek i krąg wypalanej ziemi. Mężczyzna był bezdomny.

Nagle oczy starca napełniły się dzikim lękiem, a napięcie wyryło kilka nowych bruzd w zapadniętych policzkach.

– Wszystko w porządku – zapewnił Hunt. – Nie ma żadnego problemu.

Wyjął kolejny banknot, a mężczyzna zaczął kiwać głową, wydając z siebie suchy rechot, który zakończył się atakiem kaszlu. Coś brązowego plasnęło o jedną z lśniących szyn. Hunt spojrzał w tamtym kierunku i zobaczył butelki rozrzucone po nasypie. Tanie wina, piwo, kilka półlitrówek po niedrogim bourbonie.

– Widział pan, co się tam stało? – zapytał Hunt, wskazując palcem dom.

W pustych oczach starego człowieka pojawił się wyraz zagubienia i lęku. Odwrócił się, ale Hunt chwycił go za wychudłe ramię.

– Proszę pana. – Starzał się mówić jak najłagodniej. – Przywołał mnie pan tutaj. Pamięta pan?

Starzec obrócił się w miejscu, zaciskając dłonie o pożółkłych paznokciach.

– Ona... Ona lubiła chodzić nago. – Kiwnął ręką w stronę okna łazienki, a jedna z powiek zaczęła mu drgać. – Śmiała się ze mnie. Jebana dziwka.

– Czy chodzi panu o Rondę Jeffries? – spytał zaintrygowany Hunt.

Podbródkiem mężczyzny szarpnął gwałtowny skurecz, ale sprawiał wrażenie, jakby nie zrozumiał pytania.

– Nic panu nie jest?

– Czyż nie jestem królem świata? – Starzec uniósł obie ręce i wykonał

gest, jakby chciał odejść, ale Hunt położył dłoń na jego kościstym ramieniu.

– Proszę pana. Może mi pan powiedzieć, co tu się stało?

Stary człowiek zamknął lewe oko.

– Ja widziałem tylko łopatę – powiedział i stanął na jednej nodze, by podrapać się w łydkę czubkiem buta. – On ją wziął z tamtej szopy.

– Ma pan na myśli Leviego Freemantle’a? Czarny mężczyzna, dwa metry wzrostu. – Hunt spojrzął w kierunku szopy, którą starzec wskazywał palcem, a gdy znów przeniósł wzrok na starca, zobaczył, że jego twarz nic nie wyraża. – O kim pan mówi?

– Czego chcesz? – Stary machnął ręką, jakby opędzał się od much. – Nie znam cię.

Odwrócił się i powłócząc nogami, ruszył wzdłuż torów. Idąc, obejrzał się raz za siebie i znów odgonił niewidzialne muchy.

Hunt westchnął ciężko.

– Cross – krzyknął i zamachał ręką, przywołując policjanta.

– Tak, szefie? – zapytał Cross, stając na torach.

– Zajmij się nim – rozkazał Hunt. – Możliwe, że coś widział. A może nie. Zobacz, co uda ci się wyciągnąć, ale spokojnie. Kiedy skończysz, zadzwoń po opiekę społeczną i do szpitala dla weteranów. Wezwij ich tu, żeby pomogli temu facetowi.

– Szpital dla weteranów?

Hunt dotknął palcem grzbietu swej prawej dłoni.

– Ma tatuaż. Służył w marynarce wojennej. Okaż mu trochę szacunku.

– Tak jest.

Gdy Hunt zmierzał z powrotem w stronę ganku, w drzwiach znów pojawił się Yoakum.

– Myślę, że powinieneś to zobaczyć – oświadczył.

– Co takiego?

– Pamiętasz ten pusty pokój w narożniku od południowego wschodu?

– Tę sypialnię? – zapytał Hunt, przywołując w pamięci obraz pomieszczenia. Było ciasne i całkowicie puste. Żółta zasłona w oknie, na ścianach ślady po taśmie klejącej. Przyciągało uwagę jedynie tym, że nic nie było w środku. – Co z nią?

– Musisz to zobaczyć. – Yoakum ściszył głos.

Hunt wszedł za nim do środka. Przecisnął się obok techników, którzy zdejmowali odciski palców, i fotografa w policyjnej kurtce. Dwaj mundurowi rozstąpili się, żeby go przepuścić, gdy stanął przed wejściem do sypialni.

– To jest w środku – oznajmił Yoakum, po czym otworzył drzwi wbudowanej w ścianę szafy i nacisnął przełącznik.

Światło zalało wnętrze garderoby, a w jego blasku białe ściany wydawały się jeszcze jaśniejsze. Na wprost widniał wykonany kredkami rysunek, który przedstawiał wysoką na ponad dwa metry postać mężczyzny. Jego sylwetka o czarnych konturach była zniekształcona w dziecinnie nieporadny sposób. Miał czerwone usta, szerokie fioletowe spodnie i potężne dłonie o spiczastych palcach, a jego brązowe oczy były idealnie okrągłe, jakby zostały obrysowane wokół zakrętki od słoika. Prawą stronę jego twarzy znaczyło kilka pofalowanych linii. Przyciskał do siebie małą dziewczynkę, a drugą rękę trzymał w górze, jak gdyby machał komuś w oddali. Na jego szerokiej piersi jaśniała ledwie zauważalna mała różowa plamka. Dziewczynka miała owalne oczy i kokardę we włosach. Była ubrana w żółtą sukienkę, jedną rękę trzymała uniesioną. Jej uśmiech przypominał wielką czerwoną ranę.

– Co to za cholerstwo?

– No właśnie – odparł Yoakum.

Hunt omiótł spojrzeniem resztę pokoju.

– Nie ma innych rysunków?

– Żadnych.

– Ktoś musi coś wiedzieć.

– Rozpytywaliśmy w sąsiedztwie, ale nie będą rozmawiać z glinami. Nie na tej ulicy.

– Czy coś wskazuje na to, że dziewczynka była przetrzymywana w tym domu?

– Pokój został opróżniony, a to już dziwne samo w sobie – stwierdził Yoakum. – Cała reszta wygląda odpychająco.

Hunt przesunął wzrokiem po gołych ścianach i zwrócił uwagę na ślady po oderwanej taśmie. Układały się pod takimi kątami, jakby w tych miejscach znajdowały się kiedyś przyklejone narożniki kartki. Obejrzał uważnie poplamione listwy przypodłogowe i podłogę. Na ścianach

wypatrzył ślady kredek. Nie był to kolejny rysunek ani żaden wzór, ale przypadkowe zawijasy i krótkie kreski, jakie zostawia kredka, wychodząc poza brzeg papieru. Wyrzwał na zewnątrz zza żółtej zasłony, a potem schylił się, by podnieść mały przedmiot leżący w kącie.

– Czy to guzik? – Yoakum podszedł bliżej.

Hunt oglądał znalezisko, przybliżając je do światła i mrużąc oczy.

– To pochodzi z maskotki.

– Co?

– Myślę, że to jest oko – stwierdził, wyciągając rękę. – Podaj mi woreczek.

Hunt umieścił plastikowe oko w torebce na dowody i ją zakleił.

– Zdejmijcie odciski w tym pokoju – rzucił, kierując się do drzwi.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał Yoakum.

– Mam już dość tego syfu.

Jak burza przeszedł przez dom i wypadł na ganek. Miejscowi wciąż stali zbici w małe grupki, zwabieni widokiem gliniarzy, którzy nie stanowili dla nich zagrożenia. Patrząc na nich, na ich samozadowolenie i pogardę, poczuł, że rozsadza go wściekłość.

– Chcę porozmawiać z kimś, kto wie, co się działo w tym domu – przemówił donośnym tonem. Zebrani znieruchomieli. Na wszystkich twarzach pojawił się bezbarwny wyraz obojętności. Widział to setki razy.

– Dwoje ludzi nie żyje. Zaginęła dziewczynka. Czy ktoś może mi powiedzieć, co działo się w tym domu?

Spojrzał w gniewne oczy kobiety z dwójką dzieci na rękach. Skupił się na niej, ponieważ była matką i mieszkała w domu tuż obok.

– Każdy szczegół może być ważny – dodał.

Kobieta gapiła się na niego z nieobecną i chłodną miną. Powiódł wzrokiem po twarzach ludzi, na których malowały się złość i nieufność.

– Zostało porwane dziecko!

Niestety, jako gliniarz znalazł się na nieodpowiedniej ulicy. W rogu ganku dostrzegł puszkę farby z wyblakłą etykietką i przyrdzewiałym wieczkiem. Kopnął ją z taką gwałtownością, że sam był zaskoczony. Puszka zatoczyła łuk w powietrzu, upadła na podwórze i eksplodowała bryzgami szarej mazi. Hunt patrzył przez chwilę na rozlewającą się plamę, a gdy podniósł wzrok, zobaczył stojącego przy chodniku

naczelnika. Musiał niedawno przyjechać. Stał przy otwartych drzwiach samochodu, którego silnik wciąż pracował, ręce trzymał skrzyżowane na piersi i marszcząc czoło, obserwował Hunta. Ich spojrzenia spotkały się na długą sekundę, potem naczelnik pokręcił głową, powoli i z rezygnacją.

Hunt odwrócił się w stronę otwartych drzwi domu. Znow otoczyła go woń śmierci.

Rozdział 19

Burton Jarvis wyszedł z szopy dwadzieścia po szóstej. Nie spał całą noc, pobudzony tequilą i amfą, a teraz miał wrażenie, jakby przepalił mu się bezpiecznik w środku czaszki, jakby tuż za oczami buchnął oślepiający płomień. To było jak strach. Był zły i niezadowolony, pełen dotkliwych wyrzutów, które nie miały nic wspólnego z dobrem i złem. W jego głowie tłukły się refleksje na temat konsekwencji i ryzyka, świadomość, że pewnych rzeczy nie powinien był robić. Rzeczy, które mogły doprowadzić go do wpadki.

Ale wciąż...

Chwiejąc się, stał w wilgotnym półmroku otoczony drzewami i czuł, jak na jego twarzy rozlewa się szeroki uśmiech.

Ale wciąż...

Kiedy zaczął manipulować przy wielkiej kłodce, uśmiech znikł i na skórze pojawiły się kropelki potu. Powłócząc nogami, wrócił ścieżką w kierunku domu. Czuł świerzbienie w gałkach ocznych i miał wrażenie, jakby ktoś napełnił jego zatoki woskiem.

Jar nie był przyjemnym człowiekiem, i zdawał sobie z tego sprawę, ale nie dbał o to. Tak naprawdę odczuwał perwersyjną dumę na widok młodych matek, które ciągnęły swoje dzieci prosto na ruchliwą ulicę, byle tylko nie minąć się z nim na chodniku. Po dziewięciu aresztowaniach i trzynastu latach spędzonych za kratkami troska o zaspokojenie własnych potrzeb stała się jego religią. Miał sześćdziesiąt osiem lat, zjeżoną szczecinę na głowie, dwa chwiejące się zęby i oczy przywodzące na myśl surowe ostrygi. Trzy paczki papierosów dziennie zapewniały mu chudą sylwetkę, a prochy i alkohol pomagały utrzymać się z dala od więzienia. Otepiały go i pozwalały mu dłużej pozostawać tam, gdzie jego umysł lubił wędrować. Dostatecznie mocno zaprawiony potrafił przetrwać cały dzień.

Zazwyczaj.

Jar mieszkał w zrujnowanym domu na pięciohektarowej działce na obrzeżach miasta. Obok przebiegała droga prowadząca do wysypiska śmieci. Na piaszczystym placu przed domem rosły drzewa, a wśród nich parkowały dziewiętnastoletni pontiac i półciężarówka, która buchała czarnym dymem z rury. Na podwórzu za domem stały beczki pełne pustych butelek i ciągnął się rów zasypany śmieciami.

Miał też szopę. Z tyłu posesji, za drzewami, które rosły tak gęsto, jak gdyby miały spełniać tylko to jedno zadanie – służyć jej za zasłonę. Dalej za szopą ciągnął się przez trzy kilometry las, a za nim płynęła rzeka.

Oczywiście Jar widział już wcześniej tego dzieciaka, mignęła mu za oknem kolorowa plama na tle zarośli. Nie miał pojęcia, czego chce ten gówniarz, ale raz omal go nie złapał. Zauważył go przez okno z tyłu domu, wyszedł frontowymi drzwiami i zakradł się po cichu. Została mu w rękę garść jego włosów, bo chłopakowi udało się wyrwać, zanim Jar zdążył chwycić go mocniej. Biegł potem za nim kilkaset metrów, aż zaczął wypluwać własne płuca. Pamiętał jednak ten moment, kiedy klęczał na ziemi i wykrzykiwał resztkami tchu: *Wróc tu jeszcze raz, a cię zabiję.*

Ale dzieciak wrócił, dwa razy, o ile wiedział. Jar nigdy nie spodziewał się jednak, że zobaczy go o takiej porze. Nie w świetle dnia.

Najpierw rzucił mu się w oczy samochód. Stał zaparkowany na poboczu drogi, a koła lewego boku nieomal zwisały nad rowem. Jar zauważył między drzewami niewyraźny błysk chromu i wyszedł na ganek – w samych kalesonach, które opinały jego nogi, ale nie zważał na to. To była odludna okolica, najbliższy sąsiad mieszkał pół kilometra dalej. Drogą przejeżdżały ciężarówki na wysypisko i smarkacze ścigali się hałaśliwymi samochodami, ale nic poza tym. Miał tu swój skrawek nieba, pod którym mógł robić, co tylko mu się żywnie podobało. Poza tym było wcześniej, słońce nie zdążyło jeszcze wydobyć drzew z szarego mroku.

Cóż, do cholery, robił ten samochód przed jego domem? Większość ludzi wiedziała, że tak się nie robi.

Sięgnął do środka i chwycił kij, który stał oparty o futrynę. Wgniecenia i zadrapania na jego powierzchni powstały, kiedy Jar rozwalił nim telewizor na kawałki po przegranym meczu w rozgrywkach ligowych.

Jar zachwiał się, stając na najniższym stopniu. Dół jego pleców wypełniał tępy ból, któremu towarzyszyło dziwne przenikliwe kłucie.

Drzewa pochylały się nad nim, kiedy szedł. Gałązka uderzyła go w twarz, ocierając mu skórę na policzku.

Jebane drzewo.

Uderzył je kijem i omal się nie przewrócił.

Samochód był stary, miał nadwozie kombi polakierowane na żółto z drewnopodobnymi panelami ciągnącymi się wzdłuż boków, zdarte opony i odłazące sparciałe uszczelki w oknach. Wydawało się, że jest pusty. Jar zatrzymał się na końcu podjazdu i powiódł zamglonym wzrokiem wzdłuż drogi. Nikt nie nadjeżdżał. Miał przed sobą tylko ten jeden samochód. Patrzył na gładką wstęgę nagrzanego asfaltu i ścisnął w dłoni poobijany i splekany kij, który ocierał się o jego nogę, raniąc skórę odstającymi drzazgami. Jar zatrzymał się, spojrzął na nogę i zobaczył małe paciorki krwi, które odcinały się wyraźnie na jego bladej i pozbawionej włosów łydce.

Jebany kij.

Szyby w oknach samochodu były opuszczone, a na przednim siedzeniu leżał skulony chłopiec. Miał na sobie brudne jeansy i podarte trampki, a wokół jego szyi wisiały pióra albo coś w tym rodzaju. To było dziwne. Na jego nagiej piersi i ramionach widniały czarne smugi namalowane czymś, co wyglądało na sadzę. Patrząc na pociągłą i umorusaną twarz, która nie wróżyła niczego dobrego, Jar był pewien, że to właśnie tego chłopaka widział przez okno. Leżał teraz na boku i spał, a Jar już czuł, jak zaciska palce na jego chudej szyi.

To był ten dzieciak, ten sam, który kręcił się wokół jego domu każdej nocy. Jar podniósł wzrok i zerknął na drogę, a potem znów zajrzał do samochodu. Zauważył leżącą na podłodze lornetkę, opróżnioną do połowy butelkę wody i aparat fotograficzny. Na cholerę mu ten aparat? Dzieciak ścisnął w ręku otwarty składany nóż.

Jar pewnie parsknąłby śmiechem na taki widok, ale teraz był zbyt zajęty przeprowadzaniem kalkulacji.

Nikogo w zasięgu wzroku. Trzydzieści sekund wystarczy, aby wywlec gówniarza z auta, kolejna minuta, żeby zaciągnąć go za dom. To dało się zrobić.

Ale Jar był pijany i sflaczały, a takim jak on nie powodziło się dobrze w więzieniu. A do tego trzeba było zatroszczyć się o samochód. Musiałby

szybko się go pozbyć i zatrzeć ślady. A gdyby dzieciak zaczął się bronić, mogłoby się zrobić nieprzyjemnie. Jar potrafił stracić panowanie nad sobą, nie wypierał się tego. Istniało także ryzyko, że ktoś pojawi się na drodze, jakiś przypadkowy kierowca. Zza tego zakrętu w każdej chwili mógł wychynąć jakiś samochód. Jeżeli ktoś go zobaczy, jak wyciąga chłopaka z auta, na pewno wezwie policję. A gliny już zaczęły węszyć za porwaną dziewczynką.

I tutaj skończyłaby się dobra passa.

Jar bił się z myślami. Oto miał przed sobą chłopaka, który na pewno o czymś wiedział. Musiał wiedzieć. Bo w przeciwnym razie po co wciąż by tu wracał? Już na sam jego widok Jar czuł, że świerzbi go skóra. Było w tym dzieciaku coś takiego...

Ale Jar znajdował się w korzystnym położeniu. Miał alkohol i dużo miejsca, a w długie noce mógł wspominać minione dni. Miał swoją szopę i właśnie nadarzała mu się sposobność.

Jeżeli tylko będzie ostrożny.

Kołysał się, stojąc na gładkim asfalcie, i czuł, że strach zaczyna brać górę. Działo się zbyt wiele naraz, a on był pijany i ledwie trzymał się na nogach.

Ale to był ten sam chłopak.

Jar zdał sobie sprawę, że gapi się na dzieciaka przeszło minutę, stojąc w kalesonach na publicznej drodze. Właśnie to skłoniło go do podjęcia decyzji. Myślał powoli, a to prowadziło do problemów. Przekonał się o tym w przykry sposób. Dziewięć aresztowań i trzynaście lat odsiadki, wszystko z powodu głupich błędów. Postanowił odpuścić. Zapamiętać numer rejestracyjny i dopaść gówniarza innym razem.

Ale chłopak otworzył oczy. Zamrugął i zaczął krzyczeć.

Jar zanurkował przez okno do wnętrza samochodu niczym szczur do jamy.

Rozdział 20

Johnny przebudził się, by trafić w sam środek koszmaru. Najpierw zobaczył niebo przez szybę, a potem wodniste oczy podbiegłe krwią i palce zakończone żółtymi paznokciami. Był pewien, że to koszmar, gdyż widział go już wcześniej – tę samą twarz, te same połamane paznokcie. Zamrugał, ale nic się nie zmieniło. Ten obleśny mężczyzna dalej przed nim stał, coraz mocniej zaciskając pięści, i wtedy Johnny uświadomił sobie, gdzie jest. Krzyk wyrwał się z jego gardła, a Burton Jarvis wdarł się przez okno tak szybko, że chłopiec ledwie zdążył się poruszyć. Odsunął się w stronę przeciwległych drzwi, ale twarde kościste palce złapały go za kostkę. Johnny znów krzyknął i w odpowiedzi usłyszał pomruk Jara, ten sam odrażający dźwięk, jaki wydobywał się z otchłani jego koszmarów. Na jego kostce zacisnęła się druga dłoń i chłopiec zjechał z fotela.

Zamachnął się nożem i trafił najpierw w jedną, potem w drugą rękę. Czerwone rysy zamieniły się w głębokie pęknięcia. Johnny próbował ciąć jeszcze raz, ale napastnik szarpnął tak mocno, że jego głowa uderzyła o kierownicę. Szczęknęły drzwi i chłopiec znalazł się na drodze. Uderzył głową w asfalt, a kopnięcie wytrąciło mu z ręki nóż – z brzękiem potoczył się na bok.

Próbował wczołgać się pod samochód, ale Jar złapał go za kark i obrócił na plecy. Żwir wbijał mu się w potylicę, palce zaciskały się na gardle. Poczłł lodowatą smugę na piersi. Przez chwilę była chłodna, ale zaraz pojawił się palący ból i chłopiec wiedział, że został ugodzony własnym nożem. Jar wrzeszczał mu prosto w twarz, miotał obłąkane plugastwa, a z ust zwisała mu strużka śliny. Johnny czuł, jak kolejna lodowata rysa pęka na piersi i wypełnia się żarem. Zdawał sobie sprawę, że zaraz umrze, że ten stary skurwiel zaszlachtuje go na ulicy.

– Lubisz to? – Błysnęło ostrze i Jar zadał cięcie. A potem jeszcze jedno. I jeszcze. – Lubisz to, ty mały gnoju?

Był wściekły, opętany furją. Wtem rozległ się grzmot, coś odrzuciło go

w tył i na jego piersi rozkwitł czerwony kwiat. Huk wdarł się w uszy Johnny'ego niczym miękka wata, a potem chłopiec usłyszał głuchy odgłos, kiedy ciało Jara uderzyło o asfalt. Zamknął oczy i zobaczył, jak stary unosi się w powietrzu, a nitka śliny zatacza łuk i odrywa się od jego ust. Nie miało to sensu, ale wciąż widział ten obraz, świeżo wyryty w umyśle. Johnny usiadł i po skórze na jego piersi rozlał się piekielny ból. Uniósł rękę i spojrzał na zakrwawione palce, a potem zobaczył podeszwę stopy Jara. Noga starego podrygiwała konwulsyjnie.

Co się stało?

Za jego plecami zachrząścił żwir. Najpierw zobaczył duży i czarny rewolwer, który trząsał się w mocno zaciśniętych i zbielejących od wysiłku palcach. Palce były drobne, a za paznokciami czernił się brud. Chude ręce o ledwie zarysowanych mięśniach z trudem utrzymywały broń i wylot lufy zataczał w powietrzu szaleńcze kręgi. Dziewczyna miała na sobie brudną niebieską koszulę, która sięgała jej do kolan. Nad kieszenią widniała naszywka z nazwiskiem Jara, a u dołu tłusta plama. I brakowało guzika. Na jej nadgarstkach pobrzękiwały kajdanki. Z przygryzionej wargi sączyła się krew.

Nawet nie spojrzała na Johnny'ego, przechodząc obok. Nie odrywała wzroku od Burtona Jarvisa. Jego nogą wciąż szarpały drgawki, a jego palce zaciskały się kurczowo.

Johnny zrozumiał wszystko.

– Tiffany.

Nie zwróciła na niego uwagi. Widział rany na jej nogach i zaognione pręgi pod lśniącymi kajdankami.

– Tiffany, nie rób tego.

Oba jej kciuki odciągnęły kurek. Rozległy się dwa metaliczne szczęknięcia. Noga leżącego wyprężyła się na moment. Johnny wstał i zobaczył twarz starego, jego szeroko otwarte oczy, które połyskiwały jak srebro.

– Nie – szepnął Jar, podnosząc rękę.

Z nosa Tiffany pociekła krew i zebrała się nad górną wargą. Była gotowa to zrobić.

– Muszę z nim porozmawiać. – Johnny uniósł obie ręce. – On wie, gdzie jest moja siostra.

Tiffany zawahała się. Krew spłynęła z jej wargi na jeden z idealnych białych zębów. Dziewczyna wyprostowała rękę.

– Nie! – krzyknął Johnny.

Ona jednak nacisnęła spust. Pocisk przeszył dłoń Jara i wbił mu się w usta. Jego głowa podskoczyła i opadła bezwładnie. Drgająca noga znieruchomiała.

Tiffany usiadła na asfalcie, odłożyła rewolwer i patrzyła tępo przed siebie. Nie widziała, że kałuża krwi Jara rozlewa się w jej kierunku. Johnny podbiegł do starego i opadł na kolana. Chwycił roztrzaskaną głowę, jakby chciał zatrzymać wszystko, co z niej uciekało, ale srebrzysty połysk w pustych oczach Jara ustępował miejsca ołowianej szarości. Na sekundę Johnny'emu pociemniało przed oczami, a potem zaczął krzyczeć.

– Gdzie ona jest? – powtarzał raz za razem.

Zaczął uderzać bezwładną głową o asfalt i tłukł nią tak długo, aż głucho dudnienie zamieniło się miękkie plaśnięcia.

Przestał w końcu, gdy dotarło do niego, że jest za późno.

Rozdział 21

Levi zbudził się oszołomiony, miał mgłę przed oczami i wciąż jeszcze słyszał echo wystrzału, który wyrwał go ze snu. Nie sądził, aby dobiegł on z bliska, ale nad rzeką dźwięki rozchodziły się w dziwny sposób. Strzał mógł paść gdziekolwiek.

Mrugał tak długo, aż odzyskał ostrość widzenia. Miał w sobie wspomnienie bólu, a kiedy spróbował usiąść, pojawił się również sam ból. Czuł, że coś rozrywa mu wnętrzności, i kiedy przyłożył rękę do obolałego miejsca, palce natrafiły na lepłą ciecz. Spojrzał w dół i zobaczył, że z brzucha sterczy mu końcówka ułamanej gałęzi. Rozszczepiony drewniany kikut miał grubość kija bilardowego i wbił się w jego ciało tuż pod prawym żebrem. Dotknął go palcem i poczuł, jak drugi koniec porusza się w głębi jego trzewi. Zamrugał załzawionymi oczami i spróbował go wyciągnąć.

Kiedy znów się obudził, wiedział już, że lepiej zostawić gałąź w spokoju. Bolało go, kiedy się poruszał, ale nie aż tak bardzo, by nie mógł się ruszać w ogóle. Wiedział, że nie powinien o tym myśleć, zaczął więc myśleć o tym, aby nie myśleć. Z trudem podniósł się na kolana, oparł czoło o pakunek i rozpostarł ramiona. Poprosił Boga o siłę, aby mógł przeżyć kolejny dzień i zrobić to, co powinien zrobić. Był pewien, że Bóg przemówi do niego, ale kiedy otworzył oczy, ujrzał wronę siedzącą bez ruchu na konarze. Wpatrywała się czarnymi oczami w jego pudło i Levi poczuł ukłucie strachu. Nie ufał ptakom. Były zbyt spokojne i tak bardzo interesowały się tym, co robią ludzie. Znał też stare, pochodzące z czasów jego prababki historie o wronach i duszach zmarłych.

Opowieści o duszach, które skręcały się i płonęły podczas długiego upadku.

Levi wyciągnął ręce i pochylił się nad pakunkiem, zasłaniając go sobą. Przez długą sekundę ptak przyglądał mu się uważnie, a potem odleciał, by przysiąść na szczycie innego drzewa. Jego pień był osmalony od

uderzenia pioruna, a rozwidlony konar od strony rzeki rozsechł się do białości. Ptak wylądował pośród tuzina swoich krewniaków, zaskrzeczał raz i ucichł. Nie drgnęło na nim ani jedno pióro. Wszystkie wrony spoglądały na niego i miał wrażenie, że dotykają jego serca. Wyglądały złowrogo na koronie martwego drzewa. Usłyszał szept.

Złowrogie wrony.

Zdumiał go ten głos. To nie był głos Boga. Miał balsamicznie miękką barwę i melodyjne brzmienie. Rozpływał się w jego głowie i napełniał mu usta słodyczą. Spróbował wstać i znów przeszył go ból, kiedy coś chrupnęło mu w kostce. Opadł ciężko z powrotem i przetoczył się na bok. Powietrze wokół niego było gorące, a kiedy uniósł wzrok, zobaczył, jak ptaki zrywają się do lotu, szeleszcząc i trzepocąc skrzydłami tak gwałtownie, że martwe drzewo wydało cichy jęk. Levi chwycił się za kostkę i wyczuł pod palcami twardą opuchliznę. Była zwicznęta, może złamana i domyślał się, że musiało do tego dojść podczas upadku ze skarpy. Wtedy nawet tego nie poczuł, ale teraz dawało mu się we znaki. Nacisnął stopę i jego nerwy przeniknął tak ostry i dojmujący ból, że doprowadził go do płaczu.

Spojrzał w stalowe niebo i znów usłyszał ten sam dziwny szept.

Złowrogie wrony.

Ten głos go przerażał.

– Gdzie jesteś? – zapytał błagalnym tonem, zwracając się do Boga, ale nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

Nigdzie nie było widać wron, a martwy konar wciąż się poruszał, w górę i w dół, z boku na bok, chociaż ptaki dawno już odleciały.

Przez godzinę Levi zbierał się w sobie, by znów spróbować się podnieść. Gdy to samo ostrze kolejny raz przeszyło jego kostkę, zdecydował, że dalej będzie musiał pełznąć. I tak właśnie zrobił, poczołgał się wzdłuż brzegu w górę rzeki, ciągnąc za sobą pudło i popłakując z cicha.

Rozdział 22

Szpitalny parking nie zdołał pomieścić wozów transmisyjnych wszystkich stacji. Stały w takim ścisku, że Charlie musiał walczyć o pozostawienie wolnego pasa na wypadek, gdyby przyjechał ambulans z pacjentem. Na tym polegała jego praca. Charlie pilnował parkingu, kierował ludzi do wejścia i wyprowadzał ich na zewnątrz. Stał pod zadaszeniem bramy i mrużył oczy w ostrym świetle. To był jego piąty wywiad.

Uniósł rękę i nie zważając na tłum dziennikarzy, utkwiał wzrok w reporterce Kanału Czwartego. W rzeczywistości była tak samo ładna jak na ekranie telewizora. Wyglądała, jakby wyszła wprost z filmowego plakatu.

– Dokładnie tu. – Charlie pokazał palcem. – Samochód wjechał tędy, jakoś tak narowicie. Zarzuciło nim. Uderzył w ten betonowy słupek, odbił się i zatrzymał tutaj. – Charlie znów wyciągnął rękę, pokazując miejsce, w którym stał. – Na szczęście szybko biegam.

Reporterka pokiwała głową, a jej mina nie zdradzała powątpiewania. Charlie dźwigał tak wielki brzuch, że można by nim obdzielić trzech mężczyzn.

– Proszę mówić dalej – zwróciła się do niego.

Charlie podrapał się po kępcę rzadkich włosów na czubku głowy.

– Cóż, no i tyle – odparł.

Twarz reporterki rozjaśnił tak promienny uśmiech, że zrobiło mu się ciepło.

– Czy za kierownicą siedział Johnny Merrimon? – spytała.

– Tak jest. Zapamiętałem jego twarz z zeszłego roku. Naprawdę trudno ją zapomnieć. Prawie wszędzie były zdjęcia jego siostry bliźniaczki. Oni wyglądają tak podobnie. Tylko że chłopak był cały pokaleczony i brudny. W samochodzie było pełno krwi.

Reporterka zerknęła w stronę kamery.

– Johnny ma trzynaście lat...

– Niezbyt sobie radził z prowadzeniem samochodu...

– Ale dziewczynka, która z nim przyjechała, to Tiffany Shore?

– Ta, która zaginęła. – Charlie pokiwał głową. – Tak, to była ona. O niej też było w gazecie.

– Czy Tiffany Shore wyglądała na ranną? – W oczach reporterki pojawił się błysk, a wyszminekowane usta rozchyliły się, odsłaniając rząd idealnych zębów.

Charlie opuścił rękę, którą wciąż dotykał czubka głowy.

– Nie mam pojęcia, czy była ranna. Miała na rękach kajdanki i była roztrzęsiona. Wydierała się. Zaczęła wrzeszczeć, kiedy próbowaliśmy wyciągnąć ją z samochodu. Nie chciała puścić ręki tego chłopaka.

– A co z Johnnym Merrimonem? W jakim on był stanie?

– W jakim stanie? Cholera, on wyglądał jak dziki Indianin.

Reporterka podsunęła mu bliżej mikrofon. Charlie przełknął ślinę i oderwał wzrok od jej warg.

– Tak, bo on ma takie czarne włosy, no wie pani, i te ciemne oczy. Jest chudy jak łośnica i był wtedy bez koszuli. Na szyi miał zawieszony pióra i kości, widziałem czaszkę, jak Boga kocham, czaszkę. A jego twarz była pomalowana na czarno i czerwono, jakby w pasy. – Wykonał ruch rozcapierzonymi palcami. – Wie pani, jak Indianie.

– Barwy wojenne? – zapytała reporterka podekscytowanym tonem.

– I tylko patrzył na mnie spode łba, tak dziko i wrogo. A dyszał tak, jakby przebiegł dziesięć kilometrów.

– Czy był ranny?

– Głównie pocięty. Pokrojony, tak bym to ujął. Cały był pokryty krwią i brudem. Nie chciał się oderwać od kierownicy i też musieli go wyciągać z samochodu. – Pokręcił głową. – To była przeprawa, mówię pani.

Reporterka przysunęła mikrofon jeszcze bliżej jego twarzy.

– Czy według pana Johnny Merrimon uwolnił Tiffany Shore z rąk człowieka, który ją porwał?

– Ja tam nie wiem. – Charlie przerwał na chwilę i gapił się w dekolt reporterki. – Jak dla mnie, to żadne z nich nie wyglądało na wyrwane z czyichś rąk.

Hunt stał w rzęście oświetlonym holu, a jego sylwetka odbijała się

w wypolerowanej posadzce. Żyła pulsowała mu na skroni, a w piersi wzbierała gorycz. Rozmawiał ze swoim szefem, naczelnikiem policji, i powstrzymywał się ze wszystkich sił, aby go nie zdzielić.

– Jak, do cholery, mogłeś to przeoczyć?

Naczelnik miał spadziste ramiona, był szeroki w talii, słynął z nietolerancji i politycznego instynktu przetrwania. Zwykle nie wchodził Huntowi w drogę, ale ten dzień nie był zwyczajny.

– Na miłość boską, Hunt. Ten facet to znany pedofil.

Hunt policzył w myślach do trzech. Minał ich lekarz, potem szczupła pielęgniarka, która pchała puste łóżko na kółkach.

– Przesłuchiwaaliśmy go dwa razy. Wyraził zgodę na przeszukanie jego domu, co uczyniliśmy. Był czysty. To niejedyny notowany przestępca. Byli też inni, których uznaliśmy za groźniejszych. Mamy za mało ludzi.

– To nie jest wytłumaczenie.

Hunt zaczął wyliczać na palcach.

– Ostatniego wykroczenia dopuścił się dziewiętnaście lat temu. Od szesnastu lat jest na wolności. Musieliśmy sprawdzić wielu notowanych z dużo gorszą kartoteką. Nie mieliśmy żadnych szans, żeby dowiedzieć się o tej szopie. Żadnego pozwolenia na budowę ani mediów. Ani śladu na planach katastralnych. Na terenie hrabstwa mogą być tysiące takich szop jak ta i nikt nie ma o nich pojęcia. I jeszcze ten Levi Freemantle. Nigdy nie natrafiłem na wyraźniejszy trop. David Wilson powiedział, że znalazł dziewczynkę, a na jego ciele był odcisk palca Freemantle'a...

– A mnie tam chcą ukrzyżować. – Naczelnik wymierzył palec w stronę drzwi prowadzących na dziedziniec przed szpitalem. – Przed kamerami telewizji publicznej.

– Cóż, na to nie mam wpływu.

Naczelnik zmrużył oczy, a w jego głosie zabrzmiał groźny ton.

– Masz z tego uciechę, prawda?

– Nie gadaj bzdur.

– Oni chcą się dowiedzieć, jakim cudem ten chłopak znalazł Tiffany Shore, kiedy my nie daliśmy rady. On ma trzynaście lat, na Boga, a oni chcą zrobić z niego bohatera.

– Nie wiemy, co tam się wydarzyło.

– Wyszedłem na idiotę. A skoro już mowa o tym dzieciaku, to dziękuję

ci również, że dałeś Kenowi Hollowayowi powód, aby mógł dobrać mi się do dupy. Odebrałem cztery telefony z magistratu. Cztery, w tym dwa od samego burmistrza. Holloway wysuwa poważne zarzuty. Grozi pozwem.

Hunt poczuł, że miarka się przebiera.

– On zaatakował jednego z twoich funkcjonariuszy – odparł z wyraźnym gniewem. – Nie obchodzi cię to?

– Gadaj zdrów. Dotknął cię tylko palcem.

– Przeszkadzał mi w śledztwie.

– Mniejsza o to, w czym ci przeszkadzał. – Mina naczelnika wyraźnie podkreślała niedomówienie.

Hunt naprężył mięśnie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Holloway utrzymuje, że przejawiasz osobiste zainteresowanie osobą Katherine Merrimon. I że ma ono podłoże emocjonalne.

– To śmieszne.

– Czyżby? Twierdzi, że go nękaś. Że się na niego uwziąłeś.

– Zaczynał być agresywny. Zareagowałem na napaść.

– Funkcjonariuszka Taylor potwierdziła wersję Hollowaya.

– Nie wierzę, żeby ona coś takiego powiedziała.

– Nie musiała nic mówić. W całym swoim skromnym życiu Taylor nigdy nie potrafiła ukrywać prawdziwych emocji. Wystarczyło, że ją o to zapytałem.

Hunt odszedł na bok, tymczasem jego szef mówił dalej.

– Nie jest mi obojętne to, w jaki sposób twoje działania odbijają się na mnie, więc zapytam cię wprost. Czy jesteś zadurzony w Katherine Merrimon?

– Powiedz mi po prostu, czego ode mnie oczekujesz.

– Żebyś odpowiedział na to cholerne pytanie.

– To pytanie jest poniżej mojej godności.

Sekundy ciągnęły się. Naczelnik oddychał ciężko.

– Może powinieneś wziąć trochę wolnego? – zasugerował.

– Nie ma mowy.

Z piersi szefa wydobyło się kolejne ciężkie westchnienie i przez moment na jego twarzy zagościł wyraz współczucia.

– Widzisz, Clyde. Nie udało nam się odnaleźć Alyssy. Kiedy ta sprawa

przybrała taki obrót... Ludzie zadają pytania.

– O co?

– O twoją kompetencję. – Naczelnik znów spojrzał ze współczuciem. – Mówiłem ci już, że traktujesz to zbyt osobiście.

– Nie bardziej niż jakikolwiek inny gliniarz.

– Dziś rano wydzierałeś się na zbiegowisko gapiów i rozlałeś farbę na terenie objętym twoim własnym śledztwem. – Szef odwrócił wzrok i pokręcił głową. – To był ciężki rok. Myślę, że potrzebujesz odpoczynku.

– Zwalniasz mnie?

– Chcę, żebyś wziął parę tygodni urlopu. Góra miesiąc.

– Nie.

– Tak po prostu odmawiasz?

– Tak po prostu.

Współczucie na twarzy szefa ustąpiło miejsca złości.

– Więc powiem ci, co będziesz teraz robił. Po pierwsze, weźmiesz na siebie każdy smród, jaki wyniknie z całej tej zaszrannej sprawy. Jeżeli prasa zażyczy sobie chłopca do bicia, zamierzam dać im ciebie i oczekuję, że podejmiesz się tej roli. Dotyczy to też władz miasta. I rodziców Tiffany Shore.

– Czemu miałbym się na to zgodzić?

– Ponieważ kryłem cię przez ten rok.

– Gówno prawda.

– Po drugie. – Naczelnik uderzył dwoma palcami w otwartą dłoń. – Chcę, żebyś odczepił się od Kena Hollowaya. Ten facet ma więcej pieniędzy niż sam Bóg, więcej ustawionych przyjaciół, niż każdemu z nas mogłoby się marzyć, więc nie chcę problemów z jego strony. Poza tym, że sypia z kobietą, która najwyraźniej cię interesuje, nie dopuścił się niczego złego w całym swoim życiu, o ile mi wiadomo. Nie został nigdy aresztowany ani o nic oskarżony. Jeżeli zatem będzie chciał dotknąć cię palcem, przyjmiesz to jak mężczyzna. A jeżeli zechce sobie podotykać Katherine Merrimon – szef przytknął palec do piersi Hunta i nacisnął mocno – nie będziesz mu w tym przeszkadzał.

Hunt patrzył za oddalającym się naczelnikiem. To był mały człowiek o małych priorytetach, a Hunt miał poważniejsze troski, więc w myślach

zakopał głęboko tę rozmowę, zmył ją z siebie. Wyrzucił ją z pamięci.

Cholera, pomyślał, kogo ty chcesz okpić?

Przeciskając się krętymi korytarzami, dotarł w końcu na oddział pediatryczny, gdzie umieszczono Johnny'ego. Nie pozwolono mu zobaczyć się z chłopcem, ale liczył, że spotka lekarza i zdoła go przekonać do zmiany zdania. Zobaczył na korytarzu kobietę o surowym wyglądzie, która siedziała ze złączonymi kolanami na ławce obok sali Johnny'ego. Miała zaczesane do tyłu siwe włosy i była ubrana w kostium o prostym kroju. Hunt rozpoznał ją.

Opieka społeczna.

Kobieta pochwyciła jego spojrzenie i zaczęła wstawać, jednak Hunt zawrócił w miejscu, nim zdążyła cokolwiek powiedzieć. Ruszył w kierunku holu, ale zatrzymał się, słysząc głos Katherine.

– Detektywie Hunt?

Zauważył ją obok drzwi windy. Wyglądała okropnie. Podszedł do niej i obydwójce stanęli na wprost siebie, dziwnie samotni w zatłoczonym pomieszczeniu.

– Co z Johnnym? – zapytał.

Kobieta podrapała się po rękę i odgarnęła włosy z oczu, a wtedy zobaczył, że jest na skraju załamania.

– Niedobrze. Został zraniony siedem razy, a dwa cięcia są dosyć głębokie. – Potarła palcami oczy; pociekły jej łzy. – Założyli mu aż dwieście sześć szwów. Będzie miał blizny na całe życie.

– Czy jest przytomny? – zapytał Hunt, spoglądając nad jej ramieniem.

– Teraz nie. Obudził się tylko na chwilę.

– Mówił coś w ogóle?

– Pytał o Alysę. Chciał się dowiedzieć, czy ją znaleźliśmy – powiedziała. Hunt odwrócił wzrok, ale Katherine Merrimon położyła dłoń na jego rękę. – Czy to ten sam człowiek?

Pytała go, czy Burton Jarvis był tym samym człowiekiem, który porwał jej córkę.

– Jest zbyt wcześnie, by to stwierdzić.

– Czy to on? – Ścisnęła jego rękę i Hunt zobaczył, jak nadzieja i lęk wypełniają jej oczy.

– Nie wiem – odparł. – Badamy to. Musimy wszystko sprawdzić. Kiedy

będę coś wiedział, pani się o tym dowie. Obiecuję.

Kobieta pokiwała energicznie głową.

– Powinnam tam wrócić... Na wypadek gdyby się obudził.

Zaczęła się odwracać, by odejść, ale Hunt ją zatrzymał. Przez chwilę bił się z myślami, zanim zwrócił się do niej po imieniu.

– Katherine...

– Tak?

– Opieka społeczna będzie chciała z panią porozmawiać.

– Opieka społeczna? Nie rozumiem.

– Johnny był całą noc poza domem. Zabrał pani samochód. Omal nie zginął z ręki notowanego pedofila. – Hunt na moment zawiesił głos. – Nie sądzę, aby pozwolili Johnny’emu zostać z panią.

– Nie rozumiem – powtórzyła, a po chwili dodała szybko: – Nie zgodzę się na to.

– Miał na sobie naszyjnik z piór i kości węży. Nie znam sędziego, który pozwoliłby mu z panią zostać. Widziała pani dziennikarzy przed szpitalem? To publiczne stacje, CNN, FOX. Nazywają go Małym Wodzem i Szalonym Indianinem. To teraz sensacja, przez co sprawa nabrała politycznego charakteru. Opieka społeczna podejmie działania, bo nie ma innego wyjścia.

– Co mam zrobić? – zapytała Katherine z rezygnacją.

– Nie wiem.

– Proszę. – Zacisnęła palce na jego przedramieniu. – Proszę.

Hunt rozejrzał się dokoła. W ciągu siedemnastu lat nigdy nie przekroczył tej granicy, ale teraz właśnie przed nią stał i widział ją wyraźnie. Całkowicie panując nad sobą, przeszedł na drugą stronę. Dlaczego? Ponieważ pewne rzeczy liczyły się bardziej niż inne.

– Przeprowadzą pełny wywiad – wyjaśnił. – To się zaczyna od niezapowiedzianej inspekcji w domu.

– Ja nie...

Katherine podniosła rękę i dotknęła kosmyka cienkich włosów.

– Musi pani teraz wrócić do domu, zrobić tam porządek. – Hunt przerwał na moment, ale nie mógł pominąć bolesnej prawdy. – Musi pani odstawić te leki.

– Ale ja nie...

– Proszę mnie nie okłamywać, Katherine – przerwał jej Hunt. – Mówię w tej chwili jako przyjaciel, nie glina. Jako człowiek, który stara się pomóc drugiemu.

Patrzyła mu w oczy tak długo, jak tylko potrafiła wytrzymać jego spojrzenie, potem opuściła wzrok.

– Katherine, popatrz na mnie. – Dotknął jej i przechylił jej głowę. W ostrym świetle widział jej bezbronny wyraz twarzy. – Zaufaj mi.

Zamrugła, strząsając z rzes resztki łez, a kiedy się odezwała, każde słowo przychodziło jej z trudem.

– Nie mam czym wrócić do domu.

Hunt zerknął w stronę przeszklonych drzwi, za którymi kłębił się tłum. Reporterzy i kamery. Jego dłoń odnalazła rękę Katherine.

– Tędy – powiedział.

Poprowadził ją labiryntem korytarzy do windy, a potem na zewnątrz przez podwójne drzwi z napisem „Tylko dla zaopatrzenia”.

– Samochód stoi tam.

– A co się stało z moim samochodem?

– Został zarekwirowany. Jako dowód.

Kiedy przeszli kilka metrów po oświetlonym słońcem parkingu, wyrwała rękę z jego uścisku.

– Dam sobie radę – powiedziała.

Wsiedli do samochodu i Hunt doszedł do wniosku, że jednak bardzo się myliła. Na jej policzkach pojawiły się wypieki, a zbiegające palce zaciskały się kurczowo. Oparła się o drzwi i zwiesiła głowę.

Podjechał tak blisko ganku, jak tylko się dało.

– Czy ma pani pieniądze na taksówkę, żeby wrócić do szpitala? – zapytał, a ona potakująco skinęła głową. – A mój numer telefonu?

Odgarnęła włosy z twarzy, napotkała jego spojrzenie i jej oczy rozjaśnił krótki przeblysł dumy.

– Mam kilka pańskich wizytówek – odparła.

Otworzyła drzwi po swojej stronie i do wnętrza wdarła się fala gorąca. Patrzył, jak przekłada nogi nad progiem, patrzył na jej dłoń opartą na drzwiach. Kiedy nachyliła się do środka, jej głos brzmiał chrapliwie.

– Kocham mojego syna, detektywie.

– Wiem.

– Jestem dobrą matką.

Usiłowała przekonać o tym samą siebie, ale głębokie czeluście, które ziały w jej oczach, przeczyły jej słowom. Johnny leżał w szpitalu, a ona wciąż była napruta.

– Wiem o tym – odpowiedział Hunt, ale to nie było to, co myślał.

Wiem, że byłaś. I mam nadzieję, że znów będziesz.

Hunt wycofał samochód z podjazdu, a Katherine stała przed domem i odprowadzała go wzrokiem.

Trzydzieści minut później Hunt wraz z Yoakumem i kilkoma technikami przeszukiwał szopę. Stał zwrócony plecami w stronę domu.

– Baczość – powiedział Yoakum.

– Co?

– Szef.

Hunt spojrzał w stronę ścieżki i zobaczył naczelnika, który przedzierał się przez ostatnią kępę karłowatych zarośli. Było z nim dwóch funkcjonariuszy; jeden mundurowy, przytrzymując gałęzie, torował mu drogę.

– Właśnie się prostowałem – powiedział Hunt.

– Dobrego nigdy za wiele.

Hunt skrzyżował ręce na piersi. Nie widział nic złego w tym, że szef wstąpił na kontrolę, ale nie zamierzał okazywać radości z tego powodu. Naczelnik zatrzymał się parę metrów od nich, aby ogarnąć wszystko wzrokiem. Stał z dłońmi opartymi na biodrach i lekko przekrzywiał szczękę.

– Czy on to podpatrzył w filmie? – szepnął Yoakum.

– Zamknij się, John.

– To Patton. Jemu się wydaje, że jest George'em C. Scottem.

Naczelnik ruszył dalej i pokonał ostatni odcinek, a jego mały orszak podążył za nim. Skinął głową Yoakumowi i zmierzył Hunta poważnym spojrzeniem.

– Przejdź się ze mną.

– Gdzie? – Hunt rozłożył ręce, wskazując gestem nieprzebyte zarośla.

Szef przyglądał się badawczo leśnej gęstwinie.

– Zostawcie nas na chwilę – rozkazał i jego asystenci natychmiast się

zmyli. – Ty też, Yoakum.

– Ja? – zapytał Yoakum, kładąc rękę na piersi, a w jego oczach pojawiło się udawane zdumienie.

– Znikaj.

Kiedy Yoakum znalazł się za plecami szefa, zaczął maszerować krokiem defiladowym, ale Hunt nie był w nastroju do żartów. Wlepił wzrok w naczelnika, a ten wpatrywał się w niego. Napięcie rosło, aż w końcu szef przemówił pierwszy.

– Wracając do tamtego, może trochę przegiąłem.

– Może.

– A może i nie.

Naczelnik oglądał wysokie drzewa, które tworzyły ścianę lasu. Szopa była drobną plamką na tle morza zieleni.

– Jeżeli mnie zapewnisz, że nie siedzisz w tym zbyt głęboko, uwierzę.

– To całkowicie osobna sprawa – odparł Hunt, nie odrywając wzroku od oczu szefa.

– W porządku. – Naczelnik sztywno skinął głową. – Rozegrajmy to w ten sposób, ale nie zapominaj, że to twoja ostatnia, absolutnie jedyna pieprzona szansa. A teraz, zanim cię zwolnię za to, że jesteś takim marnym kłamcą, powiedz mi, co tutaj odkryliście.

Hunt wyciągnął rękę w stronę domu, który był niewidoczny za drzewami.

– Znaleźliśmy miejsce, w którym Jarvis podłączył się do swojej rozdzielni elektrycznej. Kabel biegnie pięć centymetrów pod ziemią. Oficjalnie szopa jest poza siecią. Widziałeś, jak się tam idzie. Ledwie wydeptana ścieżka. Od strony drogi ani z domu niczego nie widać. Żadnych zezwoleń, żadnych mediów. To jest bunkier w martwej strefie.

– Udało ci się coś wyciągnąć od dzieciaków?

– Są pod wpływem środków uspokajających. Lekarz nie pozwoli mi z nimi rozmawiać.

Naczelnik wszedł do szopy, a Hunt podążył za nim. Czuł, jak cierpnie mu skóra.

– Jak widzisz, ściany są obłożone materacami, które przypuszczalnie miały tłumić dźwięki. Okna są uszczelnione wełną mineralną i zasłonięte folią budowlaną. Też po to, aby nie przepuszczać dźwięków, ale również

światła. Spójrz na to. – Hunt podszedł do przeciwległej ściany i wskazał palcem mały otwór o nierównych brzegach. – Stąd wyrwała hak, do którego była przykuta kajdankami.

Hak został zapakowany do plastikowej torebki opatrzonej numerem. Hunt sięgnął po niego i przez cienką warstwę folii poczuł chłód metalu. Szef dotknął go raz, po czym uklęknął przy ścianie i przyłożył palec do otworu. Był płytki, wydrążony w suchym i spękany beton.

– Dzielna dziewczyna – stwierdził Hunt.

– A jak wy dostała się z szopy?

Hunt podprowadził szefa do drzwi i stanął na zewnątrz. Wskazał na mosiężną kłódkę Yale, wielką i solidną. Była zatrzaśnięta na metalowym skoblu w kształcie litery U.

– Zamknął kłódkę, ale nie założył wrzeczadza.

– Przypadek? – Naczelnik uniósł i puścił kłódkę: opadła i zakołysała się kilka razy. – Czy arogancja?

– Czy to ma jakieś znaczenie?

Naczelnik wzruszył ramionami.

– A broń? – zapytał.

– Nie wiadomo. Mogła cały czas leżeć w szopie. Dziewczynka mogła znaleźć ją w domu, który też nie był zamknięty.

Obaj policjanci zwrócili oczy tam, gdzie za drzewami stał budynek. Całkowicie zasłaniała go bujna roślinność, ale przed świtem, kiedy w środku paliły się światła, Tiffany mogła go zauważyć.

– Przypuszczam, że była czymś odurzona – dodał Hunt. – Znaleźliśmy alkohol i narkotyki. Badanie krwi wszystko nam powie.

– Czy coś wskazuje na to, że mogły tu przebywać inne dzieci? – Szef starał się utrzymać profesjonalny ton.

– Masz na myśli Alyssę Merrimon?

– Pytam ogólnie. – Naczelnik miał niewzruszoną minę.

Hunt, wytężając wzrok, wpatrywał się w las.

– Będzie nam potrzebny pies tropiący – oświadczył. – Jeżeli jest tu gdzieś pochowana, chcę ją znaleźć.

– Marne szanse.

– Już wezwałem ekipę – odparł Hunt posępnym tonem.

Rozdział 23

Schowana za cienkimi ścianami domu, który nie był jej domem, Katherine Merrimon przeglądała się w łazienkowym lustrze. Wtedy przed domem zobaczyła kłamstwo w oczach tego gliniarza, i zabolą ją to jak policzek. Dlatego zadawała sobie teraz to najtrudniejsze pytanie.

Czy jestem dobrą matką?

Opinająca jej twarz skóra była wysuszona i zbyt blada. Włosy wydawały się nienaturalnie ciężkie, a ręka drżała, gdy uniosła ją do policzka. Patrzyła na połamane paznokcie i pociemniałe, opuchnięte powieki. Szukała czegoś znajomego, ale jej oczy były jak z kartonu.

W jej myśli wdarł się obraz Johnny'ego. Leżał zabandażowany, poblady od utraty krwi, a pierwsze, o co zapytał, to jego siostra.

Alyssa.

Imię, które wypowiedziały jej usta, nieomal zważyło ją z nóg. Złapała się kurczowo umywalki, a po chwili uniosła wolno jedną rękę. Natrafiła na lustrzane drzwiczki i pociągnęła je z obrzydzeniem. Rzędy fiolek z lekami zajmowały trzy półki. Pomarańczowy plastik, białe etykiety. Wzięła pierwszą z brzegu. Vicodin. Zdjęła zatyczkę i wysypała trzy tabletki na otwartą dłoń. Mogły ją uwolnić od tego wszystkiego, od kalejdoskopu wspomnień, od cierpienia.

Po plecach ciekły jej strużki potu, suche usta wypełniał piekący ból. Już czuła, jak kładzie je na języku. Wystarczyło je przełknąć i smak gorzki zniknął po krótkiej chwili oczekiwania. Ale kiedy podniosła wzrok do lustra, ujrzała te puste oczy, wyblakłe jak niedoświetlona odbitka. Wyglądały tak samo jak oczy Johnny'ego, ale dawniej nie patrzyły w ten sposób. Kiedyś żadne z nich tak nie patrzyło.

Przechyliła dłoń, pozwalając, aby tabletki się z niej zsunęły. Porcelana zadzwoniła cicho. W nagłym przypływie szału zgarnęła wszystkie buteleczki i wrzuciła je do umywalki. Otwierała je, jedną po drugiej, i wysypywała ich zawartość do toalety. Jedna fiołka. Dwadzieścia.

Opróżniła je wszystkie i spuściła wodę.

Szybko. To musiało stać się szybko.

Zaniosła puste buteleczki do kuchni, wyrzuciła je do kosza i wyniosła worek na zewnątrz. Czas jakby przestał istnieć, kiedy zaczęła sprzątać. Myła i szorowała. Podłogę. Lodówkę. Okna. Godziny zlewały się w rozmazaną gorącą smugę potu i amoniaku. Włożyła pościel do pralki, wylała alkohol na zarośniętą chwastami ziemię, a butelki wyrzuciła do blaszanego kubła – znikły z brzękiem tłuczonego szkła. Na koniec stanęła przed tym samym lustrem. Pod miękką skórą szyi czuła pulsowanie krwi. Odkręciła gorącą wodę i zaczęła szorować twarz, aż poczuła ból, ale oczy wciąż patrzyły obco. Zdarła z siebie ubranie i weszła pod prysznic, ale to też nie wystarczyło. Brud zalał się wewnątrz.

Johnny obudził się. Był sam w jakimś dziwnym pomieszczeniu. Zza drzwi dobiegały go odgłosy kroków i stłumione głosy. Gdy usłyszał, jak ktoś wzywa lekarza, powróciły okruchy wspomnień. Dotknął bandaży na piersi i poczuł ból, a kiedy próbował usiąść, ogarnęły go mdłości. Na granicy pola jego widzenia pojawiły się wyraziste kolory – przez okno wlewała się matowa czerwień, pod drzwiami wzbierała zimna biel. Rozejrzał się za matką i ściany zaczęły mu tańczyć przed oczami. Kiedy usiadł, zauważył resztki sadzy pod swoimi paznokciami, ślady soku jałowca i plamy krwi na palcach. Pióra gdzieś znikły, ale to nie miało już znaczenia. Zamknął oczy i poczuł nieznośny uścisk dłoni Jara. Jego nozdrza wypełnił zapach skórzanej tapicerki samochodu i czuł długie lodowate pręgi, kiedy Jar miażdżył mu szyję i ciął go jego własnym nożem.

Johnny schował ręce pod prześcieradło, ale wciąż czuł pod palcami ciepłą gąbczastą wyrwę z tyłu głowy starego. Słyszał odgłosy, które stawały się coraz bardziej miękkie, i dotarło do niego, że Jar nie żyje. Johnny obrócił się na bok i zacisnął powieki.

Drzwi otworzyły się tak cicho, że nawet tego nie usłyszał. Wyczuwał poruszenia powietrza i czyjaś obecność obok łóżka. Otworzył oczy i zobaczył wymuszony uśmiech na zmizerowanej twarzy detektywa Hunta.

– Nie powinno mnie tu być – oznajmił policjant i wyciągnął rękę w stronę krzesła. – Mogę usiąść?

Johnny podniósł się na poduszkach. Usiłował coś powiedzieć, ale słowa więły mu w gardle.

– Jak się czujesz? – zapytał Hunt.

Oczy Johnny'ego spoczęły na pistolecie, którego rękojeść wystawała spod marynarki detektywa.

– Dobrze – chłopiec mówił powoli, a jego głos brzmiał grubo i sztucznie.

– Możemy porozmawiać? – Detektyw usiadł na krześle.

Johnny nie odpowiedział, a detektyw nachylił się w jego stronę. Złączył dłonie opuszkami palców, a łokcie oparł na kolanach. Pod rozchyloną marynarką Johnny widział znoszoną kaburę i metal pokryty czarną oksydą.

– Muszę się dowiedzieć, co tam zaszło – dodał Hunt, ale chłopiec nadal milczał jak zakłęty. – Możesz na mnie spojrzeć, synu?

Johnny pokiwał głową, ale jego oczy wydawały się zbyt ciężkie, by mógł nimi poruszyć.

– Johnny?

Chłopiec nie odrywał wzroku od pistoletu. Wpatrywał się w karbowane okładziny rękojeści, w białą kropkę pod dźwignią bezpiecznika. Jego ręka poruszyła się, widział gliniarza jak przez mgłę, kiedy sięgał po broń. Chciał ją tylko potrzymać, by się przekonać, czy jest tak ciężka, na jaką wygląda, ale wtedy pistolet rozplynał się, przybierając kształt kuli łagodnego światła. Chłopiec poczuł na piersi ciężar, który przygniótł go do materaca, i usłyszał dobiegający z oddali głos Hunta.

– Johnny. Zostań ze mną, Johnny.

Potem zaczął się zapadać i ktoś wbił czarne ostrza w jego oczy.

Katherine wyprasowała sobie ubranie i włożyła je. Z trudem panowała nad drzeniem palców, guziki wydawały się bardzo małe. Wysuszyła włosy, rozczesała je i chwilę zastanawiała się nad makijażem. Gdy skończyła, wyglądała jak normalna kobieta naciągnięta na szkielet kogoś bardzo chorego. Wzywając taksówkę, musiała wysilić pamięć, by przypomnieć sobie numer domu. Potem przysiadła na brzegu sofy i czekała.

Z kuchni dobiegało tykanie zegara, a ona siedziała z wyprostowanymi plecami.

Najpierw poczuła, jak pot ścieka jej po plecach między łopatkami. Wyobraziła sobie smak alkoholu i usłyszała kołysankę z dawno zapomnianych dni.

To byłoby proste. Tak bardzo, bardzo proste.

Decyzja o modlitwie przemknęła przez jej głowę jak cień. To było tak, jakby w mgnieniu oka zgasło światło, które dotąd tak wyraźnie wskazywało jej drogę. Gdzieś w głębi duszy zaczęła wzbierać pokusa. Najpierw paliła ją wściekłym ogniem, a potem przeobraziła się w czarną zimną bryłę. Próbowwała ją zwalczyć, ale na próżno i kiedy opadała na kolana, czuła się jak kłamca i oszust, jak wędrowiec zagubiony wśród nocnej ulewy.

Z początku nie mogła wymówić ani słowa i miała wrażenie, jakby sam Bóg ścisnął jej gardło. Opuściła głowę i usiłowała odnaleźć w sobie to wszystko. Bezbronność. Wiarę. Pokorę. I z pokorą zaczęła prosić Boga o siłę i o to, by jej syn wyzdrowiał. Błagała go o pomoc, cicho i żarliwie. Błagała, by pozwolił jej zachować to, co miała, jej dziecko i ich wspólne życie. Kiedy podnosiła się z klęczek, usłyszała chrzęst opon na żwirze, który przypominał odgłos deszczu. Po chwili znów zapadła cisza.

W drzwiach stanął Ken Holloway.

Marynarkę miał wymiętą, a krawat o barwie dumnej purpury zwisał luźno z jego szyi. Rozpięty kołnierzyk koszuli znaczyły ciemne plamy potu. Katherine znieruchomiała, widząc niezadowolenie na jego twarzy. Stała, wpatrując się w kępki włosów, które pokrywały grzbiet jego dłoni.

– Co ty robisz? – Chwycił ją za policzek kciukiem i dwoma palcami. – Dla kogo tak się wystroiłaś? – zapytał, ale ona nie była w stanie wykrztusić słowa. Zacisnął mocniej palce. – Pytam, dla kogo tak się wystroiłaś?

– Jadę do szpitala – odpowiedziała prawie szeptem.

Ken spojrzał na zegarek.

– Pora odwiedzin skończy się za godzinę. A co byś powiedziała na to, żebyśmy teraz się napili, a wybierzesz się tam jutro? Z samego rana.

– Będą się zastanawiać, czemu mnie tam nie ma.

– Kto będzie się zastanawiać?

– Opieka społeczna. – Kobieta ciężko przełknęła ślinę.

– To biurokraci. Nic ci nie mogą zrobić.

Katherine podniosła głowę.

– Muszę iść.

– Zrób mi drinka.

– Nie ma z czego.

– Jak to?

– Popłynęło. Nic nie zostało.

Próbowała przejść obok niego, ale zatrzymał ją masywnym ramieniem.

– Jest już późno. – Przesunął dłoń w dół jej pleców.

– Nie mogę.

– Całą noc spędziłem w areszcie. – Chwycił ją za rękę. – To wina Johnny’ego, i ty o tym wiesz. To przez twojego syna. Gdyby nie rzucił tym kamieniem w moje okno...

– Nie masz pewności, że on to zrobił.

– Czyżbyś mi nie wierzyła?

Poczuła ból w ramieniu. Spojrzała na palce, które wpijały się w jej ciało.

– Zabierz rękę.

Roześmiał się i poczuła, jak napiera na nią i przyciska do futryny, wypełniając sobą całe przejście. Zaczął wpychać ją z powrotem do wnętrza.

– Puść mnie – powiedziała, ale on nie ustępował.

Widziała jego zaciśnięte usta i bezwzględne spojrzenie. I nagle przed oczami miała obraz Johnny’ego, jego drobny podbródek oparty na dłoni, kiedy siedział na najniższym stopniu schodów i patrzył w stronę wzgórza, czy nie wraca jego ojciec. Ganiła go za to, ale teraz poczuła taką samą nadzieję, jaką on musiał czuć. Spojrzała ponad ramieniem Kena w stronę wzgórza i wyobraziła sobie, jak pojawia się na nim półciężarówka jej męża i zjeżdża w dół, ale droga była pusta. Z gardła Kena wydobył się chrapliwy dźwięk i gdy uniosła głowę, zobaczyła uśmiech na jego twarzy.

– Jutro – odezwał się. – Z samego rana.

Jej wzrok znów powędrował w kierunku wzgórza, nad którym błysnęło coś metalicznie i zza szczytu wyłoniła się maska samochodu. Wpatrywała się w nią z zapartym tchem.

– To moja taksówka – oznajmiła.

Ken cofnął się, kiedy taksówka zaczęła zwalniać. Katherine uwolniła ramię z jego uścisku, ale wciąż czuła, jak stoi koło niej, wysoki, zwalisty

i wściekły.

– Muszę iść. – Przecisnęła się obok niego i zbiegła po schodach.

– Katherine. – Uśmiech Kena był szeroki i każdemu mógłby wydać się szczery. – Porozmawiamy jutro.

Z impetem wsiadła do taksówki, poczuła za plecami oparcie siedzenia, a w nozdrza uderzył ją zapach dymu papierosowego, nieświeżego ubrania i pomady do włosów. Kierowca miał pomarszczoną twarz, a na szyi bliznę o perłowym odcieniu.

– Dokąd? – zapytał, ale Katherine nie odrywała wzroku od Kena Hollowaya. – Proszę pani?

Ken wciąż się uśmiechał.

– Do szpitala – odpowiedziała w końcu.

Kierowca obserwował ją w lusterku. Wyczuła to i spojrzała w odbicie jego oczu.

– Nic pani nie jest?

Była cała spocona i trzęsła się.

– Wszystko w porządku – odparła, nie wiedząc nawet, jak bardzo się myli.

Rozdział 24

Johnny stał zwrócony plecami do lasu, a przed sobą miał wąską przecinkę. Była to zaledwie maleńka wysepka pośród morza drzew i chłopiec nie widział nic poza bezmiarem zieleni, który falował poruszany cichym wiatrem.

Siostra spoglądała na niego ze środka polany. Uniosła rękę. Ruszył ku niej przez trawę, która sięgała mu do kostek, a potem do kolan. Alyssa wyglądała tak jak wtedy, gdy widział ją po raz ostatni, była ubrana w bladożółte szorty i biały podkoszulek. Miała czarne jak atrament włosy i mocno opaloną skórę. Jedną rękę trzymała schowaną za plecami i przechylała głowę na bok tak, że czarne kosmyki opadały jej na oczy. Stała na płacie zardzewiałej blachy, który przygniatał trawę płasko do ziemi. Johnny czuł zapach tej zgniecionej trawy, woń dojrzałego lata.

U stóp Alyssy wił się wąż. Była to ta sama miedzianka, którą zabił Johnny, długa na półtora metra, o złotobrazowej skórze. Poruszała rozdwojonym językiem i uniosła głowę, kiedy chłopiec przystanął.

Johnny przypomniał sobie, jak gad rzucił się wtedy na niego i jak blisko doskoczył. Na parę centymetrów, może bliżej.

Alyssa schyliła się po węza i chwyciła go w połowie ciała. Ogon owinał się wokół jej nadgarstka. Wąż uniósł wysoko głowę i spojrzał jej w oczy, wysuwając i chowając język.

– To nie jest siła – powiedziała Alyssa.

Wąż zaatakował. Ukąsił ją w twarz – pojawiły się na niej dwie rany. Wypląnęły z nich dwie krople krwi, które wyglądały jak małe, idealnie okrągłe jabłka. Dziewczynka wyżej uniosła gada i zrobiła krok, a blacha poruszyła się pod jej stopami.

– To jest słabość.

Wąż znów zaatakował. Poruszał się błyskawicznie i było go widać wyraźnie tylko w momencie, kiedy zatapiał zęby w jej twarzy. Alyssa zachwiała się, a wąż ukąsił ją ponownie. Dwa razy. Raz w brew i raz

w dolną wargę. Kolejne rany i krew. Dziewczynka przystanąła i nagle jej oczy rozświetlił blask. Ich nasycona brązowa barwa przechodziła w czern i był w nich taki spokój, że wydawały się puste. To były oczy Johnny'ego, oczy ich matki. Zaciskała dłoń na ciele węża i chłopiec widział, że nie ma w niej lęku. Miała pobladłe usta, w jej twarz promieniowała zaciekłością i gniewem. Wąż zaczął się wyrywać z jej uścisku.

– Słabość – powtórzyła, a jej głos nabierał mocy.

Zaciśnięte palce zbieleły. Miażdżony gad miotał się gorączkowo, kąsał jej rękę i twarz. Wbił zęby w jej szyję i zawisł tak, pompując jad, chociaż jego ciało wilo się konwulsyjnie. Alyssa nie zwracała na niego uwagi. Wyjęła rękę z za pleców. Trzymała w niej rewolwer, czarny i połyskujący w jaskrawym, gorącym świetle.

– To jest siła – powiedziała i oderwała sobie węża od szyi.

Johnny przebudził się gwałtownie. Leki przestały działać, ale wrażenie, które pozostawił po sobie sen, nie ustępowało. Wciąż widział, jak jego siostra się uśmiecha, kiedy kładła palce na ciepłym lśniąącym metalu, który trzymała w dłoni. Dotknął bandaży na piersi i wtedy zobaczył matkę. Siedziała na krześle pod ścianą. Na skórze pod oczami miała ślady rozmazanego tuszu do rzęs, a jedno z jej kolan drżało.

– Mamo.

Obróciła głowę i natychmiast ocknęła się z odrętwienia, podszła do łóżka i stanęła nad nim.

– Johnny. – Pogładziła jego włosy, a potem pochyliła się i objęła go ramionami. – Moje dziecko.

Detektyw Hunt zjawił się dwie godziny po śniadaniu. Stał w drzwiach, obdarzył Johnny'ego skąpym uśmiechem, po czym kiwnął palcem na jego matkę i wyszedł z powrotem na korytarz.

Johnny obserwował ich przez szybę w drzwiach. Cokolwiek Hunt mówił, nie podobało się to Katherine. Kłócili się zaciekle. Matka kręciła głową, dwa razy odwracała się do okna i wlepiła wzrok w dal. Policjant raz dotknął jej ramienia, a ona odtrąciła jego rękę.

Kiedy drzwi otworzyły się wreszcie, pierwszy do środka wszedł Hunt, a zaraz za nim Katherine. Posłała synowi sztuczny uśmiech i przysiadła

na skraju plastikowego krzesła w rogu sali. Sprawiała wrażenie, jakby miała za chwilę zwymiotować.

– Cześć, Johnny. – Hunt przysunął sobie krzesło bliżej łóżka. – Jak się czujesz?

Chłopiec przeniósł wzrok z matki na ciemny kształt połyskujący metalicznie przy pasie detektywa.

– Czy z Tiffany wszystko w porządku?

– Myślę, że z tego wyjdzie – odparł Hunt, zapinając marynarkę.

Johnny zamknął oczy i zobaczył ją siedzącą w kałuży krwi zabitego człowieka, czuł pod palcami suchą, rozpaloną skórę jej ramienia, kiedy usiłował wsadzić ją do samochodu.

– Ona nie wiedziała, kim jestem. A chodziliśmy do tej samej szkoły przez siedem lat. – Johnny pokręcił głową. – Dopiero w połowie drogi do szpitala w końcu mnie rozpoznała. Nie chciała potem mnie puścić. Płakała i krzyczała.

– Dowiem się, co u niej – obiecał Hunt i dodał poważnym głosem: – twój wyczyn był dowodem wielkiej odwagi.

Johnny zmrużył oczy.

– Ja nikogo nie uratowałem.

– Czyżby?

– Właśnie takie rzeczy o mnie opowiadają, prawda?

– Owszem, niektórzy ludzie tak twierdzą.

– On by mnie zabił, gdyby nie Tiffany. To ona jest bohaterką. Nie powinni zmyślać innych historii.

– To telewizja, Johnny. Nie bierz tego poważnie.

Chłopiec wlepił wzrok w białą ścianę i jedną ręką dotknął bandażu na piersi.

– On chciał mnie zabić – wyszeptał.

Katherine wydała dźwięk, który zabrzmiał jak szloch. Hunt obrócił się w jej stronę.

– Naprawdę nie ma potrzeby, aby pani tu siedziała – powiedział.

Kobieta podniosła się z krzesła.

– Nie może mnie pan stąd wyprosić.

– Nikt nie sugeruje, aby...

– Nigdzie nie pójdę – oświadczyła podniesionym tonem.

Hunt usiadł znów przodem do Johnny'ego, a uśmiech na jego twarzy wydawał się szczery, choć pełen zakłopotania.

– Czy masz na tyle sił, aby odpowiedzieć na kilka pytań? – zwrócił się do chłopca, a ten potakująco skinął głową. – Zaczniemy do samego początku. Chciałbym, abyś wyobraził sobie mężczyznę, którego widziałeś na moście. Kierowcę samochodu, który staranował motocyklistę. Widzisz go?

– Tak.

– A teraz wyobraź sobie człowieka, który cię zaatakował, kiedy biegłeś.

– On mnie nie zaatakował. Po prostu mnie chwycił, jakby chciał zatrzymać.

– Zatrzymać cię?

– Jakby na coś czekał.

– Czy istnieje możliwość, że był to ten sam człowiek? Mężczyzna na moście i ten, który cię złapał?

– To byli dwaj różni ludzie.

– Tego na moście ledwie byłeś w stanie dojrzeć. Mówiłeś, że zamajaczyła ci tylko sylwetka.

– Byli różnej budowy, różnych rozmiarów. Poza tym dzieliło ich parę ładnych kilometrów.

Hunt powiedział Johnny'emu o zakolu rzeki i drodze na skróty.

– Niewykluczone, że był to ten sam człowiek – skwitował.

– Wiem, jak płynie rzeka – odparł Johnny. – Na samym środku tego cypla jest bagno. Każdy, kto będzie próbował przeciąć go w poprzek, zapadnie się po pas. Nie bez powodu ścieżka prowadzi wzdłuż rzeki. To byli dwaj różni ludzie, proszę mi wierzyć. Ten na moście nie wydawał się na tyle duży, by unieść takie pudło.

– Jakie pudło?

– Coś jakby kufer – wyjaśnił Johnny. – Było owinięte folią. Trzymał je na ramieniu i wyglądało na bardzo ciężkie.

– Opowiedz dokładnie, jak wyglądało.

– W czarnej folii, oklejone srebrną taśmą. Długie i masywne. Jak kufer. Mnie trzymał jedną ręką, a ten kufer drugą. Po prostu tam stał, jak już mówiłem. A potem odezwał się do mnie.

– Nie wspominałeś o tym wcześniej. Co powiedział?

- Bóg rozkazał.
- Co to ma oznaczać?
- Nie wiem.

Hunt wstał, podszedł do okna i przez długą minutę spoglądał przez szybę.

– Czy nazwisko David Wilson coś ci mówi? – przerwał w końcu milczenie.

- Nic.
- A Levi Freemantle?

– David Wilson to człowiek, który został zepchnięty z mostu. A Levi Freemantle to ten, co mnie złapał.

– Przecież powiedziałeś, że ich nie znasz.

– Bo nie znam. – Johnny wzruszył ramionami. – Ale nazwisko Freemantle jest typowe dla *mustee*, więc musiał je nosić ten wielkolud. Z tego wynika, że David Wilson to ten zabity.

– *Mustee*? To jacyś mieszkańcy?

– Krew afrykańska z indiańską – wyjaśnił chłopiec. – Z plemienia Lumbee, Sapona, Irokezów albo Catawba. Indianie również byli niewolnikami. Nie wiedział pan?

Hunt przyglądał się badawczo chłopcu, nie do końca przekonany, czy powinien mu wierzyć.

– Skąd wiesz, że Freemantle to nazwisko typowe dla *mustee*?

– Pierwszym wyzwolonym niewolnikiem w hrabstwie Raven był *mustee* imieniem Isaac. Kiedy uzyskał wolność, wybrał sobie nazwisko Freemantle.

– Przed tym śledztwem nigdy nie słyszałem o żadnym Freemantle’u z hrabstwa Raven.

Johnny wzruszył ramionami.

– Mieszkają tu tacy. A dlaczego pan uważa, że Levi Freemantle to ten sam, którego widziałem na moście?

– Porozmawiajmy o Burtonie Jarvisie.

– Nie – odparł Johnny.

– Dlaczego?

– Nie, dopóki nie odpowie pan na moje pytanie. Tylko tak będzie uczciwie.

– Nie jesteśmy na boisku, Johnny. Tu nie chodzi o uczciwość.
– On jest bardzo uparty – wtrąciła Katherine.
– No i świetnie – rzekł Hunt. – Jedno pytanie. Ten jeden raz.
– Dlaczego pan uważa, że Levi Freemantle jest tym facetem z mostu?
– Freemantle zostawił odcisk palca na ciele Wilsona. Na tej podstawie bierzemy pod uwagę, że mógł być tym, który zepchnął go z mostu. Gdybyś był w stanie stwierdzić, że to ten sam mężczyzna, Freemantle i ten, którego widziałeś na moście, wiele by to wyjaśniło.

Hunt nie wspomniał o ciałach znalezionych w domu Freemantle'a, ani o rysunku przedstawiającym olbrzyma, który trzyma dziewczynkę w żółtej sukience o krwistoczerwonych ustach.

Johnny usiadł prosto na łóżku i poczuł, jak napinają mu się szwy pod bandażami.

– Czy David Wilson wciąż żył, kiedy Freemantle znalazł się przy nim? – zapytał.

– Nie wiadomo.

– Ale jest to możliwe?

Hunt przypomniał sobie krwawe odciski na powiekach denata.

– Raczej wątpliwe – powiedział.

– A może powiedział Freemantle'owi, gdzie ona jest.

– Nie podążałbym w tym kierunku, Johnny.

– A jeżeli on mówił o Alyssie? Może powiedział mu, gdzie ją znalazł.

– Nie.

– Ale zakładając, że...

– To wątpliwe, że w ogóle mówił o niej, tak samo jak wątpliwe jest, że jeszcze żył, kiedy Freemantle do niego podszedł. – Hunt bacznie obserwował chłopca pochłoniętego rozważaniami. – Nawet o tym nie myśl.

– O czym mam nie myśleć?

Powiedział to z tak niewinną miną, z taką szczerością w szeroko otwartych oczach, że każdy inny policjant dałby się nabrać.

– Skończyła się już twoja zabawa w gliniarza, Johnny. Koniec z mapami, koniec z przygodami. Czy wyraziłem się jasno?

Johnny odwrócił głowę.

– Pytał pan o Burtona Jarvisa. Co pan chce wiedzieć?

– Zaczniemy od początku. W jaki sposób natrafiłeś na jego dom? Dlaczego tam się znalazłeś? Co widziałeś? Co się wydarzyło? Wszystko.

Johnny przypomniał sobie kilka pierwszych wizyt w tamtej okolicy, mrok i tę szopę, widok domu zza drzew i odgłosy małych zwierząt dobiegające z głębi lasu. Myślał o poźółkłych paznokciach i koszmarach, które prześladowały go całymi miesiącami, o przerażających kumplach Jara i ich pogawędkach o Żółtej Kruszynce. Ich śmiech, od którego ugiwały mu się nogi. Nie był w stanie zapanować nad niepokojem, który go ogarnął. To uczucie udzieliło się jego matce. Kobieta wstała i zaczęła przechadzać się po sali. Jej kroki przyprawiały detektywa Hunta o irytację.

– Czy mogłaby pani usiąść, Katherine? – odezwał się, lecz ona nie reagowała. – Katherine.

– Mam sobie siedzieć jak gdyby nigdy nic? – Rozdygotana spojrzała na niego lśnięcymi oczami. – Opieka społeczna. Nie pozwolę na to!

– Uzgodniliśmy, że należy teraz odizolować chłopca od tego wszystkiego. – Hunt ściszył głos.

– Nie zniosę tego!

– Robię, co mogę. Musi mi pani uwierzyć.

– Powiedział mi pan, że Alyssa wróci do domu. W to też miałam uwierzyć.

Hunt pobladł.

– To do niczego nie prowadzi.

– To o nich rozmawiacie? – Johnny wyciągnął rękę w stronę korytarza.

– O opiece społecznej?

– Im chodzi o twoje dobro. Zważywszy na to, co zaszło, mają obowiązek dokładnie rozeznaczyć sytuację. A to oznacza wywiady środowiskowe i kontrole w domu. Zrobią rozpoznanie w twojej szkole. Ale wszystko to potrwa tylko chwilę. Uważają, że w tym okresie nie powinieneś się znajdować pod opieką matki. Tymczasowo. Dla twojego bezpieczeństwa.

– Bezpieczeństwa?

– Uważają, że jesteś narażony na ryzyko.

– Z mojej strony – dodała Katherine.

– Nikt tego nie powiedział! – Hunt stracił cierpliwość.

– To bzdura – odezwał się Johnny.

– Spokojnie, synu. – Hunt spojrział na jego matkę, która była bliska płaczu, i skupił się na chłopcu. – Rozmawiałem z twoim wujem Steve’em. Myślę, że dam radę zorganizować, abyś z nim zamieszkał, dopóki wszystko nie wróci do normy.

– Steve to dupek.

– Johnny! – upomniała go matka.

– Owszem, jest dupkiem, mamó.

Hunt przysunął się bliżej do jego łóżka.

– Masz do wyboru Steve’a albo opiekuna wyznaczonego przez sąd. U Steve’a twoja matka będzie mogła cię odwiedzać, kiedy tylko zechce. Wciąż będziesz z rodziną, przynajmniej do momentu zapadnięcia ostatecznej decyzji. A co się tyczy sądu, nie mam na to żadnego wpływu. Sędzia wydaje wyrok i trafiasz tam, gdzie cię skierują. A to nie zawsze jest korzystne.

Johnny spojrział na matkę, lecz ona ukryła twarz w dłoniach.

– Mamó?

Katherine potrząsnęła głową.

– Przykro mi – powiedział Hunt. – Ale od dawna wszystko ku temu zmierzało. Koniec końców wyjdzie wam to na dobre.

– Musimy odnaleźć mojego ojca – oświadczył Johnny.

Nie słyszał kroków matki i nagle zorientował się, że ona stoi tuż przy łóżku. Jej duże ciemne oczy lśniły i malował się w nich smutek.

– Nie wiadomo, gdzie go szukać.

– Ale przecież mówiłaś, że pisał. Mówiłaś, że z Chicago i chyba z Kalifornii.

– Nigdy nie pisał.

– Ale...

– Kłamałam. – Rozłożyła ręce. – Nie było żadnych listów.

Johnny’emu zakręciło się w głowie.

– Ja chcę do domu – powiedział, ale Hunt był bezlitosny.

– To niemożliwe.

Katherine stanęła obok syna. Uniosła wysoko głowę i Hunt dostrzegł w jej postawie matczyną troskę i nikły cień dumy.

– Proszę. – Ujęła rękę chłopca.

– Chcę wrócić do domu – powtórzył Johnny.

Hunt przez jakiś czas im nie przeszkadzał, w końcu musiał jednak się wtrącić; miał swoją robotę do wykonania. Johnny wzbudzał jego podziw, ale w jakimkolwiek fantastycznym świecie żył ten chłopiec, nadszedł czas, aby go zburzyć, zanim komuś stanie się krzywda.

Hunt przeszedł na drugi koniec sali i sięgnął po papierową torbę, w której znajdowały się pióra, grzechotki i pozótkła czaszka. Wyciągnął naszyjnik i uniósł go tak, by znajdował się na wysokości oczu.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć? – zwrócił się do chłopca.

– Co to jest? – zdziwiła się Katherine.

– Johnny miał to na sobie, kiedy tutaj przyjechał. Był pomalowany sadzą i sokiem z jagód, półnagi, a kieszenie wypychało mu coś, co opisano mi jako węzowe ziele, cokolwiek to jest. Ci z opieki społecznej też o to zapytają. Będą naciskać, więc myślę, że może Johnny powinien na początek porozmawiać o tym ze mną.

Chłopiec spojrzał na pióra i zauważył, że Jar przeciął jedno z nich idealnie na pół. Uzmysłował sobie, że nic, tak naprawdę nic się nie zmieniło. Ten gliniarz wciąż stanowił zagrożenie, matka wciąż była słaba, a jego nadal nikt nie rozumiał.

– To nie jest normalne – stwierdził Hunt.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Opowiedz mi o Burtonie Jarvisie.

– Nie.

– Jak go znalazłeś? Ile razy tam byłeś?

Johnny odwrócił twarz do okna. Hunt odłożył naszyjnik i wziął kartki zapisane ręką Johnny'ego.

– Czy te zapiski mówią prawdę? Wynika z nich, że byłeś pod domem Jarvisa kilkanaście razy. Nie wspominając o innych.

Johnny spojrzał na notatki.

– To wszystko zmyślane – powiedział.

– Co?

– Tak dla zabawy.

– Johnny... – Na twarzy Hunta pojawiło się rozczarowanie.

– Ostatniej nocy to było pierwszy raz.

– Rozumiem, dlaczego czujesz potrzebę wprowadzenia mnie w błąd, ale ja muszę się dowiedzieć, co widziałeś. Zapisaleś tu pięć nazwisk. Znamy

tych ludzi, to notowani przestępcy, których obserwujemy. Jest jeszcze szósty osobnik, który odwiedzał Jarvisa wiele razy. – Hunt przyglądał się uważnie jednej z kartek. – Zapisaleś całą stronę na jego temat. Rysopis, wzrost, waga, kolor włosów. Marka samochodu i trzy różne numery rejestracyjne. Kradzież wszystkich tych tablic zgłoszono na przestrzeni ostatniego roku. Muszę wiedzieć, kim jest ten człowiek. Myślę, że możesz mi pomóc.

– Nie.

– Co to jest „żółta kruszynka”? Co to oznacza?

– Pracuje pan dla tych samych ludzi co opieka społeczna.

– Jasna cholera. – Cierpliwość Hunta osiągnęła kres.

Katherine stanęła między policjantem a swoim synem.

– Dostyc tego – powiedziała, unosząc dłonie i prostując szczupłe palce, a w jej głosie zabrzmiała niezwykła stanowczość.

– Połowa tych notatek jest nieczytelna. – Hunt podsunął jej kartki. – Być może zawierają informacje, z których wagi Johnny nie do końca zdaje sobie sprawę. On musi ze mną porozmawiać.

Katherine spojrzała na zapiski syna. Najpierw pobieżnie omiotła je wzrokiem, potem zaczęła czytać uważniej. Trwało to chwilę, ale Hunt czekał cierpliwie. Kiedy skończyła, wyglądała na przestraszoną.

– Czy jeżeli on odpowie na pańskie pytania, pomoże nam to coś w związku z opieką społeczną? Czy nam zaszkodzi?

– Musicie mi zaufać.

– Zależy mi, aby Johnny ze mną został, i to jest dla mnie najważniejsze – oświadczyła.

– Ważniejsze od odnalezienia Alyssy?

– Chce pan powiedzieć, że jest to możliwe?

– Pani syn, jak przypuszczam, odkrył nienotowanego wcześniej pedofila, który grasuje na tym terenie. Jest sprytny i ostrożny. To może być jakiś trop.

– Czy to jest jeszcze możliwe?

– Nie wiem. – W głosie Hunta brzmiało zwątpienie.

– Więc muszę myśleć o dziecku, które jeszcze mi zostało.

– Martwię się o pani syna.

Katherine spojrzała Huntowi w oczy.

– Chce pan, abyśmy panu zaufali? – zapytała głosem tak ostrym i kruchym jak odłamek szkła.

– Tak.

– Żebyśmy zaufali policji?

– Tak.

Kobieta podeszła do niego i podsunęła mu notatki.

– Chce pan rozmawiać o nieznanym pedofilu, sprytnym i ostrożnym. Powiązany z człowiekiem, który omal nie zabił mojego syna...

Hunt przechylił głowę, a ona wskazała palcem nagryzmolone słowo, które tylko matka potrafi odszyfrować. Jej twarz była blada od gniewu i strachu niczym porcelanowa maska.

– To słowo, o tutaj, to „glina”. A to oznacza, że człowiek, który spotykał się z Burtonem Jarvisem, jest policjantem. – Przycisnęła gwałtownie plik kartek do piersi Hunta i wróciła do Johnny’ego. – Przesłuchanie skończone.

Hunt wyszedł, a Katherine wciąż stała przy łóżku syna. Przyglądała mu się długo, ale nie pytała o pióra ani o notatki, ani o rzeczy, które mówił policjant. Rumieńce spłynęły z jej policzków i wyglądała spokojnie.

– Pomódl się ze mną, Johnny.

Patrzył na nią, jak klęka, i gdzieś głęboko poczuł ukłucie gniewu. Przez chwilę była silna i przez tę chwilę był z niej taki dumny.

– Modlić się?

– Tak.

– Od kiedy to?

Katherine otarła dłonie o nogawki jeansów.

– Chyba już zapomniałam, jakie to wspaniałe uczucie.

Jej słowa docierały do Johnny’ego, jak gdyby wypowiadał je ktoś obcy. Tak łatwo jej to przychodziło. Tak łatwo się poddawała i wznosząc ręce ku niebu, zadowalała się chwilowym nastrojem.

– On tego nie słucha – powiedział.

– Może powinniśmy dać Mu jeszcze jedną szansę.

Chłopiec spojrzał na matkę, a jego niesmak i rozczarowanie były tak silne, że nie był w stanie dłużej ich ukrywać. Chwycił metalową poręcz łóżka – czuł, że mógłby ją wygiąć w palcach.

– Wiesz, o co ja się modliłem? – zapytał. – Każdej nocy, dopóki nie zdałem sobie sprawy, że Boga to nie obchodzi? Że nigdy nie obchodziło. Wiesz o co?

Głos Johnny’ego brzmiał napastliwie. Matka pokręciła głową, a jej oczy były smutne i zdumione zarazem.

– Tylko o trzy rzeczy. Modliłem się, żeby cała nasza rodzina znów była razem. Żebyś przestała zażywać te tabletki. – Katherine otworzyła usta, ale chłopiec nie pozwolił jej dojść do słowa. Mówił szybko chłodnym tonem. – I modliłem się o śmierć Kena.

– Johnny!

– Każdej nocy modliłem się o to. O rodzinny dom. O koniec leków. I o to, by Ken długo umierał w męczarniach.

– Proszę, nie mów tak.

– Czego mam nie mówić? Żeby Ken umarł? Czy żeby długo konał w bólu?

– Przestań.

– Chcę, żeby umierał w takim samym strachu, jaki nam zgotował. Chcę, żeby wiedział, jakie to uczucie być bezbronnym i przerażonym, żeby znalazł się gdzieś daleko i nigdy więcej do nas się nie zbliżył. Ale Bóg tego nie sprawi, prawda? – Johnny odepchnął rękę matki, która chciała pogładzić go po włosach. Jej smutne oczy zalśniły od łez. Podciągnął się na łóżku, a jego gniew przerodził się w furję, która szybko doprowadzała go do płaczu. – Ale Bóg nic z tym nie robi, prawda? Modlitwy nie zwróciły nam Alyssy. Ani taty. Nigdy nie ogrzały nam domu ani nie powstrzymały Kena od krzywdzenia ciebie. Bóg odwrócił się od nas. Sama mi to powiedziałaś. Pamiętasz?

Pamiętała. Pamiętała tamtą zimną noc, kiedy leżała na podłodze w rozpadającym się domu i czuła w ustach smak krwi. Słyszała, jak w sąsiednim pokoju Ken nalewa sobie drinka.

– Może się myliłam.

– Jak możesz w ogóle tak mówić, kiedy tyle straciliśmy?

– To, co daje nam Bóg, nie może być doskonałe, Johnny. To nie może być wszystko, czego chcemy. Bóg nie postępuje w ten sposób. To byłoby zbyt łatwe.

– Nic nie było łatwe.

– Nie widzisz tego? – W oczach Katherine pojawił się błagalny wyraz. – Zawsze jest coś więcej do stracenia.

Chciała wziąć go za rękę, ale ją odsunął, zacisnęła więc obie dłonie na ramie łóżka i pochyliła głowę. Światło połyskiwało w jej włosach.

– Pomódl się ze mną, Johnny.

– O co?

– Żebyśmy zostali razem. Żeby Bóg pomógł nam zapomnieć. – Jej zaciśnięte na ramie palce zbiały. – Módlmy się o przebaczenie.

Przez długą sekundę spoglądała mu w oczy, ale zrezygnowała z czekania na odpowiedź. Pochyliła głowę, a słowa popłynęły same spokojnym strumieniem. Ani razu nie uniosła wzroku, aby się przekonać, czy Johnny ma zamknięte oczy i czy przyłączył się do niej. I lepiej, że tego nie zrobiła, bo na twarzy chłopca nie było ani śladu przebaczenia. Ani śladu zapomnienia.

Rozdział 25

Hunta przepełniało tak wiele uczuć, kiedy wychodził z sali. Słowo, które odkryła Katherine w notatkach Johnny'ego, wzbudziło w nim zmieszanie i wątpliwości. Był zły i sfrustrowany, ponieważ chłopiec nie chciał z nim rozmawiać, ale czuł ulgę, że zarówno jemu, jak i Tiffany udało się przeżyć. Hunt oparł się ramionami o zimną ścianę i nie zwracał uwagi na przechodzących ludzi oraz ich spojrzenia. Był wyczerpany i niespokojny, ale miał nadzieję, że śmierć Burtona Jarvisa to początek końca, że gwałtowny zgon starego to również pierwszy krok w kierunku wyjaśnienia zniknięcia Alyssy. Usiłował przekonać samego siebie, że ten chory skurwiel robił te wszystkie okropieństwa w pojedynkę, ale w głębi jego umysłu zaczęły narastać obawy.

Gliniarz? Czy to w ogóle możliwe?

Jeszcze raz spróbował rozszyfrować ciasno zbite bazgroły Johnny'ego. Niektóre notatki były sporządzone ołówkiem i rozmazane. Część kartek została zalana wodą, a w innych miejscach papier był poplamiony smołą i żywicą albo podarty. Mógł odczytać akurat tyle, by nabrać pewności, że w zapiskach kryje się coś więcej. Miał ochotę wrócić, otworzyć drzwi kopniakiem i wydusić z chłopca wszystkie odpowiedzi.

Ten dzieciak coś wiedział. Hunt był tego pewny. Znów sobie wyobraził, jak czynił to wiele razy, nieufną ostrożność w jego ciemnych oczach i niezmacony spokój ukrytych głęboko myśli. Johnny był stuknięty na wiele sposobów, zagubiony i rozchwiany, ale pewne rzeczy widział z taką wyrazistością...

Lojalność. Zapał. Determinacja. Te cechy sprawiały, że chłopiec był kimś więcej niż tylko upartym zawalidrogą. Dzięki nim Hunt stał się opiekuńczy i czuł dumę. Johnny powinien wiedzieć, jaką rzadkością stały się takie cechy, jak cenne są w dzisiejszym świecie. Hunt chciał otoczyć go ramieniem i wytłumaczyć mu to, a jednocześnie chciał go powstrzymać.

Wyszedł na parking i odniósł wrażenie, że słońce świeci zbyt jasno,

a powietrze jest zbyt czyste. Zielona trawa i blask słońca nie pasowały do takiego dnia jak ten. Uniósł głowę i spojrzał w kierunku piątego piętra. Sala Johnny'ego była na jednym końcu budynku, a Tiffany na drugim. Ściany lśniły oślepiającą bielą, a szyby w oknach odbijały idealny błękit nieba.

W połowie drogi do samochodu Hunt zauważył mężczyznę w garniturze. Miał patykowatą sylwetkę i przygarbione ramiona. Wynurzył się z cienia w pobliżu narożnika budynku, zrobił unik, przechodząc między dwoma przejeżdżającymi samochodami, i zmierzał w jego stronę. Hunt zlustrował go automatycznie. Dłonie w polu widzenia, życzliwy uśmiech. W jednej ręce nioś plik zwiniętych kartek. Hunt pomyślał, że może to ktoś z administracji szpitala. Albo krewny chorego idący w odwiedziny.

– Detektyw Hunt? – odezwał się mężczyzna.

Miał koło trzydziestki, cienkie włosy i skórę pokrytą delikatnymi piegami.

– Tak.

Nieznajomy uśmiechnął się, odsłaniając białe równe zęby. Uniósł jeden z palców – wyglądał tak, jakby chciał umieścić na twarzy przyjazną maskę.

– Detektyw Clyde Lafayette Hunt?

– Tak.

Wręczył mu złożone kartki i jego uśmiech znikł, gdy tylko Hunt odebrał je od niego.

– Niniejszym odebrał pan wezwanie.

Hunt patrzył chwilę za odchodzącym mężczyzną, potem zajrzał w papiery. Został pozwany przez Kena Hollowaya.

Cholera.

Kurator sprawujący nadzór nad Levim Freemantle'em urzędował w labiryncie biur upchniętych na drugim piętrze budynku sądu okręgowego. Podłogę w korytarzu pokrywało zdarte linoleum, a nasiąkające od osiemdziesięciu lat nikotynowym dymem gipsowe ściany były pokryte żółtymi plamami. Nad drzwiami w kolorze ciemnego dębu znajdowało się poprzeczne okienko uchylone na mosiężnych zawiasach.

Zza rzędu drzwi dobiegały różne odgłosy, kłótnie, tłumaczenia, płacz. Wszystko to już dobrze znał, słyszał setki razy. Nieprzerwane potoki kłamstw czyniły kuratora sądowego najbardziej przenikliwym sędzią ludzkiej natury spośród tych, których Hunt kiedykolwiek poznał.

Przybita do framugi wizytówka informowała, że w środku urzęduje Calvin Tremont. Drzwi były szeroko otwarte. Na krzesłach i na podłodze piętrzyły się sterty akt, a ustawiony na odrapanej metalowej szafce wentylator miał ciepłe powietrze. Hunt znał krępego, średniego wzrostu człowieka, który siedział za biurkiem. Zbliżał się do sześćdziesiątki, miał przyprószone siwizną włosy, a jego ciemną twarz przecinały prawie czarne linie zmarszczek. Hunt zapukał w otwarte drzwi.

Kiedy Tremont uniósł twarz, malowała się na niej powitalna surowa mina, która jednak od razu znikła. Z Huntem stale współpracował.

– Witaj, detektywie – odezwał się. – Co cię tu sprowadza?

– Jeden z twoich podopiecznych.

– Zaproponowałbym ci, żebyś usiadł, ale... – Tremont rozłożył ręce, wskazując stosy teczek na obu krzesłach.

– To nie potrwa długo. – Hunt przestąpił próg. – Zostawiłem ci wczoraj wiadomość. Przychodzę właśnie w tej sprawie.

– Dziś jestem tu pierwszy dzień po urlopie. – Kurator znów bezradnie rozłożył ręce. – Nie zdążyłem nawet przekopać się przez pocztę.

– Wakacje się udały?

– Z rodziną na wybrzeżu – odpowiedział Tremont takim tonem, że mogło to oznaczać prawie wszystko.

Hunt pokiwał głową i nie dopytywał dalej. Kuratorzy sądowi byli jak policjanci, rzadko odsłaniali swoją prywatność.

– Chciałbym porozmawiać o Levim Freemantle’u.

Hunt po raz pierwszy zobaczył, jak na twarzy Tremonta pojawia się autentyczny uśmiech.

– Levi? Jak się miewa mój chłopczyk?

– Twój chłopczyk?

– To dobry dzieciak.

– On ma czterdzieści trzy lata.

– Uwierz mi, to dziecko.

– Podejrzewamy, że twój dzieciak zabił dwie osoby. Może nawet trzy.

Tremont pokręcił głową, która poruszała się, jakby była osadzona na dobrze nasmarowanych łożyskach.

– A ja podejrzewam, że popełniliście błąd.

– Jesteś tego pewien?

– Levi Freemantle wygląda jak największy zakapior, który jest gotów cię zabić za działkę trawki, co nie zawsze jest bezwartościowe, kiedy nie masz nic. Ale powiem ci wprost, detektywie. On by nikogo nie zabił. To niemożliwe. Popełniliście błąd.

– Masz jego adres? – zapytał Hunt.

Kurator przytaknął i wyrecytował go z pamięci.

– Mieszka tam od blisko trzech lat.

– Pod tym adresem znaleźliśmy trzy ciała. Białą kobietę niewiele po trzydziestce i czarnego mężczyznę, około czterdziestu pięciu lat. Znaleźliśmy ich wczoraj. Byli martwi od kilku dni. – Hunt odczekał chwilę, pozwalając swoim słowom wybrzmieć. – Czy znasz Clintona Rhodesa?

– To ten zabity facet?

Hunt pokiwał głową.

– Nie zajmowałem się nim osobiście – odparł Tremont. – Ale przewijał się tu od dłuższego czasu. Przykry typ. Brutalny. Owszem, jego widzę w roli mordercy. Ale nie Leviego.

– Jesteśmy pewni.

Kurator poruszył się na krześle.

– Levi Freemantle odsiaduje teraz trzy miesiące za naruszenie warunków zawieszenia. Nie wyjdzie na wolność przez kolejne dziewięć tygodni.

– Osiem dni temu uciekł podczas robót w terenie.

– Nie wierzę.

– Oddalił się i znikł. Od tamtej pory nikt go nie widział oprócz zapijaczonego włóczęgi, który ledwie pamięta własne nazwisko, i młodego chłopca, który natknął się na niego w pobliżu miejsca popełnienia innego morderstwa. Jak więc widzisz, mam trzy trupy, a każdy z nich ma jakiś związek z twoim dzieciakiem.

Tremont wyciągnął teczkę Freemantle'a i otworzył ją.

– Levi nigdy nie został skazany za przestępstwo z użyciem przemocy.

Nigdy nawet nie był podejrzany o coś takiego. Wtargnięcia, drobne kradzieże. – Zamknął z trzaskiem teczkę. – Widzisz, Levi nie należy do najbystrzejszych. Większość tych wykroczeń, cholera... Gdyby ktoś powiedział, Levi, wejdź tam i przynieś mi butelkę wina, on wszedłby do sklepu i po prostu ją wziął. On nie jest świadomy konsekwencji.

– Jak większość morderców.

– To nie tak... – zaproponował kurator. – Levi jest dziecinny.

– Mam zwłoki białej kobiety. Trzydzieści do trzydziestu pięciu lat. Mówi ci to coś?

– Levi był związany z niejaką Rondą Jeffries. Jest biała, lubi imprezować. Znana z tego, że ma paru klientów, którym daje na boku. Podobają się jej duzi i źli faceci. Zwłaszcza duzi, źli i czarni. Zaczęła kręcić z Levim ze względu na jego wygląd. Trzyma go przy sobie, bo jest łatwy w obejściu i robi wszystko, co ona mu każe. Jak zarobi kilka dolarów, to jej oddaje. Zajmuje się domem, można się z nim pokazać. A gdy chce od niego odpocząć albo ma ochotę na innego faceta, przeważnie znajduje jakiś sposób, żeby Levi trafił za kratki na jakiś czas. Jak już mówiłem, on robi wszystko, czego ona sobie zażyczy. Pierwszy raz został aresztowany za kradzież w sklepie. Wzięła butelkę perfum z wystawy i kazała mu ją trzymać, a potem przeprowadziła go obok ochroniarzy i wyszli frontowymi drzwiami.

– Czy są małżeństwem?

– Nie, aczkolwiek Levi uważa, że są.

– Dlaczego?

Tremont uśmiechnął się.

– Ponieważ spali ze sobą i dlatego, że... – słowa uwięzły mu w gardle. – O cholera.

– Co takiego?

– Kto się opiekuje teraz ich dzieckiem?

Hunt poczuł, jak przenika go dreszcz.

– Mają dziecko?

– Małą dziewczynkę. Dwuletnią. Ma taki uśmiech, od którego mięknie serce.

Hunt sięgnął po telefon.

Rozdział 26

O dziewiątej wieczorem obsługa szpitala zmusiła Katherine do opuszczenia sali Johnny'ego. Z jednej strony ciężko było jej odchodzić, ale z drugiej przyjęła to jak wybawienie. Ken Holloway dzwonił pod szpitalny numer cztery razy i zagroził, że nie przestanie, dopóki ona nie zgodzi się z nim spotkać. Z siłą i konsekwencją odmawiała mu za każdym razem, tłumacząc, że teraz musi zająć się swoim synem. W końcu była zmuszona rzucić słuchawką. Dwukrotnie. Potem drżała ze strachu, ilekroć otwierały się drzwi albo z korytarza dobiegał jakiś hałas.

A potem pojawiła się ta suchość. Starła się być silna, ale czuła ją każdą cząstką swego ciała. Pragnienie.

Ociągała się przy łóżku do ostatniej chwili. Jej syn spał i jak zawsze był uderzająco podobny do siostry. Te same usta, te same rysy twarzy. Pocałowała go w czoło, a chwilę potem wsiadała do taksówki, która czekała na nią przed tylnym wyjściem ze szpitala.

Przez całą drogę do domu zaciskała pięści. Samochód minął dwa bary oraz trzy sklepy, w których sprzedawano piwo i wino. Zgrzytała zębami, a paznokcie wbijały się jej w skórę dłoni. Kiedy światła śródmieścia zostały w tyle, pozwoliła sobie na swobodny oddech. Drogę spowijał mrok i słyszała jednostajny szum opon na czarnym asfalcie. Czuła się dobrze. Powtarzała sobie to w myślach.

Kiedy taksówka zjeżdżała ze szczytu ostatniego wzgórza, zobaczyła oddalony o kilkaset metrów dom. Ze wszystkich okien sączyło się światło i rozlewało po czarnym podwórzu żółtymi pasmami.

Zostawiła zgaszone światła.

Wysiadła z taksówki i ruszyła w stronę drzwi, ale zawahała się i przystanąła. Odszukała komórkę w torebce. Dotarła do ganku, a potem zmieniła zdanie i cofnęła się. Wszystko było takie spokojne, podwórze, las, ulica.

Wtedy zauważyła ten samochód. Stał zaparkowany na poboczu przy

drodze trzydzieści metrów dalej. Było zbyt ciemno, by rozpoznała kolor. Prawdopodobnie czarny. Duży sedan, którego nigdy wcześniej nie widziała. Wytężając wzrok, poszła w jego kierunku i uświadomiła sobie, że słyszy odgłos pracującego silnika. Podeszła jeszcze bliżej, a wtedy rozbłysły reflektory. Wyrzucając spod kół ziemię i żwir, samochód wykonał ostry skręt i ruszył z piskiem opon. Czerwone punkciki jego tylnych świateł stawały się coraz mniejsze, aż w końcu znikły za wzniesieniem.

Katherine starała się zapanować nad oddechem. To był tylko samochód. Być może sąsiad. Obróciła się w stronę domu i zobaczyła, że drzwi są lekko uchylone. Kiedy je pchnęła, na podjeździe rozlał się szeroki klin żółtego światła.

Ze środka dobiegały dźwięki muzyki.

Przeżyj radośnie swoją małą Gwiazdkę.

Był koniec maja.

Wyłączyła odtwarzacz i weszła do holu. Dom wydawał się pusty, ale muzyka ją przeraziła. Była to jedna piosenka ustawiona na ciągłe odtwarzanie. Najpierw sprawdziła sypialnię, aby się przekonać, że wszystko jest na swoim miejscu. W łazience też nic się nie zmieniło.

W kuchni znalazła tabletki.

Na samym środku blatu pokrytego wyszczerbionym laminatem stała pomarańczowa buteleczka. Idealnie biała nalepka odcinała się od błyszczącej jaskrawej powierzchni. Patrząc na nią, Katherine poczuła, jak sztywnieje jej język. Tabletki zagrzechotały, kiedy podniosła fiolkę, żeby przeczytać etykietkę. Widniało na niej jej nazwisko i dzisiejsza data.

Siedemdziesiąt pięć tabletek. Oxycontin.

W przypiływie wściekłości otworzyła drzwi i wyrzuciła buteleczkę na podwórze. Przekręciła zamek, sprawdziła każde okno, każde drzwi, a potem usiadła na sofie. Siedziała z wyprostowanymi plecami i czuła, że tabletki gdzieś tam leżą, czuła ich obecność w mroku. Zazgrzytała zębami i przeklęła Kena Hollowaya.

Nie zapowiadało się, że będzie łatwo.

Następnego dnia w południe Johnny opuścił szpital. Pielęgniarka odwiozła go do wyjścia na wózku.

– Dobrze się czujesz? – zapytała, kiedy wstawał ostrożnie.

– Tak myślę.

– Oczekaj jeszcze minutę.

Dziesięć metrów dalej trzaskały migawki i szumiały kamery. Reporterzy wykrzykiwali pytania, ale policjanci nie pozwalali im się zbliżyć. Chłopiec podszedł do samochodu wuja Steve'a i oparł się ręką o dach. Widział wozy transmisyjne z Charlotte i z Raleigh.

– Jestem gotowy – oświadczył, a pielęgniarka pomogła mu wsiąść do vana.

– Unikaj dużego wysiłku – poradziła. – Dwa z tych cięć były dosyć głębokie.

Uśmiechnęła się do niego na pożegnanie i zamknęła drzwi. Steve zza kierownicy przyglądał się kamerom. Obok niego siedziała matka Johnny'ego i uniesioną ręką zasłaniała twarz.

Johnny zapinał pas, kiedy przy opuszczonej szybie stanął Hunt. Zaczął mówić o układzie z opieką społeczną, który zaaranżował.

– To się uda jedynie wtedy, gdy wszyscy będziecie przestrzegać zasad – powiedział, patrząc na nich po kolei, i zatrzymał wzrok na twarzy Steve'a.

– Muszę wiedzieć, czy pan temu podoła.

– Tak myślę – odparł Steve, zerkając na odbicie Johnny'ego w lusterku.

– Pod warunkiem że będzie mnie słuchał.

– To jest prezent, Johnny. – Hunt zwrócił się do chłopca. – Po tym wszystkim, co się stało.

– Jak długo będzie musiał tam zostać? – spytała Katherine.

– Teraz wszystko zależy od opieki społecznej.

– Gówno prawda – mruknął Johnny.

– Co powiedziałaś?

Chłopiec uderzył nogą w dywanik.

– Nic.

– Tak myślałem. – Hunt pokiwał głową i spojrzał na Steve'a. – Proszę jechać za mną.

Jechali przez dwadzieścia minut i nikt nie odezwał się ani słowem.

Przed domem matka Johnny'ego wygramoliła się z vana i skierowała wzrok w stronę odległej latarni ulicznej. Uniosła rękę i dotknęła palcami szyi, po czym weszła do domu. Chłopiec podążył za nią. Na łóżku w jego

pokoju leżały równo poskładane ubrania.

– Wyjęłam je wszystkie w nocy – odezwała się matka przepraszającym tonem. – Nie wiedziałam, co będziesz chciał zabrać.

– Sam się spakuję.

– Na pewno? – Wykonała dłonią gest w stronę jego zabandażowanej piersi.

– Dam radę.

– Johnny...

Spojrzał na nią i zauważył, jak bardzo oklapła. Zawsze była silna, a potem, po porwaniu, zmieniła się diametralnie. Jej twarz sprawiała teraz wrażenie, jakby w swoim wnętrzu toczyła jakąś zaciekłą walkę.

– Nie powinnam była cię okłamywać – powiedziała. – Nie powinnam była ci mówić, że pisał.

– Rozumiem to.

– Nie chciałam, żebyś odczuł, jak bardzo jesteśmy samotni. Myślałam...

– Powiedziałem, że rozumiem.

Pogładziła jego włosy.

– Taki silny. I taki niezależny.

Johnny zeszywniał, gdyż przypomniał sobie, że kiedyś matka tak samo mówiła o jego ojcu. Johnny natrafił na jedną z rzadkich kłótni między nimi, której przyczyna pozostała dla niego nieznana. Ale to były jej słowa. *Nie musisz zawsze być taki niezależny.* Ojciec uśmiechnął się tylko, pocałował ją i na tym kłótnia się skończyła. Taki był jego ojciec. Kiedy się uśmiechał, nikt nie potrafił chować do niego urazy. Dla Johnny'ego, nawet teraz, siła i niezależność oznaczały to samo. Nie uskarżać się. Wykonać swoje zadanie do końca. Był taki sam, w każdym calu. Brakowało mu jedynie tego spokojnego uśmiechu. Nie miał już pewności, czy tak naprawdę nigdy go nie odziedziczył, czy zatracił gdzieś po drodze. Dla Johnny'ego życie stało się kwestią niezależności.

Chłopiec wziął parę jeansów i wsunął ją do torby. Matka wyszła z pokoju. Usłyszał szczęk zamykanych drzwi i lekkie skrzypnięcie sprężyn jej łóżka. Nie wiedział, co ostatecznie wzięło w niej górę, słabość czy siła, ale doświadczenie podpowiadało mu, że matka leży teraz w pościeli i mocno zaciska powieki. Był zaskoczony, gdy chwilę później matka pojawiła się w drzwiach. Trzymała oprawioną w ramkę fotografię,

kolorową odbitkę ze ślubu. Miała na niej dwadzieścia lat, uśmiechała się, a blask słońca wydobywał z jej twarzy idealne barwy. Obok stał ojciec, a jego twarz rozjaśniał taki sam beztroski uśmiech. Johnny pamiętał to zdjęcie. Myślał, że matka spaliła je wraz z innymi.

– Weź to – powiedziała.

– Ale ja tu wrócę.

– Weź.

Johnny wziął zdjęcie, a matka objęła go z wielką czułością. Potem wróciła do swojego pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Chłopiec wyszedł na ganek. Pasek ciężkiej torby wrzynał mu się w ramię. Na zewnątrz liście drżały poruszane niespokojnym wiatrem. Hunt stał ze zwieszoną głową i rękami wbitymi w kieszenie. Jego głęboko osadzone oczy wpatrywały się w dom. Nie zauważył Johnny'ego. Jego spojrzenie wędrowało od jednego okna do drugiego, głowę trzymał nieruchomo, a czoło przecinała w poprzek głęboka zmarszczka. Drgnął, kiedy Johnny zawadził nogą o drzwi.

– Nie powinieneś tego dźwigać. – Podeszedł do chłopca i wziął od niego torbę. – Naciągniesz sobie szwy.

– Nic mnie nie boli.

Johnny zszedł z ganku na podjazd. Hunt kroczył obok niego.

– Jeszcze jedno.

– Tak?

– Kiedy spotkałeś Leviego Freemantle'a... – Policjant zawahał się. – Czy ktoś z nim był?

Johnny zastanawiał się nad pytaniem, dopatrując się w nim zagrożenia. Odmawiał odpowiedzi na pytania Hunta, ale nie podejrzewał, aby to jedno mogło mu przysporzyć kłopotów z opieką społeczną. Widział nadzieję na twarzy detektywa i widział, jak znika, kiedy przecząco pokręcił głową.

– Tylko to pudło.

Hunt miał w oczach udrękę i mówił przez ściśnięte gardło.

– Absolutnie nikogo?

Nie mógł zapytać o więcej. *Żadnego dziecka? Małej dziewczynki o uśmiechu, od którego mięknie serce?*

Johnny znów pokręcił głową. Hunt zamilkł na moment, potem

odchrząknął.

– Proszę. – Podał chłopcu wizytówkę. – Możesz zawsze do mnie zadzwonić. Nie musisz nawet mieć powodu.

Chłopiec wsunął kartonik do tylnej kieszeni spodni. Hunt po raz ostatni spojrział na dom i skrzywił twarz w wymuszonym uśmiechu. Położył dłoń na ramieniu Johnny'ego.

– Sprawuj się – powiedział i umieścił jego bagaż z tyłu vana.

Johnny patrzył za oddalającym się samochodem detektywa. Drzwi vana zaskrzypiały, kiedy pociągnął za klamkę. Wdrapał się do środka.

– No to załoga w komplecie. – Steve wygiął usta, udając zadowoloną minę.

– O kant dupy to rozbić.

Steve przestał się uśmiechać. Uruchomił silnik i wyjechał na drogę. Po chwili oblizał wargi i zerknął na Johnny'ego.

– Możesz mi powiedzieć, co się wydarzyło?

Chłopiec domyślił się, że chodzi mu o Tiffany Shore.

– Nikogo nie uratowałem – odpowiedział machinalnie.

Johnny pilnował się, by nie odwrócić wzroku w stronę domu. Obawiał się swojej reakcji na widok tej rudery, w której zostawił matkę, wśród pustki wyzierającej spod złuszczonej farby i zbutwiałego drewna.

Steve dodał gazu.

– Tak czy inaczej, twój tato byłby z ciebie dumny – stwierdził.

– Może.

Chłopiec zaryzykował ostatnie spojrzenie na dom, który malał w tyle. Zapadnięty dach wydawał się prostszy, zacieki na ścianach wyblakły i przez moment budynek zdawał się lśnić jak miedziak w słońcu.

– Poradzimy sobie z tym? – zapytał Johnny. – Z tym, że zamieszkam u ciebie? Wiesz, że to nie był mój pomysł.

– Po prostu nie ruszaj moich rzeczy. – Steve poruszał zuchwą, jakby wyskoczyła mu ze stawów. Samochód wspiał się na szczyt wzgórza, za którym droga biegła w cieniu. – Chcesz kupić jakieś słodczy albo komiksy?

– Słodczy?

– Dzieciaki lubią chyba takie rzeczy, nie?

Johnny nic nie odpowiedział.

– Wydaje mi się, że jestem ci to winien – dodał Steve.

– Nie, nie jesteś.

Steve rozluźnił się trochę. Wskazał głową na schowek.

– Sięgnij tam i podaj mi fajki.

Schowek był zapchany papierami i masą innych śmieci. Walały się w nim paczki po papierosach, różne kwitki i kupony z loterii. Johnny wyjął zmiętą, opróżnioną do połowy paczkę lucky strike'ów i podał ją wujowi. Wtedy zauważył rewolwer. Leżał wciśnięty w kąt za instrukcją samochodu i pokrytą plamami kawy mapą Myrtle Beach. Miał karbowane okładziny rękojeści z brązowego drewna, a metal mienił się niebieskawym odcieniem. Wyschniętą skórzaną kaburę pokrywały pęknięcia. Obok spoczywało wyblakłe kartonowe pudełko z nabojami. Widniał na nim napis „.32 hollow point”.

– Nie ruszaj tego – powiedział spokojnie Steve.

Johnny zamknął schowek. Obserwował gęste korony drzew stojących rzędem przy drodze i mroczne odstępy między nimi, które wyglądały jak postacie gigantów o skórze koloru dymu.

– Nauczysz mnie strzelać?

– To nie jest takie trudne.

– Nauczysz?

Steve zerknął z ukosa i przyjrzał mu się badawczo, a potem strzepnął za okno popiół z papierosa. Johnny miał spokojny wyraz twarzy i był dumny z tego powodu, ponieważ spokój nie był tym, co odczuwał. Jego myśli krążyły wokół siostry i wokół potężnego mężczyzny z bliznami na twarzy.

– Po co ci to? – zapytał Steve.

Johnny odpowiedział mu najbardziej niewinnym spojrzeniem.

– A tak sobie.

Rozdział 27

Steve przejechał przez centrum miasta. Minał witryny sklepowe, ozdobione kolumnami rezydencje i podobny do parku rynek, na którym pod baldachimem z poskręcanych gałęzi dębów stał ponadstuletni pomnik ku czci poległych konfederatów. Johnny zauważył na drzewie kępę jemioly i przypomniał sobie dziewczynę, którą kiedyś odważył się pocałować i której twarz ledwie potrafił sobie teraz przypomnieć.

To było zupełnie inne życie.

Kiedy minęli rynek i skąpany w słońcu kampus miejscowej uczelni, Steve zjechał na dwupasmówkę, która prowadziła do centrum handlowego. To było centrum handlowe Kena. Był jego właścicielem.

– Dokąd jedziemy? – spytał Johnny.

– Muszę wstąpić do pracy. To nie potrwa długo.

Johnny osunął się na siedzeniu i Steve wyczuł, o co chodzi.

– Pana Hollowaya tam nie będzie – powiedział. – Nigdy go nie ma.

– Nie boję się Kena.

– Mogę najpierw zawieźć cię do siebie.

– Powiedziałem, że się nie boję.

Steve roześmiał się półgłosem.

– Jak chcesz.

Johnny zmusił się, by usiąść prosto.

– Dlaczego jemu tak zależy na mojej matce?

– Panu Hollowayowi?

– Przecież on traktuje ją jak ścierwo.

– Ona jest najpiękniejszą kobietą w tej części stanu. Nie zauważyłeś tego?

– Tu chodzi o coś więcej.

Steve wzruszył ramionami.

– Pan Holloway nie lubi przegrywać.

– Czego przegrywać? – zdziwił się chłopiec.

– Czegokolwiek.

Steve zauważył zdezorientowaną minę bratanka. Zmrużył oczy i wypuścił z ust kłęb dymu.

– Nie wiedziałeś o tym, co? – zapytał, a Johnny pokręcił głową. – Boże wszechmogący.

– O czym miałbym wiedzieć?

– Twoja mama chodziła kiedyś z Kenem Hollowayem.

– Nie wierzę w to.

– Cóż, tak było. – Steve zrobił długą pauzę i zaciągnął się papierosem. – Miała wtedy osiemnaście, może dziewiętnaście lat. Ogień nie dziewczyna, naprawdę. – Pokręcił głową i wydał wargi jak do pocałunku. – Taka była twoja mama. Mogła spokojnie podbić Hollywood albo Nowy Jork. Oczywiście nigdy nie próbowała, ale mogłaby.

– I tak w to nie wierzę.

– On był od niej starszy, ale nawet wtedy miał najwięcej kasy w okolicy. Nie tyle co teraz, ale był już dostatecznie bogaty. Żadnej atrakcyjnej dziewczynie nie byłoby łatwo się oprzeć jego zalotom, kiedy się uparł, a twoja mama nie różniła się od większości dziewcząt. Kwiaty, prezenty, wystawne kolacje. Wszystko, co tylko przyszło mu do głowy, kiedy chciał sprawić, aby poczuła się ważna.

– Ona nie jest taka. – Johnny’ego ogarniała złość.

– Teraz nie. Ale młodzi ludzie lubią wyrastać ponad miejsce, z którego pochodzą. Trwało to przez kilka miesięcy, ale potem wrócił twój tata.

– Skąd wrócił?

– Z wojska. Służył cztery lata. Ile jest od niej starszy, sześć lat? Siedem? W każdym razie ona była jeszcze dzieckiem, kiedy wyjechał, ale to się zmieniło. Chłopie, jak ona się zmieniła. – Steve zaśmiał się i zagwizdał po cichu, a Johnny patrzył przez okno. – Twój staruszek zakochał się w niej na zabój.

– A ona? Ona w nim też?

– Twoja mama była jak motyl. Piękna, zwiewna i subtelna. Twój ojciec uwielbiał to w niej, pielęgnował to. Był tak delikatny i cierpliwy, jakim trzeba być, kiedy chcesz, aby motyl usiadł ci na rękę.

– A Holloway?

Steve zdusił niedopałek i splunął przez okno.

– Holloway chciał po prostu zamknąć ją w słoiku.
– A ona się tego domyśliła?
– Trzeba było go widzieć, kiedy mu powiedziała, że rzuca go dla twojego ojca.

– Był wściekły?

– Wściekły i zazdrosny. Uganiał się za nią, próbował przekonać, aby zmieniła zdanie. Ale po trzech miesiącach twój starzy się pobrali. Wy przyszście na świat rok później. Holloway przeżył ciężki zawód i nie wiem, czy kiedykolwiek się z tym pogodził.

– Ale tato pracował dla niego. Zbudował wszystkie te domy. Holloway był blisko przez cały ten czas.

– Twój ojciec widzi dobro w każdym człowieku. To jedna z tych cech, które czynią go tak szlachetnym. Ale Holloway tylko czyhał, aby go pogrążyć.

– Tato o tym nie wiedział?

– Powtarzałem mu to tyle razy, ale on zawsze uważał, że da sobie z nim radę. Taki jest hardy.

– Jest pewny siebie – powiedział Johnny.

– Arogancki.

Asfalt przesuwiał się pod kołami. Pod maską znieńcka zapiszczał przeraźliwie pasek klinowy.

– A ty pracujesz dla Hollowaya.

– Nie każdy ma wybór, Johnny. To lekcja życia dla ciebie. Bezpłatna.

Steve zahamował na światłach przed skrzyżowaniem. W oddali, niczym okręt wojenny, wyrastało centrum handlowe Kena Hollowaya.

– A ty chciałeś z nią chodzić? – zapytał Johnny, przyglądając się twarzy wuja.

Wzrok Steve'a był pusty jak oczy węża.

– Cholera, synu. Każdy chciał.

Światło zmieniło się na zielone.

Widok zapchanego parkingu przypomniawszy Johnny'emu, że jest sobota. Steve zatrzymał się koło wejścia dla personelu z tyłu budynku. Kiedy otworzył drzwi, odbity w lusterku promień słońca oślepił Johnny'ego.

– Chodź ze mną.

– Nie mogę zaczekać w aucie? – spytał chłopiec.

– Tu jest zbyt niebezpiecznie. Kręcą się bezdomni, narkomani i Bóg wie, kto jeszcze. – Steve przesunął dłonią po przedmiotach zawieszonych przy pasie: pojemniku z gazem, krótkofalówce i kajdankach. – Chodź, pokażę ci coś fajnego.

Weszli do środka przez wąskie drzwi otwierane za pomocą karty elektronicznej, metalowymi schodami wspięli się na drugie piętro i przemierzyli długi korytarz, na końcu którego mieściło się biuro z napisem „Ochrona”. Steve przesunął kartę w czytniku i napał ramieniem na drzwi.

– Dzieciaki nigdy tu nie zagląдают.

W przestronnym wnętrzu całą ścianę zajmowały rzędy monitorów. Na czarnych obrotowych krzesłach siedzieli dwaj ochroniarze i trzymając dłonie na klawiaturach i joystickach, zmieniali obrazy na ekranach, zbliżali je i oddalali. Gdy Johnny wszedł do środka, obaj spojrzeli w stronę drzwi i znieruchomieli z wyrazem zdumienia na twarzach.

Jeden z nich wyglądał na dwadzieścia kilka lat, był gruby, miał krótko ostrzyżone włosy i skórę na twarzy zaczerwienioną od golenia. Jego uśmiech wyrażał jednocześnie podziw i lekceważenie.

– To ten dzieciak? – spytał.

Steve położył rękę na plecach Johnny’ego i pchnął go lekko w głąb biura.

– Tak jakby. To mój bratanek.

Gruby ochroniarz wyciągnął mięsistą dłoń i Johnny przyjrzał się jej bacznie, zanim ją uścisnął.

– Dobra robota, chłopcze. Żałuję, że mnie tam nie było.

Johnny spojrział na wuja, a ten wyjaśnił mu wszystko w dwóch słowach.

– Tiffany Shore.

Ochroniarz wystawił przed siebie dwa palce i poderwał dłoń, naśladując strzał.

– Paf!

– Nie chcę o tym rozmawiać – oznajmił Johnny.

– Widziałeś to? – zapytał gruby z ożywieniem i porwał leżącą na blacie gazetę. – Pierwsza strona. Zobacz.

Zdjęcie było zrobione przez okno samochodu jego matki. Johnny

siedział wewnątrz, wciąż ściskając kierownicę. Miał otwarte usta i zszokowaną, pozbawioną wyrazu twarz. Wszędzie było pełno krwi. W miejscach, gdzie zdążyła już zakrzepnąć, miała ciemny kolor, a z ran na piersi chłopca sączyła się jaskrawoczerwonymi strużkami. Pióra i grzechotki czerniły się na tle jego skóry, a czaszka była tak połyskliwie żółta jak kamień zanurzony w miodzie. Obok niego siedziała skulona Tiffany, a na jej twarz padały oślepiające promienie słońca. Mężczyźni w sterylnych uniformach sięgali długimi rękami do wnętrza samochodu, aby ją wyciągnąć, ale ona broniła się przed nimi, zaciskając kurczowo palce na ramieniu Johnny'ego.

Podpis pod zdjęciem brzmiał: „Zaginiona dziewczynka odnaleziona. Pedofil nie żyje”.

– Skąd oni wzięli to zdjęcie? – powiedział Johnny zduszonym szeptem.

– Ochroniarz w szpitalu zrobił je komórką – wyjaśnił gruby. – Pokazują je też w CNN. Musiał zarobić na nim fortunę.

Steve wyjął gazetę z rąk kolegi i odłożył ją na bok.

– On nie musi tego oglądać – stwierdził.

Ochroniarz spojrzał na chłopca i dostrzegł, że cienie na jego twarzy stały się jeszcze głębsze.

– Ja nie chciałem nic złego...

– Zastąłem szefa? – przerwał mu Steve.

Gruby wskazał kciukiem drzwi biura, ale nie odrywał oczu od Johnny'ego. Śledząc spojrzenie wuja, chłopiec zobaczył okno zasłonięte białymi żaluzjami, które pokrywała warstwa kurzu. Żaluzje rozchyliły się i czyjeś oko wyjrzało na zewnątrz, po czym szczelina zniknęła.

– Kurwa – mruknął Steve. – Czy on mnie szukał?

– A powinien?

Steve wzruszył ramionami, ale wyglądał na zdenerwowanego.

– Działo się coś niezwykłego? – spytał.

– Jeden złodziejaszek. Dwie rozróby po pijaku.

Steve poklepał chłopca po ramieniu.

– Chodź ze mną.

Idąc wzdłuż rzędu monitorów, dotarli do szklanej ściany, która wznosiła się na trzy metry i miała dwa razy tyle szerokości. Widać było przez nią część restauracyjną galerii handlowej.

– Lustrzana – powiedział Steve, pukając w szybę.

Johnny wyteńczył wzrok. Obserwował bacznie to, co rozpościerało się poniżej jego stóp – witryny sklepów, stoiska z jedzeniem, ruchome schody i ludzi. Gruby ochroniarz zbliżył się do nich wolnym krokiem, złożył dłonie i westchnął głęboko.

– Właśnie tak musi czuć się Bóg – stwierdził.

Johnny'emu chciało się śmiać z niedorzeczności tych słów, z ich porażającej małościowości.

I wtedy zauważył Jacka.

Z wypiekami na twarzy, poniżony i nieporadny stał na obrzeżu tłumu. Drobnego chłopca o opalonych skórze i karłowatej ręce. W całej jego postawie nie było ani odrobiny wrogości. Stał i przyjmował wszystko, ponieważ stawiając opór, nic by nie wskórał, a odchodząc pokazałby, że naprawdę przejmuje się upokorzeniem, jakie go spotykało. Jego prześladowcami byli starsi, wysocy i muskularni chłopcy, którzy uśmiechali się zrozumiście.

Johnny się wzdrygnął, widząc, jak jeden z nich napluł Jackowi na plecy, ale gniewem zapłonął, kiedy zobaczył jego brata, który stał trzy metry dalej i nie robił nic, aby to przerwać. Otaczały go co najmniej cztery dziewczyny, które przymilały się do niego.

– Widziałeś to? – Johnny wskazał palcem w dół.

Steve nachylił się do szyby.

– Geralda Crossa? Taaa, widzę. Te dziewczyny kręcą się tak wokół niego, odkąd podpisał kontrakt z Clermont. W ciągu roku zostanie zawodowcem. Będzie zarabiał minimum dziesięć milionów.

– Nie jego.

– To kogo?

– Mogę zejść tam na dół?

Steve wzruszył ramionami.

– Chcesz, to idź. Nie jestem twoim ojcem.

Johnny zbiegł po schodach, wyszedł drzwiami służbowymi i wmieszał się w tłum. Czuł zapach pizzy i przypalonej wołowiny, otaczała go woń przegrzanych ciał i drażnił smród przepełnionej pieluchy. Kierował się w stronę Jacka i słyszał wypowiedane szeptem swoje imię. Ludzie pokazywali go sobie palcami.

To ten dzieciak. To on.

Minęła chwila, zanim Johnny się zorientował. Sensacja była znana wszystkim.

Gdy dotarł do działu restauracyjnego, śledziło go kilkanaście par oczu, ale on nie zważał na to. Jeden ze starszych chłopaków boksował karłowatą rękę Jacka, a jego ciosy trafiały tuż poniżej ramienia, w miejsce, gdzie kość była najmniej osłonięta. Jack próbował robić uniki, ale Johnny zauważył, że jego przyjaciel jest bliski płaczu.

Johnny przedarł się przez tłum i z całych sił uderzył prześladowcę. Trafił go w usta. Pięść ześliznęła się po zębach i poczuł miękkość rozciętej wargi. Chłopak zatoczył się w lewo, złapał równowagę i uniósł zaciśnięte dłonie. Cofnął rękę, by wyprowadzić cios i wtedy rozpoznał Johnny'ego.

– Jasny chuj – wybełkotał.

Johnny widział jego zaskoczone brązowe oczy, zakrwawione usta i długie, sztywne od żelu włosy.

– Ty pieprzony świrze. – Chłopak splunął krwią i cofnął się.

Johnny trząsał się ze wściekłości, z napięcia, które wzbierało w nim przez cały ostatni rok, i z wszystkich tych emocji, które tłumił od momentu, gdy obudził się w szpitalu. Jego przeciwnik wziął to za objaw strachu i wykrzywił twarz w uśmiechu, a potem spojrzał nad jego głową w stronę ludzi, którzy nagle zaczęli im się przyglądać z zaciekawieniem. Opuścił ręce i zaśmiał się, próbując obrócić wszystko w żart.

– Spokojnie, wodzuniu.

Nikt inny się nie śmiał. Johnny'ego otaczała mroczna sława. Był dzikim odmieńcem o czarnych, barbarzyńskich oczach. Widział rzeczy, których żaden chłopiec nie powinien oglądać. Stracił swoją siostrę bliźniaczkę, odnalazł Tiffany Shore i prawdopodobnie zabił człowieka. Był pomalowany w indiańskie barwy wojenne.

Szaleniec.

Johnny spojrzał w lśniące od łez oczy przyjaciela.

– Idziemy stąd – powiedział.

Ruszył do wyjścia i wtedy zauważył Geralda, który stał trzy rzędy dalej, wysoki i barczysty, o jasnych włosach i skórze koloru wypalanej gliny. Johnny pociągnął Jacka za sobą i tłum rozstał się przed nimi. Zatrzymał się na moment przed Geraldem, który nagle stał się dziwnie

obnażony, gdy otaczające go ładne dziewczyny odeszły na bok. Cień, który rzucał na brata, jakby nieco zbladł.

Johnny objął przyjaciela ramieniem. Nie widział, jak Jack opuszcza wzrok i garbi się, nie zauważył wstydu i lęku na jego twarzy, ani nerwowego drżenia. Gerald górował nad Johnnym, wyższy od niego o głowę i cięższy o kilkadziesiąt kilogramów. Był wschodzącą gwiazdą, miał zadatki na bohatera, ale nikt z obecnych nie zastanawiał się, po czyjej stronie jest przewaga. Johnny uniósł palec i dźgnął Geralda w muskularną pierś.

– On jest twoim bratem, ty fiucie. Co z tobą?

Chłopcy przeciskali się przez milczącą ciżbę. Johnny patrzył prosto przed siebie, starając się unikać kontaktu wzrokowego z kimkolwiek, ale zauważył jeszcze jedną znajomą postać, wysokiego młodzieńca o jasnych, prawie białych włosach i szeroko rozstawionych oczach. Był to syn detektywa Hunta, Allen. Ten, którego spotkali nad rzeką. W jeansowej kurtce i ciężkich buciorach stał samotnie na skraju zbiegowiska, opierając się o kolumnę. W zębach trzymał wykałaczkę i patrzył nieruchomo przed siebie. Nawet nie drgnęła mu powieka, kiedy Johnny spojrzał na niego, tylko wykałaczka w jego ustach wędrowała z jednego kącika do drugiego.

Johnny przesunął w czytniku kartę, którą dostał od Steve'a. Służbowe drzwi się otworzyły i chłopcy weszli do pustego chłodnego korytarza, w którym unosił się zapach wilgoci i cementu. Schronili się w niskiej zacienionej wnęce pod schodami. Jack osunął się ciężko na podłogę, oparł się plecami o ścianę i przyciągnął ugięte nogi do tułowia. Johnny usiadł obok niego. Na brudnej posadzce widniały czarne ślady po gumie do zucia. Jack miał rozwiązana sznurówkę w jednym bucie, a jego jeansy były na kolanach brudne od trawy.

– Do dupy z tym wszystkim – odezwał się Johnny.

Odwrócił wzrok, gdy jego przyjaciel oparł twarz na kolanach. Bezmyślnie wodził palcami po nitowanej konstrukcji metalowych schodów. Kiedy Jack uniósł głowę, Johnny zauważył, że zielone plamy na jego spodniach pociemniały od wilgoci.

– Jakim cudem tu weszliśmy?

– Wujek Steve.

Jack syknął z bólu, rozcierając poobijaną rękę.

– Ci goście to banda kutasów – powiedział Johnny.

– Gównozjady. – Jack pociągnął nosem.

– Taaa. Osrajdupy.

Jack parsknął nerwowym śmiechem i Johnny rozluźnił się trochę.

– O co poszło? – zapytał.

– Chciał, żebym coś powtórzył, a ja nie chciałem tego zrobić – wyjaśnił Jack i wzruszył ramionami, widząc pytające spojrzenie przyjaciela. – Sport rządzi. Złamasy się ślinią.

– Pieprzony Gerald. Jak twoja ręka?

Jack poruszył kilka razy ręką w barku, potem przycisnął ją do piersi. Wskazał palcem bandaż widoczny pod rozpiętą koszulą Johnny'ego.

– Człowieku, ty krwawisz.

– Puściło parę szwów.

– To z ostatniej nocy? – Jack przyglądał się przyjacielowi. Na białym opatrunku pojawiła się ciemna plama. Johnny zapiął guzik. – Powinienem być z tobą iść, kiedy prosiłeś mnie o pomoc. Powinienem być iść.

– Nic by to nie zmieniło – odparł Johnny.

Jack uderzył się pięścią w nogę.

– Dupa ze mnie, nie przyjaciel. – Jego pięść spadała z głuchym i miękkim odgłosem, jak tłuczek ubijający mięso. – Dupa – powtórzył i zamachnął się jeszcze raz. – Nie przyjaciel.

– Przestań.

– Nie zrobiłem nic dla Alyssy.

– Nie mogłeś.

– Widziałem, jak to się stało.

– Nie mogłeś nic zrobić – tłumaczył Johnny.

Jack nie zwracał jednak na niego uwagi.

– Nie zrobiłem nic dla ciebie. – Znów wymierzył sobie cios. Z całej siły.

– Przestań!

Jack uspokoił się.

– Czy to prawda? – Obrócił wzrok w stronę przyjaciela. – Te rzeczy, które o tobie opowiadają? No wiesz. – Przesunął dłoń nad twarzą, przebierając palcami.

Johnny domyślił się, o co mu chodzi.

– Częściowo chyba tak.

– O co w tym chodzi?

Johnny spojrział na przyjaciela i wiedział już ponad wszelką wątpliwość, że Jack nigdy nie zrozumie tego desperackiego pragnienia, aby wierzyć w coś potężniejszego niż siła własnych rąk. Jack nigdy nie doświadczył takiej straty, nigdy nie czuł takiego strachu. Nigdy nie prześladował go taki koszmar, w jaki zamieniło się życie Johnny'ego. Ale też nie był głupi.

Johnny postanowił uchylić przed nim rąbka tajemnicy.

– Pamiętasz tę książkę, którą czytaliśmy w szkole? *Władca much*. O tych chłopcach na bezludnej wyspie, którzy zdziczeli, bo w pobliżu nie było żadnego dorosłego, który powiedziałby im, co robić. Zrobili sobie oszczepy i malowali się krwią. Uganiali się po dżungli, polowali na świnię, walili w bębny. Pamiętasz?

– Tak. No i co?

– Kiedyś wszyscy byli normalni, aż pewnego dnia zasady przestały się liczyć. Stworzyli więc swoje własne zasady, własne wierzenia. – Johnny zamilkł na moment. – Czasami czuję się jak ci chłopcy.

– Oni chcieli nawzajem się pozabijać. Powariowali.

– Powariowali?

– No pewnie.

Johnny wzruszył ramionami.

– A ja bardzo lubię tę książkę.

– Bo jesteś głupi.

– Może i jestem.

Jack skubał wystrzępioną nitkę w swoich jeansach i wodził wzrokiem po betonowej podłodze i metalowych schodach.

– Myślałem, że nienawidzisz tego wuja Steve'a.

Johnny opowiedział mu o układzie zawartym z opieką społeczną i o rozmowie z detektywem Huntem.

– To dlatego.

– Ja bym nie poszedł temu gliniarzowi na rękę – stwierdził Jack.

– O co ci chodzi?

– O to, co usłyszałem od mojego ojca. – Jack machnął ręką. – Gliniarskie plotki.

- Że niby co?
- Że on leci na twoją matkę. Że oni... No wiesz.
- Bzdury.
- Tak mówił mój stary.
- Cóż, w takim razie kłamie.
- Prawdopodobnie tak.

Zapadło milczenie. Po raz pierwszy czuli się niezręcznie.

– Chciałbyś zostać u mnie na noc? – zapytał Johnny. – To wprowadzie dom Steve’a, ale wiesz...

- Ojciec mnie nie puści.
- Dlaczego?
- *Władca much*. Uważa, że jesteś niebezpieczny. – Jack oparł głowę o ścianę. – Niebezpieczny. Fajnie brzmi.

– Nie wtedy, jak nie możemy się ze sobą zadawać.

Znów zamilkli na długą chwilę.

– Uwielbiałem twojego tatę – odezwał się Jack. – Czułem się przy nim tak, jakby ta moja ręka nie miała żadnego znaczenia.

- Bo nie ma.
- Nienawidzę mojej rodziny.
- Nieprawda.

Jack otoczył rękami kolana, a jego palce zbieleły, kiedy zacisnął pięści.

– Pamiętasz, jak w zeszłym roku miałem złamaną rękę?

Jego karłowata ręka była wątła i kości łatwo pękały. Johnny przypominał sobie, że Jack co najmniej trzy razy miał ją w gipsie. Jednak przed rokiem złamał ją w czterech miejscach i jej złożenie wymagało skomplikowanych zabiegów, śrub, kołków i innych metalowych elementów.

– Pamiętam.

– To Gerald mi to zrobił. – Głos Jacka dobiegał jakby ze studni. Jego drobna dłoń kołysała się na chudym nadgarstku. – To dlatego ojciec kupił mi nowy rower.

- Jack...
- I to dlatego na nim nie jeżdżę.
- Kurwa, stary.
- Nienawidzę mojej rodziny.

Rozdział 28

Hunt stał w gabinecie naczelnika. Kąty pokoju zdobiły flagi, a jedną ze ścian zdjęcia przedstawiające jego szefa w towarzystwie różnych osobistości – zastępcy gubernatora, byłego senatora i kiepskiego aktorzy, który wydawał mu się skądś znany. Zdjęcia dzieci były ustawione w rzędzie na niewysokiej szafce. Na biurku leżały gazety: lokalna oraz te z Wilmington, Charlotte i Raleigh. Na pierwszej stronie każdej z nich widniało zdjęcie Johnny'ego. Pomalowana twarz i naszyjnik z piór, krew i czaszka węża.

Dziki Indianin.

Szef siedział rozparty w fotelu z dłońmi splecionymi na brzuchu. Gniew żłobił głębokie zmarszczki w kącikach jego oczu. Był zmęczony, a tłuste włosy lepiły mu się do czoła. Szeryf hrabstwa, szczupły mężczyzna po sześćdziesiątce, o spękanej skórze na dłoniach i ciemnych workach pod oczami, stał oparty o ścianę. Piastował swój urząd od niemal trzydziestu lat i budził trwogę swym wybuchowym usposobieniem, ale również poważano go za umiejętności. Obserwował Hunta nieprzeniknionymi oczyma i wyglądał na równie niezadowolonego co naczelnik policji.

Hunt nie dawał niczego po sobie poznać.

– Czy masz pojęcie, ilu ludzi pracuje w tym wydziale? – zaczął naczelnik. – Ilu funkcjonariuszy? Ilu stażystów?

– Doskonale zdaję sobie sprawę.

Szef wyciągnął rękę w stronę stojącego pod ścianą gościa.

– A ilu w biurze szeryfa? Masz pojęcie?

– Z pewnością wielu.

– I jak twoim zdaniem poczuliby się ci ludzie, gdybyśmy pozwolili ci grzebać w ich osobistych aktach? W ich poufnych osobistych danych?

– Mam podstawy, aby przypuszczać...

– Widzieliśmy twoje podstawy. – W gabinecie rozległ się głos szeryfa. Mężczyzna przesunął się, ale wciąż stał oparty barkami o ścianę, a kciuki

trzymał zatknięte za szeroki czarny pas. – I żaden z nas nie jest w stanie orzec, co to za słowo. Może to „glina”, a może co innego. Może ten dzieciak się myli.

– Albo chrzani od rzeczy. – Naczelnik pochylił się nad biurkiem.

– Albo kompletnie mu odbiło.

– Pozwolę sobie mieć inne zdanie – odparł Hunt, nie odrywając wzroku od szeryfa.

– Zostałeś jakimś ekspertem? – Naczelnik postukał palcem w gazetę. – Spójrz tylko na niego.

Fotografia skazywała chłopca na pochopny osąd – zwichrzone włosy, skamieniała ze zgrozy Tiffany i kompletna pustka w jego oczach.

– Zdaję sobie sprawę, jak to wygląda, ale to mądry dzieciak. Musiał mieć jakiś powód, aby uznać, że widział gliniarza.

– Chłopak twierdzi, że wszystko to zmyślił – przerwał mu szeryf. – Sam to powiedziałeś. I to mi wystarczy.

– Obawia się, że opieka społeczna oddzieli go od ostatniej bliskiej osoby, jaka mu pozostała. Uważa, że ten gliniarz był związany z Burtonem Jarvisem. – Hunt nie potrafił dłużej ukrywać frustracji. – On jest przerażony. Próbuje się zabezpieczyć.

– Czy poza tym dzieciakiem masz jakieś inne podstawy, aby sądzić, że jeden z naszych, funkcjonariusz policji, na litość boską, może być zamieszany w cały ten parszywy syf?

– Tiffany Shore miała na rękach kajdanki, jakich używa policja.

– Można takie kupić w każdym porządnym sklepie z militariami – zauważył szeryf.

– To ważny dowód poszlakowy, zwłaszcza w powiązaniu ze spostrzeżeniami tego chłopca.

– Skończyliśmy już dyskutować na temat jego spostrzeżeń – wtrącił naczelnik.

– Czy coś wskazuje na to, że te kajdanki pochodzą z któregoś z naszych wydziałów – zapytał szeryf z kamienną twarzą. – Numer seryjny? Cokolwiek?

– Nie.

– Czy znaleźliście coś na terenie posesji Jarvisa? Coś w jego przeszłości?

– Nie. Ale dzieciak namierzył niebezpiecznego przestępcę, który do tej pory uniknął wykrycia. Logicznie byłoby zacząć od akt osobowych. Jeżeli chłopak się nie myli, mamy faceta na widelcu. A jeżeli jest w błędzie, nikt na tym nie ucierpi.

– Nikt nie ucierpi? Na Boga, Hunt! – Naczelnik uderzył mięsistą dłonią o blat biurka. – Udostępnienie ci tych akt przyprawiłoby o wściekłość wszystkich moich podwładnych i pogwałciłoby więcej przepisów, niż jestem w stanie wyliczyć. Nie mówiąc już o problemach z wizerunkiem, gdyby to wyszło na jaw.

– A wyszłoby – dodał szeryf.

– Przez tego dzieciaka już wyszedłem na dupka w telewizji publicznej, a ty, mój najlepszy detektyw, moja prawa ręka, czy jak oni tam mówią, sprawiłeś, że nasz wydział został pozwany przez najbardziej poważanego biznesmena w tym mieście.

– O kant dupy potłuc taki pozew, i dobrze o tym wiesz.

Naczelnik zaczął wyliczać na palcach.

– Brutalność policji. Nękanie. Celowe wywołanie stanu wzburzenia emocjonalnego. Bezpodstawne aresztowanie. Coś jeszcze? Zaraz zabraknie mi palców.

– Możliwe, że na terenie hrabstwa grasuje pedofil z odznaką policyjną. To jest problem, który powinien obchodzić was obu. Lekceważenie takiej ewentualności naraża dzieci na ryzyko. Wy – Hunt wymówił to słowo z naciskiem. – Wy być może narażacie dzieci na ryzyko.

Naczelnik podniósł się z fotela.

– Jeżeli powtórzysz coś takiego poza tym biurem, dobioreę ci się ostro do dupy.

– Ignorowanie tego problemu niczego nie załatwi.

– Dosyć tego.

– Jeżeli przez te egoistyczne obawy o wizerunek publiczny zostanie porwane kolejne dziecko...

– Po co my słuchamy tego sukinsyna? – przerwał szeryf. – Jeżeli zaginie kolejne dziecko, będzie to wina jego niekompetencji. Do tego wszystko się sprowadza, i każdy to wie. Wystarczy na niego spojrzeć.

Hunt nasrożył się, a naczelnik próbował opanować sytuację.

– Jarvis nie żyje, a Tiffany jest bezpieczna. To się liczy.

Szeryf zaśmiał się chrapliwie.

– A wszystko to zasługa dwunastoletniej dziewczynki i rok starszego łachmyty.

– Sam się zajmę swoimi ludźmi – oznajmił naczelnik i zmierzył szeryfa wzrokiem. – Czy to jasne?

Szeryf wrócił na swoje miejsce pod ścianą i wymierzył w Hunta wyciągnięty palec.

– Dobrze, powiedz zatem swojemu supergliniowi, żeby trzymał rękę na pulsie, bo mam wrażenie, że wszystko mu się wymyka. Myślę, że stara się poprawić swój wizerunek, mieszając z błotem innych policjantów. Moich ludzi. Twoich ludzi. Nas wszystkich na dobrą sprawę.

Naczelnik uniósł dłoń i zwrócił się do Hunta, a na jego karku zaczął się rozlewać czerwony rumieniec.

– Czy w kwestii domniemanego gliniarza pedofila wszystko jest jasne? Bo nie chcę słyszeć już na ten temat ani słowa.

– Twoje stanowisko jest oślepiająco jasne – odparł Hunt.

– To dobrze. Bo powinieneś zająć się okolicznościami śmierci Davida Wilsona, Levim Freemantle'em i znanymi powiązaniem Burtona Jarvisa. Żadnych wymysłów. Żadnych hipotez. Czyste fakty. Jeżeli ktoś kontaktował się z Jarvisem, trafimy na jego ślad. Każdy luźny wątek ma być dokładnie zbadany. Ponownie rozważymy twój wniosek o wgląd w akta osobowe, jeżeli Johnny Merrimon zdecyduje się opowiedzieć o tym, co widział.

– O ile cokolwiek widział – wtrącił szeryf.

– O ile cokolwiek widział – przytaknął naczelnik. – Co widział. W jakich okolicznościach. Jako gliniarze powinniśmy usłyszeć wszystkie te rzeczy, zanim damy się wpuścić w maliny. Czy to jasne, detektywie?

– Tak.

– To idź do wszystkich diabłów.

Hunt nie ruszał się z miejsca.

– Myślę, że jest coś jeszcze – powiedział.

– Ty myślisz? – Szeryf nie krył wzgardy.

– Sprawa Freemantle'a.

– Znalazłeś go? – zapytał naczelnik.

– Jeszcze nie.

– To o co chodzi?

– Zidentyfikowaliśmy obydwa ciała. To dziewczyna Freemantle'a i facet, z którym prawdopodobnie sypiała. Jesteśmy całkowicie pewni, że to Freemantle jest sprawcą. Brak śladów włamania. Wygląda na nieplanowane zabójstwo. Przypuszczalnie w afekcie. Uważamy, że przyłapał ich razem.

– Nieplanowane – powtórzył szeryf. – To ważne słowo.

– Tamtego ranka Freemantle uciekł podczas robót w terenie. Prawdopodobnie wrócił prosto do domu i tam ich zastał. Kurator twierdzi, że ta jego dziewczyna była raczej zdziwą.

– Świetnie. Czysta i jasna sprawa. Tak jak lubię.

Hunt powoli wypuścił powietrze.

– Oni mieli córkę – oznajmił.

– No i? – Całe ciało naczelnika zafalowało.

– Ona zaginęła.

– Nie. – Naczelnik wstał. – Nie zaginęła.

– Co?

Szef Hunta mówił spokojnym i zrównoważonym tonem, ale w środku kipiał ze złości.

– Nikt nie wypełnił formularza i nie zgłosił zaginięcia. Nikt nie zwrócił się do nas o pomoc.

– Co nie oznacza, że to nieprawda.

– Dziewczynka może przebywać u krewnych, u babki albo ciotki. A może Levi Freemantle zabrał córkę. W końcu jest jej ojcem, czyż nie? Nie został pozbawiony praw rodzicielskich póki co.

Hunta ogarnął gniew.

– Zamierzasz to zignorować?

– Co zignorować? – Naczelnik rozłożył dłonie w geście bezradności. – Przecież nie ma żadnego zgłoszenia.

– Teraz wszystko rozumiem – powiedział Hunt.

– Czyżby? – Zaciekłość w głosie szefa zamieniła się w ukrytą groźbę.

– Nikt nie chce słyszeć o kolejnym zaginionym dziecku, więc to zatajasz. Chowasz głowę w piasek i udajesz, że problemu nie ma.

– Jeśli powiesz choćby słówko o kolejnym zaginięciu...

– Mam już dosyć twoich pogroźek.

Szef wyprostował się.

– Mało masz jeszcze do roboty?

– Radzę ci, żebyś to dobrze przemyślał – odparł Hunt.

– A jeżeli nie?

Hunt spojrział na szeryfa, a potem przeniósł wzrok na swojego szefa.

– Myślę, że byłoby to niekorzystne dla nas wszystkich.

Rozdział 29

Johnny stał pod drzwiami dwupokojowego mieszkania wuja Steve'a. Nawet z zewnątrz wyglądało jak obskurna nora. Steve nacisnął klamkę i spojrzał na niego zakłopotany.

– Może być? – zapytał.

Johnny poczuł wydobywający się z wnętrza odór piwa i brudnych ubrań.

– Pewnie.

Steve zaprowadził Johnny'ego do jego pokoju, wyszedł i zamknął za sobą drzwi, kiedy chłopiec go o to poprosił. W pokoju znajdował się tapczan z nocnym stolikiem i lampką, komoda i szafa. Nic poza tym. Johnny opuścił torbę na podłogę i otworzył ją. Postawił zdjęcie rodziców na stoliku, potem rozpiął koszulę i obejrzał bandaż. Widniał na nich rząd czerwonych plam, które układały się w ukośną linię, długą na dwadzieścia centymetrów. To było najgorsze z cięć, ale krew wyglądała na zaschniętą, więc Johnny uznał, że nie jest źle, i z powrotem zapiął guziki.

Wieczorem zamówili pizzę i zjedli ją, oglądając teleturniej, który Steve określił jako edukacyjny z natury. Po wszystkim Steve oparł dłonie na kolanach, a na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania.

– Mam przyjaciółkę... – oświadczył, gładząc palcami nogawki spodni.

– Będę siedział w pokoju. Albo możecie gdzieś się wybrać, jeśli macie ochotę. Mnie to nie przeszkadza.

– Wybrać się gdzieś?

– No pewnie.

– A opieka społeczna?

– Jeżeli przyjdą, nie będę otwierał. Potem możemy powiedzieć, że byliśmy na kolacji.

Steve popatrzył na telefon, potem na drzwi. Johnny wszystko mu ułatwiał.

– Wiele razy zostawałem sam. Nie musisz się martwić.

Na twarzy Steve'a pojawił się wyraz ulgi.

– Wyszedłbym tylko na parę godzin.

– Mam trzynaście lat.

Steve wstał i uniósł palec zakończony zbrązowiałym i pękniętym paznokciem.

– Tylko nie ruszaj moich rzeczy.

– Oczywiście.

– I nikogo nie wpuszczaj.

Johnny uroczyście pokiwał głową. Zauważył, że Steve nadal jest spięty.

– Chyba trochę poczytam – oświadczył chłopiec. – Zadanie domowe, wiesz.

– Zadanie, dobry pomysł.

Steve wyszedł. Johnny odprowadził go wzrokiem do drzwi i zajął się przeglądaniem jego rzeczy. Metodycznie i starannie. Nie czuł się winny, nie miał żadnych wyrzutów. Wolał wiedzieć zawczasu, czy jego wuj może się nachlać albo czymś zaprawić. To samo dotyczyło broni palnej, noży i kijów baseballowych. Johnny chciał wiedzieć, gdzie Steve je trzyma. I czy broń jest naładowana.

Znalazł wódkę w zamrażarce i paczkę trawki ukrytą w naczyniu z żaroodpornego szkła. Komputer był chroniony hasłem, a sekretarzyk zamknięty na klucz. Na dnie szafy w sypialni leżał nóż myśliwski, a na półce poradnik seksualny. W kuchni znajdowało się przejście do garażu, gdzie stał pick-up o zdartych oponach i z licznymi rysami na zabrudzonym, białym lakierze. Johnny włączył światło i w jaskrawym blasku jarzeniówki przejechał dłonią po masce i pokrytych zaschniętymi bryzgami błotnikami. Samochód był starym rżęchem, ale miał powietrze w oponach, a wskazówka poziomu paliwa podniosła się nad kreskę, kiedy chłopiec przekręcił kluczyk. Czuł zapach garażu i zastanawiał się nad rzeczami, których prawdopodobnie nie powinien robić. Dwie minuty później siedział jednak przy kuchennym stole, na którym leżały kluczyk pick-upa i otwarta książka telefoniczna.

Był w niej wymieniony tylko jeden Levi Freemantle.

Sięgnął po kluczyk i podskoczył, kiedy zadzwonił telefon.

– Czy jesteś grzecznym chłopcem? – Głos matki był zatroskany.

Johnny podniósł kluczyk i przyglądał się mu, obracając go.

– Tak.

– To jest tylko tymczasowe, kochanie. Musisz w to uwierzyć.

– Wierzę w to.

Johnny usłyszał w słuchawce jakiś hałas, jakby huk uderzenia.

– Kocham cię, skarbie.

– Też cię kocham, mamó.

Hałas w tle rozległ się ponownie.

– Muszę kończyć – oświadczyła matka.

– Wszystko u ciebie w porządku?

– Bądź grzeczny – powiedziała i rozłączyła się.

Johnny długo wpatrywał się w telefon, zanim odłożył słuchawkę.
Kluczyk zdążył się już nagrzać w jego dłoni.

Nikt nie może się dowiedzieć.

Rozdział 30

Katherine położyła telefon na podłodze. Za plecami czuła chłodne i twarde drzwi. Siedziała, opierając się o nie, nawet kiedy drżały pod ciosami uderzającej z drugiej strony pięści.

– Odejdź stąd, Ken!

Zamek nad jej głową trzymał mocno. Kolejne uderzenie, tym razem nisko. Kopnięcie.

– Jesteś moją dziewczyną. To jest mój dom.

– Zmieniłam zamki.

– Otwieraj te cholerne drzwi!

– Wezwę policję. Przysięgam, zadzwonię.

Drzwi zatrzęsły się od kolejnych ciosów. Zamek przekrzywił się, ale wytrzymał atak.

– Chciałem tylko porozmawiać.

– Już dzwonię – skłamała.

Nagle zapadła całkowita cisza. Wstrzymała oddech i nasłuchiwała. Wyobraziła sobie, że i on stoi z uchem przy drzwiach i przyciska palce do pokrytej brudną farbą powierzchni. Cisza wzmagала napięcie. Minęło dziesięć sekund. Minuta. Krzyknęła, gdy kopnął drzwi po raz ostatni. Potem rozległ się ciężki tupot i poczuła, jak schody drżą od jego kroków. Rozległ się odgłos uruchamianego silnika i przez wystrzępione zasłony wdarło się do środka światło reflektorów, kiedy samochód zawracał na podwórzu, by wyjechać na drogę.

Katherine osunęła się na podłogę. Dygotała tak mocno, że bolała ją szczęka. Miała ochotę się napić albo coś zażyć, ale podjęła decyzję. Johnny przede wszystkim. Koniec z alkoholem i lekami. A to oznaczało, że koniec z Kenem Hollowayem.

Katherine wbiła zęby w dłoń. Przynajmniej Johnny'ego tu nie ma. Przynajmniej on jest bezpieczny.

Czekała, aż serce przestanie jej kołatać i wyrówna się oddech. Pięć

minut, może dziesięć. Miała już wstać, gdy usłyszała dobiegający z za drzwi odgłos cichych kroków, chrzęst żwiru i szuranie butów po ziemi. Ogarnął ją tak paralizujący strach, że nie mogła złapać tchu. Skrzypienie starej deski na zewnątrz zlało się z odgłosem poruszanych wiatrem suchych gałęzi martwego drzewa. Podłoga ganku ugięła się pod czyjś ciężarem. Coś bardzo cicho stuknęło o drzwi. Katherine usłyszała, jak jęknął najniższy stopień schodów, a potem zapadła cisza.

Całkowita, przejmująca grozą cisza.

Trzymając telefon w dłoni, uznała, że numer alarmowy nie będzie najlepszym wyborem. Postanowiła zadzwonić do Hunta, któremu ufała. Nie podnosząc się z podłogi, dotarła do kuchni. Jego wizytówka leżała w górnej szufladzie. Odebrał po pierwszym sygnale. Mówiła do słuchawki drżącym szeptem.

– Proszę nie otwierać drzwi – powiedział. – Cokolwiek by się działo. Zanim się pani obejrzy, będzie tam radiowóz.

Ścisnęła aparat jeszcze długo po tym, jak się rozłączyli. Podpełzła do okna i wyjrzała ostrożnie. Zobaczyła majaczące w mroku sylwetki drzew, na które co jakiś czas padała poświata księżyca, kiedy wiatr rozganiał nisko zawieszane chmury. Pusto na drodze. Pusto na podwórzu. Nachyliła się w prawo i przycisnęła policzek do szyby. Widziała skrawek ganku, ale to było za mało. Wróciła pod drzwi i znów nasłuchiwała. Do jej uszu dobiegł cichy chrobot, jakby ktoś drapał widelcem po woskowanym papierze. Powtórzył się jeszcze raz, a potem rozległ się charakterystyczny odgłos stłumionego płaczu. Bardzo cichy. Jakby znajomy.

Usłyszała go ponownie. Dochodził z za drzwi. Z ganku.

Spojrzała na telefon i znów rozległo się kwilenie. Przez sekundę zaświtała jej w głowie szalona myśl, że to jakieś dziecko, że ktoś podrzucił niemowlę na jej próg, ale zdawała sobie sprawę, że to niedorzeczne. Mimo to wciąż słyszała ten odgłos. Jej palce spoczęły na zamku.

Zamarła w bezruchu na myśl o Kenie.

W oddali narastał warkot silnika. Samochód jechał w stronę jej domu, ale potem skręcił na południe. Kwilenie powtórzyło się i Katherine poczuła na policzku chłodny podmuch, kiedy drzwi uchyliły się na długość łańcucha. Nie pamiętała, kiedy podjęła decyzję, aby je otworzyć.

Na ganku spoczywało kartonowe pudełko zaklejone srebrną taśmą. Na

nim leżała koperta. Pudełko poruszyło się, a dobiegający ze środka dźwięk był wyraźniejszy. Na kopercie widniało imię i nazwisko Johnny'ego.

– O mój Boże.

Katherine omiotła wzrokiem podwórze i gdy upewniła się, że nikogo tam nie ma, wyszła na zewnątrz. Koperta była niezaklejona, a w środku znajdowała się pojedyncza kartka. Wiadomość była napisana na maszynie.

„Nikogo nie widziałeś. Niczego nie słyszałeś. Ani pary z gęby”.

Katherine spojrzała ze strachem na pudełko. Szarpnęła połyskującą taśmę – odkleiła się z głośnym trzaskiem. W środku leżał kot. Żywy.

Miał przetrącony grzbiet.

Przerażona Katherine rzuciła się z powrotem do domu, a w jej głowie tłukła się tylko jedna myśl.

Johnny.

Zaczęła wystukiwać numer domowego telefonu Steve'a, ale roztrzęsione palce odmawiały jej posłuszeństwa. Spróbowała jeszcze raz.

– Boże, błagam.

Długi sygnał w słuchawce powtórzył się sześć razy. Dziesięć. Nikt nie odbierał. Przejęta śmiertelnym strachem Katherine przerwała wybieranie. Potem znów zadzwoniła do Hunta.

Rozdział 31

Johnny otworzył drzwi garażu i uruchomił silnik półciężarówki. Pracował ciężko, z rury buchały kłęby sinego dymu, ale samochód był na chodzie. Przemykał bocznymi ulicami, a potem wypadł na dwupasmówkę. Mocniej nacisnął gaz i pick-up zaczął się trząść. Zwolnił, dojeżdżając do Main Street, za nią skręcił w prawo w drogę jednokierunkową, by ominąć ruchliwe ulice.

Jechał powoli. Okolica stawała się coraz mniej wytworna, im bardziej zbliżał się do torów. Słyszał muzykę, podniesione głosy i trzask zamykanych drzwi. Odnalazł Huron Street i skręcił w lewo. W wąskiej uliczce stały ciasno zaparkowane samochody, ze szczelin przy krawężnikach wyrastały chwasty, a w kanale ściekowym połyskiwały odłamki stłuczonego szkła. W ciemności rozległo się wściekłe ujadanie psa. Johnny widział jego brązową sylwetkę na czarnym tle, postrzępiony kontur, który miotał się na łańcuchu. Jechał dalej, ale na innych podwórkach też odezwały się psy. Wyobraził sobie ludzi oblanych błękitną poświatą telewizyjnych ekranów, którzy uchylają zasłony i wyglądają przez brudne szyby. I nie była to tylko wyobraźnia. Po lewej jakiś mężczyzna otworzył frontowe drzwi i wyszedł na ganek. Miał blade stopy, był tylko w jeansach i zaciągał się papierosem, który zwisał z jego ust. Johnny zignorował go i pojechał dalej.

Ciemna bryła domu Freemantle'a wyglądała niczym kadłub wraku wyrzucony na czarną mieliznę. Za nim wznosił się nasyp kolejowy pokryty jaśniejącym w mroku szarawym żwirem. Chłopiec poczuł woń kreozotu, pyłu kamiennego i ropy naftowej. Zatrzymał samochód przy krawężniku i zgasił silnik. Za jego plecami, w domu o ścianach koloru musztardy, płakało dziecko.

Kiedy Johnny wysiadł z pick-upa, płacz ucichł i psy przestały szczekać. Stojąc na podwórzu, zauważył żółtą taśmę rozpiętą między słupkami, które podtrzymywały zadaszanie ganku. Schylił się pod nią i osłaniając

rękami twarz, próbował zajrzeć do wnętrza. Nie zobaczył niczego prócz nieprzeniknionych ciemności. Drzwi ustąpiły, kiedy je pchnął. W środku nie było nikogo. Dom ział pustką. Chłopiec włączył światło i zobaczył krew na ścianach.

Przeraził go ten widok. To była prawdziwa krew.

Rozmazane krwawe smugi miały brunatny kolor. Przełączniki światła i klamki pokrywał szary proszek. W głębi domu krwi było więcej, a ciężki oleisty fetor zapierał dech. Na podłodze jednego z pokoi widniała zakrzepła kałuża, a białe taśmy obrysowywały miejsca, w których znaleziono ciała.

Dwa ciała. Kałuża krwi.

Johnny odwrócił się i pobiegł w kierunku wyjścia. Przecisnął się przez wąski korytarz i wypadł na zewnątrz, w czarną pustkę otwartych drzwi przegrodzonych żółtą taśmą – zawadził o nią ramieniem. Spadł z ganku i zdarł sobie skórę z dłoni. Biegając do samochodu, jeszcze raz się potknął. Uruchomił silnik i pognał w stronę wylotu ulicy odprowadzany ujadaniem psów.

Hunt przedarł się przez miasto. Pędząc z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę, wspiął się na szczyt ostatniego wzgórza i poczuł, jak samochód unosi się na amortyzatorach, by po chwili osiąść nisko przy drodze. Docisnął mocniej gaz, aż strzałka prędkościomierza przekroczyła sto czterdzieści. Zahamował przed domem Katherine, gwałtownie skrzył w prawo i zatrzymał się na podejździe.

W domu paliły się światła, ale okoliczne drzewa spowijał mrok.

Hunt wyskoczył z samochodu. Umieszczone pod wlotem powietrza lampy pulsowały niebieskim światłem. Omiótł wzrokiem linię drzew i podwórko, trzymając rękę na spoczywającym w kaburze pistolecie. Wszędzie było cicho i spokojnie. Podłoga ganku zadudniła pod jego krokami. Zapukał do drzwi i słysząc poruszenie w środku, odsunął się i zlustrował jeszcze raz podwórko za swoimi plecami. Szczęknął zamek i drzwi uchyliły się odrobinę, by zaraz otworzyć się na całą szerokość. W progu stała Katherine. Oczy miała mokre od łez, a w zaciśniętych kurczowo palcach trzymała dwudziestocentymetrowy nóż do mięsa.

– Czy coś wiadomo o Johnnym? – zapytała.

Hunt wszedł do środka.

– Wysłałem radiowóz do domu Steve’a. Powinien już tam być – powiedział Hunt i wyciągnął rękę. – Czy mogę wziąć ten nóż?

– Przepraszam. – Katherine oddała nóż detektywowi, a on odłożył go na blat.

– Nic się pani nie stało. Jestem pewien, że Johnny’emu też nie.

– A ja nie jestem taka pewna.

– Niczego jeszcze nie wiemy.

– Chcę jechać do Steve’a – oświadczyła Katherine.

– Pojedziemy tam. Obiecuję. A teraz proszę usiąść na chwilę. – Podprowadził ją do sofy i wtedy zauważył leżące na stole pudełko. – Czy to jest to?

Kobieta pokiwała głową.

– Myślę, że jest już martwy.

Hunt podszedł do pudełka, zobaczył oddartą srebrną taśmę i leżącą obok kopertę oraz kartkę papieru.

– Nie mogłam go tam zostawić – wyjaśniła Katherine.

Hunt długopisem uniósł klapy pudełka. Kot miał oczy zasnutę mgłą i wystawiony język.

– Nie żyje – stwierdził Hunt.

Zamknął pudełko i sięgnął po kartkę. „Nikogo nie widziałeś. Niczego nie słyszałeś. Ani pary z gęby”.

Katherine wstała z sofy i podeszła do niego. Cała się trzęsła.

– Myśli pan, że to sprawka Kena? To się stało dziesięć minut po tym, jak odjechał.

– Wątpię.

– Jest pan pewien?

– Nie jestem, ale wydaje mi się to bez sensu. Po co miałby odjeżdżać i wracać? Po co zostawiać taki ślad? I przede wszystkim, po co w ogóle to robić?

– A co to oznacza? – zapytała Katherine.

Hunt jeszcze raz przeczytał wiadomość na kartce.

– Myślę, że to ma coś wspólnego z Burtonem Jarvisem.

– Co?

– Informacje podane w mediach dotarły do wielu ludzi. – Hunt spojrzał

jej w oczy. – Przeglądała pani notatki Johnny'ego?

– Oczywiście.

– On tam był. Pod domem Jarvisa. I nieważne, co teraz usiłuje mi wmówić. On tam był wiele razy.

– Ktoś myśli, że Johnny go tam widział?

– Johnny rozpoznał pięciu spośród sześciu mężczyzn, którzy składali tam regularne wizyty. Tylko pięciu.

– A ten szósty?

– Ten szósty był ostrożny. Wiadomo, że trzy razy zmieniał tablice rejestracyjne. A teraz obawia się, że Johnny może go zidentyfikować.

– Czy mówi pan o tym policjancie?

– Nie mamy pewności, że to policjant.

– Johnny uważa, że tak.

– Myli się. Na pewno się myli.

– A jeżeli nie?

Hunt nie umiał udzielić odpowiedzi. Zamiast tego wyciągnął rękę w stronę Katherine.

– Chodźmy poszukać pani syna.

Było późno, kiedy Johnny wjechał na osiedle, na którym mieszkał Steve. Przemknął między budynkami, wykonał ostatni skręt w lewo i zatrzymał się sto metrów przed domem, przed którym stała już furgonetka Steve'a oraz kilka radiowozów. Zauważył też samochód Hunta. To oznaczało kłopoty z opieką społeczną.

Johnny skłął w myślach samego siebie. Powinien był wrócić wcześniej. W ogóle nie powinien był nigdzie się wybierać. Teraz zabiorą go już na dobre. Pewne jak w banku. Pewne jak nic.

Wyłączył silnik i otworzył drzwi samochodu. Na prawo od jezdni, w pół drogi do budynku, rosło kilka sosen. Chłopiec przekradł się między zaparkowanymi samochodami, a gdy był już blisko drzew, zerwał się do biegu. Zapadł się w miękkie igliwie i zaczął szukać kryjówki.

Jack już tam był.

– Cholera, Johnny. Wystraszyłeś mnie.

Johnny poczuł od przyjaciela zapach bourbona i zobaczył butelkę przyciśniętą do jego piersi.

– Co ty tu robisz? – zdziwił się Johnny.

Jack podniósł się i usiadł, opierając się plecami o pień sosny.

– A gdzie miałbym być?

– Czy ty wiesz, co się dzieje?

Jack wskazał ręką na radiowozy.

– Oto co tu zastałem.

– Jak się tu dostałeś?

– Przyszedłem.

– Sześć kilometrów?

Jack wzruszył ramionami.

– Jesteś pijany?

– Zamierzasz prawić mi morały?

– Nie.

– Bo sprawiasz takie wrażenie.

Johnny zignorował przytyk.

– Czy moja matka tu jest? – spytał.

– Wydaje mi się, że ją widziałem. Ale tak naprawdę nie mam pojęcia. Czekałem na ciebie.

Johnny podczołgał się bliżej krawędzi drzew. Jack syknął na niego.

– Nie rób tego, Johnny. Z tego co wiem, mój stary też tu jest. Nie mogę sobie na to pozwolić.

– Twój ojciec?

– Próbuje robić dobre wrażenie. Pracuje po godzinach i w ogóle. Chce awansować do czasu, jak Gerald przejdzie do ligi zawodowej – wyjaśnił chłopiec i pociągnął łyk z butelki. – Jakby to miało jakieś znaczenie.

Johnny wycofał się do miejsca, gdzie było ciemniej. Jack mówił bełkotliwie i zsuwał się po pniu drzewa. Ledwie mógł usiedzieć prosto.

– Co z tobą? – zapytał Johnny.

– Nic – odparł Jack z posępną miną.

Johnny znów skupił uwagę na domu Steve'a.

– Skoro już musisz wiedzieć... – odezwał się Jack zbyt donośnym głosem.

– Zamknij się, człowieku, na rany Chrystusa!

Jack ściszył głos.

– Skoro już musisz wiedzieć, to pożarłem się z moim starym. Ktoś do

niego zadzwonił i opowiedział, co się stało w galerii.

– Niech zgadnę. Wziął stronę Geralda?

Jack pokręcił głową.

– I tak się tego spodziewałem. Tym razem poszło o ciebie. Powiedział, że nie wolno nam już się przyjaźnić i że to jest oficjalne ostrzeżenie. Ostatnie ostrzeżenie. – Jack machnął ręką i zataczając się, wstał. – Ale nie martw się. Powiedziałem mu, żeby się odpiardolił.

– Nie powiedziałaś mu tego.

– Dokładnie tak. – Jack uniósł butelkę do ust.

Johnny bacznie obserwował okno Steve'a.

– Jeśli tam pójde, zabiorą mnie na dobre – powiedział.

– Kto?

– Opieka społeczna. Zabiorą mnie od Steve'a, żeby uwięzić razem z jakimś sztywnym dobroczyńcą, który będzie mnie zaganiał do kąpieli trzy razy dziennie i nie pozwoli wyjść z domu.

– Albo u kogoś, kto chce zachapać państwowe pieniądze. Będzie cię trzymał o chlebie i wodzie i każe spać na podłodze. Zrobi z ciebie niewolnika.

– Zamknij się, Jack.

– Poważnie mówię.

– Akurat.

Jack podszedł bliżej chwiejnym krokiem. Kiedy odezwał się tym razem, ton jego głosu był naprawdę poważny.

– Oni chyba się martwią. Twoja mama i cała reszta.

– Teraz nie mogę zawracać sobie tym głowy.

– Dlaczego?

Johnny chwycił przyjaciela za koszulę i pociągnął za sobą.

– Chodź.

– Dokąd?

– Nie gadaj, tylko chodź. – Johnny zaprowadził Jacka do półciężarówki.

– Czeka tu.

– Ale...

Johnny go nie słuchał. Nie zważając na policyjne samochody, podszedł do furgonetki Steve'a i szarpnął za klamkę. Drzwi były zamknięte. Na skraju chodnika podważył obluzowaną kostkę brukową i trzymając ją

w prawej ręce, wrócił do vana. Wybił nią szybę, sięgnął do środka i otworzył schowek.

Wróciwszy do pick-upa, wyrwał butelkę z rąk Jacka i cisnął ją w mrok. Wręczył przyjacielowi pudełko z nabojami.

- Trzymaj to.
- Co to jest?
- I to. – Wcisnął mu w rękę rewolwer.
- O kurwa.

Johnny otworzył drzwi samochodu i spojrzał surowo na przyjaciela.

- Tym razem idziesz ze mną?
- O ja pierdolę.

Johnny przestrzegął ograniczeń prędkości. Wjechał na szczyt wzgórza i tam się zatrzymał. Na wprost rozciągał się widok na drogę prowadzącą do jego domu.

- Co robisz? – zapytał Jack.
- Muszę coś zabrać.
- Myślisz, że ktoś tam jest?
- Można to sprawdzić tylko w jeden sposób.

Johnny zjechał w dół. W domu paliło się kilka lamp. Podjazd był pusty. Zaparkował pick-upa i wyłączył silnik. Wokół panowała cisza, w oknach nie było widać żadnego ruchu.

- Wygląda na to, że jest pusto.

Johnny wysiadł z samochodu i wsunął klucz do zamka frontowych drzwi.

- Nie pasuje – powiedział zdziwiony.
- Może to nie ten?

Johnny spróbował jeszcze raz.

- Musiała zmienić zamki – stwierdził.
- Dlaczego?
- To przez Hollowaya, jak się domyślam.
- To dobrze, prawda?
- Jeśli z tego powodu, to tak.

Jack zaczął się rozglądać dokoła, tymczasem Johnny podniósł kamień i rzucił nim w szybę.

– Jezu, Johnny! – Jack aż podskoczył. – Uprzedź mnie następnym razem.

– Wybacz.

– Kto to widział, wrzucać kamień przez własne okno?

– Nie pojmujesz? – W głosie Johnny’ego pojawiła się irytacja. Wskazał na drogę, w stronę, z której przyjechali. – Gliny już wiedzą, że zwiąłem od Steve’a, więc na bank zawiadomią opiekę społeczną. Umieszczą mnie w takim miejscu, że nawet nie chcę o tym myśleć. Zamkną mnie i będzie po wszystkim. Gra skończona.

– No to co? – spytał Jack. Był pijany.

Johnny położył mu dłoń na ramieniu i zacisnął palce.

– To moja ostatnia szansa, żeby ją znaleźć. Miałbym się przejmować oknem Kena? Szybą w aucie Steve’a? Jakie to ma znaczenie?

Johnny puścił ramię przyjaciela z taką siłą, że ten aż się zachwiał. Podniósł kawałek ułamanej gałęzi i potłukł nim ostre odłamki szyby tkwiące w ramie okna. Kiedy skończył i odrzucił gałąź, jeszcze raz dał Jackowi jasno do zrozumienia, kto tu rządzi.

– Czekaj tu – rozkazał. – Miej oko na wszystko.

Wspiął się do środka przez wybite okno i zapalił światło. Wnętrze domu wyglądało tak samo, ale wydawało się inne. Poczul w sercu skurcz tęsknoty, ale zignorował go. Najpierw skierował kroki do pokoju matki, otworzył szufladę nocnego stolika i przeliczył gotówkę, jaką tam znalazł. W sumie dwieście dolarów. Wziął dwie dwudziestki, a resztę odłożył na miejsce. W swoim pokoju zapakował do plecaka ubrania i koc. Wyjął z szafy dwie kurtki, jedną jeansową, a drugą z mocnej bawełnianej tkaniny. Odwrócił się w stronę łóżka i wziął do ręki *Ilustrowaną historię hrabstwa Raven*. Książka sama otworzyła się na stronie poświęconej jego imiennikowi, Johnowi Pendletonowi Merrimonowi, chirurgowi i abolicjonście. Dotknął palcami jego portretu i przewrócił kartkę. Na następnej stronie pod nagłówkiem: „Pierwszy wyzwoleniec w hrabstwie Raven” znajdowała się historia Isaaca Freemantle’a. Była tam również mapa.

Widniała na niej rzeka i ciągnący się wzdłuż niej szlak.

Szlak prowadził w pewne miejsce.

Johnny zatrzasnął książkę i wcisnął ją do plecaka.

Na wierzchu położył rewolwer.

Z kuchni zabrał kilka konserw i słoik masła orzechowego, dużą latarkę i pudełko zapalek. Wziął z szafki bochenek chleba, a z lodówki dwie puszki napoju winogronowego. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie napisać paru słów do matki, ale porzucił ten pomysł. Jeżeli pozna jego plany, jeszcze bardziej będzie się martwiła. Wygramolił się na zewnątrz domu i rzucił Jackowi bawełnianą kurtkę, a sam włożył drugą. Przyjrzał się wilgotnej od potu i zmarniałej twarzy przyjaciela, który czujnie obserwował pustą drogę. Jack zaczął trzeźwieć.

– Nie musisz ze mną iść – powiedział Johnny. – Mogę to zrobić sam.

– Człowieku, ja nawet nie wiem, co ty zamierzasz.

Johnny patrzył w stronę gęstego lasu, który rozciągał się za domem. Pomyślał o broni, która ciążyła mu w plecaku.

– Powiem ci, jak wytrzeźwiejesz. Jeżeli nadal chcesz ze mną iść, to w drogę.

– A dokąd się teraz wybieramy?

– Na biwak.

Jack patrzył tępo. Johnny położył mu rękę na ramieniu. Zaciśnął usta, a jego oczy pałały blaskiem.

– Potraktuj to jak przygodę – dodał.

Rozdział 32

Hunt stał przy kominku i przyglądał się bacznie Katherine Merrimon. Kobieta siedziała na sofie w salonie Steve'a roztrzęsiona i z wypiekami na twarzy. Co kilka minut wstawała i wyglądała przez okno. Yoakum i Cross byli w kuchni. Steve przechadzał się tam i z powrotem, zerkając trwożliwie w stronę Hunta. Próbował rozmawiać z Katherine, ale ona wymierzyła mu policzek.

– To przez ciebie – warknęła.

– Ten cholerny smarkacz.

Uderzyła go po raz drugi.

– Wyjdę zapalić – oznajmił Steve.

– Idź i nie wracaj. – Katherine nie spojrzała nawet w jego stronę.

– Ale, Katherine...

Kobieta stała ze wzrokiem utkwionym w ciemność za oknem.

– Proszę iść na papierosa i zostawić nas samych na kilka minut – odezwał się Hunt.

– Świetnie. – Steve ruszył do wyjścia. – A co mi tam.

Hunt odczekał, aż Steve zamknie za sobą drzwi, po czym ujął Katherine pod ramię i podprowadził do sofy.

– Znajdziemy go.

– Skąd ta pewność?

– Zrobię wszystko co w mojej mocy, aby pani syn wrócił do domu. Obiecuję – powiedział, ale obydwójce zdawali sobie sprawę, jak pusta jest ta obietnica. – Teraz nic bardziej się dla mnie nie liczy. Wierzy mi pani?

– Nie wiem.

– Obiecuję. Przysięgam.

Katherine pokiwała głową. Siedziała ze skulonymi ramionami, a palce opartych na podbrzuszu dłoni układały się w idealny delikatny splot.

– Myśli pan, że ktoś go porwał?

Mówiła tak cicho, że Hunt ledwie ją słyszał.

– Nie – odparł. – Zdecydowanie nie.
– Może ktoś uznał, że groźba nie będzie wystarczająco skuteczna.
– Nic nie wskazuje na to, że ktoś wtargnął tu siłą. Nie ma śladów szamotaniny. Zniknął pick-up Steve’a. Johnny umie prowadzić i miał dostęp do klucza.

– Chcę, żeby on wrócił. Czy pan mnie rozumie?

– Tak.

– Chcę, żeby mój syn był znowu w domu. – Katherine znów utkwiała wzrok w oknie.

W drzwiach kuchni stanął Yoakum.

– Clyde – odezwał się i pokiwał palcem.

– Co jest?

Yoakum wrócił do kuchni i zatrzymał się przy niedużym stoliku.

– Czy widzisz tu coś, co ci nie pasuje?

Hunt spojrzał na stół. Błat był prawie pusty. Na rogu leżało kilka czasopism, koperty z rachunkami, wczorajsza gazeta i otwarta książka telefoniczna. Już miał pokręcić głową, kiedy usłyszał podpowiedź Yoakuma.

– Książka telefoniczna.

Minęła sekunda, zanim Hunt to zauważył. Levi Freemantle. Huron Street 713.

– O kurwa.

– Czemu on miałby się interesować Levim Freemantle’em?

– Sądzi, że Freemantle wie, gdzie jest jego siostra?

– A skąd taki pomysł?

– Uważa, że David Wilson mógł mu to powiedzieć przed śmiercią. – Hunt zamknął książkę. – To moja wina.

– Nikt nie mógł przewidzieć, że chłopak zrobi coś takiego.

– Ja mogłem. – Hunt potarł twarz dłońmi. – Ten dzieciak jest zdolny prawie do wszystkiego. Głupi byłem, myśląc, że on tak po prostu odpuści.

– Mogę tam dojechać w osiem minut.

– Nie. Chłopak mi trochę ufa. Ja pojedę.

– Faktycznie, lepiej weź to na siebie.

Wrócili do salonu, ale nim zdążyli dojść do wyjścia, drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł Steve. Wymierzył palec w kierunku

Katherine, a potem złożył dłoń w pięść. Miał zaciśnięte usta i wypieki na twarzy. Poruszał ręką, jakby starał się zapanować nad wzburzeniem.

– Co się stało? – zapytał Hunt.

Steve zmierzył go wzrokiem i wskazał palcem w stronę ulicy.

– Ten mały gnojek ukradł również moją broń – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Dziesięć minut później Hunt sprawdził wszystkie pomieszczenia w domu Leviego Freemantle'a.

– Minęliśmy się z nim – zawołał z salonu do Yoakuma.

– Coś wskazuje na to, że tu był?

Hunt wyszedł na ganek i wskazał palcem strzepy żółtej taśmy. Wzdłuż ulicy niosło się ujadanie psów.

– Taśma zerwana, drzwi otwarte.

– Czy powinniśmy zgłosić wszystkim patrolom kradzież pick-upa?

– A jeżeli Johnny miał rację? – odparł Hunt po chwili namysłu. – A jeżeli ten szósty jest gliniarzem?

– Nie wyobrażam sobie, aby to było możliwe.

– A gdyby jednak? A co będzie, jeżeli przekazemy zgłoszenie i natrafi na niego nie ten glina?

– Sądzisz, że powinniśmy zachować to w tajemnicy?

– Nie mam pojęcia. Takie myślenie prowadzi donikąd.

– Zgadza się z tobą. Zaczekaj chwilkę, dobra? – Yoakum sięgnął po komórkę.

Hunt słyszał stłumione głosy. Po chwili Yoakum się odezwał.

– Niedobrze.

– Co?

– Cross mówi, że już to ogłosił.

– Nie ma do tego upoważnienia.

– Twierdzi, że nie ma nad czym się zastanawiać, skoro zbiegły dzieciak jeździ skradzionym autem i ma skradzioną broń. Szczerze mówiąc, trudno nie przyznać mu racji, zwłaszcza że...

Yoakum zawiesił głos i Hunt pomyślał, że przemilczana uwaga miała dotyczyć Katherine.

– Zwłaszcza że co?

Yoakum zamknął drzwi.

– Zwłaszcza że chłopak szuka bezwzględnego mordercy? – dokończył szeptem.

Johnny musiał nadłożyć kawałek drogi, żeby znaleźć wjazd na opuszczoną plantację tytoniu. Brama nie była zamknięta na kłódkę, a dojazd porastały wybujałe chwasty i niskie krzaki jeżyn. Jack zamknął bramę za pick-upem. Nigdy tu nie był.

– Dokąd jedziemy? – dopytywał się.

– Zobaczysz.

Rozbłysły reflektory, wydobywając z mroku zieleń sosnowych igieł. Żywica połyskiwała na poskręcanych pniach, które po chwili znów zamieniały się w czarne kontury, gdy samochód jechał dalej. Przedzierali się przez koleiny i pozostawione przez wiosenne deszcze głębokie bruzdy. Kiedy wyjechali z lasu, rozpostarło się nad nimi niebo, na którym połyskiwało kilka samotnych gwiazd, a spoza cienkich chmur przezierał księżyc.

– Kiedyś była tu plantacja – wyjaśnił Johnny. – A potem tylko kilka farm.

Trakt skręcał ostro w prawo, biegł kawałek prosto, a potem się rozwidłał. Johnny wybrał lewą odnogę.

– Wciąż jeszcze widać ruiny dużego domu, który się spalił. – Johnny wskazał w bok ruchem głowy. – Tam stał. Została tylko sterta cegieł z komina. I stara studnia.

– Naprawdę?

– Teraz wszystko tam zarosło. Znalazłem go pół roku temu.

Na wprost zobaczyli szopę. Poszarzałe belki ścian wspierały się na podmurówce ze spękanych granitowych bloków. Wokół rosły trojeście o różowych kwiatach, a macki bluszczu oplatały tylny narożnik. W miejscach, gdzie zwietrzała zaprawa rozsypała się w proch, ziały czarne szczeliny. Johnny okrążył szopę i zatrzymał samochód. Silnik zostawił włączony. Przed szerokim otworem wejścia widać było popiół i zwęglone kawałki drewna leżące na palenisku.

– Podaj mi plecak – powiedział Johnny do przyjaciela, a ten wykonał jego polecenie. – I nie gaś silnika, dopóki ci nie powiem.

Johnny położył plecak na ziemi i wyjął z niego latarkę. Wszedł do szopy, odszukał zapleśniały niebieski plecak i trzy niedopalone świece.

– Teraz – zawołał.

Jack przekręcił kluczyk i reflektory samochodu zgasły. Noc pochłonięła drgające snopy światła, które padały na bladą skórę, połyskujące dziko oczy i brudne ubranie.

– Tędy idzie się do domu Kena. – Johnny wskazał kierunek latarką. – Przez las. To niedaleko.

– Jak ty to wszystko znalazłeś?

Johnny przykucnął i wygrzebał z plecaka zapalniczkę.

– Wychodziłem z domu, kiedy robiło się niewesoło. Szukałem węży.

– Co do węży...

– Potrzyj to. – Johnny wręczył przyjacielowi latarkę, a sam postawił ogarki na odłamku granitu i zapalił je. Jack przyglądał się i milczał. Johnny czuł jego obecność. – Spałem tutaj kilka razy. Całkiem nieźle. W środku jest pełno pajaków, ale komary na zewnątrz są gorsze.

– To ja już wolę komary.

– Ja też.

Jack skierował światło latarki na niebieski plecak.

– Co to jest? – spytał.

– Rozpalmy ognisko. – Johnny wyprostował się i zaczął rozglądać się za drewnem na opał.

Po chwili Jack przyłączył się do niego. Nazbierali chrustu i uschłych gałęzi. Ognisko dopiero się rozpalało, kiedy Jack zauważył nadpalony kawałek Biblii, długi na pięć centymetrów pasek czarnej wytłaczanej skóry z grzbietu okładki. Wciąż jeszcze widać było na nim resztki złotych liter. Trzymał go w palcach przez długą minutę i Johnny zorientował się, że jego przyjaciel wie, co to jest. Patrzył, jak drobne palce Jacka przesuwały się po literach, a potem podszedł, wyrwał mu z ręki osmalony skrawek i cisnął w ogień. Kołysząc się na piętach, obserwował przyjaciela badawczym wzrokiem. Jack nie zaliczał się do tak zwanych grzecznych chłopców, jednak Johnny wiedział, że wierzy w diabła.

– Nie będę smażył się w piekle, jeżeli to masz na myśli.

Karłowata ręka poruszyła się, wskazując na ogień. Chłopiec przechylił głowę i w jego oczach pojawiły się czerwone błyski.

– Co ty wyprawiasz, Johnny? Przyglądałem się spokojnie i nic nie mówiłem na to wszystko. – Jack znów przesunął dłonią wzdłuż twarzy, poruszając przy tym palcami. – Na te rzeczy, o których pisali w gazecie. Na to, co trzymałeś przede mną w tajemnicy. Węże, zaklęcia i całe to zaszrane voodoo. Ale to nie jest w porządku. Cokolwiek to jest, nie możesz palić Biblii. Nawet ja to wiem.

– To tylko książka.

– Wyjmij to z powrotem.

– To tylko książka, która nie ma żadnej mocy. Dla mnie to bez różnicy – odparł Johnny, podnosząc głos. Jack otworzył usta, ale nie zdążył dojść do słowa. – Pastor mówił, że jest odwrotnie, ale on też ma równo nasrane.

– Chyba jest mi niedobrze.

– To idź tam, jeśli będziesz to robić. – Johnny wskazał palcem w ciemność. – Chciałbym tu zjeść kolację i nie mam zamiaru wachać twojego pawia.

Jack zamknął oczy, a gdy je otworzył, wyglądał trochę lepiej, a jego twarz nie była już tak zielona. Kiedy znów się odezwał, Johnny wiedział już, że odpuścił.

– Co tam masz? – zapytał Jack, pokazując niebieski plecak.

Johnny zmrużył oczy, kiedy smużka dymu zawirowała przed jego twarzą.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Przecież zapytałem, nie?

Johnny odpiął paski i wysypał zawartość plecaka na ziemię. Oddzielił od siebie cztery oplecione nitkami pęczki jakichś roślin. Ułożył je w rzędzie i spojrzał przyjacielowi w oczy.

– Cedr. Sosna – mówił, pokazując po kolei palcem. – Świerk. Wawrzyn.

– No i co?

– Są uważane za święte. Mądrość. Siła. Odwaga. Upór. – Znów ich po kolei dotykał. – Należy je spalić.

– Czy to jakaś indiańska sztuczka?

– Indiańska. I nie tylko. – Johnny zebrał z ziemi pęczki i rzucił je w mrok po drugiej stronie ogniska, gdzie z trzaskiem wylądowały na ziemi. – Jesteś głodny? – zapytał. – Bo ja jestem.

Zjedli kanapki z masłem orzechowym i popili napojem winogronowym

z puszek. Jack wpatrywał się w przyjaciela, ale odwrócił wzrok, gdy ten to zauważył. Johnny go zignorował. Nie miał ochoty rozmawiać o rzeczach, które zrobił, i z całą pewnością nie zamierzał pozwolić, aby Jack go osądzał. Wytarł w spodnie zabrudzone masłem orzechowym palce i wyjął z plecaka rewolwer. Był ciężki, a gładki metal połyskiwał w półmroku. Otworzył bębenek i zobaczył, że jest naładowany.

– On nie ma bezpiecznika – odezwał się Jack. – Ostrożnie, kiedy mierzysz.

Johnny zatrząsnął bębenek.

– Znasz się na broni?

– Stary jest gliniarzem.

– Umiesz strzelać?

– Chyba nawet dosyć celnie.

Johnny wsunął z powrotem broń do kabury. Chłopcy zamilkli i dookoła rozbrzmiały odgłosy nocy. Ćmy tańczyły wokół płomieni świec, a na ziemi migotały ich cienie. Jack wrzucił do ognia pustą puszkę, aby sprawdzić, czy będzie się paliła. Jej powierzchnia pokryła się pęcherzami farby.

– Johnny.

– Tak?

– Czy myślisz, że tchórzostwo to grzech? – zapytał Jack, nie odrywając wzroku od ognia.

– Boisz się?

– Czy myślisz, że to grzech? – Jack powtórzył pytanie natarczywym tonem i jego drobna szczeka zacisnęła się mocno.

Johnny wrzucił do ognia swoją puszkę. Mijały sekundy, a on nie mrugnął ani razu, aż poczuł, że jego oczy są suche.

– Tamten człowiek nad rzeką, David Wilson, on wiedział, gdzie jest moja siostra. Wiedział to, a ja uciekłem, zanim zdążył mi powiedzieć. – Johnny spojrzał na przyjaciela. – Tak, uważam tchórzostwo za grzech.

– Czy jest Bóg, czy Go nie ma.

– No właśnie.

Jack wlepił wzrok w ciemność i objął kolana ramionami.

– Co my tu właściwie robimy, Johnny?

– Jeżeli ci powiem, już nie będziesz mógł się wycofać – odparł Johnny, grzebiąc patykiem w ogniu. – Ani kroku w tył. Musisz więc teraz się

zdecydować, czy w to wchodzisz czy nie.

– Trudno zdecydować, skoro nie wiem, o czym mowa.

Johnny wyprostował się, unosząc ramiona.

– W każdej chwili mogę odwieźć cię do domu, o ile nie będziesz wiedział, co chcę zrobić.

– Na Boga, Johnny, nikomu nie powiem.

– Wchodzisz w to czy nie?

Po drugiej stronie ogniska, schowany za zasłoną dymu i rozpalonego powietrza, Jack otarł nos rękawem. W jego oczach migotały pomarańczowe płomienie, ale kiedy odwrócił głowę, kolorowe błyski zgasły i na powrót stał się zwyczajnym umorusanym chłopcem o pokrytej wyblakłą opalenizną twarzy i włosach sterczących we wszystkie strony.

– Prócz ciebie nic dobrego mnie nie spotkało, Johnny. Myślę, że nie będzie żadnego kroku w tył. – Jack obrócił się z powrotem w stronę przyjaciela, a jego brązowe oczy były tak prostoduszne, że skojarzyły się Johnny’emu ze ślepiami psa. – Możesz mi powiedzieć.

– Chodź tu.

Johnny zanurzył rękę w plecaku i wydobyl książkę o hrabstwie Raven, ale trzymał ją zamkniętą. Jack okrążył ognisko i usiadł obok niego na ziemi, a Johnny zaczął wyjaśniać mu wszystko od początku. Mówił o tym, co mu powiedział David Wilson, o tym, jak Levi Freemantle złapał go nad rzeką, i o krwi, którą widział w domu Lewiego.

Jack pokiwał głową.

– Zgadza się. O tym też było w gazetach. W tym samym dniu co o tobie. Że znaleziono ciała w jego domu. Dwoje ludzi z rozbitymi głowami. Ale jego nazwiska nie podali.

– Domyśliłem się, że ktoś zginął, gdy zobaczyłem całą tę krew.

Jack skrzywił się.

– Dużo jej tam było?

– Była wszędzie. I wyglądała jak farba, serio.

Chłopcy zamilkli na chwilę.

Jak farba.

W końcu Jack potrząsnął głową.

– Nie rozumiem, co to ma wspólnego z nami.

Johnny włączył latarkę i otworzył książkę na stronie poświęconej

Isaacowi Freemantle'owi. Położył palec na mapie.

– Tu jest miasto. – Przesunął palec na północ i zatoczył nim krąg. – Tu są głównie bagna. A w tym miejscu zaczynają się granitowe skały i szerokie pasmo lasów, w których są te stare kopalnie. Pamiętasz?

– Taaa, wycieczka w czwartej klasie. Kazali nam wszystkim trzymać się za ręce, żeby nikt nie zboczył ze szlaku i nie wpadł do szybu.

Johnny zauważył, że wspomnienie to przyprawiło jego przyjaciela o zakłopotanie. Nikt nie chciał trzymać Jacka za karłowatą rękę. Zaczęła się przepychanka, a kilka dziewczynek stwierdziło, że to ohydne.

Johnny skierował palec na południe, w stronę traktu, który biegł wzdłuż rzeki.

– Tutaj na niego wpadłem, dokładnie w tym miejscu. A tu jest most.

– Widzę.

Palec Johnny'ego wędrował dalej po ścieżce nad rzeką i zatrzymał się na skraju bagna. Obok widniały na mapie dwa słowa: „Sekretny Ogród”.

– To jest miejsce, do którego szedł. I tam go znajdziemy.

– Mówisz, jakbyś czytał mi w myślach.

Johnny zamknął książkę.

– To jest miejsce związane z odległą przeszłością – oznajmił. – Z czasami niewolników.

– Co?

– Z czasami niewolników. Skup się. Widzisz, niewolnicy przynosili ze sobą swoje własne religie. Afrykańskie wierzenia, kultury plemienne. Bóstwa zwierzęce i duchy, fetysze i amulety. Magiczne obrzędy. Nazywali je hoodoo. Ale dla białych było to korzystne, i tak naprawdę im odpowiadało, ponieważ nikt nie chciał, aby jego niewolnicy dowiedzieli się o Jezusie, Bogu i tych rzeczach. Nikt nie chciał niewolników, którzy myślą, że wszyscy są równi przed Bogiem. Rozumiesz? Jeżeli ludzie są równi, to nie możesz być niczyją własnością. To były niebezpieczne poglądy.

– To znaczy, że nikt nie chciał, aby niewolnicy je poznali.

– Ale stało się inaczej. Niewolnicy afrykańscy i indiańscy nauczyli się czytać i dotarli do Biblii, musieli się jednak z tym kryć, ponieważ sami rozumieli, jakie wiążą się z tym zagrożenia. Byli mądrzejsi, niż wydawało się ich właścicielom. Wiedzieli, że mogą zostać ukarani za swoją wiarę.

Sprzedani, a nawet zabici. Dlatego modlili się w lasach i na bagnach. W tajnych, ukrytych miejscach. Pojmujesz?

– Nie.

– To było dla nich jak kościoł. Nazywali te miejsca sekretnymi ogrodami i przychodzili tam modlić się w tajemnicy przed białymi, którzy nie chcieli przekazać im swojej religii.

– Sekretne ogrody? Jak to miejsce na mapie.

Johnny pokiwał głową.

– Byli zbyt sprytni, aby budować kościoły, wiedzieli bowiem, że ktoś może na nie natrafić. Ale las to tylko las, a bagno to błoto, woda, węże i smród. Dlatego właśnie tam się udawali. Śpiewali Bogu pieśni, tańczyli na gołej ziemi, wyznawali swoją nową wiarę.

– To wszystko jest w tej książce?

Johnny odwrócił wzrok i zawahał się.

– Tylko część. Nie wszystko.

– Część czego?

– Żył pewien niewolnik imieniem Isaac, który był kimś w rodzaju kaznodziei. Nauczał tych, którzy nie potrafili czytać. Głosił Słowo Boże, chociaż wiedział, jakie to niebezpieczne. – Johnny zabił komara, zdjął go z szyi i w palcach rozgniół na krwawą miazgę. – W końcu biali ich nakryli i trzech niewolnicy zostali straceni na miejscu. Powieszono ich na drzewach, które były ich kościołem. Isaaca też chcieli powiesić, ale interweniował jego właściciel. Stanął naprzeciw tłumowi z rewolwerem w jednej ręce i z Biblią w drugiej. Podobno wezwał Boga, by zstąpił z niebios, i zagroził, że zastrzeli pierwszego, kto się zbliży. Nikt nie miał odwagi, by to sprawdzić. Ocalił temu niewolnikowi życie.

Jack słuchał zafascynowany.

– Co stało się potem?

– Zabrał Isaaca do domu i ukrywał go przez trzy tygodnie. Czekał, aż ludzie się uspokoją, aż odezwą się w nich jakieś wyrzuty, tak myślę. Potem dał mu wolność i ofiarował tę ziemię, na której jego ludzie się modlili.

– I zostali zlinczowani.

– To też.

– I tam chcesz znaleźć tego faceta?

– Isaac Freemantle spędził tam resztę życia. Może jego potomkowie też tam mieszkają. Trakt prowadzi dokładnie w to miejsce. Prawdopodobnie tą drogą dostawali się do miasta i z powrotem.

Jack zmarszczył brwi.

– Skąd ty to wszystko wiesz? Powiedziałeś, że tego nie ma w tej książce.

– Mój prapradziadek nazywał się John Pendleton Merrimon. Noszę jego imię.

– No i co z tego?

– To on trzymał wtedy broń i Biblię – powiedział Johnny i wrzucił patyk do ognia. – To on wyzwolił Isaaca.

– Opowiadasz.

– Naprawdę.

– I chcesz teraz iść na bagna i szukać tam tego mordercy, praprawnuka tego niewolnika, aby zapytać go o Alysę? – zapytał Jack, a Johnny pokiwał głową z całkowitym przekonaniem. – Myślisz, że jest ci to winien?

– Nie sądzę, aby wiedział, kim jestem.

– A jesteś idiotą. Z wariatkova się urwałeś.

– Z wariatkova – powtórzył Johnny z goryczą w głosie. – Zabawne.

– Ja nie żartuję. To głupota, Johnny. To szaleństwo.

– Ani kroku w tył. Sam to powiedziałeś.

– Rany boskie, Johnny. – Jack podniósł się z ziemi. – Ten facet zabił właśnie dwoje ludzi. Nas też zabije, bez dwóch zdań.

Johnny również wstał.

– Dlatego wziąłem to – rzekł, wyciągając rewolwer z kabury. Ogniste błyski zamigotały na oksydzie.

– Kompletnie ci odbiło.

– A ty idziesz ze mną.

Jack rozejrzał się, jakby szukał pomocy, ale wokół było pusto. Blask ognia wdzierał się w mrok, a niebo napierało z góry. Rozłożył ręce, a jego oczy przybrały błagalny wyraz.

– Minał już rok, Johnny.

– Nawet tak nie mów!

Jack ciężko przełknął ślinę i rzucił desperackie spojrzenie w stronę zarośli za ogniskiem.

– Człowieku, ona nie żyje – powiedział.

Johnny zamachnął się z całej siły. Cios trafił Jacka w twarz i chłopiec upadł na ziemię. Johnny stanął nad nim. Każdy oddech był zimny i ostry niczym szkło, rewolwer ciążył mu w dłoni. Przez tę krótką chwilę jego odwieczny przyjaciel przestał być przyjacielem i przeistoczył się we wroga. Zachodził w głowę, czemu kiedykolwiek wydawało mu się, że Jack może być kimś więcej. Wtedy ujrzał zgrozę na twarzy przyjaciela.

Uszła z niego wściekłość i zaczął dostrzegać niebo, które nagle stało się mroczne i potężne. Zobaczył siebie oczyma Jacka i zdał sobie sprawę, że to on sam jest szalony. Ale to niczego nie zmieniło.

– Muszę iść – powiedział i rozprostował zaciśnięte w pięść dłonie. Jack odsunął się, wciąż leżąc na ziemi. – Proszę, nie każ mi iść samemu.

Rozdział 33

Hunt wrócił wraz z Katherine Merrimon do małego domu na obrzeżach miasta. Próbował nawiązać z nią rozmowę, ale ona nie reagowała. Zatrzymał się na podjeździe, zerknął przez szybę i zmarszczył brwi.

– Gdzie był zaparkowany ten tajemniczy samochód? – zapytał. – Gdzie go pani widziała tamtej nocy?

Katherine wskazała palcem i Hunt spojrzał w kierunku ulicy.

– Stał właśnie tam. Silnik pracował. Nigdy wcześniej go nie widziałam.

– Jakiego rodzaju był to samochód?

– Myślałam, że to radiowóz policyjny.

– Czemu policyjny? Skąd taki wniosek?

– Tak jakoś wyglądał. To był duży sedan. Ten kształt. Wyglądał jak policyjny.

– Miał koguta na dachu?

– Nie, tylko miał taki kształt. Jak ten. – Wskazała dłonią samochód, w którym siedzieli.

– Ford crown victoria?

– Podobny do tego. Amerykański. Duży. Nie wiem. Było ciemno, a ja nie przywiązuję wagi do samochodów. Nie znam się na nich.

– A kiedy odjechał?

– Kiedy zaczęłam iść w jego kierunku.

– W którą stronę pojechał? – dopytywał Hunt. Katherine pokazała ręką, a on znów zmarszczył brwi. – Myślę, że nie powinna pani tutaj zostawać. Nie po tym wszystkim, co zaszło.

– To gdzie miałabym się podziać? – zapytała i zawiesiła głos, czekając na odpowiedź. – U pana?

– Ja nie jestem taki.

– Wszyscy mężczyźni tacy są – odparła, nie kryjąc goryczy.

Pochwyciła jego spojrzenie i Hunta urzekło to, z jaką mocą patrzy. Miała takie sterane oczy. *Przeklęty Ken Holloway*, pomyślał Hunt. *Żeby*

go szlag trafił za to, do czego ją doprowadził.

– Myślałem o hotelu. Jakimś anonimowym miejscu.

Katherine musiała dosłyszeć ton urazy w jego głosie.

– Przepraszam – powiedziała. – Jestem niesprawiedliwa. Zawsze był pan w porządku.

– Zatem zrobi to pani?

– Johnny może wrócić do domu. Powinnam tu na niego czekać.

– Ale Katherine...

– Nie.

– Chciałbym więc, aby chociaż przy drodze stał radiowóz.

– Na to też się nie zgadzam.

– Tutaj nie jest bezpiecznie – stwierdził Hunt. – Dzieją się rzeczy, których nie potrafię wytłumaczyć.

– Widok radiowozu mógłby wystraszyć Johnny'ego. Jeżeli uciekł, to chcę, aby wiedział, że może wrócić do domu. A na pewno nie będzie o tym przekonany, kiedy zobaczy, że przed domem czyha policja. – Katherine otworzyła drzwi. – Dziękuję panu za podwiezienie, detektywie. Dalej sama trafię.

Hunt wysiadł z samochodu i oparł dłonie na dachu.

– Chciałbym obejrzeć dom.

– Nie. Chcę zostać sama.

Hunt odwrócił oczy w stronę ulicy, gdyż nie mógł znieść jej cierpienia. Dawniej dostrzegał jej odwagę, lecz i ona się wyczerpała. To było jak patrzenie na upadającą sekwoję, na wysychającą rzekę. Spojrzał na pogrążony w mroku dom, a potem na nią.

– Proszę.

– Skoro pan nalega.

Trzy sekundy później Hunt zauważył wybite okno.

– Z powrotem do samochodu – krzyknął i wyciągnął broń. – Proszę wrócić do samochodu i zablokować drzwi.

Katherine rzuciła się w stronę ganku.

– Zmieniłam zamki. Widzi pan? To Johnny.

Hunt chwycił ją, gdy wbiegała na schody, i odciągnął do tyłu.

– Proszę zaczekać – powiedział i zawołał w stronę domu: – Johnny! – Nacisnął klamkę i drzwi ustąpiły od razu. – Johnny! Tutaj detektyw

Hunt. Jest ze mną twoja mama. – Odpowiedziała mu cisza. Hunt uniósł rękę. – Proszę tu zostać.

Wszedł do środka i nacisnął przełącznik światła. Na dywanie zamigotały odłamki szkła. Sprawdził pozostałe pokoje, wszędzie zapalił lampy. Kiedy wrócił do holu, Katherine była już w salonie.

– Pusto. Nie ma nikogo – oznajmił, chowając broń do kabury. Kobieta siedziała na sofie i starała się zachować spokój. – Czy coś zginęło? – zapytał, lecz ona nie odpowiadała. Podeszedł do niej. – Czy coś zostało skradzione?

Uniosła głowę i zobaczył puste spojrzenie jej załzawionych oczu.

– Pójdę sprawdzić podwórko – oświadczył Hunt. – Chciałbym, aby pani się tu rozejrzała i powiedziała mi, czy czegoś brakuje.

– To nic nie da – odparła. – Nie widziałam niczego od przeszło roku. Nie zauważę, czy coś się zmieniło.

Hunt zrozumiał, o co jej chodzi, ale nie dał tego po sobie poznać.

– Na początek proszę sprawdzić pokój Johnny’ego.

Katherine wyszła na korytarz. Zapaliła światło w pokoju syna. Słyszała, jak Hunt wychodzi na zewnątrz. Stojąc w progu, zdała sobie sprawę, jak obco wygląda dla niej ten pokój. Zastanawiała się, ile razy tam wchodziła. Trzy razy? Pięć? A ile razy była wtedy trzeźwa? Ani razu, pomyślała. Miniony rok jawił się jej jako rozmazane pasmo dni. Jadła. Spała. Ken Holloway przychodził i wychodził.

Pokój Johnny’ego był dla niej obcy.

Uzmysłowiła sobie, że jej syn był dla niej obcy.

Zajrzała do szafy, ale nie miała pojęcia, co powinno być w środku. Tak samo z szufladami i regałem. Nie przypominała sobie, aby kupowała jakieś ubrania albo je prała. Dotarło do niej, że Johnny zajmował się tym wszystkim. Gotował. Sprzątał. Zdruzgotana przycisnęła dłoń do ust.

Gdzie jest moje dziecko?

Pod łóżkiem znalazła walizkę. Była stara i sfatygowana, ale wydawała się jej znajoma. Wyciągnęła ją, położyła na łóżku, otworzyła i zamarła w bezruchu.

Zobaczyła twarz Alyssy.

Twarcz Johnny’ego i jej męża.

Wewnętrzną stronę wieka pokrywała kompozycja wyklejona

z fotografii. Jej dzieci skąpane w słonecznym blasku i pełne życia. To było jak obietnica. Poczowała pieczenie w oczach, ścisnęło ją w gardle i dotknęła jednego ze zdjęć.

Alyssa.

Obejmowała brata ramieniem. Obydwoje szczerzyli zęby w uśmiechu niczym dwa małe chochliki.

W walizce znalazła też dużą fotografię swego męża. Był na niej w niebieskim podkoszulku i miał na sobie pas z narzędziami. Stał bokiem do aparatu, silny mężczyzna o szerokim uśmiechu i włosach tak czarnych, że aż połyskiwały. Ciemne okulary zasłaniały mu oczy, ale Katherine dobrze je знаła, błękitne, przenikliwe i nieustraszone. Przez moment poczuła przytłaczający żal za to, że tak go obwiniała, za te okropieństwa, które do niego mówiła. Potem wezbrał w niej gniew. To była jego wina! Ona nigdy nie powinna była wracać do domu sama.

Gniew szybko jednak znikł.

– Gdzie jesteś, Spencerze?

Na to pytanie nie było odpowiedzi. Jej mąż odszedł.

Dotykała innych przedmiotów leżących w walizce. Rzeczy Alyssy. Jej maskotek, jej pamiątnika.

Jak to się uchowało?

Przecież wszystko spaliła w ciągu tych trzech strasznych tygodni napędzanego lekami szału. Podniosła z dna walizki pluszową owieczkę i wtuliła w nią twarz, próbując odnaleźć jakieś ślady zapachu.

– Katherine.

Głos Hunta dobiegał z daleka. Opuściła wilgotną maskotkę.

– Niech pan sobie idzie.

– Na zewnątrz też nikogo nie ma.

Detektyw szedł korytarzem. Katherine czuła pod kolanami, jak podłoga wibruje od jego kroków.

– Proszę tu nie wchodzić – powiedziała i Hunt zatrzymał się na progu. – Proszę nie wchodzić.

Poczowała, że coś pękło głęboko w jej wnętrzu. Fala wspomnień uderzyła z taką siłą, że przerwała wszystkie wały, którymi się otoczyła. Bez leków była bezbronna w obliczu tego żywiołu.

– Katherine...

– Proszę mnie zostawić w spokoju – krzyknęła, ściskając w palcach miękką maskotkę. – Błagam pana.

Hunt odszedł. Słyszała, jak zamykają się za nim frontowe drzwi. Spojrzała na owieczkę. Miała czarne połyskujące oczka i była tak nieskazitelnie biała jak obłoczek w pogodny dzień. Przycisnęła ją do twarzy i wciągnęła powietrze, ale poczuła tylko woń starej walizki, która leżała w zakurzonej kącie pod łóżkiem.

Zaczekała, aż samochód Hunta odjedzie, a potem podniosła się na odrętwiałych nogach i wyszła na ganek. Nocne powietrze wypełniał zapach bujnie rozwijającej się roślinności. Przecięła podjazd i dotarła na skraj podwórza, do kępy wysokich chwastów, w których ostatni raz widziała pomarańczowy błysk. Upłynęło kilka minut, zanim odszukała buteleczkę oxycontinu.

Przekręciła zamek w drzwiach. Trzymając fiolkę w drżących palcach, wysypała kilka tabletek na otwartą dłoń. Wybrała cztery, położyła je sobie na języku i połknęła na sucho. Potem wróciła do pokoju Johnny'ego, przycisnęła do siebie ramieniem pluszową owieczkę i położyła się na łóżku. Patrzyła na zdjęcia i przez dziesięć długich minut zmagала się z cierpieniem, a potem jakaś ciężka i miękka dłoń wcisnęła ją w materac i zabrała tam, gdzie mogła bez bólu dotykać zdjęć, które jej syn ukrywał przed nią tak długo. Mogła bez bólu wypowiadać imiona bliskich i oczyma duszy widziała, jak się poruszają.

Hunt powoli objechał całą okolicę. Sprawdzał boczne ulice i obserwował drogi dojazdowe, ale nie zauważył niczego niezwykłego. Domy były ciche i spokojne, na podjazdach stały półciężarówki, furgonetki i sfatygowane samochody osobowe. Żadnego sedana z pracującym silnikiem. Żadnej sylwetki za szybą.

Zatoczywszy okrąg, wrócił na ulicę, przy której mieszkała Katherine. Starannie wybrał miejsce, w którym się zatrzymał – na tyle daleko, aby nie rzucać się w oczy, i na tyle blisko, by zauważyć, kiedy ktoś się pojawi. Katherine nie zgadzała się, aby pod jej domem stał radiowóz. W porządku. Ale nie zamierzał zostawiać jej samej, narażać na niebezpieczeństwo. Zjechał na pobocze, opuścił szybę i wyłączył silnik. Popatrzył na zegarek. Było późno.

Tłumiąc w sobie poczucie winy, zadzwonił do syna i przypomniał mu, aby zamknął dom i włączył alarm.

– Nie wracasz na noc?

– Przykro mi, Allen. Nie dzisiaj. Zjadłeś coś na kolację?

– Nie jestem głodny.

Hunt ponownie spojrzął na zegarek. Przeklął w myślach żonę za to, że odeszła, a potem przypomniał sobie rzeczy, które usłyszał od syna. Może faktycznie to była jego wina. Właśnie znów spędzał kolejną noc poza domem, z dala od rodziny. W pracy. Zreflektował się.

Tutaj nie był tak całkiem z powodu pracy.

Spojrzął w dół drogi, gdzie żwirowy podjazd prowadzący do domu Katherine stykał się z czarnym asfaltem. Widział światła za drzewami i zaczął się zastanawiać, czy siedziałby tak i czuwał, gdyby to była inna sprawa. Gdyby chodziło o kogoś innego, nie o nią.

– Posłuchaj, Allen... – zaczął, ale w słuchawce zapadła głucha cisza. Nikt go nie słuchał.

Hunt odłożył telefon i osunął się niżej w fotelu. Wypatrywał obcych samochodów i Kena Hollowaya. Rozmyślał o niej, samotnej w tym podniszczonym domu, a kiedy parę godzin później zapadł w drzemkę, przyśniło mu się, że zabiera ją stamtąd. Jechali jego samochodem z opuszczonymi szybami i widział ją wyraźnie, dokładnie taką, jak zapamiętał. Wiatr targał jej włosy. Położyła dłoń na jego twarzy i odezwała się do niego po imieniu, a jej oczy były cudownie przejrzyste w jasnym świetle. To był piękny sen, ale Hunt obudził się zmięty i niezadowolony. Zawieszona nisko nad horyzontem słońce świeciło mu prosto w twarz i pomyślał, że jego sen był tak samo ulotny jak migotliwe promienie. Dzwonił jego telefon. Odebrał, ścierając z oczu resztki snu, i podciągnął się wyżej na siedzeniu.

– Tu Yoakum.

Słońce osłepiało go bezlitośnie, więc opuścił osłonę.

– Co się dzieje, John? – zapytał, spoglądając na zegarek. Była 7.21.

– Jestem koło domu Burtona Jarvisa. – Yoakum zamilkł na moment i Hunt usłyszał w tle głośnie dyszenie psa. – Musisz tu przyjechać.

Hunt wymacał palcami kluczyk w stacyjce.

– Opowiadaj.

- Mamy zwłoki.
 - Czy to Alyssa Merrimon?
- Yoakum chrząknął.
- Myślę, że znaleźliśmy wiele ciał.

Dom Jarvisa był cichy i mroczny. Hunt nie zauważył żadnych radiowozów ani innych detektywów. Blady i nieogolony Yoakum podjadał miętówki z blaszanego pudełka. Jego buty były oblepione błotem, a spodnie mokre od kolan w dół. Obok niego stał Mike Caulfield, jeden z nielicznych funkcjonariuszy wydziału oddelegowany do jednostki psów tropiących. Wysoki i przygarbiony, z wielkimi dłońmi o zrogowaciałej skórze i resztkami włosów tak czarnymi, że wyglądały na farbowane. Służył w policji od trzydziestu lat. Miał na sobie odporny na rozdarcia kombinezon, który też był przemoczony i upačkany błotem. U jego boku siedział ten sam pies, który towarzyszył mu podczas przeszukania posesji Freemantle'a.

Hunt wysiadł z samochodu i przywitał się z nimi. Obydwaj wyglądali na przygnębionych. Pies nie poruszył się, ani nawet nie mrugnął, tylko spoglądał na swego przewodnika.

- Jeszcze nie wezwaliście wsparcia?

Yoakum zatrzasnął wieczko puszek z miętówkami.

- Chciałem, żebyś najpierw to zobaczył – odparł.

Poszli w stronę drzew rosnących za domem.

- Powiedz mu, Mike.

Mike pokiwał głową.

– Wstałem dziś wcześnie. Zwykle w takim przypadku idę na polowanie, ale dziś rano postanowiłem ostatni raz sprawdzić to miejsce. – Wskazał przed siebie ręką. – Dotąd przeczesywałem teren kwadratami, według planu, zaczynając od szopy. Ale ten jeden raz postanowiłem to olać, ot tak, żeby rozprostować nogi. Przyjechałem tu o piątej i poszedłem prosto w stronę rzeki. To około trzech kilometrów.

Minęli szopę, która wciąż była przystrojona żółtą taśmą. Mike kroczył pewnie przed siebie, uchylając się przed gałęziami, i kontynuował relację.

– Przeszedłem trochę więcej niż półtora kilometra, kiedy Tom zaczął svirować. Sto metrów dalej dostał już istnego pierdolca. – Mike pochylił

głowę, przechodząc pod gałęzią, i zrobił zakłopotaną minę. – Oględnie rzecz ujmując.

– Przyjechałem dziś wcześniej na posterunek – wtrącił Yoakum. – Przyjąłem zgłoszenie.

Przedzierali się przez gąszcz i sforsowali wąski strumień, którego koryto przebiegało w poprzek odsłoniętej granitowej skały. Promienie słońca prześwitywały między pniami drzew o poszarzałej korze. Temperatura rosła. Yoakum pośliznął się raz i wylądował kolanem w błocie.

– Co to za zapach? – spytał Hunt.

Mdłocostodka woń wydała mu się podejrzana. Raz ledwie wyczuwalna, chwilami zamieniała się w nieznośny, ciężki fetor.

– Tam jest wysypisko śmieci. – Mike wskazał ręką. – Jakieś dwa kilometry stąd. Kiedy zawiewa z tamtej strony, to czuć.

Kawałek dalej Hunt zauważył, że pies postawił uszy. Zadarł głowę i węszył, a potem opuścił nos do ziemi i zaczął ciągnąć. Jego przewodnik pochwyił spojrzenie Hunta.

– A nie mówiłem?

Pokonali ostatni pas zarośli i stanęli na brzegu rozległej płytkiej niecki. Opadłe liście, wilgotne i przegniłe, pokrywały dno lasu grubym kobiercem, a wśród nich wznosiły się monumentalne pnie dębów. Z ziemi sterczały trzy niewielkie pomarańczowe chorągiewki przyłączone do kawałków sztywnego drutu. Gdyby nie one, nic nie zakłócałoby leśnego krajobrazu.

– Jesteś pewien, że tam są ciała? – zapytał Hunt.

Mike gestem dłoni dał znak psu. Zwierzę usiadło i znieruchomiało, patrzyło tylko czujnie, a jego nozdrza falowały.

– Trzydzieści lat służę, detektywie, i nie miałem lepszego psa niż ten. Pod tymi chorągiewkami znajdziesz ludzkie szczątki.

Hunt pokiwał głową i spojrzał na flagi, które odcinały się jaskrawo na tle wielkiego obszaru. Były szeroko rozstawione, w odległości około piętnastu metrów od siebie.

– Trzy następne, cholera.

Mike i Yoakum wymienili spojrzenia. Hunt to zauważył.

– Co jest?

– Miałem tylko trzy chorągiewki – wyjaśnił Mike.

– To znaczy?

Mike poklepał psa.

– To znaczy, że będę potrzebował ich więcej.

Hunt spojrzał na ogorzałą twarz tego zylastego policjanta, na chrząstki jego uszu i długi haczykowaty nos. Obwisłe wargi nadawały jego twarzy nienaturalnie spokojny wyraz. Hunt wiedział, że Mike czeka na kolejne pytanie.

– Chcesz powiedzieć, że tam jest więcej ciał?

Mike wysmarkał nos w wielką kraciastą chusteczkę. Kiwnął głową, a na jego szyi pojawiła się fałda zmarszczonej skóry.

– Tak myślę – powiedział.

– Jak dawno Jarvis kupił tę posesję? – Hunt zwrócił się do Yoakuma.

– Dwadzieścia cztery lata temu – odparł Yoakum z ponurą miną.

– Jezu Chryste.

– Co mam robić? – zapytał Yoakum.

Hunt podniósł wzrok i ujrzał sklepienie z poruszanych wiatrem liści, z pęknięciami wypełnionymi błękitem.

– Przekaż komunikat. Ściągnij tu wszystkich.

Yoakum odszedł na bok i otworzył klapkę telefonu. Mike jeszcze raz wydmuchał nos i schował chusteczkę z powrotem do kieszeni.

– A co ze mną? – spytał.

– Niech pies dalej szuka. Zorganizujemy więcej chorągiewek.

– Tak jest. – Mike kiwnął ręką i pies poderwał się na równe nogi. Z nosem przy ziemi i podniesionym ogonem pobiegł prosto przed siebie.

Hunt poczuł na karku podmuch wiatru. Smród wysypiska stawał się coraz silniejszy.

Rozdział 34

Za drzewami jaśniała zapowiedź świtu, kiedy Johnny trącił przyjaciela nogą. Ogień wygasł i palenisko pokrywał szary popiół, a koce były ciężkie od rosy.

– Już czas – oznajmił Johnny.

Jack zamrugał i spojrzał na przyjaciela, który był ubrany i gotów do drogi.

– Zostałem pożarty żywcem – powiedział, drapiąc się w kark.

– Ja też. – Johnny podał Jackowi rękę i pomógł mu wstać. – Zjesz coś na śniadanie?

– Co mamy?

– Parówki z puszki albo masło orzechowe. Chleb się skończył.

– A coś do picia?

– Nic.

Jack potrząsnął głową.

– Nie jestem głodny.

Johnny otrzepał koc z ziemi, a potem poszedł się wysikać za róg szopy. Ręce miał ubrudzone sadzą z ogniska. Myślał o świętych rzeczach, które tak naprawdę nie były święte, i o broni, którą miał schowaną pod kurtką. Jeszcze w nocy wyjął ją, zakręcił odchylonym bębenkiem i przechylił lufę w stronę światła. Powiódł wilgotnym palcem po metalowej ramie, a potem wymierzył w ogień i starał się utrzymać prosto ręce mimo ciężaru broni. Pomyślał o Levim Freemantle’u i powiedział sobie, że wie, co robi, a ostatecznie uznał, że tak naprawdę nie ma to znaczenia. Teraz tylko Jack miał wybór.

– Nie musisz ze mną iść.

– Jesteś moim najlepszym przyjacielem – odparł Jack, narzucając kurtkę.

– Mówię poważnie.

– Ja też.

Johnny wepchnął koc do plecaka i zaciągnął paski.

– Dzięki, stary.

– Nie rób sobie jaj.

– Nic z tych rzeczy. Po prostu dzięki. – Johnny otworzył drzwi samochodu. – Gotów?

Droga prowadząca przez nieosłonięty teren nikła między drzewami. Gdy wyłonili się z lasu, przejechali przez bramę i Johnny skręcił na północ, kierując się w stronę granicy hrabstwa. Trzymał się trasy, którą znał, ale potem odbił na wschód, przeciął dzielnicę przyczep kempingowych i dotarł do nieznanego drogi, łagodnym łukiem oddalającej się od miasta i otaczającego je bałaganu. Mijali niewielkie winnice i kamienne ogrodzenia, wyjeżdżając na otwarty teren, na którym tu i ówdzie wśród pofałdowanych pól wznosiły się rezydencje w stylu sprzed wojny secesyjnej. W pewnym momencie Johnny zatrzymał pick-upa. Porównał mapę z książki z mapą drogową hrabstwa Raven.

– Wiesz, gdzie jesteśmy? – spytał Jack.

Johnny nie odpowiedział. Przez chwilę wpatrywał się w drogę, po czym zawrócił i wjechał w uliczkę o starej, spękanej nawierzchni, która robiła się coraz węższa. Dwa razy zwalniał, żeby sprawdzać drogowskazy, aż wreszcie skręcił w lewo, na wąską drogę pokrytą asfaltem, która przez kilka kilometrów opadała w dół wzgórza, by zakończyć się ostrym łukiem w prawo. Dalej prowadził zwirowy trakt. Johnny znów przystanął. Poza kilkoma wronami siedzącymi na drucie wszystko wokół trwało w bezruchu.

– Czujesz to? – zapytał Johnny.

– Nie.

– To rzeka. Tuż za miastem zakręca na wschód, a potem wraca. Chyba jesteśmy około dwudziestu kilometrów na północ od miasta, może trochę na północny wschód. – Johnny wskazał ciągnącą się przed nimi gruntową drogę. – Myślę, że to jest to.

Jack potoczył wzrokiem dookoła po drzewach i polach.

– Znaczy, że co?

– Przekonajmy się.

Johnny ruszył i pod oponami zachrząścił zwir. Niecały kilometr dalej minęli żółtą tablicę z napisem „Koniec drogi stanowej”. Tuż za nią

zaczynał się gęsty las. Zapach rzeki przybrał na sile.

– Rzeka jest tam. – Johnny pokazał na prawo. – Jedziemy równolegle do niej.

Półtora kilometra dalej przejechali przez pierwszą bramę. Była otwarta, ale umieszczony obok znak ostrzegał: „Teren prywatny. Zakaz wstępu”.

Johnny nie przejął się tym wcale.

Druga brama była zamknięta, ale bez kłódki. Jej pociemniałe ze starości aluminiowe skrzydło miało na samym środku głębokie wgniecenie, jakby wjechał w nie samochód. Było zawieszona na drewnianym słupie i końcem dolnej krawędzi opierało się o ziemię.

– Otwórz bramę.

Jack wysiadł z pick-upa i odciągnął aluminiowe skrzydło – przygięło do ziemi trawę rosnącą na poboczu – a kiedy samochód przejechał, zamknął je z powrotem. Wjechali na tereny zalewowe, z których widać już było ciemną wstęgę rzeki. Johnny wskazał na rozległe łąny wysokiej trawy, które rosły w miejscu, gdzie rzeka wystąpiła z brzegów podczas ostatniej ulewy.

– Tam zaczynają się bagna.

Droga oddaliła się od rzeki i prowadziła teraz między bagnami, które ciągnęły się po obu jej stronach. Jej wąskie pasmo wznosiło się metr nad podmokłą ziemią i rozlewiskami ciemnej wody, która połyskiwała między drzewami. Johnny pokonał zakręt i omal nie rozjechał żółwia, który wygrzewał się na środku drogi. Miał długą na pół metra skorupę pokrytą czarną warstwą zaschniętych wodorostów. Chłopiec ominął gada, a ten otworzył haczykowany dziób, gdy samochód przejeżdżał obok niego.

Droga obniżala się po raz ostatni, a dalej biegła po grobli między rozległymi połaciami stojącej wody. Zjechali w zagłębienie terenu, by zaraz wspiąć się na usypany z ziemi wał. Po obu jego stronach rozpościerały się obszary zalane płytką wodą, w której leżały na wpół zanurzone pnie powalonych drzew, a w miejscach, gdzie dno wznosiło się wyżej, ponad powierzchnię wystawały kępki trawy. Na końcu grobli z bagien wyłaniał się skrawek suchego łądu. Było to coś w rodzaju wyspy, długiej na półtora kilometra i porośniętej drzewami. Johnny zatrzymał samochód. Pokrywający drogę żwir stawał się coraz rzadszy. Przed nimi

pasmo zrytej koleinami czarnej ziemi przecinało bagno i znikało w lesie. Potężne konary drzew sięgały do samej ziemi, po której wiły się długie macki korzeni. Johnny zjechał z grobli, zatrzymał samochód w nasłonecznionym miejscu i wyłączył silnik. Powietrze wypełniła cisza, lecz po chwili zaczęły na nowo rozbrzmiewać odgłosy bagiennego życia. Z początku ciche, przybierały na sile niczym dźwięki fletu. Stojąca przy brzegu czapla zagłębiła dziób w mule, ale niczego nie upolowała. Przeszła kilka metrów dalej i znieruchomiała z jednym okiem wpatrzonym w wodę. Chłopcy wygramolili się z pick-upa. Johnny zobaczył tablicę z odległości trzech metrów. W połowie zarośnięta wiciokrzewem oraz innymi pnączami wydawała się tak stara jak wszystko dookoła. Johnny odgarnął zakrywające ją liście. Na przybitej do drzewa desce wyryte były słowa. Głębokie czarne nacięcia wyglądały, jakby zostały wypalone.

„Sekretny Ogród. 1853”.

– To tutaj. – Johnny cofnął się o krok.

– To miejsce, w którym powieszono ludzi.

– To było dawno temu.

– To miejsce kaźni, Johnny. Nie powinniśmy tam iść.

– Nie pozwól, aby zawładnęła tobą wyobraźnia.

– Już nade mną zapanowała.

Johnny milczał przez długą chwilę. W powietrzu unosiła się słodkawa woń wiciokrzewów.

– To zwyczajne miejsce – skłamał, wodząc dwoma palcami po brzegach wyciętych liter. Czapla upolowała żabę i wyciągnęła ją z mułu. – Zwyczajne miejsce.

Jack podniósł kamień i puścił kaczkę po powierzchni czarnej, połyskującej jak smoła wody. Czapla zatrzepotała skrzydłami i odleciała z nabitą na dziób żabą, która miotała się konwulsyjnie.

– Naprawdę sądzisz, że ktoś tu mieszka?

Johnny popatrzył w górę i przekrzywił głowę.

– Nie ma sieci elektrycznej ani telefonicznej. Chyba nie.

– To najlepsza informacja, jaką dzisiaj usłyszałem.

Johnny wyteżył wzrok, patrząc w głąb lasu. Gdy wszedł między drzewa, od razu poczuł, że temperatura spada. Nad nim wznosiło się sklepienie z gałęzi, ciche i nieruchome jak w katedrze.

– A co z samochodem? – zapytał Jack.

Johnny obejrzał się. Jego przyjaciel opierał dłoń na rozgrzanej masce pick-upa, jakby trzymał się kurczowo oświetlonego słońcem miejsca.

– Jest zbyt głośny. Zostawiamy go.

– Naprawdę?

– Taaa.

Jack zrobił kilka kroków i znalazł się w cieniu.

– A teraz cicho – rozkazał Johnny i wchłonął ich las.

Pod dom Jarvisa zjeżdżali się policjanci z komendy miejskiej i z biura szeryfa. Ktoś wspomniał o policji stanowej, ale Hunt odrzucił tę propozycję. W ciągu siedemnastu lat zdążył się przekonać, że zbyt wiele rąk do pracy prowadzi tylko do konfliktów i zamieszania. Uznał, że sprawa powinna zachować lokalny charakter i należy unikać rozgłosu. Jednak jak dotąd w ziemi tkwiło już siedem chorągiewek, zbyt dużo jak dla lokalnego patologa. Do Hunta podszedł doktor Moore. Miał posępne spojrzenie, a cały jego entuzjazm przepadł bez śladu. Jego lateksowe rękawiczki były pobrudzone ciemną mazią. Przez ostatnie dwie godziny przedzierał się przez warstwy ziemi w jednym z oflagowanych miejsc. Znalazł kości, zęby i kilka strzępków zbutwiałej tkaniny. Hunt nie pozwalał nikomu poza Yoakumem podchodzić bliżej. Wszyscy kręcili się na uboczu i rozmawiali ściszymi głosami.

– I co, doktorze? – Detektyw spojrzał pytająco na Moore'a.

Patolog potrząsnął głową i otarł twarz uwalaną błotem chusteczką.

– To dziecko – odparł. – Płci żeńskiej. Wiek oceniam na dziewięć do dwunastu lat.

Hunt pochwycił spojrzenie Yoakuma.

– Jak dawno?

– Jak dawno temu umarła? Parę lat. Nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością, jeszcze nie teraz.

– A przyczyna śmierci?

Medyk sądowy zgarbił się, a jego ramiona opadły. Wykrzywił w dół kąciki ust.

– W czaszce jest dziura. – Wskazał palcem miejsce za swoim prawym uchem. – Na chwilę obecną mogę powiedzieć tylko tyle.

– Strzał z broni palnej? – dopytywał się Hunt. – Uderzenie tępym narzędziem?

– Teraz niczego nie mogę potwierdzić ani wykluczyć. Za wcześnie.

– A w pozostałych miejscach?

Moore spojrział ze smutkiem na chorągiewki.

– Będę potrzebował pomocy. Dzwoniłem już do kierownika katedry patologii w Chapel Hill. Przyśle mi kilku ludzi.

– Co jeszcze możemy dla ciebie zrobić?

Moore skinął głową, wskazując funkcjonariuszy, którzy stali stłoczeni nieopodal.

– Pozbądź się ich.

– Wchodzą ci w drogę?

– To w niczym nie pomaga.

Hunt pokiwał głową. Moore miał rację.

– Załatwione – powiedział.

– Dzięki. – Medyk sądowy uniósł rękę i poczłapał z powrotem w kierunku płytkiego grobu.

– Chcesz, żebym się tym zajął? – spytał Yoakum, zerkając na naczelnika.

Hunt wykrzywił twarz w uśmiechu.

– Myślisz, że nie dam sobie z nim rady?

– Myślę, że on szuka pretekstu, żeby cię wysiudać i przekazać śledztwo stanowym. To by wszystko uprościło, uwolniłoby jego i cały wydział od presji. – Yoakum wykonał gest w stronę oznaczonego chorągiewkami terenu. – Trudno go o to winić. To gruba sprawa, chyba zbyt gruba, by pozostała na szczeblu lokalnym. Jesteś jego głównym śledczym. Pozbywając się ciebie, umywa ręce i wpuszcza tutaj stanowym wydział kryminalny. To polityka, Clyde. Parszywe układy. Lepiej, żebym to ja z nim porozmawiał.

– Nie. – Hunt wskazał na patologa. – Zostań tutaj. Zadbaj, żeby Moore dostał wszystko, czego mu trzeba.

– No to już po tobie.

Hunt pozostawił Yoakuma ze szczątkami nieznannej ofiary i ruszył w kierunku swojego szefa. Naczelnik miał sponiewierane ubranie i zaczerwienioną twarz. Na odludziu, w głębi lasu i z dala od biurka

jeszcze bardziej wyglądał jak polityk, a nie policjant. Kiedy Hunt podszedł bliżej, umundurowani funkcjonariusze rozstąpili się na boki, tworząc korytarz. Naczelnik odezwał się, zanim Hunt zdążył otworzyć usta.

– Co mówi patolog?

Hunt przeniósł wzrok z naczelnika na szeryfa. Obaj wyglądali na znużonych i Hunt domyślił się, że jego własna twarz ma podobny wyraz. Wspomnienie ostatniego spotkania wciąż zatruwało atmosferę.

– Mówi, że chce, aby wszyscy ci ludzie stąd zniknęli.

– Ja pytałem o zwłoki. Co powiedział na ich temat?

– Dziewczynka. Dziewięć do dwunastu lat. Czas i okoliczności zgonu jeszcze nieustalone.

– Czy to Alyssa Merrimon?

Hunt spojrzał na szeryfa i pokręcił głową.

– To ciało spoczywało w ziemi kilka lat.

Szef omiótł wzrokiem teren. Obwisła skóra pod jego oczami odsłaniała zaróżowione obwódki powiek.

– Jest jeszcze sześć innych – stwierdził. – Może nam się poszczęści.

– Nie nazwałbym tego szczęściem – odparł Hunt.

Szeryf wykrzywił usta.

– Wciąż myślisz, że znajdziemy ją żywą?

Hunt spojrzał ponuro.

– Być może.

– Ale z ciebie skaucik, Hunt – skwitował szeryf. – Jak mi Bóg miły.

– Mam dosyć tych...

– Wystarczy – przerwał naczelnik. – Przestańcie obydwaj.

Hunt starał się uwolnić od napięcia, które ogarnęło wszystkie jego mięśnie.

– Pozwolisz mi zabrać stąd wszystkich tych ludzi? – Hunt zwrócił się do szefa.

Naczelnik pokiwał głową.

– Zatrzymaj tych, których potrzebujesz, a resztę odeślij do domu.

– Nie potrzebuję nikogo z biura szeryfa.

Hunt czekał na reakcję szeryfa. Tutaj, w głębi lasu, stali już prawie na granicy miasta, i chociaż dom Jarvisa znajdował się w jego obrębie, szeryf mógł się upierać, że jest to teren objęty jego jurysdykcją.

– Perkins. – Szeryf pstryknął palcami i u jego boku wyrósł jeden z zastępców. – Zbierz naszych ludzi. Wynosimy się stąd. – Uśmiechnął się do Hunta, przesunął kapelusz na tył głowy i powiedział ściszym głosem: – Kiedy to spieprzysz i wylądujesz na zielonej trawce, ja dalej będę rządził w tym mieście.

– Nie mów hop.

– Miłego dnia, detektywie. – Na twarzy szeryfa pojawił się kolejny lodowaty uśmiech.

Hunt odprowadził go wzrokiem. Gdy spojrzał na naczelnika, nie dostrzegł na jego twarzy ani śladu niechęci, której się spodziewał. Szef sprawiał wrażenie przygaszonego i zakłopotanego. Zdjął kapelusz i otarł czoło rękawem koszuli.

– Jeżeli to dzieci... – odezwał się łagodnym tonem, wskazując głową na chorągiewki. – Boże dopomóż.

– Chyba już pomógł. Jarvis nie żyje.

– Myślisz, że to wszystko jego sprawka? – Naczelnik ponownie skinął w stronę flag.

Hunt przyglądał się, jak Trenton Moore zaczyna rozkopywać kolejny grób.

– Możliwe – odpowiedział. – A może miał pomocnika.

– Wciąż myślisz, że jest w to zamieszany jakiś gliniarz?

– Słyszałeś o tym martwym kocie? O groźbie, która miała zmusić Johnny'ego Merrimona do milczenia?

– Słyszałem.

– Jego matka mówi, że zanim to się stało, widziała samochód zaparkowany w pobliżu domu, gdy wróciła późnym wieczorem ze szpitala. Miał włączony silnik. On tam czekał.

– Trudno to uznać za wykroczenie.

– W tej okolicy nic nie ma. Kilka domów i kawałek pustej drogi. Nie ma powodu, żeby ktoś tak wysiadywał. Kiedy matka chłopca podeszła bliżej, samochód odjechał. To było zaraz po tym, jak zrobił się szum wokół sprawy Burtona Jarvisa. Johnny był w każdej gazecie, na każdym kanale. I to jego zdjęcie, sam zresztą wiesz. Nie było trudno go znaleźć.

Naczelnik rozłożył dłonie. Jego postawa wyrażała zniecierpliwienie.

– No i co?

– Kobieta twierdzi, że ten samochód wyglądał jak policyjny. – Hunt zauważył, że na twarz szefa wystąpiły rumieńce, ale zignorował to. – Facet, którego Johnny widział tutaj z Jarvisem...

– Jeżeli w ogóle widział kogokolwiek.

– Facet, którego Johnny tutaj widział, miał na tyle przytomności umysłu, żeby przyczepić do swojego samochodu kradzione tablice – powtórzył Hunt podniesionym głosem. – Gdyby policjant miał coś do ukrycia, właśnie tak by postąpił.

– Każdy tak by postąpił.

– Chcę mieć dostęp do akt osobowych.

– Nie mogę na to pozwolić.

– Chcę, żebyś jeszcze raz to rozważył.

Naczelnik zawahał się.

– Zastanowię się.

– Kiedy dostanę odpowiedź?

– Daj mi dzień, dobrze? Daj mi jeden dzień i odrobinę spokoju.

– Jeszcze jedno. Jeżeli pod tymi chorągiewkami faktycznie są ciała i jeżeli to ciała dzieci...

– To co?

– To niemożliwe, żeby wszystkie ofiary pochodziły z hrabstwa Raven. – Hunt pokręcił głową. – Gdyby zaginęły na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat, wiedzielibyśmy o tym.

– Racja.

– Potrzebuję kilku ludzi, którzy skontaktują się z policją sąsiednich hrabstw i pobliskich metropolii – mówił Hunt, a naczelnik potakująco kiwał głową. – Musimy sprawdzić inne przypadki zaginięć.

Obydwaj zamilkli i pograżyli się we własnych myślach. Hunt wyobrażał sobie zrozpaczonych rodziców i dziecinne pokoiki, w których jak na ekspozycji muzealnej roi się od starannie odkurzanych pluszowych maskotek, strojów karnawałowych i oprawionych w ramki fotografii. Chciał im zwrócić szczątki ich dzieci i oświadczyć, że potwór odpowiedzialny za ich śmierć nie zszedł z tego świata na skutek starości czy choroby, nie został zabity przez policję, ale zginął z ręki jednej ze swych ofiar, małej dziewczynki, która miała dość siły, by pociągnąć za spust. Hunt widział w tym poetycki patos. Być może oni również go

zauważą.

Myśli naczelnika były bardziej przyziemne.

– Media rzucą się na to. Spodziewam się, że opanujesz sytuację, Hunt. Żadnych wycieków. Żadnych anonimowych źródeł. Każ swoim ludziom trzymać gęby na kłódkę. Zachowaj ten szajs w tajemnicy.

– Zatrzymam tu tylko Yoakuma i dwóch mundurowych. Na drodze ustawię kilka radiowozów, żeby zniechęcić dziennikarzy i innych ciekawskich.

Naczelnik zmarszczył brwi i otarł pot z czoła.

– Zaraz zrobi się tu cyrk.

– Jeszcze jeden powód, żeby wszystkich odprawić do domu.

Hunt usłyszał zbliżające się kroki i odwrócił głowę. Zobaczył Crossa, który w pośpiechu schodził w dół łagodnego zbocza. Policjant zerknął na otoczony taśmą teren i ruszył prosto w kierunku Hunta i naczelnika. Miał zaczerwienioną twarz, a kołnierzyk jego koszuli był ciemny od potu. Wyglądał na mocno podekscytowanego.

– Co ty tu robisz? – zapytał Hunt.

– Szukam cię.

– No to mnie znalazłeś. I co?

– Zlokalizowaliśmy samochód Davida Wilsona.

– Gdzie?

– Na północ od miasta. Porzucony w wąwozie.

– Muszę go zobaczyć.

Hunt pożegnał się z szefem. Idąc, obejrzał się dwa razy w jego stronę. Naczelnik stał samotnie ze spuszczoną głową i przesuwając palcami po rondzie trzymanego w ręku kapelusza. Jego oświetlona żółtymi promieniami nieruchoma sylwetka stawała się coraz mniejsza, aż w końcu znikła za niezliczonymi rzędami drzew. Hunt i Cross wyszli z lasu i minęli szopę, a potem dom.

– Jak go znaleźliście? – spytał Hunt.

– Ktoś zadzwonił i to zgłosił.

– Kto?

– Nie chciał się przedstawić. Powiedział, że znalazł go dziś nad ranem, godzinę przed wschodem słońca, tak jakoś. Mówił, jakby był pijany. Kiedy go o to zapytałem, przyznał, że polował na jelenie z reflektorem. Wyjaśnił,

że stoją otumanione w takim mocnym świetle.

– Czy na miejscu jest już ktoś od nas?

– Przyjechałem prosto po ciebie. Wiedziałem, że chciałbyś być tam pierwszy.

– To na pewno jego wóz? – upewniał się Hunt.

– Facet spisał numer. Jest zarejestrowany na uczelnię. To musi być ten.

– Udało się namierzyć telefon, z którego dzwonił?

– Automat na monety w sklepie.

– To pech. Nie wiesz, czy dotykał tego samochodu? Polować na jelenie po pijaku o piątej nad ranem... Wątpię, żeby się powstrzymał od plądrowania.

– Nie wiadomo. Wskazał miejsce, a potem się rozłączył.

Wyszli spośród drzew i stanęli w jaskrawym świetle porannego słońca. Hunt zatrzymał się na poboczu drogi.

– Mogłeś do mnie zadzwonić – powiedział.

– Liczyłem, że zabierzesz mnie ze sobą.

Hunt przyjrzał się badawczo młodszemu koledze. Jego twarz wyrażała szczerzy zapał i determinację.

– Starasz się o awans, prawda?

– Dobre słowo z twojej strony mogłoby bardzo pomóc.

– Nie spałem dziś zbyt wiele – powiedział Hunt po chwili zastanowienia. – Ty prowadzisz.

Rozdział 35

Chłopcy szli powoli. Ścieżka pod ich stopami była miękka, drzewa ożywiały śpiew ptaków i pełgające cienie. Pnącza winorośli zwieszały się do samej ziemi, szare i gładkie, grube jak nadgarstek rosłego mężczyzny. Nieopodal słyhać było dzięcioła, który zabierał się do porannego posiłku.

– To miejsce mnie przeraża – stwierdził Jack.

– Miej tylko oczy szeroko otwarte.

W lesie zrobiło się ciemniej i odgłosy ucichły.

– Ciarki mnie przechodzą.

– Zamknij się, Jack, na Boga.

Szli od dwudziestu minut. Żadna z kolein na drodze nie wyglądała na świeżą, ale to nic nie znaczyło. Freemantle wędrował na piechotę, kiedy Johnny widział go po raz ostatni. Droga prowadząca między drzewami stawała się coraz szersza, a las zaczął rzednąć. Minęli zarośnięty chwastami sad, w którym gałęzie jabłoni bieliły się od kwiatów. Dzikie wino oplatało przewrócone drewniane ogrodzenie.

– Zbliżamy się – oznajmił Johnny.

– Do czego?

– Cokolwiek tam jest.

Droga dochodziła do rozpadającej się bramy, a potem skręcała w prawo i znikła wśród krzaków jeżyn i gęstych zarośli. Johnny wyciągnął rewolwer z kabury i przechylił go niezdarnie.

– Czy on ma jakiś bezpiecznik?

– Mówiłem ci, że nie. Jezu, patrz, gdzie mierzysz.

– Przepraszam. – Johnny skierował lufę w ziemię.

Liście poruszane wiatrem pokazywały swoje matowe, stalowoszare podbrzusza. Przy zakręcie drogi stały dwa granitowe słupy, które kiedyś podtrzymywały bramę. Jej skrzydło spoczywało na ziemi, a spomiędzy sztachet wyrastały żdźbła trawy. Miękkie drewno powoli obracało się w próchno, ale na słojach widniały jeszcze ślady białej farby.

Johnny zajrzał za jeden ze słupków i cofnął głowę.

– Co? – spytał Jack.

– Nic. – Johnny wstał. – Idziemy.

Minęli bramę i las rozstał się przed nimi. Ich oczom ukazały się ruiny budynków, zgliszcza domostwa, które spłonęło aż do fundamentów. Wokół szkieletu komina leżały poczerniałe belki. Granitowy stopień znaczył miejsce, w którym kiedyś były frontowe drzwi. Z przewróconej na bok żeliwnej wanny wysypywały się zwęglone resztki drewna – wśród nich zieleniły się pędy jakiegoś dzikiego zielska. Z gruzów sterczała metalowa rama łóżka. Obok wały się inne przedmioty, których nie strawił ogień – potrzaskane skorupy talerzy, garnki i mocno przerdzewiałe ramię pompy. Johnny wziął do ręki zawias i zauważył ślady młotka na jego metalowej powierzchni.

– Co za bajzel – odezwał się Jack.

Szopa uchowała się w całości, podobnie jak wędzarnia, przez której otwarte drzwi widać było stalowe haki zamocowane na czerwonych od rdzy łańcuchach. Johnny zauważył, że na drzwiach stodoły wisi kłódka. Obok stał jeszcze jeden budynek. Miał jedno wejście, wąskie okna i dwa małe kominy. Tak samo jak w spalonym domu, pod drzwiami leżał stopień z granitowego bloku, wyslizgany pośrodku. Zajrzeli do wnętrza przez okna. W środku znajdował się kominek i ceglany piec, prosty drewniany stół i żeliwne garnki.

– Tu była kuchnia – oznajmił Johnny. – Kiedyś wznoszono je osobno, żeby zmniejszyć ryzyko pożaru.

– Co za ironia.

Johnny cofnął się parę kroków i spojrzał na zgliszcza.

– Nie ma tu prądu, więc to mogła być świeca.

– Albo piorun.

– Możliwe.

– Zobacz tam. – Jack wskazał palcem.

Johnny odwrócił się. Zobaczył wysoki na dwa i pół metra słup, na którym wisiał pokryty zieloną śniedzią mosiężny dzwon.

– To dziwne.

– Co?

Johnny przedarł się przez chwasty, które sięgały mu do pasa.

– Widziałem podobny w muzeum w Wilmington. Takich dzwonów używano do wzywania niewolników z pola.

– Po co wyzwoleni niewolnicy mieliby trzymać coś takiego? – zdziwił się Jack.

Johnny uważnie oglądał dzwon od spodu.

– Nie wiem. Może na pamiątkę?

– Aż mnie ciarki przechodzą. – Jack zniżył głos do szeptu.

Johnny zajrzał do szopy. Poza narzędziami rolniczymi, które spodziewał się tam zobaczyć, była pusta. Poszarpał kłódką wiszącą na drzwiach szopy i zerknął do środka przez szczeliny w drzwiach.

– Graciarnia – stwierdził.

– Możemy już iść?

Johnny potoczył wzrokiem po okolicy. Wszystko odznaczało się wyraźnie w mocnych promieniach słońca. Las otaczał polanę niczym mur.

– Jeszcze nie. – Wskazał w stronę przeciwległego krańca polany, gdzie między drzewami dało się dostrzeż przesiekę. – Tamtędy.

Poruszali się ostrożnie. Szli pod drzewami, które wznosiły się wysoko nad nimi. Długa na pięćdziesiąt metrów ścieżka prowadziła do kolejnej polany. Przed nimi ukazał się zalany słonecznym światłem wysoki do pasa kamienny mur, zza którego wyzierała zielona trawa. W murze znajdowała się drewniana furтка, ta jednak, w przeciwieństwie do wcześniej napotkanej bramy, była w idealnym stanie. Biała farba lśniła w słońcu.

– Jeszcze nigdy widok świeżej farby tak mnie nie zmartwił – wyszeptał Jack.

Podkradli się bliżej. Słyszeli ptaka, który przeleciał nisko nad nimi, i czuli, jak ściółka ugina się pod ich stopami.

– Co to?

Do ich uszu dobiegł miękki odgłos.

– Nie wiem. – Johnny pokręcił głową.

Nisko pochyleni przebiegli ostatnie kilka metrów i przysiedli skuleni pod murem. Czuli ciepło nagrzanego kamienia i słyszeli teraz wyraźnie dobiegający z drugiej strony muru odgłos. Johnny wychylił się i zerknął przez sztachety furtki. Zobaczył skoszoną trawę i rzędy kamiennych płyt.

– To jest cmentarz – oznajmił, cofając głowę.

– Co?

Johnny przyciskał rewolwer do piersi i czuł pod ciężkim metalem, jak wali mu serce. Oddech uwiązał mu w gardle.

– To jest pieprzony cmentarz.

– Czy on tam jest? – spytał Jack, patrząc w szeroko otwarte oczy przyjaciela.

Johnny pokiwał głową.

– Tak – odpowiedział prawie niedosłyszalnym szeptem.

Jack oblizał usta, które stały się blade jak kreda.

– Wynośmy się stąd.

– Ale on tam siedzi.

– I co robi?

Johnny wyjął z muru obluzowany kamień. Cmentarz był mały, mieścił może czterdzieści nagrobków. Pośrodku stał olbrzymi dąb, a w każdym z narożników rosły magnolie. Nagrobki ciągnęły się rzędami, niektóre były srebrnoszare, inne czarne, a wszystkie pokrywały porosty i mech.

Levi Freemantle siedział na środku z wyprostowanymi nogami. Jego ubranie było brudne i całe w strzępach. Po prawej stronie jego koszuli i spodni rozlewała się wielka plama krwi, której ślady miał też na kolanach i rękach. Jeden z butów leżał porzucony na lśniącej świeżą zielenią trawie, a kostka i stopa mężczyzny były tak spuchnięte, że wyglądały jak jedna wielka narośl. Palec, zaogniony od zakażenia po ugryzieniu Johnny'ego, Levi owinął kawałkiem materiału – teraz pokrywały go żółte plamy. Skórę miał tak napiętą, że aż lśniła. Między nogami Levi trzymał łopatę, a za nim leżała trumna.

– Co on robi?

Johnny nie odpowiedział od razu. Światło było tak idealne, że widział każdy szczegół – poskręcane wstęgi zmatowiałej srebrnej taśmy, ślady zaschniętego błota pokrywające trumnę, żłobienia w jej drewnianym wieku, mokre zacieki. Skóra na kolanach Freemantle'a była zdarta niemal do kości, a oszpecona twarz połyskiwała od wilgoci. Z jego boku coś sterczało. Johnny osunął się w dół murku i oparł plecy o kamienie.

– On zakopuje zwłoki.

– O kurwa.

– I maże się jak dziewczynka z piątej klasy.

Jack zamknął oczy, a Johnny uniósł rewolwer i przycisnął bębenek do czoła. Czuł zapach smaru, a jego usta poruszały się bezgłośnie: *Broń to siła. Mam broń. Broń to siła.*

Zaczął się podnosić, ale przyjaciel pociągnął go w dół.

– Nie rób tego. – Jack trzymał go mocno i patrzył błagalnym wzrokiem.

– Co się, kurwa, z tobą dzieje, Jack? – Johnny uwolnił rękę z uścisku. – Myślisz, że to zabawa? Myślisz, że cały ten rok był na niby? Po to tu przyszliśmy.

Na twarzy Jacka malowała się groza. Chociaż cały dygotał, przytaknął skinieniem głowy i cofnął rękę.

– W porządku, Johnny.

– Nie mam wyboru.

– Powiedziałem, że w porządku.

Cichy wyraz bezgranicznej paniki w oczach przyjaciela zatrzymał Johnny'ego na sekundę, ale potem chłopiec wstał i uniósł broń w taki sposób, jak to robią w filmach – obie dłonie zaciśnięte na rękojeści i lufa skierowana na wprost. Levi Freemantle wstał. Trzymał łopatę w dłoni, nie zauważył Johnny'ego. Miał zwieszoną głowę i wpatrywał się w płytkie zagłębienie, które wykopał w ziemi.

Oderwał nabrzmiałą stopę od podłoża, aby oprzeć się na łopacie większym ciężarem. Z oczu pociekły mu łzy. Ból wykrzywił mu twarz, gdy stojąc na zdrowej nodze, drugą oparł na łopacie. Przeniósł na nią ciężar ciała, ale kostka wygięła się i upadł.

Podniósł się i zaczął próbować od nowa.

Johnny otworzył furtkę i wszedł na cmentarz. Od Freemantle'a, który nadal nie zdawał sobie sprawy z jego obecności, dzieliło go około pięciu metrów. Zaryzykował spojrzenie w bok, gdzie leżała mała dziecięca trumienka. Podeszedł bliżej. Mężczyzna podniósł wzrok. Jego wilgotne oczy przesunęły się z twarzy Johnny'ego na rozkopaną ziemię. Podskoczył na jednej nodze, podniósł ostrze łopaty i wbił je z powrotem w ziemię. Chłopiec widział jego smutek i cierpienie, patrzył na brud, krew i coś, co wyglądało na kawałek gałęzi sterczący z jego boku.

– Nie ruszaj się – powiedział.

Freemantle wykonał polecenie, a potem uniósł otwartą dłoń, obracając ją ku górze. Wskazał na zagłębienie, które wrył w ziemi, po czym

wreszcie zwrócił uwagę na rewolwer. Wpatrywał się w niego przez długą chwilę, jakby nie wiedział, co to takiego albo czemu lufa jest wymierzona w jego pierś. Kiedy się odezwał, jego słowa były ciężkie.

– Przyszedłeś mi pomóc? – zapytał.

– Co?

– Prosiłem o pomoc, ale On nie chce do mnie mówić.

– Kto?

– Czy On przemawia do ciebie?

– Nie wiem, o co ci chodzi.

Pokrytą bliznami twarz wykrzywił grymas. Jedno z oczu zasnuwało mleczne bielmo.

– Nie mogę wykopać dołu.

Chłopiec zerknął w stronę muru, przy którym stał Jack i kręcił głową. Znów spojrział na trumnę.

– Pamiętasz mnie?

Freemantle przytaknął.

– Biegłeś, a ja cię złapałem.

– Dlaczego?

– Bóg rozkazał.

– Bóg ci rozkazał mnie złapać? – zapytał Johnny i odpowiedziało mu kolejne potakujące kiwnięcie. – Po co?

– Tego nie powiedział.

– Johnny. – Rozległ się głos Jacka, ale chłopiec go zignorował.

– Co jeszcze powiedział ci Bóg?

– To moje dziecko. – Freemantle wskazał na trumnę i po jego pokancerowanej twarzy popłynęły łzy. – Nie mogę wykopać dołu.

Johnny jeszcze raz spojrział w stronę Jacka. Potem opuścił broń.

Rozdział 36

Prowadzony wprawną ręką Crossa samochód przemknął przez obrzeża miasta i skierował się na północ. Hunt obserwował przesuwane się za szybą zabudowania, osiedla mieszkalne, a potem skromną dzielnicę przemysłową. Nie myślał o odnalezionym samochodzie ani o Davidzie Wilsonie, ale o siedmiu małych chorągiewkach i Alyssie Merrimon. Nie mógł uwolnić się od myśli, że jej ciało może spoczywać pod warstwą wilgotnej ziemi, że jej krótkie życie dobiegło końca, a jej rodzina była w rozsypce. Dopadały go również myśli o jego własnym koszmarze, o roku nieprzespanych nocy i udręki, dwunastu miesiącach niepowodzeń i rozpadzie jego własnej rodziny. Przez cały ten czas nigdy nie był w stanie się wyluzować. Co było pracą? Co było jego życiem osobistym?

Gdy zadzwonił telefon i spojrzał na wyświetlacz, doznał wrażenia, że jego myśli mają siłę przyciągania.

– Czy coś wiadomo o Johnnym? – Głos Katherine świadczył o jej kiepskim samopoczuciu.

– Nie. Nic.

– Do tej pory powinien już się odezwać. To do niego niepodobne.

– Kilka patroli szuka go w terenie. To mądry chłopiec, znajdziemy go. – Hunt zawiesił głos z uwagi na obecność Crossa. – Przepraszam, że nie przyszedłem porozmawiać o tym osobiście. Powinienem to zrobić, ale...

– Johnny powinien się odezwać.

– Katherine? – powiedział z wyraźną troską, którą ona zauważyła.

– Miałam ciężką noc – wyjaśniła.

– Wszystko w porządku?

– Teraz czuję się już lepiej, ale chcę, żeby mój syn wrócił do domu.

– Znajdziemy go – powtórzył Hunt.

– Jeżeli pan mi to obieca, uwierzę panu – odpowiedziała po chwili wahania, a jej głos był miękki niczym puch.

Hunt zdał sobie sprawę z desperacji, jaką wyrażały jej słowa. Zamknął

oczy i wyobraził sobie ją samotną w tamtym domu. Siedziała na łóżku Johnny'ego i przygryzała wargę olśniewająco białymi zębami, wstrzymywała oddech i zaciskała palce na telefonie. Widział jej długie i czarne rzęsy na tle bladej skóry.

– Obiecuję – powiedział.

– Niech pan przysięgnie.

– Znajdziemy go.

– Dziękuję, detektywie. – W słuchawce słychać było oddech. – Dziękuję, Clyde.

Rozłączyła się, a Hunt zamknął klapkę aparatu. Potarł oczy i poczuł szczypanie pod powiekami. Cross wyprzedził jadący przed nimi samochód i wrócił na prawy pas.

– Mama Johnny'ego? – zapytał.

– Tak.

Zostawili za sobą dzielnicę biurowców i wyjechali na otwarty teren. Cross odchrząknął.

– Powinieneś wiedzieć, że krążą różne plotki – zwrócił się do Hunta, a ten wlepił w niego wzrok. – Na posterunku. Ludzie gadają.

– Jakie plotki?

– Że według ciebie jakiś gliniarz miał powiązania z Burtonem Jarvisem. Że jest zamieszany w śmierć tych dzieciaków. Być może Alyssy Merrimon.

– Plotki mogą być niebezpieczne.

– Ja tylko mówię...

– Rozumiem, co mówisz.

Kolejne sto metrów drogi przewinęło się pod kołami samochodu i Cross znów się odezwał.

– Naczelnik nakazał personelowi biurowemu, żeby nie pozwalano ci się zbliżać do akt osobowych. Tobie, konkretnie. Od tego zaczęły się plotki. Pomyślałem tylko, że powinieneś wiedzieć.

Hunt patrzył na trawę i na niebo. Rozmyślał o różnych sposobach, w jakie chciałby zemścić się na szefie.

– Czy ktoś pilnuje samochodu Wilsona?

– Jest na terenie hrabstwa, więc musieliśmy dopuścić biuro szeryfa. Jeden z jego zastępców jest na miejscu. Powinien być na tyle mądry, aby

niczego nie dotykać.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.
- Ja też.

Samochód był najnowszym modelem toyoty land cruiser czarnego koloru. Stał przekrzywiony, zwrócony maską w dół, na dnie kamienistego i zarośniętego krzakami wąwozu o głębokości około dziesięciu metrów. Wciąż przyczepiona do haka holowniczego laweta do przewozu motocykli przekręciła się na bok i oparła o dach pojazdu.

- Czy ktoś tu był?

Zastępca szeryfa potrząsnął głową.

- Szeryf kazał współpracować, więc to robię. Nikogo tu nie zastałem.

Hunt rozglądał się, szukając zejścia na dół. Ściany wąwozu pokrywały luźne kamienie i piaszczysta ziemia, a wzdłuż krawędzi rosły drzewa, krzaki i kępy chwastów.

- Masz w bagażniku linę, Cross?

- Mam.
- Dawaj.

Hunt przywiązał linę do pnia, rzucił ją w dół stromego zbocza i przytrzymując się jej, zszedł w dół po osuwającym się spod nóg podłożu. Cross podążył w ślad za nim. Żlebem ściekała strużka wody i nikła pod kołami samochodu. Jego dach wgniół się pod ciężarem przyczepy. Toyota miała roztrzaskany przód i odrapany lakier po bokach. Po przedniej szybie rozchodziła się pajęczyna pęknięć.

- Niczego nie dotykaj – rozkazał Hunt.

Cross zajrzał do środka przez okno.

- Kluczyki są w stacyjce – oznajmił. – Wrzucony bieg.

Trzymając klamkę przez chusteczkę, Hunt otworzył drzwi po stronie pasażera. Owionęła go wypływająca z wnętrza fala ciepła i zatęchła woń. Skórzana tapicerka fotela kierowcy była wytarta do połysku. Oparcia tylnych siedzeń zostały złożone, a przestrzeń ładunkową wypełniał sprzęt wspinaczkowy. Hunt zauważył też kurtkę motocyklową i zabłocone buty. Za fotelem kierowcy tkwił kanister. Nigdzie nie było śladów krwi.

- Wygląda, jakby ktoś go tu zepchnął.
- Wybrał dobre miejsce – stwierdził Cross.

Używając tej samej chusteczki, Hunt otworzył schowek. Pogrzebał długopisem wśród leżących w środku papierów i z powrotem go zatrzasnął. Badawczym wzrokiem zlustrował dywaniki, a potem zajrzał pod siedzenia.

– No i proszę.

– Co?

Hunt sięgnął pod fotel i wyjął stamtąd nadzianą na długopis mosiężną łuskę. Wyciągnął z kieszeni koszuli foliową torebkę na dowody i wrzucił do niej łuskę.

– Czterdziestkapiątka – powiedział, oglądając pod światło swoje znalezisko. – Ściągnijmy tu więcej ludzi.

Hunt i Cross czekali na przybycie techników. Stali na zwirowej drodze i przyglądali się rozbitemu pojazdowi. Na miejsce dotarły dwie furgonetki, którymi przyjechało czterech techników.

– Chcę, żebyście zbadali go tam, gdzie teraz stoi. Odciski, włókna, wszystko, co dacie radę zrobić tu i teraz. Czas nas goni. Jak skończycie, możecie go stamtąd wyciągnąć i odholować do depozytu.

Szef ekipy techników patrzył na samochód i strome zbocze wąwozu.

– Mówisz poważnie?

– Tam jest lina, dacie radę – odparł Hunt i spojrzał w niebo. Na południu kłębiły się ciemne chmury. – Tylko zabierzcie go stamtąd, zanim lunie. Nie mam ochoty po raz kolejny przechodzić tego, co ostatnio.

Hunt przyglądał się przez chwilę, jak technicy zabierają się do pracy, po czym zadzwonił do Yoakuma i zdał mu relację.

– Nareszcie coś ruszyło – stwierdził Yoakum.

– A co u ciebie?

– Doktor Moore odkopał drugie ciało.

– I co?

– Kolejne dziecko. Nie jest to Alyssa Merrimon.

Hunt rozluźnił palce, w których trzymał telefon.

– Zbiera się na deszcz – powiedział.

– Wiem. Mówią, że spadnie za trzy, może cztery godziny.

– Jacyś dziennikarze?

– Na razie żadnych.

Hunt spojrział w stronę roztrzaskanej toyoty, zastanawiając się, gdzie byłby najbardziej potrzebny. Technicy zajmowali się samochodem, medyk sądowy wydobywał ciała.

– Mam wrażenie, że coś przeoczyliśmy – powiedział do telefonu.

– Nie gadaj.

– Coś oczywistego.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytał Yoakum.

– Nie ruszaj się stamtąd. Jadę do ciebie – odparł Hunt i rozłączył się.

– Detektywie! – Wołanie dobiegało z dna wąwozu.

Hunt spojrział w dół. Technik stał obok otwartych drzwi toyoty.

– Tak?

– Wygląda na to, że samochód został wyczyszczony. Kierownica jest czysta, tak samo klamka i dźwignia zmiany biegów. – Technik wzruszył ramionami. – Myślę, że ktoś je wytarł.

– A co z łuską?

Mężczyzna wskazał palcem w kierunku furgonetek.

– Michaels ma łuskę.

Hunt odwrócił się w tamtą stronę. Drzwi pierwszego vana były otwarte na oścież i odsłaniały zamontowaną we wnętrzu aparaturę i mały stolik przykręcony do ściany. Jeden z techników pochylał się nad łuską, która leżała na kartce czystego białego papieru.

– Michaels? – zwrócił się do niego Hunt.

– Sekundę. – Technik nie odrywał wzroku od łuski i wyprostował się dopiero po chwili. – Mamy odcisk.

Hunt zostawił Crossa przy drodze i wrócił do lasu w momencie, gdy patolog oczyszczał z ziemi trzecie ciało. Yoakum stał z boku, zaciskając usta, i opierał ręce na biodrach. Był roslą mężczyzną, ale gdy garbił się w tym wilgotnym i pogrążonym w cieniu lesie, wydawał się mały i przytłoczony.

– Numer trzeci – oznajmił.

Hunt spojrział na dwa worki ze zwłokami leżące z boku i gotowe do transportu. Były płaskie i wydawały się puste.

– Chodźmy stąd.

Zrobił parę kroków, ale Yoakum nie podążył za nim. Wciąż wpatrywał

się w worki i domniemane groby ofiar, które czekały na odkopanie.

– Ktoś powinien zapłacić za to głową – odezwał się.

Hunt zawrócił. Przez wszystkie lata pracy z Yoakumem nigdy nie widział najmniejszej rysy na jego pancerzu. Yoakum był bezlitośnie skuteczny. Yoakum sypał dowcipami. Nigdy nie okazywał uczuć.

– Ktoś już zapłacił – stwierdził Hunt.

W słabym świetle cienistego lasu wszystkie bruzdy na twarzy jego przyjaciela stały się wyraźnie widoczne.

– Myślisz, że Jarvis sam to wszystko zrobił?

– Nie wiem.

– To były tylko dzieci.

– Daj spokój, John. Weźmy się do roboty.

Yoakum pokręcił głową i Hunt wiedział, o czym teraz myśli.

Ktoś powinien za to umrzeć.

Wspięli się po łagodnym zboczku i ruszyli w stronę wyjścia z lasu. Przy drodze stały z włączonymi silnikami dwa wozy transmisyjne. Parkowały tuż obok policyjnych radiowozów i furgonetki doktora Moore'a. Yoakum zauważył je pierwszy.

– Ludzie z telewizji – powiedział.

– O cholera.

Naczelnik zostawił przy drodze dwóch umundurowanych funkcjonariuszy, którzy teraz stali z rozpostartymi ramionami, próbując nie zwracać uwagi na kamery i mikrofony wymierzone prosto w ich twarze. Kiedy reporterzy dostrzegli Hunta, zaczęli kierować pytania w jego stronę.

– Czy to prawda, że znaleziono więcej ciał?

– Bez komentarza.

– Dlaczego na miejscu jest medyk sądowy?

Hunt i Yoakum precyzyjnie przeszli obok mundurowych.

– Nikogo nie przepuszczać – rozkazał im Hunt, podnosząc głos.

– Detektywie Hunt... – odezwała się reporterka Kanału Czwartego. – Detektywie...

Hunt nawet nie zwolnił. Szedł w stronę samochodu, a reporterka podążała za nim krok w krok, ciągnąc za sobą operatora kamery.

– Czy to prawda, że szuka pan Johnny'ego Merrimona?

Hunt obrócił się niepewnie i nagle ogarnęła go furia. Kobieta wyciągała mikrofon przed siebie, obracając się profilem do kamery, a jej oczy rozjaśniał zapal.

– Czy to prawda, że chłopiec zaginął? – spytała.

Hunt spojrział ponad jej ramieniem. Drogą nadjeżdżał kolejny wóz transmisyjny.

– Bez komentarza. – Hunt chwycił za klamkę i otworzył drzwi samochodu.

– A podejrzenia o powiązania policji z Burtonem Jarvisem?

– Co pani powiedziała?

Dziennikarka powtórzyła pytanie i Hunt poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

– Ściągnij tu więcej patroli – zwrócił się do Yoakuma, po czym wymierzył palec w reporterkę. – A pani pozwoli ze mną.

Kobieta uśmiechnęła się szeroko i dała znak operatorowi kamery.

– Tylko pani – dodał Hunt.

Nie czekając na reakcję, odszedł kilka metrów. Wiedział, że reporterka pójdzie za nim. Kiedy się odwrócił, stała trzy kroki od niego, wyfryzowana i elegancka w obcisłym czerwonym swetrze. Za jej plecami trzecia ekipa wyładowała sprzęt i szykowała się do filmowania.

– Dlaczego zadała pani to pytanie?

Kobieta nie dała zbić się z tropu.

– Czy to prawda?

– Nie mogę wygłaszać komentarzy na temat bieżącego śledztwa. Dlaczego zadała pani to pytanie?

– Moje źródła są chronione. – Reporterka zadarła kształtny podbródek i oparła dłonie na biodrach.

– Lepiej, aby nie rozpowszechniała pani tego rodzaju plotek. – Hunt zbliżył się do niej, patrząc surowo w jej błękitne gorliwe oczy. – To się mija z celem.

– A więc zaprzecza pan?

Hunt pomyślał o notatkach Johnny'ego Merrimona, o zarządzeniu naczelnika w sprawie akt osobowych, o policyjnych kajdankach, którymi była skuta Tiffany Shore. Pomyślał o czarnym sedanie zaparkowanym w pobliżu domu Katherine i o kocie ze złamanym kręgosłupem. O groźbie,

która miała uciszyć Johnny'ego.

- Pani źródła są w błędzie.
- Mogę przytoczyć tę pańską wypowiedź?
- Może ją pani wytatuować sobie na czole.

Hunt odszedł, a dziennikarka podążyła w ślad za nim. Gdy dotarł do samochodu, przy ulicy parkował kolejny van. Tym razem z Instytutu Medycyny Sądowej w Chapel Hill. Reporterzy przepychali się, wykrzykując pytania, a kamerzyści filmowali to wszystko.

Hunt wskoczył za kierownicę i przekręcił kluczyk. Musiał odczekać, aż ekipy telewizyjne odsuną się na boki, aby mógł odjechać. Siedzący obok Yoakum wyczuł jego nastrój.

- Co jest?
- Wiedzą o Johnnym.
- Skąd?
- Wiedzą też, że może być w to zamieszany jakiś glina.
- Jakim cudem?

Hunt nie odrywał oczu od drogi.

- Ktoś kabluje.

Rozdział 37

Hunt i Yoakum dotarli na posterunek. Kiedy weszli do środka, ludzie przestali pracować. W grobowej ciszy, jaka zapadła, Hunt czuł na sobie ciężar spojrzeń i rosnące napięcie. Weszli do biura Hunta i Yoakum zamknął za nimi drzwi.

– To było krępujące – stwierdził.

– Trudno im się dziwić. Ekipa Telewizji Sądowej parkuje przy Main Street.

Yoakum wyjrzał przez okno. W mętym świetle, które padało przez zapaćkaną szybę, jego bródka nabrała żółtawego odcienia.

– Nie o to chodziło.

– Nie? W ciągu kilku godzin przeszliśmy od porwania do wielokrotnego morderstwa. Telewizja publiczna trąbi o zabitych dzieciach. Ludzie o tym gadają i boją się. A my w tym tkwimy, ty i ja. Czemu mieliby się gapić?

– Chodziło im tylko o dwie rzeczy.

– Czyżby?

Hunt był poirytowany i sfrustrowany, ale Yoakum nie ustępował.

– O to, że poszukujesz gliniarza, czyli jednego z nich, i o to, że wtopiłeś.

– Z czym wtopiłem?

– Z Johnnym Merrimonem.

Tym razem to Hunt wyjrzał przez okno.

– Nikt niczego nie powiedział...

– Zaczną, jeżeli dzieciak szybko się nie znajdzie. Teraz wmieszały się w to media. Wiedzą o jego zaginięciu. W końcu odkryją, że zrobiłeś unik przed opieką społeczną, a każdy wie o tobie i matce tego chłopaka.

– Tu akurat nie mają żadnych podstaw.

– Może ty w to wierzysz, ale ja nie. Zresztą to bez znaczenia. Układ z opieką społeczną wyszedł od ciebie. Nikt nie będzie patrzył na motywy, jeżeli Johnny'emu coś się stanie. Ukrzyżują cię.

– Myślę, że nie masz racji.

– Bo ty znasz tego dzieciaka. Inni nie. Wiedzą, że jego życie to bagno. Wiedzą, że stracił siostrę bliźniaczkę i ojca. Wiedzą, że jego matka świruje, i wierzą w to, co zobaczyli w gazetach. Widziałeś zdjęcia. Johnny wyglądał na nich tak, jakby postradał zmysły, i każdy rozsądny człowiek trzymałby takiego dzieciaka pod kluczem dla jego własnego dobra.

– A jak twoim zdaniem jest naprawdę?

– Naprawdę powierzyłeś go opiece niedorobionego wujaszka ochroniarza, który nie radzi sobie z własnym życiem. Do cholery, Clyde, nie widzisz tego? Nikt nie uzna twojej decyzji za rozsądną, jeżeli chłopcu coś się stanie. Ken Holloway już o to zadba. A także naczelnik, prasa i prokurator generalny. – Yoakum uniósł palec o szorstkiej stwardniałej skórze. – Lepiej módl się, żeby dzieciakowi włos z głowy nie spadł.

Hunt badawczo patrzył na przyjaciela, który sprawiał wrażenie zmęczonego i steranego życiem.

– Z troską nie jest ci do twarzy, John.

– Spodziewam się najgorszego, a to rzadko się nie sprawdza. Wiesz o tym. To dlatego nic mnie nie ruszyło przez trzydzieści lat wśród tego gówna.

– A ta sprawa? – zapytał Hunt. Widział różnicę w zachowaniu przyjaciela, wyczuwał jego stłumiony gniew.

– Ta sprawa to co innego – odparł Yoakum po chwili namysłu.

– Dlatego że chodzi o dzieci?

– I dlatego że działo się to przez tyle lat na naszym własnym podwórku. Powiem ci, Clyde, że nigdy tak nie czułem.

– Tak, to znaczy jak?

– Że ktoś powinien zapłacić za to głową. – Yoakum zmarszczył czoło i uderzając palcem o blat biurka, powtórzył podniesionym tonem. – Ktoś powinien zapłacić za to głową.

– Nie krzycz tak.

– Ale to prawda.

– O ile mi wiadomo, w Karolinie Północnej wciąż obowiązuje kara śmierci.

– Od czego są adwokaci? – W głosie Yoakuma zabrzmiał ton pogardy.

Obaj zamilkli. Pierwszy odezwał się Hunt i mówił ściszym tonem.

– A jeżeli Johnny'emu nic się nie stało? A jeżeli faktycznie jakiś gliniarz

miał powiązania z Burtonem Jarvisem? Chronił go i pomagał mu?

– Niemożliwe.

– Siedem ofiar...

– Jakoś tego nie widzę.

– Ktoś przekazuje informacje mediom. Gdybym to ja był tym trefnym gliną i chciał zmylić trop, byłby to dobry sposób na początek. Rozpuścić plotki i stworzyć zasłonę dymną, żeby odwrócić uwagę tych, którzy mnie szukają.

Yoakum zastanawiał się przez chwilę.

– Załóżmy, że jest drugi sprawca, ktoś powiązany z Jarvisem i tymi dziećmi – powiedział. – Czy Johnny mógłby go zidentyfikować?

– Być może. Ale on nie chce ze mną o tym rozmawiać.

– A co z Tiffany Shore?

– Nie ma powodów, aby przypuszczać, że w jej porwaniu brał udział ktoś inny, ale mogło tak być. W tej chwili jest na środkach uspokajających, mniej lub bardziej otumaniona, ale lekarze są dobrej myśli. Może jutro.

– Czy ma ochronę?

– Nie.

– Może powinna mieć. Jeżeli zamieszany jest w to policjant.

– Może powinna.

Hunt spojrzał na swoje biurko. Wciąż leżały na nim akta Alyssy, tuż obok teczki Tiffany Shore. Otworzył pierwszą z nich i spojrzał na zdjęcie dziewczynki, na jej ciemne oczy i włosy, na twarz tak podobną do brata bliźniaka.

– Czy to możliwe? Że to jeden z naszych?

– Ciemność toczy ludzkie serce niczym rak, Clyde. Znasz moje zdanie.

Hunt podniósł okładkę teczki Tiffany i zobaczył regularne rysy dziewczynki. Dotknął jednej fotografii, potem drugiej.

– Nie mogę tak siedzieć beczynn timer.

– Co?

– Nie musisz brać w tym udziału.

– W czym? – zapytał Yoakum, ale Hunt go zignorował.

Wyszedł z biura i skręcił w wąski korytarz, który prowadził na tył budynku. Ludzie gapili się za nim albo odwracali wzrok. Pchnął drzwi

przeciwpożarowe i zbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Podłogę na parterze pokrywała betonowa wylewka, a wzdłuż korytarza ciągnął się rząd metalowych drzwi. Magazyny. Depozyt dowodów rzeczowych. W małym pomieszczeniu na końcu gromadzono akta osobowe pracowników wydziału. Funkcjonariuszy policji. Personelu pomocniczego. Obsługi technicznej. Dokumenty były przechowywane w zamkniętych szafkach, ale drzwi do pokoju nikt nie zamykał. Hunt szedł szybkim krokiem i zatrzymał się tylko raz, żeby zdjąć gaśnicę ze stelaża zawieszzonego na ścianie. Pomieszczenie miało powierzchnię zaledwie kilku metrów kwadratowych, a białe światło jarzeniówki padało na szorstki beton. Szafka, która go interesowała, stała naprzeciwko wejścia, pośrodku ściany. Jednym spojrzeniem ocenił zamek w najwyższej szufladzie. Nie wyglądał zbyt solidnie. Powinno się udać.

Hunt uniósł gaśnicę, ale zatrzymał się, kiedy Yoakum wszedł do pokoju i stanął za jego plecami.

– Mówiłem ci, żebyś się w to nie mieszał.

– Nie. – Yoakum zamknął za sobą drzwi. – Tego mi nie mówiłeś.

Hunt spojrzał znów w stronę szafki i zawahał się.

– Zrób to – powiedział jego przyjaciel.

Hunt obrócił nieznacznie głowę i kątem oka dostrzegł jego twarz, na której czerwieniły się ogniste rumieńce. Blask świetlówki odbijał się białymi plamkami w jego oczach.

– No zrób to – powtórzył Yoakum i podszedł bliżej. – Pierdol szefa i całą hierarchię służbową. Zrób to dla Alyssy.

Hunt opuścił gaśnicę.

– Podpuszczasz mnie?

– Zrób to dla Johnny'ego. Zrób to dla jego matki.

– O co ci chodzi, John?

Yoakum postąpił jeszcze o krok w jego stronę.

– Przypominam ci, że jest różnica między sprawami służbowymi a osobistymi.

– Czasami praca ma osobisty charakter – odparł Hunt i patrzył na przyjaciela tak długo, aż ten cofnął się o krok. – Nie próbuj mną manipulować.

Zanim Yoakum zdążył odpowiedzieć, drzwi prowadzące na korytarz

otworzyły się i stanęła w nich młoda funkcjonariuszka. Znieruchomiała na ich widok. Zauważyła gaśnicę w rękach Hunta i napięcie między dwoma mężczyznami.

– To ja wpadnę później – powiedziała i wyszła.

W ciszy, jaka zapadła, Yoakum uniósł dłoń z wyprostowanym kciukiem i palcem wskazującym, których opuszki dzielił zaledwie centymetr.

– Czasami tyle brakuje – oznajmił.

– Do czego?

– Żeby wylecieć za coś głupiego.

Patrzyli na siebie przez długie sekundy, a potem Hunt wyszedł na korytarz. Ze złością odwiesił gaśnicę z powrotem na ścianę, a gdy się odwrócił, Yoakum czekał na niego.

– Nie wściekaj się na mnie, bo jestem piękny – powiedział, i Hunt poczuł, jak ciężar spada mu z ramion.

– Dlaczego Johnny uznał, że to gliniarz?

– Bo to był gliniarz?

– Dlaczego dziecko myśli, że ktoś jest gliniarzem? Na jakiej podstawie trzynastoletni chłopiec dochodzi do takiego wniosku? Facet miał odznakę? Coś powiedział? Coś zrobił? – Hunt wskazał palcem na swój pasek. – Miał kajdanki? Broń?

– Mundur?

Stali w korytarzu wypełnionym zapachem wilgotnego betonu i zastanawiali się. Johnny był osobliwym chłopcem, ale miał dobry instynkt i przenikliwą inteligencję. Były to cechy, których nikt inny zdawał się nie zauważać. Musiał mieć jakiś powód, skoro uznał, że w sprawę zamieszany jest policjant. Hunt próbował to sobie wyobrazić – ciemna noc, dwaj mężczyźni w zagraconym domu, Johnny przyczajony pod oknem.

– Czytałeś raporty na temat kradzieży tych tablic? – zapytał Hunt.

– Jakich tablic?

– Rejestracyjnych.

– Czytałem. No i co?

– Facet, którego Johnny widział w domu Jarvisa, posługiwał się kradzionymi tablicami. Numery trzech z nich znamy. Spośród tych trzech jeden z właścicieli nie miał pojęcia, gdzie je stracił. Pozostali dwaj byli

całkowicie pewni.

Coś świtało Huntowi w głowie i Yoakum to zauważył.

– Co?

– Oba te komplety zostały skradzione z samochodów parkujących pod centrum handlowym.

– Dobre miejsce na kradzież tablic – stwierdził Yoakum.

– Tak samo jak lotnisko, szpital i dziesiątki innych.

Ich oczy się spotkały i obaj w tym samym momencie doznali olśnienia.

Kajdanki. Broń. Mundur.

Pracownik ochrony.

Rozdział 38

Johnny kopał w ziemi. Czuł rwanie ścięgien, ale nie zwracał uwagi na ból. Nie robił tego bez powodu. Tak postanowił i powtarzał sobie to w myślach. Levi Freemantle siedział z obwisłą twarzą, jedną ręką obejmował sosnową trumnę z surowych desek, a jego oczy obserwowały uważnie chłopca i każdą łopatę ziemi, którą wyrzucał z dołu. Pokiwał głową, kiedy Johnny natrafił na kamień, podważył go i wyciągnął.

– Dziękuję ci.

Johnny nie dosłyszał jego słów, ale to nie miało znaczenia. Chłopiec już ze dwadzieścia razy przyjmował te drobne hołdy. Kiwał głową i kopał dalej. Słońce było coraz niżej, a na południu piętrzyły się burzowe chmury. Johnny spojrzał na Jacka i pokazał mu łopatę.

– Chcesz mnie zastąpić?

– Nie, dziękuję.

Przez dziesięć minut Jack stał z rewolwerem w uniesionych rękach. Kiedy go w końcu opuścił, tylko Johnny to zauważył. Teraz siedział na kamiennym murku, trzymając broń na kolanach. Opędzał się od komarów i wyglądał na znudzonego.

Johnny był nawet zadowolony, że jego przyjaciel nie chce kopać. Nie wiedział nic o Levim Freemantle’u, ani dlaczego znalazł się w tym miejscu, ani w jaki sposób umarła jego córka, ale rozumiał jego stratę lepiej, niż byłby ją w stanie pojąć Jack.

Dlatego kopał i dzielnie znosił ból. Myślał o tym, co powiedział mu David Wilson pod mostem. „Znalazłem ją. Dziewczynkę, która została porwana”. Johnny uciekł zdjęty panicznym strachem, zanim ranny zdążył mu powiedzieć, co miał na myśli. Ale później przyszedł tam Levi Freemantle. Johnny spojrzał na potężnego mężczyznę i wbił łopatę w ziemię.

On tam był. Jeżeli David Wilson wtedy jeszcze żył, być może powiedział mu, gdzie znalazł dziewczynkę. Może Freemantle to wiedział.

Chłopiec zrzucił ziemię z łopaty, a Levi zwiesił głowę.

Może.

Johnny, kopiąc, słyszał to słowo.

Może.

Po ponad godzinie dwie wrony przysiadły na najniższej gałęzi dębu, który rósł pośrodku cmentarza. Johnny zauważył je tylko dlatego, że Freemantle znieruchomiał, oparł się o trumnę i obserwował czarne ptaki z wyrazem strachu i nienawiści na twarzy. Jedna z wron zleciała z gałęzi i rozpościerając skrzydła, opadła na pobliski nagrobek. Przekrzywiła głowę, spoglądając na trumnę i nastroszyła połyskliwe pióra. Nagle Freemantle zerwał się na równe nogi i zataczając się, krzykiem odgonił ptaka. Jack wzdrygnął się i znów uniósł broń.

Johnny był pewien, że w tym krzyku były jakieś słowa, ale nie potrafił ich zrozumieć. Wrona odfrunęła na inne drzewo, a Freemantle wrócił na miejsce, w którym siedział. Długo patrzył na ptaka, a potem zamknął oczy i zrobił znak krzyża. Johnny zerknął na Jacka, który potrząsał głową i poblady ścisnął kurczowo rewolwer jak ponura kostucha kosę.

Na gałęziach wylądowały dwie kolejne wrony, a po chwili dołączyły do nich jeszcze trzy. Johnny wrócił do pracy. Minuty ciągnęły się w nieskończoność. Poczuli pierwsze uderzenia wiatru. Ziemia była sypka i łatwo się ją wybierało. Johnny kopał głęboko. Nie zważał na obolałe dłonie, których lepka łuszcząca się skóra wydzielala przejrzysty wysięk o słodkawym zapachu. Nie zważał na ból w plecach, rwanie ścięgien i strugi potu, które piekły go w oczy. Miał cały dzień, aby osiągnąć to, co chciał, więc starannie wszystko zaplanował, obmyślił najlepsze podejście i przygotował pytania, które zada olbrzymowi, kiedy jego dziecko zostanie pochowane.

Spojrzał na Freemantle'a i wbił łopatę w rozgrzaną piaszczystą ziemię, tymczasem ciężkie chmury kłębiły się już nad obłożonymi przez wrony drzewami.

Kiedy Johnny wygramolił się z dołu, słońce prześwitywało blado zza krawędzi burzowego frontu. Wiatr targał koronami drzew, a w powietrzu unosił się zapach ozonu.

– Zaraz lunie – odezwał się Jack.

Dół nie był tak głęboki, jak powinien, ale miał odpowiednią szerokość i kształt.

– To wszystko, co dałem radę zrobić – powiedział Johnny.

– Mam linę. – Freemantle wskazał na trumnę.

– W porządku.

Przesunęli trumnę na krawędź grobu i spuścili ją w dół na linie, którą przewlekli przez niewielkie metalowe uchwyty. Wyglądała smutno na dnie świeżo wykopanego grobu. Wyciągana lina zaszurała – Freemantle zwinął ją powolnymi, lecz zręcznymi ruchami swych wielkich dłoni.

– Tą ostatnią częścią chciałbym zająć się sam – powiedział. – W szopie jest sucho, jeśli chcesz się schronić. – Spojrzał na niebo zasnuwane chmurami o purpurowym odcieniu, potem na liście, które nabrały srebrzystej barwy. – Ona nigdy nie lubiła burz.

Obrócił się i sięgnął po łopatę, tymczasem w trzewiach chmur zamigotało żółte światło.

– Błyskawica – odezwał się Johnny.

Olbrzym nie spieszył się jednak. Rzucił garść ziemi na trumnę córki. Liście szumiały targane wiatrem, a on powoli zasypywał grób.

– Z błyskawicy będzie piorun – powiedział.

Wiatr przybierał na sile. Jack był już za bramą, ale Johnny nie miał ochoty iść za nim. Freemantle stał nieruchomo i spoglądał w dół na trumnę.

– Bóg ma głos mojego taty.

– Czy to dobrze? – spytał Johnny.

Freemantle pokiwał głową.

– Nie to co ten drugi głos.

– Ten drugi?

– Jest jak czekolada rozmiękła na słońcu. Lepka i mdła, ciężko ją przełknąć. – Podniósł wzrok na zachmurzone niebo. – Słyszę go, kiedy zbliżają się wrony.

Mężczyzna podniósł kamień i cisnął nim w stadko wron, które siedziały na dolnych gałęziach dębu. Milczał przez dłuższą chwilę, a Johnny go nie naciskał. Wiedział, że ten człowiek jest obłąkany. Rozejrzał się w poszukiwaniu Jacka, ale jego przyjaciel znikł.

– Boję się piorunów – oświadczył Freemantle i obrócił twarz w stronę burzy, ale nie sprawiał wrażenia wystraszonego wbrew temu, co powiedział. – Bóg już więcej do mnie nie przemówi.

Jego żal był przytłaczający.

– Zaczekaj. – Johnny wziął od niego łopatę i podszedł z nią do dębu. Wrony zakrakały chrapliwie i odleciały, a chłopiec za pomocą ostrza łopaty wyłobił w korze drzewa krąg. – To powinno ochronić cię przed piorunem. Ale tylko na dębach, na innych drzewach nie działa.

Potężny mężczyzna stał poważny i spięty, a jego zdrowe oko spoglądało to na okaleczony pień, to na chłopca.

– To czarna magia – stwierdził.

– Nie.

– To kto tak robi?

– Celtowie. Teraz ich już nie ma. Od dawna nie żyją.

– To skąd wiesz, że to działa, skoro ci wszyscy Celtowie umarli?

– Przeczytałem o tym gdzieś. To bez znaczenia.

Freemantle pokręcił głową, a na jego umęczonej twarzy malował się wyraz niedowierzania.

– Z błyskawicy będzie piorun – powtórzył. – Jedyne, co możesz zrobić, to modlić się do Boga, żeby nie uderzył w ciebie. – Spojrzał w stronę świeżo wykopanego grobu, a potem obrócił ku Johnny'emu pełne nadziei i niewytłumaczalnej ufności oczy. – Należy się jej słowo, kiedy spadnie na nią ziemia. Masz Biblię?

– Nie mam. – Johnny nagle poczuł zakłopotanie. – Ale znam kilka słów. Wypowiem je dla ciebie.

Johnny nie widział powodu, aby wyrażać swoje poglądy w tej kwestii, nie tutaj, wobec tego dziwnego człowieka, który lęka się wron, piorunów i głosu jak lepka czekolada.

Podmuch wiatru zaszumiał w koronach drzew. Twarz Freemantle'a rozjaśniła ulga, kiedy Johnny podszedł bliżej. Chłopiec wyczuwał obok siebie ogrom jego zwalistej sylwetki. Żółte światło błyskawicy wydobyło szare cienie z pomarszczonych blizn na jego twarzy, a bielmo na jego prawym oku zamigotało opalizująco. Johnny powrócił myślami do długich nocy spędzonych na czytaniu Biblii, ciągnących się godzinami żarliwych modłów matki i jego własnych wędrówek

w poszukiwaniu sensu. Przez długą chwilę czuł pustkę w głowie, a potem wypowiedział jedyne słowa, jakie był w stanie sobie przypomnieć.

– Ojcze nasz, któryś jest w niebie... – zaczął. Deszcz siekł zimnymi strugami. – Święć się imię Twoje...

Levi Freemantle szlochał, zasypując ziemią swoją córkę. Johnny stał w deszczu i czekał, aż uderzy piorun.

Rozdział 39

Hunt i Yoakum czekali w holu na parterze wielkiego budynku w centrum miasta. Biuro Kena Hollowaya znajdowało się na czwartym piętrze, ale recepcjonistka o kamiennej twarzy, kobieta grubo po pięćdziesiątce, nie zamierzała iść im na rękę. Na zewnątrz z minuty na minutę robiło się coraz ciemniej, a po chodniku przetaczały się niesione wiatrem śnieci.

– Nie chcemy uzgadniać terminu spotkania. – W dłoni Hunta błysnęła policyjna odznaka.

Kobieta stała za masywnym kontuarem z tekowego drewna, na którym z jednej strony migotały czerwone i zielone przyciski centralki telefonicznej. Firma Hollowaya zajmowała cały budynek i wystarczył rzut oka na wykaz numerów wewnętrznych, by poznać zakres jej działalności. Sprzedaż nieruchomości, inwestycje budowlane, wykonawstwo budowlane, konsulting, zarządzanie nieruchomościami. Holloway był właścicielem centrum handlowego, kilku największych budynków w centrum, trzech kin i dwóch pól golfowych, a wszystko to tylko na terenie tego miasta. Interesy jego firmy obejmowały swoim zasięgiem cały stan.

– To jest sprawa kryminalna – oświadczył Hunt. – W ciągu dwudziestu minut mogę tu wrócić z nakazem.

Telefon na kontuarze zabrzączał i recepcjonistka odebrała połączenie. Kiedy odłożyła słuchawkę, na jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

– Pan Holloway jest jednym z najzyczliwszych ludzi w tym mieście, a wszyscy tutaj wiedzą, że pan go nęka – powiedziała z tonem wyższości w lodowatym głosie. – Nie zabraknie osób, które zaświadczą przeciwko panu, jeżeli tutaj znów do czegoś dojdzie. – Nagle jej kamienna maska znikła, ustępując miejsca uśmiechowi. – Pan Holloway oczekuje panów. Winda jest po prawej stronie.

Krocząc po wyłożonej marmurem posadzce, doszli do windy. Yoakum nacisnął guzik i drzwi zasunęły się bezszelestnie.

– Czarująca – stwierdził.

– Ta recepcjonistka?

– Cudo, nie kobieta.

Biuro Hollowaya zajmowało większą część całego piętra. Hunt zauważył salę konferencyjną i kilka mniejszych gabinetów, ale całą resztę stanowiła otwarta przestrzeń. Holloway stał za biurkiem. Po swojej prawej ręce miał adwokata, a po lewej uzbrojonego ochroniarza w mundurze. Za trzema przeszklonymi ścianami roztaczał się widok na większą część centrum miasta, włącznie z posterunkiem policji, który stąd prezentował się biednie i obskurnie. Z tej wysokości burza wyglądała jak szybko nadciągająca fala czarnych i purpurowych chmur.

– Witam panów detektywów – odezwał się gospodarz.

Hunt przeszedł po orientalnym dywanie, mijając stół konferencyjny, który kosztował więcej niż jego samochód. Zatrzymał się na wprost biurka. Uśmiech Hollowaya był wymuszony. Spoczywające na blacie opuszki jego palców, na których opierał ciężar ciała, zbieleły od nacisku.

– Mojego adwokata pan pamięta – rzekł, po czym wskazał na ochroniarza. – A to jest Bruce.

Hunt zmierzył Bruce'a wzrokiem. Był to wysoki ciemnoskóry mężczyzna po czterdziestce. Miał na sobie świeżo wyprasowany niebieski uniform ze złotą odznaką na piersi i naszywką o podobnym kształcie na jednym ramieniu. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. W jego kaburze przy pasie tkwił pistolet.

– Posiada pan zezwolenie na noszenie broni, Bruce? – zapytał Hunt.

– Posiada – odpowiedział Holloway.

– Nie może odpowiedzieć sam?

– Nie.

– Przecież jest dorosłym mężczyzną.

– Nie, dopóki pracuje dla mnie.

Patrząc na Bruce'a, Hunt uniósł brew, przekrzywił głowę i wzruszył ramionami.

– Badamy prawdopodobny związek między sprawą kryminalną a jednym z zatrudnianych przez pana ludzi. Potrzebny jest nam wykaz nazwisk i akta osobowe wszystkich pańskich pracowników ochrony, zwłaszcza tych z centrum handlowego.

– Jakiego rodzaju to sprawa?

– Chcielibyśmy dostać te nazwiska.

Adwokat pochylił się nad biurkiem.

– Pouczyłem mojego klienta, aby nie odpowiadał na żadne pytania bez stosownego nakazu sądowego.

Holloway rozłożył ręce w geście, który miał sugerować, że nie ma wyboru.

– Czy to pana ostateczne stanowisko? – Hunt spojrzał w oczy adwokatowi.

– Tak.

– Czy pouczy pan swego klienta o konsekwencjach utrudniania śledztwa?

– Oczywiście – odparł prawnik.

– Powinien być przygotowany na niejedną taką wizytę. Śledztwo jest w toku.

Na twarzy Hollowaya pojawił się zawodowy uśmiech.

– Poza salą sądową nie mamy sobie nic do powiedzenia, detektywie Hunt – oznajmił. – Ani na temat moich pracowników, ani na temat śledztwa, czy też pańskich niebywale chybionych decyzji. Ani na temat Katherine Merrimon i tego niewychowanego gówniarza, jej syna.

Hunt wytrzymał jego spojrzenie, po czym obrócił się na pięcie.

– A tak swoją drogą – dodał Holloway. – Chyba powinien pan wiedzieć, że Katherine Merrimon nadal nie chce mnie widzieć. Zmieniła zamki w drzwiach. Histeria, jak zwykle.

Hunt zawrócił i podszedł do biurka.

– Doprawdy?

– Dziś rano wystosowaliśmy nakaz eksmisji. W ciągu trzydziestu dni znajdzie się na bruku.

– Poradzi sobie.

– Czyżby?

Pole widzenia Hunta zawężyło się i miał przed oczyma już tylko lśniący uśmiech Hollowaya. Poczul szarpnięcie za rękaw marynarki i uświadomił sobie, że to Yoakum.

– Daj spokój, Clyde.

Yoakum odwrócił się w stronę wyjścia, ale Hunt nie ruszył się

z miejsca. Zerknął na Bruce'a, potem znów na gospodarza.

– Czy wszyscy pańscy ochroniarze noszą broń?

– Nie będę odpowiadał na pańskie pytania – odparł Holloway. – Myślałem, że wyraziłem się jasno. On też nic panu nie powie.

Bruce miał zaciśnięte usta i stał wyprężony jak struna, ale gdy jego szef odwrócił wzrok, położył jeden palec na rękojeści pistoletu.

– Miłego dnia, panowie detektywi. – Adwokat pochylił głowę. – Recepcjonistka z przyjemnością podbije wam kartę parkingową.

Policjanci ruszyli w stronę wyjścia. Z początku stąpali bezgłośnie po dywanie, potem ich kroki zastukały po drewnianym parkiecie. Drzwi windy rozsunęły się przed nimi, a potem zamknęły.

– Ładne biuro – stwierdził Yoakum. Hunt milczał, zaciskając pięści. – Ładny widok.

Minęli recepcjonistkę. Odprowadziła ich wściekłym spojrzeniem – zignorowali ją. Znaleźli się na chodniku, w cieniu ogromnej bryły budynku, który wznosił się nad nimi. Powietrze było naładowane elektrycznością i w głosie Hunta zdawała się wzbierać taka sama niepoohamowana energia.

– Zauważyłeś to? – zwrócił się do przyjaciela.

– Zauważyłem.

– Jego ochroniarze noszą.

– Ale nie wszyscy.

– Ale jeden.

– Tak.

– Jeden z nich nosi broń.

Szli do samochodu, a wiatr trzepotał nogawkami ich spodni. Mundur, odznaka i broń. Trzynastoletni chłopiec mógł pomylić kogoś takiego z policjantem. To było oczywiste. To było jasne jak słońce.

Gdy dotarli do samochodu, Yoakum oparł obie ręce o dach. Hunt stał przy drzwiach po drugiej stronie, a za jego plecami ciągnęła się opustoszała ulica.

– Muszę ci coś powiedzieć – odezwał się Yoakum. – I nie chciałbym wytrącić cię tym z równowagi.

– Co takiego?

– Tak naprawdę nie musimy oglądać tych akt osobowych.

– Mogłyby nam pomóc.

– Ale nie są nam potrzebne.

Hunt wzruszył ramionami.

– Chciałem się z nim spotkać. Chciałem, żeby wiedział, że kogoś szukam.

– To nie jest wystarczający powód.

– Chyba masz rację.

– To po co w ogóle tu przychodziliśmy? Po co wciągaliśmy w to Hollowaya, skoro nie było takiej potrzeby? Wiedziałaś, że nie będzie chciał odpowiadać na twoje pytania. On cię nienawidzi.

Hunt, mrużąc oczy, obejrzał się w stronę biurowca.

– Wsiadaj – powiedział.

Zatrzasnęli drzwi samochodu i wycie wiatru ucichło.

– On zadzwoni do swoich ludzi. To do niego podobne – stwierdził Yoakum, tymczasem Hunt uruchomił silnik. – Pewnie teraz wisi na telefonie.

– Możliwe. – Hunt wrzucił bieg, zerknął w lusterko i włączył się do ruchu.

– Wrabiasz go – kontynuował Yoakum. – On zadzwoni do swoich ludzi, a ty oskarżysz go o utrudnianie śledztwa.

Hunt nic nie odpowiedział. Jechał w stronę centrum handlowego.

Ponura betonowa bryła centrum handlowego odcinała się na tle zachmurzonego nieba. Szklane drzwi połyskiwały całą gamą barw, kiedy ze środka wysypywali się w pośpiechu ludzie, którzy chcieli zdążyć do domu przed deszczem. Hunt przecisnął się przez zatłoczony parking, kierując się na tyły budynku. Kiedy skręcał za róg, o przednią szybę uderzyło kilka ciężkich kropel deszczu. Jadąc wzdłuż rampy załadunkowej, mijał kontenery na śmieci i stare samochody.

W połowie tylnej ściany budynku gwałtownie zahamował i błyskawicznie otworzył drzwi.

– Co robisz? – krzyknął za nim Yoakum, ale on już zdążył wysiąść.

– Proszę pani!

Hunt szedł w kierunku kobiety, która pochylała się, stojąc na brzegu

najbliższej rampy. Miała koło sześćdziesiątki, była drobna i wyglądała elegancko. Jej srebrzystobiałe włosy opadały na kołnierz drogiej sukienki.

– Jestem detektyw Hunt. – Policjant uśmiechnął się przyjaźnie, pokazując odznakę. – Pani wybaczy, że niepokoję.

– W czym mogę pomóc? – zapytała kobieta.

Diament w jej naszyjniku wyglądał na prawdziwy i mógł mieć dwa karaty.

Parę kolejnych kropel deszczu rozprysło się na asfalcie.

– Nie mogłem nie zauważyć... – Hunt wskazał na puszkę, którą kobieta trzymała w dłoni.

– Tuńczyk – wyjaśniła zakłopotana.

Przechyliła puszkę. Wieczko było oderwane, zawartość wyglądała na popsutą. Kobieta wykonała gest w stronę nabrzeża rampy, gdzie właśnie położyła porcję ryby.

– Mamy tu taką kochaną kicię. A nie mogę patrzeć, jak jedzenie gnije w śmietniku.

– Czyżby znudził się jej tuńczyk? – Hunt kiwnął głową w kierunku zepsutej konserwy.

– Nie widziałam jej od paru dni.

– Jak wygląda ten kot? – zapytał i uśmiechnął się, widząc jej wahanie i zakłopotaną minę. – Jeśli można spytać. Też jestem miłośnikiem kotów.

Kobieta rozpromieniła się i zrobiła krok w jego stronę.

– Jest brązowa, pręgowana, ma dwie białe łapki, a oczy się jej świecą jak złoto. – Uniosła oba ramiona i uśmiechnęła się szeroko. – Tyle w niej życia.

Hunt wszedł po schodach na rampę.

– Czy możemy wejść do środka przez pani sklep?

– No, nie wiem...

– Nalegam.

Był to sklep odzieżowy. Hunt i Yoakum przeszli przez zaplecze, minęli przymierzalnie i nie zwracając uwagi na zdumione spojrzenia klientek, skierowali się w stronę ruchomych schodów.

– Clyde, zwolnij trochę – odezwał się Yoakum.

Pomimo burzy galerię wciąż wypełniał tłum. Rodziny z dziećmi przewalały się kolorowymi i hałaśliwymi falami.

– Clyde! – Yoakum przeciskał się za Huntem, który torował drogę przez ciżbę.

– To jest ten facet.

– Jaki facet? O kim ty mówisz?

– Właśnie tak wyglądał kot, którego podrzucono do domu Johnny'ego. Brązowy i pręgowany, z dwiema białymi łapkami. Ten facet jest stąd.

– Kto to jest?

– Któryś z ochroniarzy, który nosi broń.

– Policjant Johnny'ego.

Hunt pędem wpadł na ruchome schody i dostał się nimi do części restauracyjnej. Przecisnął się między grupkami klientów i stanął przed drzwiami z napisem „Ochrona”. Były zamknięte. Nacisnął klawisz interkomu.

– Ochrona, słucham?

Hunt rozpoznał ten głos. To był Steve.

– Tu detektyw Hunt. Otwórz drzwi.

– Czy jest jakiś problem?

Hunt uderzył otwartą dłonią w zimny metal.

– Otwieraj te drzwi, do jasnej cholery!

Zamek zabrzęczał i Hunt wpadł na schody. Biegł, przeskakując po dwa stopnie naraz, a za nim podążał Yoakum. Na półpiętrze obydwaj wyciągnęli pistolety. Steve czekał na nich u szczytu schodów; za jego plecami widniały uchylone drzwi.

– Z drogi, Steve! – krzyknął Hunt.

– Zaraz, spokojnie. – Steve uniósł ręce na widok wymierzonej w siebie broni.

Wpadli do dyżurki. Gruby ochroniarz siedział wpatrzony w monitory, a drugi stał pod przeszkloną ścianą, która wychodziła na część restauracyjną galerii. Obydwaj stali nieruchomo, zaskoczeni i wystraszeni. Żaden z nich nie był uzbrojony.

– Biuro. – W rogu pomieszczenia Hunt zauważył zamknięte drzwi i okna z opuszczonymi żaluzjami.

– Ty tam. – Kiwnął palcem na stojącego ochroniarza. – Siadaj.

Mężczyzna opadł na najbliższe krzesło, a Hunt wskazał drzwi biura. Yoakum ustawił się z boku, aby ubezpieczać partnera. Steve przyglądał

się im osłupiałym wzrokiem.

– Czy ktoś jest w środku? – spytał Hunt.

– Pan Meechum? Nie ma go.

– Kto to jest Meechum?

– Nasz szef.

Hunt gestem dłoni kazał Steve’owi odejść od drzwi, a potem spojrzał na Yoakuma, policzył od trzech. Drzwi otworzyły się bez oporu i obaj weszli do pustego wnętrza.

– Przecież mówiłem. – Steve stanął w przejściu. – Pan Meechum właśnie wyszedł.

– Kiedy?

– Może pięć minut temu.

– Jak on wygląda? – zapytał Hunt.

– No nie wiem. Sześćdziesiąt pięć lat. Szczupły, ale silny. Rzadkie włosy, złamany nos. Palant.

– Czy nosi broń? Chodzi w mundurze?

– Zazwyczaj jest w jeansach i sportowej koszuli. Ale nosi pistolet przy pasku. Jako jedyny ma pozwolenie.

– Jaki?

– Co, jaki?

– Jaki pistolet? Jaki kaliber?

– Czterdziestkapiątka, jak przypuszczam.

Hunt napotkał porozumiewawcze spojrzenie Yoakuma. Takiego samego kalibru była łuska znaleziona w samochodzie Davida Wilsona.

– A nosi też kajdanki? – odezwał się Yoakum.

– Wszyscy nosimy.

– John. – Hunt pokazał partnerowi biurko. Było stare, odrapane i nie zwracało uwagi niczym szczególnym. Na jego blacie stał rząd monitorów podłączonych do systemu telewizji przemysłowej. Na trzech z nich widniał obraz z kamer w części restauracyjnej. Wszystkie trzy były skierowane w jedno miejsce i pokazywały stolik, przy którym siedziała grupka dziewcząt, może czternastoletnich, może młodszych. Obraz był przybliżony i Hunt widział dokładnie aparaty korekcyjne na ich zębach, dołki w policzkach, roześmiane twarze, falujące włosy. – To on.

Yoakum pochylił się nad biurkiem.

- A to skurwysyn.
 - Dlaczego pan Meechum wyszedł? – zapytał Hunt. Był absolutnie pewny, że się nie myli.
 - Odebrał telefon od pana Hollowaya – odpowiedział Steve bez wahania. – Nie wiem, w jakiej sprawie, ale sam łączyłem tę rozmowę.
 - Kiedy?
 - Dopiero co. Tuż przed tym, jak tu weszliście.
 - Steve – odezwał się Hunt. – Będzie nam potrzebny adres pana Meechuma.
 - Adresu nie znam, ale dojdziecie do jego domu w dwie minuty.
 - Jak to? – zdziwił się Hunt.
 - Mieszka tuż za galerią. Parę krzaków, jakiś rów albo dwa i już stoicie pod jego kuchennymi drzwiami.
 - Pokaż mi drogę.
 - Teraz?
 - Natychmiast.
- Steve oblizwał wargi i potoczył nerwowym wzrokiem po ścianach biura.
- Naprawdę?
 - Tak – odparł Hunt i jego ręka opadła ciężko na ramię Steve'a. – Naprawdę.

Zimny deszcz uderzył Hunta w twarz, kiedy otworzył drzwi prowadzące na tylny parking. Krople zacinały pod kątem, tworząc nad asfaltem mgiełkę wodnego pyłu. Widoczność była ograniczona, jak gdyby jakaś siła wysysała światło z powietrza. Nieopodal przejechał samochód – wycieraczki zamaszystymi ruchami zgarniały potoki wody z jego zaparowanej szyby.

- Gdzie? – zapytał Hunt, przekrzykując szum deszczu.
- Steve wskazał palcem kierunek. Za nimi szczęknął zamek zatraskujących się drzwi.
- Tam. Między tymi drzewami.
- Hunt zauważył dwa niewysokie cedry rosnące na skraju rowu melioracyjnego, który biegł w poprzek placu.
- Tam jest ścieżka – wyjaśnił Steve. – To niedaleko.
 - Zaprowadź mnie tam.

– Człowieku. – Steve spojrział na ścianę deszczu. – Przez ciebie nie tylko się przemoczę, ale i umoczę.

Nikommu nie było do śmiechu.

– Idziemy – zakomenderował Hunt.

Rzucili się biegiem przez strumienie wody spływające po bruku, przecisnęli się między zaparkowanym SUV-em chevroletem a rozbitym fordem z oknem zaklejonym folią. Rów był już zalany. Z wartkim strumieniem ciemnej wody spływały opakowania po fast foodach, foliowe worki i pudełka po papierosach. Pod drzewami zaczynała się wąska ścieżka, która biegła prosto wzdłuż wysokich chwastów porastających opuszczony plac.

Yoakum położył dłoń na ramieniu partnera.

– Wzywać posiłki? – spytał, wyciągając krótkofalówkę.

– Nie będziemy czekać.

– I dobrze. – Yoakum schował radio do kieszeni i przeładował pistolet. – Nienawidzę czekać.

– Który to dom?

Steve wychylił się w lewo, by spojrzeć między drzewami. Do zachwaszonego placu przylegał rząd niewielkich domów. Hunt widział ich podwórza z wąskimi tarasami, a na nich podniszczone grille i kilka rowerów. Steve znów wyciągnął rękę.

– Widzisz ten szary dom z czerwonym rowerem pod ścianą?

– Tak.

– To trzeci na lewo od niego.

Hunt policzył posesje i zobaczył niskie ogrodzenie pokryte złuszczoną farbą, w rogu którego sterczał uschnięty ostrokrzew. Żadnych świateł w oknach. Żadnego ruchu.

– Czy on mieszka sam?

– Tak myślę – odparł Steve.

– Zostajesz tutaj – oznajmił Hunt, po czym zwrócił się do Yoakuma. – Jesteś gotowy?

– W każdej chwili.

Przeskoczyli rów i trzymając broń, zgięci w pół, dopadli do ściany zarośli. Ścieżka była rozmokła i śliska, a wybujałe zielska dotykały ich długimi wilgotnymi mackami. Gdzieś w oddali rozległ się grzmot.

Przykucnęli za ostatnią kępą chwastów, za którą zaczynała się nieosłonięta przestrzeń podwórza za domem Meechuma. W powietrzu unosił się dziwny chemiczny zapach.

Ostatnie kilka metrów pokonali biegiem i przyłgnęli plecami do ściany pod największym z okien. Z zatkanych studzienek odpływowych były strumienie wody. Chemiczny zapach stał się silniejszy i przypominał swąd spalenizny. Hunt uniósł głowę do okna. Zastony były zaciągnięte, ale pośrodku między nimi została szczelina. Widać było przez nią salon, obskurne pomieszczenie z niskim sufitem zastawione starymi meblami. Na podłodze leżał żółto-pomarańczowy dywan, a ściany pokrywała tania sosnowa boazeria. Meechum wyglądał tak, jak opisał go Steeve. Żyłasty i przygarbiony pochylał się nad komputerem, a na jego koszuli widniały ciemne plamy potu. W kominku stertę dysków komputerowych trawił ogień.

– Pali dowody – powiedział Hunt, osuwając się w dół i obracając się w stronę tylnych drzwi. – Ty idź od przodu. Wchodzimy za sześćdziesiąt sekund.

Yoakum zaczął się skradać wzdłuż ściany budynku i Hunt został sam w strugach deszczu. Zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie przez okno salonu. Włosy na głowie Meechuma sterczały na wszystkie strony. Mężczyzna z impetem stukał palcami w klawiaturę, potem uderzył otwartą dłoń w obudowę komputera. Hunt nie zauważył opartej o biurko siekiery, dopóki Meechum po nią nie sięgnął. Miała stylisko z białego orzecha i poza wąskim, połyskującym srebrzyście paskiem ostrza była pokryta rdzą. Meechum uniósł ją wysoko. Rysy jego twarzy stężały, a oczy i usta zamieniły się w wąskie szparki. Potem siekiera opadła i rozległ się trzask pękającego plastiku i tłuczonego szkła. Komputer. Jasny szlag.

Hunt zerwał się i podbiegł do tylnego wejścia. Nacisnął klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz. Napał ramieniem i poczuł, że drewno jest cienkie i kruche. Futryna rozpadła się w drzazgi pod jego ciężarem i znalazł się w kuchni. Jego zabłocone buty ślizgały się po linoleum. Kątem oka dostrzegł ruch w drzwiach prowadzących do salonu i skierował w tamtą stronę lufę pistoletu.

– Policja! – krzyknął, wchodząc. – Policja!

W obudowie komputera ziała wybita dziura, a nad nim z uniesioną siekierą stał Meechum. Zastygł w bezruchu, patrząc na wymierzoną broń. Hunt dostrzegł panikę w jego oczach.

– Nie rób tego – powiedział i wszedł do salonu, zmieniając kąt linii ognia.

Wewnątrz śmierdziało spalonym plastikiem. Meechum potrząsała głową. Wyglądał jak jaszczur wystawiający język.

– Odłóż siekierę.

Hunt rozejrzał się za Yoakumem i w tym momencie od strony frontowych drzwi dobiegł go odgłos tłuczonego szkła.

– Odłóż to – powtórzył.

Twarz mężczyzny wykrzywił grymas. Jego klatka piersiowa zafalowała, gdy z kominka uniósł się kłęb czarnego dymu. Po jego minie widać było, że podjął już decyzję, nawet kiedy kątem oka zauważył ruch w drzwiach za sobą. Hunt dostrzegł błysk metalu, kiedy Yoakum z wyciągniętą przed siebie bronią wpadł do salonu.

Meechum wygiął plecy, unosząc siekierę jeszcze wyżej.

– Nie! – krzyknął Hunt, ale było już za późno.

Meechum zamachnął się, a Yoakum strzelił mu prosto w serce. Mężczyzna upadł na twarz, jego palce zaciśnięte na stylisku siekiery zadrgały konwulsyjnie. Hunt podbiegł do kominka i kopnięciem wyrzucił dyski z ognia. Złapał pogrzebacz, wetknął go głęboko w palenisko i wyciągnął płonący plastik, próbując uratować, co się da. W końcu Yoakum przyłączył się do niego. Pięć dysków zachowało się w nienaruszonym stanie, a kolejny tuzin był lekko osmalony. Dziesięć uległo zniszczeniu – nie było nadziei na odzyskanie danych.

Hunt cofnął się. Buty miał czarne od sadzy, w gardle czuł pieczenie. Przyjrzał się Yoakumowi, na którego twarzy malował się spokój.

– Musiałeś go zabijać?

Yoakum spojrzał na ciało.

– Zamierzał się na ciebie siekierą.

– Zamierzał się na komputer.

Mina Yoakuma nie wyrażała ani żalu, ani skruchy.

– Zły kąt – stwierdził. – Moje pole widzenia było ograniczone. Nie widziałem, czy masz uniesioną broń, czy nie. Kiedy wszedłem, brał

zamach. Myślałem, że cię atakuje.

– Szkoda, że go zabiłeś.

– To było uzasadnione użycie.

Hunt milczał przez moment. Był bardzo spokojny.

– Nie powiedziałem, że nie było.

– To było uzasadnione.

W salonie unosił się coraz mocniejszy zapach krwi. Yoakum schował broń do kabury. Jego ciemne oczy połyskiwały szkliście.

– Czysta sprawa – powiedział i wyszedł.

Pięć minut później przybyły posiłki, a wraz z nimi naczelnik zadający pytania, z których żadne nie było łatwe. Dom wypełnił się policjantami. Burza wciąż szalała. Przed zachodem słońca ciało odjechało do kostnicy, a dyski zostały spakowane i przekazane najlepszemu informatykowi w wydziale. Naczelnik wezwał Hunta i Yoakuma do kuchni.

– Jeszcze raz. Przekonajcie mnie, że to ten facet.

– Uważamy, że miał powiązania z Burtonem Jarvisem.

– Dlaczego?

– Skradzione tablice rejestracyjne. Martwy kot z centrum handlowego.

W notatkach Johnny'ego Merrimona...

– Nie opowiadaj mi o notatkach tego dzieciaka.

– Jego rysopis się zgadza. – Hunt nie dawał za wygraną. – Wiek, wzrost, kolor włosów. Przechodziliśmy to już trzy razy.

– Przejdziemy jeszcze raz.

Hunt wypełnił polecenie szefa i wszystko powtórzył. Naczelnik słuchał i nie przerywał.

– Ocaliliśmy kilka dysków – podsumował Hunt. – Twardy dysk komputera wygląda na nienaruszony. To nam powinno więcej wyjaśnić.

Naczelnik zmierzył wzrokiem obu policjantów.

– Chcę was obu widzieć na posterunku – oświadczył. – Chcę dostać wasze raporty. A prócz tego, żeby żaden z was nie ważył się z nikim rozmawiać na ten temat. Ani między sobą, ani z waszymi dziewczynami, ani z innymi policjantami. Czy się rozumiemy?

– Tak.

Szef pokazał im drzwi.

– Raporty. Teraz.

– Teraz mam ochotę na piwo – odparł Yoakum. – Czy raporty mogą poczekać do jutra?

Naczelnik nie wyglądał na rozbawionego.

– Raporty – powtórzył. – Od was obu. Osobno. A potem macie wracać do domu i się przespać. Jutro będę się zastanawiał, co da się ulepić z tej kupy gówna.

– Z kupy gówna – powtórzył Yoakum ledwie dosłyszalnym głosem.

– Jak ty to określiłeś? – Naczelnik zwrócił się do Yoakuma.

– Że to było uzasadnione użycie.

Naczelnik oparł ręce na biodrach i wysunął do przodu miękką okrągłą zuchwę.

– Facet został zastrzelony we własnym salonie. Lepiej, żeby było bardzo uzasadnione.

Hunt odjechał swoim samochodem, a Yoakum dostał rozkaz, aby wrócić radiowozem.

– Nie za dobrze to wygląda – stwierdził Yoakum, ale obaj zdawali sobie z tego sprawę.

Szef nie chciał, aby podczas jazdy uzgodnili, co napisać w raportach. Chciał, żeby byli spontaniczni i nieprzygotowani. Kiedy Hunt przybył na posterunek, nigdzie nie zauważył swego przyjaciela. W drzwiach powitał go oficer Matthews z wydziału spraw wewnętrznych. Był nowy, Hunt znał go tylko z widzenia i słyszał krążące o nim opinie. Uchodził za inteligentnego i przyzwoitego faceta. Miał blade oczy i wykrzywione w wyrazie dezaprobaty usta. Kiedy prowadził Hunta do pustej sali konferencyjnej, lekko utykał. Początkowo zadawał standardowe pytania w rodzaju tych, jakie padają się po każdym użyciu broni, a jeżeli były one dłuższe niż zwykle, to tylko dlatego, że strzał okazał się śmiertelny. Nie stanowiło to dla Hunta problemu. Już to kiedyś przechodził.

Po trzydziestu minutach przesłuchanie przybrało niespodziewany obrót.

– Pan i detektyw Yoakum jesteście przyjaciółmi, prawda?

– Pracujemy jako partnerzy.

– Nie o to pytałem, detektywie.

- John Yoakum jest moim przyjacielem.
- Czy widział pan kiedyś, aby detektyw Yoakum używał broni w gniewie?
- Nie. Oczywiście nie.
- Czy kiedykolwiek dopuścił się nadmiernego użycia siły?
- Zakres użycia siły to kwestia oceny sytuacji. Detektyw Yoakum zawsze dokonywał tej oceny bezbłędnie.
- To pańska opinia?
- Tak.
- Jako jego przyjaciela?
- Jako detektywa prowadzącego z wydziału zabójstw – odparł Hunt, czując, że robi mu się gorąco. – Jako funkcjonariusza z siedemnastoletnim stażem. Czy już skończyliśmy?
- Jeszcze kilka pytań.
- To przejdźmy do rzeczy.
Matthews zastukał długopisem o blat i rozparł się na krześle.
- Czy detektyw Yoakum był dzisiaj w pańskim biurze?
- Tak.
- O czym rozmawialiście?
Cierpliwość Hunta się kończyła.
- Ostatnio mamy do omówienia więcej niż kilka rzeczy.
Kąćki ust Matthews'a uniosły się, ale jego oczy pozostały bez wyrazu. Znowu zabębnił długopisem o stół.
- Tiffany Shore. Zamordowane dzieci. – Jego głos miał taki ton, jakby mówił o handlarzu trawki albo o fotoradarach.
- Daję panu dokładnie minutę – oświadczył Hunt. – Potem wychodzę.
Matthews pochylił się do przodu.
- Czy będąc dzisiaj w pańskim biurze, detektyw Yoakum powiedział, że ktoś powinien zapłacić głową za to, co stało się tym dzieciom? – zapytał.
Hunt milczał.
- Czy powiedział coś takiego?
- Myślę, że skończyliśmy. – Hunt wstał.
- Nie odpowiedział pan na moje pytanie.
- To, co zostało albo nie zostało powiedziane w moim biurze, nie ma wpływu na to, co dzisiaj zaszło. Meechum miał siekierę i Yoakum zrobił

to, co uznał za słuszne.

– Jest pan tego pewien, detektywie? – Matthews odchylił się w tył na krześle, dotykając oparciem ściany. Hunt nie dostrzegł zadowolenia na jego twarzy. – Proszę to przemyśleć.

Nie zamieniwszy z nikim słowa, Hunt wyszedł z posterunku. Jego zegarek pokazywał dziewiętnastą, kiedy znalazł się na ulicy i ruszył w strugach deszczu do samochodu. Wewnątrz było duszno i wilgotno. Jego ręce automatycznie wsunęły kluczyk do stacyjki i spoczęły na kierownicy. Rozejrzał się w poszukiwaniu ekip telewizyjnych, ale żadnej nie zauważył. Być może odstraszała je pogoda.

Ktoś podstuchał.

Przez zamknięte drzwi biura ktoś słyszał słowa Yoakuma.

Zacisnął palce na kierownicy i odtworzył w pamięci całą sytuację. Siekiera w górze, Yoakum wpada do salonu, kiedy ostrze zaczyna opadać. Wszystko wyglądało tak samo, ale wydawało się inne. A może było inne?

Po minucie Hunt zadzwonił do domu. Po siedmiu sygnałach usłyszał w tle muzykę. Starał się ukryć swoje zmęczenie i niepokój.

– Cześć, Allen.

– Co?

– Jadłeś już kolację?

– Palę kokę i oglądam pornola. A co ci do tego?

Hunt stłumił emocje.

– Niedługo będę w domu – powiedział. – Chcesz, żebym ci coś przyniósł?

Przez szybę zauważył Yoakuma, który właśnie wychodził z posterunku. Spojrzał na Hunta i wymierzył w niego dwa palce, jakby celował z pistoletu. Hunt zamrugał światłami, a Yoakum szarpnął dłonią, markując wystrzał, i poszedł do swojego samochodu, nie zwracając uwagi na deszcz.

– Chińszczyznę – odparł Allen. – Ale bądź nie wcześniej jak za godzinę.

Yoakum otworzył drzwi samochodu i je zatrzasnął. Znajdowali się na przeciwległych krańcach parkingu i patrzyli na siebie.

– Czemu za godzinę?

– Bo teraz robię sobie dobrze.

Hunt był zmęczony próbami przebicia muru, który rósł między nimi, z każdym dniem coraz wyższy i twardszy.

Yoakum usiadł za kierownicą i Hunt poczuł, kiedy uruchomił silnik.

– A co powiesz na kino, kiedy już zjemy? Tak jak kiedyś?

– Myślę, że nie.

– Tak po prostu nie chcesz?

– Tak jakby.

Kiedy Allen się rozłączył, Yoakum wyjeżdżał właśnie z parkingu. Hunt zamknął klapkę telefonu i odprowadził go wzrokiem. Powinni porozmawiać, ale Hunt nie był na to gotowy. Jeszcze nie teraz. I jeszcze długo nie. Miał godzinę, a do Katherine było tylko dziesięć minut jazdy. Pomyślał o tym i uruchomił silnik. Przez osiem kilometrów przestrzegał ograniczeń prędkości, a koła trzymały się pewnie szklistej nawierzchni, ale dojeżdżając do granic miasta, zauważył, że mocniej naciska gaz. Uderzające o asfalt krople zamieniały drogę w rzekę czarnej mgły. Uzmysłowił sobie, że chce ją zobaczyć. W tym momencie pragnął tego bardziej niż czegokolwiek innego.

Samochód pokonał ostatnie wzgórze i reflektory wydobyły z mroku rząd niewielkich budynków w dole. Stały w równych odstępach, a ich bure, rozświetlone od środka sylwetki odcinały się na tle ściany lasu. Dom Katherine wyglądał inaczej. Hunt zwolnił i pochylił głowę, aby lepiej widzieć przez lekko zaparowaną szybę. Podjazd był pusty, gdyż jej samochód wciąż znajdował się w depozycie, ale wzdłuż ulicy stały wozy transmisyjne. Naliczył ich dwanaście.

Hunt kręcił głową, przejeżdżając obok nich. CNN, FOX, WRAL i kilka innych. Skręcił przed dom, a wtedy jak na komendę rozsunęły się drzwi wszystkich furgonetek i na zewnątrz wylegli reporterzy. Byli zbyt rozsądni, by wejść na podwórko Katherine, ale zadawali pytania, stojąc przy ulicy, kiedy tylko Hunt wyszedł na deszcz.

– Czy odnalazł pan już Johnny’ego Merrimona?

– Czy to prawda, że chłopiec naprowadził pana na ślad seryjnego mordercy?

Kamery były zabezpieczone przed taką pogodą, a członkowie ekip mieli na sobie peleryny przeciwdeszczowe, ale i tak wszyscy szybko przemokli. Wciąż bezładnie wykrzykiwali pytania, nie dbając choćby o pozory przyzwoitości. Stali w deszczu, tymczasem Hunt ruszył w stronę domu.

– Detektywie, czy to prawda, że znaleziono siedem ciał?

To był facet z Kanału Dziewiątego. Hunt rozpoznał go po głosie.

– Czy jest wśród nich Alyssa Merrimon?

Głośniej.

– Detektywie? Detektywie?

Pytania padały coraz szybciej, reporterzy przekrzykiwali szum deszczu. Hunt odwrócił się do nich plecami. Katherine otworzyła drzwi, kiedy zapukał po raz drugi. Stała w progu, drobna, blada i piękna.

Na ulicy zawrzało.

– Pani Merrimon...

Hunt zasłonił ją sobą przed kamerami. Jej uśmiech nie był tak wymuszony, jak się tego obawiał.

– Mogę wejść? – zapytał.

Wpuściła go do środka i zamknęła drzwi.

– Czy coś wiadomo o Johnnym?

– Jeszcze nie.

Kobieta odeszła na bok, a Hunt zdjął przemoczoną marynarkę. W domu paliła się tylko jedna lampa. Na małym stoliku obok sofy stał kubek z wystygłą kawą. Katherine uchyliła zasłonę i wyjrzała na zewnątrz.

– Czy to prawda? – zapytała, zerkając na niego jednym okiem, po czym obejrzała się za siebie. – To, co mówią?

– A co mówią?

– Że znaleźliście zbiorowy grób. Że nigdy byście na niego nie natrafili, gdyby nie Johnny?

– To prawda

– Boję się spytać.

– Nie mamy powodów, aby przypuszczać, że jedną z ofiar jest Alyssa. Ale...

– Ale co? – Katherine odwróciła się od okna.

– Jeszcze nie odkopaliśmy wszystkich ciał. Byliśmy zmuszeni przerwać ekshumację z powodu deszczu.

– A więc jutro?

– Jutro się przekonamy.

Kobieta objęła swój tułów rękami.

– Mogę panu zaproponować kawę? Albo herbatę? Nie mam nic mocniejszego.

– Kawa to świetny pomysł – odparł Hunt. Jej głos brzmiał okropnie, ale i tak była w lepszym stanie, niż się spodziewał. – Mam tylko parę minut.

Katherine nalala kawy do kubka i wręczyła mu go.

– I nadal nic? Ani słowa?

Hunt wiedział, że pytanie dotyczy Johnny'ego.

– Niestety. Przykro mi.

Stała przy oknie, patrząc na szalejącą za szybą burzę. Potem usiadła na sofie, a Hunt zajął miejsce obok niej.

– To dzielny chłopiec – dodał. – Wciąż go szukamy.

– Może pan zrobić coś więcej? Cokolwiek? Ogłosić alarm?

– Takie rzeczy robi się, kiedy istnieją niepodważalne dowody świadczące o porwaniu, a my uważamy, że pani syn nie został porwany. Wszystko wskazuje na to, że oddalił się z własnej woli. Zważywszy na jego dotychczasowe zachowanie...

Katherine zacisnęła powieki i uderzyła się pięściami w uda.

– Johnny... – Kręciła głową. – Do cholery, Johnny. Gdzie jesteś?

– Jest inteligentny. Nic mu nie będzie. Znajdziemy go.

Kiedy Katherine otworzyła oczy, jej twarz połyskiwała jak szkło. Hunt zauważył, że to ona kieruje rozmową i popycha ją do przodu.

– Ken był tu dzisiaj trzy razy.

Hunt starał się nie dać po sobie poznać zmartwienia, które nagle go ogarnęło.

– Myślałem, że dał sobie spokój. Tak przynajmniej powiedział.

– Ken Holloway nie postępuje w ten sposób. Jeżeli tak panu powiedział, to skłamał.

– Jakież groźby?

– Szarpał tylko za klamkę i szeptał różne plugastwa.

– Czy pani groził? – dopytywał Hunt.

Mógł oskarżyć Hollowaya o stosowanie gróźb, połączyć to z zarzutem utrudniania śledztwa. Na kogoś takiego jak Holloway było to niewiele, ale pozwoliłoby go przymknąć, choćby na krótki czas. Utrzymać go z dala od Katherine.

– Czy możemy posiedzieć tak po prostu? – zaproponowała Katherine. – Posiedzieć sobie w spokoju?

Hunt zapanował nad gniewem i troskami.

– Pewnie – odparł.

Siedzieli na sofie, kawa stygła. Reporterzy dali za wygraną i wrócili do swoich furgonetek. Po chwili Hunt zauważył, że kobieta ściska coś w złożonych dłoniach, które trzymała między kolanami.

– Byłam dzisiaj w pokoju Johnny’ego. Wie pan...

Zawiesiła głos i Hunt zobaczył ją, jak dotyka rzeczy syna, starając się ze wszystkich sił zwalczyć strach i zwątpienie.

– Znalazłam to. – Rozprostowała palce i Hunt zobaczył plik swoich wizytówek. Były pogięte, zaplamione i rozmiękłe od wilgoci. Podniósł wzrok i napotkał jej spojrzenie. – Jest ich dziewiętnaście.

Na jej twarzy pojawiło się zrozumienie i Hunt nagle poczuł się dziwnie zażenowany.

– Chciałem, aby Johnny wiedział, że zawsze ma do kogo zadzwonić – wyjaśnił. – Gdyby działo się coś złego.

Kobieta pokiwała głową. Nie była zaskoczona jego odpowiedzią.

– Kiedy na nie natrafiłam, przeszukałam dom i znalazłam jeszcze te, które dał pan mnie. Przyznaję, wiele z nich wyrzuciłam, ale i tak zbierałam się jeszcze z tuzin.

– To moja praca.

Wyraz zrozumienia nie zniknął z jej twarzy.

– Czyżby? – zapytała, a on spuścił wzrok. – Zawsze czuwał pan nad nami.

– Każdy dobry policjant postąpiłby tak samo.

– Nie sądzę. – Otarła się o niego ramieniem i poczuł leciutkie ukłucie, kiedy przeskoczyła między nimi z trzaskiem mała niebieska iskierka. – Dziękuję.

Siedzieli w milczeniu obok siebie. Katherine podciągnęła nogi, położyła splecione dłonie na podbrzuszu i oparła głowę na jego ramieniu. Czuł jej kruchość, ciepło jej skóry i słyszał, jak zimny deszcz bębni o szybę.

– Dziękuję – powtórzyła, a Hunt bardzo ostrożnie podniósł się z sofy.

Rozdział 40

Burza szalała tak zaciekle, że Johnny nie widział, jak słońce chowa się za linię horyzontu. Deszcz był zimny i przyniósł spadek temperatury. Niebo z szarego zrobiło się granatowe, a potem niemal czarne, ale Johnny trwał w bezruchu nawet wtedy, gdy błyskawica oblała wszystko wokół oślepiająco białym światłem i powietrze rozdarł grzmot podobny do odgłosu kruszonego kamienia. Chłopiec skulił się. Siedział pod murem i patrzył, jak Levi Freemantle rzuca na grób resztki rozmokłej ziemi, wygląda ją łopata i siada. Deszcz spływał strugami po jego wielkim ciele, które zapadło się w nasiąkniętym wodą podłożu – wyglądało to, jakby dookoła niego wyrósł wał błota. Wszystko było takie nierealne.

– Johnny. – Chłopiec ledwie drgnął, kiedy jego przyjaciel pochylił się do niego nad murkiem.

– Zostawiłeś mnie – odezwał się Johnny po kilku sekundach.

Jack pochylił się jeszcze niżej.

– Zaraz tu zginiesz.

– Z błyskawicy będzie piorun.

– Co to ma znaczyć?

– Nic. Nie wiem. – Niebo rozjaśnił błysk i Johnny wskazał na stary dąb.

– To jest drzewo, na którym ich powieszono.

Jack patrzył na pokrytą naroślami korę i potężne rozłożyste konary, którymi szarpał wiatr.

– Skąd wiesz?

Johnny wzruszył ramionami.

– Nie czujesz tego?

– Nie.

– Wokół niego powstał cmentarz. U podnóża pnia są trzy nagrobki. – Johnny wyciągnął palec w tamtym kierunku. – Zobacz, jakie są małe i proste.

– Gównno teraz widać.

– Ale tam są.

– Chyba coś kręcisz, Johnny.

Chłopiec nic nie odpowiedział.

– W szopie jest piec. Rozpaliłem ogień – oznajmił Jack.

Johnny spojrział na Freemantle'a.

– Nie mogę stąd się ruszyć.

– Jesteś tu już od paru godzin. On nigdzie nie pójdzie, spójrz tylko na niego.

– Wolę nie kusić losu.

– Zastanowiłeś się nad tym? Naprawdę, przemyśl to dobrze. Człowieku, on grzebał swoje dziecko, a trumna wyglądała tak, jakby wykopał ją z jakiegoś innego grobu. Czy ty w ogóle wiesz, jak ta dziewczynka umarła? Albo dlaczego niósł ją tutaj, aby pochować na odludziu i bez świadków?

– My to widzieliśmy.

– My nawet nie wiemy, czy to rzeczywiście jego dziecko.

W dalekiej chmurze zamigotała błyskawica.

– Spójrz na niego – powiedział Johnny.

Obaj chłopcy skierowali wzrok w stronę Leviego Freemantle'a, który zapadł się w sobie przytłoczony zgryzotą tak szczerą, że nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

– A nie zadałeś sobie pytania, dlaczego on jest cały zakrwawiony albo w jaki sposób został ranny? – zapytał Jack ściszym głosem. – Albo jaki był prawdziwy powód, dla którego wtedy cię złapał?

– Bóg mu kazał.

– Nie bądź taki mądry. Kiedy ten facet przyjdzie schronić się przed deszczem, będziemy musieli się zastanowić, co z nim zrobić. Nie chcę być jedynym, który o tym myśli.

– Mam tylko jedno pytanie i zamierzam mu je zadać, kiedy z tym skończy. – Johnny wykonał ręką gest, wskazując na deszcz, grób i rozmięktą ziemię.

– A jeżeli ci nie odpowie?

– Pomogłem mu pochować jego córkę.

– A jeżeli ci nie odpowie? – powtórzył Jack, podnosząc głos.

– Daj mi broń – zażądał Johnny.

– Będziesz mu groził, to nas pozabija.

Johnny wyciągnął rękę. Jack spojrzał na siedzącego w błocie olbrzyma i rzucił rewolwer Johnny'emu. Ciężki metal był zimny i mokry.

– Jestem już blisko – stwierdził Johnny, ale Jack już sobie poszedł.

Chłopiec patrzył na Leviego, na spadające z nieba krople i mokrą ziemię. Po minucie włożył rękę do kieszeni, a kiedy ją wyjął, trzymał w niej małe pogniecione białe pióro. Przyglądał mu się przez długą chwilę, aż całkiem oklapło na deszczu. Zastanawiał się, czy go nie wyrzucić, ale w końcu zacisnął palce i czekał, z rewolwerem w jednej dłoni, a z ostatnim piórem w drugiej.

Parę godzin później błyskawice coraz rzadziej rozjaśniały niebo na północy. Las ociekał wodą. Freemantle poruszył się po raz pierwszy od czasu, gdy skończył wygładzać ziemię na grobie swej córki. Podniósł głowę i patrzył na gnane wiatrem chmury, przez które przezierał blask księżyca. Jack już nie przychodził błagać przyjaciela, aby schronił się przed deszczem. Godziny upływały powoli wśród błysków i grzmotów, zacinał zimny deszcz. Johnny czuł za plecami twarde kamienie muru. Byli tylko oni i siedzieli nieruchomo pięć metrów od siebie.

Johnny wepchnął pióro z powrotem do kieszeni i schował broń pod koszulę. Freemantle podniósł się ciężko z ziemi i patrzył w kierunku, w którym odeszła burza.

– Myślałem, że uderzy – powiedział.

W ciemności jego oczy wyglądały jak zapuszczone atramentem, a głęboka szczelina ust wyrażała zdumienie i rozczarowanie. Minęła północ i mieli już sporo za sobą. Freemantle podniósł porzucony but i podpierając się łopata jak kulą, przeszedł obok Johnny'ego.

– To bez znaczenia. Wszystko skończone.

– Muszę z panem porozmawiać.

– I ja jestem skończony.

Biała furtka bezgłośnie zakołysała się na zawiasach. Freemantle stąpił powoli, a Johnny podążał w ślad za nim.

– Proszę.

– Jestem zmęczony.

Zmęczony i chory – pomyślał chłopiec. Czuł woń zakażenia, którą

olbrzym roztaczał wokół siebie. Kiedy byli już blisko szopy, Freemantle potknął się i Johnny odruchowo wyciągnął rękę, ale wyglądało to tak, jakby próbował podeprzeć walące się drzewo. Dotknął twardej i rozpalonej skóry. Mężczyzna omal się nie przewrócił.

– Zmęczony – powtórzył i weszli do środka.

Wewnątrz chłopiec zobaczył słomę leżącą na zakurzonej klepisku, metalowe narzędzia i dwie duże latarnie, które wisiały na łańcuchach. Na progu uderzyła ich fala gorąca. W rogu na kamiennych płytach stał żeliwny piec. Miał zaokrąglone boki, a na ruszcie żarzył się węgiel. Jack leżał na kupie słomy, a pod głową miał zwiniętą kurtkę. Poderwał się, kiedy Freemantle zamknął za sobą drzwi.

– Wszystko w porządku – powiedział Johnny i podszedł bliżej. W blasku padającym z pieca zobaczył twarz przyjaciela. – Ty płaczesz?

– Nie.

To było kłamstwo, ale Johnny nie drażył tematu. Po ścianach przesuwały się ich wydłużone cienie. Freemantle wydawał się jeszcze potężniejszy i niebezpieczniejszy. Johnny trzymał broń schowaną.

– Mam na imię Johnny – oznajmił. – A to jest Jack.

Freemantle przyglądał się im. Jego oczy miały żółtawy odcień, a w spękanych wargach otwierały się głębokie rany.

– Levi.

Zdjął koszulę i powiesił ją na gwoździu w pobliżu pieca. Jego pierś i ramiona były potężnie umięśnione. Widniały na nich długie i cienkie blizny, jak po cięciu nożem, a ściągnięte w jednym punkcie fałdy pomarszczonej skóry przypominały ślad po ranie postrzałowej. Z boku sterczała czarna rozszczepiona gałąź.

– Źle wygląda – stwierdził Johnny.

– Boli tylko, kiedy próbuję to wyciągnąć.

Wokół Leviego unosiła się wilgotna ziemista woń. Kiedy stał, ściekająca z niego woda zbierała się w ciemną kałużę i wsiąkała w ziemię. Jego powieki opadły.

– Prawie na miejscu – powiedział.

– Co?

Freemantle otworzył oczy.

– Zapomniałem, gdzie jestem.

Johnny otworzył usta, ale Jack odezwał się pierwszy.

– Dlaczego przyniósł pan tutaj tę trumnę?

Freemantle wlepił w niego swe żółte rozgorączkowane oczy.

– Dlaczego ją przyniosłem?

– Właśnie o to pytam.

– Nie umiem jeździć samochodem. Mama powiedziała, że to nie dla mnie. – Jego powieki opadły, a całe ciało przechyliło się w lewo. Zatoczył się, aby nie upaść. – Mama mówiła...

– Nic panu nie jest?

Jego oczy otworzyły się gwałtownie.

– A kto pyta?

– Mam na imię Johnny, pamięta pan?

– Nie znam nikogo imieniem Johnny.

– Powinien pan znaleźć się w szpitalu. Potrzebny panu lekarz.

Freemantle zignorował go i pokuśtykał w stronę półki wiszącej na ścianie w głębi szopy. Johnny zauważył na niej puszkę smaru i trutkę na szczury. Na hakach wisiały narzędzia i stare szmaty. Freemantle wziął zardzewiały nożyk do kartonu i plastikową butelkę oblepioną pajęczynami. Usiadł przy piecu, odciął nogawki spodni i rzucił je na ziemię, a potem odkręcił butelkę i polał sobie poharatane kolana brązowym płynem. Jack stanął obok przyjaciela.

– To dla zwierząt – wyszeptał.

– Pieprzysz.

– Tam jest napisane, że tylko do użytku weterynaryjnego. – Pokazał palcem.

Chłopcy badawczo się przyglądali Leviemu. Cokolwiek to było, musiało boleć, kiedy Freemantle polewał tym swoje rany.

– Dobrze się pan czuje? – zapytał wreszcie Johnny. Freemantle pokiwał głową i przechylił butelkę nad raną na boku. – Musi pan dostać antybiotyk.

Mężczyzna nie zwracał na niego uwagi. Usiłował ściągnąć kawałek materiału, którym miał owinięty palec, ale obrzęk był tak silny, że tkanina wrzynała się w ciało jak drut. Przeciął ją w końcu, a Johnny zobaczył postrzępioną ranę, którą zostawił jego ząb. Odwrócił wzrok, kiedy Freemantle polewał sobie palec płynem z butelki. Zrobił to trzy

razy. Jego mięśnie spięły się, potem rozluźniły i mężczyzna położył się na ziemi.

– Nie powinno was tu być, chłopaki.

– Ja chciałem tylko porozmawiać.

– Mam już dość – odparł Freemantle.

– Jak umarła pańska córka?

– Rany boskie, Jack. Zamknij się – syknął Johnny gwałtownie. Nie zamierzał dopuścić, aby jego przyjaciel wszystko zepsuł, kiedy byli już tak blisko.

– Mówią, że zabił pan tamtych ludzi – ciągnął Jack z napięciem w głosie. – Jeżeli miał pan dobry powód, nie będę obawiał się aż tak bardzo, że zrobi pan to samo z nami.

Levi Freemantle usiadł powoli. Jego oczy wydawały się jeszcze bardziej żółte, skóra miała barwę popiołu.

– Jakich ludzi?

Musiał wiedzieć jakich. Dla Johnny'ego było to jasne jak słońce. W oczach Freemantle'a pojawiła się nieufność, jego ramiona znów się spięły. Chłopiec położył palce na schowanym pod koszulą rewolwerze. Freemantle dostrzegł ten ruch i ich spojrzenia się spotkały. Przypomniał sobie wymierzoną w siebie broń. Co do tego Johnny też nie miał żadnych wątpliwości.

Nagle całe napięcie opadło. Freemantle osunął się z powrotem na ziemię.

– Teraz mogą mnie złapać. Zastrzelić mnie. Wszystko mi jedno.

Johnny opuścił rękę, którą opierał na broni.

– Dlatego że pan ją pochował?

– Dlatego że ona nie żyje.

– W jaki sposób umarła?

Mężczyzna wyciągnął z przedniej kieszeni spodni mokrą kopertę. Tak zmiętą i wilgotną, że papier omal nie zamienił się w rozmiękłą masę. Większość liter była rozmazana, ale Johnny rozpoznał nazwisko Freemantle'a. List zaadresowano do wydziału więziennictwa. Freemantle rzucił kopertę i chłopiec ją podniósł. Wewnątrz znajdował się wycinek z gazety. Kiedy Johnny go wyciągał, kawałki papieru zostawały mu w palcach.

– Musieli mi to przeczytać – powiedział mężczyzna.

– Co to jest? – zapytał Jack.

Johnny wyteńczył wzrok. Nagłówek był dosyć wyraźny. „Dziecko zmarło z przegrzania w zamkniętym samochodzie”.

– Maleństwa są darem. – Freemantle przechylił głowę i w jego pokrytym bielmem oku odbił się blask ognia. – Ostatnią prawdziwą rzeczą.

– Zostawili jego córkę w aucie. – Johnny zerknął z ukosa. – Poszli pić do jakiegoś baru na plaży, a ją zostawili.

– Moja żona – wyjaśnił Levi. – I jej chłopak.

– Było śledztwo w tej sprawie. Gliny uznały to za wypadek.

– Pochowali ją bez modlitwy. Po prostu złożyli do ziemi razem z ludźmi, którzy nie mają nazwiska ani rodziny. Moja żona nawet mi o tym nie powiedziała. Nie było mnie tam, żebym mógł ją pożegnać. – Mężczyzna zamilkł, a kiedy znów przemówił, głos mu się łamał. – Spuścili Sofię do grobu, a tatuś nawet jej nie pożegnał.

– Kto to panu przysłał? – Johnny podniósł wycinek, który pochodził z jednej z gazet wydawanych na wybrzeżu.

Ale Freemantle znowu odpłynął myślami gdzieś daleko i patrzył nieobecny wzrokiem, opierając na kolanach zwrócone ku górze dłonie.

– Zostawiłem mojej dziecince obrazek, żeby za mną nie tęskniła. Narysowałem go w jej szafie, żeby codziennie mogła na niego patrzeć i nie było jej smutno, że taty nie ma. Lubiła się bawić w tej szafie, miała lalkę, niemowlaka w takich malutkich białych bucikach. – Levi uniósł dłoń i rozsunął palce na odległość dwóch centymetrów. – Miała kredki do kolorowania, które kiedyś przyniosłem jej ze sklepu. To dlatego nas tam narysowałem, bo ona tak dobrze się czuła w tej szafie, bo lubiła tam się bawić. Ale rysunek nikogo nie upilnuje, nie może czuwać nad małą dziewczynką.

Freemantle zwiesił dużą głowę.

– Przykro mi – powiedział Johnny, i było to całkowicie szczere.

– Kto panu przysłał ten wycinek? – zapytał Jack.

Mężczyzna ocierał palcami łzy z twarzy.

– Sąsiadka, która ma dwoje własnych dzieci. Nigdy nie lubiła mojej żony. Dowiedziała się, co się stało, i wysłała mi to do więzienia. To dlatego

uciekłem. Chciałem stanąć nad grobem mojej córki i upewnić się, że jest taki, jak należy, ale zastałem tylko kupkę gołej ziemi, żadnych kwiatów ani nagrobka. Usiadłem tam, położyłem ręce na jej grobie i wtedy Bóg mi to powiedział.

– Co powiedział?

– Wtedy Bóg mi powiedział, żebym ich zabił.

Chłopcy spojrzeli po sobie i pomyśleli o tym samym.

Szaleniec. Pierdolnięty chory szaleniec.

– Bóg powiedział mi, żebym przyniósł moje dziecko tutaj. – Freemantle podniósł wzrok i na jego pustej twarzy pojawiło się ożywienie. Złożył olbrzymie pokaleczone dłonie. – Małeństwa są darem. Ostatnią prawdziwą rzeczą. To dlatego Bóg mi wtedy kazał cię złapać.

– Co?

– Życie zatacza krąg. Właśnie to kazał mi tobie powiedzieć.

– Johnny... – wyszeptał Jack, ale chłopiec uciszył go gestem dłoni.

– Bóg ci kazał, żebyś mi to powiedział?

– Teraz pamiętam.

– Co to ma oznaczać?

– Johnny... – W głosie Jacka brzmiała panika.

Johnny oderwał wzrok od Leviego Freemantle'a. Jego przyjaciel był spięty i miał pobladłą twarz. Patrzył na brudne kawałki tkaniny, które leżały obok pieca, na odcięte nogawki spodni i zwinięty opatrunek ze zranionego palca. Johnny też to zobaczył. Monogram wyhaftowany na postrzępionym skrawku materiału, którego Freemantle użył jako bandaża. Był brudny i zakrwawiony, ale litery pozostały czytelne.

Alyssa Merrimon.

Johnny spojrzał na Freemantle'a, który kręcił palcem w powietrzu.

– Krąg.

Wtedy chłopiec sięgnął po rewolwer.

Rozdział 41

Hunt późno dotarł do domu. Jedzenie w papierowej torbie zdążyło już całkiem wystygnąć, lecz Allen pozostawił to bez komentarza. Zjedli w kuchni, razem, ale w milczeniu, a napięcie spływało z nich obu falami.

– To przez to śledztwo – powiedział Hunt przeproszającym tonem, stojąc w drzwiach pokoju syna.

– Jasne.

Patrzył, jak chłopiec ściąga ciężkie buty.

– Niedługo będzie już po wszystkim – dodał.

– Za trzy miesiące idę do college’u.

Allen zdjął podkoszulek i rzucił go tam, gdzie leżały buty. Klatkę piersiową chłopca pokrywały delikatne włosy podobne do tych, które rosły w zagłębieniu na jego karku. Hunt uświadomił sobie, że jego syn jest prawie dorosły, że osiągnął tę granicę męskości, kiedy chłopiec wciąż jeszcze ma w sobie coś z dziecka. Zawiesił głos, wiedząc, że nie może powiedzieć nic, co polepszyłoby sytuację.

– Synu...

– Ona nigdy nie dzwoni.

– Kto?

– Mama – odparł Allen, i jego twarz przybrała dziecinny wyraz.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Nic nie mów.

Zraniony, rozżalony chłopiec.

– Allen, ja...

– Po prostu zamknij drzwi.

Hunt nie był w stanie się poruszyć.

– Proszę – dodał Allen.

Jego spojrzenie było przeszywająco bolesne. Hunt poczuł, jakby jego serce przygniótł kamień, w którym skupiał się ciężar milionów zawiedzionych oczekiwań i przeświadczenia, że nie tak wszystko powinno

wyglądać.

– Proszę – powtórzył chłopiec i Hunt nie miał wyboru.

– Dobranoc, synu.

Zamknął za sobą drzwi i zszedł na dół. Wepchnął kartonowe opakowania i papierowe torby do kosza na śmieci i nalał sobie szklaneczkę szkockiej. Wiedział, że jak zwykle nie dopije jej do końca. Przytłaczały go wydarzenia minionego dnia. Śmierć i ludzka nikczemność, przedwcześnie pozbawione życia dzieci i masa pytań, na które wciąż nie znał odpowiedzi. Miał ochotę na prysznic i dziesięć godzin snu. Dotknął swojej twarzy i pod opuszkami palców poczuł starość. Wszedł do gabinetu, otworzył szufladę biurka i wyjął teczkę z aktami sprawy Alyssy Merrimon. Długo wpatrywał się w jej zdjęcie, potem przejrzał notatki z zapisanymi na marginesach pytaniami, ale jego myśli wciąż krążyły wokół Yoakuma. Odtworzył w pamięci moment śmierci Meechuma, zapach dymu prochowego, pewną rękę swego przyjaciela i jego oczy, gładkie jak szkło i spokojne.

Telefon zadzwonił pół godziny po północy.

– Nie śpisz? – spytał Yoakum.

– Nie.

– Pijesz?

Hunt zamknął teczkę Alyssy.

– Nie.

– A ja tak.

– Co się dzieje, John? Co ci chodzi po głowie? – zapytał Hunt, choć znał odpowiedź.

– Jak długo razem w tym siedzimy?

– Od dawna.

– Jako partnerzy?

– I jako przyjaciele.

Zapadło milczenie. Na linii słychać było oddech Yoakuma.

– Co im powiedziałaś? – odezwał się w końcu.

– Powiedziałem, co się wydarzyło.

– Nie o to mi chodzi, i dobrze o tym wiesz.

Hunt wyobraził sobie przyjaciela, zobaczył go w jego małym domu, siedzącego w salonie ze szklanką w ręku i wpatzonego w kominek,

w którym dawno wygasł ogień. Yoakum miał sześćdziesiąt trzy lata i służył w policji od ponad trzydziestu. To było całe jego życie. Hunt nie odpowiedział na pytanie.

– Jesteś moim przyjacielem, Clyde. On atakował cię siekierą. Co powinienem był zrobić?

– I z tego powodu trafiłeś go prosto w serce?

– Oczywiście.

– I nie kierował tobą gniew? Chęć zemsty?

– Za co? – W głosie Yoakuma pojawiła się nutka irytacji.

– Wiesz, za co.

– Ty mi to powiedz, Clyde. Powiedz mi, za co.

– Za te dzieci. Za te siedem grobów ukrytych w lesie. Za całe lata tego syfu na naszym własnym podwórku.

– Nie.

– Odkąd cię znam, nigdy nie widziałem, żebyś się kierował motywami osobistymi. A dzisiaj tak to wyglądało.

– Morderca atakuje mojego partnera siekierą. Atakuje mojego przyjaciela. Możesz to uznać za osobiste, ale to samo mógłbyś powiedzieć o naszej pracy. No dobra, co im powiedziałaś?

Hunt wahał się.

– Powiedziałeś, że to było uzasadnione użycie? – dopytywał się Yoakum.

– Pytano mnie o moją opinię, ale jej nie wyraziłem.

– Ale to zrobisz.

– Jutro – odparł Hunt. – Jutro to zrobię.

– I co zamierzasz powiedzieć?

Hunt sięgnął po niską szklanę ze szlifowanego szkła. Wypełniająca ją płyn migotał refleksami światła. Przypomniał sobie ten moment, spadające ostrze siekiery i Yoakuma, który wpadł do salonu. Pod jakim kątem widział wnętrze? Czy musiał oddać śmiertelny strzał? Komputer stał z boku, ale czy na tyle daleko, by mógł go nie zauważyć? Hunt próbował postawić się na miejscu Yoakuma i myślał, jak sam widziałby całą tę scenę.

Yoakum odezwał się, zanim Hunt zdążył cokolwiek powiedzieć.

– Oskarżyłeś Hollowaya o utrudnianie śledztwa?

Następstwa strzelaniny sprawiły, że Hunt prawie zapomniał, że Holloway zadzwonił do Meechuma.

– Nie.

– Ale to zrobisz?

– Tak, zrobię.

Na linii znów zapanowała cisza, która zwiastowała coś przykrego. Hunt wlał w siebie całą zawartość szklaneczki. Wiedział, do czego to może doprowadzić, i modlił się, aby tak się nie stało.

– Można było tego wszystkiego uniknąć, gdybyśmy nie wciągali w to Hollowaya. – Yoakum w końcu przerwał milczenie. – Zgarnęlibyśmy Meechuma prosto z centrum handlowego. Nie byłoby strzelaniny ani spalonych dysków. To był twój pomysł, Clyde. I to było osobiste.

Hunt miał wrażenie, że telefon brzęczy w jego ręku.

– Dobranoc, Yoakum.

– Dobranoc, Clyde – odpowiedział mu przyjaciel po długiej pauzie.

Na linii zapadła cisza. Hunt nalał sobie kolejną szklanekę.

Rozdział 42

Freemantle patrzył w wylot lufy. Rewolwer kołysał się w drżących rękach Johnny'ego. Jego głos też drżał.

– Gdzie ona jest?

– Johnny, co ty wyprawiasz? – Zaniepokojony Jack podszedł do przyjaciela.

– Gdzie jest moja siostra?

– Nie znam twojej siostry – odparł Freemantle. – Ciebie też nie znam.

Johnny schylił się po leżący obok pieca skrawek materiału i podniósł go.

– To jest moja siostra. Nazywa się Alyssa Merrimon. Tu jest wyhaftowane jej imię i nazwisko.

Freemantle siedział ze wzrokiem utkwionym w twarz Johnny'ego.

– Popatrz na to – rozkazał chłopiec.

Mężczyzna wzruszył ramionami i spojrzał na jego rękę.

– Nie umiem czytać.

– Została porwana rok temu. To należało do niej.

– Nie sędzę, aby coś wiedział – wtrącił Jack.

– Musi.

– Powiedziałbym ci, gdybym wiedział.

– On nic nie wie – dodał Jack.

– Skąd to masz? – Johnny wyciągnął zakrwawiony pasek tkaniny w stronę Freemantle'a. – Gdzie to znalazłeś? Kiedy?

Ramiona olbrzyma poruszyły się, mięśnie zadrżały pod skórą.

– Wziąłem to od tego połamanego człowieka. Zaraz po tym, jak mnie ugryzłeś.

– Od kogo?

– Od połamanego człowieka – powtórzył Freemantle, jakby to było imię.

– Leżał koło mostu. Wziąłem to z jego ręki. Trzymał to.

Chłopiec opuścił broń trochę niżej.

– Po tym, jak mnie złapałeś?

– Bóg powiedział mi, żebym zobaczył, przed czym uciekałeś, więc tak zrobiłem.

– To był David Wilson – wyjaśnił Johnny. – Czy jeszcze żył, kiedy go znalazłeś?

Freemantle przechylił głowę, zamknął oczy i zamyślił się.

– Odłóż tę spluwę – wyszeptał Jack. – Bo jeszcze kogoś zabijesz. Naprawdę myślisz, że ten człowiek porwał Alysę?

Johnny zawahał się, potem rozluźnił ramię, pozwalając, aby lufa opadała powoli, aż w końcu rewolwer zawisł w jego dłoni wymierzony w klepisko.

– Czy połamany człowiek żył? – powtórzył pytanie.

Freemantle wciąż miał zamknięte oczy.

– Słyszałem głosy w rzece. Szepty i ulotne słowa. – Wykonał falujący ruch palcami. – Byłem taki zmęczony...

– Głosy? – Johnny skupił się na tym słowie. – Czy tamten człowiek coś powiedział? Cokolwiek?

– Nie pamiętam.

– Musisz sobie przypomnieć.

Mężczyzna rozłożył bezradnie wielkie dłonie.

– Zleciały się wrony. Bałem się. Powiedziałbym ci, gdybym mógł. – Położył się na rozgrzanym od pieca kamieniu. – Może rano będę wiedział. Tak czasami bywa. – Zamknął oczy. – Przykro mi z powodu twojej siostry. Teraz mam już dość.

Johnny stał i patrzył na Freemantle'a. Stał tak długo, aż zaczęły drętwieć mu nogi. Czuł rozpacz, która doskwierała mu jak głód, a gdy się w końcu odwrócił, Freemantle już chrapał.

Johnny położył rewolwer na półce. Patrzył na ścianę z belek, na drewniane styliska narzędzi zakończone kawałkami metalu o ostrych krawędziach. Spojrzał w stronę dachu, gdy w jego piersi otworzyła się czarna otchłań. Był rozdarty i czuł pustkę, jakby wszystko pochłonęła próżnia.

– Dlaczego on się boi wron? – Jack przerwał milczenie.

– Myślę, że słyszy głos diabła, kiedy wrony są blisko.

– Diabła?

– Skoro słyszy jeden głos, to czemu miałby nie słyszeć drugiego?

– A jeżeli to prawda? – Jack objął swe kolana rękami. Kołysał się, siedząc na skrzyni, i nie mógł napotkać spojrzenia Johnny’ego. – Jeżeli on naprawdę słyszy głos Boga? A co, jeżeli również słyszy... No wiesz.

– Nie słyszy.

– A może jednak.

– Nikt go nie słyszy.

Jack podciągnął wyżej kolana. Na jego twarzy czerniały brudne ślady ziemi.

– Ja też nie lubię wron – wyznał. – Boję się ich od małego. A co, jeżeli właśnie z tego powodu?

– Daj spokój, Jack.

– A jeżeli Bóg przysłał go tu również z jakiegoś powodu? – Jack spojrzał na Freemantle’a.

– Widzisz, ten facet zabił dwoje ludzi, ponieważ doprowadzili do tego, że jego córka umarła z gorąca w zamkniętym samochodzie. Chyba jest mu trochę łatwiej żyć z tym faktem, kiedy jest przekonany, że Bóg powiedział, aby to zrobił. A wrony i ten drugi głos... Chyba dopadają go wyrzuty sumienia.

– Tak myślisz?

– Tak – odparł Johnny. – Ale on coś wie.

– Boję się, Johnny.

Oczy Johnny’ego lśniły. Patrzył na Freemantle’a oświetlonego blaskiem ognia. Kiedy mrok zaczął rzędnąć, ogarnęła go senność.

– On coś wie.

Jack zapadł w niespokojny sen. W szczelinach ściany szeptał wiatr, a jego cichy głos dwa razy potężniał, zamieniając się w coś przerażającego. Ogień palił się słabym płomieniem. Johnny miotał się między złością i żalem a niechcianym snem, który w końcu go zmógł. Śnił mu się cuchnący las i przenikliwe żółte oczy, upadek między połamanymi gałęziami i pełen nadziei uśmiech jego siostry. Siedziała skulona na ziemi w ciasnym lochu, była brudna i miała na sobie postrzępione łachmany. Obok paliła się świeca, a ona podniosła ku niemu zdziwione oczy. *Czy to ty?* – spytała i chłopiec zerwał się, a krzyk uwiązł mu w gardle.

Przez moment nie miał pojęcia, gdzie jest i co się stało, ale wiedział, że coś jest nie tak. Czuł, że coś wisi w powietrzu.

Levi Freemantle siedział na klepisku ze skrzyżowanymi nogami, niecały metr od niego. Był spocony, a w mroku jego czarna skóra miała szary odcień. W opartych na podbrzuszu złożonych dłoniach trzymał rewolwer. Oglądał go, przechylając do światła. Jego palec natrafił na spust.

– Jest nabity – ostrzegł go Johnny.

Kiedy Freemantle popatrzył na niego, Johnny odniósł wrażenie, że jego stan się pogorszył, a w nieobecnych oczach pozostało niewiele świadomości. Obrócił broń i zajrzał do lufy. Chwila przeciągała się w nieskończoność. Wreszcie chłopiec wyciągnął rękę.

– Mógłbym to dostać?

Olbrzym nie zwrócił na niego uwagi. Jego dłoń obejmowała rękojeść rewolweru.

– Dostałem raz kulkę – powiedział tak cicho, że Johnny ledwie go słyszał. Freemantle dotknął blizny na brzuchu. – Mali chłopcy nie powinni nosić broni.

– Kto cię postrzelił?

– Moja żona.

– Dlaczego?

Mężczyzna spojrział na trzymaną w rękach broń.

– Tak bez powodu.

– Mogę to zabrać? – powtórzył Johnny.

Przysunął się bliżej i Freemantle wręczył mu rewolwer, jakby to było jabłko albo kubek wody. Johnny wziął go i wymierzył w twarz siedzącego naprzeciwko mężczyzny. Był wystraszony. Wciąż jeszcze przeżywał to, co mu się przyśniło.

– Gdzie jest moja siostra?

Lufa była oddalona o pół metra od oczu Freemantle'a.

– Gdzie ona jest? – Johnny podniósł głos.

Przysunął rewolwer bliżej. Trzydzieści centymetrów. Dwadzieścia. Tym razem broń w jego ręku nawet nie drgnęła, ale Freemantle był tak obojętny jak wół patrzący na pistolet do ogłuszania.

– Kiedy do mnie strzeliła... – odezwał się bardzo cicho. – Powiedziała,

że to dlatego, że jestem głupi.

Wylot lufy dzieliło od jego twarzy już tylko piętnaście centymetrów. Johnny trzymał broń oburącz, zagięty palec spoczywał na spuście.

– Nie powinno się mówić nikomu, że jest głupi – dodał Freemantle. – Ublizanie drugiemu jest podłe.

Później położył się z powrotem na ziemi, a chłopiec wciąż trzymał rewolwer wymierzony w puste miejsce, w którym przed chwilą znajdowały się poźółkłe od gorączki i podbiegłe krwią oczy zwierzęcia idącego na rzeź.

Rozdział 43

Hunt obudził się o piątej. Był wciąż zmęczony i czuł niepokój. Wziął prysznic i ogolił się, a potem chodził po domu. Zatrzymał się pod drzwiami pokoju syna, by posłuchać jego równego i głębokiego oddechu. Czekał go ciężki dzień. Czuł to w kościach, czuł to całym sobą. Pomyślał, że będzie cudem, jeżeli taki dzień dobrze się skończy.

W kuchni było zbyt ciepło i unosił się zapach szkockiej. Hunt rzadko pił. Miał teraz kaca i czuł się sobą rozczarowany.

Pieprzyć Yoakuma.

Pieprzyć tamten telefon.

Ale to nie było w porządku. Chociaż przykro było mu tego słuchać, ten człowiek miał rację. Hunt wprawił w ruch cały ciąg wydarzeń w momencie, kiedy wyszedł z windy i wkroczył do biura Hollowaya. Był winny śmierci Meechuma. Równie dobrze to on mógł pociągnąć za spust.

Hunt uchylił zasłonę i wyjrzał na zewnątrz. Na niebie nie było widać gwiazd, ale też nie zanosiło się na deszcz. W ciągu paru godzin medyk sądowy powinien z powrotem znaleźć się w lesie. Tego dnia wydobędą wszystkie ofiary. Może jedną z nich okaże się Alyssa. A może nie. Może znajdzie się Johnny.

Gdzie jesteś, Johnny?

Hunt otworzył okno i fala chłodnego powietrza spłynęła po jego dłoniach i stopach. Wilgotny powiew omiół mu twarz i na moment ból głowy osłabł. Jeszcze raz spojrział na rozmokły trawnik, na którym rozlewały się płytkie kałuże. Potem zrobił sobie kawę i czekał, aż na zatroskanym niebie nad hrabstwem Raven pojawi się słońce.

Kiedy wychodził, jego syn jeszcze spał.

Między czarnymi pniami drzew unosiła się blada mgła.

Naczelnik wyznaczył termin spotkania na dziewiątą – późno jak na gliniarzy – ale Hunt nie zamierzał czekać tak długo. Słońce jeszcze nie wyłoniło się zza gmachu sądu, kiedy skręcił w lewo z Main Street

i przejechał obok posterunku policji. Przy krawężniku stał już rząd wozów transmisyjnych. Kamerzyści rozgrzewali się, przytupując, a reporterki poprawiały makijaż. Wiedzieli, że policjanci niedługo wyruszą w długą drogę do mrocznego lasu na obrzeżach miasta, gdzie w rozmokłej ziemi spoczywają jeszcze ostatnie ciała.

Szykował się sensacyjny temat. Dla nich zapowiadał się owocny dzień.

Hunt skręcił w najbliższą przecznicę i wjechał na mały parking z tyłu posterunku. Dopiero dochodziła siódma, ale Yoakum już tam czekał. Siedział na skraju betonowego murku oparty plecami o siatkowe ogrodzenie, które wyginało się pod jego ciężarem. Za nim mężczyźni o wyblakłych twarzach i w kaskach na głowach pili kawę, zagryzając ją biszkoptami, a silniki spychaczy i dźwigów pracowały na wolnych obrotach z głuchym dudnieniem. Szare światło poranka było tak blade, że rozkopana ziemia wyglądała w nim jak zamarznęta. Huntowi przemknęło przez myśl, że stanie w tym miejscu jakiś bank albo biurowiec, prawdopodobnie należący do Hollowaya, który będzie napędzał maszynę komercji.

Yoakum wyglądał na sponiewieranego. Był nieogolony, a w kącie jego ust tkwił papieros. Kiedy Hunt od niego już tylko parę kroków, zaciągnął się i wyrzucił niedopałek za ogrodzenie.

– Cześć, John.

Hunt zachowywał się ostrożnie i powściągliwie. Ich przyjaźń była rzeczą zrozumiałą, a dzielące ich wątpliwości stanowiły niezbadany jeszcze grunt.

– Cześć.

Yoakum wyłowił z paczki kolejnego papierosa i obrócił go w palcach, ale nie zapalił. Nie potrafił się zdobyć, by spojrzeć przyjacielowi prosto w twarz, i jego wzrok błędził po dachu posterunku, a potem spoczął na butach, które wciąż nosiły ślady błota ze ścieżki za domem Meechuma. Hunt czekał.

– Co do ostatniej nocy – zaczął Yoakum. – Byłem pijany. Nie miałem racji.

Hunt starał się zachować kamienny wyraz twarzy.

– Tak po prostu?

– Nie byłem sobą – odparł Yoakum i zapalił papierosa.

Hunt milczał, a jego stalowe oczy wyrażały powątpiewanie. Yoakum postanowił zmienić temat.

– Widziałeś to? – Podniósł z murku plik zwiniętych gazet, na których wcześniej siedział.

– Bardzo źle?

Yoakum wzruszył ramionami i wręczył gazety przyjacielowi, a ten przejrzał je pobieżnie. Nagłówki brzmiały sensacyjnie. Pod nimi widniały zdjęcia furgonetki patologa sądowego na tle ciemnego i tajemniczego lasu. Jej podwójne drzwi z tyłu były otwarte, a do środka ładowano płaski i cienki worek ze zwłokami. Reporterzy spekulowali na temat liczby ciał i podawali w wątpliwość kompetencję policji. Pisali o ochroniarzu postrzelonym śmiertelnie przez nieznanego policjanta. Streścili historię odnalezienia Tiffany Shore, i wszyscy zadawali to samo pytanie: Gdzie jest Johnny Merrimon?

– Wiedzą, że przekazaliśmy komunikat i szukają go teraz wszystkie patrole. – Hunt pokręcił głową.

– Dzieciak został bohaterem.

Hunt nie potrafił ocenić, czy ton głosu Yoakuma wyraża rozgoryczenie, czy jego przyjaciel też cierpi z powodu kaca.

– Ten dzieciak zaginął.

– Nie miałem nic złego na myśli. – Yoakum wskazał na gazety. – Tyle tylko, że wyszliśmy na idiotów.

– W tych czasach to nasze ryzyko zawodowe.

– Ja pierdolę.

– Już się przyczaili od frontu. Kilkanaście wozów. Widziałeś ich?

– Jeszcze nie mają mojego nazwiska. – Yoakum miał na myśli strzelaninę w domu Meechuma. – Za żadne skarby nie wejdę frontowymi drzwiami.

Trudno było mu się dziwić. Machina sensacji nabierała rozpędu i mogła przy okazji wciągnąć Yoakuma w swoje tryby.

– Dostaną je, zanim się obejrzysz – odparł Hunt.

Yoakum pokiwał głową i spojrzał na tylną ścianę posterunku, której betonową powierzchnię pokrywały wilgotne plamy.

– Miejmy to już za sobą.

Razem przeszli przez parking, ale wciąż wisiało między nimi napięcie

wywołane wspomnieniem nocnej rozmowy i słów, które podczas niej padły albo nie zostały wypowiedziane. Gdy znaleźli się pod drzwiami, Yoakum przystanął. Miał zakłopotaną minę.

– Dzisiaj w nocy, Clyde, coś mnie zamroczyło. Rozumiesz to?

Zanim Hunt zdążył się odezwać, jego przyjaciel otworzył drzwi i podparł je ramieniem.

– Rób to, co musisz zrobić – dodał i wszedł do środka.

Wewnątrz panowała ożywiona atmosfera. Hunt widział to w pełnych werwy ruchach i spojrzeniach, które ich omiatały. Wszyscy traktowali Yoakuma jak bohatera, każdy chciał uścisnąć mu rękę i poklepać po plecach. Pedofile byli zniechęceni wśród gliniarzy, a w domu Meechuma odkryto mnóstwo obciążających go dowodów. Najstraszniejszy z nich był gruby plik zdjęć wykonanych przez kamery monitoringu w centrum handlowym. Przedstawiały one dziewczynki, których wiek wahał się od dziesięciu do piętnastu lat. Miały gładkie twarze o trochę niezgrabnych rysach i siedziały w części restauracyjnej albo stały na ruchomych schodach. Meechum opisał zdjęcia grubym markerem: Rachel, Jane, Christine. Niektórych imion nie był pewien i przy nich stawiał znak zapytania: Carly? Simone? April?

Na kilku fotografiach widniały zapisane u dołu adresy. Dziewczynki mieszkały przy cichych uliczkach w spokojnych rodzinnych dzielnicach. Na innych obok imion został dopisany wiek: Rachel 12, Christine 11. Zdjęcia leżały w zamkniętej na klucz dolnej szufladzie biurka Meechuma. Kiedy Hunt na nie patrzył, dostawał mdłości i ogarniała go furia. Ich widok budził w nim nawet mordercze instynkty. Słusznie czy nie, zastrzelenie tego skurwiela nie było takie złe. W zasadzie rozwój wypadków miał w sobie pewien urok. Burton Jarvis zginął z ręki jednej ze swych ofiar, leżąc półnagi na ulicy i błagając o darowanie mu życia. Meechum poniósł śmierć we własnym domu, gdzie dostał kulę prosto w serce od jednego z najbardziej doświadczonych detektywów wydziału.

Urok sprawiedliwości.

Większość gliniarzy się uśmiechała, ale naczelnik do nich nie należał. Miał wyblakłą cerę i tylko na jego mięsistych policzkach płonęły szkarłatne rumieńce. Stał w drzwiach swego biura i rozglądał się. Było dopiero kwadrans po siódmej rano, a na jego koszuli już ciemniały plamy

potu. Za jego plecami poruszały się jakieś cienie. Hunt zauważył, że w jego biurze są jacyś ludzie, obcy mężczyźni w ciemnych garniturach, którzy wyglądali na gliniarzy.

– Pięć minut – oświadczył szef i zamknął za sobą drzwi.

– Przychodzimy za wcześnie – odparł Hunt.

Yoakum wzruszył ramionami.

– Wskoczę jeszcze na dymka.

Detektyw Cross odprowadził Yoakuma wzrokiem, po czym wstał z za biurka i podszedł do Hunta.

– Mogę porozmawiać z tobą na osobności?

Hunt zaprowadził Crossa do swojego biura i zamknął drzwi. Cross wyglądał nieświeżo, jego koszula była wymięta i poplamiona kawą. Hunt zauważył siwiejącą szczecinę na jego nieogolonych policzkach.

– O co chodzi?

– Czy coś wiadomo o małym Merrimonie?

– Wciąż czekamy.

– Ale na razie nic?

– Jakiś problem w związku z tym? – zapytał Hunt.

– Mój syn, Jack. Nie mogę go znaleźć.

– Co to znaczy, że nie możesz go znaleźć?

Cross przejechał grubymi palcami po krótko ostrzyżonych włosach.

– Pokłóciliśmy się i uciekł z domu.

– Kiedy?

– Zeszłej nocy. A może już przedwczoraj.

– Może?

– Nie jestem pewien co do tego pierwszego wieczoru. Może wyszedł już wtedy, a może następnego dnia rano. Przy tym wszystkim, co piszą w gazetach, no wiesz, moja żona się martwi. Bardziej niż w innych okolicznościach. Niezbyt dobrze znosi takie rzeczy.

– Ona się martwi, ale ty nie.

Cross wiercił się nerwowo i Hunt nie miał żadnych wątpliwości, że jest więcej niż zmartwiony. Był autentycznie przerażony.

– Znasz moją żonę, detektywie? – zapytał.

– Poznałem ją parę lat temu.

Cross pokręcił głową.

– To już nie ta sama kobieta. Przez ostatnich kilka lat... – zawiesił głos, zmagając się ze sobą. – Stała się bardzo religijna. W ciągu ostatniej doby większość czasu spędziła w kościele. Właściwie nic nie je ani nie śpi, tylko się modli, głównie za Jacka. Obawia się, że mógł gdzieś pójść z dzieciakiem Merrimonów. Gdybym mógł jej powiedzieć, że nie...

– Dlaczego obawia się akurat tego? Dlaczego Johnny?

W spojrzeniu Crossa pojawiła się konsternacja.

– Ona twierdzi, że widzi mrok w duszy tego chłopca. Ciemną skazę – powiedział ściszym głosem i skulił się ze skruszoną miną. – Wiem, wiem, ale to jej słowa. Twierdzi, że on ma zły wpływ na Jacka. Bardziej przejmuje się tym niż czymkolwiek innym. Nie najlepiej z nią ostatnio, rozumiesz. – Cross przechylił głowę i spojrzał z ukosa. – Miota się.

– Przykro mi to słyszeć – odparł Hunt. – A ty martwisz się o Jacka?

– Och, wycinał już wcześniej takie numery. Zwykle szczeniackie wybryki. Ale dwie noce, jeżeli faktycznie już tyle go nie ma... To nie jest normalne.

– O co się pokłóciliście?

– Jack uwielbia tego małego Merrimona. Jak brata, wręcz jak świętego. Nie mogę mu tego wybić z głowy.

– I o to wam poszło?

– Jack jest słabym dzieckiem, bardziej niż jego matka, niż brat. Jest strachliwy i łatwo nim manipulować. Pomijając niedorzeczności mojej żony, Johnny naprawdę ma na niego zły wpływ. Jest zbuntowany i zepsuty, sam wiesz. Kazałem Jackowi, żeby trzymał się od niego z daleka.

– Johnny to dobry chłopiec, ale to wszystko mocno się na nim odbiło.

– Właśnie. On jest walnięty.

– Jest ciężko doświadczony.

– Właśnie to chciałem powiedzieć.

Hunt nie okazywał frustracji. Nie każdy postrzegał Johnny'ego tak jak on.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Cross? Mam dodać Jacka do komunikatu o zaginięciu?

– Na Boga, tylko nie to. Daj mi tylko znać, gdybyś coś słyszał. Jego matka wychodzi z siebie, nie myśli rozsądnie. Obwinia mnie o to. Im

wcześniej będę mógł jej powiedzieć, że nic mu nie jest...

– Rozumiem.

– Dzięki, Hunt. Będę zobowiązany.

Cross wyszedł, a Hunt, stojąc na progu, zauważył Yoakuma, który właśnie wracał. Na jego twarzy nie było ani śladu gniewu. Ledwie przyszedł, w otwartych drzwiach gabinetu pojawił się naczelnik.

Wpuścił ich do środka i okrążył biurko, ale nie usiadł. Hunt, który wszedł pierwszy, po prawej stronie zauważył dwóch nieznanymi mężczyzn. Obaj byli grubo po pięćdziesiątce, wysocy i barczyści, o poranych zmarszczkami nieustępliwych twarzach. Jeden miał siwe włosy, drugi brązowe. Żaden z nich nie był otyły. Mieli duże, pokryte stwardniałą skórą dłonie. Hunt podszedł bliżej i zerknął na ich odznaki, które, podobnie jak kabury z bronią, nosili przy paskach. Stanowe Biuro Śledcze. Wystarczyło na nich spojrzeć i było wiadomo, że są wysokimi rangą funkcjonariuszami, doświadczonymi i twardymi fachowcami. Yoakum wszedł jako drugi. Skręcił w prawo i stanął między Huntem a gośćmi. W biurze było ciepło, a kiedy wszyscy znaleźli się w środku, zrobiło się też ciasno. Każdy z pięciu mężczyzn był potężnie zbudowany. Wszyscy wiedzieli, że coś nie gra. Problem polegał na tym, że jedni wiedzieli więcej od drugich.

– Detektywi Hunt i Yoakum. – Naczelnik przystąpił do prezentacji. – A to agenci Barfield i Oliver...

– Agenci specjalni – poprawił go Oliver.

Nikt nikomu nie podał ręki. Na biurku leżały kopie raportu Hunta na temat wczorajszej strzelaniny. Raport Yoakuma też tam był.

– Agenci specjalni Barfield i Oliver są z oddziału w Raleigh – oznajmił naczelnik. – Byli tak uprzejmi, by odwiedzić nas dziś z samego rana.

– Z samego rana – odezwał się Barfield z grobową miną. – To zabawne.

– Co w tym zabawnego? – zapytał Hunt chłodnym tonem.

– To bardziej środek nocy niż rano – odparł agent.

Hunt spojrzał na swojego szefa. Jeżeli przyjechali z Raleigh, musieli wyruszyć w drogę przed świtem.

– Co robi u nas SBS?

– Tylko spokojnie. Wszyscy. Załatwimy to, jak należy – powiedział naczelnik i spojrzał na swoich detektywów. Hunt spoglądał nieufnie,

a Yoakum sprawiał wrażenie znudzonego. – Oddajcie mi swoją broń.

Słowa te, choć wypowiedziane cicho, zadziały jak wybuch granatu. Te cztery słowa miały w sobie moc zdolną zrujnować życie i wyrządzić wiele dodatkowych szkód. Chwila przeciągała się, aż w końcu Yoakum przerwał milczenie.

– Przepraszam, że co?

– Oddajcie mi swoją broń – powtórzył naczelnik i położył palec na biurku. – I zróbcie to w tej chwili.

– Jaja sobie z nas robisz. – Yoakum nie miał już ochoty dłużej udawać obojętności.

– Po prostu to zrób – powiedział Hunt.

Nie odrywając wzroku od szefa, wyciągnął swój służbowy pistolet i położył go na blacie. Yoakum niechętnie poszedł za jego przykładem. Spojrzał na agentów, którzy przyglądali się wszystkiemu ze stoickim spokojem.

– I co teraz?

Naczelnik zabrał pistolety i położył je na szafce, która stała pod ścianą za jego biurkiem. Był to wymowny gest. Broń znalazła się poza ich zasięgiem. Kiedy się odwrócił, na jego twarzy malowało się wyraźne niezadowolenie.

– Przeczytaliśmy wasze raporty – oświadczył. – Wszystko bardzo poprawnie. Mucha nie siada. Ale ja muszę wiedzieć, czy to było uzasadnione użycie. – Spojrzał Huntowi prosto w oczy. – I chcę to usłyszeć od ciebie.

Hunt poczuł, że Yoakum nagle wyteżył uwagę. W gabinecie panowała cisza.

– Wszystko to bardzo odbiega od normy. – Hunt przeniósł wzrok z agentów na swojego szefa. – Nie tak się to robi.

– Proszę. – Ton naczelnika był zaskakująco łagodny.

Hunt starał się myśleć trzeźwo i przywołać z pamięci każdy szczegół zajścia, jak do niego doszło i dlaczego, ale na pierwszy plan wysunęły się uczucia, które żywił wobec Johna Yoakuma. Ponad trzydzieści lat w policji. Cztery lata razem, ramię w ramię. Byli partnerami, przyjaciółmi i kolegami.

A Meechum zasłużył na śmierć.

Naczelnik czekał z posępnym wyrazem twarzy, tymczasem Yoakum wlepił wzrok w jakiś punkt na ścianie.

– Użycie broni było uzasadnione – oświadczył Hunt.

Napięcie opuściło Yoakuma, a na jego ustach pojawił się ślad uśmiechu.

– Jesteś pewien? – zapytał naczelnik. – Nie masz żadnych zastrzeżeń?

– Z miejsca, gdzie stał Yoakum, wyglądało to tak, jakby Meechum atakował mnie siekierą. Podjął decyzję w ułamku sekundy. Postąpił słusznie.

– My i tak musimy to zrobić – odezwał się agent specjalny Barfield.

– O czym on mówi? – zdziwił się Hunt.

Naczelnik pokręcił głową i na krótką chwilę zamknął oczy. Hunt zorientował się, że cokolwiek ten agent ma na myśli, jego szef się na to godzi.

– Detektywie Yoakum, muszę pana poprosić, aby udał się pan z tymi funkcjonariuszami.

– Co? – Yoakum nie krył wzburzenia.

– Do Raleigh. Mają kilka pytań. Lepiej, aby nie zadawali ich tutaj.

Yoakum zrobił krok w tył.

– Nie wybieram się do Raleigh.

Barfield uniósł dłonie z rozprostowanymi palcami.

– Nie ma powodu, abyśmy nie mogli załatwić tego po cichu. Dyskretnie.

– A czemu chcecie być dyskretni? – zapytał Yoakum. – Nigdzie nie jadę, dopóki ktoś mi nie wyjaśni, co jest grane.

– Te pytania powinny zostać zadane przez kogoś, kto nie jest związany z tym wydziałem – odezwał się naczelnik. – Zaprosiłem SBS do pomocy.

– Zgrabnie to ująłeś – powiedział Hunt z niesmakiem.

Naczelnik pokręcił głową, zaś Barfield położył dłoń na ramieniu Yoakuma. Nie był to zastraszający ani agresywny gest, ale detektyw odepchnął jego rękę.

– Nie dotykaj mnie.

– Nikt pana nie aresztuje.

– Aresztuje mnie? O co tu...

– Uspokój się, John.

– Pierdol się, Clyde. Jakie pytania?

Barfield wyciągnął tę samą dłoń, ostrożnie, aby niczego nie dotknąć,

i pochylając się lekko, wskazał na drzwi.

– Nie, dopóki się nie dowiem, czego dotyczą te pytania.

Ręka Barfielda opadła.

– Pańska prywatna broń to kolt kaliber 45 – odezwał się agent. Nie było to pytanie.

– I co w związku z tym?

– Gdzie teraz znajduje się ta broń?

– To nie pański interes.

– Detektyw Hunt znalazł łuskę takiego kalibru we wraku samochodu Davida Wilsona.

– No i?

Hunt zaryzykował spojrzenie na szefa. Widok jego twarzy przyprawił go o ssanie w żołądku.

Mina Barfielda nie zdradzała żadnych emocji.

– Znajduje się na niej odcisk pańskiego palca – oznajmił. – I o tym właśnie chcieliśmy z panem porozmawiać.

Znów wykonał gest w stronę drzwi, pokazując Yoakumowi, aby szedł przed nim, ale ten zamachnął się i odtrącił jego rękę silnym uderzeniem. Nagle wszystko się zakotłowało.

– Teraz – powiedział Barfield.

Wraz z Oliverem jednocześnie złapali Yoakuma i rzucili go w poprzek biurka twarzą w dół, wyginając do tyłu jego prawą rękę. Hunt zrobił krok do przodu i wyciągnął obie ręce, aby chwycić za tkaninę marynarki Olivera. To był instynkt, czysty i zwyczajny odruch.

– Zostaw, Hunt. – Podniesiony głos naczelnika brzmiał rozkazująco.

Hunt spojrzał na szefa i znieruchomiał. Wściekłość rozpałała mu twarz. Barfield wykręcał rękę Yoakuma i wyciągał kajdanki, a Oliver całym swoim ciężarem przyciskał go do biurka. Jedna z metalowych obrączek szczęknęła na nadgarstku Yoakuma, a on zaczął się szarpać. Na górnej wardze miał rozmazaną krew.

– Szefie...

– Zamknij się, Hunt – przerwał mu naczelnik, po czym zwrócił się do agentów. – Czy to naprawdę konieczne?

– On zaatakował funkcjonariusza policji stanowej.

Agenci postawili skutego Yoakuma na nogi. Hunt zastąpił im drogę do

drzwi.

– Cokolwiek się dzieje, można to wyjaśnić. Nie wyprowadzajcie go w ten sposób. Tam są jego współpracownicy. Na ulicy roi się od dziennikarzy.

– Proszę się odsunąć, detektywie – powiedział Barfield. Miał wypieki na twarzy, za to jego towarzysz wyglądał jak wcielenie obojętności. – My tylko wykonujemy swoją pracę. Pański szef nas tu wezwał.

Yoakum stał między dwoma agentami. Koszulę miał wyciągniętą ze spodni, jeden z guzików był oderwany, a jego furia wydawała się wręcz namacalna.

– Zabierzcie ode mnie te pierdolone łapy – warknął.

Hunt spojrzał na naczelnika.

– Pozwolisz im, żeby wywlekli go stąd w kajdankach?

– Ty przymknąłeś Kena Hollowaya za mniejszą rzecz.

– To inna sprawa.

– Czyżby? – Naczelnik nie wydawał się skory do pomocy.

– Miejsca starczy dla dwóch – odezwał się Oliver, i trudno było nie zauważyć groźby w jego słowach.

– To jakieś brednie, Clyde – wtrącił się Yoakum.

– Proszę się odsunąć, detektywie. Nie będę prosił po raz drugi.

– Szefie, do jasnej cholery.

– To jest ich praca, tak samo jak nasza.

– Nie pozwolę na to. – Hunt nie ruszał się z miejsca.

– Odsuń się, Hunt – rozkazał naczelnik. – Albo klnę się na Boga, że każę im aresztować również ciebie.

– Nie zrobisz tego.

– Zejdź im, kurwa, z drogi.

Hunt spojrzał na przyjaciela, który ruchem głowy odrzucił opadające włosy i splunął różową śliną na podłogę gabinetu szefa.

– Nie stawiaj się, Clyde – powiedział. – Daj spokój i odsuń się.

– John...

– Piękny dzień na przejażdżkę – dodał Yoakum i Hunt niemal bezwiednie zrobił krok w lewo. Drzwi otworzyły się i agenci wyprowadzili jego przyjaciela skutego kajdankami.

Przeszli z nim przez cały posterunek, kierując się w stronę frontowych drzwi.

Rozdział 44

Johnny obserwował wschód słońca, siedząc w drzwiach poddasza. Jego nogi zwisały nad ciemną przepaścią, z której unosiła się woń rozmokłej ziemi i zgniecionej trawy. Chciało mu się pić i wszystko go bolało. Tylko on nie spał. Nad drzewami pojawiła się najpierw różowa luna, z której potem zaczęły się wyłaniać żółte promienie. Chłopiec wychylił się i spojrzał w dół.

– Nie skacz. – Za jego plecami rozległ się głos Jacka.

Johnny odwrócił się.

– Ale śmieszne.

Jack przeciął poddasze i usiadł obok przyjaciela. Z jego włosów zwisało źdźbło słomy. Zabębnił piętami o drewnianą ścianę, a potem też się wychylił.

– Uratowałem ci życie. Jesteś mi coś winien.

– To ci jestem winien. – Johnny uderzył go pięścią w ramię.

– Kutas.

Jack spojrzał na polanę porośniętą chwastami, które leżały przygięte do ziemi przez deszcz. Nagły powiew wiatru przyniósł odgłosy znad bagien.

– Głodny jestem.

– Ja konam z głodu.

– Powinniśmy wrócić do domu.

Johnny spojrzał w stronę drabiny, która wystawała z otwartej klapy w podłodze.

– Nadal myślisz, że on rozmawia z Bogiem?

– Myślę, że on umiera.

– Naprawdę?

– Tak. Naprawdę.

Johnny podniósł się i otrzepał ręce o nogawki spodni.

– Powinienem z nim porozmawiać.

Jack również wstał.

– Tam na dole cuchnie – powiedział.

Miał rację. Freemantle leżał na boku z podkulonymi nogami. Śmierdział jak trup. Jego chora ręka spoczywała wyprostowana na ziemi. Kiedy Johnny dotknął jego rozgrzanej skóry, była szorstka jak suchy papier. Chłopiec obejrzał ranę na jego boku i spuchniętą dłoń. Skóra na palcu popękała od obrzęku.

– Ja tylko go ugryzłem.

– Jama ustna to plugawe miejsce.

– A ty całowałaś tę, jak jej tam...

– To co innego. Zresztą ugryzłeś go do samej kości i minęło już parę dni. A potem on polał to lekarstwem dla zwierząt. To było po prostu głupie.

– Nie sądzę, że on jest głupi.

– Nie?

– To nie jest odpowiednie słowo.

Jack wypuścił powietrze z ciężkim westchnieniem.

– Powinniśmy się stąd zbierać, i to już, zanim ten facet się obudzi i nas pozabija.

Wydawało się, że te słowa dotarły do Freemantle'a.

Powieki olbrzyma uniosły się gwałtownie, odsłaniając wielkie, ciemne i dzikie oczy. Jego ręka wystrzeliła do przodu. Freemantle chwycił Jacka za szyję i przyciągnął go blisko do siebie.

– Bóg wie – przemówił chrapliwym głosem.

Johnny poczuł moc w tych słowach. Złapał mężczyznę za ramię. Jego skóra płonęła rozpalona gorączką, a palce zagłębiały się w miękkim ciele na szyi Jacka.

– Bóg wie – powtórzył i rozprostował dłoń, a chłopiec potoczył się na ziemię.

– Zabierz go ode mnie – krzyczał Jack. – Zabierz ode mnie tego pojeba.

Johnny stał jak skamieniały. Patrzył na Freemantle'a, dopóki szaleństwo nie opuściło jego twarzy.

– Co się stało? – Freemantle wyglądał na zmieszanego, spoglądał otumanionym i wystraszoną wzrokiem, a jego pierś falowała ciężko. Uniósł chorą dłoń i wpatrywał się w nią, jak gdyby nie widział jej nigdy przedtem. Potem opuścił ją i z powrotem położył się na boku. Przyciągnął kolana do klatki piersiowej, nie zwracając uwagi na chłopców. – Gdzie ja

jestem?

Jack siedział oparty plecami o ścianę w przeciwległym rogu szopy, karłowatą ręką trzymał się za gardło, a zdrową raz za razem robił znak krzyża. Ruszał pobladłymi wargami, a oczy mu lśniły.

– Musimy iść. Musimy stąd iść natychmiast.

– Nic ci nie jest, Jack?

Jack był ledwie żywy i mrugał nerwowo, a słowa więzły mu w gardle. Otworzył usta, potem je zamknął i patrzył na Freemantle'a, który mocno zaciskał powieki i dygotał, leżąc na zimnej kamiennej płycie. Jego wargi poruszały się bezwiednie, a spomiędzy nich wydobywał się cichy chrapliwy odgłos.

Jack znowu się przeżegnał. Na jego szyi pojawiły się czerwone ślady palców.

Rozdział 45

Kiedy Hunt wrócił do gabinetu naczelnika, wstrząsała nim tak dzika furia, że nie był pewien, czy zdoła nad nią zapanować. Wciąż miał przed oczyma rozgorączkowanych reporterów i Yoakuma, który nawet nie mrugnął i szedł z wysoko uniesioną głową, kiedy oni roili się wokół niego. Hunt z hukiem zatrzaskał drzwi, ale jego gniew nie zrobił większego wrażenia na naczelniku. Szef odchylił się w fotelu, sięgnął do tyłu po służbowy pistolet Hunta i położył go na biurku.

– Tak było lepiej – oznajmił, przesuwając broń w kierunku właściciela.

– Powinienem go teraz wziąć i cię zastrzelić.

– Nie bądź melodramatyczny, Hunt. Gdybyś był na moim miejscu, postąpiłbyś tak samo.

Hunt zabrał broń i wsunął ją do kabury.

– To była zwykła zasadzka.

– Przecież to ty sugerowałeś, że może być w to zamieszany jakiś policjant.

– W co zamieszany?

– W to samo co Jarvis i Meechum.

– I oni tak uważają? – Hunt wskazał na drzwi. – O tym chcą z nim rozmawiać?

– Musimy chronić samych siebie. Musimy chronić śledztwo i reputację tego wydziału. A w tym celu należało zaangażować kogoś z zewnątrz, kogoś bezstronnego, kto ma dystans do sprawy. Mnie też się to nie podoba, ale się stało.

– Kogo próbujesz przekonać? Mnie czy siebie samego?

– Opuść sobie, ty świętoszkowaty fiucie. Żadna z tych rzeczy nie byłaby konieczna, gdybyś zachował to w tajemnicy przed mediami. Dopilnował, żeby twoi ludzie milczeli.

– Żaden z moich ludzi nie puścił pary z ust.

– Jesteś detektywem prowadzącym, Hunt. Odpowiadasz za każdego,

kto jest zaangażowany w tę sprawę.

– Bzdura.

– Czy to nie ty przekonywałeś przez cały czas, że jakiś gliniarz ma powiązania z Burtonem Jarvisem? Czyż nie to widział ten chłopiec? To było w jego notatkach. Policjant w domu Burтона Jarvisa.

– To był ochroniarz, nie policjant. Ustaliliśmy to wczoraj i pojechaliśmy zdjąć Meechuma.

– Czyżby?

– Co?

– Czy ustaliliście, że człowiek, który odwiedzał Burтона Jarvisa, był ochroniarzem?

– Oczywiście.

Naczelnik rozparł się w fotelu.

– Który z was wpadł na pomysł, żeby pojechać do centrum handlowego?

– Yoakum.

– A komu przyszło na myśl, że chłopiec mógł pomylić ochroniarza z funkcjonariuszem policji?

– Yoakumowi. Nam obu.

Naczelnik zabębnił ciężkimi palcami po odrapanym blacie biurka.

– Katherine Merrimon widziała samochód zaparkowany przy ulicy nieopodal jej domu – powiedział. – Myślała, że ktoś ją obserwuje. Zeznała, że mógł to być policyjny samochód.

– To musiał być Meechum. On jeździł sedanem.

– Ale nie policyjnym. Yoakum jeździ policyjnym samochodem.

– Odniosła takie wrażenie. To wszystko.

Szef wyprostował się na fotelu. Patrzył spod zmrużonych powiek, na skórze w kącikach oczu pojawiły się zmarszczki.

– Nigdy byście nie znaleźli Meechuma, gdyby nie zdolność dedukcji twojego partnera. Prawda? To Yoakum zaprowadził cię do centrum handlowego.

– Powinien dostać za to medal.

– Chyba że to nie była dedukcja. A jeżeli on wiedział?

– O czym wiedział?

– A jeżeli miał powiązania z Jarvisem i Meechumem? A jeżeli współdziałali ze sobą nie dwaj mężczyźni, ale trzej?

– To absurd.
– Wciąż to powtarzasz.
– Musimy znaleźć Johnny’ego Merrimona. On by to wyjaśnił w ciągu sekundy.

– Jeżeli będzie chciał z tobą rozmawiać.
– Będzie chciał – odparł Hunt. – Tym razem będzie.
– Więc znajdź tego dzieciaka i wtedy daj mi znać. Zadzwoń do mnie natychmiast, kiedy będziesz go miał. Jak tylko chłopak zezna, że człowiekiem, którego widział w domu Jarvisa, nie był Yoakum, dzwonię do SBS. Do tego czasu twój partner jest na cenzurowanym.

Hunt pokręcił głową.

– To wciąż nie trzyma się kupy.
– Zatrzymaj się na moment i pomyśl. Burton Jarvis nie żyje. Meechum wiedział, że depczemy mu po piętach, bo Holloway do niego zadzwonił i go ostrzegł. Uciekał w popłochu. Gdyby nie ten telefon, mielibyśmy go żywego. Ale wtedy mógłby iść na układ z prokuratorem okręgowym i wiele utargować, wydając tego trefnego gline. Yoakum zdawał sobie z tego sprawę i dlatego zależało mu na śmierci Meechuma. – Naczelnik wstał z fotela. – Zapytam cię zatem jeszcze raz. Czy użycie broni było uzasadnione?

– Znam Yoakuma.
– Co ci mówiłem o osobistym zaangażowaniu?
– Znam Johna Yoakuma.
– Znasz? Naprawdę znasz? – spytał naczelnik i zawiesił głos. – To co on porabia w weekendy? Gdzie spędza wakacje?
– Nie wiem. – Hunt nie miał innego wyjścia, musiał to przyznać. – Nigdy o tym nie opowiadał.

– Nigdy nie był żonaty. Dlaczego?
– A co to ma do rzeczy?
– Przecież wiesz – odparł naczelnik. – Cholera, wszyscy o tym mówimy. A on powtarzał swoje, dostatecznie często.

Hunt znał te słowa. Yoakum wypowiadał je, ilekroć miał do czynienia z wyjątkowo okrutną zbrodnią, ilekroć wychodziło na jaw coś szczególnie makabrycznego.

„Ciemność toczy ludzkie serce niczym rak”.

- Cóż, jest cyniczny. Jak większość gliniarzy.
- Naczelnik wzruszył ramionami.
- Może mówił o sobie.

Między biurkami szumiało od ściszonych głosów – umilkły raptownie, kiedy Hunt wypadł z gabinetu szefa. Pchnięte drzwi uderzyły o ścianę z takim impetem, że od wstrząsu przekrzywił się wiszący na niej obraz. Hunt czuł na sobie spojrzenia pełne domysłów, które ciążyły mu jak żelazo, ale nikt się nie odzywał, nikt nie zadawał pytań, więc postanowił, że sam to załatwi. Stał na środku sali i uniósł obie ręce.

– To, co się stało, to jakaś podpucha. I tak odpowiadajcie, gdyby ktoś was pytał, dziennikarze, rodzina, ktokolwiek. – Obrócił się w miejscu i powtórzył. – Podpucha.

Jego słowa zawisły w powietrzu. Nikt poza Crossem nie patrzył mu w oczy, ale nawet on kręcił głową. Hunt ugryzł się w język, by nie zakląć. Yoakum nigdy nie szukał przyjaciół w wydziale, nigdy o to nie zabiegał. Był samotnikiem i dobrym fachowcem. I co z tego? Co w tym złego? Wykonywał swoją pracę. Wiódł swoje własne życie.

Hunt opuścił posterunek tylnym wyjściem.

Wilgoć zaczynała już parować z asfaltu i z szerokich liści samotnego drzewa, które rosło przy drodze. Za ogrodzeniem ciężkie maszyny pluły dymem, a od ich dudnienia drżała ziemia. Na parkingu unosił się zapach oleju napędowego, błota i rozgrzanego metalu. Hunt wśliznął się do samochodu, uruchomił silnik i włączył klimatyzację. Położył ręce na kierownicy i delectował się podmuchem chłodnego powietrza, które owiewało jego spoconą twarz. Przed oczyma stanął mu obraz Yoakuma wyprowadzanego w kajdankach. Potem zobaczył Johnny'ego i jego matkę. Przypomniał sobie, jak Yoakum wyglądał, kiedy stał w tym mrocznym lesie, gdzie znaleziono ciała. Pamiętał jego gniew i obrzydzenie.

Niemożliwe, żeby Yoakum miał z tym coś wspólnego. Za cholerę niemożliwe.

Wrzucił wsteczny i wyjechał z miejsca parkingowego. Musiało być jakieś wyjaśnienie, jakiś powód tego, że na łusce z samochodu Davida Wilsona znaleziono odcisk jego palca. O ile gdzieś była odpowiedź, należało jej szukać w domu Yoakuma. Hunt starał się nie analizować tego

z innego punktu widzenia. O ile Yoakum faktycznie miał coś wspólnego z zaginionymi dziećmi, obciążające go dowody najprawdopodobniej znajdowały się również w jego domu. Hunt nie miał nakazu ani kluczy, ale tym najmniej się przejmował. Wystarczyło wybić szybę kamieniem albo wyważyć drzwi łomem. Tym razem nie liczyło się to, że jest policjantem. Tutaj chodziło o przyjaźń. Chodziło o wiarę, o zaufanie i to gorące oburzenie, które rozpalało się w nim na samą myśl o zdradzie naczelnika. Wydał Yoakuma, żeby nie skalać wizerunku swojego wydziału, nawet gdyby z całej sprawy i tak później wyszedł smród.

– Podpucha – wymamrotał Hunt.

Ale ten odcisk palca. To był już poważniejszy problem.

Hunt przecisnął się przez zatłoczone ulice i zjechał w lewo z dwupasmówki, która przecinała miasto w poprzek. W dzielnicy, w której mieszkał Yoakum, dominowała stara zabudowa. Domy stały blisko siebie na stoku wzniesienia, a ich podwórza oddzielał od ulicy chodnik, przez który przebijały się korzenie drzew grubości ludzkiej nogi.

Hunt zdecydował się na wyważenie drzwi łomem. Skręcił w prawo, a trzy przecznice później w lewo. Dom Yoakuma był parterowy i miał spadzisty dach pokryty gontem z cedrowego drewna, które z wiekiem poszarzało. Rabatki mieniły się jaskrawymi barwami, żywopłot był przycięty, a drzewa zadbane.

Na podejździe stała niebieska furgonetka z widocznymi wyraźnie białymi literami. SBS.

Hunt zatrzymał się przy krawężniku kilka domów dalej. Na okolicznych podwórkach stali sąsiedzi – wyblakłe kobiety w jaskrawych sukienkach, starzy mężczyźni i kilkoro długowłosych dzieciaków, które powinny sobie znaleźć lepsze zajęcie. Twarze ich wszystkich wyrażały to samo – zaskoczenie i troskę. Przez frontowe drzwi domu Yoakuma wchodzili i wychodzili mężczyźni w kurtkach z dużymi białymi literami na plecach. Hunt nie zauważył ani Olivera, ani Barfielda, ale to nie miało znaczenia.

W domu Yoakuma było SBS. Mieli nakaz.

Rozdział 46

– On próbował mnie zabić – mówił z przejęciem Jack. – Sam widziałeś. O Jezuu. Ten wielki skurwysyn próbował zabić mnie na śmierć.

– Gdyby chciał twojej śmierci, już byś nie żył. – Johnny uklęknął obok Freemantle’a. – Nie zachowuj się jak panienka.

– Nie dotykaj go, Johnny. Co ty robisz?

– Nie dotykam go. Wyluzuj. – Johnny pochylił się nad leżącym. – On jest chory.

Freemantle poruszał wargami i chłopcu wydawało się, że mężczyzna wypowiada jakieś słowa. Pochylił się jeszcze niżej.

– ...dom się pali... mama się pali...

Słowa zdawały się wymykać ze spierzchniętych ust. Johnny podniósł głowę.

– Słyszałeś to?

– Nie.

– Chodź mi pomóc.

– Pieprzę to.

– Jemu są potrzebne lekarstwa albo szpital.

– Świetnie – odparł Jack. – Wrócimy do domu i zadzwonimy po ambulans. Niech oni się o to martwią.

– Jeżeli wezwiemy pogotowie, oni zawiadomią gliny, a ja nie dowiem się tego, co on wie.

– Niech gliny go przesłuchają. To ich zadanie.

– Gliny szukają go w związku z morderstwem. Myślą, że Alyssa nie żyje, i nie będą go o nic pytać. W każdym razie nie tak od razu.

Johnny naparł na ramię Freemantle’a, ale ten ani drgnął.

– To co chcesz zrobić? – spytał Jack.

– Nie wiem. Coś wymyślę po drodze. Potrzebna mi jeszcze jedna szansa. Trochę czasu, to wszystko. Na Boga, tylko pomóż mi, Jack.

– Dobrze. Tylko czego ode mnie chcesz?

– Pilnuj go. Ja idę po samochód.

– Ale to dwadzieścia minut marszu stąd. – Jack chciał zaprotestować, ale jego przyjaciel już wyszedł.

Jack spojrział na spękane wargi Freemantle'a i na jego cienkie jak pergamin powieki, pod którymi poruszały się niespokojnie gałki oczne.

– Do dupy z tym wszystkim – powiedział do siebie, po czym wziął rewolwer, wymierzył go we Freemantle'a i usiadł na ziemi.

Lewiego paliły czarne płomienie. Wiedział, że to ogień, bo już kiedyś znalazł się w ogniu. Był w płonącym domu, trzymał w ramionach swoją mamę, a jej włosy zajęły się jak pochodnia. Teraz nie wiedział, dlaczego dom się pali i co on w nim robi. Wydawało mu się, jakby to wszystko wydarzyło się dawno temu.

Mimo to palił go ogień. Ból był tak okropny, że czuł go pod skórą. Słyszał dobiegające z oddali głosy i próbował do nich przemówić.

...dom się pali... mama się pali...

Ale nikt go nie słyszał. Nikt nie przychodził na pomoc. Nikt.

Jego skóra była tak gorąca.

Płonął...

Johnny biegł całą drogę i kiedy dotarł do samochodu, z trudem złapał oddech. Wszedł do środka i zatrzasnął drzwi. Kluczyk ślizgał się między jego palcami. W końcu silnik zaskoczył. W nieruchomym powietrzu uniosła się chmura niebieskiego dymu. Włączył radio ustawione na stację z muzyką gospel. Podjechał pod szopę i zostawił włączony silnik. W drzwiach stał Jack i spoglądał ponuro.

– Jak go przeniesiemy?

Johnny nie odpowiedział. Wyskoczył z pick-upa, wszedł do szopy i uklęknął obok Freemantle'a. Zwrócił się do niego po imieniu, a potem dotknął jego ręki i podniósł wzrok.

– On cały płonie.

– Akurat.

– Nie. Pogorszyło mu się. Jest rozpalony.

– ...dom się pali... mama się pali...

– Co jest, do cholery? – Jack pochylił się. – Słyszałeś?

Johnny wskazał na ruiny spalonego domu.

– Myślę, że jego matka zginęła w tym pożarze.

Pchnął jeszcze raz ramię leżącego mężczyzny, potem potrząsnął nim mocno.

– Sami nie damy rady zabrać go do auta – stwierdził.

– Już raz udało mu się wstać.

– Powinniśmy oblać mu twarz wodą.

– To działa tylko w filmach.

– Kurwa – zaklął Johnny.

– Mówię ci, zostawmy go i wynośmy się stąd w cholerę.

Johnny pokręcił głową.

– Czekajmy.

– Dostyc tego, Johnny.

– Ukradłem samochód, więc to ja decyduję.

Czekali więc. W powietrzu unosił się niebieski dym, a z radia płynął gospel.

Rozdział 47

Hunt dwa razy okrążył okolicę, ale ilekroć mijał dom Yoakuma, furgonetka SBS wciąż stała na podjeździe, więc w końcu odpuścił. Zadzwoił do Crossa, aby zorientować się, jak wygląda sytuacja w lesie za domem Jarvisa. Cross odebrał telefon po czwartym sygnale.

– Tak, medyk sądowy już tu jest. Pierwsze ciało powinno zostać wydobyte w ciągu godziny. Mówi, że wykopimy je dziś wszystkie. Może późnym popołudniem. Na pewno przed wieczorem.

– A co z mediami?

– Mniej więcej tak, jak się spodziewałeś. Przyjedziesz tu?

– A powinienem coś zobaczyć?

Cross przerwał. W tle dały się słyszeć stłumione głosy.

– Jeszcze nie.

– To zadzwoń do mnie, jak coś będzie.

Hunt rozłączył się. Stał na skrzyżowaniu w najuboższej dzielnicy miasta. Deski elewacyjne na ścianach starych domów były spękane. Na sznurach suszyły się zszarzałe podkoszulki. Hunt patrzył na przerdzewiałe zbiorniki z olejem opałowym i fundamenty z granitowych bloków, które oddzielały belki podłogowe od wilgotnej ziemi. Pod stojącym najbliżej domem leżały gromadzone od lat zwały śmieci. W miejscu, gdzie przeciskały się między nimi psy, widniał gładki skrawek ziemi. Ta część miasta od stu lat była zasiedlana przez zrujnowanych dzierżawców ziemi, i to odbijało się na jej wyglądzie. Hunt był półtora kilometra od cmentarza wyzwolonych niewolników, otoczonego przez nędzę i beznadzieję, pokutujące cienie minionych czasów niesprawiedliwości.

Światło zmieniło się na zielone, ale Hunt wciąż stał w miejscu.

W głębi jego umysłu coś zaskoczyło. Za jego plecami rozległ się klakson, więc przejechał skrzyżowanie i zatrzymał się przy krawężniku, tymczasem niecierpliwy kierowca dodał gazu i przemknął obok. Hunt zauważył neony pod podwoziem jego samochodu, wirujące kołpaki na

kołach i bandanę w barwach gangu zwisającą z lusterka. Głośniki dudniły basami, a z powściągliwej twarzy spoglądały nieufne oczy, ale Hunt wyparł ten obraz. Jego myśli wracały do przeszłości.

Zrujnowani dzierzawcy. Wilgotne pranie. Różowy język kundla siedzącego w cieniu.

Hunt odtworzył w myślach ostatnią minutę. I wtedy pomyślał, że już wie.

Wyciągnął telefon, aby zadzwonić do Yoakuma, i wtedy przypomniał sobie, że jego przyjaciel siedzi na tylnym siedzeniu radiowozu SBS, który jest już w połowie drogi do Raleigh. Wybrał numer Katherine Merrimon. W jej głosie usłyszał nadzieję, ale i zmęczenie.

– Chciałem zapytać, czy jest pani w domu – powiedział Hunt.

– Johnny? – Ożywiła się nagle.

– Jeszcze nie. Zajrzę do pani.

Przebiecie się przez miasto zajęło mu dwadzieścia minut.

Miała na sobie krótkie spodenki z wypłowiałego jeansu, sandały i wymiętą koszulę, która zwisała z jej chudych ramion.

– Wygląda pani na zmęczoną.

Faktycznie tak było. Miała zapadnięte oczy i cerę bledszą niż zwykle.

– Ken tu przyjechał o trzeciej w nocy. Nie mogłam już później zasnąć.

– Tutaj? Był tu?

– Nie wpuściłam go ani nic z tych rzeczy. Dobijał się do drzwi i dorzucił parę kolejnych wyzwisk. Był pijany. Musiał się wyszczekać.

Hunt poczuł, że twarz tężeje mu z gniewu. Widział nieraz, jak maltretowane kobiety oszukują same siebie.

– Proszę nie próbować go usprawiedliwiać.

– Potrafię sobie poradzić z Kenem.

Nie bez wysiłku Hunt zapanował nad wzburzeniem. Kobieta zaczynała przyjmować postawę defensywną, a znał lepsze sposoby rozwiązania tego problemu.

– Muszę zajrzeć do pokoju Johnny’ego – oświadczył.

– Jasne.

Poprowadziła go przez pogrążony w półmroku korytarz do pokoju syna. Hunt zapalił światło i spojrzał na łóżko. Kiedy nie znalazł na nim tego, czego szukał, podszedł do komody, na której stał rząd książek – powiódł

wzrokiem po ich grzbietach.

– Nie ma jej tu.

– Czego nie ma?

– Johnny miał książkę o historii hrabstwa Raven. Mniej więcej taką. – Rozsunął dłonie, pokazując jej format. – Kilka dni temu leżała na jego łóżku. Wie pani coś o tym?

– Nie. Nic. Czy to coś ważnego?

– Nie wiem. Być może.

Hunt odwrócił się w stronę wyjścia.

– Idzie pan już?

– Będziemy w kontakcie.

Gdy zatrzymał się w drzwiach, położyła dłoń na jego ramieniu.

– Proszę mnie posłuchać. Co do Kena, doceniam pańską troskliwość. Jeżeli będzie zachowywał się agresywnie, groził mi albo coś w tym rodzaju, zadzwonię do pana. Dobra? – Lekko ścisnęła jego ramię. – Zadzwonię.

– Proszę tak zrobić – odpowiedział. Trybiki w jego umyśle zaczynały już zaskakiwać.

Katherine stała w drzwiach, kiedy szedł do samochodu, i nie wróciła do środka, dopóki nie wyjechał na ulicę. Hunt wciąż jeszcze widział odbicie jej domu w lusterku wstecznym, kiedy sięgnął po telefon i wybrał numer Taylor.

– Jestem u Katherine Merrimon – zaczął.

– Czemu mnie to nie dziwi?

– Wyświadczyć mi przysługę.

– Zabrakło ci zszywek?

– Chodzi o Kena Hollowaya. Sprawdź jego biuro, sprawdź jego dom. Chcę, żebyś go znalazła i aresztowała.

Na linii zapadła cisza. Hunt wiedział, że Taylor odtwarza właśnie w pamięci ostatnie zajście, że myśli o pozwie i zastanawia się, jak uniknąć tego, by na kolejnym pliku papierów, które wpłyną do dziennika podawczego, znalazło się jej nazwisko.

– Na jakiej podstawie?

– Utrudnianie śledztwa. Ostrzegł Meechuma, że jedziemy go przesłuchać. Papierkową robotę odwalę dziś po południu, ale chcę go mieć

na dołku już teraz, w tej chwili. Jeżeli będą jakieś dymy, biorę to na siebie, ale skurwiel ma już siedzieć.

- Czy to aresztowanie jest uzasadnione?
- Tydzień temu nawet byś mnie o to nie zapytała.
- Tydzień temu nie czułabym takiej potrzeby.
- Po prostu to zrób.

Hunt rozłączył się, po czym zadzwonił na informację i poprosił o numer biblioteki publicznej hrabstwa Raven. Operatorka podała mu numer i połączyła go.

- Wypożyczalnia. – W słuchawce odezwał się głos mężczyzny. Hunt wyjaśnił mu, czego potrzebuje, i usłyszał stukot klawiatury.
- Ta książka została wypożyczona.
- Wiem o tym. Czy macie jeszcze jeden egzemplarz?
- Sprawdzam. Tak, mamy.

– To niech go pan dla mnie odłoży – powiedział Hunt. – I proszę mi podać swoje nazwisko.

Hunt skręcił w stronę biblioteki. Dla Yoakuma nie mógł nic zrobić. Zbiorowa mogiła w lesie była pod kontrolą. Mógł zająć się Johnnym. Stukniętym dzieciakiem. Uciekinierem ze skradzioną bronią.

Wyzwoleni niewolnicy.

Freemantle.

Hunt widział to nazwisko w książce Johnny'ego. To był zaledwie rzut oka, ale teraz zaczynał kojarzyć sens. „John Pendleton Merrimon, chirurg i abolicjonista”. Na następnej stronie widniała inna fotografia. Wtedy ledwie zwrócił na nią uwagę, ale teraz sobie przypomniał.

Isaac Freemantle.

Obok jego zdjęcia była mapa.

Hunt dodał gazu, a przyspieszenie wgniotło jego plecy w skórzane oparcie. Johnny wiedział, gdzie szukać Freemantle'a, który był zbiegiem podejrzanym o morderstwo. Hunt włączył sygnał i przemknął Main Street z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Wjechał na parking i zostawił samochód z włączonym silnikiem. Dwie minuty później wrócił z książką. Przewracał strony, dopóki nie natrafił na tę właściwą. Przyglądał się fotografii Johna Pendletona Merrimona, jego twarzy o szerokim czole i twardych męskich rysach. Był ubrany w surowy czarny

surdut i w niczym nie przypominał Johnny'ego, może poza oczami. Miał czarne oczy.

Na następnej stronie znajdowała się fotografia Isaaca Freemantle'a, rosłego mężczyzny w podniszczonym ubraniu i kapeluszu z obwisłym rondem. Miał masywne dłonie i rzadką brodę poprzetykaną siwizną. Johnny mówił, że nazwisko Freemantle nosili mieszkańcy *mustee*, i Hunt pomyślał, że na twarzy Isaaca mógłby się doszukać śladów indiańskiego pochodzenia. Być może w oczach albo w kościach policzkowych.

Całą stronę obok zajmowała mapa. Obejmowała rzekę, bagna i podłużny cypel otoczony wodą z trzech stron.

Sekretny Ogród.

Hunt porównał mapę w książce z tą, którą woził w schowku swego samochodu. Sekretny Ogród, czymkolwiek był, mieścił się w najbardziej odludnej części hrabstwa. Nie było tam nic poza lasami, bagnami i rzeką. Z rejestrów wynikało, że na terenie hrabstwa żaden Freemantle nie korzystał z telefonu ani usług komunalnych, mógł to więc być fałszywy trop, nieaktualny od półtora wieku, ale Hunt musiał znaleźć chłopca. Miał ku temu masę powodów.

Wrzucił bieg i ruszył. Sekretny Ogród leżał na północny zachód od miasta.

Rozdział 48

Funkcjonariuszka Taylor najpierw udała się do biura Kena Hollowaya. Dotarła do centrum miasta i skręciła na duży parking, który rozciągał się po dwóch stronach biurowca Hollowaya. Jechała powoli, wypatrując białego cadillaca escalade ze złotymi literami. Nie znalazła go. Zostawiła radiowóz przed głównym wejściem, poprawiła pas i skierowała kroki w stronę wielkich szklanych drzwi. Czowała, jak służbowy pas opina jej biodra. Lubiła jego ciężar. Uwielbiała być gliną. To poczucie władzy, które dawała jej policyjna odznaka. Niebieski mundur, który nigdy się nie miał. Lubiła szybko jeździć i aresztować złych ludzi.

Jej buty wydawały cichy piskliwy odgłos na wypastowanej marmurowej posadzce. Idąc przez łukowato sklepiony hol, czuła na sobie wzrok kobiety, która siedziała za ladą recepcji. Miała na sobie drogi kostium, wyglądała na oschłą i mierzyła ją krytycznym spojrzeniem.

– Tak? – odezwała się wyniośle i Taylor od razu poczuła do niej antypatię.

– Przyszedłam porozmawiać z Kenem Hollowayem. – Taylor użyła oficjalnego policyjnego tonu, a w jej głosie było coś, co mówiło: „I nie każ mi tego powtarzać”.

Recepcjonistka uniosła wysoko brwi.

– W jakiej sprawie? – zapytała, ledwie poruszając ustami.

– W sprawie mojego widzenia z Kenem Hollowayem.

– Rozumiem. – Kobieta wydeła usta. – Pana Hollowaya dzisiaj nie ma.

Taylor wyjęła notatnik i długopis.

– A pani nazwisko?

Ludzie tego nie lubili. Nienawidzili być spisywani przez policję. Recepcjonistka przedstawiła się niechętnie, a Taylor zapisała jej personalia.

– I twierdzi pani, że pan Holloway jest nieobecny?

– Tak twierdzą. Nie ma go.

Kobieta spuściła z tonu. Taylor nigdy się nie uśmiechała, kiedy korzystała ze swej władzy. Była oszczędna w słowach i zachowywała obojętną minę.

– Kiedy ostatnio widziała się pani albo rozmawiała z panem Hollowayem?

– Nie było go tu od wczoraj.

– I inne osoby w tym budynku będą skłonne to potwierdzić?

– Tak myślę.

Taylor powoli omiotła spojrzeniem wnętrze, wiszące na ścianach obrazy, wykaz urzędujących w biurówcu firm, wejścia do wind.

– Proszę, aby pan Holloway zadzwonił pod ten numer, kiedy wróci – powiedziała, kładąc wizytówkę na kontuarze.

– Dobrze, proszę pani.

Taylor przez chwilę patrzyła recepcjonistce w oczy, a potem ruszyła do wyjścia tą samą drogą, którą weszła. Kroczyła powoli i pewnie, jedną ręką opierając na szerokim pasie. W radiowozie włączyła laptop i odszukała w rejestrze wydziału komunikacji inne pojazdy należące do Kena Hollowaya. Prócz cadillaca był on właścicielem porsche 911, land rovera i harleya-davidsona. Zrobiła jeszcze jedną rundę po parkingu, ale nie zauważyła żadnego z nich. W notatniku obok nazwiska recepcjonistki zapisała: „Przypuszczalnie mówi prawdę”.

Dom Hollowaya stał na jednym z wielkich prywatnych pól golfowych w bogatej dzielnicy miasta. Na tym terenie wznosił się okazały budynek klubowy o kamiennych ścianach porośniętych bluszczem. Żaden z domów przy tej ulicy nie kosztował mniej niż dwa miliony dolarów, a wśród nich największa była rezydencja Kena Hollowaya, biała bryła otoczona hektarami wypielęgnowanego trawnika. W połowie podjazdu Taylor minęła posąg czarnego lokaja w liberii, który trzymał latarnię i uśmiechał się szeroko.

Taylor wysiadła z samochodu i po szerokich stopniach weszła na przestronną werandę. Frontowe drzwi były otwarte, a za nimi ciągnęła się polakierowana posadzka z terakoty. Z początku nie było słyhać niczego, tylko z oddali dobiegał głos ptaka, ale potem Taylor usłyszała czyjś płacz. Płacz kobiety. Wewnątrz.

Jej ręka spoczęła na rękojeści pistoletu. Kciukiem odpięła skórzany

pasek przytrzymujący broń w kaburze i podeszła do otwartych drzwi. Zobaczyła siekierę, która leżała na podłodze obok tego, co zostało z fortepianu. Jego kłapa była potrzaskana, a klawisze z kości słoniowej niczym wybite zęby leżały rozrzucone po dywanie. Wszystko inne wyglądało idealnie.

Taylor sięgnęła po radio i połączyła się z dyspozytorem. Podała swoje zamiary i poprosiła o wsparcie. Potem wyciągnęła broń, wykrzyczała ostrzegawczą formułę i przekroczyła próg. Poczula zapach alkoholu i zobaczyła dwie butelki stojące na stoliku do kawy. Jedna z nich była pusta, a druga opróżniona do połowy.

Płacz dobiegał z jakiegoś miejsca w głębi domu. Być może z kuchni. Albo z sypialni. Taylor weszła do salonu za łukowatym przejściem i spojrzała w prawo. Na sofie zobaczyła lustro, a na nim dwie równiutkie kreski czegoś, co wyglądało na kokainę. Obok leżały struny wyrwane z wnętrza fortepianu.

– Policja – zawołała ponownie. – Jestem uzbrojona.

Znalazła ją w krótkim korytarzu za salonem. Była młoda, wyglądała na dziewiętnaście lat, miała tlenione włosy z ciemnymi odrostami, gładką skórę i krzywe, ale białe zęby. Skóra na jej dłoniach była szorstka i zaczerwieniona. Siedziała na podłodze i płakała. Taylor zajrzała w jej błękitne oczy.

– On nic mi nie zrobił – odezwała się dziewczyna. – Nic mi nie jest.

W jej głosie słychać było akcent ze wschodu. Taylor wychowała się w ubogiej okolicy wśród piaszczystych wzgórz i знаła dziesiątki takich dziewcząt jak ta, niewykształconych i ładnych, które rozpaczliwie szukały sobie miejsca w jakimś lepszym świecie.

– Możesz wstać? – Taylor podała jej rękę.

Dziewczyna miała na sobie uniform pokojówki. Prawy rękaw bluzki trzymał się na strzępie materiału, guziki były oderwane. Na jednym z jej policzków czerwienił się ognisty rumieniec, na ręce widniały ślady odcisniętych palców.

– Jesteś tu sama?

Dziewczyna nie odpowiedziała.

– Czy Ken Holloway ci to zrobił?

Pokiwała głową.

– Nazywał mnie Katherine. A to nie jest moje imię.

– A jak masz na imię?

– Janee. Przez dwa e.

– W porządku, Janee. Wszystko będzie dobrze, ale musisz mi powiedzieć, co tu się stało. – Taylor spojrzała na podartą bluzkę. Jej głos był łagodny. – Czy on cię zgwałcił?

– Nie.

W tonie jej odpowiedzi było coś intrygującego. Wahanie. Skrytość.

– Czy coś cię łączy z panem Hollowayem?

– To znaczy?

Taylor nic nie odpowiedziała i po chwili Janee pokiwała głową.

– Czasami. On potrafi być miły, no wie pani. I jest naprawdę bogaty.

– Uprawiałaś z nim seks?

Dziewczyna przytaknęła i znów zaczęła płakać.

– I on cię pobił?

– Po wszystkim – wychlipała Janee.

– No mów.

– On daje mi czasami fajne rzeczy i mówi takie naprawdę ładne słowa. Wie pani, o co mi chodzi? Jak gentleman. – Dziewczyna potrząsnęła głową i otarła łzy z oczu. – Nie powinnam była mu mówić, że nazwał mnie innym imieniem. Powiedział, że mi nie wierzy, ale myślę, że po prostu nie spodobało mu się, że go przyłapałam. Nie chciał, żebym się dowiedziała.

– Nazywał cię Katherine. A użył nazwiska?

– Nic takiego nie słyszałam. Widziała pani fortepian?

– Widziałam.

– To wtedy, jak się wściekł. Jakby to imię coś w nim wyzwoliło. Zagroził, że jak komuś powiem, to będę następna. – Dziewczyna zacisnęła usta, a tlenione włosy opadły jej na oczy. – A kiedyś dał mi iPoda.

– Janee...

– To bardzo zły człowiek.

Rozdział 49

Levi płonął. Włosy mamy zajęły się ogniem i płomień dosięgł twarzy Leviego, kiedy biegł do drzwi. Krzycząc z bólu, staranował siatkowe drzwi i oboje wylecieli na ganek, a dom zapadł się za ich plecami i wszystko ogarnęła ciemność. Leviemu przyszło na myśl, że znalazł się w piekle. Wiedział, że zrobił coś złego, ale to stało się później. Nie teraz, kiedy jego mama też się paliła. Był otumaniony i przerażony.

Było gorąco jak w piekle. Upał był ogromny jak wieczność.

Ale to jego dom się palił i Levi wiedział, gdzie jest. Było to jedyne miejsce, jakie kiedykolwiek poznał. Spędził w nim całe życie i nigdy go nie opuszczał. Mama mówiła, że dookoła jest tylko cierpienie i nie ma miejsca dla kogoś takiego jak Levi. Dlatego został. I właśnie tu się znalazł. Był w domu. Leżał na podwórku i płonął. Umierał...

Otworzył oczy, by upewnić się, czy nie nadleciały wrony. Zobaczył światło słoneczne wpadające do szopy.

– Wracaj do siebie. – Johnny pochylił się nad twarzą Freemantle'a, kiedy jego oczy otworzyły się gwałtownie. Zobaczył w nich zmieszanie i strach. – Wszystko w porządku. Chcę cię zabrać do samochodu. Czy możesz wstać?

Freemantle zamrugał. W bruzdach na jego pokancerowanej twarzy zaschły resztki błotnistej ziemi. Przed oczami miał belki stropu, potem obrócił wzrok w stronę otwartych drzwi.

– Wszystko w porządku – powtórzył chłopiec.

Ujął olbrzyma za zdrową rękę i spróbował pomóc mu wstać.

Słowa zlewały się ze sobą i nie miały żadnego sensu, ale biały chłopiec miał dobre oczy, ciemne i głębokie. Levi patrzył w nie i zastanawiał się, dlaczego ich spojrzenie sprawia, że czuje się lepiej. Miał wrażenie, jakby już je widział. Czuł, że powinien im zaufać. Usiadł i otoczyła go spiekota, wywołując potworny ból. Wciąż był dezorientowany, wciąż się bał. Ale potem spłynęła na niego z wysoka fala chłodnego powietrza i znów go

usłyszał.

Głos. Głos Boga.

Tak czysty i mocny, że Levi omal się nie rozplakał.

– Dlaczego on się tak uśmiecha?

Freemantle mrużył oczy, a jego usta były rozciągnięte tak szeroko, że wydawało się, jakby ze splekanych warg miała zaraz popłynąć krew. Johnny cofnął się o krok.

– Może lubi gospel? Kto wie? Pakujemy go do auta.

Jack stał w bezpiecznej odległości, a Johnny podpierał stojącego Freemantle'a. Kiedy opuścił tylną klapę paki pick-upa, olbrzym usiadł, a potem opadł na plecy.

– Dotarliśmy – powiedział Johnny.

– Dotarliśmy – zawtórował mu niczym echo szept Freemantle'a.

– Ten uśmiech mi się nie podoba – stwierdził Jack.

Freemantle leżał na plecach, miał ugięte kolana, a ręce położył na piersi. Uśmiech na jego twarzy był szeroki i radosny. *Niewinny* – pomyślał Johnny. *Czysty*.

– Wsiadaj – zwrócił się do przyjaciela.

Jack wgramolił się na fotel i zatrząsnął drzwiami. Usiadł bokiem, aby móc obserwować Freemantle'a przez tylne okienko kabiny. Johnny wśliznął się za kierownicę.

– On ciągle rusza ustami – mruknął Jack.

– Co mówi?

Jack podniósł blokadę i odsunął szybę w okienku, po czym ściszył radio, aby usłyszeć głos Freemantle'a.

– Nie ma wron.

– Zamknij to okno.

Jack zasunął szybę, ale nadal go słyszeli.

– Nie ma wron.

Rozdział 50

Hunt zdążył oddalić się już spory kawałek na północ, kiedy zadzwonił do niego Cross. Odebrał po drugim dzwonku.

– Co tam macie?

Przez chwilę w słuchawce panowała martwa cisza.

– Lepiej, żebyś tu przyjechał – przemówił wreszcie Cross i znów zamilkł. W tle rozbrzmiewały czyjeś głosy.

– Co się dzieje?

– Właśnie zostało wydobyte pierwsze ciało.

– To nie jest Alyssa. – Hunt poczuł, jak opada go mrok.

– Nie Alyssa.

– A więc...

– To ojciec Alyssy. – Cross westchnął. – Ojciec Johnny'ego.

Hunt zjechał na pobocze. Koła z jednej strony stoczyły się z asfaltu i świat za przednią szybą się przechylił.

– Jesteś pewien?

Cross nie odpowiedział. Głosy w tle przybrały na sile, Hunt usłyszał krzyki, a potem Crossa, który wydawał rozkazy podniesionym tonem.

– Żadnych reporterów! Żadnych reporterów! Zabierzcie go stąd. Natychmiast. Zabrać go.

– Cross?

– Słyszałeś to?

– Taaa...

– Lepiej tu przyjedź.

Hunt spojrział w głąb wąskiej drogi. W oddali rozgrzane powietrze falowało nad asfaltem. Zobaczył zdezelowaną półciężarówkę, która wyjeżdżała na drogę. Wydawała się całkowicie nieruchoma, a jej dolna część była rozmyta w migocącym skwarze.

– Detektywie Hunt? – odezwał się Cross, wyrywając go z zadumy.

– Zabezpiecz wszystko. Zaraz tam będę.

Skręcił kierownicę do oporu i zawrócił w poprzek drogi. To, co usłyszał, nie miało sensu.

Spencer Merrimon nie żyje. Mąż Katherine. Nie żyje.

Hunt zamrugał oślepiiony słońcem. Wszystko to nie trzymało się kupy, ale po chwili nagle zaczęło się układać w logiczną całość. Ogarnął już wszystko i czuł, jak w gardle ściska go żal, bolesna pewność. Potrząsnął głową i pognął przed siebie. Asfalt przypominał rzekę roztopionego metalu, po której daleko w tyle, otoczona połyskującą srebrzyście mgiełką, zdawała się płynąć rozklekotana półciężarówka.

Rozdział 51

Freemantle wciąż mówił, a jego głos przebijał się przez warkot silnika i szum wiatru. Wciąż te same słowa. Raz za razem.

– Ten facet mnie wkurza. – Jack pogłośnił radio i zaczął szukać innych kanałów.

Na każdej stacji, jaką znalazł, była muzyka gospel albo jakiś kaznodzieja wygłaszał kazanie.

– ...zamknij się, zamknij się... – mamrotał pod nosem i majstrował przy radiu. Powtarzał w kółko te słowa, żeby dać upust złości i zagłuszyć strach. Kręcąc gałką, dotarł z jednego końca skali na drugi. – Gównu tu można znaleźć.

Wyłączył radio i rozparł się na siedzeniu, tymczasem Johnny skręcił w leśny trakt. Dojechali nim do miejsca, gdzie stawał się gruntową drogą i Jack wysiadł, żeby otworzyć, a potem zamknąć bramę. Zerkał na Freemantle'a, ale olbrzym w końcu ucichł i leżał nieruchomo z zaciśniętymi palcami.

– Znowu odpłynął.

Johnny też spojrział na niego, a potem wrzucił bieg. Wytoczyli się na drogę z gładkim asfaltem, która przypominała węża z pojedynczym żółtym paskiem na grzbiecie. Daleko przed nimi stał samochód, prawie niewidoczny w drżącym od upału powietrzu. Po chwili zjechał z pobocza, zawrócił i szybko się oddalił.

– Chcesz, żebym cię gdzieś podrzucił?

Johnny zauważył, że jego przyjaciel walczy z pokusą. Jego twarz wykrzywił grymas, a prawa ręka zaczęła uderzać rytmicznie o drzwi. Wyraźnie się bał. Johnny uznał, że skoro chce wysiąść, powinien to zrobić, ale kiedy Jack w końcu się odezwał, jego słowa były jak wzruszenie ramion.

– Jeszcze wcześniej – powiedział.

Kierowali się w stronę miasta, zostawiając w tyle odludne bagna, mijali

stare domostwa i pola golfowe, by potem skręcić na zachód i dotrzeć do kolejnego pustkowia, które rozciągało się za domem Johnny'ego. Johnny znalazł w długim rzędzie sosen wąską przecinkę i zjechał na gruntowy trakt. Jack znowu wysiadł, by otworzyć i zamknąć bramę, za którą rozciągała się opuszczona plantacja tytoniu. Przejechali przez rzadki las i skręcili na rozwidleniu. Droga wspięła się na wzniesienie, potem opadła i zakręciła łukiem w prawo, prowadząc ich do miejsca, gdzie na odsłoniętej polanie stała szopa. Johnny okrążył ją dookoła i zatrzymał samochód.

Na szczycie dachu siedziała samotna wrona. Otworzyła dziób. Po chwili dołączyły do niej trzy inne. Johnny zauważył, że siedzącego obok Jacka ogarnia napięcie, a jego palce dotykają koszuli w miejscu, gdzie pod spodem wisi srebrny krzyżyk.

– Wyluzuj – powiedział.

Jack pochylił się i spojrzał w górę przez przednią szybę samochodu. Na dach szopy sfrunęła piąta wrona.

– Na polach rośnie dzikie proso – wyjaśnił Johnny. – I jagody. Jest też pełno żołądzi. To nic nie znaczy.

– Widziałeś już kiedyś, żeby tak się zachowywały? Tutaj? Wszystkie takie spokojne?

Johnny badawczo przyjrzał się ptakom. Nigdy wcześniej nie widział, aby wrony siedziały w tym miejscu. Nie w taki sposób. Marmurowymi oczami wpatrywały się w ciężarówkę, a ich pióra lśniły jak czarne szkło.

– To tylko ptaki.

Johnny wysiadł z pick-upa, podniósł kamień i rzucił nim w dach. Trafił metr od miejsca, w którym siedziały wrony. Obejrzały się w tamtą stronę, a kiedy chłopiec schylił się po następny kamień, zerwały się wszystkie naraz i odleciały na rosnące w oddali drzewo.

Chłopcy opuścili tylną klapę i ocucili Freemantle'a na tyle, by zszedł z paki i dał się zaprowadzić do szopy. Zajęło im to chwilę, ale udało im się położyć go płasko na ziemi.

– On coraz gorzej śmierdzi – zauważył Jack.

– Gorączka nadal rośnie.

– I co teraz?

Stali na zewnątrz obok czarnego śladu na ziemi, gdzie przed dwoma

dniami płonęło ognisko, i patrzyli na targane wiatrem korony drzew, które zieleniły się na skraju polany.

– Dom jest za tamtą dużą skałą, między drzewami. – Johnny pokazał palcem. – Przeskakujesz strumień i już go widać.

– Przeskakujesz strumień i już... – Z szopy dobiegł głos Freemantle'a.

Chłopcy czekali, ale Freemantle nie powiedział nic więcej. Leżał nieruchomo w ciemnym wnętrzu szopy.

– Chcesz porozmawiać ze swoją mamą?

Johnny spojrział na leżącego w szopie olbrzyma.

– Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Może ona porozmawiałaby z detektywem Huntem. Nie wiem, stary. A jeżeli jej nie zastanę, przyniosę trochę czystej wody i coś do jedzenia. Może znajdę jakieś lekarstwa. Potrzebuję tylko minuty. Jednej minuty, żeby ze mną porozmawiał.

– To nie jest żaden plan, Johnny.

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Jeżeli nie uda mi się niczego szybko zdziałać, wezwiemy pogotowie, gliny, wszystko jedno.

Jack grzebał czubkiem tenisówki w rozmiękłej ziemi.

– A jeżeli on umrze? To poważna sprawa – powiedział, ale Johnny milczał, patrząc w głąb mrocznego wnętrza szopy. – A co ze mną? Co ja mam robić?

– Ktoś musi tu zostać.

– Chcę iść z tobą.

– Nie.

– On i tak śpi. A jeżeli wpakujesz się w kłopoty? Nie będzie miał kto ci pomóc.

Słowa Jacka miały sens, ale Johnny wiedział, że jego przyjaciel tak naprawdę się boi. Wyciągnął broń z samochodu i podał ją Jackowi.

– Tylko uważaj, żeby cię nie dosięgnął – poinstruował go.

Jack zajrzał do szopy i ciężko przełknął ślinę.

– Będiesz mi coś winien – powiedział. – Chciałbym, żebyś o tym pamiętał.

Johnny nic nie odpowiedział. Już szedł w stronę lasu. Jack patrzył, jak jego przyjaciel znika wśród drzew, potem odwrócił się w stronę szopy

i przemógł się, by wejść do środka.

Dwie minuty później na dachu przysiadła samotna wrona. Potem następna.

Rozdział 52

Hunt bez większych trudności przedarł się przez linię reporterów. Może dlatego, że widzieli surowy wyraz jego twarzy. Może to przez rząd policjantów w błękitnych mundurach, którzy się wyprężyli na baczność, kiedy przechodził. Jeden z dziennikarzy wśliznął się przed kordon, i to było poważne uchybienie. Gdyby coś takiego się powtórzyło, ktoś by wyleciał. Żadnych pytań. Hunt musiał zobaczyć to osobiście.

Słabe promienie słońca oświetlały podszycie, które wciąż jeszcze było spęczniałe od wilgoci. W powietrzu wisiał zaduch. Hunt zdecydowanym krokiem schodził w dół wzniesienia.

Kiedy zatrzymał się na skraju niecki, od razu wyczuł, jak bardzo zmieniła się atmosfera. Odnalezienie dorosłej ofiary stanowiło dla wszystkich zaskoczenie i nikt nie wiedział, jakie wyciągnąć z tego wnioski. Fakt, że było to ciało ojca Johnny'ego, nadawał sprawie nowy wymiar.

Wszyscy byli czymś zajęci.

W połowie zagłębienia Hunt zauważył dwóch medyków sądowych z Chapel Hill, którzy pochylali się nad świeżym wykopem. Tam znajdowało się następne ciało. Minął ich bez słowa. Na prawo od nich grupka zaaferowanych ludzi stała przy dwumetrowej długości rozkładanym stole, który nachylał się lekko wraz ze spadkiem terenu. Byli tam Cross, naczelnik, Trenton Moore i inny patolog z hrabstwa Raven. Wszyscy wyczekująco spoglądali na Hunta.

Spoczywający na ziemi worek na zwłoki wydawał się dłuższy od innych. Jakby bardziej wypchany.

Hunt podszedł bliżej, zatrzymał się półtora metra od worka i przykucnął. Pamiętał Spencera Merrimona. Zapamiętał go, jak wspierał swoją żonę, jak tłumił w sobie poczucie winy i udawał, że nie zabija go ono od środka. Wydawało się, że zawsze trzymał rękę na ramieniu syna. Zawsze stać go było na ciche podziękowania człowiekowi, który starał się

odnaleźć jego córkę. Hunt czuł do niego sympatię, może nawet go szanował.

– Czy to on?

Wszyscy skierowali wzrok na worek.

– Tak uważamy.

– Na jakiej podstawie?

– Zobacz tutaj – powiedział naczelnik.

Hunt podniósł się z kucek i wraz z innymi stanął przy stole, którego odrapaną metalową powierzchnię przeciętą na środku zawiasami pokrywał różnego rodzaju sprzęt – laptopy, torba fotograficzna, statyw, kilka notatników i pudełko lateksowych rękawiczek. Obok leżało kilka przedmiotów zapakowanych do plastikowych woreczków na dowody. Naczelnik wskazał na zaplamiony portfel.

– Był w jego kieszeni. Nylonowy, zapinany na rzep. Dzięki temu zachowała się zawartość.

Obok portfela leżało to, co wcześniej znajdowało się w środku, wszystko zapakowane do osobnych woreczków. Prawo jazdy. Karty kredytowe. Parę brudnych banknotów, kilka paragonów. Kwit z pralni. Jakieś kartki, które kiedyś były poskładane, a teraz na ich rozprostowanej powierzchni widniały ślady zgięć. Hunt zauważył fotografię Katherine i dzieci. Ją też pokrywały plamy, ale twarze dało się rozpoznać. Johnny sprawiał wrażenie nieśmiałego, ale jego matka promieniała, podobnie jak Alyssa.

– Chryste – odezwał się Hunt.

– Medyk sądowy potwierdzi jeszcze tożsamość na podstawie kartoteki dentystycznej, ale nie mamy podstaw, aby wątpić, że to on.

– Doktorze? – Hunt spojrzał na Trentona Moore’a.

– To zwłoki mężczyzny, wiek się zgadza.

Hunt obrócił wzrok w stronę pozostałych chorągiewek i dwóch mężczyzn, którzy pochylali się nad w pół odsłoniętym ciałem jakiejś bezimiennej duszy. Było teraz wielce prawdopodobne, że znajdą też zwłoki Alyssy Merrimon. Odwrócił się z powrotem do stołu i zaczął uważnie oglądać przedmioty z portfela. Przejrzał rachunki – były bezużyteczne – a potem zajął się dwiema kartkami, tyle razy składanymi, że papier na zgięciach przetaił się niemal na wylot. Na pierwszej z nich znajdował się dziecinny rysunek, który przedstawiał mężczyznę z małą

dziewczynką. Pod spodem niewprawną ręką napisała „Kocham mojego tatusia”. W dolnym rogu widniał dopisek „Alyssa, sześć lat”. Hunt sięgnął po drugą kartkę.

– Adresy – wyjaśnił Cross. – Sprawdzimy je po powrocie na posterunek.

Hunt naliczył dziewięć adresów. Pismo niewyraźne, ale czytelne. Na kartce nie było żadnych nazwisk ani numerów telefonu. Same adresy. Hunt poczuł zimne ukłucie z tyłu czaszki, które podpowiadało mu, że nie mylił się co do Spencera Merrimona. Domyślał się, dlaczego jego ciało zostało tutaj pogrzebane. Dlaczego i w jaki sposób zginął. Hunt znał te adresy. Znał nazwiska, które były do nich przypisane.

Notowani sprawcy przestępstw na tle seksualnym.

Ci niebezpieczni.

Cross był nieogolony, a kąciki jego ust wyginały się w dół. Wskazał ręką na worek ze zwłokami.

– Myślałem, że ten Merrimon uciekł.

– Nie. – Hunt odłożył kartkę na stół.

– Myślałem, że jego żona robiła mu takie wyrzuty, że w końcu prysnął z miasta.

Hunt jeszcze raz potoczył wzrokiem po leśnym cmentarzysku. Podniósł ze stołu dziecięcy rysunek. Otwartą przestrzeń w jego górnej części wypełniały narysowane czerwoną kredką krzywe serduszka.

– Nie – powtórzył. – Ten człowiek zastukał do niewłaściwych drzwi. – Zapadło całkowite milczenie. Serce Hunta wypełniły podziw i szacunek. – Ten człowiek zginął, szukając swojej córki.

Rozdział 53

Johnny wszedł między drzewa i nagle ogarnęło go zmęczenie. Dopadło go w ciągu paru sekund. Był pewny siebie i skoncentrowany, ale kiedy stracił z pola widzenia Jacka i szopę, poczuł się głodny i wyczerpany, dziwnie zagubiony. Szedł ścieżką, która znienacka zakręcała i wydawała się stroma, chociaż powinna być płaska. Był na dobrej drodze, ale miał wrażenie, że zablądził. Przedzierał się między gałęziami drzew, aż dotarł do potoku. Woda płynęła wartko i przechodząc na drugą stronę, dwa razy pośliznął się w błocie. Zatrzymał się na brzegu, zanurzył obie ręce w wodzie i przyłożył je do twarzy. Kiedy wstał, czuł się już lepiej.

Między drzewami majaczyła brudna ściana domu.

Detektyw Hunt wspinał się po wzniesieniu, kiedy zadzwonił jego telefon. Taylor zaczęła mówić, gdy tylko odebrał. Opowiedziała mu o Kenie Hollowayu, o potrzaskanym fortepianie i zmalretowanej pokojówce.

– To ten fortepian, który Johnny uszkodził kamieniem, prawda? – zapytała.

– Tak.

– Cóż, teraz to już ruina.

Hunt ciężko dyszał, zawiesiste i wilgotne powietrze męczyło jego płuca.

– A co z tą pokojówką? Czy jej obrażenia są poważne?

– Nie – odparła Taylor. – I to zakrawa na cud. Musiałbyś zobaczyć tę demolkę.

– Bardzo źle?

– Facetowi kompletnie odbiło. Wygląda na to, że jest pijany i naćpany. Swoją służącą nazwał Katherine.

– No i?

– Ona nie ma tak na imię.

– O w mordę.

– No właśnie.

– Dodaj jeszcze zarzut napaści i przekaz to wszystkim patrolom.

Musimy go znaleźć najszybciej, jak się da, zanim zrobi krzywdę komuś innemu. I wyświadczyć mi przysługę. Zadzwoń do Katherine Merrimon i powiedz jej, żeby opuściła dom. Niech przyjedzie na posterunek. Tam się z nią spotkam. Powiedz jej, że muszę z nią porozmawiać, i że to ważne.

– I tu jest problem.

– Jaki?

– Już próbowałam – powiedziała Taylor, i Hunt wiedział, że coś się szykuje. – W jej domu nikt nie odbiera.

Johnny wyszedł z lasu i stanął na starym kawałku blachy, który leżał na podwórku. Metal był tak nagrany od słońca, że chłopiec czuł ciepło przez gumowe podeszwy butów. Zeskoczył na ziemię i blaszany arkusz wydał głuchy odgłos. Podszedł do domu od tyłu i zajrzał do środka przez szybę. Jego pokój był pusty, a okno zamknięte. Pokój matki tak samo. W środku panował półmrok, na łóżku leżała skotłowana pościel, a przez otwarte drzwi wpadało do środka słabe światło z korytarza. Johnny wychylił się za rogu i ruszył w stronę frontowych drzwi.

Cadillac Kena stał na podwórku przed domem. Nie na podjeździe, ale na podwórku. Ukrywając się za karłowatymi krzakami, chłopiec podbiegł do jedyne drzewa, jakie rosło przed domem, i wyjrzał zza pnia. Przedni błotnik był wygięty, a z boku samochodu widniała półmetrowa rysa. Przednie koło dotykało najniższego stopnia ganku, a drzwi od strony kierowcy były otwarte. Johnny położył ręce na masce. Jeszcze gorąca.

Dom był szczelnie zamknięty, ale Johnny usłyszał to dostatecznie wyraźnie. Krzyk.

Rozpoznał głos matki.

Wbiegł na ganek, przeskakując po dwa stopnie.

Jack trzymał lufę karłowatą dłonią, a prawą zaciskał na rękojeści. Obserwował Freemantle'a, który leżał wyciągnięty na podłodze i miotał się we śnie, mamrocząc coś pod nosem, podczas gdy jego szeroka pierś unosiła się i opadała. Wyglądał jak ciemna bryła w nieruchomym gorącym powietrzu.

Zabójca, który boi się wron.

Szaleniec, który mówi przez sen.

Bóg jeden wie.

Nawet śpiąc, nie przestawał tego powtarzać.

Jack przyłożył sobie ciepły metal do policzka. Zastanawiał się, gdzie jest Johnny. Dlaczego nie wraca?

Bóg jeden wie.

Powtarzał to nawet przez sen.

Johnny położył dłoń na klamce i w tym momencie drzwi gwałtownie się otworzyły. Szarpnięcie było niespodziewane i chłopiec, pociągnięty z ogromną siłą, przeleciał przez próg i wpadł do środka. Zobaczył swoją matkę – leżała na podłodze, a jej wykręcone do tyłu ręce były skrępowane drutem. Zawołała go po imieniu, a wtedy Holloway złapał go za gardło. Miał wielką dłoń i grube palce. Johnny nie mógł oddychać, nie mógł wykrztusić ani słowa.

Holloway kopnięciem zatrzasnął drzwi i pociągnął Johnny'ego przez salon, kiedy szedł do okna, aby zaciągnąć zasłony. Chłopiec próbował rozgiąć palce, które go dusiły. Czuł gorąco na twarzy, a oczy wychodziły mu z orbit. Matka znów wykrzyknęła jego imię. Holloway poderwał go z ziemi i Johnny zobaczył nienawiść w jego oczach.

– Teraz cię mam, ty mały gnoju.

Potężna ręka zatrzęsała wiotkim ciałem i chłopcu pociemniało przed oczami. Kiedy odzyskał zdolność widzenia, Holloway cisnął nim o podłogę. Johnny przetoczył się na brzuch i zobaczył skrawek dywanu, a na nim idealnie wypolerowane buty Kena Hollowaya.

Znów rozległ się krzyk matki.

Levi stał na brzegu rzeki. Jego matka właśnie została pochowana, a ziemię z jej grobu wciąż jeszcze miał pod paznokciami i w głębokich bruzdach na dłoniach. Był cały mokry od potu i rozgrzany od machania łopatą. Palił go żal, paliła go poparzona skóra pod opatrunkiem na twarzy. Dzień wcześniej poszedł do miasta i zamówił kamień na jej grób. Miało być na nim napisane: „Creola Free mantle. Bóg jeden wie, jak piękna jest jej dusza”.

Levi przyglądał się ziemi na swoich rękach. To była boża ziemia, czarna i bogata. Ziemia z Sekretnego Ogrodu. Rodzinna ziemia. Potarł dłońmi

o siebie i wszedł do wody. Chłodny nurt sięgał mu do kolan, potem do piersi.

– Bóg jeden wie – powiedział i dał się unieść wodzie.

Levi usiadł. Zobaczył wymierzoną w siebie lufę rewolweru, który kołysał się w rękach wystraszonego chłopca. Chłopiec wyglądał znajomo, ale Levi nie widział zbyt dobrze. Świat przed jego oczami był rozmazany i przekrzywiony. Widział tylko jasną skórę i zmierzwione włosy. I rozbiegane nerwowe oczy.

Levi nie wiedział, gdzie jest, ale czuł nadchodzącą zmianę. Słup powietrza spiętrzył się nad jego głową i napierał na niego chłodem. Potem wypełnił go głos. „Jeszcze tylko jedna rzecz” – usłyszał Levi w swojej głowie i jego zęby zaśniły bielą w półmroku.

Wstał i ból odpłynął gdzieś daleko. Ból stał się odległym wspomnieniem.

Jack przesuwiał stopy po klepisku, aż za plecami poczuł ścianę. Oczy mężczyzny lśniły obłąkańczym blaskiem i jedyne, o czym myślał Jack, to tamtych dwoje, którzy zginęli z ręki tego szaleńca. I krew rozlana jak farba, o której opowiadał Johnny.

Jak farba.

Roztrzęsionymi rękami wysunął przed siebie rewolwer. Nie mógł nad nimi zapanować. Powtarzał swoją własną modlitwę: „Nie każ mi go zabijać, nie każ mi go zabijać...”.

Ale Freemantle nie sprawiał wrażenia, jakby chciał go skrzywdzić.

– Za tamtą dużą skałą, między drzewami. – Jego głos był ociężały, powoli wypowiadał słowa. – Przeskakujesz strumień i już go widać.

Błysnął podbiegłymi krwią białkami oczu i utykając, ruszył w stronę wyjścia. W drzwiach przystanął na moment, powiedział coś jeszcze do Jacka i wyszedł.

Przez długie sekundy Jack nie mógł się poruszyć. Był zbyt oszołomiony i wystraszony, by zebrać myśli. Gdy w końcu zmusił się, by wyjść przed szopę, Freemantle właśnie zatrzymał się na skraju linii drzew. Okaleczony i kulawy, nie miał na sobie butów ani koszuli, a jego mięśnie drgały i przeżyły się pod skórą pokrytą bryzgami krwi i brudem. Jedna

dłoń niemal pękała od opuchlizny, a z rany na boku sterczał kilkunastocentymetrowy kikut rozszczepionej gałęzi. Ale Freemantle zdawał się nie zwracać na to wszystko uwagi. Odwrócił się, przekrzywił głowę i popatrzył przed siebie zdrowym okiem. Jack podążył za jego spojrzeniem i poczuł, jak chłód rozlewa mu się w piersi.

Słońce stało wysoko na nieskazitelnym błękitnie nieba.

Dach szopy był czarny od wron.

Głos matki wciąż jeszcze rozbrzmiewał w uszach Johnny'ego, kiedy obuta w wypastowaną skórę stopa zatoczyła łuk. Pierwszy cios trafił go w krzyże, drugi w ramię. Chłopiec zwinął się w kłębek, próbując się zasłonić, ale Holloway znów go kopnął.

– Nikt nie zadziera z Kenem Hollowayem – powtarzał za każdym razem. Potem złapał Johnny'ego za włosy. – Nie waż się stąd ruszać.

Pchnął go z powrotem na podłogę i znikł w korytarzu. Johnny usłyszał, jak otwierają się drzwi jego pokoju i ze środka dobiega jakiś rumor. Kiedy Holloway wrócił, trzymał w ręku ołowianą rurkę, którą chłopiec ukrywał za łóżkiem.

– Myślisz, że o tym nie wiedziałem? To jest mój dom. – Uderzył Johnny'ego końcem rurki w nogę. – Mój dom. I nikt nie będzie ze mną zadzierał w moim pierdolonym domu.

Ken wyprostował się, wziął ze stołu rolkę srebrnej taśmy samoprzylepnej i oderwał dwudziestocentymetrowy kawałek, po czym złapał matkę Johnny'ego za włosy. Kobieta wrywała się, kiedy zaklejał jej usta.

– Powinienem był to zrobić tydzień temu – powiedział.

Na telewizorze leżało lusterko. Ken wziął zrolowany banknot, zatkał jedną dziurkę w nosie i wciągnął dwie kreski białego proszku. Kiedy się odwrócił, w jego oczach czerniły się rozszerzone źrenice.

– I gdzie jest teraz twój tatuś?

Ściskając w dłoni rurkę, ruszył przez salon. Johnny kopnął go w goleń, a potem w kolano. Jego matka szarpnęła się, kiedy Ken uniósł rurkę nad głowę. Johnny wrzasnął.

I wtedy frontowe drzwi eksplodowały. Uderzyły z impetem o ścianę, wisząc na obłuzowanych zawiasach, a całe wejście zasłoniła olbrzymia

sylwetka Leviego Freemantle'a. Pożółkłe oczy miał podbiegłe krwią, ciężko dyszał, a jego ramiona były tak szerokie, że dotykały futryny z obu stron. Spojrzał na uniesioną rurkę i przestąpił próg. Holloway skurczył się i zrobił krok do tyłu, a jeden z jego idealnie lśniących butów dotknął żeber Johnny'ego.

Freemantle wszedł do salonu, napełniając powietrze ciężkim odorem. Nie utykał, w jego kroku nie było wahania.

– Maleństwa są darem – powiedział.

Holloway zamachnął się rurką, gdy olbrzym podszedł do niego, ale nawet ktoś tak wysoki jak Ken Holloway obok Freemantle'a był jak dziecko.

Levi chwycił rurkę jedną ręką, szarpnął ją do siebie, zamierzył się i cztery kilogramy ołowiu zatoczyły łuk i trafiły Hollowaya w gardło. Holloway zachwiał się, potem osunął na kolana na wprost Johnny'ego. Kiedy runął na podłogę, ich twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów. Trzymając się oburącz za szyję, próbował złapać oddech. Chłopiec przyglądał mu się i wiedział, co teraz przeżywa. Widział narastającą świadomość, pewność, a potem zgrozę. Zaciskając palce na zmiażdżonej krtani, Holloway zabębnił obcasami o podłogę, aż w końcu jego nogi opadły bezwładnie. W jego oczach gasło światło, a zasnuwający je mrok był jak cień wielkich skrzydeł.

Rozdział 54

Hunt nacisnął hamulec, skręcił kierownicę w prawo i poczuł, jak zarzuciło tyłem samochodu. Jego radiowóz był ciężki i mocno rozpędzony. Koła zachrzęściły na żwirze, kiedy wjeżdżał na podjazd. Hunt zauważył cadillaca z wgniecionym błotnikiem, otwarte drzwi domu i pogrążone w mroku wnętrze. Wjechał na podwórze i wyskoczył z samochodu z bronią w rękę. Kiedy znalazł się trzy metry od drzwi, poczuł na twarzy gorący podmuch. Po ziemi przemykały cienie.

Przestąpił próg i zobaczył związaną Katherine leżącą na podłodze. Usta miała zaklejone taśmą i oddychała ciężko przez nos. Johnny leżał na dywanie, brudny, posiniaczony i zalany krwią. Na jego pobladłej twarzy malowało się przerażenie. Holloway, rozciągnięty obok niego, wyglądał jak worek kości i był martwy albo bliski śmierci. Nad nimi stał Freemantle i trzymał w rękę półmetrową metalową rurkę. Obdarty, zakrwawiony i z pałającymi oczami wyglądał jak desperat, jak morderca. Dla Hunta sytuacja była jasna.

Metalowa rurka czy pustak, na jedno wychodzi.

Uniósł pistolet.

– Nie! – krzyknął Johnny.

Ale Hunt już nacisnął spust. Wystrzelił jeden pocisk, celując wysoko i na prawo. To nie miał być śmiertelny strzał. Hunt chciał go powalić, ale wziąć żywcem.

Uderzenie pocisku zachwiało Freemantle'em i odrzuciło go do tyłu, ale nie ścięło z nóg. Hunt podszedł bliżej z wycelowaną bronią, ale olbrzym nie wykonywał żadnych agresywnych ruchów. Na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz, jakby zmieszania, które ustąpiło miejsca promiennej radości, o ile coś takiego w ogóle było możliwe. Uniósł dłoń z rozprostowanymi palcami i spojrzał ponad ramieniem Hunta na czyste błękitne niebo i rozjarzone słońce. Stał na tyle długo, by wypowiedzieć jedno słowo.

– Sofia.

Potem osunął się na kolana i zanim jego ciało dotknęło podłogi, już nie żył.

Rozdział 55

Kiedy Hunt zgłosił meldunek, nie dało się zachować wszystkiego w tajemnicy. Potrzebował mundurowych, ambulansu i medyka sądowego. Wiadomość rozeszła się jak pożar po suchym lesie i zaczął się masowy exodus reporterów spod domu Jarvisa. Zginęli zbiegły więzień i najbogatszy obywatel miasta, a oba ciała znajdowały się w domu Johnny'ego Merrimona.

Znowu Johnny Merrimon.

Hunt musiał wyłączyć z ruchu ulicę. W odległości pół kilometra od domu w obydwu kierunkach stanęły w poprzek wąskiej drogi oznakowane radiowozy. Kazał też sprowadzić bariery. Dzień zaczął się jeszcze raz późnym popołudniem.

Hunt zadał kilka koniecznych pytań, po czym oddał Katherine i Johnny'ego pod opiekę załogi ambulansu. Obydwoje byli mocno poturbowani, Johnny ledwie trzymał się na nogach, ale ratownicy twierdzili, że nic im nie będzie, że trochę się nacierpią, ale z tego wyjdą. Hunt starał się panować nad emocjami i nie okazywać troski ani ulgi – okazały się nieco silniejsze, niż się spodziewał. Upewnił się, czy kordon otaczający dom jest szczelny, i wszedł do środka.

Holloway był martwy. Freemantle był martwy.

Hunt myślał o Yoakumie i chciał zapytać Johnny'ego, czy to on był człowiekiem, którego widział w domu Jarvisa. Nie miał jednak fotografii przyjaciela, a chłopiec jeszcze nie wyszedł z szoku, więc na razie zostawił go w spokoju. Koordynował pracę fotografów i techników kryminalnych i po raz pierwszy w swojej karierze poczuł się przytłoczony. Ronda Jeffries, Clinton Rhodes i David Wilson. Dzieci pogrzebane w lesie za domem Jarvisa i sam Jarvis, a potem Meechum. A teraz Freemantle i Holloway. Tyle trupów i tyle pytań.

Kiedy przyjechał naczelnik, najpierw pochylił się nad ciałem Hollowaya – nad jego zapadniętymi ustami lśniły szeroko otwarte oczy. Freemantle

nawet po śmierci wydawał się potężny i niepokonany.

– Kolejny śmiertelny strzał – odezwał się naczelnik.

– Nie raniłem go poważnie. Nie powinien umrzeć.

– Ale umarł.

– To mnie wylej.

Naczelnik stał w milczeniu przez długą minutę.

– Kolejny zabity podejrzany – przemówił w końcu.

– A co z Hollowayem? – zapytał Hunt.

Jego szef spojrzał na obrzmiałą twarz trupa.

– Czy on bił tego chłopca?

– I jego matkę.

Na twarzy naczelnika pojawił się wyraz smutku i rozczarowania.

– Myślę, że chyba Yoakum miał rację.

– Jak to?

– Chyba faktycznie ciemność toczy ludzkie serce niczym rak.

– Nie zawsze – odparł Hunt. – I nie wszystkim.

– Może masz rację. – Naczelnik odwrócił się w stronę drzwi. – A może nie.

Godzinę później Hunt podzielił się wiadomością na temat ojca Johnny'ego. Najpierw powiedział o tym Katherine, ponieważ uznał, że takie rozwiązanie będzie właściwe. Powinna sama oswoić się z jego śmiercią, żeby potem pomóc synowi zrobić to samo. Powiedział jej o tym na podwórzu, pośród zgiełku, jaki robili policjanci i ratownicy medyczni. Przyjęła to dzielnie. Żadnych łez ani zawodzenia. Milczała całe pięć minut, a kiedy się odezwała, jej głos był tak słaby, że ledwie ją słyszał.

– Czy miał na palcu obrączkę? – zapytała.

Hunt nie wiedział. Zadzwonił do patologa i zaczął rozmowę ściszym głosem, tymczasem Katherine podeszła do ambulansu, w którym sanitariusze wciąż zajmowali się jej synem. Kiedy Hunt stanął obok niej, podniosła na niego wzrok. Zobaczył, że jest krucha jak szkło.

– Tak – powiedział, a ona zgięła się w pół.

Kiedy Johnny mógł już chodzić o własnych siłach, Hunt i matka zaprowadzili go na podwórze za domem, w spokojne miejsce, gdzie nikt ich nie widział. Katherine usiadła obok niego na kępie trawy i trzymała

go za rękę, podczas gdy Hunt opowiedział mu o tym, co odkryli w lesie za domem Jarvisa.

– Szukał Alyssy – rzekł detektyw i zawiesił głos, a jego milczenie było bardzo wymowne. – Tak jak ty.

Johnny nie odezwał się ani słowem, a jego wielkie czarne oczy spoglądały nieruchomo.

– Był dzielnym człowiekiem – dodał Hunt.

– A Jarvis go zabił?

– Tak przypuszczamy. – Hunt przeniósł wzrok z matki na syna. Byli do siebie tacy podobni. – Jeżeli jest coś, co mógłbym zrobić...

– Czy moglibyśmy zostać przez chwilę sami? – zapytała Katherine.

– Oczywiście – odparł Hunt i odszedł.

Obydwoje odprowadzili go wzrokiem, a kiedy znikł za rogiem budynku, Katherine przysunęła się bliżej syna, który wpatrywał się w jakiś punkt na tylnej ścianie domu. Pogładziła dłonią jego brudne włosy. Dopiero po minucie chłopiec zdał sobie sprawę, że jego matka płacze. Wydawało mu się, że zrozumiał ją od razu, ale się mylił.

– On nas nie opuścił – wyszeptała.

Otarła oczy, powtórzyła swoje słowa i wtedy do Johnny'ego dotarło.

On nas nie opuścił.

Zaszło między nimi coś wielkiego i niewysłowionego, kiedy tak przeżywali swoje milczące pojednanie. Przerwał je dopiero odgłos kroków dobiegający od strony lasu. Na ścieżce pojawił się Jack. Był cały ubłocony, jakby wpadł do strumienia. Wyglądał bardzo mizernie, a jego rozbiegane oczy spoglądały to na dom, to w niebo. W końcu zauważył ich i kuśtykając, ruszył w stronę zacienionego miejsca, w którym siedzieli. Zatrzymał się półtora metra przed nimi. Johnny otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale Jack uniósł rękę.

– Wiem, gdzie ona jest – powiedział. Nikt się nie poruszył, a Jack ciężko przełknął ślinę. – Wiem, gdzie ona jest.

Rozdział 56

Hunt miał wątpliwości. Patrzył przeciągle Jackowi w oczy, ale chłopiec był nieustępliwy.

– To była ostatnia rzecz, jaką powiedział mi Freemantle.

– Opowiedz mi to jeszcze raz. – Hunt skrzyżował ręce na piersi.

Wciąż przebywali na podwórzu za domem, w zacienionym miejscu w pobliżu lasu. Katherine była zszokowana. Johnny miał napięte mięśnie, a jego twarz oblewał rumieniec.

– Spał w szopie, a potem się obudził i wyszedł na zewnątrz. Poszedłem za nim. – Jack spojrzał na Johnny’ego i zaraz odwrócił wzrok. – Poszedłem za nim.

– Ale nie do samego domu? – zapytał Hunt.

– Bałem się.

Jack nie powiedział nic o wronach. Nie wspomniał o tym, jak obsiadły dach szopy, skupione i nieruchome. Jego strach był zbyt wielki, zbyt osobisty.

Hunt pokręcił głową.

– Mógł mówić o czymkolwiek.

Katherine ścisnęła syna, a chłopiec się wyrywał.

– Kiedy go znaleźliśmy, miał pasek materiału z jej monogramem – powiedział. – To był kawałek koszulki, którą nosiła w dniu porwania. Było na nim jej imię i nazwisko.

– Już mi o tym mówiłeś – odezwał się Hunt. – Teraz rozmawiam z Jackiem. – Wskazał na chłopca. – Czy wymienił imię Alyssy?

– Nie.

– Powtórz mi dokładnie, co powiedział.

Jack przeniósł wzrok z Hunta na Johnny’ego, potem znów spojrzał na Hunta.

– Północny Szyb Crozeta. Właśnie to powiedział.

– Słowo w słowo, Jack. Tak chcę to usłyszeć.

Jack zająknął się, a potem powtórzył.

– Ona jest w Północnym Szybie Crozeta.

– I wiesz na pewno...

– On mówił o Alyssie – wtrącił się Johnny. – Pytaliśmy go o to wcześniej. Właśnie o to mu chodziło. To musiało być to.

Hunt zmarszczył czoło.

– Mówiłeś również, że słyszał głos Boga w swojej głowie. Stąd moje wątpliwości.

– Musimy spróbować.

Hunt znał Północny Szyb Crozeta. Wszyscy go znali. Należał do ostatniej z wielkich kopalni złota i najbogatszej, jaka kiedykolwiek działała w hrabstwie Raven. Został wykopany na początku XIX wieku przez Francuza nazwiskiem Jean Crozet. Sięgał dwieście metrów w głąb ziemi, a na jego dnie rozchodziły się korytarze biegnące wzdłuż złoża. Znajdował się w dzikim lesie w północnej części hrabstwa. Hunt zwiedzał kiedyś tę okolicę i zapamiętał wysokie drzewa i pokruszone granitowe skały, wnęki na dynamit wykute w zboczu wzgórza i szyby, dziesiątki szybów. Północny Szyb Crozeta był wśród nich najgłębszy i najsłynniejszy. Korzystano z niego nieprzerwanie przez dwie dekady – straciło w nim życie czterech ludzi. Przyniósł właścicielowi ogromne bogactwo, największe, jakie kiedykolwiek zyskano z wydobywania złota w Karolinie Północnej. Jean Crozet był miejscową legendą. Jego imieniem nazwano kilka ulic i skrzydło biblioteki.

Cały teren był kiedyś ogólnie dostępny jako obiekt zabytkowy, ale władze zamknęły go przed trzema laty, kiedy szyby zaczęły się zapadać i jakiś geolog z Chapel Hill uznał to miejsce za niebezpieczne. Północny Szyb Crozeta znajdował się nie tak daleko od miejsca, w którym znaleźli ciało Davida Wilsona. Od szybu do mostu dało się dotrzeć w dwanaście minut samochodem. Hunt spojrzął na niebo. Do zachodu słońca zostały cztery godziny.

– Jest późno – zaczął.

Katherine położyła rękę na jego ramieniu.

– Proszę – powiedziała. Hunt się zawahał. – Proszę.

Odwrócił wzrok od desperackiego spojrzenia jej oczu i zauważył medyka sądowego, który właśnie wychodził z budynku.

– Zaczekajcie tutaj.

Podszedł do Trentona Moore'a, który stanął w nasłonecznionym miejscu przy bocznej ścianie domu.

– Pamiętasz Davida Wilsona? – zagadnął. – Powiedziałeś, że uprawiał wspinaczkę.

Moore zmrużył oczy, przestawiając umysł z jednej sprawy na drugą.

– Wszystko na to wskazywało.

– Czy mogło wskazywać też na to, że uprawiał wspinaczkę jaskiniową? Opuszki palców? Muskulatura?

– Eksploracja jaskiń? Pewnie. Wielu wspinaczy tak robi. Inny świat, inne wyzwania. – Wzruszył ramionami. – Alpinista idzie w górę, grotolaz schodzi w dół. To wszystko wspinaczka.

Hunt wrócił do niespokojnej grupki stojącej pod drzewami. Spojrzał na niebo, potem na zegarek. Zauważył, że Katherine stara się nie patrzeć na niego błagalnym wzrokiem. Johnny sprawiał wrażenie, jakby był gotów tam pobiec, gdyby Hunt się nie zgodził.

– Szybkie oględziny – powiedział detektyw. – To wszystko, co mogę obiecać.

– A co ze mną? – zapytał Jack.

– Dzwoniłem do twojego ojca. Już tu jedzie.

– Nie chcę go widzieć.

– Nie dziwię ci się – odparł Hunt. – Jest na ciebie wściekły. Twoja matka odchodziła od zmysłów.

– Nic pan nie rozumie – chłopiec próbował dyskutować.

– Zamknę cię w radiowozie, jeżeli będę musiał. Mam to zrobić?

Strach Jacka ustąpił miejsca posępnemu przygnębieniu.

– Nie.

– Więc czekaj tu.

Ostatnie słowa Hunt wypowiedział tak, jakby mówił do psa.

Jack patrzył za nimi. Johnny odwrócił się i uniósł rękę, a Jack odpowiedział mu takim samym gestem. Hunt posadził ich na tylnej kanapie swojego samochodu. Nachylił się i coś do nich powiedział. Obydwoje położyli się, prawdopodobnie po to, aby przemknąć niepostrzeżenie obok reporterów. Jack patrzył, jak samochód zbliża się do

północnej blokady, mija ją i znika. Na południu rozsunęły się barierki drugiej blokady i przejechał przez nią ojciec Jacka. Jego radiowóz toczył się wolno, a słońce odbijało się od lakieru. Jack zobaczył za szybą sylwetkę ojca i czmychnął z powrotem do lasu. Wiedział, co się szykuje, i nie był w stanie tego znieść. Nie tak od razu. Nie na trzeźwo.

Johnny jechał wraz z matką z tyłu. Kobieta starała się zachować równowagę. Jej ręce były blade, jakby odpłynęła z nich krew. Hunt skierował się na północ i lekko odbił na zachód. Z wylotu nawiewów dmuchało zimne powietrze, a on obserwował w lusterku oczy Katherine, kiedy tylko nadarzała się okazja. Była jakaś nadzieja, ale nikła. Jack się mylił albo miał rację. Tak czy inaczej, szyb miał dwieście metrów głębokości, a jego dolną część zalewała zimna i czarna woda.

Szansę na szczęśliwe zakończenie były niewielkie.

Zwolnił, kiedy wjeżdżali na most, gdzie zginął David Wilson. Johnny wyjrzał przez okno; prócz niego nikt tego nie zrobił. Rzeka odbijała głęboki błękit nieba, jej błotniste brzegi porastały bujne zarośla. Półtora kilometra dalej droga zaczynała się wznosić. Oddalała się od rzeki i wspinała po niewysokich wzgórzach, gdzie otwarte przestrzenie ustępowały miejsca gęstym lasom. W tej części hrabstwa nie napotykało się wielu sosen. Na skalistej glebie rosły sekwoje. Okolica była piękna, ale jałowa i odludna, gdyż wody gruntowe leżały głęboko pod warstwą granitu, a wykopanie studni sporo kosztowało. Mimo to mieszkali tam jacyś ludzie. Po drodze minęli małe domy stojące pod lasem i kilka przyczep mieszkalnych.

Hunt skręcił w wąską drogę i przejechał przez mostek, który łączył brzegi niewielkiego strumienia. Gdy zagłębili się w las, niebo skurczyło się do wąskiego pasma błękitu. Była siedemnasta. Słońce zachodziło o dwudziestą.

– Prawie jesteśmy na miejscu – odezwał się Hunt.

Katherine mocniej ścisnęła syna.

Minęli rozpadającą się tablicę, na której widniał napis: „Zabytkowe kopalnie hrabstwa Raven, 3 kilometry”. W poprzek ktoś domalował białą farbą słowo: „Zamknięte”. Na powierzchni tablicy ziały dziury po kulach.

Za kolejnym mostem kończył się asfalt i zaczynała gruntowa droga. Po

prawej stronie na pustakach wspierała się stara i zdezelowana przyczepa mieszkalna z zawieszoną na przedniej ścianie butlą propanu. Na płaskim, porośniętym trawą brzegu strumienia widać było krzesła ogrodowe. Chudy i nieogolony mężczyzna o spalonej słońcem skórze, z wyglądu dwudziestokilkulatek, stał oparty o burtę pick-upa zaparkowanego przed wejściem do przyczepy i trzymał w ręku puszkę piwa. Na pace samochodu leżała sterta opróżnionych puszek. Johnny uniósł rękę, kiedy przejeżdżali obok niego, a mężczyzna odpowiedział mu takim samym gestem. Miał zmrużone oczy, ale wyglądał przyjaźnie. Za jego plecami w drzwiach przyczepy stanęła młoda kobieta. Była gruba i miała nieprzyjemny wyraz twarzy. Johnny też ją pozdrowił, ale ona go zignorowała i patrzyła za nimi, dopóki nie zniknęli za zakretem.

– Niektórzy ludzie nie lubią obcych – wyjaśnił Hunt. – Niewielu zapuszcza się tak daleko. Nie przejmuj się tym.

Półtora kilometra dalej zatrzymali się na opuszczonym parkingu. Przez pokrywającą go warstwę żwiru przebijały się chwasty. Johnny ruszył w kierunku planszy z wielką mapą, która wisiała pod wiatą.

– Wiem, gdzie jest szyb – oświadczył Hunt. – Prowadzi do niego główna ścieżka.

Szli powoli przez dziesięć minut, mijając ostrzegawcze tablice, za którymi otwierały się dziury w ziemi. Otwór szybu miał średnicę trzech i pół metra. Obok niego zaczynał się opuszczony i zarośnięty chwastami tor, który nikł między drzewami. Pokryte rdzą szyny o wąskim rozstawie leżały na przegniłych podkładach, nad którymi wciąż unosił się zapach krezotu i oleju.

Johnny zbliżył się do szybu. Grunt był zwietrzały i kilka grudek ziemi oderwało się od krawędzi.

– Nie chodź tam.

Spojrzał na matkę i wyprostował się. Czuł na twarzy chłodny i wilgotny prąd powietrza. Widział skalne ściany, które nikły w ciemności.

– Byłem tu na wycieczce ze szkoły – powiedział. – Wtedy wisiały tu liny. Żeby dzieciaki nie powpadały.

Osadzone w betonie słupki wciąż stały na swoim miejscu, ale lin już nie było. Zostały skradzione albo zbutwiały. Pamiętał tamten dzień. Pochmurny i chłodny. Nauczyciele kazali im trzymać się za ręce i żadna

z dziewcząt nie chciała iść koło Jacka. Johnny miał przed oczyma ten obraz. Wychylające się nad linami dzieciaki tylko czekały, aż nauczyciel się odwróci, i wrzucały kamienie w głąb szybu.

Jack stał tam.

– Johnny. – W głosie Katherine rozbrzmiewał nerwowy ton. Była spięta i zaniepokojona.

Johnny zrobił krok w tył, a jego spojrzenie powędrowało w miejsce, w którym stał wtedy Jack. Na krawędzi lasu, z dala od innych dzieci. Przygnębiony i odwrócony plecami do wszystkich patrzył na małą kwadratową płytkę z przezartego rdzą żelaza, która była przymocowana wkretami do surowej skały. Jack wlepił w nią wzrok i próbował powstrzymać się od płaczu.

Hunt stanął nad krawędzią szybu, tymczasem Johnny podszedł do żelaznej tabliczki. Została tam przytwierdzona w czasach, kiedy szyb jeszcze działał. W metalu były wybite litery. Johnny przypomniał sobie, jak wtedy Jack wodził po nich małym palcem – zostały na nim czerwone plamy rdzy.

– Widzę haki – zawołał Hunt.

Johnny uświadomił sobie, że też je widział, dziesięć metrów w głąb szybu. Poobijany młotkiem metal połyskiwał. Świadomość ta wydawała się jednak czymś odległym, jak głos Hunta. Chłopiec nie odrywał oczu od tabliczki. Patrzył na zardzewiałe litery i widział karłowaty palec Jacka pobrudzony na czubku. Czuł na plecach powiew wiatru. Hunt rozmawiał z kimś przez telefon.

– To tutaj – odezwał się Johnny, ale nikt go nie słyszał. – Ona tu jest.

Rozdział 57

Hunt wezwał pomoc, dbając, aby sprawa nie nabrała rozgłosu. Po niespełna godzinie dwaj strażacy przyjechali prywatnymi samochodami wyładowanymi sprzętem. Obaj byli po służbie. Trenton Moore też przyjechał swoim samochodem. Hunt wrócił na parking, wyjął z bagażnika potężne szczypcy i przeciął nimi stalową linę, która zamykała wjazd. Ciemnoniebieski dodge ram pierwszego strażaka przedarł się w górę wąskiej ścieżki między gałęziami, które szorowały po jego burtach. Nad szybem mężczyzna zawrócił i wycofał niemal nad samą krawędź. Drugi przyjechał jeepem. Obaj zajęli się wyładowywaniem liny, tymczasem medyk sądowy wysiadł ze swojego kombi, na tyle wąskiego, że zdołał uniknąć rys na lakierze. Hunt spojrział na Katherine, by zobaczyć, jakie wrażenie zrobiło na niej przybycie patologa, ona jednak pozostała niewzruszona. Przyglądała się, jak postawni strażacy zapinają uprząż i spuszczają zwoje grubej liny w ciemną czeluść. Potem usiadła obok syna.

Hunt stał ze strażakami nad krawędzią szybu. Mężczyźni byli młodzi i sprawni, jednak ryzyko wiązało się z tym, że robiło się coraz ciemniej. Światło dnia słabło z każdą chwilą.

– Zajrzyjcie i wracajcie – powiedział Hunt. – Nie wiadomo, czy w ogóle coś tam jest, więc nie ma co strugać bohaterów.

Starszy ze strażaków miał około trzydziestki. Przypiął karabińczyk do uprząży i pochylił się nad zaczepionymi z tyłu dodge' a linami, aby upewnić się, że są mocno przytwierdzone. Jedną latarkę miał na czole, a druga wisiała zaczepiona do jego uprząży.

– To dla nas zwykły spacer, detektywie.

– Szyb ma dwieście metrów głębokości.

– Rozumiem.

– Jego dno jest zalane.

– Drobiazg. – Strażak kiwnął głową.

Hunt odsunął się, a obaj strażacy przeszli nad krawędzią szybu.

Nawoływali się, zjeżdżając w dół, a ich głosy były coraz słabsze, aż wreszcie całkiem ucichły. Hunt nachylił się nad ciemnym otworem i patrzył na oddalające się światła. Latarki omiatały ściany wąskimi lukami, coraz mniejszymi, w miarę jak połykała je czerń.

Hunt spojrział na Johnny'ego, który kiwał się, siedząc na ziemi. Oczy chłopca lśniły jak szkło. Jego matka płakała. Przyglądał się im, tymczasem jedna z lin zadrgała.

Szybko im poszło – pomyślał.

Po chwili zatrzeszczała krótkofalówka Hunta. Policjant ściszył ją i obrócił się przodem do szybu.

– No, dawaj.

– Coś tu mamy.

Hunt rozpoznał głos starszego ze strażaków. Spojrział przez ramię na Katherine.

– Co to jest?

– Wygląda mi na ciało.

Johnny patrzył na chmurę, podczas gdy Hunt stał nad nimi i opowiadał o tym, co znaleźli strażacy. Chmura była pomarańczowa u dołu i miała kształt łodzi podwodnej. Z czasem pomarańczowy żar zamienił się w czerwień, a wiatr rozciągnął chmurę w coś bezkształtnego i płaskiego.

– Johnny?

Chłopiec słyszał głos Hunta, ale nie był w stanie obrócić wzroku w jego stronę. Potrząsnął głową, a policjant powiedział coś jeszcze. Johnny patrzył, jak chmura wykręca się na niebie. Docierały do niego słowa. Słyszał, że ściany szybu zapadły się na głębokości czterdziestu metrów, słyszał coś o przewężeniach i osuwających się skałach. Wszystko mogło runąć lada chwila. Johnny drgnął, gdy Hunt powiedział coś o zwłokach, które uwięzły w osuwisku. Była mowa o tym, aby je wydobyć.

Ale to nie mogła być Alyssa. To nie mogło się stać, nie mogło spotkać jej to samo co ojca. To nie tak miało się skończyć. Potem usłyszał słowa Hunta.

– Nie możemy jeszcze dokonać identyfikacji.

To zabrzmiało lepiej. Dawało nadzieję.

Ale Johnny wiedział. I jego matka też wiedziała.

Katherine ścisnęła dłoń syna. Chłopiec oderwał oczy od chmury i wstał. Przyglądał się linie, która naprężyła się pod ciężarem przyczepionym do niej gdzieś głęboko pod powierzchnią ziemi. Jeden z pick-upów był wyposażony w wyciągarkę – teraz obracała się powoli z cichym szumem elektrycznego silnika. Hunt chciał przekonać Johnny'ego i jego matkę, aby zaczekali w samochodzie, i ściągnąć kogoś, kto odwiózłby ich do domu. Jego dłoń była zdumiewająco ciepła, gdy położył ją na ramieniu chłopca, ale on nie zamierzał nigdzie się ruszać. Słuchał powolnego mielenia wyciągarki i głos Hunta brzmiał dla niego podobnie jak brzęczenie, jak odległy szum. Jego matka też musiała go słyszeć w taki sposób, bo kiedy nadszedł ten moment, była bardzo blisko niego. Byli razem.

Ciało wyłoniło się na powierzchnię, kiedy krawędź tarczy słonecznej chowała się za najwyższym z drzew. Było zapakowane w czarny plastikowy worek, który wydawał się zbyt spłaszczony, by mógł pomieścić ludzką istotę. Hunt pozwolił im podejść bliżej, ale stał między nimi a workiem, nawet kiedy pomagał go załadować do samochodu patologa. Drobnny człowiek o wyrazistych oczach spojrzał raz w ich stronę, po czym zatrzasnął klapę i uruchomił silnik, aby zachować w środku niską temperaturę.

Johnny czuł mdłości i zawroty głowy. Cienie wydłużały się coraz bardziej. Jego matka uległa namowom Hunta i wsiadła do samochodu, ale Johnny wiedział, że nie może od niej teraz wiele oczekiwać. Katherine z trudem łapała oddech.

Chłopiec popadł w odrętwienie. Patrzył na ciężką linę, która rozwijała się w głąb szybu. W końcu bęben był pusty i wyciągarka stanęła. Hunt wciąż jeszcze siedział w samochodzie z matką Johnny'ego, kiedy nad otworem szybu zakołysał się podczepiony do liny rower. Zardzewiały i powyginany, ale Johnny go rozpoznał. Był pomalowany na żółto i miał wąskie siodełko. Gdyby przyjrzał mu się z bliska, zobaczyłby, że ma trzy przerzutki. Ale Johnny nie musiał tego robić. Znał ten rower.

To był rower Jacka. Ten, który został mu kiedyś skradziony.

Rozdział 58

Johnny czuł, że ciało odmawia mu posłuszeństwa. Jakby zapomniał, że ma oddychać, i na krawędzi jego pola widzenia wszystko pogrążyło się w czerni. Patrzył na rower i przypominał sobie wszystkie te chwile, kiedy widział siedzącego na nim Jacka, który narzekał, że ma tylko trzy przerzutki i przekrzywiał się na siodełku, żeby sięgnąć niewyrośniętą ręką do kierownicy. Nazywał go obszczańcem z powodu koloru, ale uwielbiał ten rower.

Hunt stał wraz z innymi obok samochodów. Nikt nie patrzył, więc Johnny podszedł do roweru i dotknął go. Wodził palcami po chłodnej ramie pokrytej rdzą i po zbutwiałej gumie opon.

Rower był prawdziwy.

Chłopiec odwrócił się i zwymiotował w krzaki.

Wszystko to było prawdziwe.

Hunt słuchał relacji jednego ze strażaków.

– Rower wpadł pierwszy i zaklinował się w przewężeniu. Wygląda na to, że ciało znalazło się tam jako drugie. Gdyby nie rower, mogłoby przelecieć na sam dół, sto sześćdziesiąt metrów w głąb, i wpaść do wody. – Strażak pokręcił głową. – Nigdy byśmy go nie znaleźli.

– Czy to Alyssa? – Hunt zwrócił się do patologa.

– To dziewczynka – odparł Moore. – Wiek w przybliżeniu się zgadza. Dziś w nocy porównam uzębienie z kartoteką od stomatologa. Od tego zacznę.

– Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz wiedział?

– Jasne.

Hunt zaczął się rozglądać za Johnnym i zauważył go dopiero po chwili, klęczącego w krzakach. Pomógł mu doprowadzić się do porządku i zaprowadził do samochodu. Odesłał medyka sądowego wraz z ciałem, a potem kazał strażakom owinać rower w plandekę i zapakować do bagażnika swojego sedana.

Właśnie tam teraz leżał i przypominał o sobie, postukując, ilekroć samochód podskakiwał na wybojach. Ten odgłos był jak pytanie, które kołatało się w głębi umysłu Hunta.

– Nie powinienem był was zabierać – odezwał się, ale nikt mu nie odpowiedział. Hunt wiedział, co nim kierowało, ale wiedział też, że był to błąd. Znalazł się zbyt blisko. Był zaangażowany emocjonalnie. – Nie powinienem był.

Pokonali połowę drogi do miasta, kiedy Johnny doszedł do siebie i był w stanie mówić. Wsłuchiwał się w świst powietrza i szum opon toczących się po gładkim asfalcie.

– To rower Jacka – odezwał się.

Hunt spojrział za siebie, na czarne sylwetki Johnny'ego i Katherine z tyłu samochodu.

– Co powiedziałaś, Johnny?

Chłopiec patrzył przez okno. Pod niebem, na którym połyskiwały blado drobne punkciki gwiazd, rozpościerało się pole. Trawa była nieruchoma i miała odcień purpury. Nic nie miało sensu.

– To jest rower Jacka.

Hunt zjechał na pobocze i wyłączył silnik. Johnny sięgnął do klamki, ale uświadomił sobie, że w tych drzwiach nie ma klamki.

– Proszę otworzyć drzwi – powiedział i wstrząsnęły nim torsje, ale poprzednim razem wszystko już zwrócił. Był pusty i odwodniony.

Hunt wypuścił go z samochodu i podprowadził na skraj drogi.

– Oddychaj – powiedział. – Po prostu oddychaj.

Po minucie chłopiec się wyprostował.

– Wszystko będzie dobrze. – Głos Hunta brzmiał kojąco. Chodził z Johnnym wzdłuż drogi tam i z powrotem, trzymając jedną rękę na jego ramieniu, a drugą na karku. – Już w porządku, prawda? Już w porządku.

Johnny był roztrzęsiony, ale pokiwał głową.

– Nic mi nie jest.

Wrócili do samochodu i Hunt włączył zimny nadmuch. Johnny przybliżył twarz do kratki nawiewu.

– Lepiej?

– Tak.

– Opowiedz mi o tym rowerze.

Chłopiec przyglądał się twarzy Hunta. Lampka pod sufitem samochodu była mała, ale dawała ostre światło i cienie miały wyraziste kontury.

– Jack miał ten rower od zawsze. Jak go dostał, był już używany. Przepadł mu mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zaginęła Alyssa. Powiedział, że mu go skradziono. Nawet się nad tym nie zastanawiałem, to znaczy nad tym, kiedy to się stało.

– I jesteś pewien, że to rower Jacka?

– Tak – odparł Johnny. – Jestem pewien.

Hunt przeniósł wzrok z Johnny’ego na jego matkę.

– Jack to ten chłopiec, który widział, jak Alyssa została wciągnięta do vana. Jest jedynym świadkiem porwania. A teraz mamy jego rower...

– Co pan chce przez to powiedzieć? – Katherine była na skraju załamania nerwowego. Johnny dotknął jej ramienia i poczuł ciepło jej rozpalonej skóry.

– Może to nie było porwanie – odparł policjant. Przez uchylone okno wpadł podmuch wiatru. – Może Jack kłamie.

Hunt wyłączył lampkę pod sufitem i wyjechał z powrotem na drogę. Podniósł szybę po swojej stronie. Rozległ się odgłos podobny do tego, jaki wydawał elektryczny silnik wyciągarki. Kiedy zadzwonił telefon, Hunt długo patrzył na wyświetlacz.

– To detektyw Cross – wyjaśnił i opuścił telefon, a w lusterku wstecznym pasażerowie zobaczyli odbicie jego oczu. – Ojciec Jacka.

– Co pan zamierza zrobić? – zapytała Katherine.

Hunt wciąż dociskał gaz. Samochód gładko pędził przed siebie.

– Wykonuję moją pracę.

Hunt odebrał telefon i słuchał przez kilka sekund.

– Nie. Usiłuję powiązać ze sobą parę luźnych wątków. Nic ważnego.

Johnny widział w lusterku jego oczy. Policjant patrzył na drogę. Był spokojny.

– Nie. Nie mam żadnych informacji na ten temat. Nie. Ostatni raz widziałem go pod domem Katherine Merrimon.

Chłopiec słyszał dobiegający z telefonu głos Crossa. Słowa były niewyraźne i zlewały się z jednostajny szum.

– Tak. Oczywiście dam ci znać.

Hunt pożegnał się i zakończył połączenie. Oświetlona deska rozdzielcza rzucała na jego twarz nikły blask. Zauważył w lusterku spojrzenie Johnny'ego.

– On szuka Jacka – wyjaśnił Hunt. – Wygląda na to, że twój przyjaciel zaginął.

Katherine podniosła głowę i położyła rękę na oparciu przedniego fotela.

– I co to oznacza? Nie rozumiem, co to wszystko ma oznaczać?

– Jeszcze tego nie wiem, ale będę wiedział.

Matka Johnny'ego opadła z powrotem na siedzenie i przez długi czas wszyscy jechali w milczeniu. Johnny próbował oswoić się z myślą, że Jack mógł skłamać, że coś wiedział, cokolwiek. Johnny poczuł się zdradzony. Wezbrał w nim gniew, ale potem ogarnęły go wątpliwości. Pomyślał, że to niemożliwe. Jack był ostatnio niespokojny, wystraszył się Freemantle'a i tego wszystkiego, co robił Johnny, bał się wron. Ale Jack był Jackiem. Jack kojarzył mu się z przylizaną fryzurą i podkradanymi papierosami. Łączyła ich przyjaźń pełna lojalności, uraz i wstydliwych tajemnic, ale Jack był kimś, kto wie, co znaczy być przyjacielem. Tyle razy pomagał Johnny'emu szukać Alyssy. Urywał się ze szkoły. Wymykał się nocą z domu. To nie mogło być tak.

Ale ten rower... Jezu, ten rower.

Johnny spojrzał na profil Hunta. To porządny facet, ale glina, a Johnny również wiedział, co to znaczy być przyjacielem. Dlatego nie wspomniał ani słowem o szopie na opuszczonej plantacji tytoniu ani o zaparkowanym przed nią pick-upie. Najpierw musiał sam porozmawiać z Jackiem.

Hunt wjechał do miasta. Przy świetle latarni po obu stronach drogi gwiazdy blakły. Na ulicach panował ruch.

– Do naszego domu jedzie się w przeciwną stronę – zauważył Johnny.

– Teraz to miejsce zbrodni. Jest zabezpieczone.

Hunt skręcił w dwupasmówkę, która biegła obrzeżami miasta, a chwilę później zjechał na parking niedrogiemu motelu. Johnny zauważył stojący nieopodal wejścia samochód matki.

– Odzyskałem go z depozytu – wyjaśnił detektyw, zajeżdżając pod przeszklone drzwi. Nad nimi świecił się na czerwono neonowy napis: „Wolne pokoje”. – Klucze czekają na was w recepcji. Pokój jest wynajęty na koszt wydziału śledczego. Za kilka dni będziecie mogli wrócić do domu.

– Nie chcę tam wracać – odezwała się Katherine. – Ani razu. Już nigdy.

– Coś wymyślimy – odparł Hunt.

– A co z opieką społeczną? – zapytała ponurym tonem.

Hunt zaparkował i wyłączył silnik. Czerwony neon świecił na przednią szybę. W samochodzie zapadła cisza. Hunt odwrócił się na siedzeniu i spojrzał na matkę Johnny'ego.

– O to będziemy się martwić jutro – powiedział, a kobieta pokiwała głową. – Dacie sobie radę?

Hunt przeniósł wzrok na chłopca. Johnny rozczulił się tak mocno, że aż go to zaskoczyło. Nie chciał, żeby Hunt ich zostawiał. Nie chciał spać w jakimś gównianym hotelu. Chciał być w domu. Nie w tej ruderze, która należała do Kena, ale w domu. Chciał, żeby Hunt powiedział jeszcze raz, że wszystko będzie dobrze.

– Co teraz będzie? – zapytał chłopiec.

– Jeszcze nie jestem pewien. Wstąpię do was jutro. Wtedy będę lepiej zorientowany.

– Dobra.

Johnny obrócił się w stronę drzwi, ale Hunt go zatrzymał.

– Oddaj mi tę broń, Johnny.

– Jaką broń? – zapytał chłopiec instynktownie.

– Rewolwer twojego wujka. – Hunt mówił łagodnym tonem. – Ten, który zabrałeś z jego samochodu. Nie masz go przy sobie, w przeciwnym razie poprosiłbym cię o to wcześniej. To musi zostać wyjaśnione.

Johnny chciał skłamać, ale nie zrobił tego.

– Jack go ma.

– Jesteś pewien?

– Tak.

– To niedobrze.

– On nie zrobi niczego głupiego.

Hunt pokiwał głową, ale nie był to przekonujący gest.

Johnny i Katherine wysiedli z samochodu i stanęli przed motelem, samotni w czerwonym świetle neonu.

Rozdział 59

Kiedy Hunt przybył na posterunek, prawie nikogo tam już nie zastał. Nocne patrole wyjechały w teren, a personel biurowy był zredukowany do minimum. Funkcję oficera dyżurnego pełnił starszy, zmęczony życiem mężczyzna nazwiskiem Shields, praktycznie jedną nogą już na emeryturze. Nie zasypał Hunta pytaniami, jak zrobiłby to inny funkcjonariusz; nie interesowało go to, co wydarzyło się tego dnia. Hunt poprosił go o wykaz połączeń telefonicznych i Shields mu go wręczył.

Detektyw spędził trzydzieści minut na studiowaniu tabelki, ale nie znalazł tego, czego szukał. Siedział za swoim biurkiem i szykował się już do wyjścia, kiedy w drzwiach stanął Yoakum. Miał na sobie to samo ubranie co rano i wyglądał na zmęczonego.

– Patrzcie, kogo tu lichy przyniosło – odezwał się Hunt.

Yoakum siadł naprzeciwko niego i otworzył puszkę pepsi.

– Wycofali oskarżenie o napaść – powiedział.

– To dobrze.

– Ale to i tak była jedna wielka podpucha.

– Przeszukali twój dom – oznajmił Hunt. – Ściągnęli do tego całą ekipę, sześciu ludzi albo więcej.

– Posprząтали chociaż po sobie?

– Możesz się łudzić.

Yoakum wzruszył ramionami.

– Niewiele jest u mnie do oglądania.

Hunt pomyślał o tym, przez co Yoakum musiał przejść tego dnia, wyprowadzony w kajdankach i przesłuchiwany. Jego przyjaciel. Policjant.

– A jak cała reszta?

Yoakum pociągnął łyk z puszki i odczekał chwilę.

– Raleigh to urocze miasto.

– Powinienem tam częściej zaglądać.

– Piękne dziewczyny.

– Nie wątpię.

– Co przegapiłem? – Yoakum rozejrzył się dookoła.

– Niewiele.

Yoakum zwierzył kłamstwo.

– Czyżby?

– Chyba wiem, w jaki sposób łuska z twoim odciskiem palca znalazła się w samochodzie Davida Wilsona.

– Chyba?

– Nazwijmy to teorią.

– Jakaś teoria by się przydała.

– Właśnie.

– Drażnisz się ze mną?

Hunt wstał zza biurka.

– Wybierzmy się na przejażdżkę.

– Dostaję gęziej skórki, kiedy tak mówisz – odpowiedział Yoakum i również wstał.

W hotelowym pokoju wszystko było oklapłe – pościel, zasłony, nawet wentylator w oknie. Na podłodze leżał ciemny wzorzysty dywan, który czuć było innymi ludźmi. Zameldowali się i nie powiedzieli do siebie ani słowa. To byłoby dla nich zbyt wiele, a jednocześnie za mało. Katherine pocałowała syna w czoło i zamknęła się w łazience.

Prysznic był sprawny.

Kluczyki do jej samochodu leżały na stole.

Johnny stał w smudze czerwonego światła, które przedzierało się między zasłonami. Patrzył na leżące na stole kluczyki i myślał o Jacku. Myślał o tym wszystkim, co ich łączyło, i myślał o rowerze. O chłodnym metalu pokrytym rdzą. O zbutwiałych oponach.

Chłopiec wyjrzał przez okno. Księżyc w nowiu wisiał na nocnym niebie. Czerwony neon migotał. Zastanawiał się, jak postąpiłby ojciec, gdyby był na jego miejscu. A co z Huntem?

A jeżeli oni wiedzieli, gdzie szukać Jacka?

Jego przyjaciela. I kłamcy.

Johnny słyszał dobiegający z łazienki szum wody. Napisał kartkę do matki, a potem wymknął się z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Kluczyki do samochodu ciążyły mu w dłoni.

Hunt mówił, prowadząc samochód. Miasto zostało w tyle, a przed nimi rozpościerała się ciemność. Jechali w stronę opuszczonych szybów. Opowiedział Yoakumowi wszystko. O tym, co wydarzyło się w domu Johnny'ego. O zwłokach znalezionych w szybie. O rowerze Jacka. Potem wyłożył swoją teorię. Kiedy skończył, głos zabrał Yoakum.

– Widzę luki w tym, co mówisz.

– Nie ma ich wiele i wkrótce je załatamy.

– To czysta spekulacja.

– Ale łatwo ją sprawdzić – odparł Hunt. Przejeżdżał właśnie przez ten sam most na tej samej rzece co wcześniej. – Jestem już tym wszystkim zmęczony.

– Cross jest gliniarzem. – Yoakum zmarszczył brwi. – Nie kupuję tego.

Hunt przez chwilę prowadził w milczeniu.

– Kiedy znaleźliśmy ciało Davida Wilsona, to właśnie Cross skierował moją uwagę na Leviego Freemantle'a – przemówił w końcu. – Stał pod mostem z mapą w ręku i pokazał mi dokładnie to, co miałem zobaczyć. A ja rzuciłem się w pogoń za zbiegłym skazańcem, który nie miał z tym wszystkim nic wspólnego.

– Jesteś pewien, że Freemantle nie miał z tym nic wspólnego? To on powiedział dzieciakowi Crossa, gdzie szukać ciała. Powiedział Jackowi o szybie.

Hunt rozejrzał się na boki.

– Czy to on? Tak naprawdę nie wiemy, co wydarzyło się między nimi dwoma.

– Czyli Jack po prostu o tym wiedział?

Samochód zakłósał się na wyboistej drodze.

– Tam był jego rower – stwierdził Hunt. – Przypuszczam, że wiedział.

– Ale po co o tym mówił? Skierował podejrzenie na siebie.

Hunt nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

– Myślisz, że Cross zabił Davida Wilsona? – spytał Yoakum. – Naprawdę wierzysz w to, że Cross zepchnął go z mostu, a potem zmiażdżył mu krtań? To poważna sprawa, Clyde, morderstwo z premedytacją. Cross nie należy do moich ulubieńców, ale mimo

wszystko jest policjantem.

– Wilson miał sprzęt wspinaczkowy i motocykl terenowy. Myślę, że spędzał dzień, jeżdżąc po lesie i penetrując różne szyby, a ten największy i najgłębszy zostawił sobie na koniec. Tam znalazł ciało Alyssy Merrimon, i to odkrycie przypłacił życiem.

– To mocno naciągane, Clyde.

– Kto znalazł toyotę Wilsona?

– Cross.

– Zgadza się. Cross powiedział, że odebrał zgłoszenie od jakiegoś pijanego faceta, który polował na jelenie. Że zadzwonił z automatu wrzutowego i nie było numeru na wyświetlaczu. Z publicznego telefonu. Cudowny zbieg okoliczności, nie sądzisz?

– Gliniarze mają szczęście. To dzięki temu w połowie przypadków ta praca przynosi jakieś efekty. Nie zauważyłem, żebyś narzekał, kiedy tobie spadały z nieba takie rewelacje.

– Czy kiedykolwiek spotkałeś Crossa na strzelnicy?

– Oczywiście.

– A zabierałeś kiedyś na strzelnicę swoją prywatną broń?

– O kurwa.

– Czy mógł zgarnąć jedną z twoich łusek?

Yoakumowi nie było łatwo udzielić odpowiedzi na to pytanie. Przypomniał sobie, jak to jest na strzelnicy – nauszniki, okulary ochronne, oczy skoncentrowane na celu i niczym więcej.

– Rozeszła się plotka, że szukam gliniarza – kontynuował Hunt ostrym tonem. – A więc Cross dał mi glinę. Podsunął mi samochód Davida Wilsona z łuską z twojej broni w środku. Wystawił mi ciebie.

Yoakum nic na to nie odpowiedział. Miewał już do czynienia z takimi osobistymi porachunkami.

– Jesteśmy już blisko – oznajmił Hunt.

Yoakum wyjrzał przez okno.

– Co wiesz o tych ludziach, z którymi jedziemy się spotkać?

Hunt skręcił w prawo i wjechali do lasu. Przed nimi pojawiła się tablica, na której widniało wypisane białą farbą słowo: „Zamknięte”.

– Mężczyzna i kobieta. Przejeżdżaliśmy koło nich w drodze do szybu. On lubi piwo, ona jest brzydka jak nieszczęście. Mieszkają w rozwalającej

się przyczepie niedaleko wejścia do kopalni. Kiedy ich mijaliśmy, stał tam jeden samochód. O ile mi wiadomo, to jedyni ludzie, którzy mieszkają w pobliżu tego miejsca – powiedział Hunt. – Prócz tego nie wiem o nich nic.

– Kompletnie nic?

– Nawet nie wiem, jak się nazywają.

– To dlaczego tu przyjechaliśmy?

– Lokalizacja. – Hunt przejechał przez wąski mostek na strumieniu. – To jedyna rzecz, która wydaje się sensowna.

Skończył się asfalt i jechali teraz gruntowym traktem. Pod kołami zachrząścił żwir i małe kamyczki zabębniły o podwozie.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Hunt.

– Moja broń została u szefa.

– Sięgnij do schowka.

Yoakum otworzył schowek i wyjął z niego prywatny pistolet Hunta. Odciągnął zamek i zajrzał do komory.

– Ładny.

– Postaraj się tym razem nikogo nie zabić.

Ich oczom ukazała się stara przyczepa i półciężarówka z paką wypełnioną puszkami po piwie. Za brudnymi szybami paliło się światło i ktoś poruszał się w środku. Hunt zgasił reflektory i zatrzymał samochód za pick-upem. Wprowadził do laptopa jego numer rejestracyjny, przez cały czas zerkając na przyczepę.

– Zarejestrowany na Patricię Defries. Karana za drobne wykroczenia. Oddawanie moczu w miejscu publicznym. Pijaństwo i zakłócanie porządku.

– Uroczą.

– Dwie sprawy o przestępstwo.

– Jakiego rodzaju?

– Fałszowanie czeków i oszustwo. Jeszcze jedno przestępstwo i idzie siedzieć. Do trzech razy sztuka. Cross mógł mieć na nią haka, jeżeli przyłapał ją na kolejnym przekręcie.

– Jak to rozegramy?

– W prosty sposób. – Hunt wysiadł z samochodu. – Będziemy blefować.

Yoakum schował pistolet, kiedy weszli na niewielki ganek. Przez okno

zobaczyli długą niską sofę, na której leżał mężczyzna z wyciągniętymi nogami. Ten sam, którego Hunt widział, przejeżdżając tam wcześniej. Był umorusany i nieogolony, miał zapadniętą klatkę piersiową i chude nogi, a w ręku trzymał puszkę piwa. Na jego twarz padała niebieska poświata z ekranu telewizora. Kobieta też wyglądała tak samo, jak zapamiętał ją Hunt. Miała krótką spódniczkę i odpychającą minę. Stała w taki sposób, jakby się o coś wściekała. Opierała ręce na biodrach i poruszała ustami. Zasłoniła sobą telewizor i mężczyzna odchylił się w lewo.

– Domowa sielanka – mruknął Yoakum.

Hunt zastukał do drzwi i telewizor zgasł. Cofnął się o krok, kiedy mizerna konstrukcja przyczepy zadrgała pod ciężkimi krokami kobiety. W małym okienku pojawiła się jej twarz o niezdrowej cerze i pokrytych brunatnym nalotem zębach.

– Tylko spokojnie, skarbie – wyszeptał Yoakum.

Hunt przystawił odznakę do szyby. W środku szczęknęły zasuwki i kobieta stanęła za podartymi drzwiami siatkowymi.

– Pokaż pan to jeszcze raz.

Hunt ponownie uniósł rękę z odznaką.

– Przysyła nas detektyw Cross.

Kobieta zapaliła papierosa i wydmuchała kłęb dymu. Omiotła Hunta od stóp do głów badawczym spojrzeniem, a potem przeniosła wzrok na Yoakuma.

– Czego on znowu chce?

– Możemy wejść?

Zlustrowała ich jeszcze raz i znowu zaciągnęła się papierosem.

– Tylko wytrzyjcie buty.

Przed szopą na opuszczonej plantacji tytoniu nie było pick-upa. Jacka też nie. W słabym świetle reflektorów samochodu Johnny zauważył jakąś kolorową plamę. Rozpoznał swój niebieski plecak, brudny i zaplamiony u dołu. Jack ułożył go staranie pośrodku drzwi szopy. Johnny wysiadł z samochodu, ale nie zgasił silnika. Na niebie wisiał nisko olbrzymi księżyc o srebrzystobiałej tarczy. W powietrzu unosił się zapach benzyny i spalonego oleju.

Johnny podniósł plecak – wydał mu się pusty. Otworzył go i w nozdrza

uderzyła go woń martwego ptaka. Na dnie leżała kartka, rachunek wystawiony na nazwisko wuja Steve'a. Na jego odwrocie widniało kilka słów zapisanych ręką Jacka.

„Czekam na ciebie w tym miejscu”.

Przez ostatnie kilka lat bywali w wielu różnych miejscach, ale Johnny wiedział, o które chodzi tym razem. To było tam, gdzie pili piwo i opowiadali sobie różne historie; miejsce, do którego uciekali. To było miejsce, w którym zginął David Wilson. Miejsce, w którym wszystko się zaczęło.

Johnny zakręcił kierownicą i wycofał. Kiedy dotarł do drogi, ruszył w stronę rzeki.

Było późno i mijał niewiele samochodów. Wielkie owady rozbijały się na przedniej szybie i widział wszystko jak przez mgłę. Był tak napięty i wyczerpany, że omal nie zapomniał zjechać z głównej drogi w odpowiednim miejscu. Zryty głębokimi koleinami trakt porastały chwasty, ale wciąż jeszcze leżały przygięte do ziemi przez policyjne samochody, które przejeżdżały tamtędy po wypadku Davida Wilsona. Teren opadał stromo ku rzece, a po lewej stronie wznosił się most. Koła ślizgały się na grząskiej piaszczystej nawierzchni i chłopiec musiał mocno trzymać kierownicę, która wrywała mu się z rąk. Kilkanaście metrów przed sobą zobaczył pick-upa, który stał przyczajony wśród krzaków niczym duch. W ciemnej szoferce nikogo nie było. Johnny zgasił reflektory i wysiadł z samochodu. Przeszedł obok półciężarówki i popatrzył na rzekę. Blask księżyca migotał na wodzie i wydobywał z niej srebrnoszare bryły głazów. Pod mostem panowała nieprzenikniona ciemność.

Johnny zsunął się ze skarpy, zeskoczył na piaszczysty skrawek brzegu i podszedł do jednej z szerokich płaskich skał. Pod jego nogami przepływała woda, unosząc jakiś ciemny kształt. Po prawej ręce miał wierzbę, a po lewej most, ale nigdzie nie widział Jacka.

– Tu jestem, Johnny.

Głos dobiegał spod mostu. Był to głos Jacka. Bełkotliwy, jak po alkoholu. Johnny podszedł bliżej i wtedy go zobaczył, w miejscu, gdzie jeden z filarów mostu wynurzał się z rzeki. Jego przyjaciel siedział na wąskiej betonowej półce i trzymał stopy zanurzone w wodzie. Johnny zatrzymał się kilka metrów od niego. W mroku widział zaledwie kontury

jego twarzy. Jack podniósł butelkę, w której coś zabulgotało.

– Chcesz trochę?

– Co się, kurwa, dzieje, Jack?

Johnny starał się zachować spokój, ale już zaczynał tracić cierpliwość. Alyssa nie żyła, a jego przyjaciel popijał bourbona. Jack zeskoczył z pluskiem do płytkiej wody, potknął się i upadł na kolano.

– Chodź tutaj, żebym cię widział. – Johnny wyszedł spod mostu.

Chciał porozmawiać, ale miał też ochotę uderzyć swego jedyne go przyjaciela w twarz.

– Wybacz mi, stary. – Jack bełkotał tak niewyraźnie, że ledwie dało się go zrozumieć.

Wyłonił się z cienia. Miał na sobie kurtkę, którą pożyczył mu Johnny, a jego spodnie były mokre do pasa. Potknął się i upuścił butelkę – roztrzaskała się na kamieniach i przez woń rzeczno go szlamu przebił się zapach alkoholu. Jack usiadł obok odłamków szkła.

– Tak mi cholernie przykro.

– Czemu ci przykro. – Johnny obrócił się do niego. – Powiedz mi, czemu?

Jack potrząsnął głową i ukrył twarz w dłoniach.

– Tchórzostwo to grzech.

Johnny patrzył na przyjaciela, który mówił, na w pół szlochając.

– Powiedziałbyś o mnie coś dobrego, gdyby ktoś zapytał? – Jack otarł nos przedramieniem. – Jak by to było, Johnny? Gdyby ktoś zapytał. Powiedziałbyś, że jestem dobrym przyjacielem? Starałem się być, wiesz o tym. Wszystkie te nocne wypadki z tobą, te poszukiwania. Osłaniałem ci tyły, bo wiedziałem, że nie przestaniesz. Próbowałem cię powstrzymać, żebyś nie szedł do tych podejrzanych domów, do tych najgorszych. Umarłbym, gdyby coś ci się stało. Sumienie by mnie zabiło, Johnny. Po prostu bym tego nie przeżył.

– A co z resztą twojego sumienia, Jack? A co z Alyssą? Wiedziałaś, gdzie ona jest? Cały czas to wiedziałaś?

– Kłamstwo i słabość. To też są grzechy.

– Jack...

– Bóg odpuszcza drobne przewinienia.

– Cały czas wiedziałaś.

– Próbowałem cię ochronić. – Jack kołysał się na kamieniach i kręcił głową. – Ona nie żyła. Ona już wtedy nie żyła.

– Co się stało z moją siostrą? – Johnny stanął nad przyjacielem z zaciśniętymi pięściami. Tracił panowanie nad sobą. – Co się stało?

Jack wziął głęboki haust powietrza i odwrócił wzrok w kierunku rzeki.

– Pożyczyłem jej mój rower. To wszystko, co zrobiłem. Chciałem pomóc. Musisz mi w to uwierzyć.

– Opowiedz mi wszystko.

– Byliśmy w bibliotece, całą grupą. Pamiętasz to zadanie, które mieliśmy zrobić? – Johnny nic nie odpowiedział, więc Jack tylko pokiwał głową. – Byliśmy w tej samej grupie, Alyssa i ja. Robiliśmy referat o wulkanach. Zrobiło się późno, już zapadał zmrok, wiesz. Wszyscy stwierdzili, że pora do domu. – Jack na chwilę zawiesił głos. – Pożyczyłem jej swój rower, bo wasz tata zapomniał po nią przyjechać. Nie miała jak wrócić, a już się ściemniało. Gerald dostał nowy samochód i szukał tylko okazji, żeby się nim przejechać, więc zadzwoniłem po niego, żeby mnie podwiózł. To wszystko, co zrobiłem, Johnny. Nic złego nie powinno było się wydarzyć, sam widzisz. Ja tylko chciałem pomóc. To się liczy, prawda? To się liczy.

Jack potarł oczy zaciśniętymi pięściami. Karłowatą ręką i tą zdrową. Obie dygotały.

– On powiedział, że chce jej napędzić stracha.

– Kto?

– To miał być żart.

– Gerald? – zapytał Johnny.

– Ona tak zawzięcie pedałowala.

– O nie...

– Tuż przy krawężniku – dodał Jack i zamilkł na chwilę. – Chciał tylko ją wystraszyć.

– Co się stało?

– On był pijany.

Johnny złapał Jacka za koszulę i szarpnął. Materiał rozdarł się trzaskiem.

– Co się, kurwa, stało?

– Ona się obejrzała, i to chyba przez te światła i przez to, że podjechał

tak blisko. Nie wiem. Straciła równowagę i upadła. Prosto pod koła. Gerald spanikował. Zadzwoił do ojca. – Jack zaniósł się płaczem. – Ona była martwa, Johnny.

– Nie rozumiem.

– Zginęła na miejscu. Chciałem o tym powiedzieć, ale Geralda już wtedy zwerbowali do ligi zawodowej.

– A co to ma w ogóle do rzeczy?

– Ojciec powiedział, że jeśli sprawa się wyda, będzie mógł się z tym wszystkim pożegnać.

– Skłamałeś z powodu kariery Geralda? – krzyknął Johnny, a Jack przecząco kręcił głową. – To dlaczego? Dlaczego?

– Ja chciałem powiedzieć.

– Ale tego nie zrobiłeś.

Jack cicho szlochał. Podniósł się i stanął, próbując utrzymać równowagę. Wyciągnął przed siebie rękę, ale Johnny ją odepchnął.

– Próbowałem.

– Jak próbowałeś?

– Pamiętasz, jak ci powiedziałem, że Gerald złamał mi rękę? – Jack trząsał się i patrzył na przyjaciela błagalnym wzrokiem. – To mój ojciec. Oświadczyłem mu, że wszystko powiem, a on złamał mi rękę w czterech miejscach. Przycisnął mnie do ziemi i kazał przysiąc.

– Z powodu kariery twojego brata?

– Oni tylko o tym rozmawiają. Gerald i mój ojciec.

Johnny poczuł ucisk w żołądku. Zgiął się wpół i odwrócił. Jego ręka wymacała gałąź – oparł się na niej.

– Mówiłeś, że to Levi Freemantle ci powiedział, gdzie ona jest.

– Kolejne kłamstwo.

– Ale dlaczego teraz? Dlaczego mówisz o tym teraz?

– Bo Freemantle trafił do nas nie bez powodu.

– A jaki to był powód?

– Bóg jeden wie – odpowiedział Jack z przejęciem. – Wciąż to powtarzał. Nawet przez sen. Bóg jeden wie, pojmujesz? Bóg jeden wie, co zrobiłem – Jack zawiesił głos. – A ostatnia rzecz, jaką powiedział mi Freemantle... ostatnie słowa... o kurwa...

– Co?

Jack usiadł na kamieniu.

– Bóg jeden wie, jak piękna jest jej dusza. – Chłopiec uniósł karłowatą rękę. – Będę smażył się w piekle. Gdyby ktoś zapytał, powiedziałbyś o mnie coś dobrego? – Rozplakał się. – Johnny?

Johnny odwrócił się i ruszył w górę skarpy. Za plecami słyszał głos Jacka, który wołał go po imieniu, cicho, coraz ciszej, aż w końcu nie było słychać nic poza szumem wiatru w trawie.

Rozdział 60

Hunt mocno wciskał gaz. Pod kratką wlotu powietrza samochodu błyskało niebieskie światło. Siedzący obok Yoakum miał kamienną twarz. Zegar na desce rozdzielczej pokazywał dziesięć po pierwszej w nocy. Hunt zorganizował spotkanie z prokuratorem okręgowym i sędzią. Zajęło ono godzinę, ale miał w kieszeni nakaz aresztowania, a za nim jako wsparcie jechali dwaj starannie wybrani mundurowi. Poza nimi nikt o niczym nie wiedział. Ani naczelnik, ani inni policjanci. Przeprowadzali wszystko w tajemnicy na wypadek, gdyby ktoś okazał się przyjacielem Crossa i zechciał go ostrzec.

– Pięć minut – powiedział Hunt.

Yoakum po raz trzeci sprawdził, czy jego pożyczony pistolet jest załadowany.

Rozległ się dzwonek komórki. Hunt spojrzął na wyświetlacz i odebrał. Rozmowa trwała krótko, a kiedy skończył, nawet nie spojrzął na Yoakuma.

– Dzwonił patolog – oznajmił. – Uzębienie się zgadza. To Alyssa.

Zapadła cisza, którą zakłócał tylko szum opon na asfalcie.

– Przykro mi, Clyde.

– Cztery minuty.

Trzydzieści sekund później telefon znów zadzwonił. Hunt nie rozpoznał numeru na wyświetlaczu, ale odebrał.

– Gdzie jesteś, Johnny? Uspokój się. Tak, słucham. Nie. Nie. Czekaj spokojnie.

Hunt słuchał przez całą minutę i nic nie mówił. Kiedy chłopiec skończył, ostatni z elementów układanki wskoczył na swoje miejsce i detektyw miał już pełny obraz. Wszystko idealnie pasowało.

– W porządku, Johnny. Wszystko rozumiem i zajmę się tym. Nie, zajmę się tym jeszcze tej nocy. W tej chwili. Gdzie jesteś? Nie, nie chcę, żebyś czekał na posterunku. Masz być w pokoju, i to zaraz. Panuję nad

sytuacją. Porozmawiamy jutro.

Rozłączył się, a Yoakum odczekał dziesięć sekund.

– Co jest? – zapytał.

Hunt streścił mu wszystko w krótkich zdaniach. To, jak umarła Alyssa i jak znalazła się w szybie.

Yoakum musiał wszystko przetrwać.

– Zginęła w wypadku? – odezwał się po minucie.

– Gerald był pijany. Cross ukrył ciało. Żeby chronić syna. Wrzucił je do tego szybu. Wszystko zrobił sam. – Hunt wciągnął głęboki haust powietrza. – Jezu.

– Dobrze się czujesz?

– Geralda też zgarniamy.

– Nie mamy na niego nakazu.

– Podejrzenie o nieumyślne spowodowanie śmierci. To wystarczy, żeby go zabrać na przesłuchanie.

– Twardy dzieciak z tego Johnny'ego – stwierdził Yoakum.

– To prawda.

– Ale się Cross pograżył.

Hunt wjechał do dzielnicy, w której mieszkał Cross.

– Jedna minuta.

Johnny otworzył kartą drzwi pokoju. W środku paliły się dwie lampy, jego matka siedziała na brzegu łóżka. Była wyczerpana, ale miała przytomne spojrzenie.

– Nie mogłam zadzwonić do Hunta – powiedziała, wstając. – Już nigdy by nie pozwolił, abyś do mnie wrócił.

Johnny wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

– Zostawiłeś mnie – dodała, a chłopiec zobaczył, jak bardzo jest spięta.

– Nigdy więcej tego nie zrobię.

– Jak mam ci wierzyć?

– Obiecuję.

Podeszła do syna i wzięła go w ramiona.

– Obiecuj mi jeszcze raz.

Chłopiec poczuł zapach mydła i czystych włosów.

– Obiecuję.

Uścisnęła go mocno, a gdy odsunęła się od niego, opowiedział jej wszystko, czego się dowiedział. Nie było to łatwe i zajęło trochę czasu. Powiedział jej, że Alyssa zginęła, i to był wypadek. Musiał to powtórzyć. Jej słowa uwieźły w gardle.

Wypadek.

Potem obydwójce długo milczeli.

Milczeli, ale byli razem.

Dwie przecznice przed domem Crossa Hunt dostał zgłoszenie o awanturze domowej.

– Uważaj. Sąsiad mówi, że widział broń.

– Kurwa.

Hunt włączył syrenę, a jadący za nim radiowóz zrobił to samo. Chwilę później zobaczyli stojący po prawej stronie ulicy dom Crossa. Wzdłuż linii dachu ciągnął się rząd zapalonych lampek, po bokach świeciły dwa duże reflektory i ogrodowe latarnie ustawione na słupkach przy ścieżce. Tyłem do drogi stał biały pick-up a jego rozbita maska opierała się o boczną ścianę domu. Trawa za nim była zryta oponami, zmiażdżone krzewy leżały płasko na ziemi. Jedno z tylnych świateł samochodu zapalało się i gasło. Na podwórku stał detektyw Cross w towarzystwie żony i starszego syna. Cross krzyczał, a jego żona klęczała z Biblią w dłoniach i modliła się.

Jack trzymał rewolwer i celował w ojca.

Hunt i Yoakum wysiedli z samochodu w tym samym momencie co umundurowani funkcjonariusze. Ci drudzy zdążyli już wyciągnąć broń.

– Nie strzelajcie na oślep – powiedział Hunt. – Znam tego dzieciaka i nie chcę, żeby mu się coś stało.

Policjanci usłyszeli jego słowa, ale nie opuścili pistoletów. Hunt pozostawił swój w kaburze. Wszedł na trawnik, trzymając ręce opuszczone po bokach. Jack miał wypieki i dygotał. Po twarzy spływały mu łzy. Cross próbował odgrywać surowego ojca.

– Jack, oddaj mi to natychmiast! W tej chwili! Mówię poważnie! – krzyczał. Zobaczył nadchodzącego Hunta i wyciągnął rękę. – Nic się nie stało. Panuję nad sytuacją. – Potem znów zwrócił się do syna. – Widzisz to, Jack? Ktoś wezwał policję. Pora z tym skończyć. Oddaj mi broń.

Za jego plecami matka Jacka kołysała się na kolanach. Chłopiec spojrzał na nią i jedną ręką wymacał srebrny krzyżyk, który nosił zawieszony na piersi.

– Przestań, mamó – powiedział podniesionym głosem, który zabrzmiał tak, jakby był w transie. – Po prostu przestań.

Jego twarz wykrzywił grymas. Zerwał krzyżyk z szyi i rzucił nim w matkę.

– Oddaj mi broń, Jack.

Chłopiec oderwał wzrok od matki. Jego ojciec zdążył podejść bliżej i teraz dzieliło ich niecałe półtora metra.

– To twoja wina – wyszeptał Jack.

– Synu...

– Pójdę do piekła, i to jest twoja wina. – Jack potrząsnął wymierzonym w ojca rewolwerem i zrobił krok do przodu. Jego matka zawodziła. Cross uniósł ręce.

– Bóg wybacza drobne przewinienia.

Hunt zobaczył, że palec chłopca naciska spust.

– Nie! – krzyknął i rzucił się w stronę Jacka.

Kurek uniósł się i opadł z suchym trzaskiem. Cross krzyknął, a Jack ponownie nacisnął spust, ale znów nic się nie stało.

W tym momencie Hunt dobiegł do niego i powalił go na ziemię. Rewolwer wypadł z ręki chłopca. Sięgnął po niego Cross.

– Nie dotykaj tego – powiedział Hunt. Leżał płasko na trawie, przygniatając Jacka swym ciężarem. – Zostaw broń i nie ruszaj się.

– O co ci chodzi?

– Ani kroku dalej.

Hunt postawił chłopca na nogi i przekazał Yoakumowi, a ten poprowadził go, płaczącego i zasmarkanego, w stronę radiowozu.

– Chcę rozmawiać z Johnnym. – Jack zaczął się wyrywać, stojąc już obok otwartych drzwi samochodu. Szamotał się i krzyczał, kiedy Yoakum położył dłoń na jego głowie i posadził go w środku. – Johnny! Chcę rozmawiać z Johnnym.

Drzwi zatrzasnęły się, a Jack uderzył kilka razy głową o szybę. Hunt podniósł rewolwer z trawnika i otworzył bębenek. Był pusty. Wsunął broń do kieszeni. Cross postąpił krok w jego stronę.

- On jest pijany. Ma problem. Zaopiekujemy się nim.
- Musisz pojechać ze mną – oparł Hunt. – Na posterunek.
- To jest mój syn, Hunt. Nie zamierzam wnosić skargi.

Na twarzy Crossa pojawił się wymuszony uśmiech.

Twarz Hunta pozostała bez wyrazu, co przyszło mu nie bez wysiłku.

– Ty i Gerald – powiedział, trzymając rękę bardzo blisko spoczywającej w kaburze broni. – Potraktuj to jako uprzejmą prośbę. – Wskazał na podwórka sąsiadów, gdzie stało kilka osób i przyglądało się całemu zajściu. Podszedł bliżej Crossa, ale nie ściszył głosu. – Znamy całą historię od Jacka. Wiemy, co stało się z Alyssą i że Gerald jest w to zamieszany. Wiemy wszystko. – Hunt zrobił krótką pauzę. – Kilka godzin temu znaleźliśmy jej ciało.

Cross spojrział na syna i zapłakaną żonę.

– Załatwmy to, jak należy – dodał Hunt.

Kiedy Cross z powrotem skierował na niego wzrok, z jego twarzy spadła maska. Teraz widać było na niej czyste wyrachowanie.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– David Wilson znalazł ciało Alyssy. Z początku myślałem, że zadzwonił na posterunek i przypadkowo trafił na ciebie, ale w rejestrze nie było takiego połączenia, zresztą nikt nie ma aż takiego szczęścia.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Daruj sobie. Rozmawiałem dzisiaj z Patricią Defries. Wszystko mi powiedziała.

Faktycznie tak było. Cross przyłapał ją na kolejnym przekręcie. Było to już trzecie jej przestępstwo i gdyby stanęła przed sądem, dostałaby co najmniej dwanaście lat. Ale Cross poszedł jej na rękę. Chciał wiedzieć, czy ktoś kręci się w pobliżu szybu. Ktokolwiek. Bez względu na porę. Powiedziała, że nie wiedziała, dlaczego Crossa tak to interesowało, i Hunt nie miał powodu, aby w to nie wierzyć, aczkolwiek nie powiedział jej o tym. Wolał, żeby była wystraszona i żeby mówiła.

– Wyjaśniłem jej, że sfałszowanie czeku nie jest tak poważnym przestępstwem jak współudział w morderstwie – powiedział Hunt. – Dałem jej jasno do zrozumienia, że nie żartuję i że może zostać oskarżona razem z tobą. Wszystko mi wyśpiewała i będzie zeznawać. Opowie o tym, jak zjawiał się tam po jej telefonie i jak pięć minut później David Wilson

przemknął obok na motocyklu, uciekając przed twoim samochodem. Zapamiętała, o której to było. Piętnaście minut później Johnny Merrimon zobaczył, jak Wilson przelatuje nad balustradą mostu.

– To oszustka i pijaczka. Żaden z niej świadek.

Hunt zaczął ostentacyjnie przyglądać się samochodom stojącym na podjeździe.

– Który jest twój? – zapytał. – Dodge charger, prawda? Ile warsztatów blacharskich będę musiał obdzwonić, zanim trafię na ten właściwy? Oczywiście nie będzie to żaden z miejscowych, ale może w Wilmington? W Raleigh? Myślę, że w którymś z dużych miast, ale znajdziemy go. Wgniecenie przedniego błotnika. Lakier będzie pasował do tego, który znaleźliśmy na moście.

– Nie będę rozmawiał bez adwokata.

Hunt skinął na mundurowych.

– Jesteś aresztowany pod zarzutem zabójstwa Davida Wilsona. Masz prawo zachować milczenie...

– Znam swoje prawa.

– Wszystko, co powiesz, może zostać użyte przeciwko tobie.

– Czekaj. Zaczekaj chwilę. – Cross oblizał wargi. – Muszę z tobą porozmawiać. Tylko z tobą. Tylko przez chwilę. – Hunt zawahał się. – Chcesz postąpić zgodnie z prawem, prawda? Tylko na tym ci zależy, prawda? Pieprzony harcerzyku. – Hunt uniósł rękę i policjanci cofnęli się parę kroków. – Powinieneś pomyśleć o tym, co robisz. Powinieneś dobrze się nad tym zastanowić.

– Nie muszę. Mam nakaz.

Cross zerknął w stronę mundurowych ponad ramieniem Hunta i przybliżył się do niego. Jego szept rozszedł się w powietrzu ciepłym oddechem.

– Twój syn też był w tym samochodzie.

Hunt cofnął się o krok.

– Niemożliwe.

– Siedział z przodu, kiedy Alyssa wpadła pod koła.

– Nie wierzę ci.

– Jak się zachowywał przez ostatni rok? Normalnie? Był taki sam jak rok temu? Niech zgadnę. Zrobił się posępny? Drażliwy? Tajemniczy?

Podjmij słuszną decyzję, Hunt. Nie ma nic ważniejszego od rodziny. Tylko ona się liczy.

Hunt potoczył wzrokiem dookoła. Twarz Jacka czerwieniała za szybą policyjnego samochodu. Gerald był bliski płaczu. Żona Crossa miała zamknięte oczy, kiwała się na klęczkach i szlochając, odmawiała modlitwę.

– Nie wygląda mi na to, aby twoja rodzina miała się zbyt dobrze.

– To jest twoje jedyne dziecko, prawda? – powiedział Cross. Hunt patrzył mu w oczy przez kilka sekund. – Czyń swoją powinność.

Hunt skinął na mundurowych.

– Masz prawo do adwokata.

Błysnęły kajdanki. Cross wrywał się, a potem krzycząc, upadł na trawnik. Pantofle zsunęły mu się z nóg, kiedy policjanci wlekli go do samochodu.

Zbliżała się szósta, kiedy Hunt opuścił posterunek. Cross nie chciał zeznawać, za to Gerald mówił, jakby coś w nim pękło. To było czyste poczucie winy. Chłopaka zżerały wyrzuty sumienia.

Wschodzące słońce zalewało ulice bladym rumieńcem, ale dom Hunta był jeszcze pogrążony w mroku. Hunt wszedł do środka i stanął w kuchni. Lodówka szumiała cicho, a zza okna dobiegał odgłos otwieranej bramy garażowej w którymś z pobliskich domów.

Położył na blacie broń i odznakę. Schody zatrzeszczały pod jego stopami. Poczul falę ciepłego powietrza, kiedy otworzył drzwi pokoju syna. Allen leżał w skotłowanej pościeli. Hunt patrzył na jego jasne włosy i twarz, która w jego oczach utraciła niewinność.

Myślał o przeszłości, która nosiła w sobie tyle dobrych wspomnień.

Postawił krzesło obok łóżka i usiadł. Przycisnął palce do oczu i zobaczył migocące iskierki. To nie musiało się tak skończyć. Miał wybór. Hunt był o tym przekonany. Nigdy nie jest za późno, aby podjąć słuszną decyzję.

Jego usta poruszały się bezgłośnie.

Nigdy nie jest za późno.

Patrzył na śpiącego syna i znów poruszył ustami. Powtarzał te słowa jak modlitwę.

Minęło dwadzieścia minut, zanim Allen się obudził, i było to najdłuższe

dwadzieścia minut w życiu Hunta. Dwa razy podnosił się z krzesła i dwa razy postanawiał zostać, aż w końcu blade różowe światło spłynęło na twarz chłopca. Jego oczy miały bardzo niewinny wyraz, kiedy je otworzył.

– Cześć, tato. – Allen potarł twarz dłońmi i oparł się na poduszkach. – Co się dzieje?

– Wiesz, że cię kocham, prawda?

– Tak, pewnie. A co...

– Gdybyś kiedykolwiek miał kłopoty, zrobiłbym wszystko co w mojej mocy, aby ci pomóc. O tym też wiesz. Bez względu na wszystko, jestem twoim ojcem. Pomogę ci. O tym też wiesz, prawda, Allen?

– Pewnie. Oczywiście.

Hunt starał się mówić spokojnie.

– Czy masz jakieś kłopoty, synu?

– Co? Nie.

– Czy jest coś, o czym powinieneś mi powiedzieć? Cokolwiek by to było, jestem po twojej stronie. Ty i ja. Dobra?

– Nie, tato. Nic takiego nie ma. Co się dzieje?

Hunt czuł, że coś w nim umiera. Położył rękę na ramieniu syna.

– Pójdę się położyć na chwilę. – Podniósł się z krzesła i spojrzał w dół na chłopca. – To ważny dzień, Allen.

– Co masz na myśli?

Hunt zatrzymał się w drzwiach.

– Wstanę, jeżeli będziesz czegoś potrzebował.

Przeszedł korytarzem do swojego pokoju i wyciągnął się na łóżku. Przez moment ściany wirowały mu przed oczami, ale opanował zmęczenie.

Pukanie do drzwi rozległo się wcześniej, niż się go spodziewał.

Rozdział 61

Johnny przespał siedem godzin, wstał na chwilę, żeby coś zjeść, a potem znów się położył. Słyszał, jak jego matka rozmawia z Huntem, ale wydawało mu się, że to sen. Słyszał gniewne głosy i jakiś trzask. Rozmowa dotyczyła Alyssy i syna Hunta.

– Nie wiem, co powiedzieć, Katherine.

To był głos Hunta. Potem nastąpiła długa chwila milczenia.

– Muszę się przejść.

– Katherine...

Drzwi trzasnęły i Johnny się obudził. To nie był sen. Hunt stał przy oknie i patrzył za jego matką. Chłopiec usiadł i wszystko zaczęło do niego docierać.

– Czy Allen rzeczywiście był wtedy w samochodzie z Geraldem?

– Słyszałeś?

– Czy to prawda?

– Allen nie prowadził.

– Ale wiedział, co się stało, i nikomu o tym nie powiedział.

– Ojciec Geralda jest policjantem, a Allen był przerażony, ale nie mogę go usprawiedliwiać. Popełnił błąd. – Hunt zamilkł na moment. – Zgłosił się dobrowolnie. Jest w areszcie. Poniesie karę. Tak samo Jack.

– Jaką karę?

– To zależy od sądu dla nieletnich. Będziemy musieli się z nimi rozstać na jakiś czas.

– Pójdą do więzienia?

– To nie tak.

Johnny wstał z łóżka.

– Wezmę prysznic – powiedział.

– W porządku, Johnny.

Woda słabo leciała, ale była gorąca. Johnny umył się i obejrzał uważnie szywy na swojej piersi. Skóra była zaczerwieniona i pomarszczona; miał

blizny, które pozostaną mu na całe życie. Uczesał włosy grzebieniem matki. Kiedy wrócił do pokoju, Hunt wciąż tam był.

– Lepiej? – zapytał.

– Mamy jeszcze nie ma?

– Zastanawia się, czy mnie nienawidzi.

Johnny pokiwał głową. To, że Hunt mu o tym powiedział, świadczyło, że traktuje go poważnie.

– Mogę zadać panu pytanie?

– Tak.

Usiedli obok siebie na skraju łóżka. Palce Johnny'ego były pomarszczone po długim prysznicu, a skóra na dłoniach łuszczyła się w miejscu, gdzie popękały pęcherze.

– Jack wierzy, że pewne rzeczy dzieją się z jakiegoś powodu.

– Czy masz na myśli Alyssę?

Johnny nie był pewien, czy może powiedzieć to, co miał na myśli, więc wzruszył tylko ramionami. Czuł, że Hunt spina się, a potem rozluźnia, jakby podejmował decyzję.

– Znaleźliśmy siedem ciał pogrzebanych w lesie za domem Jarvisa. Głównie dzieci. Wiedziałaś o tym?

– Mama mi powiedziała.

Hunt znów się zawahał, a potem sięgnął do kieszeni marynarki. Wyjął zdjęcie z sekcji Meechuma. Widać było nagie ramiona i głowę mężczyzny leżącego na metalowym stole.

– Czy to tego człowieka widziałeś u Jarvisa?

Martwa twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu i bezbarwna, ale Johnny ją rozpoznał. Kiwnął potakująco głową.

– Dlaczego myślałeś, że to policjant?

– Nosił kajdanki i pistolet przy pasie. Tak robią gliniarze.

Hunt schował zdjęcie.

– Był ochroniarzem w centrum handlowym – wyjaśnił. – Razem z Jarvisem służył w Wietnamie. Obaj zostali dyscyplinarnie wydaleny z wojska w tym samym czasie. Krążyły o nich pogłoski...

– Jakie pogłoski?

– Straszne.

Johnny wzruszył ramionami. I tak słyszał ich rozmowy.

– To byli źli ludzie, Johnny. Dopuszczali się podłych czynów i robiliby to nadal, gdybyś tam się wtedy nie pojawił.

– Ja nie uratowałem Tiffany. Mówiłem panu.

Hunt wyjrzał przez okno.

– Gdyby Jarvis nie był tobą zajęty tam przy drodze, Tiffany nie udałoby się wydostać z szopy. Złapałby ją i zabił. Leżałaby teraz w lesie z całą resztą, a Jarvis i Meechum nadal by zabijali. Może byłoby jeszcze kilka następnych ofiar, a może dużo więcej. Jestem przekonany, że ich powstrzymałeś, dlatego że wtedy się tam znalazłeś.

Johnny czuł na sobie spojrzenie Hunta, ale nie był w stanie podnieść wzroku.

– A nie byłoby cię tam, gdybyś nie szukał Alyssy. – Hunt położył rękę na ramieniu chłopca. – Może to jest właśnie powód. Może Alyssa umarła po to, żeby nie spotkało to innych dzieci.

– Jack twierdzi, że Freemantle został przysłany przez Boga.

– Jack ma problemy, jakich nie powinien mieć żaden chłopiec.

– On twierdzi, że Bóg przysłał wrony, żeby go wystraszyć, a Freemantle'a, żeby uświadomić mu to, co zrobił.

– Nie znam się na tym, Johnny.

– Kiedy ostatni raz się modliłem, prosiłem Boga o trzy rzeczy. Żeby matka przestała zażywać lekarstwa i żeby odnalazła się moja rodzina. To się spełniło.

– To dopiero dwie.

Johnny podniósł wzrok, a jego twarz miała kamienny wyraz.

– Modliłem się, żeby Ken Holloway umarł. Modliłem się, żeby konał w długich męczarniach. – Chłopiec zamilkł, a jego ciemne oczy połyskiwały. – Modliłem się, żeby umierał w strachu.

Hunt otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Johnny go ubiegł. Przypomniawszy sobie oczy Kena Hollowaya, w których gasło światło. Widział, jak przysłania je cień czarnych skrzydeł wrony, jak zapadają się w mrok.

– Levi Freemantle zrobił to dla mnie – powiedział chłopiec. – Myślę, że Bóg przysłał go właśnie po to.

Wieczorem Hunt spotkał się z adwokatem swojego syna, a potem pojechał

pod areszt, posępny i bezbarwny budynek, który zajmował cały kwartał nieopodal gmachu sądu. Gdzieś w środku przebywał Allen. Zniósł to dzielnie. Płakał z żalu, wstydu i poczucia winy, kiedy wszystko wyznał ojcu, ale wykazał się odwagą, kiedy razem pojechali na posterunek policji. Hunt wciąż miał w pamięci widok twarzy syna, kiedy zamykały się za nim ciężkie stalowe drzwi.

Zaparkował, wyłączył silnik i ruszył w stronę głównego wejścia. Oddał broń do depozytu i został wpuszczony do środka. Znał strażników, a oni znali jego. Poklepywali go po plecach, kilku ze współczuciem kiwało głowami, ktoś patrzył chłodno.

– Muszę się z nim zobaczyć.

– Wiesz, że to niemożliwe. – Barczysty strażnik za kontuarem miał łagodny głos.

Hunt to wiedział.

– Możesz przekazać mu wiadomość?

– Pewnie.

– Powiesz mu, że tu jestem?

Strażnik odchylił się na oparcie krzesła.

– Osobiście mu przekażę.

– Powiedz mu teraz – poprosił Hunt. – I nie mów, że byłem. Powiedz mu, że tu jestem.

– Czy to takie ważne?

– To duża różnica – odparł Hunt. – Powiedz. Ja zaczekam.

Hunt odjechał spod aresztu i zatrzymał się dwie przecznice dalej, by usiąść na ławce. Patrzył w bezgwiazdne niebo i nie miał ochoty wracać do pustego domu. Kilka minut później zadzwonił jego telefon.

– Obudziłem cię? – zapytał Trenton Moore.

– Raczej mało prawdopodobne.

– Słyszałem o twoim synu. Bardzo mi przykro.

– Dziękuję, doktorze. Doceniam to. Czy dzwonisz też z jakiegoś innego powodu?

– W rzeczy samej, owszem. – Patolog odchrząknął i stał się dziwnie powściągliwy. – Hmm, masz chwilę?

Medyk sądowy pracował w podziemiach szpitala. Hunt nigdy nie lubił

tam przebywać, zwłaszcza w nocy. Szedł długim, skąpo oświetlonym korytarzem, którego betonowe ściany zdawały się pocić. Minął salę sekcyjną, rząd chłodziarek i kilka pustych pomieszczeń. Doktor Moore był w swoim biurze i coś mówił do dyktafonu. Hunt zastukał we framugę drzwi i patolog podniósł wzrok; w jego oczach pojawiły się błyski.

– Proszę, proszę. – Odłożył dyktafon i sięgnął po stojący na szafce dzbanek. – Kawy?

– Oczywiście. Czarnej. Dziękuję.

Moore napełnił kawą dwa styropianowe kubki i jeden z nich wręczył Huntowi.

– Przede wszystkim powinienem dać ci to – zaczął, po czym wyciągnął z szuflady plastikowy woreczek i rzucił go na biurko. Rozległ się dźwięczny metaliczny odgłos.

Hunt sięgnął po woreczek. Był on zapieczętowany, widniała na nim data i podpis patologa. Położył go na dłoni. Naliczył w środku sześć naboje ze stalowymi łuskami i z wydrążonymi wierzchołkami.

– Niech zgadnę. Amunicja kaliber 32 z wgłębieniem wierzchołkowym.

– Były w prawej kieszeni spodni pana Freemantle'a. Poza ubraniem to jedyna rzecz, jaką miał przy sobie w chwili śmierci.

– Cóż, mam więc odpowiedź na jeszcze jedno pytanie.

– Jakże mianowicie?

– Dlaczego pewien były glina jeszcze żyje i, co chyba ważniejsze, dlaczego jego trzynastoletni dzieciak nie jest oskarżony o zabójstwo. – Hunt wsunął torebkę z nabojami do kieszeni marynarki. – Dzięki.

– Nie ma sprawy.

Przez chwilę obaj popijali kawę w milczeniu.

– Skoro już mowa o pytaniach... – Moore przysunął się z krzesłem do biurka. Był drobny i krępy, tak bardzo przepełniony energią, że ledwie mógł usiedzieć spokojnie w miejscu. – Niewiele jest tajemnic w tym, co robię, detektywie. Pytania bez odpowiedzi, owszem, cały czas się zdarzają. Ale nie tajemnice. Ludzki organizm jest niestety bardzo przewidywalnym instrumentem. Śledząc obrażenia, docieramy w głąb, wysnuwamy wnioski, określamy przyczyny i skutki. – Podniecenie znów zapłonęło w oczach Moore'a. – Masz pojęcie, ile przeprowadziłem sekcji?

– Nie.

– Ja też nie, ale było tego sporo. Setki, może więcej. Tak naprawdę powinienem kiedyś je policzyć.

Hunt popijał kawę. Kiedy indziej byłby już poirytowany, ale teraz nie miał dokąd iść.

Moore zabębnił palcami o blat biurka. Oczy mu lśniły, a na twarzy pojawiły się rumieńce.

– Wierzysz w tajemnice, detektywie? – zapytał. Hunt chciał coś powiedzieć, ale patolog uciszył go machnięciem ręki. – Nie tego rodzaju tajemnice, z jakimi masz do czynienia codziennie. – Pochylił się nad biurkiem i złożył dłonie tak, jakby trzymał między nimi jakiś mały wszechświat. – Wielkie tajemnice. Te naprawdę potężne.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem.

– Chciałbym ci coś pokazać.

Moore wziął z biurka papierową teczkę i wstał. Przeszedł na drugą stronę gabinetu i nacisnął przełącznik negatoskopu. Jarzeniówka zamigotała i biały ekran wypełnił się światłem.

– Wahałem się, czy o tym wspominać poza drobną wzmianką w raporcie. Muszę dbać o reputację. – Zaśmiał się nerwowo, po czym wyciągnął z teczki zdjęcie rentgenowskie i zawiesił je na ekranie. Hunt rozpoznał ludzką klatkę piersiową. Kości zdawały się świecić, między nimi rysowały się bezkształtne kontury narządów. – Levi Freemantle. Dorosły mężczyzna. Wiek czterdzieści trzy lata. Silnie umięśniony. Rozległe zakażenie. Skrajne niedożywienie. Widzisz to? – Moore wskazał na zdjęcie. – Tutaj go trafiłeś. Kula weszła w tym miejscu. Pęknięta łopatką i rana wylotowa. Widzisz?

– Nie miałem zamiaru go zabić.

– Nie zabiłeś go.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Moore zignorował pytanie.

– Zobacz. – Pociągnął małym palcem wzdłuż białej nierównej linii. – To jest gałąź drzewa. Jakiś twardy gatunek, dąb albo klon. Nie moja działka. Denat musiał się jakoś na nią nadziać. Końcówka jest ułamana, ale nie spróchniała. Widać rozwarstwienia. Popatrz na te ostre krawędzie, tutaj i tutaj. Trudno to ocenić na podstawie tego zdjęcia, ale gałąź ma średnicę dwa razy większą od twojego palca wskazującego. Może jak półtora

kciuka. Weszła tutaj, tuż pod najniższym zębem z prawej strony, a potem ustawiła się pod takim kątem, że przebiła wątrobę na wylot. Uszkodziła różne organy i wyrwała trzycentymetrową dziurę w jelicie grubym.

– Nie rozumiem.

– To bardzo rozległe obrażenia.

– Jasne.

Moore oddalił się parę kroków od podświetlonego ekranu, by po chwili znów do niego podejść. Rozłożył ręce w bezradnym geście i Hunt wyczuł jego frustrację.

– To jest... – Przesunął dłonią nad zdjęciem. – To jest śmiertelny uraz. Bez natychmiastowej operacji zabójczy. On powinien być martwy parę dni przed tym, jak go postrzeliłeś. – Moore ponownie rozłożył ręce. – Nie potrafię tego wytłumaczyć.

Hunt poczuł muśnięcie chłodu między łopatkami. Przytłaczała go atmosfera szpitala. Przypomniawszy sobie zapał w oczach Moore'a, kiedy ten pytał go o wielkie tajemnice.

– Chcesz powiedzieć, że to cud?

Patolog przyglądał się zdjęciu, a białe światło ekranu zalewało jego twarz zimnym blaskiem. Położył trzy palce na nierównej linii gałęzi, która przeszła bok Freemantle'a.

– Chcę powiedzieć, że nie potrafię tego wytłumaczyć.

Rozdział 62

Pracownice opieki społecznej przyjechały po Johnny'ego następnego dnia. Czekwały przy otwartych drzwiach samochodu, podczas gdy chłopiec ścisnął dłoń matki. Upał zalewał parking. Po dwupasmówce przemykały samochody.

– Miażdżysz mi palce – wyszeptał Johnny.

Matka rozluźniła uścisk i spojrzała na Hunta, który również był przygnębiony.

– Nie ma innego sposobu?

– Po tym wszystkim, co się stało, nie mieli wyboru. – Pochylił się i spojrzał Johnny'emu w oczy. – To tylko na chwilę. Wstawię się za twoją matką. Wszystko naprawimy.

– Obiecuje pan?

– Słowo.

Johnny spojrzał w stronę samochodu, a jedna z czekających kobiet uśmiechnęła się do niego. Uścisnął matkę.

– Dam sobie radę – powiedział. – To będzie jak odsiadka.

Potem wsiadł do samochodu. I faktycznie tak było przez najbliższy miesiąc. Jak odsiadka. W rodzinie zastępczej, do której trafił, przyjęto go życzliwie, ale czuł się wyobcowany. Odnosili się do niego tak, jakby surowe słowo mogło go zranić, ale zachowywali się, jak gdyby nic szczególnego go nie spotkało. Byli wobec niego wyjątkowo uprzejmi, ale pewnego wieczoru Johnny podpatrzył ich, jak oglądają wiadomości i czytają gazety.

– I co po czymś takim z chłopaka wyrośnie? – mówili do siebie i kręcili głowami.

Johnny pomyślał, że chyba na noc zamykają drzwi swojej sypialni na klucz. Wyobraził sobie ich spojrzenia, gdyby kiedyś późno w nocy nacisnął ich klamkę.

Sąd nakazał Johnny'emu spotkania z psychologiem, ale facet okazał się

idiotą. Chłopiec mówił mu to, co tamten chciał usłyszeć. Opisywał zmyślane marzenia o domowej nudzie i twierdził, że przesypia całe noce. Zarzekał się, że już nie wierzy w niewidzialne moce, w żadne totemy ani magię, czy też czarne ptaki, które wykradają dusze zmarłych. Nie pragnął nikogo zastrzelić, nie miał ochoty zrobić krzywdy sobie ani nikomu innemu. Mówił szczerze o emocjach, jakie wywołała w nim śmierć ojca i siostry, o przejmującym do głębi żalu. Powiedział, że kocha swoją matkę, i to też była prawda. Patrzył, jak psycholog kiwa głową i coś notuje. Nie musiał już więcej do niego chodzić.

Pozwolono mu widywać się z matką raz w tygodniu podczas nadzorowanych wizyt. Chodzili wtedy do parku i siadali w cieniu. Co tydzień matka przynosiła mu listy od Jacka, który pisał do niego co najmniej raz dziennie, czasem częściej. Nigdy nie rozwodził się nad tym, jak źle jest mu tam, gdzie trafił. Nigdy nie opowiadał o tym, co robi i jak mijają mu dni. Pisał głównie o swoich wyrzutach sumienia i wstydzie, i o tym, że przyjaźń Johnny'ego była najlepszą rzeczą, jaka spotkała go w życiu. Wspominał rzeczy, które razem robili, plany, jakie snuli na przyszłość. I błagał o wybaczenie. Każdy z listów kończył słowami: „Johnny, proszę, powiedz, że jesteśmy przyjaciółmi”.

Johnny przeczytał wszystkie te listy, ale na żaden nie odpowiedział. Chował je do pudełka po butach, które trzymał pod łóżkiem w swoim zastępczym domu.

– Powinieneś mu odpisać – powiedziała kiedyś matka.

– Po tym, co się stało? Po tym, co zrobił?

– Jest twoim najbliższym przyjacielem. Jego ojciec złamał mu rękę. Pomyśl o tym.

Chłopiec pokręcił głową.

– Było milion okazji, kiedy mógł mi o tym powiedzieć. Na milion sposobów.

– On jest młody, Johnny. Obaj jesteście tacy młodzi.

Johnny popatrzył na przydzieloną przez sąd kuratorkę i w głowie zaświtała mu myśl.

– A czy ty wybaczyłaś synowi detektywa Hunta?

Katherine podążyła wzrokiem za spojrzeniem syna. Kobieta siedziała przy pobliskim stoliku piknikowym i gotowała się w niebieskim

kostiumie, zbyt grubym na tę porę roku.

– Synowi Hunta? – powtórzyła nieobecny tonem. – On też jest bardzo młody.

– Spotykasz się z Huntem?

– Jutro jest pogrzeb twojego ojca, Johnny. Jak mogłabym się z kimś spotykać?

– Myślę, że nie byłoby w tym nic złego.

Matka ścisnęła jego ramię i wstała.

– Już czas. Masz marynarkę? – zapytała. – I krawat?

– Mam.

– Podobają ci się?

– Tak.

Pozostało im kilka sekund. Następnym razem mieli się spotkać, aby pochować tych, których najbardziej kochali. Kuratorka przystanąła parę metrów od nich i pokazywała zegarek. Na jej twarzy malował się żal. Matka Johnny'ego odwróciła twarz, a w jej oczach zabłyśły łzy.

– Przyjadę po ciebie wcześniej – powiedziała.

Chłopiec chwycił jej dłoń i ścisnął.

– Będę gotowy.

Pogrzeb był podwójny. Ojciec i córka spoczęli obok siebie. Hunt wezwał posiłki i otoczył cmentarz kordonem policji, aby ochronić rodzinę przed ciekawskimi i dziennikarzami. Nabożeństwo odprawiał inny ksiądz, nie ten gruby o czerwonej twarzy, który zrobił na Johnnym tak niekorzystne wrażenie. Ten był młodym, szczupłym i poważnym mężczyzną, kaznodzieją z prawdziwego zdarzenia w lśniących białych szatach. Mówił o wyborze i potędze Bożej miłości.

Potęga.

Słowo to brzmiało tak śpiewnie w jego ustach, że Johnny przytakiwał, ilekroć je słyszał.

Potęga Bożej miłości.

Chłopiec kiwał głową, ale patrzył na trumny i na przejrzysty błękit nieba.

Błękit pustego nieba.

Minęły trzy tygodnie od pogrzebu. Katherine stała przed dobrze utrzymanym domem z dwiema sypialniami. Miał zamkniętą werandę od frontu, niedawno przebudowaną kuchnię, dwie łazienki i największy, najzieleniejszy ogród, jaki zdołała znaleźć. Przy tej samej ulicy wznosił się dom, w którym Johnny mieszkał przez prawie całe swoje życie. Miała nadzieję kupić właśnie ten, ale pieniądze z ubezpieczenia po zmarłym mężu musiały jej wystarczyć, dopóki nie postanowi, co zrobić z własnym życiem. Jak utrzymać siebie i syna.

Patrzyła długo w głąb ulicy, aż w końcu dała za wygraną. Tutaj w ogrodzie był domek na drzewie, a przez podwórko płynął strumyk. To powinno wystarczyć.

Kiedy Hunt stanął w drzwiach, jego koszula była mokra od potu, a we włosach miał kawałek wełny mineralnej. Wyszedł na trawnik, obrócił się i spojrzał w stronę domu.

– Jest solidny – stwierdził. – I przyjemny.

– Myślisz, że spodoba się Johnny’emu?

– Myślę, że tak.

Katherine opuściła głowę.

– Johnny wraca jutro. Będziemy potrzebowali trochę czasu. Tylko my dwoje. Żeby znaleźć jakiś własny rytm.

– Oczywiście.

– Ale pomyślałam, że może za jakiś miesiąc mógłbyś wstąpić na kolację.

– To byłoby miłe.

Katherine nerwowo pokiwała głową, wystraszona i niepewna. Odwróciła się i spojrzała na dom.

– Naprawdę jest w porządku, prawda?

– Jak marzenie – odparł Hunt, nie odrywając wzroku od jej twarzy.

Epilog

Po letnich upałach pozostało już tylko wspomnienie, kiedy Johnny pojechał z matką do Sekretnego Ogrodu. Było późne sobotnie popołudnie. Przez korony górujących nad drogą drzew przebijały się promienie słońca. Zobaczyli przed sobą granitowe słupki i krzaki jeżyn.

– Nie mogę uwierzyć, że tutaj dotarłeś.

– Spokojnie, mamó.

– Wszystko mogło się tu wydarzyć.

Johnny wskazał przed siebie.

– Do cmentarza prowadzi ta droga.

Podjechali najbliżej, jak się dało, i wysiedli z samochodu. Chłopiec poprowadził matkę leśną przecinką.

– Detektyw Hunt mówi, że pochowano go w zeszłym tygodniu. Zapłaciła za to jakaś przyjaciółka jego matki.

Ich oczom ukazał się niski murek. Biała farba pokrywająca furtkę wciąż wyglądała świeżo. Trawa urosła wysoko i zaczynała zrzucać nasiona.

– Powinienem tu czasem przyjechać i to skosić.

– Proszę, nie – zaprotestowała matka, ale Johnny już się nad tym zastanawiał.

Podeszli do miejsca, w którym został pochowany Levi Freemantle. Ziemia była świeżo wzruszona. Obok spoczywała jego córka, która też miała nowy nagrobek.

– Sofia – oznajmił Johnny. – Tak miała na imię.

Oboje spojrzeli na kamienną płytę wkopaną nad głową Leviego. Znajdowały się na niej daty jego urodzin i śmierci. Inskrypcja była prosta. „Levi Freemantle, ostatnie dziecko Isaaca”.

– Tamtej nocy, którą tu spędziłem, policzyłem nagrobki. Tam leżą ci trzej, którzy zostali powieszani – powiedział chłopiec i wskazał na małe proste kamienie u podnóża olbrzymiego dębu. – I czterdzieścioro troje

potomków Isaaca Freemantle'a. Teraz przybyło dwoje. Gdyby Isaac zginął, gdyby został powieszony, jak tamci, żadne z nich nie narodziłoby się ani nie umarło.

Ich spojrzenia powędrowały wzdłuż rzędów zwietrzałych kamieni.

– Twój prapradziadek był niezwykłym człowiekiem – odezwała się Katherine i zawiesiła głos. – Podobnie jak twój ojciec – dodała, a Johnny pokiwał głową. Nie był w stanie nic powiedzieć. – Ken Holloway nigdy nie był tak przerażający jak tamtego dnia. – Potarła nadgarstki, na których wciąż widniały blizny po głębokich ranach od strun fortepianowych. – Gdyby nie Levi Freemantle, moglibyśmy tego nie przeżyć.

Zapadło milczenie. Promienie słońca padały na świeżo obrobioną marmurową płytę.

– On mi powiedział, że życie zatacza krąg.

Katherine spojrzała na drzewa i na rzędy nagrobków.

– Może miał rację. – Objęła syna ramieniem.

Tego wieczoru Johnny napisał list do Jacka. Opowiedział w nim o wszystkim, co wydarzyło się w ciągu ostatnich miesięcy. Zajęło mu to dziesięć stron. Zaadresował list słowami: „Jack Cross, mój przyjaciel”.